R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13
Inches
Centimetres
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

NAUKA EKONOMII POLITYCZNEJ

Wyłączne upoważnienie do przekładu, dane przez wdowę, jedyną spadkobierczynię praw autora.

---

4 W. 93-rd Street New-York, Feb. 3, 1903.

Z. Słupski, Esq.,

Posen, Germany.

Dear sir:

I have given careful consideration to your letter of Jan. 1, and the reasons, why you think you should have from me exclusive authorization for the Polish translation of „The Science of Political Economy.“ I have come to the conclusion that I should concede this to you, and I hereby do so, agreeing to call yours and no other, the authorized translation.

Wishing you complete success in your undertaking,

I am,

Very respectfully,

Annie C. George.

Na podstawie powyższego, zastrzegam sobie wszelkie prawa własności tego przekładu.

Każdy egzemplarz winien być zaopatrzony moją pieczęcią.

Z. SŁUPSKI.

H. George.

JERZY SCHIMMEL

H. GEORGE

NAUKA
EKONOMII POLITYCZNEJ

Z ANGIELSKIEGO ORYGINAŁU
(ZA WYŁĄCZNEM UPOWAŻNIENIEM SPADKOBIERCÓW AUTORA)
PRZEŁOŻYŁ
ZYGMUNT ŚWIATOPEŁK SŁUPSKI

POZNAŃ
NAKŁAD Z. SŁUPSKIEGO
DRUKIEM J. LEITGEBRA
1904.

33

9355/1

Od tłumacza.

Każdy zabiera głos w sprawach ekonomicznych, choćby tylko na temat „ciężkich czasów". I nie dziw, bo są to sprawy najżywotniejsze.

Tymczasem, jakżeż stosunkowo niewielu zna zasady ekonomii politycznej, która jest przecież kluczem walki o byt. A zaniedbanie tej tak ważnej i ciekawej nauki tem mniej usprawiedliwione, że studya nie wymagają ani narzędzi ani żadnych przyrządów lub pracowni. Jest to w samej rzeczy jedyna, dla każdego przystępna nauka. Do zapoznania się z nią wystarcza dobra wola i dobra książka — a tej właśnie nam brak. Tem skwapliwiej przeto zabrałem się do niniejszego przekładu, zwłaszcza iż szerzenie tej nauki, najskuteczniej zapobiegnie szerzeniu się socyalizmu.

Już sama firma daje tu rękojmię użyteczności tego dzieła. George przecie to wielkość i chluba amerykańska, geniusz, który przyniósł światu sporo śmiałych myśli. Najpopularniejszy to z ekonomistów, nie tylko w ojczyźnie ale nawet i z tej strony oceanu. Dzieła jego, przełożone już na wszystkie ważniejsze języki, rozeszły się w setkach tysięcy egzemplarzy, — więcej aniżeli wszystkich innych razem wziętych autorów zeszłego wieku. Już więc sama tak nadzwyczajna poczytność wystarcza, aby mój wybór usprawiedliwić i równe też powodzenie przekładowi polskiemu zapewnić.

George wprawdzie — mimo tak wielkiej poczytności, albo raczej właśnie dlatego — nie ma miru w kołach profesorów i uczonych, bo mówi o wszystkiem otwarcie, niekrępując się żadnymi względami — ale stąd właśnie tem większa jego wartość. Zarzucano mu nawet, jakoby się miał pośrednio przyczynić do wzrostu socyalizmu w Anglii, chociaż stojąc na gruncie chrześcijańskim, właśnie stanowczym jest przeciwnikiem socyalizmu, — odmawia mu nawet wszelkiej naukowej podstawy. Prawdą jest tylko, że zapatrywania swe wypowiada może zabezwzględnie, ale zawsze z głębokiem przeświadczeniem że broni prawdy. Ostrożnie też przyjmować należy zwłaszcza jego zapatrywania na własność ziemską i teoryę jednego podatku. Dla nas zresztą ma ona tylko naukowe znaczenie.

Lecz mimo wszelkich wad i braków, ciekawe to i jedyne w swoim rodzaju dzieło. Nie wątpię też, że tym przekładem zaskarbię sobie wdzięczność szerokiego koła czytelników, bo bezwątpienia, książka ta żywo zainteresuje nietylko uczonych ale nawet ludzi ze średniem wykształceniem. Napisana bowiem jasno i przystępnie, daje pogląd na dzieje tej nauki a zarazem gruntownie jej zasady wyjaśnia.

W zakończeniu jednak winienem zaznaczyć że jest to dzieło pośmiertne, a stąd niezupełnie wykończone, — brak nawet niektórych rozdziałów. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła autorowi obrobić go ostatecznie, a stąd nawet i styl tak zaniedbany, że nierzadko w jednem zdaniu można naliczyć 150 wyrazów. Ale i tak jak jest, jest to, bądź co bądź, cenna spuścizna, z której czytelnik niewątpliwie korzyść odniesie. Zresztą w przekładzie przynajmniej wady stylu starałem się usunąć.

Pisałem w więzieniu poznańskiem, 1902-3 r.

Życie H. George'a.

Popularny ten autor umarł pod koniec 1897 r., i to na kilka dni przed głosowaniem, które miało rozstrzygnąć jego wybór na majora m. Nowego Yorku. A pogrzeb odbył się kosztem publicznym. Już to samo dowodzi jak wysoko George był cenionym, bo takiego zaszczytu nie wielu tam dostąpiło mężów. Stanął on już w rzędzie postaci narodowych.

Henry George urodził się w Filadelfii 2 września 1830 roku. Niezupełnie słusznie zaliczono go do typu tz. self-made-men'ów. Uniwersytetów, co prawda nie kończył, ale też i z niczego nie wyrósł, jak np. jego ulubiony Quesnay. Syn dość stosunkowo zamożnego księgarza, uczęszczał nawet do tz. „high school," ale ojciec, chcąc go na kupca wykierować, oddaje 13-letniego malca do kantoru. Henrykowi jednak nie po myśli snadź była ta praktyka, bo już po roku, puszcza się w świat jako chłopiec okrętowy. Odtąd różne przechodzi koleje. Raz go widzimy zecerem w drukarni, to znów jako poszukiwacza złota — bije się nawet za wolność w Mexyku. W 22 roku życia już żonaty, a choć bez grosza przy duszy, zawsze daje sobie radę. Próbuje wreszcie sił i na niwie dziennikarskiej. Zachęcony powodzeniem swych artykułów, wydaje (1871) pierwszą broszurę p. t. „Nasza ziemia a nasza polityka," i dość stosunkowo szybko zdo-

bywa popularność, a wkońcu wyrasta na olbrzyma i chlubę kraju.

W r. 1872 zakłada pierwszą tanią gazetę w San Francisco, a we 2 lata później otrzymuje dość znaczny urząd miejski, co mu już pozwala więcej czasu poświęcać nauce. Wkrótce też wydaje rzecz większą pt. „Progress and Poverty“ (Postęp i nędza). Przez trzy lata jeździ potem z odczytami po Anglii i Irlandyi, a 1890 z wielkim zapałem przyjmowany w Australii — wszędzie wymową licznych jedna zwolenników dla swej idei. Nie brak nawet zapalonych entuzyastów i wielbicieli, którzy znaczne sumy składają do rąk jego — i to nie tylko sami Amerykanie.

Oprócz dwóch wyżej wzmiankowanych już dzieł, napisał także „Protection or Free Trade“, „Social Problems“, „A Perplexed Philosopher“, „The Condition of Labor“, „The Land Question“, „Property in Land“ itd. — a wreszcie dzieło niniejsze, obejmujące już całokształt nauki i będące owocem kilkunastu lat pracy.

Przedmowa autora.

Ekonomiczne poglądy, rozwinięte w dziele „Postęp i nędza“ (Pogress and Poverty), znalazły zupełne uznanie krytyki. Ale tam ich dotykałem mimochodem tylko, w miarę jak tego główny przedmiot wymagał. Nie jest to więc ogólny zarys zasad ekonomii; ale wtedy jeszcze na więcej nie stało mi czasu. Chcąc bowiem szerszą zwrócić uwagę na poruszoną tam prawdę, przyszło mi jeszcze wiele chwil poświęcić na jej obronę, czy to za pomocą broszur i artykułów, czy też odczytów lub żywego słowa. I oto dziś po 15 latach pracy, usiłowania moje widzę już nareszcie uwieńczone takiem powodzeniem, o jakiem zaledwie marzyć mogłem. Nietylko bowiem wśród narodów mówiących po angielsku, ale się już wszędzie pojawiają ludzie z zapałem dalej prowadzący dzieło przeze mnie zapoczątkowane. Jeszcze co prawda, cel nieosiągnięty, ale dzieło zapoczątkowane, i tego co zdziałano, nikt już cofnąć nie zdoła.

Skończywszy „Postęp i nędza“, większe uczułem zadowolenie, niżeli gdyby mi całe u nóg złożono królestwo. Ale chociaż czas usprawiedliwił moje ówczesne nadzieje, widziałem jednak, że mi coś jeszcze do zrobienia pozostało. Zaraz więc, skoro się tylko dało już dalszą poniechać propagandę, zabrałem się do skreślenia wykładu ogólnych zasad ekonomii politycznej.

KSIĘGA I.

Znaczenie ekonomii politycznej.

KSIĘGA II.

Natura bogactwa.

KSIĘGA III.

Produkcya.

KSIĘGA IV.

Rozdział produkcyi.

KSIĘGA V.

Pieniądz i kredyt.

TREŚĆ.

Przedmowa autora. Str.
Wstęp ogólny. 1

KSIĘGA I.

Znaczenie ekonomii politycznej.

Wstęp do księgi I. 9
Motto. 10

ROZDZIAŁ I. *Trzy czynniki świata.*

Znaczenie nazw: *czynnik* (factor), *filozofia*, *świat*. — Co nazywamy duchem? — Co nazywamy materyą? — Co nazywamy energią? — Chociaż wszystkie trzy, może to w gruncie rzeczy jedno i to samo, jednak musimy je w myśli rozdzielać. — Wyższość ducha. 11

ROZDZIAŁ II. *Człowiek, jego siły i jego miejsce zamieszkania.*

Nasz stosunek do kuli ziemskiej i zdolności, które nam pozwalają coraz lepiej ją poznawać; a przez to coraz bardziej rozszerzać zakres naszych sił.

Pierwotne wiadomości człowieka o kuli ziemskiej. — Jak się rozszerzał zakres tej jego wiedzy, i obecny jej stan. — Zasadnicza różnica między człowiekiem a zwierzęciem. — Zdolność wytwarzania i ulepszania. 13

Str.

ROZDZIAŁ III. *Jak się wzmagają siły człowieka.*

Ludzie, rozumem powodowani, łączą się w organizmy społeczne czyli ciała ekonomiczne.

Siły człowieka w cywilizacyi. — Wzrost ich nie zależy od doskonalenia się człowieka ale społeczeństwa. — „Lewiatan“ Hobbes'a. — Większy Lewiatan. — Zdolność do dobrego i złego. 20

ROZDZIAŁ IV. *Cywilizacya i jej znaczenie.*

Cywilizacya zależy od łączenia się ludzi w społeczne organizmy, czyli ciała okonomiczne.

Trudność określenia: co to jest cywilizacya. — Określenie Guizot'a. — Pochodzenie i pierwotne znaczenie cywilizacyi. — Cywilizacya a państwo. 25

ROZDZIAŁ V. *Początek i pochodzenie cywilizacyi.*

Rozum z natury swej skłania ludzi do wymiany, która powoduje rozwój cywilizacyi.

Rozum to siła, zdolna szukać przyczyn. — Analiza i synteza. — Podobieństwo i brak takowego między człowiekiem a zwierzętami. — Siła, jaką daje zrozumienie związku przyczyn i skutków. — Moralna strona cywilizacyi. — Wpływ wymiany. — Cywilizacya jest względną. — Istnieje tylko jako pojęcie. 29

ROZDZIAŁ VI. *Wiedza i jej rozwój.*

Rozwój wiedzy jest owocem łączenia sił.

Cywilizacya każe przypuszczać większą wiedzę. — A wiedza znów wynika z połączenia sił. — Umiejętność a wiedza. — Stosunek uporządkowanej wiedzy do środków jej gromadzenia, do umiejętności i do ciała ekonomicznego. — Przykład z astronomii. 37

ROZDZIAŁ VII. *Prawa natury.*

Dlaczego się o nich mówi.

Jednocześnie istniejące i następujące. — Następstwa i wyniki. — Przyczyny i ich nazwy. — Nasza bezpośrednia wiadomość o duszy. — Najprostsze po-

Str.

jęcie o stosunku przyczynowym. — Jego rozmiary. — Poszukiwanie przyczyn dotąd nas nie zadowala, dopóki nie dotrzemy aż do ducha. — Znajdujemy albo przypuszczamy zamiar. — Dowód tego, — Dlaczego musimy przypuszczać wyższego ducha. — Dowody celowości. — Natura. — Prawa natury. — 41

ROZDZIAŁ VIII. *O wiedzy, zwanej nauką.*

Nauka zajmuje się tylko badaniem praw natury; a o tem zdają się zapominać dzisiejsi ekonomiści.

Właściwe znaczenie nazwy *nauka*. — Przedmiotem jej prawo natury a nie prawo ludzkie. — Różnica między jednem a drugiem. — Ale dzisiejsi ekonomiści pomieszali je razem, i biorą jedne za drugie. — Mason i Lawlor. — Pomieszanie obu tych rodzai praw jest niedorzecznością. — Co Turgot mówi o przyczynie tego. 51

ROZDZIAŁ IX. *Ekonomia zwana ekonomią polityczną.*

Jej znaczenie, jej jednostki i cel.

Wyraz *ekonomia*. — Wyraz *polityczna*. — Początek nazwy *ekonomia polityczna*. — Nazwa powodem zamętu. — Określenie *polityczna*, nie odnosi się do ciała politycznego ale do ciała ekonomicznego. — Jej jednostki i system układu tego, o czem traktuje. — Jej cel. 57

ROZDZIAŁ X. *Zasady ekonomii politycznej.*

Jakby powinna się rozwijać, i czego szuka.

Jak należy rozumieć system złożony. — Ekonomia polityczna właśnie szuka celu takiego systemu. — Te prawa, to naturalne prawa ludzkiej natury. — Dwie zasady uznane przez ekonomię polityczną. — Rozum je tylko wyróżnia. — Ludzka wola oddziaływa na świat materyalny tylko przez prawa natury. — 66

ROZDZIAŁ XI. *Pragnienia i ich zaspokajanie.*

Rozległość i ważność badań ekonomii politycznej.

Str.

Działanie wypływa z życzeń i dąży do ich zaspokojenia. — Porządek życzeń. — Potrzeby. — Życzenia przedmiotowe i podmiotowe. — Życzenia materyalne i niematerialne. — Hierarchia życia i życzeń. — 73

ROZDZIAŁ XII. *Zasadnicze prawo ekonomii politycznej.*

Ludzie dążą do tego, aby swe pragnienia zaspokajać jak najmniejszym wysiłkiem.

Po wysiłku przychodzi znużenie. — Fakt że ludzie dążą do tego, aby swe pragnienia zaspokajać jaknajmniejszym kosztem. — Prawo natury i zasadnicze prawo ekonomii politycznej. — Samolubstwo. — Buckle. — Ekonomia polityczna nie rości sobie takich pretensyi. — Potrzeba pracy nie jest przekleństwem. 78

ROZDZIAŁ XIII. *Metody ekonomii politycznej.*

Metody, jakie można stosować do badań w ekonomii politycznej.

Szkoła indukcyjna i dedukcyjna. — Encyklopedya. — Tryumf indukcyonistów. — Metoda indukcyjna i metoda dedukcyjna. — Metoda hipotezy. — Bacon w stosunku do indukcyi. — Istotny błąd dedukcyonistów i omyłka indukcyonistów. — Encyklopedya Lalor'a. — Następstwa tryumfu indukcyonistów. — Prawdziwa nauka ekonomii politycznej musi się trzymać metody dedukcyjnej. — Davis. — Podwójne zapewnienie o rzeczywistym postulacie ekonomii politycznej. — Metoda umysłowego doświadczania. 83

ROZDZIAŁ XIV. *Ekonomia polityczna. jako nauka i jako sztuka.*

Ekonomia polityczna jest właściwie nauką, i w takiem też znaczeniu należy ją rozumieć, chociażby była o niej mowa jako o sztuce.

Nauka i sztuka. — Ekonomia polityczna, musi to być nauka, nie zaś właściwa sztuka. — Jakiby winien być cel ekonomii politycznej jako sztuki. — Biała i czarna sztuka. — Dalsze badania. 92

Str.

KSIĘGA II.

Natura bogactwa.

Wstęp do księgi II. 101

ROZDZIAŁ I. *Zamieszanie pojęć co do znaczenia bogactwa.*

Darmo ekonomiści usiłują określić: co to jest bogactwo. — Stąd zamęt; aż w końcu całkiem poniechano tę nazwę.

Bogactwo, to pierwotna nazwa ekonomii politycznej. — Wyraz to powszechnie używany — Coraz większe ciemności. — I Smith niejasny. — A jego następcy jeszcze powiększają zamęt — Jak określają bogactwo. — Wielu już się nawet i nie sili na określenie tego pojęcia. — Perry wprost radzi całkiem tę nazwę pominąć. — Marschall i Nicholson. — Nakoniec pierwotną nazwę zastąpiono wyrazem „ekonomia“ — Zamiar Macleod'a 103

ROZDZIAŁ II. *Przyczyny zamieszania pojęć co do znaczenia bogactwa.*

Na czem w ekonomii polega trudność określenia bogactwa.

Wpływ niewoli na określenie bogactwa. — I teraz podobne wpływy działają. — Co Jan Stuart Mill mówi o mydleniu oczu. — Źródło niedorzecznego systemu ochrony. — Wpływ osobistych interesów na opinię. — Sam nawet Mill służy tu za przykład: jak dalece utarte już poglądy mogą ludzi zaślepiać. — Wpływ uznanej niedorzeczności na filozofię. — Znaczenie słów Chrystusa. — Warstwy korzystające a rozwój ekonomii politycznej. — Arcybiskup Whately bierze skutek za przyczynę. — Wpływ potęgi pieniędzy na wyobrażenia. — A można temu zapobiedz jedynie przez usunięcie przyczyny. — Pokazało się to na niewoli w Ameryce. 113

ROZDZIAŁ III. *Co Adam Smith rozumiał przez bogactwo.*

Jak dalece różnił się w tem od swych następców.

Str.

Znaczenie tytułu „Bogactwo narodów". — Jego początek w stosunku Smitha do fizyokratów. — Jak on pojmował bogactwo. — Zarzut Malthusa i Macleod'a. — Wyjaśnienie w dziele „Postęp i nędza". — Dalsze wnioski. 124

ROZDZIAŁ IV. *Fizyokraci.*

Pierwsi, którym prawdziwa nauka ekonomii politycznej zawdzięcza swój rozwój; a co oni głosili.

Quesnay i jego zwolennicy — Zdobyte przez nich wielkie prawdy i przyczyna zamętu, w który popadli. — Przeciwnicy użyli tego za broń, aby zdyskredytować cały ich system. — W gruncie rzeczy byli to zwolennicy wolnego handlu. — Już im w części oddano sprawiedliwość. — Odwołanie się do nich w dziele „Postęp i nędza". — Co Macleod mówi o ich nauce o naturalnym porządku. — Ich pogląd na bogactwo. — Ich powodzenie i upadek. 129

ROZDZIAŁ V. *Adam Smith i fizyokraci.*

Wzajemne ich stosunki.

Smith i Quesnay. — „Bogactwo narodów" a zasady fizyokratyczne. — Pogląd Smitha na fizyokratów. — Jego błąd że nie docenił teoryi o pojedyńczym podatku. — Jego roztropność. 142

ROZDZIAŁ VI. *Wpływ Smitha na ekonomię polityczną.*

Skutki jego dzieła pt. „Bogactwo narodów" i dalszy rozwój ekonomii politycznej.

Smith filozof przemawia do inteligencyi. — Krytykuje system ochronny, a mimo to cieszy się względami u wielkich właścicieli ziemskich. — Niezupełnie wolny od podejrzenia o radykalizm, ale mu to przebaczono z uwagi na fizyokratyczne pochodzenie tych poglądów. — Malthus i Riccardo usiłują przywrócić szacunek dla nauki. — Walka przeciwko prawom zbożowym. — Wpływy systemu ochronnego. — Zwycięstwo przechyla się na stronę wolnego handlu, co znacznie wsparło upadającą naukę. — Zaufanie schola-

Str.

stycznych jej obrońców. — Say wierzy w rozwój ekonomii politycznej pod opieką kollegiów. — Torens ma nadzieję — Innym krajom nie udało się pójść za przykładem Anglii. — Cairnes wątpi aby to mogło być przedmiotem scholastycznych studyów. — Bystrość jego poglądu stwierdza później upadek ekonomi Smith'a. — Prawdziwa przyczyna. 151

ROZDZIAŁ VII. *Chybione próby rozstrzygnięcia sprawy bogactwa.*

Opór przeciw scholastycznej ekonomii, przed ukazaniem się dzieła „Postęp i nędza".

Nielogiczny charakter „Bogactwa narodów". — Prawo przyrodzone. — Spence, Ogilvie, Chalmers, Wakefield, Spencer, Dove, Bisset. — Niewyraźne objawy uznania prawa przyrody. — System ochrony wszędzie (z wyjątkiem Anglii) podnieca do badań na polu ekonomii politycznej — Niemcy a Stany Zjednoczone. — Powstają szkoły. — Unie zawodowe. 163

ROZDZIAŁ VIII. *Upadek scholastycznej nauki ekonomii politycznej.*

Wpływ dzieła „Postęp i nędza" na ekonomię polityczną.

„Postęp i nędza". — Profesorowie wolą raczej całkiem zaniechać „naukę", niż porobić w niej gruntowne zmiany. — To powód upadku ekonomii politycznej. — Encyklopedya brytańska (Britanica). — „Szkoła austryacka" zjawia się po „klasycznej". 179

ROZDZIAŁ IX. *Bogactwo i wartość.*

Dlaczego należy poznać naturę wartości pierwej niż naturę bogactwa.

Punkt wyjścia w badaniu bogactwa — Korzyści badania z tego punktu. 185

ROZDZIAŁ X. *Wartość użytkowa i wartość zamienna.*

Podwójne znaczenie wartości. — Jak to ta różnica była pomijaną i jej ważność. — Dla

Str.

czego ekonomiczną nazwę ograniczono tylko do jednego znaczenia.

Doniosłość nazwy „wartość". — Pierwotne znaczenie tego wyrazu. — Jego dwa znaczenia. — Nazwy dane im przez Smith'a. — Użyteczność i pragnienie — Co Mill mówi o Smith'cie. — Szkoła austryacka wcale nie uwzględnia tej różnicy. — Przyczyna tego zamętu. — Zdolność do użytku, nie jest użytecznością. — Smith rozróżnia. — Używanie jednego wyrazu w podwójnem znaczeniu, zdarzające się w potocznej mowie, nie może mieć miejsca w ekonomii politycznej. — Rzeczywista wartość. 187

ROZDZIAŁ XI. *Ekonomiczna czyli zamienna wartość.*

Wartość zamienna, uważana jako wzajemny stosunek rzeczy; a przyczyną tego, dwuznaczność nazw.

Pojęcie wartości, jako wzajemne ustosunkowanie rzeczy. — W rzeczywistości jest to stosunek do zużytej siły. — Co o tem Smith sądził. — Przyczyny, które go skłoniły do przyjęcia nazwy „wartość zamienna". — Zamęt, w jaki popadł, i zamęt, w jaki popadli jego następcy. 200

ROZDZIAŁ XII. *Wartość zamienna właściwie odnosi się do pracy.*

Wartość wypływa z zamienności a nie zamienność z wartości.

Skąd się wzięło przypuszczenie że suma wartości nie może się powiększać ani zmniejszać — Zasadnicza myśl proporcyi. — W ten sposób nie można się na wartość zapatrywać. — W zamęcie zdaje nam się że o niej myślimy. — Milczące przypuszczenie i wstręt do badania ustalonych pojęć. — Doświadczenie pokazuje że wartość odnosi się do pracy. — Stwierdzają to zwykłe zjawiska. — Upowszechnione przypuszczenie okazuje się fałszem. — Różne znaczenie pracy. — Bierne i czynne natężenie sił. — Co twierdzą o wartości. — O pragnieniu, i jak je mierzyć. — Przypad-

Str.

kowy związek zachodzący między wartością a zamiennością. — Doświadczenie wykazujące że wartość może być i tam, gdzie zamiana niemożliwa. — Odrzucona nazwa „wartość“ jako wyraz natężenia siły. 209

ROZDZIAŁ XIII. *Wykładnik wartości.*

Co to jest wartość, i jej związki.

Co to jest wartość. — Przekonanie się o istotnej wartości. — Wartość odnosi się tylko do ludzkich pragnień. — Jest to zapatrywanie szkoły austryackiej. — Miara wartości musi być przedmiotową. — Jak koszt wytwarzania służy tu za miarę. — Pragnienie rzeczy podobnych. — Zastosowanie tej zasady. — Taż zasada odnośnie do wartości ziemi. 223

ROZDZIAŁ XIV. *Dwa źródła wartości.*

Wartość wypływająca z produkcyi, oraz wartość wynikająca ze zobowiązania.

Wartość nie powoduje wzrostu bogactwa. — Wartość ze zobowiązania. — Wartość z ujarzmienia. — Ekonomiczne określenie bogactwa niemożliwe bez uwzględnienia tej różnicy wartości. — Omyłka Smitha i jego wyniki. — Konieczność rozróżnienia. — Wartość wynikająca z produkcyi i wartość wynikająca ze zobowiązania. — A każda z nich zasadniczo oddziaływa na natężenie siły roboczej. — Zobowiązania dłużne. — Inne zobowiązania. — Wartość ziemi najważniejsza ze wszystkich rodzajów wartości ze zobowiązania. — Własność ziemi równoznaczna z własnością ludzi. — Zwykłe rozumienie wartości zamiennej. — Istotny jej stosunek do natężenia siły roboczej. — Ostateczna zamienność odnosi się do pracy. — Smith miał słuszność. — Światło rzucone przez tę teoryę wartości. 230

ROZDZIAŁ XV. *Znaczenie bogactwa w ekonomii politycznej.*

Stanowi je tam wartość z produkcyi.

Bogactwo podług określenia w dziele „Postęp i i nędza“. — Ekonomia scholastyczna. — Przeciwna

Str.

metoda. — Jednaki wynik. — Dla czegoby chciano wszelkiego rodzaju wartości uznać za bogactwo. — Znaczenie w przenośni. — Znaczenie bogactwa w przenośni. — Istotne znaczenie. — Użyte dla wyrażenia zamienności. — Podobny użytek z pieniędzy. — Zwykłe rdzenne znaczenie jest właściwem. Jego zastosowanie w osobistej i politycznej ekonomii. — Co rozumiemy przez powiększenie bogactwa. — Bogactwo i praca. — Natura i człowiek jako ich czynniki. — Skutkiem jest bogactwo. — O Adamie Śmith'cie. — Niebezpieczeństwo użycia znaczenia w ekonomii politycznej, właściwego tylko w ekonomii osobistej. — Przykład pieniędzy. — Prawdziwe i względne bogactwo. — Wartość z produkcyi i wartość ze zobowiązania. — W języku angielskim brak wyrazu na przedmiot bogactwa — Dogodności. — Towary. 241

ROZDZIAŁ XVI. *Pochodzenie bogactwa.*

Jak powstaje i czem ono właściwie jest.

Powód tego badania. — Bogactwo wynika z natężenia sił pod naciskiem pragnień; ale nie zawsze natężenie wytwarza bogactwo. — Proste przykłady działania, i działania wytwarzającego bogactwo. — Przykład z koniem. — Podział wysiłków ku zwiększeniu bogactwa. — Bogactwo, w istocie swej, jest to zasób usług, które można przekazywać. — O przekazywaniu usług. — Działanie rozumu nie tak pewne i szybkie jak działanie instynktu. — Bogactwo, to usługa oddziaływająca na materyę. — Musi być przedmiotowe i mieć formy namacalne. 254

ROZDZIAŁ XVII. *Bogactwo zwane kapitałem.*

Co to właściwie za bogactwo, zwane kapitałem.

Kapitał jest częścią bogactwa, pośrednio użytego na zaspokojenie pragnień. — Prosty przykład z owocem. — Bogactwo pozwala zachować pracę w zapasie. — Wół i człowiek. — Natężenie i jego wyższe siły. — Osobistych przymiotów nie można uważać za bogactwo, a względnie i za kapitał. — „Taboo" i jego nowoczesne formy. — Pospolite pojęcia bogactwa i kapitału. 261

Str.

ROZDZIAŁ XVIII. *Dlaczego ekonomia polityczna zajmuje się tylko bogactwem.*

Ekonomia polityczna dotyczy wszelkich stosunków jednostki ze społeczeństwem.

Ekonomia polityczna niektóre usługi pomija. — Wskutek wartości odbywa się zamiana usług na usługi. — Ich zakres i zadanie. 269

ROZDZIAŁ XIX. *Bogactwo ze stanowiska moralności.*

Wzajemny stosunek bogatych i biednych; i dlaczego Chrystus stanął po stronie biednych.

Bogactwo samo przez się nie jest tak złem, za jakie je niektórzy chcą uważać. — Kto prawdziwie bogaty, a kto prawdziwie biedny? — Wzajemna ich zależność. — Właściwe znaczenie nauki Chrystusa. 272

ROZDZIAŁ XX. *O trwałości bogactwa.*

Bodaj że wartości ze zobowiązania trwają dłużej aniżeli wartości z produkcyi.

Wartość z produkcyi i wartość ze zobowiązania. — Pierwsza materyalna a druga wymarzona. — Druga trwalsza. — Przechwałka Shakespeare'a. — Budynki Mecenasa i ody Horacyusza. — Dwie obecnie istniejące wartości. — Wartość przywilejów i ziemi trwalsza niż złoto i drogie kamienie. — Rozwój społeczny przyczyną zniszczenia. — Ostateczne wyniki. 276

ROZDZIAŁ XXI. *Stosunek pieniędzy do bogactwa.*

Jedne są bogactwem, inne zaś nie.

Kiedy będzie o tem mowa. — Jeszcze niepodobna stanowczo odpowiedzieć. — Jedne są a inne znów nie. 281

KSIĘGA III.

Produkcya.

ROZDZIAŁ I. *Znaczenie produkcyi.* Str.

Znaczenie i właściwe użycie produkcyi.

Produkcya z tego, co już istniało. — Co innego produkcya a co innego tworzenie. — Inna produkcya niż produkcya bogactwa. — Przez produkcyę rozumie się wszystkie stany jej trwania. — Omyłki co do tego. 285

ROZDZIAŁ II. *Trzy rodzaje produkcyi.*

Cechy zwykłe ale różne rodzaje produkcyi.

Zmiana dokonana wskutek woli świadomej. — Trzy rodzaje produkcyi: zastosowanie, rozmnażanie i wymiana. — To ich naturalny porządek. 289

ROZDZIAŁ III. *Ludność a środki wyżywienia.*

Ludność ma się niby rozmnażać prędzej niż środki wyżywienia.

Teorya Malthusa. 294

ROZDZIAŁ IV. *Mniemane prawo zmniejszania się dochodów.*

Czem właściwie jest owo prawo.

J. S. Mill o jego ważności. — Stosunki i natura tego prawa. — Reductio ad absurdum służy tu za dowód. — Spór czy to fałszywe pojęcie ogólnego prawa natury co do przestrzeni. 296

ROZDZIAŁ V. *O przestrzeni i czasie.*

Rozum człowieka zawsze jednaki i, w granicach dla niego dostępnych, można na nim polegać.

Moje zadanie. — O metafizyce. — Niebezpiecznie brać nazwy za rzeczy. — Przestrzeń i czas, to nie rzeczy ale ich stosunki. — Nie mogą mieć przeto nie-

Str.

zależnego początku ani końca. — Poeci, kaznodzieje i filozofowie. — Kant. — Schoppenhauer. — Tajemnice i sprzeczności, wynikające tylko z zamies ania pojęć co do znaczenia słów. — Rozum ludzki i rozum odwieczny. — Filozofowie będący tylko sztukmistrzami słowa. 300

ROZDZIAŁ VI. *Szczególne prawo w sprzeczności z rolnictwem.*

Źródło tej sprzeczności.

Co to jest przestrzeń. — Ograniczenie człowieka co do miejsca. — Rozciągłość jest częścią pojęcia „ziemia“. — Pojęcie wynika z porównania. — „Zastosowanie“ to najpierwszy sposób użycia ziemi. — „Rozmnażanie“ to drugi, a przez długi czas, najważniejszy sposób jej użycia. — Teraz zaczyna się trzeci sposób — „wymiana“. — Ekonomia polityczna zaczyna się w drugim okresie, i „rozmnażanie“ najbardziej jeszcze zwraca uwagę. — Prawda i błąd fizyokratów. — Następcy Smith'a, unikając błędu fizyokratów, przeoczyli też i prawdę. — Przyjąwszy teoryę Malthus'a, oraz Riccardo'a teoryę renty, popełnili błąd. — Przeszkody jakie w Stanach Zjednoczonych napotyka idea pojedyńczego podatku. 310

ROZDZIAŁ VII. *Przestrzeń w stosunku do produkcyi.*

Przestrzeń konieczna do każdego sposobu produkcyi.

Wszelka produkcya wymaga przestrzeni. — Dowodem tego rolnictwo. — Skupienie pracy w rolnictwie tylko do pewnej granicy zwiększa a potem już zmniejsza produkcyę. — Ale tego prawie nie można odnosić wyłącznie do rolnictwa, ani też jedynie do rozmnażania, lecz zarówno do wszystkich sposobów w produkcyi — Przykłady. — Produkcya cegły — Chodzi głównie o miejsce na skład. — Człowiek sam dla siebie potrzebuje miejsca. — Przy podziale pracy mniej potrzeba miejsca. — Intensywne i ekstensywne użycie ziemi. 315

Str.

ROZDZIAŁ VIII. *Czas w stosunku do produkcyi.*

Każdy rodzaj produkcyi zależy od stosunku do czasu.

Różnica pojęcia przestrzeni a czasu. — Jedno podmiotowe, drugie zaś przedmiotowe. — Każda produkcya wymaga czasu. — Skupienie pracy co do czasu. 322

ROZDZIAŁ IX. *Kooperacya.*

Dwa jej rodzaje.

Kooperacya, to zespolenie sił jednostek — Jej sposoby i podobieństwa ich celów. — Połączenie i rozdział usiłowań. — Przykłady. — Budowa okrętów Kanał Erie. — Wypiek chleba. — Rozdział zespoleniem. — Rozmiary zespolenia i specyalizowania pracy wobec dzisiejszej cywilizacyi. — Maszyny. — Podział pracy. — Smith wylicza trzy korzyści. — Więcej korzyści. 327

ROZDZIAŁ X. *Kooperacya. Dwa jej rodzaje.*

Jeden znacznie przewyższa drugi.

Pierwszy możnaby nazwać celową a drugi bezwiedną kooperacyą. — Ich charakter i podobieństwa. — Okręt a ptak. — Dziki a okręt. — Bezwiedna kooperacya przy budowie okrętów. — Słaba strona socyalizmu. — Przyczyna tego. — Fizyczna i umysłowa siła człowieka. — Socyalizm niemożliwy. — Społeczeństwo to „lewiatan“, ale większy, niż go Hobbes określił. 334

ROZDZIAŁ XI. *Działanie wymiany w produkcyi.*

Brak instynktu u człowieka; posiada natomiast władzę umysłu — rozum, który prowadzi do wymiany.

Kooperacya u mrówek i pszczół jest tylko instynktową. — Człowiek bardzo słaby ma instynkt; ma zato rozum. — Rozum ujawnia się w wymianie. — To wystarcza do bezwiednej kooperacyi, ekonomicznego organizmu czyli większego lewiatana. — Z trzech sposobów produkcyi, wymiana jest najwyższym. — Błąd ekonomistów. — Zasada wymiany. 343

Str.

ROZDZIAŁ XII. *Znaczenie współzawodnictwa (konkurencyi) w produkcyi.*

Współzawodnictwo ożywia handel i podnosi go do właściwego poziomu.

Stare przysłowie prawdę mówi, że współzawodnictwo jest duszą handlu; ale dziś upowszechniło się mniemanie że współzawodnictwo szkodliwe. — Warto więc zbadać jego przyczyny i znaczenie w produkcyi bogactwa. 347

ROZDZIAŁ XIII. *Zapotrzebowanie i podaż w produkcyi.*

(Autor dał tylko tytuł tego rozdziału.) 349

ROZDZIAŁ XIV. *Porządek trzech czynników produkcyi.*

Wszyscy ekonomiści godzą się na ich nazwy i porządek.

Ziemia i praca. — Kapitał — to czynnik złożony. — Dlaczego przyjmują ten porządek. 350

ROZDZIAŁ XV. *Pierwszy czynnik produkcyi — ziemia.*

Ziemia — naturalny albo bierny czynnik wszelkiej produkcyi.

Nazwa „ziemia". — Właściciele ziemscy. — Tylko praca jest czynnikiem czynnym. 352

ROZDZIAŁ XVI. *Drugi czynnik produkcyi — praca.*

Praca — to ludzki, czynny czynnik produkcyi.

Nazwa „praca". — Jest to jedyny czynny czynnik produkcyi bogactwa, a z natury swej duchowy. 355

ROZDZIAŁ XVII. *Trzeci czynnik produkcyi — kapitał.*

Kapitał pochodzi z ziemi i pracy, i jest formą użycia bogactwa.

Str.

Kapitał jest pracą, podniesioną do wyższej potęgi. — Kiedy może a kiedy musi pomagać pracy. — Sam przez się bezsilny. 357

KSIĘGA IV.

Rozdział produkcyi.

ROZDZIAŁ I. *Znaczenie rozdziału produkcyi.*

Znaczenie i zastosowanie wyrazu rozdział. — Miejsce i znaczenie nazwy ekonomicznej.

Pochodzenie i zastosowanie tego wyrazu. — Niewłaściwie się dzieli ekonomię polityczną na naukę o wymianie, spożyciu (konsumcyi) i opodatkowaniu. — Rozdział jest przedłużeniem a zarazem i końcem tego, co się od produkcyi zaczyna. — Podział jako nazwa ekonomiczna i prawdziwe jej znaczenie. — 363

ROZDZIAŁ II. *Natura rozdziału produkcyi.*

Fałszywe twierdzenie że rozdział zależy od praw ludzkich; — że przyrodzone jego prawa nie okazują się na bogactwie już wyprodukowanem, ale tylko na produkcyi, jaka dopiero ma nastąpić; — oraz że są to prawa moralnej natury.

Twierdzenie Mill'a że rozdział żależny od praw ludzkich. — Dowód nienaukowego charakteru ekonomii scholastycznej. — Fałsz w tem zawarty i wynikające stąd zamieszanie — Beduin a świat cywilizowany. — Naturalne prawa rozdziału nie mają wpływu na bogactwo już wyprodukowane, ale tylko na produkcyę przyszłości. — Przyczyna tego. — Porównanie z krwią. 368

ROZDZIAŁ III. *Pospolite pojęcie naturalnego prawa rozdziału.*

Mill uznaje rozdział bogactwa za zależny od prawa ludzkiego. — Następstwo i wynik. — Wola ludzka a wola objawiająca się w przyrodzie. — Stałość przyrodzonych praw rozdziału. — Ludzka wola zbyt słaba

Str.

aby mogła wpływ wywierać na rozdział bogactwa. — Dowodzą tego próby oddziałania na rozdział bogactwa przez produkcyę. — Konfuzya Mill'a i jego charakter 377

ROZDZIAŁ IV. *Rzeczywista różnica między prawami produkcyi a prawami rozdziału bogactwa.*

Rozdział stoi w związku z moralnością a produkcya nie.

Prawa produkcyi — to prawa fizyczne, podczas gdy prawa rozdziału — to prawa moralne, i odnoszą się tylko do strony duchowej. — Dlatego niezmienny charakter praw rządzących rozdziałem bogactwa prędzej i wyraźniej dostrzegamy. — 385

ROZDZIAŁ V. *O własności.*

Własność zależy od prawa naturalnego.

Prawo rozdziału bogactwa rozstrzyga o posiadaniu. — Mill to uznaje; ale dalej swój błąd posuwając, uważa własność wyłącznie za sprawę ludzkich urządzeń. — Krytyka jego twierdzenia. — Jego utylitaryzm. — Dalsze sprzeczności. 388

ROZDZIAŁ VI. *Przyczyny zamieszania pojęć własności.*

Dlaczego i jakim sposobem ekonomiści wpadli w takie zamieszanie pojęć własności.

Mill omamiony przypuszczeniem że ziemia jest własnością. — Później wprawdzie daje on prawdziwą zasadę własności, ale ekonomiczną nazwę „ziemia“ zastępuje wyrazem używanym w mowie potocznej. — Różnica znaczenia dwóch wyrazów, illustrowana z brzegu nowoyorskiej przystani — Mill usiłuje uzasadnić własność ziemską, ale uzasadnia tylko własność bogactwa. 394

KSIĘGA V.

Pieniądz i kredyt.

ROZDZIAŁ I. *Zamieszanie pojęć co do pieniędzy.* Str.

Inaczej je rozumie ogół, inaczej ekonomiści.

Obecne zamieszanie pojęć. — Przyczyna. — Jak to rozwikłać. — 405

ROZDZIAŁ II. *Pieniądz w zwykłem rozumieniu.*

Ogólne mniemanie że pieniądze służą do kupowania i sprzedaży towarów, i że ich charakter nie jest materyalnym ale zależy od użycia.

Użycie pieniędzy przy wymianie. — Kupno i sprzedaż. — Podróżni jako przykład. — Pieniądze nie mają większej wartości niż inne rzeczy, ale mogą być łatwiej wymieniane. — Wymiana bez pieniędzy. — Czeki itp. to nie pieniądze. — Rozmaite rodzaje pieniędzy w różnych krajach. — Niekoniecznie muszą być ze złota lub srebra — Ani też nie potrzebują same przez się przedstawiać wartości. — Ich znaczenie i czem właściwie są. — 408

ROZDZIAŁ III. *Środki wymiany i miara wartości.*

Ogólnie przyjęty środek wymiany, staje się temsamem zwykłą miarą wartości. — Dlaczego praca nie może być tą miarą.

Pieniądze nigdy się nie zamieniają. — Dlaczegóżby nie mierzyć wartości pracą. — Smith daje niezadowalającą odpowiedź. — Właściwa odpowiedź. — Praca nie może służyć za miarę; pieniądz lepiej odpowiada celowi. — Różnica ogólnie używanych miar nie przeszkadza wymianie. — 420

ROZDZIAŁ IV. *Znaczenie kredytu w wymianie.* 426

ROZDZIAŁ V. *Pochodzenie pieniędzy.* 433

ROZDZIAŁ VI. *Dwa rodzaje pieniędzy.* 444

WSTĘP OGÓLNY.

Powód tej pracy.

Spróbuję tu jasno i przystępnie wyłożyć główne zasady ekonomii politycznej. Nie będę jednak przemawiał jak profesor, ale raczej jak przewodnik, który tylko zwraca uwagę na to, co jej godne. Daleki też od żądania, aby czytelnik ślepo szedł za mną, nikomu zgoła moich poglądów nie narzucam, ani wymagam iżby je ktoś przyjmował na słowo. A takie stanowisko nakazuje mi tu zająć, nie żadna chęć przypodobania się lub pochlebstwa, ale po prostu sam charakter i obecny stan nauki ekonomii politycznej.

A wobec warunków dzisiejszej cywilizacyi, jest to może nauka ze wszystkich najważniejsza: mówi bowiem o naturze bogactwa, o prawach jego wytwarzania i rozdziału — dotyka więc spraw, które w obecnej dobie, zajmują umysł większości, ponieważ chodzi tu o byt. Nadto, w jej zakres też wchodzą nader drażliwe kwestye, ukryte na dnie naszej polityki i prawodawstwa, naszych społecznych i państwowych zasad, a nawet — i to bardziej niżby ktoś przypuszczał — naszych filozofii i naszych religii. Jest to zatem nauka, do której, z natury rzeczy, należy rozwiązanie tych kwestyi, które, pomimo już tak znacznego rozwoju wiedzy, jeszcze w krajach cywilizowanych niepokoją i każą się o przyszłość obawiać. Słowem, jest to nauka, która ma cywilizacyi wskazać środki, zdolne odwrócić grożący jej wybuch.

Ale mimo że tak ważne praktyczne tej nauki znaczenie, każdy jednak, ktoby chciał wyrobić sobie jasny i uzasadniony pogląd na sprawy, o których ona traktuje, musi przedewszystkiem polegać na samym sobie. Niema tu bowiem ani nieomylnych, ani też patentowanych, uznanych powag, których zapatrywania możnaby bez zastrzeżeń przyjąć. Bo kiedy w innych gałęziach wiedzy, mamy już ustalone, przez nikogo niezaprzeczane zasady, inaczej się tymczasem rzecz ma z ekonomią polityczną, i to pomimo tak wielu uczonych. Co twierdzi jeden ekonomista, albo nawet cała szkoła, temu jeszcze inni przeczą. A taką różnicę zapatrywań, widzimy nietylko tam, gdzie chodzi o jakieś sprawy drażliwe, ale nawet i najprostsze pojęcia jeszcze są sporne. Nawet i co do takich punktów, które w innych naukach już od dawna zostały ustalone, tu jeszcze panuje zamęt i sprzeczność zapatrywań tak dalece, że jeszcze jest przedmiotem zawziętych rozpraw, pytanie: czy cła czy też wolny handel prowadzi do dobrobytu? A przecie już chyba co do tego, dwóch zdań być nie powinno, tak jak jedna jest tylko odpowiedź na pytanie: czy okręt powinien być szerszy czy dłuższy.

A nie pochodzi to bynajmniej z braku gruntownych badań, boć już nieomal przy każdym uniwersytecie jest profesor, który się wyłącznie tym badaniom i wykładom poświęca. Wogóle też nie ma bodaj nauki, nad którąby szerzej i częściej rozprawiano; ale też zarazem nigdzie nie widzimy tak powierzchownego traktowania przedmiotu i takiego zamętu, jak właśnie w pismach tych mężów. Mają oni zresztą powód do podtrzymywania tego stanu niepewności, który tamuje rozpowszechnienie prawd ekonomicznych.

Ale chociaż trudno tu na ich zdaniu polegać, niemniej jednak nikt się tem nie powinien zrażać; bo każdy przecie, sam, idąc za własnym tylko rozumem, również może sobie wyrobić jasny i pewny pogląd.

Aby zaś zrozumieć postępowanie tych uczonych, dość przypomnieć, że w obecnych stosunkach cywilizowanego świata, ludzie toczą ze sobą zażartą walkę o posiadanie bogactw. A czyż podobna przypuścić, że nauka traktująca właśnie o ich produkcyi i podziale, może być wolną od wpływu tej walki? Macaulay dobrze powiedział, że gdyby z prawem ciężkości łączył się jakiś wielki pieniężny interes, nigdyby ono nie zostało uznane, pomimo swej całej tak bijącej w oczy prawdziwości. Czegóż się zatem można spodziewać od nauki, która bezpośrednio dotyka najpotężniejszych „praw posiadania“, praw stojących w związku z rentą, procentem, wynagrodzeniem za pracę, z podatkami i taryfami, z przywilejami i zapomogami, z giełdą i publicznymi długami, ze związkami robotników, albo z wykrętami, na których oparte wspólne operacye kapitalistów. A nadto, dziś prawda ekonomiczna ma do walczenia jeszcze, nietylko ze zwyczajem, ale także z ociężałością i niedbalstwem; a że z natury swej, łatwo ulega, nie dziw więc, iż nieraz bywa wypaczaną przez wpływy najpotężniejszych interesów. Musi zatem wciąż czuwać i bezustannie walczyć. Dlatego też nie można jej obrony powierzać jakiemuś ciału naukowemu, tak jak nie można mu przecie powierzać prawodawstwa ani zarządu spraw publicznych.

Dziś to już żadnej nie ulega wątpliwości, że wszystkie wielkie zagadnienia polityczne, są w gruncie rzeczy także i zagadnieniami społecznemi. Tak więc do nauki ekonomii politycznej, wprowadzono ten sam niepokojący czynnik, który niegdyś, spowodowawszy waśń wśród teologów, krwią zapisał wiele kart historyi; a raz nawet wywołał zatarg na polu astronomii, zgóry zabraniając uznania teoryi o obrotach ziemi naokoło słońca, pomimo że była już dowiedzioną. Organizacya politycznych partyi, ich duma i siła, zawsze przeciwne szukaniu prawdy i jej uznaniu.

Takie też wpływy tamują swobodę słowa i na uniwersyteckich katedrach, chociaż te niby utworzono tylko w celu ścisłych badań naukowych i głoszenia prawdy. Dziś bowiem najbardziej uderza w oczy rozdział bogactwa, jeżeli już nawet nie samo jego wytwarzanie — a szczery, sumienny wykład ekonomii politycznej, musiałby tę sprawę wyjaśnić.

Ale zakłady naukowe muszą się rachować z klasą posiadającą; a ta właśnie, przynajmniej pośrednio, korzysta z obecnego położenia. Próżnoby więc oczekiwać potępienia z katedry, np. niewoli tam, gdzieby ona istniała — a przecież to krzycząca niesprawiedliwość. Tak samo i dziś nie możemy się spodziewać otwartego, szczerego wykładu ekonomii politycznej. Profesor bowiem, który jej katedrę przyjmuje, już zgóry tem samem przyjmuje także zobowiązanie, że nie znajdzie tego, czego szukanie i znalezienie, powinno być, z samej natury rzeczy, głównem jego zadaniem.

Tu właśnie — a nie w samej ekonomii politycznej — leży przyczyna, że mimo tylu niby gorliwych badań, nie postawiono jeszcze zasad, któreby można bez zastrzeżeń przyjąć.

Im mniej więc można tu oczekiwać od powag naukowych, tem gorliwiej należy prawdy szukać o własnych siłach. Jest to bowiem przedmiot, o którym każdy powinien mieć chociażby tylko ogólne pojęcie. Jest on zresztą dostępnym dla każdego, bo nauka ekonomii politycznej, nie wymaga przecie zgoła żadnych narzędzi ani żadnych maszyn lub nadzwyczajnego wykształcenia; a zjawisk, któremi się ona zajmuje, nie potrzeba szukać gdzieś po laboratoryach i księgozbiorach, bo one są tuż obok nas, i bezustannie się z niemi spotykamy. A zasady, na których się te zjawiska opierają, są to ogólnie znane prawdy, na których się także opierają nasze codzienne rozumowania i czynności. Potrzeba więc w takich procesach przedewszyst-

kiem umieć odróżniać czynniki zasadnicze od przypadkowych tylko.

Jeżelim się przeto czytelnikowi ofiarował za przewodnika, to nie na to, aby mu ukazywać przedmioty całkiem obce. Każdy przecie jest mniej więcej ekonomistą; każdy się nieraz nad temi rzeczami zastanawia: chodzi tylko o to, aby się zastanawiał uważnie i w odpowiednim porządku — i tu dopiero zaczyna się moje zadanie, jako przewodnika.

Powiedziałem że każdy poniekąd jest ekonomistą, a to dlatego, że każdy się gotów z pokorą przyznać do nieznajomości astronomii, chemii lub geologii, i nawet sam wierzy, że ich nie zna; ale zato jakżeż niewielu gotowych się z równą szczerością przyznać do nieznajomości ekonomii. A jeżeli się nawet zdarzy, że ktoś czasem przyzna, to najczęściej wtedy sam w to nie wierzy. Wielu nawet nie wie, co jej nazwa znaczy. A jednak, ci sami ludzie, choćby się nawet przyznawali do niewiadomości, zawsze jednak gotowi, z wielką pewnością siebie, wygłaszać swe zdanie o zagadnieniach z dziedziny ekonomii politycznej. Któż to nie rozprawia np. o przyczynach podniesienia się lub obniżenia zapłaty robotnika; o przyczynach upadku cen, lub wpływie maszyn; o obiegu pieniędzy, a wreszcie, choćby tylko o przyczynach dobrych lub ciężkich czasów itd. I nic dziwnego; bo człowiek, przyjmując udział w życiu społecznem, musi tem samem mieć jakieś swoje własne, złe lub dobre zapatrywania ekonomiczne. Aby zaś te jego błędne zapatrywania sprostować, jedyny na to sposób, który tu polecam, tj. uważne i uporządkowane zastanawianie się.

Ale zanim to rozpoczniemy, przedewszystkiem trzeba nam gruntownie poznać znaczenie różnych nazw, których tu często przyjdzie używać. Jest to najpierwsze; bo bardzo na tem zależy, aby każda nazwa zawsze w tem samem znaczeniu była używaną. Często

bowiem tylko różnica pojęcia znaczenia wyrazu, bywa źródłem nieporozumień — a to niebezpieczne, szczególniej w naukowych rozprawach. Ktoś np. twierdzi, że płyną trzy okręty, a inny tymczasem utrzymuje że tylko dwa, i obaj mają słuszność, bo nie wszyscy zwykłą barkę, okrętem nazywają.

Jeżeli zatem w każdej nauce bardzo zależy na ścisłem określeniu znaczenia nazw, to ono tem ważniejsze w nauce ekonomii politycznej, bo tu nieścisłość łatwiej może być powodem błędów. Nazw bowiem używanych np. w chemii, prawie wcale nie używamy w życiu potocznem; gdy tymczasem inaczej się rzecz ma z ekonomią, która się nieomal wyłącznie posługuje wyrazami, jakich codziennie każdy używa, i to w różnem znaczeniu, a stąd tem łatwiej o nieporozumienie. Nawet i najwybitniejsi ekonomiści, mogą tu posłużyć za dowód, jakiego to zamieszania źródłem bywa niedość jasne określenie nazw. Nigdy przeto nie można być zanadto ostrożnym pod tym względem. Dlatego też przedewszystkiem będę się starał jak najściślej określić znaczenie wszystkich nazw, w miarę jak ich tu przyjdzie używać, i potem już zawsze tylko w takiem samem a nie w innem znaczeniu będziemy ich używać.

Zacznę tedy od określenia natury i granic samej ekonomii politycznej, aby zapoznać czytelników z jej początkiem i znaczeniem. Ale niech się nikomu nie zdaje, że odbiegam od przedmiotu, skoro mi tu przyjdzie sięgnąć nieco głębiej, aniżeli to zazwyczaj inni czynią w tym samym celu. Trzeba przecie głęboko zakładać fundamenta, jeżeli budowa ma być trwałą. Nie poskąpmy więc także trudu założenia silnych fundamentów, pod wiązania gmachu wielkiej nauki, na której się opiera tyle, i to tak ważnych spraw.

KSIĘGA I.

Znaczenie ekonomii politycznej

Wstęp do księgi I-ej.

Najwcześniejsze ale wystarczające określenie ekonomii politycznej, mówi że: *jest to nauka traktująca o naturze bogactwa, jako też o prawach jego wytwarzania i rozdziału.*

Ale ponieważ określenie to nigdy nie było ani należycie pojęte, ani też u urzędowych nauczycieli nie znalazło uznania, a nawet zostało przez nich odrzucone — przeto sami zaraz na wstępie się przekonajmy: czem właściwie jest ta *nauka ekonomii politycznej.*

Choć tylkom nędzny proszek w wszechświecie,
Jednak z twej ręki jestem takiem czemś,
Co łączy krańce nieba i ziemi.
I zamykając rząd wszystkich stworzeń,
Tuż przy siedlisku aniołów stoi —
Już na granicy krainy ducha.
Uzupełniony przeze mnie szereg,
Ze mną się kończy już świat materyi,
Za mną poczyna duch tj. boskość.
Tylkom proch, jednak piorunów władca.

Derżawin.

ROZDZIAŁ I.

Trzy czynniki świata.

Znaczenie nazw: *czynnik* (factor), *filozofia*, *świat*. — Co nazywamy duchem? — Co nazywamy materyą? — Co nazywamy energią? — Chociaż wszystkie trzy, może to, w gruncie rzeczy, jedno i to samo, jednak musimy je w myśli rozdzielać. — Wyższość ducha.

Wyraz „faktor“, w sensie handlowym, oznacza pośrednika; w matematyce zaś, faktorami albo czynnikami, nazywamy ilości, które pomnożone przez siebie, dają wypadek. Stąd w filozofii — nauce poświęconej badaniu porządku i natury rzeczy, — wyraz faktor, oznacza czynniki składające się na wynik, a które dzielimy na klasy.

W znaczeniu filozoficznem, odróżniamy trzy takie czynniki:

1. Ten, który czuje, spostrzega, myśli, chce — słowem rozum, duch albo dusza.

2. Ten, który ma ciężar, wymiary i kształty — czyli materya; i

3. Ten, który oddziaływając na materyę, porusza ją — a więc ruch, siła, czyli energia.

Materya, energia czyli siła, i rozum czyli duch albo dusza.

Niepodobnaby poznać ani siły bez materyi, ani też materyi bez jakichś objawów siły — a rozumu bez nich obu. Samo przeświadczenie o naszej duchowej naturze nie wystarcza, bo świadomość zaczyna się dopiero z życiem naszego ciała, a pa-

mięć jeszcze później. Być może iż to, co nazywamy materyą, jest tylko kształtem siły; a to, co nazywamy siłą, jest tylko objawem rozumu czyli ducha albo duszy. Niektórzy nawet utrzymują, że z materyi i tkwiących w niej sił, wszystko inne wypływa. Ale chociażby w gruncie rzeczy, stanowiły jedno i to samo, i nie dawały się rozdzielać, to jednak musimy je wyróżniać jako trzy od siebie niezależne, odrębne czynniki, które przez swe działanie i oddziaływanie, tworzą świat takim, jakim się nam przedstawia.

Sądząc z naszego punktu widzenia, pierwszy zdaje się być najważniejszym, bo bez niego nie mielibyśmy o niczem żadnej świadomości; w nim też tkwi źródło naszych ruchów — a wszystko bierze początek z myśli i woli. Pierwszeństwo tego duchowego pierwiastku, jest niezaprzeczone i tak wyraźne, że człowiek, szukając początku świata, zawsze go znajdował w jakimś wielkim duchu czyli Bogu. Są wprawdzie i niewierni, ale ci, zwykle unikając tego zagadnienia, twierdzą że świat zawsze istniał.

ROZDZIAŁ II.

Człowiek, jego siły i jego miejsce zamieszkania.

Nasz stosunek do kuli ziemskiej, i zdolności, które nam pozwalają coraz lepiej ją poznawać; a przez to, coraz bardziej rozszerzać zakres naszych sił.

Pierwotne wiadomości człowieka o kuli ziemskiej. — Jak się rozszerzał zakres tej jego wiedzy, i obecny jej stan. — Zasadnicza różnica między człowiekiem a zwierzęciem — Zdolność wytwarzania i ulepszania.

Człowiek, z chwilą obudzenia się w nim świadomości, spostrzegł własne ciało, a obok inne, podobne mu istoty. Ponad sobą ujrzał słońce, księżyc, gwiazdy; a ziemia wydała mu się równiną. Ale jaki jego do niej stosunek, i wogóle, co to za miejsce, o tem zapewne, niewiele więcej niż zwierzęta wiedział. A gdyby pozostał w odosobnieniu, wtedy i my sami dziś niewiele więcej moglibyśmy o tem wiedzieć. Ale zgromadzone i uporządkowane spostrzeżenia i uwagi wielu po sobie następujących pokoleń, pozwalają nam teraz rozumieć to lepiej, a nawet, okiem ducha, nieomal widzieć rzeczy zmysłom niedostępne.

Dzięki tej zbiorowej, odwiecznej pracy, wiemy już, żeśmy tylko chwilowymi i wciąż zmieniającymi się mieszkańcami wirującej i naokoło słońca obiegającej planety; i że otoczeniśmy przestrzenią, której granic ani dosięgnąć, ani nawet wyobrazić sobie niepodobna.

A słońce, chociaż jeszcze nie największe wpośród niezliczonego mnóstwa podobnych mu ciał, jest jednak źródłem światła i ciepła, a zarazem punktem środkowym, wokoło którego obiega 8 innych planet, zwanych satelitami, z których każda ma także swoich znów takich towarzyszów. A nadto, obiega też mnóstwo ciał mniejszych, zwanych asteroidami, i błędnych, zwanych kometami.

W rzędzie głównych 8 satelitów, ziemia nasza zajmuje czwarte miejsce co do wielkości, a trzecie co do oddalenia od słońca. Jedyny jej towarzysz, księżyc, okrążając ją ciągle, zarazem się i na swej własnej osi obraca. A i samo słońce również wiruje, i razem ze swymi satelitami, wciąż krąży wokoło jakiegoś, zapewne także ruchomego punktu, ale o którym nic jeszcze astronomowie nie wiedzą.

Tak więc zamieszkujemy skorupę ziemi, pozornie stałej a w rzeczywistości ruchomej. Nam się ona wprawdzie dość wielką wydaje, ale w porównaniu z całym wszechświatem, którego jest tylko cząstką, to jak ziarnko piasku wobec całej pustyni. A jak i kiedyśmy się na niej pojawili, to dla nas zagadką. Podobniśmy tu do człowieka, którego podczas snu przeniesiono na okręt, i który, po przebudzeniu, ujrzawszy się już na pełnem morzu, w głowę zachodzi, jak i kiedy się to stało; a patrząc w dal, widzi tam wprawdzie podobne okręty, ale czy one puste, czy się ktoś na nich znajduje, tego się tylko może domyślać.

Ponad nami — niezmierzona wielkość, a wokół i pod stopami — niezmierzona małość. Drobnowidz, czyli mikroskop, odkrywa nam niemniej zdumiewająco małe cząsteczki, jak znów dalekowidz, czyli teleskop, zdumiewająco wielkie.

Jesteśmy tu przykuci do dna tego morza powietrznej przestrzeni, jaka naszą ziemię otacza. Wciąż w niej zanurzeni, musimy oddychać aby żyć. Gdyby

nasze płuca ustały w tej pracy, albo gdyby ustało ciśnienie powietrza — musielibyśmy umrzeć.

Człowiek zamieszkuje tylko część powierzchni ziemi.

Chociaż w świetle astronomii, tak maluczką się nasza planeta przedstawia, a mimo to jeszcze nie cała jest zamieszkaną. Ponad jej powierzchnię, człowiek, z największym tylko wysiłkiem, zaledwie 7 mil (ang.) zdołał dosięgnąć; a pod powierzchnię, najgłębsza kopalnia nie dochodzi jednej mili. Tak więc grubość tej przestrzeni, (do której granic, człowiek tylko czasem dociera, ale stale w nich nie zamieszkuje) wynosi niespełna 8 mil. W stosunku zatem do średnicy kuli ziemskiej (około 8000 mil), jest cieńszą od najcieńszej łupinki jabłka.

Tak to małą przestrzeń, człowiek zajmuje w kierunku pionowym. Co zaś do rozmiarów powierzchni, to tej aż $^3/_4$ pokrywają wody, które może wprawdzie przebywać, ale nie może na nich mieszkać; a przytem, dość znaczna ich część, pokryta lodami, zgoła dlań niedostępna. Badacze mówią, że temperatura dochodzi tysiecy stopni nad i poniżej zera; gdy tymczasem organizm ludzki, nie znosi większego ciepła nad 98 stopni z ułamkiem. Siedm stopni ponad tę granicę lub 7 niżej zera, grozi śmiercią. Stałe więc podniesienie się lub obniżenie temperatury o kilka stopni, wyludniłoby powierzchnię ziemi.

A kiedy całe otoczenie nasze, ciągle się zmienia, również i my sami ulegamy zmianom. Ciało nasze podobne do płomienia gazu, który gaśnie z chwilą wyczerpania źródła jego światła. To, co w nas wyraźne, prawdziwe, możemy tylko nazwać, ale nie możemy tego wyjaśnić ani określić — owo coś co nadaje kształty i formy zmiennej materyi i przemijającym ruchom. Ale samo nasze ciało i nasza siła fizyczna, jak ów płomień gazowy, jest tylko przemijającym objawem niespożytej materyi i wiecznie tętniącej energii, z której wszystko

powstało. Niechże nam zabraknie powietrza lub pokarmu, przestajemy żyć, tak samo jak staje maszyna parowa, gdy jej zabraknie węgla i wody.

Słowem pod względem fizycznym, człowiek się zgoła nie różni od innych ssących, do których zoologia go zalicza, z uwagi na formę i budowę, oraz pierwsze jego potrzeby. Byłby nawet niższego rzędu zwierzęciem, gdyby nie władze duchowe, które mu wyższość nad całem otoczeniem zapewniają. Natura bowiem nie dała mu ani okrycia, ani tej siły i narządów, jakie innym zwierzętom służą do walki o byt. Bez zdolności więc sztucznego zabezpieczania się od chłodu, w wielu okolicach wprost nie mógłby istnieć.

Ale człowiek, na szczęście, jest więcej niż zwierzęciem. Chociaż fizycznie poniekąd niższy, to jednak rozum tak go stawia wysoko, że już nie może być do rzędu zwierząt zaliczanym, ale nawet stoi ponad nimi, jako pan i król wszelakiego stworzenia. A najbardziej go wyróżnia wśród świata zwierzęcego, zdolność twórcza. Różnica ta dotyczy już nietylko stopnia ale wprost rodzaju. Ze wszystkich istot żyjących, tylko on jeden zdolny produkować. Pod tym względem, nawet najdoskonalsze zwierzę, jeszcze jest niższem od najmniej rozwiniętego człowieka. Chociaż więc stoi w rzędzie zwierząt, niemniej jednak, wedle zapewnienia starego testamentu, stworzony na obraz i podobieństwo samego Boga.

Człowiek też, choćby nawet i na najniższym szczeblu cywilizacyi, jeszcze albo hoduje owoce i uprawia rośliny, albo oswaja zwierzęta, sporządza sobie narzędzia, buduje mieszkania, gotuje strawę, robi odzienie, przyozdabia siebie samego lub przedmioty go otaczające; uprawia rzeźbę, malarstwo, muzykę. Tymczasem nic podobnego nie spotykamy u zwierząt; żadne z nich jeszcze nigdy nie rozniecilo ognia, ani też nie gotowało sobie pokarmów i nie sporządzało narzędzi.

W miarę jak się budzi rozum, słabną instynkty.

Wiewiórka wprawdzie gromadzi i przechowuje orzechy; ptaki budują gniazda; bóbr klei swe podwodne pałace; pszczoła lepi z wosku składy na miód; pająk przędzie misterną siatkę; a nawet pewien gatunek mrówek, doi inne owady; śpiew zaś niektórych ptaków, o wiele przewyższa muzykę człowieka dzikiego — wszystko to prawda, ale żadna z tych czynności zwierząt, nie da się porównać z czynnościami człowieka. Człowiek myśli i działa podług z góry ułożonego planu; i z całą świadomością celu, ułatwia sobie swą pracę przez użycie narzędzi i sposobów, zastosowanych do miejsca i czasu, do warunków i okoliczności; a wynik tej jego pracy, zależy od jego osobistości, od jego rozwoju, uzdolnienia, stopnia cywilizacyi itd.

Tymczasem wszelkie czynności zwierząt, choć niekiedy zdumiewają swą dokładnością, są jednak zawsze bezmyślne, zawsze wykonywane bez zastosowania środków bardziej celowi odpowiadających i nie podług z góry ułożonego planu. Nie widać przy tem żadnych doświadczeń i prób, zgoła żadnych usiłowań w celu ułatwienia lub ulepszenia pracy. Cokolwiek robią, robią nie jak wynalazca, który zapoczątkował jakąś pracę, albo obmyślił nowe sposoby jej wykonania — ale wszystkie i zawsze robią jednakowo, bez żadnej odmiany lub postępu. Czynności ich bowiem nie pochodzą z rozumu, ale są tylko wynikiem instynktu, wrodzonego im popędu, który bez wszelkich przygotowań, pozwala im tak samo wykonywać pracę poprzednich pokoleń, ale nie pozwala im postąpić dalej. Czy ptak śpiewa, czy pies szczeka, czy też kura na jajach wysiaduje, albo czy kurczę przebija skorupę jajka, aby się z niego na świat wydobyć — zawsze to tylko czynności instynktu, nic więcej.

Tak więc wszystkim istotom niższym od człowieka, natura dała ślepe ale silne popędy, które je o pewnym czasie, zniewalają do danych czynności. I człowiek ma także pewne wrodzone sobie instynkty. Matka np. ulegając naturalnemu popędowi, tuli do łona swe nowo narodzone dziecię, a ono, również bezwiednie, szuka usteczkami jej piersi. Ale poza tem już, człowiek wogóle pozbawiony tej opiekuńczej, kierującej siły przyrody, sam sobie jest pozostawiony. Posiada natomiast siłę wyższą, która go wyróżnia od zwierzęcia tak, jak się zwierzę różni od martwej bryły. Słowem, posiada siłę wytwórczą, siłę, która zarazem pozwala mu przenikać najskrytsze tajniki przyrody — tej wielkiej nauczycielki swojej. Zrazu wprawdzie ta siła nie działa z taką pewnością i gotowością jak instynkt, ale pokrewną jest tej, która wszystkiem rządzi, tylko że nieskończenie od niej niższa.

A z chwilą jak tylko człowiek zdobędzie tę siłę, zwaną rozumem, zaraz mu natura odbiera instynkty, pozostawiając go własnej już trosce. Odtąd może się wznieść lub upaść, wywyższyć ponad świat zwierzęcy, lub też zejść niżej bydlęcia. Przed nim jest dobro i zło — jak mówi stary testament — ale on ma już oczy otwarte. A ta właśnie możność wznoszenia się lub upadku, nawet już same błędy jasno wskazują, jakie on posiada siły i jakie miejsce zajmuje w rzędzie stworzeń. Wszak u zwierząt nie widzimy ani pijaństwa, ani występków przeciw naturze, ani takich usiłowań szkodzenia drugim lub takich morderstw pokrewnych sobie istot, ani wreszcie niedostatku u jednych, gdy drudzy mają wszystkiego w bród. Zdawaćby się więc mogło że byłoby lepiej, gdyby i człowiekiem kierował tylko instynkt — ale wtedy już nie byłby to człowiek, bo bez tej najwyższej siły, jaką jest rozum, brakby mu było właśnie najgłówniejszej cechy człowieczeństwa. Być może że i on, uzdolniony do zaspaka-

jania swych potrzeb jak zwierzęta, czułby się szczęśliwym, ale byłoby to szczęście tuczonego wieprza, który nie odczuwa ani przyjemności tworzenia lub przezwyciężania trudności, ani też chwały z wyniesienia się. A że człowiekowi takie życie nie wystarcza, świadczy to o jego wyższości. On wiecznie musi pragnąć, wiecznie pożądać.

Tak więc człowiek, pozbawiony instynktów ale obdarzony rozumem, różni się od zwierząt przede wszystkiem zdolnością wytwórczą. I on wprawdzie potrzebuje pokarmu, ale inaczej go zdobywa. Kiedy zwierzęta muszą poprzestawać na pokarmie jaki znajdują już gotowy, on tymczasem sam go sobie tworzy, a przez to może mieć i więcej i większą rozmaitość. Kiedy ilość mięsożernych zależy od ilości trawożernych, a tych znów od obfitości trawy w danej okolicy — natomiast człowiek jest niezależnym, bo siejąc trawy i zboża tam, gdzie one poprzednio wcale nie rosły, ma czem wyżywić dowolną ilość zwierząt domowych, które mu za to potrzebnego dostarczają mięsa.

I tak jest ze wszystkiem; może on zadowalać każde swe życzenie. Gdyby używał tylko własnej siły zwierzęcej, nie byłby zdolnym przebywać większych przestrzeni, aniżeli je przebywa np. koń albo pies. A tymczasem, dzięki rozumowi, może się dziś nawet przez oceany przerzucać, i to z większą łatwością i szybciej, niż najsilniejsze ptaki.

ROZDZIAŁ III.

Jak się wzmagają siły człowieka.

Ludzie, rozumem powodowani, łączą się w organizmy społeczne czyli ciała ekonomiczne.

Siły człowieka w cywilizacyi. — Wzrost ich nie zależy od doskonalenia się człowieka ale społeczeństwa. — „Lewiatan“ Hobbes'a. — Większy Lewiatan. — Zdolność do dobrego i złego.

Zawsze była i jest ta sama różnica między zwierzęciem a człowiekiem. Główne jego potrzeby, pragnienia i siły, żadnej nie uległy zmianie. Ale co do sposobu zastosowania tych sił w celu zaspokojenia owych potrzeb i pragnień, cała już przepaść dzieli człowieka dzikiego od cywilizowanego. Nawet porównać się nie da ani ich pokarm[1], ani odzież, lub mieszkanie i narzędzia. Nie mniejsza też zachodzi różnica tak pod względem swobody ruchów i komunikacyi, jak leczenia i wogóle sztuk i nauk. Człowiek cywilizowany, to istota nieskończenie wyższa w porównaniu z dzikim, odzianym w skóry zwierząt albo liście, a któremu za całe schronienie służą jaskinie lub nędzne lepianki, i który poluje z grubo ciosanym łukiem, a do pływania używa tylko wydrążonego pnia.

To nie natura ludzka, ale społeczeństwo się doskonali.

Jeżeli się przypatrzymy drogom, któremi człowiek doszedł do dzisiejszego rozwoju, musimy przyznać, że stało się to nie wskutek zmiany jego osobistości, ale dzięki zbiorowej sile wielu jednostek.

Na potwierdzenie, dość tu przytoczyć np. okręt, który dziś pruje wody oceanów z szybkością 20 kilku mil na godzinę. Zwróćmy tylko uwagę, ile to trzeba było połączonych sił, najpierw w celu zdobycia wiadomości, niezbędnych do jego zbudowania; a dalej, ile to przyszło zgromadzić różnego materyału; jakie urządzić składy i warsztaty; ile się na to wszystko złożyło gałęzi przemysłu i handlu; jak umiejętnie musiano kierować robotami, zanim olbrzym wypłynął na wody! A bez takiego połączenia sił jednostek, byłoby to dzieło zgoła niemożliwem.

Ale zdolność wykonania takiego dzieła, wcale jeszcze nie dowodzi, aby genialny jego twórca, choć na jotę był wyższym, czy to fizycznie czy umysłowo, od owych poprzedników swoich, którzy zaledwie żłobione czółenko zbudować umieli. Ta tak niezmierna różnica między ich niezgrabną i wątłą budową a dzisiejszym parowcem, bynajmniej nie stwierdza zmiany natury ludzkiej: zawdzięczamy to raczej wielkiemu rozwojowi społeczeństwa — tj. szerszemu i ściślejszemu połączeczeniu osobistych usiłowań. Tej wspólności działania przedewszystkiem, człowiek cywilizowany winien swą wyższość, jaką pod każdym względem nad dzikim osiągnął.

Zwierzę, gdy dorośnie, jest już tem samem w pełni rozwoju swych sił, ale z człowiekiem inaczej; ten musi je dopiero sam usilną pracą zdobywać i zdobywać, bez końca; a choćby się aż do grobowej deski mozolił, nigdy ich nie zdobędzie zupełnie. Że zaś jego życie nader krótkie, więc też i zdobycz mała. Wobec tego zatem, wszelki postęp byłby wprost niemożliwym, gdyby ludzie żyli pojedyńczo, w odosobnieniu.

Wtedy całego ich życia dorobek, owa nader drobna ich wiedza, ginęłaby wraz z nimi; a wciąż nowe po sobie następujące pokolenia, nic o poprzednich niewiedząc, musiałyby znów wszystko od początku zaczynać.

Ale człowiek, jako zwierzę towarzyskie, żyjąc gromadą, temu właśnie zawdzięcza wzbogacenie swej wiedzy, a stąd i spotęgowanie swych sił.

Późniejsze niż u zwierząt, dojrzewanie istot mową artykułowaną i rozumem obdarzonych, przedłużając ich życie rodzinne, bardziej przez to zacieśnia węzły krwi. Zanim bowiem, dostatecznie do życia samodzielnego przysposobione, mogą nareszcie opuścić gniazdo rodu, długo wpierw zmuszone żyć razem, nabierają przez to wspólnych pojęć i upodobań, a tożsamość pragnień i potrzeb codziennego życia, łączy też i usiłowania ku ich zaspokojeniu. Takie zaś połączenie, zawsze, nawet i najniższemu człowiekowi, daje siłę, która go stawia nieskończenie wyżej ponad zwierzęta. Tu już z luźnych osobników, zaczyna się tworzyć ciało społeczne. A ta zbiorowa, ta większa istota, żyje własnem życiem, i własny, odrębny ma charakter. Żyje ona i trwa, podobnie jak ciało jednostki; chociaż pojedyńcze, w skład jej wchodzące części, obumierają i zmieniają się bez ustanku.

A właśnie to ciało społeczne, — owa większa, z osobników złożona istota — potęguje siły człowieka, a tem samem zapewnia postęp cywilizacyi. Czyli że wzrost cywilizacyi, zależy od rozszerzonej wspólności działania i nagromadzonych stąd zdobyczy nauki.

Dla illustracyi, przytoczę tu słowa Hobbes'a, filozofa 17go stulecia, który w czasie buntu, wywołanego tyranią Stuartów, chcąc usprawiedliwić zasadę despotycznej władzy, napisał głośną rozprawę p. t. „Lewiatan“ a która tak się zaczyna:

„Natura, to sztuka, za pomocą której Bóg stworzył świat, i za pomocą której rządzi tym światem. Człowiek także ma taką sztukę, i naśladując naturę, może nawet zrobić sztucznego zwierza.... Dzięki też tej jego sztuce, powstał ów wielki lewiatan, zwany społeczeństwem albo państwem, po łacinie *civitas*, a który niczem

innem nie jest, tylko sztucznym człowiekiem. A człowiek ten, wielki rozmiarami, silniejszy niż zwyczajny śmiertelnik, stworzony został dla jego obrony i poparcia. Tam król jest ową sztuczną duszą, która ożywia i porusza całe ciało olbrzyma; różne zaś urzędy i urzędnicy, to sztuczne stawy; a nagroda i kara, — to nerwy, przez które, jak w naturalnem ciele, tak i tu, wszystkie te stawy i członki z duszą połączone, muszą się wedle jej woli poruszać, pełniąc obowiązki, do jakich przeznaczone. Dalej — bogactwa i skarby pojedyńczych osób — to siła; a bezpieczeństwo publiczne — zadaniem. Doradzcy — to pamięć; wymiar sprawiedliwości i prawa — to sztuczny rozum i wola; zgoda — to zdrowie; a bunt — chorobą; wojna domowa — śmiercią. Nakoniec umowy i przymierza, z których to polityczne, zbiorowe ciało, wzięło swój początek, przypominają owo przez Boga wyrzeczone słowo, w chwili gdy tworzył — owo *fiat*, czyli *niech się stanie człowiek*".

Nie zatrzymując się dłużej nad tem znamiennem określeniem Hobbes'a, nadmienić muszę, że o ile mi się zdaje, w systemie albo raczej w układzie życia społecznego, któremu się ludzie poddają, zmuszeni do tego siłą konieczności zaspakajania swych materyalnych potrzeb, rosnących w miarę postępu cywilizacyi — jest coś, co nawet silniej i wyraźniej stwierdza, że społeczeństwo, to istotnie taki z osobników złożony olbrzymi człowiek.

A ten wielki lewiatan, stoi w takim stosunku do politycznej budowy, tj. państwa, jak odruchy instynktowe, do świadomych czynności ciała. Nie powstał też wskutek jakiejś umowy, ale zwykłym biegiem rzeczy, wyrósł sam przez się; tak samo, jak wedle przyrodzonego prawa natury, wyrasta drzewo albo człowiek. Jakkolwiek działanie tych praw, może być wskutek politycznych wpływów opóźnione albo chwilowo przerwane, to jednak one same w sobie, stanowczo są od

polityki niezależne, i społeczeństwo im podlega, bez względu czy to jej przeciwne albo nie.

Jest to naturalny układ; a takie wzajemne przystosowanie środków do celów i części do całości, zgodnie z materyalnemi potrzebami ludzi składających społeczeństwo, zowie się *ekonomią polityczną*, w podobnem znaczeniu, jak rozumiemy ekonomię układu słonecznego. Skoro tylko luźne jednostki i rody, zaczynają się łączyć, zaczyna już temsamem powstawać ów większy człowiek, ów lewiatan, a wraz z nim, budzi się też cywilizacya i wzrasta w miarę jego wzrostu.

Ale jak zawsze, tak i tu, zdolność do dobrego, idzie w parze ze zdolnością do złego. Stąd też, o ile z jednej strony, takie połączenie sił przyspiesza postęp, o tyle z drugiej znów, tamują go uprzedzenia, przesądy, błędne mniemania, szkodliwe obyczaje itd. Dlatego to zarówno zdaje się możliwem zwyrodnienie i zniknczemnienie rodu ludzkiego, jak i jego podniesienie. Nigdzie i żadnej rasy człowiek, nie rozwijał się bez przerwy. Obecnie, kiedy już europejska cywilizacya tak wielka, ogromna jeszcze większość ludzi, zamieszkujących kulę ziemską, zdaje się stać w miejscu albo się cofa. Ale gdy nawet i najmniej rozwinięte ludy, w porównaniu do pierwotnego stanu człowieka, jeszcze pod pewnymi względami okazują jakiś postęp, to z drugiej znów strony, nawet i najbardziej cywilizowane ludy, jeszcze, na niektórych punktach, stoją niewyżej od dzikich.

ROZDZIAŁ IV.

Cywilizacya i jej znaczenie.

Cywilizacya zależy od łączenia się ludzi w społeczne organizmy, czyli ciała okonomiczne.

Trudność określenia: co to jest cywilizacya. — Określenie Guizot'a. — Jej pochodzenie i pierwotne znaczenie. — Cywilizacya a państwo.

Wyraz *cywilizacya* u wszystkich na ustach, ale różnie pojmowany, najczęściej określa tylko jej wyniki lub własności a nie samą rzecz.

Czasem za miarę cywilizacyi, służy nam stan przemysłu, albo stopień, w jakim człowiek zdołał opanować siły natury; a czasem znów rozległość granic wiedzy; niektórzy zaś często biorą za jedno: cywilizacyę i poczucie sprawiedliwości, łagodność praw i obyczajów, a także ogładę towarzyską. Czasem nakoniec, rozumiemy cywilizacyę i tak jak Chińczycy, którzy wszystkie inne ludy uważają za barbarzyńców. Nader też charakterystyczną jest satyra, przypominająca nam słowa człowieka, który po powrocie z dzikich krajów, znalazłszy się w więzieniu, zawołał: „Dzięki Bogu! znów przecie jestem na łonie cywilizacyi!“

Ale nie tylko zwykły śmiertelnik, lecz nawet i najsławniejsi pisarze, także nie umieją nam powiedzieć: co to właściwie jest owa cywilizacya. Buckle np. mówi tylko na czem ona polega, jakie jej wpływy, co ją

opóźnia lub przyspiesza, ale nie śmie powiedzieć, czem ona sama jest. Guizot zaś tak ją określa: „Natura jej tak ogólna, że prawie niepochwytna; pojęcie to tak złożone, że zaledwie można tę plątaninę rozwikłać; a działające tam czynniki, tak ukryte, że omal niedostrzegalne. Istotnie więc, zachodzi tu stwierdzona już trudność określenia: co to jest cywilizacya. Wiemy tylko, że sama rzecz istnieje; znamy tylko jej bijącą w oczy doniosłość — i o tem też jedynie może być mowa.“

A jednak niemniej pewna, że możliwość tu niewykluczona, i że powinno się nareszcie znaleźć odpowiednie określenie znaczenia tak często powtarzanego wyrazu *cywilizacya*. Pokuszę się więc o to, nietyle dlatego, że i mnie często przyjdzie posługiwać się tym wyrazem, ile raczej w nadziei, że to wyjaśnienie rzuci zarazem pewne światło i na naturę ekonomii politycznej.

Wyraz *cywilizacya*, powstał z łacińskiego *civis* — obywatel. Pierwotnie oznaczał on formę wzajemnego stosunku ludzi razem żyjących. Mam tu na myśli stosunek każdego pojedyńczego obywatela do reszty obywateli, połączonych w celu spokojnego i przyjaznego pożycia. Stosunek taki pociąga za sobą wzajemne zobowiązania, prawa i usługi; wypływa to ze stosunku każdego obywatela względem całości, której on sam jest częścią składową. A taka całość, to ciało polityczne, albo raczej polityczne stowarzyszenie, które nazywamy państwem. Uderzony podobieństwem takiego ciała do ciała człowieka, Hobbes nazwał je lewiatanem, — wielkim człowiekiem, zbudowanym z wielu osobników ludzkich.

Ale właściwie to, co nam ten wyraz *cywilizacya* przypomina, nie ma w ścisłem znaczeniu, charakteru politycznego, lecz tylko coś w tym rodzaju — związek głębszy, szerszy i ściślejszy, niż w stosunku obywatela do państwa.

Cywilizacya poprzedza państwo.

Zachodzi wprawdzie pewne pokrewieństwo między tem, co nazywamy cywilizacyą, a tem, co nazywamy państwem, ale cywilizacya poprzedza państwo, które jest dopiero jej następstwem. Pojawienie się i wzrost politycznego ciała, organizacyi państwowej, owego lewiatana Hobbes'a, jest znakiem istniejącej już cywilizacyi, chociaż dopiero w zaczątku tylko. Z charakteru państwa, z jego praw, z jego instytucyi, możemy sądzić o charakterze jego cywilizacyi. A chociaż cywilizacya jest stanem ogólnym, i mówimy o ludach tylko jako cywilizowanych albo też pół czy wcale niecywilizowanych, to jednak rozróżnia się jeszcze przytem, pewne szczególne odcienia jej charakterystyki, tak jak i w charakterystyce państw lub pojedyńczych ludzi. Mówi się przecie o cywilizacyi starożytnej i nowożytnej; o cywilizacyi egipskiej, asyryjskiej, chińskiej, indyjskiej, peruwiańskiej lub azteków; o rzymskiej lub greckiej — mówi się o tem, jako o rzeczach różnych, mających tylko takie ogólne podobieństwo, jakie zachodzi między jednym a drugim człowiekiem, ale zarazem tak różnych, jak jeden człowiek różny od drugiego. Ale czy będziemy o nich mówić ogólnie czy poszczególnie, nigdy ich granice nie będą oznaczać granic ciał politycznych. Stany Zjednoczone i Kanada, albo Stany Zjednoczone i W. Brytania, są to oddzielne ciała polityczne, a przecież jednaka ich cywilizacya. Ogłoszenie królowej Wiktoryi cesarzową Indyi, wcale nie utożsamiło cywilizacyi angielskiej z indyjską. Zmiana władzy, może za sobą pociągnąć zmianę co do poddaństwa, ale nie pociąga zmiany charakteru cywilizacyi. Widocznie przeto cywilizacya stoi w takim tylko stosunku do ciała politycznego, jak odruchy instynktowe do świadomych ruchów ciała.

A ponieważ stanowisko każdego obywatela, wypływa z jego stosunku do całości politycznej, tj. owego

lewiatana, którego on jest cząstką, więc tak samo stanowisko człowieka cywilizowanego, wypływa z jego stosunku do ciała, które nazwałem ekonomicznem, tj. większym lewiatanem. Jest to właśnie owo ciało ekonomiczne, inaczej przemysłowe, które się w społeczeństwie rodzi dla zaspokojenia potrzeb jego członków, dla zadowolenia ich życzeń. Słowem jest to właśnie owo prawdziwe coś, co nazywamy cywilizacyą. Samo się ono w oczy rzuca swem podobieństwem do *większego człowieka*.

A to ciało ekonomiczne, albo raczej ten *większy lewiatan*, zawsze poprzedza ciało polityczne, czyli lewiatana, chociaż zawsze mu podlega. Ciało polityczne, czyli państwo, jest w gruncie rzeczy tylko narośla na ciele ekonomicznem, i stanowi jeden z jego organów, a z tego stosunku swej zależności, nigdy uwolnić się nie może.

Ale skąd to pochodzi, że ciało ekonomiczne uważam za główne, chociaż ono dopiero z państwa, a tem samem i z cywilizacyi wypływa? Jest to jednak sprzeczność pozorna tylko, bo ono właściwie tak samo wypływa z głównego korzenia — z rozwoju wiedzy ludzkiej. Ale rzeczy, które się pierwsze pojawiają, nie zawsze pierwsze bywają pojęte. Jak oko ludzkie tylko kształty spostrzega ale ich nie przenika, tak też i ludzki rozum, najpierw rozróżnia wyższe piętra budowy, zanim jej fundamenta zbada.

Ciało polityczne, jako widoczniejsze, i, że tak powiem, hałaśliwsze, pierwej zwróciło na się uwagę, a stąd i nazwę też otrzymało pierwej niż mniej wyraźne, i z natury swej cichsze ciało ekonomiczne. Z rozwojem jednak ludzkości, gdy nareszcie i ono bliżej zostało poznane, wtedy także otrzymało swą nazwę, a to dla oznaczenia samej rzeczy i jej stosunku do innych.

A teraz zobaczmy, kiedy się owo ekonomiczne cialo pojawilo i jak ono rosło.

ROZDZIAŁ V.

Początek i pochodzenie cywilizacyi.

Rozum z natury swej skłania ludzi do wymiany, która powoduje rozwój cywilizacyi.

Rozum, to siła, zdolna szukać przyczyn. — Analiza i synteza. — Podobieństwo i brak takowego między człowiekiem a zwierzętami. — Siła, jaką daje zrozumienie związku przyczyn i skutków. — Moralna strona cywilizacyi. — Wpływ wymiany. — Cywilizacya jest względną. — Istnieje tylko w umyśle, jako pojęcie.

Człowiek, to wprawdzie zwierzę, ale z dodatkiem czegoś, co go ponad nie wynosi, bo mu pozwala tworzyć. A to coś, to owa iskra boża, którą nazywamy rozumem.

Nie jest to czcze, bez racyi porównanie, bo istotnie zda się tu zachodzić dość wyraźne podobieństwo między taką iskrą a rozumem. Może to nawet, w gruncie rzeczy, zupełnie to samo, tylko co do stopnia niższe niż owa potęga, której przypisujemy stworzenie świata.

Główną cechą rozumu, zda się być władza szukania związku przyczyn i skutków. Władza ta pozwala się cofać od wiadomych skutków do nieznanych przyczyn, lub rozkładać rzecz jakąś na cząstki składowe — i wtedy to takie działanie, zowie się analizą; albo też wprost przeciwnie, pozwala ze znanych przyczyn wyprowadzać skutki, lub pojedyńcze cząstki łączyć w jedną całość — a wówczas nazywamy to syntezą. W obu

zaś razach, rozum, jak sądzę, działając siłą wyobraźni, tworzy w umyśle naszym szereg obrazów — a to możemy nazwać działaniem umysłowem.

Kto teraz bliżej pozna psa, kota, konia albo świnię — a jeszcze lepiej małpę — ten się łatwo przekona, że ci biedni nasi „krewniacy“, pod wielu względami do nas podobni, albo raczej przeciwnie, że to my ich często przypominamy. U nich bowiem znajdujemy co najmniej ślady wszystkich ludzkich uczuć, takich jak miłość, nienawiść, nadzieja, bojaźń, duma, wstyd, żal, ciekawość, próżność, szlachetność lub chciwość. A do pewnego stopnia znajdujemy u nich także nasze upodobania i nasze wady. Na okrętach spotyka się kozy chciwie żujące tabakę; psy lubią jeździć w powozie.

Będąc jeszcze chłopcem, miałem małpkę, która mnie od prusaków broniła. Podczas mego snu, chwytała ich i na paznokciu gniotła. A była tak zazdrosną wobec młodszego brata, że się aż z tego powodu musiałem z nią rozstać. Później znów i dzieci moje miały małpkę tak do nas wszystkich przywiązaną, że po jej stracie, zdało się nam jakoby ktoś z rodziny ubył. Tak mnie umiała poznać po chodzie, że ledwo się pokażę, już moja małpka wita mnie pierwsza. A im dłużej byłem nieobecny, tem większą też była jej radość, gdy mnie znów ujrzała. Gdyśmy siedzieli przy stole, ona nam po ramionach skakała. Wybornie też umiała ocenić, kto był dla niej życzliwszym. Miała nadto wrodzoną swej płci ciekawość, a przy tem była próżną aż do śmieszności. Różne czyniła zabiegi, aby tylko zwrócić na się uwagę gości — a zazdrość wielka, jeżeli któreś z dzieci bardziej ich zajęło. Gdy miarkowała, że się zbliża czas, o jakim zwykle przechodzili wracający ze szkoły malcy, zaraz hyc na okno i dalejże skakać z firanki na firankę, aż skrzecząc z radości, gdy się widzowie śmiali i oklaskiwali jej zręczne skoki i wieszanie na ogonie.

Jedną z najbardziej uderzających cech, jakie wyróżniają człowieka, jest i to, że nigdy on nienasycony. Wątpię jednak aby już tu leżała przyrodzona granica rodzaju. Gotówbym raczej sądzić że jest to tylko jeden z objawów rozumu, który stanowi zasadniczą różnicę. Jeśli bowiem z jednej strony bywają ludzie, którzy jak zwierzęta, poprzestają na tem, co ich rodzice mieć mogli, i więcej już ponad to nie pragną, to z drugiej znów czasem i żądze zwierząt mogą wzrastać w miarę sprzyjających temu okoliczności. Jeżeli np. damy koniowi kawełek cukru, to on nas później szuka, aby znów cukru dostać, chociaż koń przecie w naturze tylko roślinnych pokarmów pożąda. Opasłe, ulubione pieski, dumnie paradują w swych eleganckich kubraczkach, chociaż to dla nich zostanie tajemnicą, jak taki kubraczek dostać, a zwłaszcza, jak go sobie zrobić. Prędko też staje się ich potrzebą wybredne jadło, podawane im w naczyniach porcelanowych, i to na miękkim dywanie, podczas gdy inne psy zadowalać się muszą ogryzaniem znalezionej kości. Znam kota, który całe lato przesiaduje w lesie, a dopiero pod jesień wraca do domu. Inny znów, który do niedawna jeszcze nie śmiał ani progu przestąpić, teraz już, gdy się przekonał że jest mile widzianym, z rozkoszą wygrzewa się na krześle przed kominkiem, i niczego więcej już nie pragnie.

Człowiek zadowolony z tego co ma, dopóki nie spostrzeże, iż może mieć lepiej. Pewna piękna kobieta, do niedawna jeszcze pragnęła tylko nowej balii i lepszej kuchenki, a dziś rozsiada się w przepysznym powozie, i stroi w kosztowne brylanty — dar bogatego pana.

Granica między człowiekiem a zwierzęciem.

Im bliżej poznajemy zwierzęta, tem trudniej przychodzi nakreślić linię umysłowej granicy między niemi a człowiekiem. Na jednym tylko punkcie widzimy ją zupełnie wyraźnie, tj. że zwierzętom brak ludzkiej

zdolności wiązania przyczyn i skutków. U zwierząt, do pewnego stopnia, zastępują tę władzę czulsze ich zmysły i ostrzejszy instynkt, ale mimo to cała przepaść nas od nich dzieli. Im wprawdzie także wrodzona pamięć pozwala powtarzać raz wyuczone czynności, lub szukać tego, co im sprawiło przyjemność, a unikać rzeczy przykrych; mają też, bez wątpienia, jakiś sposób porozumiewania się, jakiś pierwotny swój język, w którym nawzajem udzielają sobie wrażeń i wyrażają swe uczucia; a nadto czulsze ich zmysły i ostrzejszy instynkt, lepiej im służą tam, gdzieby człowiek mógł zbłądzić: — ale zato nie zdolne nawet najprostszej rzeczy wymyślić, a najroztropniejsze, najchytrzejsze, jeszcze wpadają w pułapkę, i nie umieją się z niej wydobyć, podczas gdy zwyczajny człowiek łatwoby znalazł drogę wyjścia.

A właśnie ta zdolność wymyślania rzeczy i wyszukiwania sposobów — słowem zdolność wiązania przyczyn i skutków — to właśnie szczyt rozumu, którego posiadanie stanowi niezaprzeczoną różnicę między człowiekiem a zwierzętami — i to nie tylko co do stopnia, ale także co do rodzaju — czyniąc go zarazem ich panem.

Rozum, to owa iskra Prometeusza, dar, z powodu którego stary testament mówi, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, dając mu zarazem środki, dzięki którym, on jeden tylko z pośród zwierząt, może się rozwijać. W tem właśnie tkwi zarodek cywilizacyi.

Tej też zdolności zestawiania przyczyn i skutków, człowiek zawdzięcza możność pojmowania otaczającego go świata. Nadto, może rozumieć związek wszechrzeczy znajdujących się wokoło lub nad nim i pod nim. Może przytem nie tylko żyć, ale i poznawać przeszłość a przenikać przyszłość. Może rozróżniać nie tylko rzeczy poznawane zmysłami, ale nawet i takie, których

zmysły nasze nie dosięgają. Może nakoniec dociekać początku i źródła wszechrzeczy; może wiedzieć że umrze i wierzyć że znów żyć będzie.

A dalej jeszcze, człowiek zawdzięcza tej samej zdolności, także umiejętność wzniecenia ognia, zapalania światła, gotowania, ubierania się, budowania mieszkań, przygotowywania narzędzi i broni, uprawy ziemi, oswajania i hodowli zwierząt, żeglugi, pływania pod wiatr, zużytkowania sił natury, a więc korzystania z potęgi, która wszystko inne obala.

Dzięki więc tylko tej zdolności zestawiania przyczyn i skutków, człowiek stopniowo dźwigał się z biedy i ciemnoty dzikości, aż na wyżyny bogactw i wiedzy, — do światła, które wypływa z połączenia sił wielu jednostek.

A cała ta jego wyższość od zwierzęcia, w gruncie rzeczy polega jedynie na tem, że on potrafi zawiązać i rozwiązać węzeł, a zwierzę tego nie potrafi; dalej, że nie da się złapać w pułapkę jak zając albo ptak; że gdyby się zaplątał w linkę u słupa przywiązaną, nie stałby tak bezradnie, jak wół albo koń, niewiedzący w którą iść stronę aby się z więzów uwolnić.

Z różnych stron i z różnych punktów widzenia musimy oceniać cywilizacyę, bo ona się w różnych rozwija kierunkach: w kierunku siły, wiedzy, bogactwa, sprawiedliwości i ogłady. Ale sądzę że ją najczęściej mierzą — ogładą. A pochodzi to stąd, że przeciwstawieniem cywilizacyi jest dzikość i barbarzyństwo. A ponieważ zwykle przez te nazwy rozumiemy okrucieństwo, srogość, nieludzkość, brak miłosierdzia, stąd przeto za znamię cywilizacyi, powszechnie się uważa sprawiedliwość i — grzeczność, a nie bez pewnej racyi. Bo chociaż większe poszanowanie cudzych praw, i większe współczucie dla innych, jest tylko cząstką tego, co cywilizacya wyraża, to jednak stanowi jej

stronę moralną, duchową, a więc najwyższą, i tem samem niezawodnym jest znakiem ogólnego rozwoju.

Dla poznania jednak początków tego rozwoju, oraz sposobu łączenia się osobników w ciało ekonomiczne, czyli większego człowieka, musimy tu sięgnąć dalej. Spróbujmy zbadać pochodzenie cywilizacyi.

Z pośród zwierząt, jedynie człowiek obdarzony zdolnością wiązania przyczyn i skutków, może wytwarzać. A wytwórcą jest już w stanie dzikości; i gdyby nawet był tylko sam na świecie, jeszcze i wtedy usiłowałby tworzyć. A ta sama właściwość jego rozumu, która mu pozwala wytwarzać, każe mu zarazem i wymieniać zawsze i wszędzie tam, gdziekolwiek wymiana możliwa. A w miarę rozszerzania się wymiany, rozwija się też i wzrasta ciało ekonomiczne — i oto znów krok dalej w postępie cywilizacyi.

Handel jest znamieniem cywilizacyi.

Ale kiedy wytwórczość człowieka zaczyna się zaraz z jego początkiem, już wtedy nawet gdy zaledwie jedna dopiero była para ludzka, natomiast wymiana nie mogła się zacząć przed rozmnożeniem się mieszkańców. Dopiero więc z liczebnym ich wzrostem, możliwem się stało połączenie usiłowań jednostek, w celu wzajemnego zaspakajania swych potrzeb. A zapewne że zrazu i naturalny pociąg też wpływał nie mało na ich wiązanie się w grupy; niebawem jednak człowiek spostrzegł i ocenił korzyści z zamiany wypływające, bo tą drogą mógł on za zbywające mu przedmioty, otrzymać inne, potrzebniejsze, i w ten sposób więcej swych potrzeb zaspokoić.

Tak więc dzięki tej, człowiekowi tylko wrodzonej sile, może on rozumieć związek przyczyn i skutków; tem samem może już robić sobie nietylko narzędzia i broń, ale, idąc krok dalej, może także i pojmować korzyści wynikające z wymiany, a stąd — w widokach własnego dobra — zaczyna się łączyć w grupy. I tak

powoli, powoli, wyrasta ciało ekonomiczne — ów większy lewiatan.

A więc razem z wymianą czyli handlem, pojawia się także i ciało ekonomiczne, a tuż za niem i cywilizacya przychodzi. Zwierzęta nie znają handlu, nie ma też u nich żadnej cywilizacyi. Te bowiem jej pozory, jakie widzimy u mrówek i pszczół, mają swe źródło w instynkcie tylko. A instynkt przecie żadnej nie wymaga nauki; nie każe korzystać z doświadczenia innych; brak mu też wszelkiej mocy postępu; a stąd zbiorowe czynności zwierząt, nigdy nie mogą mieć tego znaczenia co ludzkie, i stoją nieskończenie niżej od najpierwotniejszych stowarzyszeń ludzkich. Bo rozum wprawdzie może się potknąć, może pobłądzić, ale jest źródłem postępu bez końca.

Ponieważ handel powstaje na różnych punktach i z różnych wypływa środowisk, aby przedmioty zbywające od potrzeby na jednem miejscu, przenieść na inne miejsce, przeto łączy w ten sposób już nietylko jednostki, ale całe oddzielne ciała ekonomiczne, i to bez względu na ich odrębne cechy, często nazbyt wyraźne, choć niedające się określić. A te różne cywilizacye ścierają się z sobą, i albo tylko obie wzajem na się oddziaływają, albo też jedna drugą niweczy lub pochłania, stosownie do siły liczebnej i stopnia rozwoju oraz warunków położenia.

Zazwyczaj określamy ludy jako niecywilizowane, lub też zupełnie cywilizowane, ale w gruncie rzeczy są to określenia bardzo względne. W rzeczywistości bowiem nie ma ludów ani całkiem niecywilizowanych, ani też zupełnie ucywilizowanych. Bo wtedy tylko byłby jakiś lud całkiem nieucywilizowanym, gdyby zgoła żadnego nie prowadził handlu, ani nawet prostej nie praktykował wymiany — a taki lud, o ile wiemy, wcale nie istnieje. I odwrotnie, tylko wtedy byłby zupełnie cywilizowanym, gdyby prowadził handel cał-

kiem wolny i dosięgnął najwyższego rozwoju — a takiego ludu również jeszcze niema.

Ale zbyt dalekoby mnie to zaprowadziło, gdybym się tu chciał zagłębiać w historyę cywilizacyi, albo gdybym wyjaśniał przyczyny takiej powolności jej zawiązków lub długich okresów zastoju, czy też nagłych przebłysków postępu, aby znów potem nastąpiła przerwa lub cofanie się. Zaznaczę więc tylko na czem głównie cywilizacya polega.

Ale o tem nie należy zapominać, że ani różne cywilizacye, ani też to, co nazywamy cywilizacyą w oderwanem lub ogólnem znaczeniu, materyalnie wcale nie istnieje, ani się wprost nie odnosi do pewnych okolic — istnieje tylko w umyśle, w duchu, jako pojęcie.

ROZDZIAŁ VI.

Wiedza i jej rozwój.

Rozwój wiedzy jest owocem łączenia sił.

Cywilizacya każe przypuszczać większą wiedzę. — A wiedza znów wynika z połączenia sił. — Umiejętność a wiedza. — Stosunek uporządkowanej wiedzy do środków jej gromadzenia, do umiejętności i do ciała ekonomicznego. — Przykład z astronomii.

Różnica między człowiekiem pierwotnym a człowiekiem cywilizowanym, polega przedewszystkiem na różnicy środków zaspakajania materyalnych potrzeb, a ta znów zależy od rozwoju wiedzy, bo stosownie do stopnia tego rozwoju, człowiek buduje parowce albo nędzne czółna, wspaniałe gmachy, albo też liche lepianki.

Ale tej swojej wyższości, człowiek bynajmniej nie zawdzięcza sobie samemu, tj. podniesieniu swej osobistej siły umysłowej, tylko jej spotęgowaniu przez zespolenie sił wielu osobników. Czyli innemi słowy, zawdzięcza on tę swoją wyższość, podniesieniu się ogólnego poziomu wiedzy, będącej częścią, albo lepiej właściwością zespolenia, nazwanego przeze mnie ciałem ekonomicznem. Ten to właśnie „większy człowiek“ buduje dziś olbrzymie parowce i gmachy; a gdybyśmy go rozczłonkowali na pojedyńcze jednostki, z których został złożony, to wątpię czy któraś z tych jego czą-

stek składowych, tj. człowiek odosobniony, umiałby w pojedynkę lepiej budować niż dzicy.

Najprostsza wiedza osobista, to umiejętność użycia organów ciała, zostających na usługach naszej woli, a które mają wykonywać czynności zamierzone. Kto dopiero w starszym wieku zaczął np. jeździć na kole, ten z doświadczenia wie jak przykrą i powolną była nauka. Z początku każdemu się zdaje jakoby wszystkie członki i muszkuły, w różnych chciały pójść kierunkach, wymykając się z pod władzy umysłu, którego czynność powolniejsza niż ich ruchy; i stąd jeździec, straciwszy nad nimi kontrolę, albo spada, albo też jedzie tam, gdzie nie zamierzał. Ale po dłuższych ćwiczeniach nabieramy wprawy; to znaczy że nasza wiedza co do tego: jak należy używać muszkułów, przeszła już z dziedziny świadomości do nieświadomości, czyli że stała się już niby cząstką tego, co niekiedy nazywamy „pamięcią muszkułów“, to znaczy że te muszkuły już same, automatycznie wykonywają naszą wolę. Z początku jednak cała jeszcze uwaga nasza podczas jazdy tak się skupia na użyciu koła, że jeździec ani się obejrzeć nie w stanie; z czasem dopiero dochodzi do wprawy; a wtedy może już nawet w czasie jazdy, swobodnie myśleć o czemś innem. Wiedza bowiem z takim mozołem zdobyta, zamieniła się już w umiejętność.

To samo z pisaniem na maszynie. Poznawszy najpierw, które klawisze jakim odpowiadają literom, uderzamy następnie kolejno klawisze potrzebnych nam liter. A skoro się ta znajomość dostatecznie utrwali w pamięci, wtedy już dość tylko pomyśleć sobie jakiś wyraz, a palce same, wcale nie kierowane świadomie, naciskać będą odpowiednie klawisze.

W taki to sposób zdobywa się każda umiejętność. A zaraz od pierwszej chwili życia, wszytkiego tak samo musimy się uczyć. Dziecko zrazu tylko płakać potrafi, a każdą inną umiejętność, zdobywa jedynie przez ćwi-

czenia, zupełnie taką samą drogą, jaką dorosły zdobywa sobie umiejętność jeżdżenia na kole. Nie inaczej się też uczy śmiać, jeść, patrzeć, chwytać i trzymać przedmioty, siedzieć, stać, chodzić albo mówić, a później czytać, pisać, rachować itd.

Umiejętność — jako część wiedzy najściślej związana z osobistością każdego tak dalece, że się staje nieomal jej częścią — temsamem jest najtrwalszą, i nie może być innym przekazywaną, a przynajmniej tylko do pewnego stopnia. Możemy, co najwyżej, udzielić komuś wskazówki, jak się np. powinno jeździć na kole, lub też jak należy zażywać maszyny do pisania, ale przelać w niego własnej naszej umiejętności, żadną miarą niepodobna: kto ją chce nabyć, ten się koniecznie musi ćwiczyć sam.

Zdolność gromadzenia i przekazywania wiedzy.

Ten rodzaj wiedzy nie rozszerzył się równomiernie z postępem cywilizacyi. Nawet ludzie odległej starożytności, wykonywali dzieła sztuki, z równą jak dzisiejsi, biegłością. Niemniej tegoczesny australczyk, zadziwiająco rzuca swojem „boomerang“; ale i europejczyk też, przy pewnej wprawie, tak samo rzucić może. I nawzajem, dzicy, których dopiero europejczycy zapoznali z koniem i bronią palną, stają się wybornymi jeźdźcami i celnymi strzelcami.

A zatem wyższość człowieka cywilizowanego nad dzikim, nie zależy od umiejętności, ale od właściwej wiedzy, tej, która może być drugim przekazywaną; a która zasadza się na znajomości stosunków rzeczy do innych zewnętrznych rzeczy; oraz może obejmować — ale nie zawsze obejmuje i nie koniecznie musi obejmować — znajomość zmiany tych stosunków. Ta wiedza, niemająca zresztą związku z organami, pozostającymi w bezpośredniem rozporządzeniu świadomej woli, nie łączy się tem samem tak ściśle z osobistością, ani też nie stanowi jej części, ale się tylko przechowuje w organie

świadomej pamięci. Stąd też, z osłabieniem albo utratą tego organu, może być straconą; ale zarazem może być także innym przekazywaną.

I ten to właśnie rodzaj wiedzy tak się niezmiernie rozszerzył z rozwojem cywilizacyi, a to dzięki najpierw doskonaleniu mowy, a następnie jeszcze i innych środków, mianowicie pisma, które ułatwiło jej przekazywanie i gromadzenie.

A to powiększenie środków gromadzenia i przekazywania wiedzy, już samo przez się jest wielką zdobyczą. Ale prócz tego, do jej wzrostu, przycznyniły się jeszcze potężniejsze wpływy, a także ze ściślejszego zespolenia jednostek wynikające.

Porównajmy tylko pierwotnego człowieka z dzisiejszym astronomem. Tamten, jedynie gołem okiem uzbrojony, do uchronienia swych spostrzeżeń od zatraty, nie miał nic, prócz własnej tylko pamięci; a nadto, przy tak małych środkach zaspokajania swych pierwszych potrzeb, niewiele mógł oszczędzić energii, koniecznej do zdobywania innej wiedzy. Tymczasem dzisiejszy astronom, zupełnie już uwolniony od innych trudów, wygodnie i spokojnie może się cały oddać badaniu tylko swych gwiazd, mając przytem do pomocy olbrzymie szkła i różne najdokładniejsze przyrządy, oraz liczne atlasy i księgi, z których wie o wszystkiem, co dotychczas na tem polu zdziałano; a za pomocą telegrafu i telefonu, może się z innymi astronomami porozumiewać.

A zważmy tylko, ile na to wszystko złożyło się wiedzy i rozmaitych umiejętności, ile doświadczeń, rozmyślań i usiłowań było potrzeba, aby wznieść taki gmach i tyle w nim zgromadzić środków. Stąd przeto widzimy, że i nawet do zdobyczy astronoma, przyczyniło się połączenie mnóstwa osobników, zespolonych w jedno ciało.

ROZDZIAŁ VII.

Prawa natury.

Dlaczego się o nich mówi.

Jednocześnie istniejące i następujące. — Następstwa i wyniki. — Przyczyny i ich nazwy. — Nasza bezpośrednia wiadomość o duszy. — Najprostsze pojęcie o stosunku przyczynowym. — Jego rozmiary. — Poszukiwanie przyczyn dotąd nas nie zadowala, dopóki nie dotrzemy aż do ducha. — Znajdujemy albo przypuszczamy zamiar. — Dowód tego, — Dlaczego musimy przypuszczać wyższego ducha. — Dowody celowości. — Natura. — Prawa natury. —

Jest — i pewno na zawsze zostanie — kwestyą sporną: czy człowiek całą swą wiedzę zdobywał głównie przez doświadczenie, drogą zmysłów, czy też przynajmniej jakaś jej część, stanowi przyrodzony dar jego natury. Ale zostawmy na stronie różne gołosłowne dowodzenia filozofów w tej mierze; wystarczy nam tu zwyczajny język.

Człowiek pewno już w zaraniu swego bytu, spostrzegł dwa rodzaje zjawisk: istniejących współcześnie, obok siebie, i kolejno po sobie następujących. A że zmiany się więcej rzucają w oczy, musiał więc drugie wcześniej zauważyć.

Ale mu jeszcze nie wystarczało samo spostrzeżenie, np. że noc następuje po dniu; albo że zbliżywszy się do ognia, doznajemy nader miłego uczucia ciepła;

albo że za jego dotknięciem, uczuwamy wrażenie bólu. Obdarzony rozumem, — który mu pozwala rozróżniać stosunki skutków do przyczyn, — pyta jeszcze: dlaczego się tak dzieje? dlaczego rzeczy następują jedne po drugich, albo też wynikają jedne z drugich?

Zwracam tu uwagę na różnicę znaczenia wyrazu *następstwo* i *wynik* albo *skutek*. Różnicę tę należy zapamiętać, tem bardziej, że wielu mówi *następstwo* w znaczeniu *skutku;* a tu ono właśnie ma wyrażać inne pojęcie; mianowicie *następstwo*, gdy jedna rzecz następuje po drugiej rzeczy, a *skutek*, gdy jedna rzecz wynika z drugiej rzeczy.

Następstwa, które widzimy w naturze, czasem są niestałe, tj. że niezawsze jakaś rzecz następuje po poprzedniej, a inne znów są stałe, tj. że zawsze tak samo następują po poprzednich, a więc stoją względem nich w stosunku przyczynowym, i stąd już słusznie nazywamy je skutkami, a ich przyczyny, prawami natury.

Znaczenie tych praw zbyt tu ważne, aby je można pominąć bez wyjaśnienia, zwłaszcza że nawet w pierwszorzędnych działach ekonomicznych, panuje zamęt w tym względzie. Zanim więc zaczniemy używać tej nazwy, zobaczmy przedewszystkiem, skąd ona powstała, abyśmy dobrze jej znaczenie zrozumieli.

Szukając przyczyny jakiegoś skutku, najczęściej spostrzegamy, że pierwsza znaleziona przyczyna, sama z kolei jest znów skutkiem innej, dalszej przyczyny. I tak, sięgając coraz głębiej, znajdujemy niekiedy cały szereg takich przyczyn z sobą powiązanych, gdyż każda jest zarazem skutkiem poprzedniej. W ten to sposób dochodzimy wreszcie do tej, którą już można uważać za dostatecznie zdolną do wywołania wszystkich dalszych, aż do ostatecznego wyniku.

Taką początkową przyczynę, nazywamy pierwotną lub ostateczną, podczas gdy końcowa — oznaczająca cel, zamiar — leży jeszcze głębiej.

Ta pozorna sprzeczność nazw jednej rzeczy, mogłaby kogoś w błąd wprowadzić; trzeba więc pamiętać, że tu nazwa zależy jedynie od kierunku, w którym liczenie rozpoczynamy. Jeżeli np. zaczniemy liczyć od początkowej przyczyny, to ona wtedy nazywać się będzie *pierwotną*; a jeżeli w odwrotnym kierunku, natenczas *ostateczną; końcową* zaś tam dopiero, gdzie się już przypuszcza celowe działanie rozumnej woli, jako wszechpoczątek. Natomiast resztę przyczyn w szeregu, nazywamy *podrzędnemi* lub *pośredniemi*, z wyjątkiem tej, która leży najbliżej ostatecznego skutku, i stąd zowie się *najbliższą*.

Jeżeli tedy chcemy wynaleźć coś nieznanego, musimy poszukiwanie rozpocząć od tego, co znamy. A to, co nam najlepiej znane, leży w nas samych — jest to owo coś, co czuje i chce, a co różni się od naszych organów i części — słowem, nasze *ja*, które nas wyróżnia od całego otoczenia, a tkwi także i w pierwiastku świata — tj. duch.

Pewność własnego bytu.

Człowiek sam, przynajmniej co do ciała, stanowi cząskę przyrody, nawet i w tem, co nazywamy zewnętrzną jego naturą. Jego ciało jest tylko cząsteczka ogólnej, wiecznotrwałej materyi; a jego ruch, to tylko cząsteczka tej niespożytej siły (energii), która, jak istniała już w przyrodzie zanim przyszedł, tak też w tej samej mierze istnieć będzie i po jego śmierci. A ponieważ człowiek nie przynosi z sobą ani materyi ani ruchu, lecz od chwili swego zarodku aż do końca życia, wciąż bierze tylko już istniejącą tu materyę i siłę, przeto nic z sobą zabrać stąd nie może. Bez względu czy on zakopany w ziemi, czy spalony, czy też głęboko gdzieś aż na dnie morskiem spoczął, — ani materya, która mu dała ciało, ani siła, która je ruchem obdarzyła, wcale istnieć nie przestają, ale znajdują znów wyraz w innych formach. Natomiast tylko nasze *ja*, — które nas wyróżnia

od całego otoczenia, — przychodzi z nami, i razem też z nami świat ten opuszcza, przeszedłszy tu przez wszystkie zmiany materyi i ruchu.

Jestto to samo *ja*, które, dzięki zmysłom, nietylko odbiera wrażenia, ale także, mocą wyobraźni, poznaje samego siebie. Człowiek przeto może się zastanawiać nad swojem własnem *ja*, nietylko na podstawie wrażeń, przez zmysły odbieranych, ale także mocą swej własnej natury, i mocą jej własnych sił. Może on również badać świat zewnętrzny i wewnętrzny, jako całość złożoną nietylko z materyi i energii, ale także i z ducha.

Jeżeli ktoś jeszcze wątpi o istnieniu ducha, to chyba tylko z przyczyny zamętu w rozumowaniu o tem. Przecież *jestem*. dla każdego musi być zupełnie pewne. A z tej pewności co do własnego istnienia, nabieramy pewności o istnieniu wszelkich innych rzeczy.

Najprostszy stosunek przyczynowy, dostrzegamy w naszej własnej świadomości. Niech się np. ktoś podrapie, niech uderzy, a już czuje skutki. Jest to zapewne najsilniejszy związek przyczyny i skutku. Wrażenie tu, wywołane przez podrapanie, czyli skutek, za pośrednictwem zmysłów przeszło do naszej świadomości — a przyczyną było tu działanie woli. Albo też odwrotnie, świadome działanie woli jest przyczyną, a skutkiem wrażenie, jakie przez zmysły dochodzi do naszej świadomości. Ale skąd wypływa ten związek, tego sobie wyjaśnić nie umiemy; i na tym punkcie, zarówno uczeni jak i dzicy, stoją wobec zagadki. Każdy jednak, dziki czy uczony, wie o istnieniu tego związku przyczyn i skutków, bo go wszyscy czujemy.

Ale niepoprzestając na poznaniu przyczyn i skutków zmysłowych, za ich pomocą dopiero poznajemy i te, które leżą poza granicami naszej świadomości. I tak np. rzucam kamieniem — ptak spada zabity.

Tu skutek, tj. śmierć ptaka, znany mi bezpośrednio, dzięki zmysłowi wzroku, a także i dotyku, jeżeli ptaka podniosę. Kamień go trafił, ponieważ nadałem mu ruch ręką; działanie zaś ręki spowodowane zostało świadomą wolą.

Przyczyna więc, którą uważamy za początkową — bez względu czy się nazywa pierwotną czy też końcową — zawsze jest właściwem źródłem danego skutku. Taka to już natura człowieka, że początku zawsze szuka w sobie samym.

Zwykle też, pomijając cały szereg przyczyn pośrednich, mówi, że ptak zabity, ponieważ on, człowiek, tak chciał. Ale że wola nasza, zależna jeszcze od naszych życzeń, właściwie przeto jego życzenie było tu końcową przyczyną śmierci ptaka.

A skoro wiemy, że działanie woli naszej, wypływa z naszych życzeń, idąc zatem od znanego do nieznanego, wyjaśniamy sobie podobne czyny cudze, a to na podstawie podobieństwa życzeń.

Jeżeli np. ktoś kogoś zabije kijem albo mu zada truciznę, to nie wystarcza nam jeszcze wiadomość, że śmierć nastąpiła skutkiem uderzenia lub otrucia. Wiedząc *jak*, chcemy jeszcze wiedzieć *dlaczego* to uczynił, czyli: jaki cel, jaki powód pobudził do tego jego wolę?

A niekiedy znów, całkiem pomijając tu wolę, mówimy wprost o życzeniu, które ją do tego skłoniło, boć ono to właściwie było tu źródłem czynu.

Widzę np. że ktoś wchodzi na drzewo albo biegnie. Znając przyczyny własnych takich czynności, wiem tem samem, że i jego czynność też jest skutkiem działania woli, pobudzonej przez jakieś życzenie. Zaraz też wnoszę stąd, że on to czyni dlatego, aby coś osięgnąć, lub czegoś uniknąć. Tak samo, gdy ryba płynie, albo gdy ptak leci, również uważamy te ich czynności za skutek działania woli, pobudzonej przez życzenie.

Już Arystoteles, a za nim inni myśliciele uznawali, że właściwie już samo życzenie jest początkującą przyczyną, zwaną końcową; teraz jednak ta nazwa rzadziej w takiem znaczeniu bywa używaną. Niemniej jednak, uznanie zamiaru albo celu, za końcową czyli początkującą przyczynę, spotykamy w potocznej mowie, w której używa się *ponieważ*.

Silny pociąg do szukania przyczyn.

Człowiek wcześnie musiał spostrzedz, że w działaniu woli pobudzonej przez życzenie, tkwi przyczyna jego czynności. Dowodem tego bajki dzieci i ludu, bajki, w których się nawet rzeczom martwym przypisuje działanie woli, pobudzonej przez życzenie takie jak ludzkie. A nie jest to przecie żadna ozdoba języka, ale wprost uznanie przyczyny, celowości. Słońce się śmieje, chmury grożą, a wiatr wieje tam zawsze z jakimś celem, z jakimś zamiarem.

A w najwcześniejszem nawet takiem uznaniu celowości, zawsze tam znajdujemy jakiś czynnik moralny, należący już do dziedziny ducha. Matka np. łatwo uspokoi dziecko, udając że bije stół, o który się ono uderzyło. Odrazu się także malec uciszy, gdy mu zacznie opowiadać o gadających zwierzętach lub myślących drzewach. Chociaż wiemy, że zwierzęta i rośliny nie mają rozumu ani woli, gotowiśmy jednak szukać u nich takiej przyczyny skutków. A gdy jej tam nie możemy znaleźć, przypisujemy je wtedy działaniu istot nadprzyrodzonych, duchów, geniuszów, aniołów, dyabłów lub bogów, którymi zaludniamy góry, jeziora, rzeki i morza.

A jednak przez takie to stopnie ludzkiej myśli przechodziło, urabiając się pojęcie porządku i wzajemnego stosunku rzeczy, stosunku, który możemy zrozumieć tylko przez przypuszczenie zgodności woli z zamiarem — ogólnego porządku, który uosabiamy sobie jako *Naturę* i jako to wielkie *jestem*, z którego działa-

nia woli, wszystkie widome i niewidome rzeczy biorą początek, i które jest temsamem pierwszą czyli wszechpoczątkującą przyczyną.

Rozum ludzki wszędzie usiłuje wynaleźć przyczyny. Ptak lata, ponieważ chce latać. W tej woli ptaka widzimy ostateczną przyczynę, i to nam wystarcza, o ile dotyczy samej czynności. Ale któryż człowiek, albo raczej któreż to dziecko nie zazdrości ptakowi tej możności wzbijania się aż pod obłoki. A czemuż i człowiek nie może tego czynić, skoro chce? Odpowiadamy, że gdy budowa ptaka pozwala mu zaspokoić to życzenie, natomiast budowa człowieka nie pozwala na to. Ale jakaż tej różnicy przyczyna? Tu już dochodzimy do granic możności zadowalania swych życzeń.

Ale jeszcze dalej szukając woli, jako jedynego ostatecznego wyjaśnienia przyczyny, musimy przypuścić jakąś wyższą i potężniejszą wolę czy też ducha, który ptaka i człowieka różną obdarzył budową.

Ale weźmy tu np. samego człowieka. Dziecko płacze, ponieważ chce płakać. Ale czyż mu się dlatego ząbki wyrzynają, ponieważ ich pragnie? Może pod pewnym względem — tak. Bo kiedy mu się zaczynają wyrzynać, zaczyna ich też potrzebować, albo raczej wkrótce ich będzie potrzebowało, aby swemu żołądkowi silniejszych dostarczyć pokarmów.

Ale z drugiej znów strony — nie. Bo nawet wola matki niema tu wpływu, ani też najuczeńszy lekarz nic na to nie poradzi. Przyczynę musimy tu przypisać jakiejś woli wyższej i lepiej znającej cele; woli, która już z góry wie, co będzie potrzebne.

W wszelkich przedmiotach wykonanych przez człowieka, jak domy, ubranie, narzędzia, ozdoby, maszyny — słowem we wszystkiem, co nazywamy ludzką produkcyą — najlepiej się uwydatnia stosunek środków do celów, a stąd od razu możemy tam zrozumieć pochodzenie, i widzieć boską przyczynę.

Człowiek jest jedynym tworem, posiadającym siłę stosowania środków do celów. Stąd też znaleziony na pustyni jakiś choćby tylko ułamek łuku lub coś t. p., już jest dowodem jego obecności.

Ale niemniej i w całem swem otoczeniu, człowiek też widzi skutki działania tej samej siły stosowania środków do celów, siły, którą sam posiada. Stąd to, we wszystkich widomych rzeczach, z wyłączeniem jego samego, albo raczej z wyłączeniem tylko jego *ja* — ale niewyłączając jego własnego ciała — spostrzega on jakiś ogólny plan, jakąś całość złożoną z cząstek, będących z sobą w związku — i to zwie *Naturą*.

Jak mechanizmowi, złożonemu z różnych kółek i śrub, dajemy ogólne miano lokomotywy, tak też i ten największy z mechanizmów, nazywamy *Naturą*. Ale ta jej nazwa nie obejmuje jeszcze myśli przewodniej, owej początkującej woli, tj. pierwszej czyli końcowej przyczyny wszystkiego. To bowiem, co przez to rozumiemy, zasadniczo się od *Natury* różni, chociaż ją ożywia i nadaje jej inne imię — imię wielkiego ducha, Twórcy albo Boga. A ci, którzy sądzą że *Natura* jest wszystkiem, i że nie ma nic nad nią wyższego, zda się pomieszali tu dwa różne pojęcia, a stąd i *Naturę* biorą za Boga.

Różnica między Naturą a Bogiem.

Zwykle, w braku innej nazwy, nazywamy Naturą to, co czujemy, że będąc po za obrębem naszego pojęcia, nie da się temsamem inną określić nazwą. Sądzę jednak, że jaśniejsze umysły dokładnie widzą różnicę między tem, co nazywamy *Naturą*, a tem, co nazywamy *Bogiem* — zupełnie tak samo, jak rozróżniamy maszynę od woli, która jej dała początek. Pope powiedział:

„Są to tylko cząstki wielkiej całości,
Ciałem jej *Natura* a duchem jest *Bóg*.“

Z takiego to pojęcia Natury, ożywionej, dzięki najwyższej woli, wyprowadzamy, jak sądzę, określenie *prawo natury.*

Mamy tu znów przykład zapożyczenia nazwy u mniejszej dla większej rzeczy. Pierwotne bowiem znaczenie wyrazu „prawo“, odnosi się do ludzkiej woli; i znaczy rozkaz albo przepis narzucony niższym przez wyższego, jak n. p. króla czy też państwo, względem swych poddanych. Pierwotnie nazwa ta, bez wątpienia, odnosiła się tylko do ludzkiego prawa. Gdy jednak, w miarę umysłowego rozwoju, ludzie lepiej poznawali niewzruszony porządek rzeczy, musieli takowy przypisać woli wyższej niż ludzka, i przyjąć też nazwę, jaką zwykli nadawać tylko wyrazowi własnej najwyższej woli.

Każdy stały, niezmienny stosunek rzeczy, o którym można powiedzieć, że zawsze jest takim samym, nazywamy prawem natury. Ale chociaż się tego wyrażenia używa na oznaczenie stałego stosunku rzeczy, to jednak znaczy ono coś więcej jeszcze, a mianowicie: wolę jako przyczynę.

J. S. Mill, który przecież nie może być podejrzanym o zbytnią wiarę, mówi że „wyrażenie *prawo natury*, ogólnie jest przez uczonych używane z domyślnem znaczeniem właściwego znaczenia wyrazu *prawo*, które oznacza wolę wyższego — a w tym wypadku, wyższy, to rządzca wszechświata“.

Wiemy, że kamienie, jabłka, i wogóle ciężary, zawsze spadają ku ziemi; wiemy, że zęby w dzieciństwie wyrastają, a później psują się i wypadają; wiemy że gdy jeden biegun magnesu przyciąga, to drugi natomiast odpycha, itd. Takie to i tym podobne, stałe, niezmienne stosunki w naturze, stosunki, których przyczyna bytu przechodzi siłę znanej nam woli, nazywamy *prawami Natury.*

Gdyby zwierzęta mogły o takich rzeczach myśleć, toby nam zapewne pies powiedział tylko, że tak jest,

i na tem koniec. Ale człowiek obdarzony rozumem; więc niepoprzestając na stwierdzeniu samego tylko faktu, szuka jego przyczyny. Wie on bowiem, że *coś* nie może powstać z *niczego;* i że każdy skutek, każe przypuszczać jakąś przyczynę. Zaprzeczać temu albo też pomijać, byłoby to wstrzymać działanie rozumu, czego zresztą nikt nie wstanie uczynić, tak samo jak nikt nie może zaprzestać oddychać.

Tak więc po prostu umysłowa potrzeba, nawet dzikiego zmusza do dociekania przyczyn zjawisk, które go uderzają. A bez względu jak długi znajdzie szereg przyczyn pośrednich, dotąd on nie czuje się zaspokojonym, dopóki nie dotrze aż do końcowej przyczyny, tj. woli, i dopóki poza nią jeszcze nie znajdzie, a przynajmniej nie przypuści, zamiaru. Jest to potrzeba ogólna, ponieważ należy do charakterystyki człowieka, która go zasadniczo wyróżnia od zwierząt. Że poganin w swej ślepocie, bije czołem przed drzewami i skałami, pochodzi to z jego istotnej naiwności, z pozornej wiedzy. Poza jego wiarą w amulety, czary, gusła, tkwi uznanie ducha. Również i filozoficzne zasady, ujęte w dziwaczne jakieś formy religijne, w gruncie rzeczy zawierają myśl o początkującej woli, o której pismo na wstępie mówi że „najpierw Bóg stworzył niebo i ziemię".

Człowiek, dociekając przyczyny skutków, musi wkońcu dojść do takiego uznania woli czyli ducha, rozumu, ponieważ inaczej nie czułby się zaspokojonym. Ale dalej rozum ludzki już pójść nie może.

Dlaczegoż to jedne rzeczy istnieją zawsze razem z drugiemi, a inne znów zawsze następują jedne po drugich? Mahometanin odpowiedziałby na to że: „taka wola Boga"; podczas gdy przedstawiciel zachodniej cywilizacyi, nazwałby to *prawem Natury.* Słowa tu różne, ale znaczenie to samo.

ROZDZIAŁ VIII.

O wiedzy, zwanej nauką.

Nauka zajmuje się tylko badaniem praw natury; a o tem zdają się zapominać dzisiejsi ekonomiści.

Właściwe znaczenie nazwy *nauka*. — Przedmiotem jej prawo natury, a nie prawo ludzkie. — Różnica między jednem a drugiem. — Ale dzisiejsi ekonomiści pomieszali je razem, i biorą jedne za drugie. — Mason i Lawlor. — Pomieszanie obu tych rodzai praw, jest niedorzecznością. — Co Turgot mówi o przyczynie tego.

Nauka, to wyraz obecnie bardzo nadużywany. Wielu niesłusznie uchodzi za uczonych, a lada spekulacya, już nauką się zowie. Tymczasem już przecie właściwe znaczenie nauki dobrze zostało określone, i łatwo je sobie zapamiętać.

Dosłownie, wyraz nauka, znaczy wiedza, i to najgłębsza, najwyższa wiedza, gdy chodzi o jakąś pojedyńczą jej gałąź.

Oto myśl, jaką się zazwyczaj do tej nazwy przywiązuje. Ale w ostatecznem i właściwem swem znaczeniu, nauka ani całej ani też każdej wiedzy nie ogarnia; odnosi się tylko do tej, przez którą albo w której wyniki czyli zjawiska stoją w stosunku do tego, co poczytujemy za ich przyczynę czyli za dostateczny powód, i co nazywamy stąd prawami natury.

O ile umiejętność jest to rodzaj wiedzy, ściśle związanej z osobistością, i tylko zależnej od nieświa-

domej pamięci, a stąd prawie wcale nie może być innym przekazywaną; o tyle znów rzecz się ma wprost przeciwnie z właściwą nauką. Jest to już bowiem wyższego rzędu wiedza, bo na wyższych zdolnościach umysłu oparta; a że w świadomej pamięci przechowywana, może być zatem z największą łatwością i całkowicie innym przekazywaną, czy to zapomocą mowy, czy pisma, druku itp.

Nawet i niektóre zwierzęta mogą sobie przyswoić coś w rodzaju umiejętności. Są np. tresowane psy, tresowane kozy, małpy, niedźwiedzie; bywają też nawet i pchły tresowane. Ale zato żadnemu zwierzęciu nie podobna wykładać nauki, ponieważ żadne nie zdolne wiązać przyczyn i skutków, a tem samem też i nauki pojąć nie zdolne.

Każdą umiejętność najłatwiej się przyswaja za młodu, dopóki jeszcze członki i muszkuły dość giętkie; podczas gdy naukę właśnie najwyżej się ceni i najłatwiej zdobywa dopiero w późniejszym wieku, kiedy umysł już dojrzalszy.

Tak więc rozwinięcie umiejętności, nie zwiększa korzyści cywilizacyi, a przeciwnie, zwiększa je rozwój nauki.

Właściwa nauka nic nie ma wspólnego z prawami ludzkiemi, chyba że chodzi o zjawiska, mające być przedmiotem badań w celu wykrycia ich przyczyn wypływających z praw natury. Więc może być nauka jurisprudencyi albo prawa; może być także i nauka gramatyki, języka, lub też nauka zajmująca się umysłem i jego czynnościami. Ale zawsze celem takich nauk jest wykrycie praw natury, w których prawa ludzkie, oraz ludzkie zwyczaje i sposób myślenia, początek biorą.

Prawa ludzkie ustanawia człowiek, a stąd posiadają te same wady, i również słabe jak i sam ich twórca. Aby im więc zapewnić poszanowanie, musi zarazem

naznaczać kary za ich pogwałcenie. Zowie się to sankcyą. Bez tego, czyli bez oznaczenia kary, żadna uchwała ciał prawodawczych nie miałaby mocy; postanowienie bez sankcyi, byłby to tylko wyraz życzenia, ale nie objaw woli.

Prawa ludzkie uznawane tylko przez ludzi, i to nawet nie przez wszystkich, ani też nie wszędzie i nie zawsze. Uznają je (i to tylko w części) jedynie ci, których dosięga owa polityczna władza, co te prawa ustanowiła, i to jeżeli dość posiada mocy, aby naznaczone kary wykonać.

Tak więc prawo ludzkie tylko do pewnych miejsc się odnosi, zależnie od politycznego ich podziału; a w dodatku ciągłym jeszcze ulega zmianom. Prawa natury zaś należą do naturalnego porządku rzeczy, porządku, który jest podstawą nietylko samego człowieka, ale wogóle wszystkiego. Tu już żadnej nie ma sankcyi, tj. naznaczenia kar za ich pogwałcenie, bo one zresztą nie mogą być pogwałcone. Człowiek przecie nie może oporu im stawiać ani ich też pomijać, tak samo jak nie może drugiego zbudować świata. Prawa natury uznawane nietylko przez wszystkich ludzi wszystkich czasów i miejsc, ale także wogóle nawet przez wszystkie istoty żyjące i rzeczy martwe. Władza tych praw rozciąga się nietylko do całej kuli ziemskiej, ale wogóle nawet do całego wszechświata, którego ziemia jest cząstką. A o ile się o tem możemy przekonać, czy to przez obserwacyę, czy rozumem naszym, prawa te zgoła żadnym nie ulegają zmianom, ale zawsze były, są i pozostaną takiemi samemi, ponieważ nie są wyrazem zmiennej woli człowieka ale stałej woli Boga.

Wracam jeszcze do różnicy między prawem natury a prawem ludzkiem, ponieważ to niezmiernie potrzebne przy rozpoczęciu nauki ekonomii politycznej. Należy więc dobrze zrozumieć, na czem ta różnica polega, i dobrze ją sobie w pamięci zachować. Jest to

tem ważniejsze, ponieważ w uznanych dziełach ekonomicznych, oba te rodzaje praw pomieszane razem pod wspólną nazwą praw ekonomii politycznej.

Nie będę tu wiele przytaczał przykładów tego pomieszania, — jeden wystarczy. To bowiem, co w uniwersytetach i kolegiach uchodzi za naukę, aż nadto mówi samo za siebie. Dość zatem wziąć do ręki jakiś pierwszy lepszy, przez jedno z tych uczonych ciał aprobowany podręcznik, np. Mason'a i Lalor'a.

Podręczniki i zawarte w nich niedorzeczności.

Treściwy ten wykład scholastycznej nauki ekonomii politycznej, uznany przez powagi naukowe, bardzo w kollegiach i uniwersytetach używany. Ten „Elementarz ekonomii politycznej“ zawiera 16 definicyi i 40 twierdzeń. Oto pierwsza z tych definicyi, razem z objaśnieniem.

„Ekonomia polityczna, jest to nauka, która mówi „o prawach rządzących produkcyą, rozdziałem i wy-„mianą bogactw“.

„Wszystko na tym świecie podlega prawom. Pra-„wa ludzkie, ustanawia człowiek; a wszelkie inne są „prawami natury. Prawo nakazujące uczyć dzieci w „szkołach, jest prawem ludzkiem. Ale że dzieci muszą „róść, dopóki nie dosięgną wieku dojrzałości; i że po-„tem muszą się starzeć, a wreszcie umrzeć: — to już „jest prawo natury. Jabłko spada z drzewa, a ziemia „się wokoło słońca obraca — bo takie prawo natury. „A produkcya, rozdział i wymiana bogactw, podlega „obu tym rodzajom prawa. Ważniejszy tu jednak wpływ „prawa natury“.

W taki to sposób autorzy chcą uwydatnić zasadniczą różnicę między prawami ludzkiemi a prawami natury. Ale sposób, w jaki oba te rodzaje praw łączą razem w prawa ekonomiczne, przypomina raczej ćwiczenie ucznia, któremu w głowie strzelba i wędka raczej a nie lekcya.

Ale autorzy streścili tu jedynie poglądy, wygłaszane w najpoważniejszych dziełach. Niemniej jednak śmieszne takie pomieszanie obu tych rodzai praw. Aby módz powiedzieć że „wszystko na świecie podlega prawom“ trzeba dodać że prawom natury.

A dalej, mówi się tam że ekonomia polityczna, to nauka traktująca o prawach (obu rodzajów) które rządzą produkcyą, rozdziałem i wymianą bogactw. Ależ z równą logiką możnaby także powiedzieć, że astronomia, jest to nauka o prawach, z których jedne są prawami ruchu i materyi, a inne znów, to bulle papieskie i uchwały parlamentarne, które rządzą ruchem ciał niebieskich.

A taka brednia wydaje się jaskrawszą w elementarzu niż w dziełach poważnych, z których pochodzi. Tam bowiem ginie wśród mnóstwa innych niestosownych argumentów i zupełnego braku logiki w ich układzie. Stąd się też nader rzadko czytelnik może w takim chaosie zoryentować, i doszukać się w tej gmatwaninie właściwego jej znaczenia. Najczęściej też daje za wygranę, w przypuszczeniu że niezdolny iść śladem jakichś głęboko uczonych mężów, którym, zdaje się, łatwo przychodzi zrozumieć to, czego on zgoła pojąć nie mógł.

Ale wykład tego, co w naszych szkołach uchodzi za naukę ekonomii politycznej, często zawiera też coś, co w samej rzeczy należy do nauki, ale jest zagmatwane i przyduszone. Turgot to już przed 100 laty nazwał sztuką, sztuką mianowicie dla tych, którzy się zabierają do rzeczy dla siebie ciemnych lecz jasnych dla umysłów otwartych.

A to, co ten wielki Francuz XVIII w. powiedział, warto tu powtórzyć, ponieważ co chwila dałoby się stosować do pism profesorów ekonomii politycznej tego stulecia (19) a zwłaszcza też z ostatnich jego lat. Oto są słowa Turgot'a.

„Sztuka ta zasadza się na tem, aby nigdy nie za-„czynać od początku, ale od razu zapuścić się w głąb „rzeczy, w jądro ich wszystkich komplikacyi. Albo też „zacząć można od jakiegoś faktu oderwanego, od wy-„jątku, albo od jakiejś odosobnionej, pobocznej i na-„ciągniętej okoliczności, która wcale do kwestyi głó-„wnej nie należy, a więc i na jej rozwiązanie zgoła „wpływać nie może".

Jeżeli ekonomia polityczna jest nauką, musi się do prawideł nauki stosować, i w prawach natury szukać przyczyn zjawisk, któremi się zajmuje. Jeżeli zaś nie jest nauką, to wogóle nie warto nią sobie głowy zaprzątać. Ale z prawami ludzkiemi nic zgoła nie ma do czynienia. Dotyczy bowiem tylko praw stałych, a nie przemijających, czyli dotyczy praw natury a nie praw ludzkich.

ROZDZIAŁ IX.

Ekonomia zwana ekonomią polityczną.

Jej znaczenie, jej jednostki i cel.

Wyraz *ekonomia*. — Wyraz *polityczna*. — Początek nazwy *ekonomia polityczna* — Nazwa powodem zamętu. — Określenie *polityczna*, nie odnosi się do ciała politycznego ale do ciała ekonomicznego. — Jej jednostki i system układu tego, o czem traktuje. — Jej cel.

Wyraz *ekonomia*, pochodzi od dwóch wyrazów greckich, a mianowicie: dom i prawo. Oba te wyrazy, razem wzięte, mają tu znaczyć zarząd materyalnej części domu, albo raczej spraw domowych, czyli w najpospolitszem tego słowa znaczeniu, tyle co unikanie niepotrzebnych wydatków.

Ekonomicznie też zarządza się pieniędzmi, czasem, siłą albo materyałem wtedy, gdy się osiąga najlepszy skutek przy najmniejszych wydatkach.

W szerszem znaczeniu jest to system, układ, zastosowanie środków do celów, albo części do całości. Stąd mówi się o ekonomii niebios; o ekonomii systemu słonecznego; o ekonomii królestwa roślinnego lub zwierzęcego; o ekonomii ludzkiego ciała. Słowem mówi się o ekonomii wszystkiego, co zawiera w sobie, lub co pozwala tylko przypuszczać zastosowanie środków do celów, albo złożenie części w całość.

A jak mamy ekonomię spraw osobistych; ekonomię domową; ekonomię gospodarstwa, warsztatu lub

kolei, tak samo jest też i ekonomia grupy albo społeczeństwa, w którem cywilizowany człowiek żyje. Taka ekonomia szczególniej dotyczy systemu zaspakajania potrzeb materyalnych; produkcyi i rozdziału bogactwa.

Wyraz *polityczna*, oznacza stosunek do grupy obywateli, do kraju, słowem do ciała politycznego, a stąd ekonomia polityczna, jest to szczególny rodzaj ekonomii. Biorąc w dosłownem znaczeniu tych wyrazów, jest to ten rodzaj ekonomii, który się odnosi do społeczeństwa, do kraju, czyli do społecznej całości, a nie do jednostek.

Często jednak, dla wygody, używamy przez skrócenie tylko *ekonomia*, ale zawsze w znaczeniu ekonomii politycznej. Weszło to już w zwyczaj, że mówi się np. literatura ekonomii, zasady ekonomii, lub nazwy ekonomii. Niektórzy jednak nowsi pisarze już zaczynają używać tylko nazwy *ekonomia* zamiast samej ekonomii politycznej. Z tem trzeba być bardzo ostrożnym, tembardziej że to, co się zazwyczaj pod tą nazwą kryje, nie jest właściwą ekonomią polityczną, jak to później tu wykażę.

Adam Smith, który nie bez podstawy uchodzi za ojca ekonomii politycznej, i który już na schyłku XVIII w. silny dał popęd do badań w zakresie tej nauki, dziełu swemu jednak dał tytuł „O bogactwie narodów“; a niemcy znów nazywają ekonomią narodową to, co my nazywamy ekonomią polityczną.

Ale nie chodzi tu zresztą o samą nazwę, byle tylko jej znaczenie właściwie rozumieć. Czy się to nazywa ekonomia polityczna, czy ekonomia narodowa, czy wreszcie bogactwo narodów, zawsze można przypuszczać to samo właściwe pojęcie.

Używanie nazwy *ekonomia polityczna*, datuje się od czasu, kiedy to jeszcze nie uwzględniano różnicy między prawami natury a prawami ludzkiemi. Wtedy też to, co nazwałem ciałem ekonomicznem, brano je-

szcze za jedno z tem, co właściwie jest ciałem politycznem. A w owej to chwili, ogólnem było w Europie mniemanie — i to nawet w kołach ludzi myślących — że i produkcyę i rozdział bogactwa, dałoby się uregulować na drodze prawodawczej.

A pierwszy podobno użył tej nazwy Antoine de Montchretien, autor dzieła pt. „Traité de l'economie politique", które wyszło w Rouen 1615 r. Inni jednak dopiero w jakieś 130 czy nawet 140 lat później, może nie wynaleźli ale ją przynajmniej upowszechnili. Byli to Francuzi, obrońcy teoryi praw naturalnych czyli raczej naturalnego porządku, a którychby dziś najwłaściwiej nazwać zwolennikami jednego podatku. Użyli oni nazwy *ekonomia polityczna* dlatego właśnie, aby odróżnić od polityki tę przez nich uprawianą gałąź wiedzy, z powodu której sami nazwali się ekonomistami.

Ale Adam Smith nazwy tej używał tylko wtedy, gdy mówił „o tej sekcie", do której należała „garść ludzi głęboko uczonych i utalentowanych". A chociaż ci ekonomiści upadli, i prawie już całkiem o nich zapomniano, to jednak utrzymała się nadana przez nich nazwa. Nazwę tę bowiem od czasu Smith'a ogólnie przyjęto, a to dla oznaczenia tej gałęzi wiedzy, która mówi o naturze bogactwa, a także o prawach rządzących jego produkcyą i rozdziałem.

Ala ta nazwa istotnie robi wrażenie, jak gdyby dotyczyła polityki a nie ekonomii. Stąd też i dziś się jeszcze zdarza mieszanie z polityką tego, co właśnie dla odróżnienia od niej, nazwano ekonomią polityczną.

Wyraz *polityczna* mówi jak gdyby tu w samej rzeczy chodziło o rządy cywilne, o jakieś panowanie, a nie o prawo natury.

Pewne rozgraniczenie na obszary, różniące się co do władzy stanowienia praw i zmuszania do posłu-

szeństwa im, nazywamy podziałem politycznym; większe zaś takie polityczne jednostki z uznaną władzą najwyższą, nazywamy narodami.

Ważne zatem aby to sobie dobrze zapamiętać, że prawa, któremi się ekonomia polityczna przedewszystkiem zajmuje, nie są to jakieś ustawy ludzkie ani żadne prawa rządowe, ale prawa natury. I o tem również pamiętać należy, że te prawa nic nie mają wspólnego z podziałem politycznym — nie więcej jak np. prawa mechaniki, prawa optyki, albo też prawo ciężkości.

Dlatego też przedmiotem ekonomii politycznej, nie jest żadne ciało polityczne; zajmuje się ona wprost tylko ciałem społecznem, albo raczej ciałem przemysłowem, któremu dałem nazwę ciała ekonomicznego. Ekonomia polityczna więc nie zajmuje się wcale tą rzeszą ludzką, której człowiek jest członkiem, wskutek swej przynależności albo też wskutek złożenia przysięgi na wierność jakiemuś monarsze lub rzeczypospolitej; zajmuje się natomiast rzeszą ludzką, której on jest członkiem już przez sam fakt że w niej żyje; i że żyjąc w społeczeństwie, już nie potrzebuje sam wszystkich swoich potrzeb materyalnych zaspokajać, gdyż je zaspokajają inni, pojedyńczo lub też wspólnemi siłami. Ale sam fakt należenia do takiego związku, nikogo jeszcze nie czyni obywatelem kraju; czyni go tylko człowiekiem cywilizowanym, czyli członkiem cywilizowanego świata — słowem jednostką ciała ekonomicznego, z którem nic nie ma wspólnego polityczny podział na kraje i narody, tak jak nie mają nic z sobą wspólnego np. kolor i kształt

Czem krew dla ciała ludzkiego, tem bogactwo dla ciała ekonomicznego.

Jednostką ludzkiego życia, jest osobnik.

Od pierwszej chwili rozbudzenia naszej świadomości — przynajmniej o ile pamięć sięga — najsilniej czujemy to, że

nasze *ja*, jest czemś różnem od innych rzeczy; nie możemy zatem pojąć, dlaczegoby osobowość tego *ja*, miała koniecznie utonąć w innych takich osobowościach, choćby to nawet były istoty blizkie i drogie naszemu sercu.

Najniższa jednak jednostka, jaką się ekonomia polityczna zajmuje, często łączy rodzinę z osobą. Bo chociaż ludzkie osobniki mogą wprawdzie przez jakiś czas istnieć w odosobnieniu, ale to nienaturalne warunki. Życie człowieka, jak wiemy, zaczyna się od zespolenia osobników, a nawet i po narodzeniu jeszcze do pewnego czasu może istnieć tylko w warunkach, które tę nowoprzybyłą osobistość, czynią całkowicie zależną od poprzedników; dalszy zaś jej rozwój aż do zupełnej dojrzałości, koniecznie wymaga połączenia osobników w jedną ekonomiczną jednostkę.

Kiedy więc przyjdzie nam tu mówić o takich jednostkach, to trzeba wiedzieć że się ta nazwa odnosi nietylko do pojedyńczych osób, ale obejmuje także i więcej osób, razem w taką jednostkę połączonych, a to z powodu potrzeb życia rodzinnego.

Ale ekonomia jednostki ekonomicznej, to jeszcze nie ekonomia polityczna. Prawa, któremi się taka ekonomia zajmuje, to nie te prawa, któremi się zajmuje ekonomia polityczna. Są to prawa dotyczące osobnika lub rodziny. Ekonomia osobista albo rodzinna, mogłaby chyba mówić o produkcyi bogactwa, ale tylko w granicach produkcyi takiej jednostki. A chociażby nawet te prawa, z powodu jej zajęć rolnych i mechanicznych, przyjęły cechę praw fizycznych, to jednak i wtedy jeszczeby się nie mogła rozdziałem bogactwa zajmować w ekonomicznem znaczeniu tego słowa. Rozdział bowiem między członków takiej rodziny, bogactwa jakie ona zgromadziła, byłby regulowany tylko przez prawa osobiste lub rodzinne, a nie przez prawo rządzące podziałem owoców społecznie połączonych usiłowań.

Kiedy w naturalnym okresie rozwoju i dojrzewania ludzkiego, ekonomiczne jednostki tak się już z sobą zespolą, że się już wspólnemi siłami mogą starać o zaspokajanie swych materyalnych pragnień, — wtedy to zaczyna się już objawiać działanie praw, których wykrywanie jest właśnie zadaniem ekonomii politycznej.

System, czyli plan takiego zaspokajania tych pragnień, możnaby porównać z maszyną w rodzaju młyńskiego ganka. Wszyscy tam razem sypią swoje miarki ziarna, aby się potem mąką podzielić.

Ale weźmy inny, jeszcze dosadniejszy przykład.

Ów system czyli plan, możnaby także przyrównać do systemu odżywiania fizycznego ciała.

Najniższa jednostka życia zwierzęcego, o ile nam wiadomo, to pojedyńcza komórka, która pochłaniając i zużywając swój własny pokarm, sama zaspokaja swe potrzeby.

Ale wśród najwyższych form zwierzęcego życia — a człowiek tu okazem typowym — niezliczone mnóstwo takich komórek połączyło się w jego organizmie, i razem spełnia różne, czasem bardzo złożone czynności, aby wspólnemi siłami znaleźć, strawić i pochłonąć pokarm, w celu odżywienia każdej pojedyńczej komórki, a tem samem i podtrzymania całego organizmu.

Tu już więc pojedyńcze komórki nie karmią się same; nie karmi się nawet sam mózg, ani sam żołądek, ani ręce i nogi, ani same oczy i uszy, ani nawet same zęby, włosy, kości, nerwy, arterye, żyły itd. Ale co dostarczą przez mózg kierowane ręce z udziałem nóg i innych organów, to zapomocą zębów przemacerowane w ustach, idzie przez gardło na alembik żołądkowy, i po ostatecznem strawieniu w kiszkach, tam zamienione już w masę ciekłą, zawierającą wszystkie pożywne części, zostaje przy pomocy płuc utlenione, i pompowane przez serce, całe obiega ciało, a to dzięki roz-

gałęzionej sieci arteryi i żył, które tę ciecz wszędzie dostarczają tak, że każda część, każda komórka, otrzymuje przeznaczone dla niej pożywienie.

A czem taka krew dla ciała fizycznego, tem znów bogactwo dla ciała ekonomicznego, co się tu później jeszcze lepiej okaże. Krew się wytwarza i po całem ciele rozchodzi za przyczyną prawie całego człowieka, ze wszystkiemi jego władzami i czynnościami oraz prawami, które tem rządzą. Tak samo i to, co obejmuje ekonomia polityczna — nauka traktująca o produkcyi i rozdziale bogactwa — jest to również prawie całe ciało społeczne ze wszystkiemi jego władzami i czynnościami, oraz prawami, które tem rządzą.

Aby wyjaśnić cel ekonomii politycznej, dość powiedzieć, że jest to nauka wskazująca ludziom cywilizowanym sposoby zaspokajania potrzeb. Jasno tę myśl wyraża produkcya i rozdział bogactw. Przyczynę tego szczegółowo tu później wyjaśnię, a tymczasem warto zwrócić uwagę na owe sposoby zaspokajania potrzeb.

Otóż widzimy tu dwie tylko drogi, któremi ludzie — a przynajmniej niektórzy ludzie — do celu tego dochodzą.

Pierwszy sposób — to praca, czyli oddawanie usług.

Drugi sposób — to kradzież, czyli wydarcie tych usług.

Ale właściwie tylko jeden z tych sposobów, mianowicie pierwszy, zdolny zaspokajać materyalne potrzeby człowieka, albo raczej ludzi wogóle, tj. wszystkich ludzi.

Jest to wprost wykluczone, aby wszyscy ludzie mogli swe potrzeby przez kradzież zaspokajać. Byłoby to również niemożliwe nawet i dla jakiejś znaczniejszej tylko ich części. A dlatego niemożliwe, ponieważ taka już natura rzeczy, że tylko praca czyli dostarczanie

usług, to jedynie możliwy sposób zaspokajania materyalnych potrzeb.

Kradzież nic nie produkuje; ona tylko inaczej rozdziela gotowe już produkta.

Dlatego to kradzież ma swoje znaczenie w ekonomii osobistej i w ekonomii ciał politycznych. Jakiś szczęśliwy złodziej, który hojnie obdarował kościoły, biblioteki, zakłady naukowe i miłosierne, może być, w imię takiej ekonomii, uważanym nawet za dobrodzieja, o którym może tak by mówiono, jak Cezar mówi o Antoniuszu:

Przywiódł wielkie mnóstwo niewolników,
Więc z okupu wiele zgarnie bogactw.

Ale prawdziwa nauka ekonomii politycznej, wcale kradzieży w rachunek nie bierze; tylko się wtedy nią zajmuje, jeżeli zbyt liczne jej formy, mogłyby wpłynąć na zmianę naturalnego rozdziału bogactw, a przez to utrudnić naturalną ich produkcyę.

Dodać tu jednak trzeba, że ekonomii politycznej nie obchodzi charakter pragnień, o których zaspokojenie idzie. Nie pyta również co znagliło do starania się o zaspokojenie tych potrzeb; ani też zgoła jej nie obchodzi ostateczne ich zaspokojenie, będące celem tych starań.

Możnaby tu ekonomię polityczną porównać z nauką żeglugi. Nauka żeglugi zajmuje się tylko środkami, zapomocą których możnaby okręt z miejsca na miejsce przenieść; ale jej zgoła nie obchodzi, czy to okręt rozbójniczy, czyli też jakiejś pobożnej missyi; ani też nie pyta co pasażerów skłania do podróży, lub czy ich nadzieje nie zawiodą. Ekonomia polityczna nie jest nauką o moralności, ani też nauką o polityce. Jest to tylko nauka o środkach zabezpieczenia bytu i wyżywienia ciała społecznego.

Zdarza się wprawdzie że ekonomia polityczna czasem nawet bardzo silne rzuca światło na naukę o moralności, i nawet bardzo ją silnie wspiera, jednakże nie do niej należy wyjaśnianie różnicy złego od dobrego. Zajmuje się tylko prawami naturalnemi, które rządzą produkcyą i rozdziałem bogactw w organizmie społecznym, a nic jej nie obchodzą żadne ustawy ciał politycznych.

ROZDZIAŁ X.

Zasady ekonomii politycznej.

Jakby powinna się rozwijać, i czego szuka.

Jak należy rozumieć system złożony. — Ekonomia polityczna właśnie szuka celu takiego systemu. — Te prawa, to naturalne prawa ludzkiej natury. — Dwie zasady uznane przez ekonomię polityczną. — Rozum je tylko wyróżnia. — Ludzka wola oddziaływa na świat materyalny tylko przez prawa natury. —

Aby zrozumieć jakiś bardziej złożony mechanizm, trzeba przedewszystkiem poznać punkt wyjścia i ostateczny wynik jego ruchów, pomijając przytem szczegóły, dopóki się jeszcze nie rozumie przewodniej myśli całego urządzenia. W ten tylko sposób najłatwiej dostrzedz wzajemny stosunek wszystkich części, i części do całości, poczem już nie trudno zrozumieć przeznaczenie każdej najdrobniejszej cząstki, i wszystkich razem. Maszyna byłaby dla nas zagadką, gdybyśmy nie poznali jej celu.

Kiedy jeszcze kołowce, nawet w Stanach Zjednoczonych, były rzeczą prawie nieznaną, zwłaszcza gdzieś na głębokiej prowincyi, pewien jegomość posłał taki okaz w darze, rozebrawszy go jednak na części, a to dla łatwiejszego opakowania. Ale ponieważ paczka doszła na miejsce swego przeznaczenia wcześniej aniżeli pismo, żadną więc miarą nie mógł się obdarowany kre-

wniak domyśleć, co to za maszyna i do czego ma służyć. Po długich dopiero naradach i próbach, ktoś nareszcie odgadł przeznaczenie zagadkowego mechanizmu, a wtedy już nie trudno przyszło złożyć całość z pojedyńczych jego części.

Raz też pewien dziki dość zresztą rozgarnięty, znalazłszy się w jednem z największych ognisk przemysłu cywilizowanego świata, zwrócił uwagę na jakąś wielką fabrykę. Zastanowiło go mianowicie warczenie kół, zgrzyt narzędzi, szmer pasów, stękanie tłoków, walenie młotów; myślał bowiem, że wszystkie te odgłosy wcale od siebie niezależne. Niebawem jednak spostrzega, że pojedyńcze części składają jednę wielką całość, a to celem korzystania ze wspólnej siły, otrzymywanej z zamiany węgla na ciepło, a ciepła na parę. Spostrzegł nadto, że chodzi tu o przerabianie surowej bawełny, jedwabiu i wełny, na rozmaite tkaniny.

Tak więc rozum nasz pozwala nam rozumieć dzieła ludzkie, a to przez poznanie przyczyny ich powstawania; pozwala nam również wyjaśniać sobie naturę przez przypuszczenie podobnych przyczyn. Pytanie dziecka „A na co to?“ to klucz, którym otwieramy zamki kryjące tajniki przyrody. W ten sposób wszystkie porobiono odkrycia na polu nauk przyrodzonych; a więc i dla nas tu będzie to najlepszy sposób badania. Bardziej złożone zjawiska w zakresie produkcyi i rozdziału bogactwa, wobec tak bardzo powikłanych stosunków w organizmie cywilizowanego społeczeństwa, byłyby dla nas zagadką nie do rozwikłania, gdybyśmy je zaczynali badać nie od początku ale od środka, jak to bywa w wielu niedość jasno napisanych dziełach. Ale skoro się tylko znajdzie główne zasady tak, że już można sobie ogólny zrobić zarys i wie się o co idzie, wtedy już resztę łatwo przychodzi zrozumieć.

Niezmiernie powikłane i tak różnorodne stosunki, w jakich się zazwyczaj odbywa w cywilizowanem już

społeczeństwie, produkcya i rozdział bogactw, to właściwe pole ekonomii politycznej; bo to system, albo raczej plan bardzo podobny, tylko że bez porównania rozleglejszy, aniżeli system czyli plan jakiejś wielkiej fabryki. A kto chce zrozumieć rządzące nim prawa przyrody, ten musi postępować wskazaną tu przez nas, a jedynie naukową drogą. Tylko bowiem wtedy nie wpadnie w zamęt; a byłoby to nieuniknione, gdyby rozpoczął od środka, zamiast od początku.

Te ruchy tak różne, i tak powikłane w stosunkach, któremi się ekonomia polityczna zajmuje, powstają pod wpływem ludzkiej woli, pobudzonej przez życzenia. Jako środki do tego, służą — materyał i siły, jakich człowiekowi przyroda dostarcza, oraz prawa tej przyrody, którym te siły podlegają — a celem tu: zaspokojenie materyalnych potrzeb człowieka. W dzisiejszych warunkach cywilizacyi, wszelka czynność taka, stojąca w związku z produkcyą i rozdziałem bogactw, zawsze dąży do jakiejś zmiany materyałów albo sił przez przyrodę dostarczonych, — zmiany pod względem miejsca, kształtu lub stosunków, — a to jedynie dla lepszego zaspokojenia ludzkich pragnień. Czy człowiek kopie i sadzi, czy zbiera i gromadzi, piecze i warzy, czy tka i farbuje albo szyje i pierze, przenosi lub wysyła albo sprzedaje i kupuje, słowem cokolwiek robi, zawsze w tym samym celu.

Tak więc ten ruch, którym się ekonomia polityczna zajmuje, to czynności ludzkie, podjęte dla zaspokojenia materyalnych potrzeb. A prawa, których ekonomia polityczna szuka, nie są to prawa dotyczące materyałów i użytych tu przez człowieka sił przyrody, ani też prawa, które umożliwiają zmianę ich miejsca, kształtu lub stosunku, — ale prawa natury samego człowieka, prawa odnoszące się do jego własnej działalności, wynikającej z usiłowania aby zaspokoić pragnienia przez dokonanie takich zmian.

W pojęciu człowieka, świat składa się z trzech pierwiastków czyli czynników: ducha materyi i energii. Że jednak te trzy czynniki skupione w człowieku i w naturze, przeto świat — uważany ze stanowiska ekonomii politycznej — ma tylko dwa czynniki: człowieka i naturę. A z tych dwóch czynników, ludzki jest początkującym, czynnym, t. j. takim, który zaczyna czyli pierwszy działa; a czynnik natury jest biernym, t. j. takim, który sam nie działa, ale tylko odpowiada na działanie tamtego. Z połączenia zaś obu tych czynników wynika wszystko, czem się ekonomia polityczna zajmuje, t. j. wynikają stąd wszelkie, przez człowieka spowodowane zmiany rzeczy materyalnych, czy to pod względem miejsca, kształtu, czy też warunków, i to tak, aby te rzeczy tem lepiej przygotować do zaspokojenia jego pragnień.

Fatalny zamęt w pracach współczesnych ekonomistów.

Między rzeczami materyalnemi, będącemi dziełem człowieka, a temi, które sama tylko natura do życia powołała, różnica aż nadto widoczna, tak widoczna, jak np. różnica między piramidą i górą. A tu chyba każdy od razu spostrzega tę różnicę, tylko że nie za pośrednictwem zmysłów. Zwierzęta przecie, których zmysły nawet wrażliwsze niż nasze, zdaje się jednak że niezdolne pojąć tej różnicy. Czyny najinteligentniejszego psa, wcale nie zdradzają ani śladu pojmowania różnicy np. między pomnikiem z kamienia i zwyczajnym kamieniem, a cóż dopiero mówić o innych rzeczach. Bywają przecie i takie, że tylko znawca może powiedzieć: czy to wyrób człowieka, czy też produkt natury.

Do wszystkiego, cokolwiek człowiek chce zrobić, musi mieć gotową, od wieków już istniejącą materyę; a jakikolwiek ruch chce wywołać, musi potrzebną do tego energię czerpać z jej odwiecznie istniejącego zapasu. Zabierzmy mu wszystko to, co pochodzi od ze-

wnętrznej natury, i wszystko to, co należy do ziemi — tego ekonomicznego czynnika — a cóż mu wtedy zostanie? Zostanie coś dla zmysłów niepochwytnego, ale coś, co jest ostateczną przyczyną wrażenia. A nie posiada to ani kształtu ani materyi ani siły, któraby mogła bezpośrednio oddziaływać na świat materyalny, a jednak to początkowy daje popęd, i zużywa ruch dla nadania materyi żądanych kształtów. Musimy to coś uważać za źródło takiej np. piramidy, jako też nieskończonego mnóstwa innych zdumiewających rzeczy.

Nie myślę tu bez potrzeby sięgać zbyt daleko, gdzieś aż do głębokich zagadnień bytu i pochodzenia, gdzie rozum już nie wystarcza, i w jeszcze większych pogrąża nas ciemnościach. Musimy jednak odszukać początku nici, i tam ją uchwycić, bo tylko wtedy da się bez poplątania, z kłębka odwinąć. Inaczej fatalny można wywołać zamęt. Dowodem tego prace współczesnych ekonomistów, u których kapitał jest źródłem produkcyi, praca produktem, a ziemia czemś w rodzaju rolniczego narzędzia, którem się hoduje bydło, uprawia zboże i kapustę.

Koniecznie więc trzeba tu gruntownie poznać początek rzeczy, należących do prawdziwej nauki ekonomii politycznej. Pojawienie się człowieka, nawet o włos nie powiększyło ani sumy energii, ani też sumy materyi już od wieków na świecie istniejącej — a tak samo dzieje się i teraz. Człowiek wprawdzie może materyę przemieniać, nie może jednak ani zgoła nic ująć, ani też nic dodać do sumy już istniejącej materyi i energii. Zmienia on tylko miejsce, kształty i stosunki tego, co już istniało. Głównym przeto i nieodzownym warunkiem działania człowieka, jest posiadanie materyi i siły; bez tego nie może nic zrobić, nawet dla podtrzymania własnego bytu.

Materya i energia, to czynniki niespożyte, a ich formy są tylko przemianą form poprzednich. Wiadomo

również że ciała nieorganiczne, nie mogą się same zamienić na organiczne; oraz że życie roślinne, może powstać jedynie z życia roślinnego, a życie zwierzęce, z życia zwierzęcego, tak jak znów życie ludzkie, tylko z życia ludzkiego. Pomimo wszelkich w tym kierunku podejmowanych spekulacyi, nigdy się jeszcze nie udało wyprodukować jednego gatunku, z drugiego, zasadniczo różnego gatunku. Sposób jednakże ogólnego układu rzeczy, wskazuje nam nieubłagany porządek istnienia, plan czyli ideę — coś, czego w człowieku zaledwie tylko słabe przebłyski widzimy.

Można stąd wyjaśnić świat, o którym nam mówią zmysły, a to przez świat, o którym nam zmysły nic nie mówią; czyli świat, który Plato nazwał ideą, a o którym my mówimy jako o duchu. Gdybyśmy jednak szukali pierwszej przyczyny, przyszłoby za taką przyjąć główną czyli wszechprzyczynową myśl, t. j. ducha — tego wszechtwórcę czyli stworzyciela, któremu na imię Bóg.

Ale nie wychodźmy z granic naszej wiedzy. Świadoma wola człowieka — ta, która czuje, rozumuje, układa plany, kombinuje — objawia się w formach materyalnych, ulega stąd pewnej energii, nagromadzonej w naszych ciałach fizycznych, i (w niemowlęctwie) nauce jak władać rękoma, nogami i innymi organami. Za ich pomocą chciałaby ta świadoma wola opanować materyę, aby ją przemienić co do miejsca i kształtów — inne składy zapasów energii. Parowóz np. ciągnący za sobą długi pociąg z ładunkiem węgla, w każdej swej cząstce zmysłom widomej, jest on tylko nową formą tego, co już dawniej istniało. Wszystko, co w nim możemy zobaczyć, usłyszeć, dotknąć, spróbować, zważyć, zmierzyć, albo też chemicznej poddać próbie — słowem wszystko istniało już przedtem zanim się człowiek na świecie pojawił. A to, co zmieniło miejsce, kształt i czynności tej odwiecznej materyi

i ruchu, aby utworzyć z tego taki parowóz z pociągiem, jest to to samo, co tkwi w mózgu maszynisty, a u dziecka wyciąga rękę po księżyc lub robi babki z piasku. Czyli jest to ta sama świadoma wola, która szuka zaspokojenia pragnień przez zmianę kształtów materyi. Jest to więc główna siła pobudzająca, ów czynny pierwiastek, wytwarzający stosunki, które ma badać ekonomia polityczna. A ta wola jest w świecie początkującym czynnikiem; działać jednak może tylko pewnymi środkami i zależnie od pewnych jednakich wyników, które nazywamy prawami natury.

ROZDZIAŁ XI.

Pragnienia i ich zaspokajanie.

Rozległość i ważność badań ekonomii politycznej.

Działanie wypływa z życzeń i dąży do ich zaspokojenia. — Porządek życzeń. — Potrzeby. — Życzenia przedmiotowe i podmiotowe. — Życzenia materyalne i niematerialne. — Hierarchia życia i życzeń. —

Każdy czyn ludzki — a przynajmniej czyn świadomy i własnowolny — wypływa z życzenia, w celu jego zadowolenia. Może to być np. życzenie dostania czegoś, albo też uniknienia czegoś; życzenie jedzenia lub zapachu; albo życzenie uniknienia zimna, bólu czy swędu; życzenie wreszcie używania przyjemności albo też sprawienia przyjemności innym; albo życzenie sprawienia im przykrości lub bólu. Ale bez względu czy to będzie dodatnie czy ujemne, czy fizyczne czy duchowe, czy przyjemne czy też przykre, życzenie zawsze poprzedza czyn. Stąd to zawsze w niemały nas wprawia kłopot, trudność znalezienia powodu jakiegoś czynu, czyli życzenia które go poprzedziło. Zawsze więc gotowiśmy w takich razach szukać, pewni że stoi ono w stosunku do czynu, jak przyczyna do skutku.

A takeśmy silnie przekonani o tym przyczynowym stosunku życzenia do czynu, że w razie niemożności wykrycia życzenia, gotowiśmy raczej wprost uwierzyć iż czyn wcale nie miał miejsca, a przynajmniej że był to czyn nieświadomy i bezwłasnowolny, tj. że człowiek

działał tu chyba pod wpływem jakiejś innej, ludzkiej albo raczej nadludzkiej woli, czyli że to poprostu musiał być waryat. W takich razach, gdy nie można wykryć życzenia poprzedzającego czyn, — chociaż to czyn świadomy i własnowolny, — wydaje się jednak tak bezmyślnym, że wbrew zapewnieniom, wbrew nawet i świadectwu naszych własnych zmysłów, zgoła nam niepodobna uwierzyć w jego spełnienie bez żadnego powodu.

Zazwyczaj bowiem życzenie jest bodźcem, a zaspokojenie tego życzenia, celem każdego czynu człowieka. Wszystko zatem co ludzie czynią aby coś otrzymać lub czegoś uniknąć, obejmuje nazwa *zaspokojenie życzeń*, czyli *pragnień*.

Niektóre z tych pragnień są podstawą tak ważną, że ich zaspokojenie, to niezbędna potrzeba życia; muszą być zatem najpierw zaspokojone, a dopiero potem inne mogą powstać życzenia.

Potrzeba powietrza, to niewątpliwie najgłówniejsza z ludzkich potrzeb. Ale że jej zaspokojenie tak łatwo nam przychodzi, więc tej ważności nie odczuwamy. Niechże jednak komuś powietrza zabraknie, wtedy dopiero pozna konieczną jego potrzebę tak, iż na razie gotów zapomnieć o wszystkich innych swoich potrzebach.

Podobnież z jedzeniem i piciem. Zaspokajanie tych wspólnych ze zwierzętami potrzeb, niezbędne do utrzymania naszego życia i zdrowia a także uniknienia przykrości.

Są to potrzeby główne; dopiero po ich zaspokojeniu, zjawia się mnóstwo innych. Kiedy bowiem pragnienia zwierząt w porównaniu małe i zawsze jednakie, pragnienia ludzkie natomiast nieograniczone, bo człowiek, to nigdy nienasycone zwierzę. Jego pragnienia rosną w miarę większej możności zaspokojenia takowych.

Jak odróżniamy niezbędną potrzebę od zbytku, tak też odróżniamy ją od naszych pragnień. Życze-

nia, których zaspokojenie konieczne do utrzymania życia i zdrowia, oraz dla uniknienia przykrości bólu — słowem życzenia wynikające ze zwierzęcej natury naszej, przywykliśmy nazywać potrzebami. Taka tu przynajmniej zusadnicza myśl; w praktyce jednak często się mówi o potrzebach, w znaczeniu zwykłych wygód, które się nam wydają umiarkowanemi, chociaż to pojęcie względne, bo zależy od przyzwyczajenia.

Jest tu więc pewna, chociaż niezbyt wyraźna, i względnego znaczenia różnica między życzeniem a potrzebą. Co innego więc powiedzieć, że zaspokajanie życzeń jest celem wszystkich czynów człowieka, a co innego znów że cel ludzkich zabiegów, to zaspokojenie potrzeb i zadowolenie życzeń.

Bez życzenia, człowiek nie mógłby nawet jako zwierzę istnieć. Tymczasem mędrcy wschodu — a Schopenhauer jest zachodnią ich odmianą — uczą, że rozumny człowiek powinien dążyć do stłumienia w sobie wszelkich pragnień; gdyż dopięcie tego, byłoby zawieszeniem istnienia w nim osobistości (indywidualności) którą oni uważają jako zło już samo w sobie. W rzeczywistości jednak, gdy się człowiek rozwija i pnie na coraz wyższy szczebel, rosną też i jego życzenia, jeżeli nie co do ilości, to przynajmniej co do jakości, bo stają się i wyższe i szersze pod względem celu.

Istota myśląca i przedmiot jej myśli.

A teraz o ludzkich życzeniach i odpowiedniem ich zaspokajaniu.

Niektóre mogą być subiektywne, czyli odnoszące się do osobistego umysłu — istota myśląca; inne znów mogą być obiektywne, t. j. odnoszące się do świata zewnętrznego — przedmiot jej myśli. Niektóre zaś bywają także niemateryalne, t. j. odnoszące się do rzeczy zmysłom niedostępnych — myśl i uczucie; inne znów bywają materyalne, t. j. odnoszące się do rzeczy zmysłom dostępnych — materya i energia.

Jest wprawdzie jakaś różnica między obu temi odmianami, ale w praktyce schodzi do bardzo małych rozmiarów. Życzenie subiektywne — jeżeli np. pragnę większej miłości, większej wiedzy albo szczęścia dla siebie samego — to zawsze niemateryalne życzenie. Ale za to nie zawsze życzenie obiektywne bywa materyalnem; mogę przecie pragnąć większej miłości, wiedzy lub szczęścia, dla kogoś innego. Należy jednak pamiętać:

1. Że łatwo bierzemy za niemateryalne to, co się tylko wydaje takiem; a to z powodu iż słowa wyrażają oderwane pojęcie właściwości rzeczy, jakie mają oznaczać, i bez których nie mogłyby istnieć jako rzeczy realnie pojęte. Miłość, wiedza albo szczęście, każe przypuszczać coś, co kocha, wie albo czuje, jak kolor biały każe przypuszczać rzecz białą.

2. Że gdyby tak niemateryalne rzeczy, — jak miłość, wiedza, szczęście — uchodziły za obiektywne, to — przynajmniej w zwykłych warunkach — nie moglibyśmy ich poznać. Jakżeż bowiem mógłbym je poznać, gdybym był pozbawiony wszystkich pięciu zmysłów, — tych okien, przez które się nasze *ja* dowiaduje o świecie materyalnym. Gdyby były zamknięte, w takim razie, musiałbym się chyba porozumiewać jakimś nadzwyczajnym sposobem, którego może tylko duchy używają dla porozumienia się z sobą.

Nadmieniam o tem jedynie dlatego, aby silniej zaznaczyć, że do dziedziny ekonomii politycznej, należą nietylko same potrzeby materyalne i ich zaspokajanie, ale także nieomal wszystkie ludzkie pragnienia i środki ich zaspokajania. Ale skoro zważymy jak silnie się w człowieku wiąże jego subiektywność z obiektywnością a duch z materyą, jeszcze się bardziej wtedy przekonywamy jak dalece ważnemi są dla życia ludzkiego, potrzeby materyalne i ich zaspokajanie. Człowiek wprawdzie obdarzony i czemś, co nie jest ma-

teryą; ale ta jego najskrytsza istota, ten duch czy dusza, zamknięta, uwięziona w materyi. A gdyby nawet i możliwem było istnienie ducha bez ciała, to wtedy nasze *ja*, przez brak zmysłów pozbawione wszelkiej łączności z materyą, byłoby chyba skazane na zupełne odosobnienie, jakoby więzień osamotniony.

Życie roślinne oparte na bycie nieorganicznym. A jeżeli zwierzę możnaby uważać za pewien rodzaj ruchomej rośliny, z dotatkiem jakiejś duszy zwierzęcej, to człowieka znów możnaby uważać za zwierzę, z dodatkiem, ma się rozumieć, duszy ludzkiej, czyli władzy rozumowania.

Musimy wprawdzie przypuścić, że pierwszą przyczyną wszechrzeczy, jest znany nam jako początkujący, ów najwyższy element, ale z zastrzeżeniem, że to jedynie fundament, na którym się coraz wyższy wznosił budynek. Głęboka ta prawda, tkwi już w samej idei ewolucyi, której jednak nie należy brać za jedno z jej materyalistycznem pojęciem, tak bardzo ostatniemi czasy upowszechnionem wśród płytkich myślicieli. Nigdy nikt przecie, nawet najbujniejszą wyobraźnią obdarzony, jeszcze się nie ośmielił twierdzić, że najpierw zjawił się człowiek, a po nim dopiero inne zwierzęta i rośliny, aż wreszcie sama ziemia i siły żywiołowe.

W hierarchii życia, jak wiemy, wyższy stoi po nad niższym, a ten znów nad jeszcze niższym, i tak od szczytu aż do podstawy. Taki sam też porządek i ludzkich pragnień. Najpierw też potrzeby zwierzęce, jako najważniejsze; a dopiero po ich zaspokojeniu, mogą powstawać inne, wyższe pragnienia. Tych zaś, którzy filozofię dotyczącą zaspokajania potrzeb materyalnych, gotowi uważać za jakąś podrzędną i nizką naukę — tych, mówię, możnaby porównać z budowniczym, który ozdoby ścian uważa za ważniejsze od fundamentów budynku.

ROZDZIAŁ XII.

Zasadnicze prawo ekonomii politycznej.

Ludzie dążą do tego, aby swe pragnienia zaspokajać jak najmniejszym kosztem.

Po wysiłku przychodzi znużenie. — Fakt że ludzie dążą do tego, aby swe pragnienia zaspokajać jaknajmniejszym kosztem. — Prawo natury i zasadnicze prawo ekonomii politycznej. — Samolubstwo. — Buckle. — Ekonomia polityczna nie rości sobie takich pretensyi. — Potrzeba pracy nie jest przekleństwem.

Czyn, to jedyny sposób zaspokajania pragień ludzkich.

Ale czyn, jeżeli trwa dłużej, staje się powodem wysiłku; świadome zaś przedłużanie wysiłku, wyradza niechęć i znużenie. A przyczyna tego, tkwi nieco głębiej aniżeli w wyczerpaniu energii przez t. z. pracę fizyczną. Również i dłuższe natężanie w jednym kierunku zwróconych myśli lub uczuć, wywołuje znużenie. Można przecie spokojnie i najwygodniej sobie leżeć, a jednak zmęczyć się bardziej niż przy rąbaniu drzewa.

Ale bez względu na przyczynę, praca, zawsze gdy trwa nieco dłużej, już sama przez się wtedy ciężka i przykra. A czy to z tej, czy też z innej racyi, dość że również jest faktem stwierdzonym, iż ludzie zawsze dążą do zaspokojenia swych pragnień, jaknajmniejszym kosztem wysiłku.

Ale to jeszcze, ma się rozumieć, bynajmniej nie znaczy, iżby im się to zawsze udawało. Tak samo przecie istnieje prawo fizyczne, że ruch dąży jedynie po linii prostej; a jednak nie znaczy to jeszcze, aby zawsze i wszystkie ciała, tylko się tak a nie inaczej poruszać miały. Ruch dąży tam, gdzie najmniej spotyka oporu. Podobnież i ludzie zawsze tylko szukają sposobu, za pomocą którego mogliby w danych warunkach fizycznych, społecznych i osobistych, zaspokajać swe pragnienia kosztem jaknajmniejszego wysiłku.

Czy to pochodzi z doświadczenia że praca jest przykrą, i dlatego każdy radby jej uniknąć, czy też nawet dalej jeszcze leży tego przyczyna — zawsze to jednak ma swe korzenie w jakiejś wrodzonej zasadzie ludzkiej natury. A to usiłowanie zaspokajania pragnień jaknajmniejszym kosztem wysiłku, jest tak ogólne i tak pewne, że się wprost nawet zalicza do praw natury.

Jest to właśnie owo zasadnicze prawo ekonomii politycznej, prawo główne, z którego bezpiecznie można wyciągać wnioski i wyjaśnienia. Ma ono takie samo znaczenie w ekonomii politycznej, jak np. prawo ciężkości w fizyce. Bez niego panowałby tam chaos.

Niezrozumienie więc tego prawa, spowodowało bardzo poważne a nader upowszechnione, błędne pojęcia co do natury ekonomii politycznej. Wbrew przeto zapewnieniom uznanych jej profesorów, tu właśnie leży powód, dlaczego nie zdobyła sobie takiego szacunku, jaki należy prawdziwej nauce.

A kiedy już nareszcie zaczynała zwracać na się uwagę ludzi myślących, wtedy to zamiast właściwej zasady że człowiek zawsze dąży do zaspokajania swych pragnień kosztem jaknajmniejszej pracy, postawiono inną zasadę: samolubstwa. I przyjąwszy że ekonomia polityczna, oprócz samolubstwa, innych uczuć ludzkich

zgoła w rachunek nie bierze, narzucono jej bezpodstawne twierdzenia jako prawa.

Stąd to upowszechniło się mniemanie, jakoby podstawą ekonomii politycznej, było samolubstwo.

Dla stwierdzenia tego, wcale tu chyba nie potrzeba przytaczać głosów urzędowych ekonomistów, ani też pisarzy jak Carlyle, Dickens lub Ruskin, którzy, uprzedzeni, mówią o niej z odrazą, jako o nauce słusznie straszną nazwanej. Powołam się raczej na świadectwo Buckle'a, który przecie uznał prawowierną ekonomię polityczną jako „jedyny przedmiot, ściśle związany ze sztuką rządzenia, wyniesioną do godności nauki.“ A że to przecie historyk rozwoju umysłu, dobrze więc zna on odnośną literaturę.

Otóż i Buckle rozumiał, że ekonomia polityczna, wyklucza wszelkie inne uczucia, oprócz tylko jednego, t. j. samolubstwa. Uważając „Bogactwo narodów“ za dzieło może najważniejsze ze wszystkich jakie kiedykolwiek napisano — mówi że Adam Smith „uogólnia sam prawa „bogactwa, nie z powodu jego zjawisk, ani też na pod„stawie danych statystycznych, ale z powodu objawów „samolubstwa. W ten sposób wyprowadza i zestawia „szereg duchowych pierwiastków z całym szeregiem „ekonomicznych faktów.“

Odpowiedź na wywody Buckle'a i Ad. Smith'a.

Wraca on jeszcze do tego przedmiotu w dziele swem „Badania szkockiej myśli XIX w.“ Adam Smith — mówi tam — napisał dwa wielkie dzieła. W obu trzyma się jednakiej metody, owej formy dedukcyjnej,“ wynikającej z rozdziału faktów już z natury swej nierozdzielnych.“ W pierwszem z tych dzieł („Teorya moralnych uczuć“) „wyłącza samolubstwo, a przyjmuje za podstawę jego wielką przeciwniczkę, sympatyę.“ Natomiast po 17 latach, w drugiem swem dziele („Bogactwo narodów“), wprost przeciwnie Smith przyjmuje że to właśnie samolubstwo głównie kieruje biegiem

ludzkich spraw, a poprzednio uznał że sympatya niemi rządzi. Dalej zaś Buckle jeszcze powtarza:

....„Smith wszędzie przypuszcza że samolubstwo, to „wielka siła ruchu wszystkich ludzi, wszystkich inte- „resów, wszystkich warstw, zawsze i wszędzie. Potęgę „zaś sympatyi, jako przeciwną, zupełnie wyłącza; a „przynajmiej nie pamiętam czy w całej tej książce choć „słowem o niej wspomina. Podstawą samolubstwa jest, „że każdy człowiek czyni jedynie to, co mu tylko wła- „sny jego interes wskazuje, albo raczej to, co mu się „wydaje być własnym jego interesem".

....„Tak to Adam Smith z gruntu zmienił założenie „swej poprzedniej pracy. Najpierw przedstawił ludzi „jako z natury sympatycznych, a później znów przed- „stawia ich jako z natury samolubów. Raz mówi że „jeśli gonią za bogactwem, to jedynie z uwagi na uczu- „cia innych i dla zjednania sobie ich przychylności; „a później znów przedstawia jako uganiających się za „bogactwem z pobudek nizkich, i wyłącznie tylko dla „własnej przyjemności. W „Bogactwie narodów" już „nie słyszymy nic o pojednawczym i sympatycznym „duchu; te przyjemne zasady poszły zupełnie w zapo- „mnienie, a sprawami świata już wyłącznie inne rządzą „czynniki. Okazuje się że miłość, współczucie, zgoła „żadnego nie mają wpływu na nasze postępowanie. „Adam Smith, rozumie się, zaledwie przypuszcza aby „pobudką czynu, mogło być jakieś uczucie ludzkości. „Jeżeli więc naród oswobodził swych niewolników, to „nie dowód jeszcze że działał tu z wyższych moral- „nych pobudek; ani że jego sympatyę dla tych nie- „szczęśliwych istot, pobudziło okrucieństwo, jakiego się „na nich dopuszczano. Nie — nic zgoła w tym ro- „dzaju. Takie pobudki istnieją chyba tylko w bujnej „wyobraźni a nie w rzeczywistości. Oswobodzenie „dowodzi jedynie że niewolników było niewielu, a więc

„małą też przedstawiali wartość. Inaczej nie zostaliby „uwolnieni.

„W pierwszem dziele, różne systemy moralności, „przypisał również potędze sympatyi, a później znów „te same systemy przypisuje potędze samolubstwa“.

Wciąż jeszcze w uznanej nauce ekonomii politycznej, pokutuje ten tak dobrze przez Buckle'a uzasadniony zarzut, jakoby się musiała opierać wyłącznie na samolubstwie ludzkiem. Nie brak też ataków ze strony pisarzy, którychby raczej należało nazwać sentymentalistami a nie ekonomistami. A jeżeli uznani ekonomiści mogą przypuszczać że samolubstwo ogólnie przyjęto jako zasadniczy pierwiastek ekonomii politycznej, to jakżeż się tu dziwić ich czytelnikom, jeżeli tak samo sądzą. Prawdziwa ekonomia polityczna nie zna takich przypuszczeń. Główny jej postulat, na którym i z którego cały gmach zbudowany, nie na tem polega że wszyscy ludzie kierują się tylko pobudkami samolubnemi, ale raczej polega na tem, że wszyscy ludzie dążą do zaspokojenia swych pragnień kosztem jaknajmniejszego wysiłku. Zasadnicze to prawo ekonomii politycznej — jak zresztą wogóle wszystkie inne prawa natury — o ile się do nas odnosi, jest najwyższem. A zarówno samolubstwo jak i miłość, tyle ma z niem wspólnego, ile np. z prawem ciężkości. Jest to po prostu fakt tylko, nic więcej.

Przykrość i znużenie — te nigdy nieuniknione następstwa dłużej trwającego wysiłku — to powód, dla którego nasi przodkowie uznali pracę jako karę boską za grzechy rodu ludzkiego. Dziś jednak, w świetle nowszej cywilizacyi, widzimy że to, co uznano za przekleństwo, w rzeczywistości dało pochop do nadzwyczajnego rozwoju ludzkich sił dla opanowania natury.

ROZDZIAŁ XIII.

Metody ekonomii politycznej.

Metody, jakie można stosować do badań w ekonomii politycznej.

Szkoła indukcyjna i dedukcyjna. — Encyklopedya. — Tryumf indukcyonistów. — Metoda indukcyjna i metoda dedukcyjna. — Metoda hipotezy. — Bacon w stosunku do indukcyi. — Istotny błąd dedukcyonistów i omyłka indukcyonistów. — Encyklopedya Lalor'a. — Następstwa tryumfu indukcyonistów. — Prawdziwa nauka ekonomii politycznej musi się trzymać metody dedukcyjnej. — Davis. — Podwójne zapewnienie o rzeczywistym postulacie ekonomii politycznej — Metoda umysłowego doświadczania.

Błędne pojęcie zasadniczego prawa, na którem jakaś nauka oparta, musi prowadzić do rozłamu i zamętu, jeżeli ją chcemy posunąć naprzód.

Co do ekonomii politycznej, to następstwa przyjęcia za jej podstawę samolubstwa, ujawniły się w sporach i zamieszaniu z powodu metody.

A zaczęło się to wkrótce po przyjęciu tej zasady przez instytucye naukowe; już więc od jakichś 60 czy nawet 70 lat, jest ona uznaną zasadą ekonomii politycznej.

Adam Smith i najwybitniejsi z pośród jego następców, trzymali się metody dedukcyjnej; ale niebawem wynikł też spór czy nie byłaby właściwszą metoda indukcyjna. Mając za sobą powagę autorytetu,

obrońcy metody dedukcyjnej — czyli ekonomiści „starej szkoły“, jak ich zaczęto nazywać — utrzymywali się jeszcze na pozycyi, pomimo niedorzeczności systemu, który usiłując podtrzymać, osłabiali swe dedukcye. Tymczasem coraz bardziej rośli w siłę ich przeciwnicy, różnie nazywani, ale ogólnie znani pod nazwą indukcyjnej albo „nowej szkoły“.

Ten prawie gołosłowny tylko spór, uwidocznił zamęt po obu stronach; a co się pod tem kryło, o tem będę miał tu jeszcze sposobność pomówić. Jaki zaś był stan rzeczy w obozie scholastycznym na początku siódmego dziesiątka bieżącego stulecia (19), da tego miarę ustęp artykułu p. t. „Ekonomia polityczna“ zamieszczonego w „N. Am. Encyklopedyi“ (z 1861). Autor, jako przeciwnik szkoły prawowiernych, najlepszą chyba da nam charakterystykę ówczesnego położenia.

„Dotychczasowy postęp w ekonomii politycznej, „był zbyt powolnym i niepewnym. Na całym jej ob- „szarze, bodaj że ani jednej nie ma doktryny, a nawet „ani jednego nie ma określenia, któreby już przestało „być spornem, i któreby już ogólnie przyjęto.

„Zda się że wśród tych niezgód i swarów, nastąpi „rozdział ekonomistów na dwa główne obozy: tych, co „przedmiot traktują jako naukę dedukcyjną, w której „wszystkie ogólne twierdzenia, to — w najściślejszem „tego słowa znaczeniu — same tylko przypuszczenia „(hipotezy); i zwolenników indukcyjnej czyli Bacoń- „skiej metody. Do pierwszych zaliczają się angielscy, „oraz pierwszorzędni ekonomiści Europy środkowej; „a Henry C. Carey, i jego zwolennicy — to najwybi- „tniejsi przedstawiciele przeciwnego obozu“.[1])

[1]) Na dowód jak sobie lekko brano nazwy: indukcya i dedukcya, dość powiedzieć że w życiorysie tegoż samego Henry C. Carey, powiedziano, jakoby ten przedstawiciel kierunku indukcyjnego, był założycielem szkoły ekonomii politycznej, której antysocyalistyczne

Tak więc nawet w oczach przeciwnika, metoda dedukcyjna jeszcze na pierwszem miejscu u scholastyków 1861 r. Ale tak traciła na znaczeniu, że obecnie, na schyłku wieku, nigdzie już, o ile mi wiadomo, w żadnym bodaj uniwersytecie, ani w żadnem wybitniejszem kollegium, profesorowie nie uznają metody dedukcyjnej.

Był to jednak tylko tryumf jednego zamętu nad drugim zamętem. Bo gdzie nowy zamęt występuje przeciw staremu zamętowi, tam ostatecznie musi się zwycięstwo chwilowe przechylić na stronę nowego; a to z powodu że na starym spoczywa ciężar obrony tego, co się obronić nie da, a nowy, łatwiejsze ma zadanie ataku.

Przejściowy ten okres myśli ekonomicznej, wykazuje zupełny chaos, w jaki popadła cała scholastyczna ekonomia polityczna, a to z przyczyny lekceważenia głównych zasad.

Co do mnie, sądzę że słuszność była po stronie obrońców metody dedukcyjnej; tylko że popełniali błędy względem samychże zasad, z których wyprowadzali swe wnioski; przeciwnicy zaś, tj. obrońcy metody indukcyjnej, błądzili co do wyboru metody, ale zato znów słusznie wykazywali błędy tamtym.

Różnica między dedukcyą a indukcyą.

Dopiero w następnej księdze dotknę dziejów tego, co nazywano ekonomią polityczną; nie pominę tam i niszczącej rewolucyi, jaką ona przeszła. Tu jednak chcę tylko wykazać: która mianowicie z metod właściwsza dla prawdziwej nauki; czytelnik bowiem byłby pewno w kłopocie bez tego wyjaśnienia.

Rozum ludzki może aż dwoma różnemi drogami dochodzić prawdy. Jedna prowadzi od szczegółów do

zasady bardziej dedukcyjne niż Smith'a, Ricardo'a i Mill'a. Życiorys ten umieszczony w N. Am. Encyklopedyi, w przejrzanem wydniu z 1895 r. p. t. Johnson'a Encyklopedya Uniwersalna.

ogółu aż póki nie dosięże któregoś z praw natury — i nazywa się metodą indukcyjną albo metodą *a posteriori*; druga zaś, przeciwnie, prowadzi od ogółu do szczegółów — i zowie się metodą dedukcyjną albo metodą *a priori*.

Skoro, postępując według pierwszej, żadnej już nie ma wątpliwości, że dotarliśmy wkońcu do któregoś z praw natury, wtedy dopiero, — tylko dla sprawdzenia akuratności naszych wyników, — używamy drugiej, która zresztą jest i łatwiejszą i potężniejszą metodą.

Metoda więc indukcyjna, zajmuje pierwsze miejsce, jako główna metoda badania faktów; dedukcyjna zaś, jako pochodna, stoi na drugiem miejscu.

Metoda indukcyjna dostarcza rozumowi faktów, dla ich zbadania metodą dedukcyjną. A tylko na tem, co ona mu dostarczy, może się bezpiecznie opierać metoda dedukcyjna. Tam tylko gdzie zachodzi wątpliwość, trzeba się znów po sprawdzenie, do indukcyi zwracać.

Obie więc metody odpowiednie, byle uważnie użyte. Zrazu jednak, kiedy się jeszcze omackiem szuka prawa natury, wtedy indukcyjna odpowiedniejsza; dedukcyjna zaś wtedy dopiero, kiedy już owe poszukiwane prawo zostało odkryte, i można iść dalej, wprost od ogółu do szczegółów. Wówczas już żadnej nie ma potrzeby znów się uciekać do metody indukcyjnej, chyba że chodzi o sprawdzenie wyników.

Jest jeszcze i trzecia metoda, oparta na połączeniu tamtych obu; bardzo się skuteczną okazała przy odkryciu prawd na polu nauk fizykalnych.

Kiedy z naszych badań można już poniekąd wnosić o istnieniu prawa natury, wtedy przyjmuje się owo prawo za istniejące, i idzie dalej dla zobaczenia, czy też i szczegóły wypadną zgodnie z wynikami, jakie z nich już wyprowadzono. Jest to tak zwana metoda hipotezy.

Słyszy się też czasem o metodzie Bakońskiej. Nadużyto tu wielkiego imienia Bacon'a dowolnie się niem posługując dla nadania pozorów wyższości tej samej metodzie, którą wyznawcy „nowej szkoły", zwali indukcyjną. Bacon jednakże nie był jej wynalazcą. Już w zaraniu swem, człowiek właśnie dzięki tylko tej metodzie, poznawał prawa natury, które następnie służyły mu za punkt wyjścia do jego wniosków. A musiał on jeszcze poznawać wszystko, co myśmy już przywykli uważać za zwykłe objawy natury; takie jak to np. że po pewnej przerwie, znów się nam księżyc ukazuje; albo że słońce raz nachyla się ku południowi, to znów ku północy; albo że ogień parzy, i że woda go gasi. Bacon więc ani wymyślił ani też nie odkrył metody indukcyjnej, ale tylko postawił pewne zasady, podług których ma być stosowaną do badań naukowych. Ale długo była pomijaną z powodu że ślepo polegano na powagach. A pochodziło to z fałszywego przypuszczenia jakoby mędrcy wymarli, zanim nauczyli wszystkiego, co było warto umieć; że więc ci, co po nich przyszli, muszą poprzestać tylko na wyprowadzaniu wniosków z założeń, jakie im tamci zostawili.

A rzeczywiście potrzebnem było zastosowanie metody indukcyjnej, do sprawdzenia założeń ekonomii politycznej, tz. „klasycznej". Należało tu zarządzić rewizyę; bo z tych założeń wysnuwano wnioski z widocznym zamiarem użycia tu ekonomii politycznej do obrony tylko istniejących urządzeń społecznych.

Zbyteczne natomiast było stosowanie metody indukcyjnej tam, gdzie dedukcyjna wystarczała. Gdzie bowiem chodzi o dalsze posunięcie granic tego, co już zupełnie pewne, tam metoda dedukcyjna, może wielce ułatwić rozwój wiedzy.

Ekonomia polityczna klasyczna — jak *ją* czasem nazywano — po ustaleniu jej założeń, nie popełniła błędu przez użycie metody dedukcyjnej. Błąd nato-

miast, — osłabiający całą jej budowę — leżał nieco głębiej, mianowicie w niedość silnie ugruntowanych wnioskach, na których te założenia były oparte. Ale rozmaite szkoły ekonomistów, ogólnie uważane za indukcyjne, zamiast zwrócić uwagę na błędy w założeniach, one tymczasem wręcz zaprzeczały istnienia stałych zasad, któreby można uważać za podwaliny dedukcyi. Gdyby ich więc zapytać, co podług nich bardziej podnosi ogólny dobrobyt, czy wolny handel czy też system ochronny? albo — jaki najlepszy system opodatkowania? albo — gdzie leżą granice mieszania się rządu do spraw przemysłu? — nie umieliby dać na to bezwzględnej odpowiedzi. Mogliby tylko powiedzieć że jedno dobre o takim czasie i na takiem miejscu, a drugie znów o innym czasie lub na innem miejscu — więc aby dać na to odpowiedź, trzeba za każdym razem oddzielnie sprawę badać.

James, prof. uniw. Pensylwańskiego, a zwolennik „nowej szkoły“ mówi, że sprzeciwili się „teoryi, która „szuka nigdy niewzruszonych praw natury w ekono„mikach, i która uważa nieograniczoną osobistą wol„ność za naturalny jedynie usprawiedliwiony stan, i to „bez względu na potrzeby pewnej doby lub pewnego „narodu.“

Nauka polityczna musi iść w parze z metodą dedukcyjną.

Tryumf indukcyonistów nad dedukcyonistami, zniweczył nawet i pozory wszelkiej spójni, pozory, które zachowywała „stara“ ekonomia polityczna; w nowej więc nastąpił rozkład. Była to już jakaś bezładna tylko mieszanina luźnych doktryn i niestwierdzonych spekulacyi. Chyba już tylko sami wykładający je profesorowie mogli się zrozumieć; wiodąc zarazem między sobą spory, wynikające z braku jakichkolwiek uznanych zasad.

Sądzę że jeśli wogóle ekonomia polityczna może być uważaną za naukę, to też i na prawdę powinna

być nauką. A nauka, z chwilą poznania praw natury, od których zależy, opiera się już jedynie na metodzie dedukcyjnej, a metoda indukcyjna służy już tylko do sprawdzania osiągniętych stąd wyników. Szczegóły tu bowiem byłyby zbyt liczne i zbyt złożone, aby je można uporządkować i powiązać jedynie przy pomocy metody indukcyjnej.

Prof. Noah K. Davis, w swoich „Elements of Inductive Logic“ mówi:

„Drogą ścisłej indukcyi dojść do poznania praw „natury, a następnie drogą ścisłej dedukcyi, dojść do „ich wyników — to wielkie zadanie uczonego. Nauka „zrazu całkiem indukcyjna, z chwilą jednak poznania „prawa natury, staje się mniej więcej dedukcyjną. „W miarę zaś swego postępu, o ile się wznosi do wyż- „szych i szerszych, ale za to mniej licznych wniosków, „o tyle znów wyniki z zastosowania metody dedukcyj- „nej, rosną w znaczenie i liczbę. Nauka właściwie już „przestaje wtedy być indukcyjną, a staje się dedukcyjną. „I tak np. hydrostatyka, akustyka, optyka albo elektro- „technika, zazwyczaj zwane naukami indukcyjnemi, za- „liczone jako matematyczne, przeszły z indukcyjnych „do dedukcyjnych nauk. I mechanika też podobne „przechodzi koleje. Mechanika niebios w wykładzie „Newton'a, przeważnie jeszcze indukcyjną, a u Laplace'a „już dedukcyjną. Metoda dedukcyjna, to przedłużenie „indukcyjnej. Jej to zawdzięcza ta nauka obecne wy- „niki tak wysokiej doskonałości. A na polu nauk przy- „rodzonych spokojnie się dokonywa taka zmiana me- „tod. Bacon np. zmienił ich metodę z dedukcyjnej „na indukcyjną, a teraz znów szybko powracamy od „indukcyjnej do dedukcyjnej. Zadaniem zaś logiki, „jest tu regulowanie i tłumaczenie tych metod.“

Mylnie przypuszczano jakoby twierdzenie, że wszyscy ludzie to samoluby, było prawem natury, sta-

nowiącem postulat prawdziwej nauki ekonomii politycznej. To nieprawda. Niepodobna przecie wypróć z człowieka wszystkich jego samolubnych dążności dlatego jedynie, ponieważ chcielibyśmy mieć z niego jakiegoś „człowieka ekonomicznego“ wedle naszych pojeć. A w rzeczywistości byłoby to raczej monstrum a nie człowiek.

Właściwym postulatem prawdziwej nauki ekonomii politycznej, jest prawo natury, że ludzie zawsze dążą do zaspokajania swych potrzeb kosztem jaknajmniejszego wysiłku, i to bez względu, czy to pragnienia samolubne czy też nie, albo czy dobre czy złe.

A że to istotnie prawem natury, mamy tu wszelką możliwą pewność, większą nawet niż co do prawa ciężkości, i innych praw natury zewnętrznej. Bo takie prawa mogą być tylko subiektywne, podczas gdy to jest i subiektywne i obiektywne. Człowiek bowiem i sam także będąc częścią przyrody, może tego prawa natury dochodzić subiektywnie, wnioskując ze świadomości swych własnych uczuć, i z analizy swych własnych pobudek do czynów; ale może go również dochodzić i obiektywnie, wnioskując z czynów cudzych.

A gdy już tak podwójnie stwierdzone zostało prawo natury, wtedy właściwa ekonomii politycznej metoda dedukcyjna, wyciągając z niego wnioski, prowadzi od ogółu do szczegółów. Jest to właśnie metoda, przez którą można osięgnąć bez porównania większe rezultaty. Porzucić więc tę metodę i wracać znów do tego, co „nowe światło“ ekonomii politycznej, zda się istotnie rozumieć przez indukcyę, — znaczyłoby to tyle, co odrzuciwszy zasady arytmetyki, chcieć się i bez nich przekonać: ileby to uczyniły dodane do siebie dwie liczby, albo też, jakiby to był iloraz z sumy podzielonej przez taką samą sumę.

Tak więc ekonomia polityczna staje się rzeczywistą nauką przez swe poprawne zrozumienie zasadni-

czego prawa, i zwrócenie się do metody dedukcyjnej, podczas gdy indukcyjnej używa tylko do sprawdzania.

Ale najużyteczniejszym jej środkiem — gdy chodzi o zwyczajne badania, — jest hipoteza. Możnaby tę metodę nazwać umysłowem albo wyobraźniowem doświadczaniem.[1] W ten bowiem sposób możemy, za pomocą wyobraźni, dowolnie dzielić, łączyć lub odrzucać warunki, próbując na tej drodze działania znanych zasad. Jest to najpospolitsza metoda rozumowania, metoda wszystkim od dzieciństwa znana. Potężne to narzędzie na usługach ekonomii politycznej; ale używając go, trzeba tylko być ostrożnym co do gruntowności tego, co się za zasady przyjmuje.

[1]) Patrz moje „Studyum ekonomiczne", odczyt który w kwietniu 1877 wygłosiłem dla studentów uniwersytetu Kalifornijskiego.

ROZDZIAŁ XIV.

Ekonomia polityczna, jako nauka i jako sztuka.

Ekonomia polityczna, jest to właściwie nauka, i w takiem też znaczeniu należy ją rozumieć, chociażby była o niej mowa jako o sztuce.

Nauka i sztuka. — Ekonomia polityczna, musi to być nauka, nie zaś właściwa sztuka. — Jakiby winien być cel ekonomii politycznej jako sztuki. — Biała i czarna sztuka. — Dalsze badania.

Wiele sporów wśród ekonomistów, i to nie tylko co do właściwości metody ale także i z tego powodu, czy należy ekonomię polityczną uważać za naukę, czy też za sztukę. Niektórzy ją bowiem nazywają sztuką, inni zaś nauką; a są też i tacy, którzy ją i za jedną i za drugą biorą. Inni wreszcie rozdzielają na abstrakcyjną, teoretyczną i spekulacyjną, oraz na konkretną, stosowaną i regulującą.

A może i nie warto się tem zajmować, zwłaszcza że już podałem tu przyczyny, dla których ekonomię polityczną raczej za naukę a nie za sztukę uważać należy. Czasem wprawdzie można jakąś gałąź uporządkowanej wiedzy rozdzielić na naukę i sztukę, ale należy być co do tego uważnym. Właściwa wtedy różnica między niemi, na tem polega, że jedna się odnosi do praw natury, a druga znów do sposobu, w jakiby te prawa można wykorzystać, aby osięgnąć cel zamierzony.

A samo się przez się rozumie, że pierwsza z nich jest główną i ważniejszą.

Chcąc umieć leczyć choroby i różne przypadłości ludzkie, trzeba poznać ciało człowieka, badając go w stanie normalnym, kiedy zupełnie zdrów. Tak samo rzecz się ma i z ekonomią społeczną. Chcąc leczyć jej błędy, zboczenia i wszelkie nieprawidłowości, trzeba ją najpierw poznać w naturalnych i normalnych warunkach.

Mogą być jeszcze spory, czy ekonomię polityczną uważać za naukę, tj. czy nasze wiadomości o naturalnych ekonomicznych prawach już dość wielkie i tak przetrawione, aby już zasługiwała na nazwę nauki. Ci jednak, którzy przyznają że światem rządzą prawa, przyznają zarazem i możliwość takiej nauki.

Jedna tylko może być nauka chemii, jak jedna nauka astronomii albo fizyologii. Tak samo jedna tylko może być nauka ekonomii politycznej — i to pomimo rozmaitości poglądów, wykładów, hipotez, pomimo różnych jej teoryi, jak się niewłaściwie ale najpospoliciej mówi. Ale o ile rzeczywiście jest nauką, tj. o ileśmy już odkryli i zastosowali odnoszące się do niej prawa natury — musi być zawsze i wszędzie stałą i niezmienną. Żyjemy bowiem na świecie, tu, gdzie wciąż te same skutki wynikają z tych samych przyczyn, i gdzie nic nie jest chimerą, z wyjątkiem tylko tego czegoś, co w nas samych tkwi, i co chce, co pragnie.

Kiedy już nauka ekonomii politycznej zostanie wykończoną, tj. kiedy już będą poznane i przystosowane prawa natury rządzące produkcyą i rozdziałem bogactwa, wtedy też będzie można ocenić skutki ludzkich praw i zwyczajów. Ale nie sądzę aby można mówić o sztuce ekonomii politycznej, a to z powodu skutków wpływu naturalnych praw produkcyi i rozdziału bogactwa, oraz ludzkich praw, zwyczajów i usi-

łowań. Niektórzy jednak ekonomiści próbowali ją rozdzielić na naukę i sztukę.

Mamy wprawdzie naukę astronomii, którą się stosuje do pewnych sztuk, jak np. żeglugi lub miernictwa, ale nie mamy sztuki astronomii. Jest także nauka chemii, która również bywa do wielu sztuk stosowaną, ale sama przez się nie jest sztuką. Tak samo też i z ekonomią polityczną. Bywa ona, co prawda, stosowaną niekiedy w polityce i różnych jej odroślach, ale stąd jeszcze nie może być mowy o sztuce ekonomii politycznej.

Jeżeli jednak, mimo to, idąc za przykładem innych, będziemy o niej mówić jako o nauce i o sztuce zarazem, to wtedy sztuka ekonomii politycznej, będzie chyba sztuką mającą na celu uzyskanie jaknajwiększej produkcyi i jaknajlepszego podziału bogactwa. Słowem, będzie to sztuka usunięcia nędzy, a więc uratowania najbiedniejszych i najsłabszych od zagłady w ciężkiej walce o życie. Jeżeli bowiem może być jakaś sztuka ekonomii politycznej, to już musi to być sztuka szlachetna, mająca na celu korzyść wszystkich członków ekonomicznego społeczeństwa.

Kiedy jeszcze ludzie wierzyli w magię, mówiono wtedy że są dwie magie — biała i czarna. Pierwsza, to sztuka, której celem czynienie dobrze, ocieranie łez niedoli; a druga znów, to sztuka działająca w samolubnych i złych zamiarach.

Podobnie też możnaby powiedzieć że jest biała i czarna ekonomia polityczna. Jeżeli znajomości praw produkcyi i rozdziału bogactwa, używa się dla wzbogacenia nielicznych jednostek kosztem ogółu; albo, jeżeli służy do ukrywania takiej niesprawiedliwości i trzymania światła pod korcem, w nadziei że się przez to odwróci lub odwlecze zmianę — taka sztuka ekonomii politycznej, to rzeczywiście czarna sztuka. Jest to właśnie sztuka, o jakiej mówi wielki Turgot.

Przyjęliśmy dla nauki ekonomii politycznej dawniejsze określenie, które mówi że jest to nauka, której zadaniem poznanie natury bogactwa i praw rządzących jego produkcyą i rozdziałem. Idąc teraz dalej, w porządku, należy poznać: 1. naturę bogactwa, 2. prawa rządzące jego produkcyą, i 3. prawa rządzące jego rozdziałem. Skoro się z tem uporamy, będzie już wszystko, co, w mojem rozumieniu, potrzebne prawdziwej nauce ekonomii politycznej. Zbyteczna wnikać w sprawę spożycia bogactwa (konsumpcyi), bo to już nie wchodzi w zakres prawdziwej ekonomii politycznej, jak tego zresztą później dowiodę, wbrew twierdzeniom wielu podrzędnych ekonomistów.

Koniec Księgi I.

KSIĘGA II.

Natura bogactwa.

Wstęp do księgi II-ej

Ekonomia polityczna ma określić naturę bogactwa oraz praw rządzących jego wytwarzaniem i rozdziałem; ale od czasu Smith'a wielkie tu u scholastyków zamieszanie pojęć. Chcąc przeto w takim zamęcie właściwe znaleźć określenie, trzeba przedewszystkiem wyjaśnić przyczyny tego zamętu.

Dobra historya ekonomii politycznej wielce by to zadanie ułatwiła; w braku więc takiego dzieła, sam spróbuję tu naszkicować dzieje tej nauki, poczynając od Smith'a i jego poprzedników, ekonomistów francuskich, zwanych fizyokratami.

Na jedno tylko wszyscy scholastycy się godzą: że bogactwo ma wartość; niezgodni jednak co do pojęcia tej wartości. Spróbujmy przeto wynaleźć właściwe określenie znaczenia nazwy „wartość"; a skoro tego dokażemy, wtedy już nie trudno przyjdzie określić też istotne znaczenie i nazwy „bogactwo".

„Jasne określenie rzeczy, to podstawa dowodze-
„nia.“ — Arystoteles.

„Pomieszanie rzeczy różnej natury, to źródło
„wszelkich omyłek.“ — Hooker.

„Bacon obalił filozofię Arystotelesa, a Smith — w
„zakresie ekonomii politycznej — obalił teorye wszyst-
„kich swych poprzedników: ale ani jeden ani drugi,
„nic nie dał wzamian.

„I dotychczas (1803) jeszcze nie ma wykładu
„ekonomii, dającego niewzruszone, przez wszystkich
„uznane prawdy.“ — J. B. Say.

„Za przykład może tu służyć sam Adam Smith.
„Jego genialne ale już przestarzałe dzieło „Bogactwo
„narodów“ ogólny w swoim czasie zdobyło poklask,
„a dziś ma tylko historyczne znaczenie. Teorye tego
„pioniera nauki ekonomii politycznej zburzyli ludzie
„niewątpliwie mniejsi od niego; a zasady, jakie nam
„wzamian stawiają, nie znalazły jeszcze uznania.“ —
Prof. J. P. Mahaffy.

ROZDZIAŁ I.

Zamieszanie pojęć co do znaczenia bogactwa.

Darmo ekonomiści usiłują określić: co to jest bogactwo. — Stąd zamęt; aż w końcu całkiem poniechano tę nazwę.

Bogactwo, to pierwotna nazwa ekonomii politycznej. — Wyraz to powszechnie używany. — Coraz większe ciemności. — I Smith niejasny. — A jego następcy jeszcze powiększają zamęt. — Jak określają bogactwo. — Wielu już się nawet i nie sili na określenie tego pojęcia. — Perry wprost radzi całkiem tę nazwę pominąć. — Marschall i Nicholson. — Nakoniec pierwotną nazwę zastąpiono wyrazem „ekonomia". — Zamiar Macleod'a.

Jak to już wiemy, zadaniem nauki ekonomii politycznej jest wyjaśnienie praw, już w życiu uspołecznionem rządzących wytwarzaniem i rozdziałem bogactwa. Naukę więc trzeba zacząć od poznania natury bogactwa społecznego, i od ściślego określenia znaczenia wyrazu „bogactwo", użytego za nazwę w ekonomii politycznej.

Jest to jeden z najczęściej w potocznej mowie używanych wyrazów, więc każdy dobrze zna jego znaczenie; ale to nie wystarcza, gdy chodzi o naukę ekonomii politycznej.

I nic dziwnego. W życiu codziennem może wystarczać, bo tam idzie tylko o sprawy jednostek, o ekonomię osobistą, a tu co innego; tu już szerszy za-

kres, bo idzie o ekonomię polityczną, zajmującą się już życiem całej gromady, czyli organizmu społecznego.

Wyraz „bogactwo“, pierwotnie oznaczał dostatek, obfitość — posiadanie jakichś rzeczy, stanowiących pewnego rodzaju dobro. Zdrowie, siła, bogactwo — to trzy rodzaje takiego dobra. A ponieważ zdrowie i siła społeczna, to coś innego niż zdrowie i siła osobista, więc też i społeczne bogactwo musi to być coś innego, aniżeli bogactwo osobiste.

W ekonomii osobistej uchodzi za bogactwo wszystko, co już samo przez się jest dla posiadacza bogactwem, a przynajmniej służy mu do zdobycia rzeczy, które jego życzenia mogą zaspokoić. A choćby te rzeczy już gotowe zdobył od innych, niemniej byłyby dla niego bogactwem.

A tymczasem w ekonomii politycznej nic nie może uchodzić za bogactwo, co nie powiększa sumy bogactwa ogólnego. Co zatem z punktu widzenia ekonomii osobowej uważa się za bogactwo, może niem nie być z punktu widzenia społecznego.

Ktoś np. może być bogatym, ponieważ mu drudzy winni, ale te ich zobowiązania względem niego, żadnej zgoła nie mogą stanowić cząstki bogactwa ogółu, jeżeli do tego samego społeczeństwa i wierzyciel i dłużnicy należą. Może się ktoś zbogacić przez rabunek albo grę, ale to również ani na jotę nie zwiększy bogactwa publicznego, jeżeli obie strony — zyskujący i tracący — należą do tego samego społeczeństwa.

Ale przeciętny człowiek, przyzwyczajony używać tej nazwy w zwykłym jej sensie, łatwo może pomieszać oba te pojęcia i jedno wziąć za drugie. Jako też w ekonomii politycznej błąd ten popełniają nawet zawodowi pisarze i profesorowie, którzy innym przecie mają wykładać. Niemniej i uczeni statystycy, obliczając bogactwo państw i narodów, często też nie uwzględniają tej różnicy między bogactwem osobistem a społecznem.

Sam nawet założyciel nowoczesnej nauki ekonomii politycznej, Adam Smith, nie jest dość na tym punkcie jasnym ani też zupełnie stanowczym co do pojęcia bogactwa. A jego następcy, zamiast w zarodku ten zamęt usunąć, przeciwnie oni go wciąż sami jeszcze coraz bardziej zwiększali. Do tego już nakoniec przyszło, że autorzy ostatnich — i to bodaj że najlepiej opracowanych dzieł ekonomicznych — całkiem już, zda się, dali za wygraną i wcale nawet nie usiłują określić: co to jest bogactwo.

Już w „Postęp i nędza“ (1879) wykazałem zupełne na tym punkcie zamieszanie pojęć, co mamy do zawdzięczenia przedewszystkiem scholastykom. Zamieściłem tam nadto wiele różnych a przeczących sobie określeń znaczenia podrzędnej nazwy „kapitał“.

24 różnych określeń bogactwa.

Aby określić znaczenie podrzędnej nazwy „kapitał“, należało przedewszystkiem określić znaczenie głównej nazwy „bogactwo“. Jeżeli tam wtedy tego nie uczyniłem, nie byłem gorszym od „uznanych powag“. A tymczasem rewolucya ekonomiczna wysadza tych prawowierców z siodła, katedry ich zajmują tz. „austryacy“, albo inni t. p. profesorowie, ale to jeszcze powiększa zamęt. Aby dać o tem pojęcie, zestawię tu różne określenia bogactwa, wyjęte z dzieł uznanych ekonomistów scholastyków, i to o ile możności, w chronologicznym porządku, od czasu Smitha aż do dni dzisiejszych. I tak:

J. B. Say — dzieli bogactwo na przyrodzone i społeczne, nazywając społecznem wszystko, co można zamieniać.

Malthus: — Przedmioty potrzebne, użyteczne lub przyjemne.

Torrens: — Przedmioty dające korzyść, a na których wytworzenie, dobrowolnie zużyto jakąś cząstkę sił.

Mc Culloch: — Rzeczy potrzebne, użyteczne lub przyjemne a posiadające wartość zamienną.

Jones: — Przedmioty materyalne, przez człowieka dowolnie użyte.

Rae: — Jednostki bogacą się, nabywając bogactwa już istniejące; narody zaś bogacą się, wytwarzając bogactwa jeszcze nieistniejące. — Oto wszystko, co znalazłem w jego dziele „Nowe zasady ekonomii politycznej“ (1833).

Senior: — Wszystkie te rzeczy — i tylko te — które, pośrednio lub bezpośrednio, sprawiają nam przyjemność albo chronią od przykrości.... Zdrowie, siła i wiedza, oraz inne władze ciała i umysłu — to przedmioty stanowiące bogactwo.

Vethake: — Wszystkie, zarówno cielesne jako i bezcielesne, byle użyteczne przedmioty, z wyjątkiem tylko niezdatnych do użytku, i tych, których sama przyroda — bez pracy człowieka — pod dostatkiem mu dostarcza. Bogactwo społeczne albo narodowe, to suma bogactwa osobiście lub zbiorowo posiadanego przez wszystkie jednostki, w skład tegoż społeczeństwa lub narodu wchodzące.

Jan Stuart Mill: — Wszystkie użyteczne i przyjemne rzeczy, posiadające wartość zamienną. Czyli innemi słowy, wszystkie użyteczne i przyjemne rzeczy, z wyjątkiem tylko tych, które mogą być zawsze w żądanej ilości otrzymane bez żadnej pracy lub ofiar.

Fawcett: — Bogactwo, to każdy towar mający wartość zamienną.

Bowen: — Wszelkie cielesne i bezcielesne rzeczy, służące do wygody i zabawy a będące przedmiotem częstej wymiany i sprzedaży.

Jevons: — To, co użyteczne a może być wymieniane ale czego nie można w żądanej ilości dostać.

Mason i Lalor: — (1875) Wszystko, za co można wzamian coś innego otrzymać.

Leverson: — Potrzeby i wygody życia, zaspokojone przez pracę.

Shadwell: — Wszelkie przedmioty, których posiadanie każdemu sprawia przyjemność.

Macleod: — Wszystko, co może być kupione, sprzedane lub zamienione, albo czego wartość może być wymierzoną pieniędzmi.... Bogactwo, to tylko prawa, które można zamieniać.

De Lavelcye: — Wszystko, co zaspokaja właściwe potrzeby człowieka. Użyteczna usługa jak i użyteczny przedmiot, stanowią bogactwo.... Bogactwem jest wszystko, co dobre i użyteczne: zdrowy klimat, dobrze utrzymane drogi, wody obfitujące w ryby — wszystko to, bezsprzecznie, bogactwo kraju, choć nie może być nabyte.

F. A. Walker: — Wszystko to — i tylko to — co posiada wartość.

Macvane: — Wszystkie zmysłowe a użyteczne i przyjemne przedmioty, będące naszą własnością, albo też te, co do których posiadamy prawo użytkowania, niepytając nikogo o pozwolenie. Bogactwo dzieli się na dwa główne rodzaje: przyrodzone i wytworzone przez pracę.

Clark: — Wyrazem „bogactwo“ zwykle oznacza się jakąś zamożność, będącą skutkiem posiadania, a przez zamianę, i samo posiadanie. Bogactwo zatem, to wszystko, co człowieka otacza i służy mu do użytku.

Laughlin określa bogactwo jako coś, co zaspokaja potrzeby, co może z rąk do rąk przechodzić, a czego nie można dostać bez oddania w zamian cząstki naszych sił. Wspomina też i o niemateryalnem bogactwie, ale go nie określa.

Newcomb: — To, co sprawia przyjemności, za które ludzie gotowi płacić. Wiedzę, zdolność, umiejętność handlową, jak niemniej talent aktora, naukę adwokata lub lekarza — słowem to, co pozwala robić przyjemności innym — należy uważać za bogactwo, jeżeli używamy tej nazwy w najszerszem jej znaczeniu.

Bain: — Wygodą nazywamy zaspokojenie naszych żądań lub potrzeb. Bogactwo zatem — to tylko suma wygód.

Ruskin — Świetny ten estetyk, a niemniej i uczony ekonomista, niezupełnie do scholastyków zaliczonym być może. Stąd też wahałem się, czy i jego określenie tu zamieścić. Ale cztery rozprawy z dziedziny ekonomii, które w 1866 wydał pod ogólnym tytułem „Unto this Last", zjednały mu u licznych wielbicieli miano głębokiego myśliciela. Przedewszystkiem palił on tu kadzidła na cześć nowej niby nauki, jak to sam nazwał. A jednocześnie oskarżył ją, że podaje się za naukę o bogactwie, a nie umie nic powiedzieć: czem właściwie jest to bogactwo. Oto co o tem w przedmowie mówi: „*Zamierzam tu przedewszystkiem dać, jak sądzę, po raz pierwszy, logiczne określenie bogactwa. Jest ono nieodzownem jako podstawa nauki ekonomii.*" Stąd też nie będzie tu chyba od rzeczy, jeżeli także i jego określenie przytoczę. Jeszcze to przecie nie przesądzi jego przynależności do scholastyków, których zresztą sam porównywa z astronomem nieumiejącym powiedzieć: co to jest gwiazda. Otóż podług niego, bogactwo jest to: „*Posiadanie przedmiotów użytecznych, których możemy używać*" A na innem znów miejscu mowi: „*Rzeczy wartościowe w posiadaniu dzielnego człowieka.*"

Niełatwo mi przyszło aż tyle zebrać określeń, może właśnie dlatego, że niejeden pisarz ostrożnie ten przedmiot wymija. Taki np. Ricardo, Chalmers, Thorold, Rogers i Cairnes, wcale go nawet nie próbują określić. Tak samo i Karol Marx milczy o tem w swem dziele p. t. „Kapitał". Podobnież Bohm-Bawerk, na którego się tak często powołuje panująca dziś szkoła scholastycznej ekonomii, zwana „Austryacką".

Inni znów, chociaż o tem mówią, ale tak rozwlekle, i taka to plątanina, że nawet niepodobna treści z tego wycisnąć, a tem mniej w całości tu przytoczyć.

Wielu też pocichu pisze się na zdanie prof. Perry, który w dziele pt. „Zasady ekonomii politycznej“ (1866) otwarcie mówi:

„Wyraz „bogactwo“, to ciemna strona ekonomii, „to robak, który ją od dawna toczy. Niepochwytny, „a nasuwa mnóstwo różnych poglądów — i stąd nie- „zgodny z zadaniem nauki. A skoro prawie niepo- „dobny do określenia, więc się też na nic przydać nie „może.

...„Dotychczas jeszcze nie ustalono znaczenia wyrazu „„bogactwo“; a jeżeli ekonomia polityczna ma czekać „aż się to stanie, to chyba nigdy nie postąpi naprzód. „...Można mówić, pisać, rozprawiać choćby i do dnia są- „dnego, nie na wiele się to przyda, dopóki będziemy uży- „wać wyrazów z nieustalonem znaczeniem. I tu właśnie „leży główny powód tak powolnego rozwoju tej nauki. „Szczęściem, można się wkońcu obyć bez tego wyrazu „„bogactwo“, jako technicznej nazwy. A wyzwoliwszy „się od niego, ekonomia polityczna pozbyła się nielada „ciężaru, i teraz ma już choć względną swobodę ruchów.“

Dla uzupełnienia, parę tu jeszcze dołączę nazwisk. Oto np. profesor uniwersytetu w Cambridge, Alfred Marshall, — autor dzieła[1]), które (z angielskich) bodaj że największe u scholastyków zyskało uznanie — wcale nie należy do tych, którzy milczeniem ten przedmiot pomijają. Dość tylko przejrzeć spis rzeczy w tej obszernej księdze zawartych, a zaraz się tam znajdzie aż cały, wyłącznie tej sprawie poświęcony rozdział. Ale ani w tym obszernym rozdziale, ani też na żadnem innem miejscu, nie znalazłem zgoła nic więcej oprócz tego określenia: „*Całe składa się z rzeczy, które zaspokajają potrzeby. Całe zatem bogactwo składa się z dóbr; ale nie wszystkie rodzaje dóbr, są uważane za bogactwo.*“

[1]) „Zasady ekonomii politycznej“ 1890. Wyszedł dopiero tom I. (1897).

Napróżnoby tam jednak szukać jakiejś wskazówki, które to mianowicie dobra autor uznaje a których nie uznaje za bogactwo. Dzieli je tylko na dobra

zewnętrzne	materyalne,	które można	przekazywać
„	„	których nie można	„
„	osobiste,	które można	„
„	„	których nie można	„
wewnętrzne	„	których nie można	„

Prócz tego daje i drugi podział, a mianowicie, na

materyalne	zewnętrzne,	które można	przekazywać
„	„	których nie można	„
osobiste	„	które można	„
„	„	których nie można	„
„	wewnętrzne,	których nie można	„

Ale poza tem już autor nie mówi nic, które z tych rodzai dóbr uważa, a których nie uważa za bogactwo. Natomiast tylko pod koniec tego rozdziału, odsyła czytelnika do „Volkswirthschaftslehre“ Wagnera, który podobno ma rzucać *„dużo światła na związek zachodzący między pojęciem bogactwa w ekonomii a prawnem pojęciem własności prywatnej.“*

I tak męcząc się nad wykryciem tego, co ten profesor sławnego uniwersytetu chce przez to powiedzieć, odniosłem wkońcu wrażenie, że podług niego bogactwem jest wszystko, co się tylko znajduje nad nami w niebiesiech albo na ziemi i na wodzie, oraz pod ziemią, byle to tylko było ludziom (pojedyńczo lub zbiorowo) użyteczne, albo przez nich pożądane. A do tego rodzaju rzeczy stanowiących bogactwo, należy też jeszcze dołączyć i samego człowieka, razem ze wszystkimi jego wrodzonemi i nabytemi zdolnościami.

Oto wszystko, co o tem można bez zastrzeżeń powiedzieć; bo tylko to jedynie znajduje wyraźne usprawiedliwienie w twierdzeniu autora, że *„powinno się dla wielu racyi uważać Tamizę za część bogactwa Anglii.“*

Również zupełny zamęt, choć może bez takiego nakładu pracy, znajduje się w dziele pt. „Zasady ekonomii politycznej.[1]) Autor tej książki, prof. G. Shield Nicholson, wykłada ten przedmiot w sławnym uniwersytecie edynburgskim.

W spisie rzeczy, zawartych w tem dziele, znajdujemy nie mniej jak z 15 razy wymieniony wyraz „bogactwo.“ Zaraz na wstępie już widzimy tytuły: „*Pojęcie bogactwa w życiu codziennem*,“ i „*Pojęcie bogactwa w ekonomii politycznej*“. Ale choćby nie wiem jak szukać, to ani w żadnym z tych rozdziałów, ani też w żadnym innym rozdziale, nie znajdzie się nic, coby można określeniem bogactwa nazwać. Zaledwie tylko jedną jedyną znajdujemy tam — i to nawiasową — wzmiankę, że „*ziemia wogóle jest najważniejszą cząstką bogactwa narodowego.*“ Ale to twierdzenie równie fałszywe jak i tamto, że Tamizę powinno się uważać za część bogactwa Anglii.

Zamiast ekonomii politycznej, wykłada się jakąś inną naukę.

Zadaniem ekonomii politycznej jest wyjaśnienie praw rządzących wytwarzaniem i rozdziałem bogactw. Stąd też użyta w niej nazwa „bogactwo“ jest pierwszorzędnego znaczenia. Bo dopóki się nie dowiemy: co to jest bogactwo, jakżeż poznamy: skąd się ono bierze i jak się rozdziela.

A jednak, mimo tej ważności, mimo stuletnich badań i posiadania już tylu profesorów tego przedmiotu, dotychczas tu jeszcze nie ma odpowiedzi. Jeszcze nawet nie wiemy, czy ono materyalne lub niematerialne; czy to jest coś, co leży po za człowiekiem, na zewnątrz, czy też nawet i samego człowieka obejmuje, razem z jego przymiotami.

Nie ma tu jeszcze żadnej zgody zapatrywań. Ostatnie, i to bodaj że najbardziej pretensyonalne wysiłki

[1]) W 1893 wyszedł dopiero tom I.

scholastyków, aby tę zgodę uzyskać, całkiem chybiły. Może więc na zawsze już dano za wygraną, poprzestając tylko na tak ogólnem określeniu, że *pod nazwą „bogactwo“, w znaczeniu ekonomii politycznej, należy rozumieć wszystko, co ma wartość dla społeczeństwa.*

Takie niepowodzenie zniechęca do badań, zwłaszcza że dotknęło poważne i uznane ciała naukowe, którym tu opór stawili nawet zawodowi badacze.

Może to niedość jasne dla przeciętnego czytelnika, ponieważ rozmyślnie zamaskowane zmianą znaczenia nazwy. Zmiana to niby na pozór drobna, bo brzmienie podobne, więc tem łatwiej w błąd może wprowadzić.

Wyraz ten pochodzi z greckiego, i właśnie należałoby mówić „pilitico-economic“ a w skróceniu brzmi tylko „economic“,[1]) co bardzo przypomina starą nazwę ekonomii politycznej. Jako też zaraz po ukazaniu się tej nowości, zrodziło się usprawiedliwione podejrzenie że tu o nic innego nie chodzi, tylko o zamaskowanie. Zaraz się też okazało że przynajmniej znaczna część tych dzieł, noszących tytuły różnych „Manual of economics„ „Elements of economics“, albo „Principles of economics“ itd. ściśle biorąc, nie jest żadną ekonomią polityczną w właściwem jej znaczeniu, ale raczej jakąś nauką o wymianie albo też o handlu zamiennym. A to już przecie bliższe chyba nauk matematycznych, aniżeli ekonomii politycznej.[2]) Tu już bowiem niepotrzeba odróżniać bogactwa jednostki od bogactwa ogółu; a sprawy moralnej natury, któremi się zajmuje ekonomia, tu już bez trudności można zupełnie pominąć.

---

[1]) Zachowałem tu nazwy oryginału, ponieważ to produkt angielski. W przekładzie znikłoby ich podobieństwo, na którem tu zależy. Ustęp to zresztą mniej ważny. Przyp. Tł.

[2]) Kto zna literaturę scholastyczną ostatnich czasów, temu nieobce usiłowania profesorów ekonomii politycznej, aby wyszukać jakąś matematyczną nazwę dla tego, co nazwano „economics“.

A ponieważ z przyzwyczajenia łatwo „economic“, wziąć za ekonomię, możeby zatem właściwiej było użyć tu innej nazwy, np. „Cataloctics“ jak radzi arcybiskup Whately, albo „Plutologia“, jak chce prof. Hern z Melbourne. Bo i pocóż kogoś w błąd wprowadzać. Jest to przecie nauka zupełnie różna, chociaż ją — zamiast ekonomii politycznej — już w amerykańskich i europejskich uniwersytetach wykładają. A przyczyny tej zmiany tytułu Macleod otwarcie tak wyjaśnia: [1])

„Zgoła żadnej nie proponujemy zmiany nazw. Tak „ekonomia polityczna“ jak i „nauka ekonomiczna“ (czyli „economics) są to nazwy zarówno od dawna powszech„nie używane. Byłoby może lepiej tę z nich ponie„chać, która fałszywe daje pojęcie, bo mógłby kto „przypuszczać, że ma coś z polityką wspólnego; a „w dodatku podobna do tej, która się jasno wypowiada „i najbliższa nazw innych nauk. Dlatego to zarzuci„liśmy już nazwę „ekonomia polityczna“ i odtąd uży„wać będziemy jedynie nazwy „economics“. Ta osta„tnia bowiem oznacza naukę o wymianie, albo raczej „naukę o handlu w najszerszem tego słowa znaczeniu. „Czasem także uchodzi za naukę o bogactwie albo za „teoryę o wartości. My ze swej strony tak byśmy „ją określili: *Economic jest to nauka traktująca o pra„wach regulujących wzajemny stosunek rzeczy za„miennych.*

A te prawa są takie: 2+2=4; 4—1=3; 2×4=8; 4:2=2 itd.

Ale dla takich praw właściwsze miejsce w arytmetyce. Co zaś do zasłaniania się tu powszechnem używaniem obu nazw, można tylko to powiedzieć że snadź profesorowie zajmujący katedry ekonomii politycznej, chcą tu wyzyskać tylko prostą nieścisłość wyrażenia w potocznej mowie. Często się bowiem przez

[1]) „Science of economics“ — Tom I.

skrócenie mówi „economic“ zamiast „politico-economic“. I stąd to próbują tu podsunąć swoją „science of economics“ jakgdyby to było to samo, co nauka ekonomii politycznej: jest to tylko wybieg niemniej naganny jak i ów przysłowiowy podstęp Irlandczyka, który, chcąc oszukać swych wspólników, tak im przy podziale zarobku dowodził: „ja i 2 funty, to razem 3, a wy dwaj i funt, to także 3.“ [1])

Oto gdzie już scholastycy zaszli w niespełna 100 lat od chwili, kiedy Say dzielił się z czytelnikami swą radością, z powodu ustanowienia pierwszej katedry ekonomii politycznej.

Przed 30 laty prof. Perry sądził że nauka ekonomii politycznej, wyzwoliwszy się nareszcie z zależności od wyrazu „bogactwo“, pozbędzie się ciężaru, który krępował jej swobodę ruchów. I w samej rzeczy, z wykładów na uniwersytetach i w kolegiach Europy i Ameryki widzimy, że się wprawdzie ekonomia polityczna pozbyła tego ciężaru, ale odzyskana stąd swoboda ruchów, bardzo nam przypomina dziecinnego latawca, któremu ogon urwano. Uwolniona od ciężaru ekonomia polityczna jakoby już znikła z widowni, a jej następczyni, — wykładana dziś nauka o wartościach, — żadnej zgoła nie ma odpowiedzi nawet na te pytania, o których prof. Perry sądził że zostaną nareszcie załatwione.

---

[1]) Ponieważ formułka umieszczona w oryginale, zasadza się tylko na grze słów, i w tłumaczeniu znikłby cały dowcip, musiałem ją przeto inną zastąpić. Autor tam mówi: Here's *two* for you *two*, and here's *two* for me *too* (Tu są dwa dla was dwóch, a tu dwa dla mnie *także*). Otóż wszystko polega na tem, że *two* (dwa) i *too* (także) wymawia się prawie jednakowo: tu.

ROZDZIAŁ II.

Przyczyny zamieszania pojęć co do znaczenia bogactwa.

Na czem w ekonomii polega trudność określenia bogactwa.

Wpływ niewoli na określenie bogactwa. — I teraz podobne wpływy działają. Co Jan Stuart Mill mówi o mydleniu oczu. — Źródło niedorzecznego systemu ochrony. — Wpływ osobistych interesów na opinię. — Sam nawet Mill służy tu za przykład: jak dalece utarte już poglądy mogą ludzi zaślepiać. — Wpływ uznanej niedorzeczności na filozofię. — Znaczenie słów Chrystusa. — Warstwy korzystające a rozwój ekonomii politycznej. — Arcybiskup Whately bierze skutek za przyczynę. — Wpływ potęgi pieniędzy na wyobrażenia. — A można temu zapobiedz jedynie przez usunięcie przyczyny. — Pokazało się to na niewoli w Ameryce.

Zaniedbanie ekonomii politycznej w świecie klasycznym nowsi ekonomiści przypisują niewoli, gdyż pracę wtedy uważano za poniżenie.[1] Ale przeoczono innego rodzaju wpływ niewoli, który wprost i bardziej przeszkadzał uprawie tej nauki.

W starożytności chyba tylko jakiś ukrzyżowany przywódzca buntu niewolników szukał wpływu u mas; ale filozof jedynie u ludzi bogatych mógł znaleźć posłuch i tą drogą imię swe przekazać potomnym.

---

[1]) Zobacz np. co o tem mówi Mc Culloch w swoich „Zasadach ekonomii politycznej“ (1825) Część II.

Nie dziw zatem że to, co Tomasz Jefferson[1] powiedział o Chrystusie,[2] można zastosować do wszystkich nauczycieli moralności lub ekonomii. A powiedział mianowicie że: „*Wszyscy uczeni byli przeciwni Chrystusowi z obawy, aby jego nauka nie podkopała ich wpływu.*“

A tymczasem ekonomia polityczna miała wyjaśnić: Co to jest bogactwo. Ale jakąż na to można było dać odpowiedź, jeżeli klasą bogatą i rządzącą byli właśnie przeważnie właściciele niewolników. Nie dziw zatem że wobec tak drażliwego pytania, nawet genialny Arystoteles, choć najodważniejszy z uznanych filozofów, a jednak zaledwie się tylko tyle odważył powiedzieć że: „*Bogactwo stanowią wszystkie rzeczy, których wartość można za pomocą pieniędzy ocenić*“. Powtarzano też zdanie rzymskiego prawnika Ulpiana, który za bogactwo uznał wszystko, co można kupić lub sprzedać.

Jest to zatem punkt widzenia, do którego zawraca nasza nowa ekonomia scholastyczna. Ale chociaż grecy i rzymianie posiadali różnego rodzaju ekonomie — jak np. finansów, wymiany, rolnictwa, handlu niewolnikami — nie mieli jednak, bo mieć nie mogli, ekonomii w właściwem tego słowa znaczeniu. Rozwój bowiem tej nauki tamowała niewola.

I w starożytności i w nowszych czasach, zawsze i wszędzie tam, gdzie podstawę bogactwa stanowiło posiadanie istot ludzkich — tam, mówię, trudniej odróżnić bogactwo osobiste od publicznego. Wypływało to częścią z niechęci, jaką jeszcze widzimy i po zniesieniu niewoli. Nawet ci ekonomiści, którzy potępiają wielkich myślicieli klasycznego świata za to, że uznawali niewolę, sami jednak bezwiednie błądzą pod podobnym wpływem zacofanych pojęć.

[1]) Trzeci z rzędu prezydent Stanów Zjedn.

[2]) W dziele pt. „Sylabus of an estimate of the merits of the Doctrines of Jesus“ — Patrz Pisma T. Jeffersona, tom VIII.

Osobistą niewolę uważać trzeba tylko za jeden ze środków zdobycia osobistego bogactwa, bez przysporzenia jednak bogactwa publicznego. A ponieważ nowoczesna cywilizacya już usunęła taką niewolę, przeto na jej miejsce pojawiły się inne, do tegoż samego celu służące środki.

Jeżeli społeczeństwo dzieli się na bardzo bogatych i bardzo biednych, to tam główne pytanie ekonomii politycznej „Co to jest bogactwo“? musi być niezmiernie drażliwem dla ludzi, świadomie lub nieświadomie ulegających wpływowi pojęć i uczuć warstwy panującej. W takiem społeczeństwie znaczna część tego, co zwykle uchodzi za bogactwo, w rzeczywistości jest tylko uprawnionem przywłaszczeniem. A nic bardziej nie obraża tych, którzy korzyści tu ciągną, jak nazywanie rzeczy właściwem imieniem.

Oto co Jan Stuart Mill — we wstępnych uwagach do swych „Zasad ekonomii politycznej“ — mówi:

„Często u dzieci ogólne zyskują uznanie takie „myśli, które im się później, w dojrzałym wieku, oczy„wistą wydają niedorzecznością. Wprost nawet trudno „im pojąć, jak można było w coś podobnego uwierzyć. „A nikt w dzieciństwie nie jest od tego wolnym, bo „zresztą nie mógłby się wówczas uwolnić bez nadzwy„czajnych wysiłków i odwagi.

„Coś podobnego zdarzyło się także z twierdzeniem, „że pieniądze znaczą to samo co bogactwo. A podo„bne urojenie zanadto niedorzeczne aby je uznać za „zdanie poważne. Zakrawa to wprost na jakiś nie„dojrzały wybryk dziecka, które zaraz ktoś dorosły „porządnie za to zgromił. Ale niech się nikomu nie „zdaje że umiałby uniknąć złudzeń, gdyby żył w cza„sach, kiedy takie mniemania były dość upowszech„nione.“

O tak, niech się nikomu nie zdaje!

Ale niemniej jest to nieszczęśliwe porównanie. Bo jakżeż można obok siebie stawiać jakieś niedowarzone urojenia dziecka i niedorzeczności systemu handlowego, tj. ochronnego. Innym był ich początek, innem też źródło ich siły. Nawetby dziecko w to nie uwierzyło, że im więcej da a im mniej wzamian dostanie, tem zamożniejszem będzie. Żaden też z pierwotnych ludów nigdy nie był tak ograniczonym, aby przypuszczać że swe bogactwo pomnoży przez obłożenie się podatkami. Lada dziecko wie że funt ołowiu tyleż waży ile funt pierza; a podobnie i wartość dolara w złocie nie może być większą od wartości dolara w srebrze lub czemś innem.

Takie myśli — to już nie mrzonki dziecinne. Z dziejów Ameryki i Australii widzimy, że ich rozpowszechnianie się, ich wpływ, ich trwałość wreszcie, należy przypisać wzrostowi osobistych interesów — i stąd to sztuczne ograniczenia wolności handlu, będące środkiem powiększenia bogactwa jednostek, kosztem bogactwa ogółu.

A potęga osobistych interesów, chociaż przeciwna interesowi publicznemu, taki jednak wywiera wpływ na opinię, że ta nawet fałsze przyjmuje za prawdy. Jest to fakt niezaprzeczony. Inaczej zresztą trudnoby nieraz pojąć własny lud, jego polityczne stanowisko obecnych i minionych czasów, oraz dzieje innych narodów.

Choć stosunkowo mała to liczba jednostek, którym się udało zbogacić (bez przysporzenia bogactwa ogółowi) może tu jednak nadzwyczajny wywierać wpływ. Bo tego rodzaju interes osobisty w takim stoi stosunku do interesów ogółu, w jakim np. stałaby armia do niezorganizowanych tłumów. Specyalność przysparza siły i energii, a osobiste bogactwo (wzięte, nb., z ogólnych zasobów) pomaga do urobienia opini. Daje ono wiele wolnego czasu, daje ogładę, i wogóle stawia

w takich warunkach, jakie zazwyczaj budzą szacunek — a to wywiera też wpływ i na umysł. Z drugiej znów strony, ofiary tej niesprawiedliwości (zabierania ogółowi aby zbogacić jednostki), niemając poprostu czasu na myślenie, zależni zresztą od okoliczności, od wychowania, od łask wkońcu, przyzwyczajają się myśleć podług życzenia bogacza. Są to zatem wogóle umysły pospolite, ludzie nieświadomi, ciemni, i w poczuciu tej swojej słabości, zawsze się oglądający za jakimś przywódzcą, kierownikiem z pośród tych, którzy mają nad nimi przewagę, jaką zazwyczaj daje bogactwo.

Niesprawiedliwość i niedorzeczność, to tylko różne odmiany tej samej rzeczy.

Niesprawiedliwość, która uboży wielu aby zbogacić jednostki, przenosi przez to punkt ciężkości siły społecznej i panuje nad wychowaniem i opinią. A w ten sposób narzucone jakieś wyobrażenie tak się z czasem uciera, tak się w umyśle i sercu zakorzenia, że w końcu jakby ze krwią już z pokolenia na pokolenie przechodzi. Jak język ojczysty człowiek, zda się, z mlekiem matki bierze, tak też podobnie i sposób myślenia i uczucia ze swego otoczenia przejmuje. I tak się już z tem otrzaska, tak przyzwyczai, że go ani brednia ani nawet żadna niesprawiedliwość już nie razi, i wcale ich nawet nie spostrzega. A nie tylko prostakowi ale i filozofowi wydaje się zupełnie naturalnym porządkiem rzeczy, z którym walka byłaby conajmniej daremną, jeżeli nie wprost bezbożną.

Tak więc nawet i rozum człowieka, i te same wszystkie władze jego umysłu, które go czynią zdolnym do wykrywania prawd, mogą być także i przeciwnie użyte — właśnie na obronę błędu. Jako się też tak zwykle dzieje tam, gdzie bierze górę jakiś osobisty, dobru ogółu przeciwny interes. Ten bowiem, kierując wychowaniem, narzuca swój sposób myślenia, uczy po swojemu pojętych obowiązków społecznych.

I to nam wyjaśnia bardzo zresztą w dziejach ludzkości pospolite zjawisko. Niejedno, co dziś uważamy za najoczywistszą brednię, dawniej uchodziło za niewzruszoną prawdę. A często całe narody padały ofiarą śmiesznych uprzedzeń, i nieraz się poniżały wobec jednostek, bijąc czołem przed jakimś błaznem, czy też wyuzdanym rozpustnikiem, wyobraziwszy go sobie jako przedstawiciela bóstwa. I oto tysiące ludzi w pocie czoła musi pracować, musi znosić niewygody i przymierać głodem, byle tylko ci ich wybrańcy, których na swych barkach dźwigają, mogli sobie bez pracy używać. Gruntownie zbadawszy, łatwo się przekonamy, że jeśli gdzieś, kiedyś jakąś brednię uznawano za prawdę, to z pewnością zawsze się poza tem krył jakiś potężny osobisty interes.

Ale taka to już ta natura ludzka. Przychodzimy na świat niczego zgoła nieświadomi, wszystko tu dla nas obce, nieznane. A że nie podobna przecie samym wszystko poznawać, wszystkiego własnem doświadczeniem dociekać: z konieczności przeto musimy polegać na tem, co nam inni powiedzą. Utarte więc cudze wyobrażenia i pojęcia, prędko się i w naszej duszy zaszczepiają. Zawładnąwszy przeto kierunkiem nauczania publicznego, łatwo już wtedy osobistemu interesowi przychodzi wpoić w innych przekonanie, że białem jest to, co się wydaje czarnem, a dobrem, co możnaby wziąć za złe.

A niech nikt nie sądzi że zdołałby uniknąć takiego złudzenia gdyby żył wtedy, kiedy je za prawdę poczytywano. O ile można badać wstecz, widzimy że natura ludzka żadnej nie uległa zmianie; wystarczy się zatem obejrzeć tylko wokoło aby spostrzedz, że tenże sam możny pośrednik, jak dawniej tak też i dziś, nie raz i nie jeden fałsz za prawdę nam podaje.

Uznawane niegdyś twierdzenie jakoby pieniądz był równoznacznikiem bogactwa, nawet i bystre umysły

obałamucić może. Już Adam Smith wykazał że to błąd. Jan Stuart Mill, szydząc z tego, sam jednocześnie, w tej samej książce, nieomal w tymże samym rozdziale, bezwiednie wymowny daje z samego siebie przykład. Idąc bowiem nieco dalej poza zdanie Smitha, z wielką tylko nieśmiałością dotyka kwestyi bogactwa. Uznaje on wprawdzie że co jest bogactwem dla jednostki, nie jest jeszcze przez to bogactwem dla społeczeństwa lub narodu; a dalej jeszcze stwierdza — raczej potwierdza — że dług, chociażby nawet był na czemś oparty, nie stanowi jeszcze żadnego bogactwa ogółu: ale sposób, w jaki się o tem wyraża, daje tu do myślenia, bo Mill tak o tem mówi:

„Skreślenie długu, to jeszcze nie zniszczenie bo-„gactwa, ale tylko zmiana jego posiadacza. Niesłusznie „też odbiera się bogactwa pewnym tylko członkom „społeczeństwa na rzecz rządu albo na rzecz płacących „podatki".

Już sam ten wyraz „niesłusznie", wypowiada tu wszystko. A przytem nawet wzmianki że w ekonomicznem znaczeniu nie można długu uważać za bogactwo, nie uwzględnił w późniejszem swem określeniu bogactwa.

Jakiż to wymowny dowód siły wpływu zakorzenionych pojęć, skoro nawet i taki Mill nie mógł się z pod niego zupełnie wyzwolić. Rozumiał on przecie doskonale, że bogactwo osobowe, zdobyte przez monopol gruntowy, to w rzeczywistości owoc przemocy tylko i podstępu, a jednak ani słówka o tem, że ziemia nie stanowi bogactwa narodowago, jakgdyby mu nigdy ani do glowy coś podobnego nie przyszło. Zdaje się też nawet nie marzyć o tem, że ludy przemocą z ojczyzny wyzute, mogą jeszcze kiedyś odzyskać to, co sam przecie nazywa ich prawem przyrodzonem. Ale w całej historyi różnych bredni, nie ma chyba żadnej, równie jaskrawo malującej siłę wpływu rozpowszechnionych już pojęć, jak to własne jego zdanie:

„Ziemia Irlandyi, ziemia każdego kraju należy do „ogółu jego mieszkańców. A więc tak zwani właści- „ciele ziemscy — ani ze względów moralnych ani też „w imię sprawiedliwości — żadnego nie mają prawa do „samej ziemi, lecz jedynie do renty albo do skupu po- „dług ceny sprzedażnej."

Czyli możnaby innemi słowy powiedzieć, że w Irlandyi ziemię moralnie dziedziczy ogół, i stąd ma prawo kupić ją od tych, którzy jej moralnie nie dziedziczą.

A skądże to pochodzi że taki wytrawny logik, że taki wszystko gruntownie zgłębiający umysł, mógł przeoczyć podobną brednię nad bredniami? Boć jakżeż tu inaczej nazwać zdanie, że t. z. właściciele ziemscy żadnego nie mają prawa do ziemi, z wyjątkiem tylko tego, które jest sumą i wyrazem wszystkich zamiennych praw do ziemi — renty?

Kto się dobrze w jego dzieła wczyta, ten łatwo tam spostrzeże, że to była jedna z dawniej przez niego przyjętych teoryi. Na tym gruncie cały szereg ludzi zdolnych usiłował choć pozornie przywrócić logiczny związek w ekonomii politycznej, życiowo jeszcze niedoskonałej. Teorye te przypominały ów tak pracowity system cyklów i epicyklów, którym astronomowie (przed Kopernikiem) usiłowali wyjaśnić ruchy ciał niebieskich.

Gdy jakieś obce, szkodliwe ciało — np. kula — dostanie się do organizmu ludzkiego, doktorzy zrazu czynią wszystko możliwe aby je usunąć. Skoro się jednak wszystkie ich usiłowania okażą daremnemi, wtedy już chodzi tylko o to, aby organizm przystosować do kuli. A często się to wybornie udaje; czasem ani nawet śladu szkodliwego wpływu jej obecności. Rozmawiałem z człowiekiem, który oddawna nosi kulę pod skórą a zdrów i silny. Zdarza się nawet że ludzie lata żyją z kulą w mózgu.

Podobnie się też rzecz ma i z systemami filozofii. Skoro się profesorom nie uda usunąć jakiejś bredni,

zaraz usiłują inne części systemu przystosować do jej szkodliwego wpływu. I często im się sztuka tak dalece udaje, że niektóre brednie nawet przez wiele pokoleń bywają uznawane. A należy też pamiętać że umysł o wiele plastyczniejszy niż ciało nasze, i że wyobraźnia — ten główny czynnik w tworzeniu systemów filozoficznych, — dostarcza pono subtelniejszej limfy niż ta, którą krew daje organizmowi.

Dzięki więc tylko sztuczności i powikłaniu, szkodliwa jakaś brednia czasem nie razi w filozoficznym systemacie. A już to samo otacza ją urokiem, że jej nikt nie rozumie — z wyjątkiem chyba tylko tych, którzy sami są pokręceni, gdyż wcześnie się do umysłowych koziołków zaprawiają jak ci, co się uczą chodzić na rękach, albo jak adwokat, który w równie przykry sposób uczy się wykrętów aby potem, wbrew swemu przekonaniu bronić oskarżonego.

Jeżeli organizm, po długich wysiłkach, przystosuje się wreszcie do goszczącej w nim kuli, wtedy już trudniejsze jej usunięcie i leczenie. Podobnie się rzecz ma i z jakąś bredną, dłużej w systemie filozoficznym cierpianą. Naprawa tu trudna dla ludzi, którzy się z tem już w ciągu długich lat oswoili i zrośli. Łatwiej by to przyszło tym, którzy się więcej mają uczyć niż oduczyć. Bacon bowiem miał słuszność że „*kaleka, wlokąc się właściwą drogą, może prześcignąć nawet i wyścigowca, biegnącego drogą fałszywą. A co więcej, że im ów wyścigowiec szybszy, tem dalej pozostanie wyle.*“

Dlatego też zapewne i Chrystus do dzieci się zwrócił ze swą głęboką nauką o królestwie niebieskiem, czyli o systemie czynienia dobrze. A to, co dzieciom objawił, niepojętem było dla tych, którzy się za mędrców i roztropnych podawali. To, czego prostaczkowie radzi słuchali, wydawało się głupstwem pisma uczonym.

Możnaby bez końca podawać takie przykłady, bo nigdy i nigdzie ich nie brakło. Obfituje w nie histo-

rya umysłowego rozwoju ludzkości. A Michelet w dziele swem pt. „Lud“, bez ogródki mówi że:

„*Nie ostałaby się na tym świecie żadna uznana brednia, gdyby człowiek już w dziecku nie głuszył wstrętu do niej.*

Ale nie odbiegajmy od przedmiotu.

Zbyteczna chyba dowodzić, że byłby byt potężnej warstwy bogaczów zagrożonym z chwilą uznania za fakt, iż to, co wzbogaca jednostki, zgoła nie stanowi bogactwa społecznego, ale jest poprostu przywłaszczeniem. Stąd też przyczyny tamujące w świecie klasycznym rozwój ekonomii, również i w nowszych czasach utrudniały jej odpowiedź na pytanie: co to jest bogactwo. A trudność ta jeszcze bardziej wzrosła z chwilą, kiedy później kolegia i uniwersytety, zależne od bogatych ujęły w swe ręce kierunek tej nauki. Napróżno już ludzie zdolni usiłowali choćby pozornie zaprowadzić jakiś ład w systemie ekonomii politycznej. A poniechanie tego, zwiększając zamęt, niemało się jeszcze przyczyniło do przytłumienia poczucia potrzeby jasnej odpowiedzi na pytanie: Co to jest bogactwo.

Bogactwo, to nie to samo co pieniądze.

Podejmowano już różne próby określenia bogactwa w znaczeniu ekonomii, ale te chyba tylko powiększały zamęt. A koroną tego było przyjęcie pospolitego mniemania, że bogactwem jest wszystko, co zamienne. I mniemanie to uznano za najodpowiedniejsze określenie okonomicznej nazwy. To też następstwem tego było przypuszczenie już możliwości porzucenia ekonomii politycznej.

Arcybiskup Whately — w dziele swem pt. „Zasady logiki“ — mówiąc o różnoznaczności nazw, zaznacza jakoby ona to właśnie sprawiła że i wyraz „bogactwo“, także bywa uważany za równoznacznik pieniędzy. O skutkach zaś tego tak dalej pisze:

„Następstwem było oszukaństwo, kara i nędza „w domu, a niezgoda i wojny na zewnątrz. Stąd też

„narody uważały swych odbiorców za źródło strat, „miasto zysków, a korzystny rynek zbytu za przekleń- „stwo, miast za błogosławieństwo. A to w ciągu stuleci „wpłynęło więcej — i wpłynie jeszcze więcej — na opó- „źnienie naprawy stosunków europejskich, aniżeli wszy- „stkie inne razem wzięte przyczyny."

Ale tu autor — jakkolwiek sławny logik — każe jednak wozowi toczyć się przed końmi.

Nie są to przecie skutki pomieszania nazw. Owszem, przeciwnie, bo właśnie to pomieszanie jest jednym ze skutków wpływu, jaki na sposób myślenia wywiera ten sam osobisty interes, który dla zbogacenia jednostek kosztem ogółu, sam tu jest przyczyną wszystkiego złego.

Wykluczone też przypuszczenie że interesowani przedstawiciele potęgi pieniężnej będą wpływać na opinię w duchu potrzeby zmiany porządku społecznego, który im dziś pozwala zdobywać bogactwa bez pracy.

Chociaż w Stanach Zjednoczonych nigdy interes osobisty oparty na niewoli, nie był zbyt rozległym, a jednak tak dalece panował nad myślą całego kraju, że aż do wybuchu wojny domowej, nazwa „abolitionist"[1] — nawet i na północy — oznaczała coś podłego i bezbożnego. To też gdyby jakaś inna przyczyna wywołała wojnę a interes jednostek został oparty na utrzymaniu niewoli, wtedy zapewne i zapatrywania na tę sprawę nie uległyby tak nagłej zmianie. Ale skoro tylko z chwilą ogłoszenia wolności ustał handel niewolnikami, ustał zarazem i wpływ tego interesu na opinię publiczną. A dziś już chyba żadnemu kaznodziei, żadnemu profesorowi lub mężowi stanu — nawet i na południu — aniby do głowy nie przyszło zabierać głos w obronie niewoli. Głośny jej w swoim czasie przeciwnik William Lloyd Garrison, który ledwo z życiem uszedł z rąk oburzonego tłumu, dziś ma pomnik w Bostonie.

[1]) Członek towarzystwa przeciwnego niewoli.

ROZDZIAŁ III.

Co Adam Smith rozumiał przez bogactwo.

Jak dalece różnił się w tem od swych następców.

Znaczenie tytułu „Bogactwo narodów". -- Jego początek w stosunku Smitha do fizyokratów. — Jak on pojmował bogactwo. — Zarzut Malthusa i Macleod'a. — Wyjaśnienie w dziele „Postęp i nędza". — Dalsze wnioski.

Porównawszy wielkie dzieło Smitha z pracami jego następców, zaraz w samym tytule już spostrzegamy coś, na co nikt nie zwraca uwagi, a co jednak w gruncie rzeczy jest bardzo znamiennem. Smith bowiem nie zaleca badania natury i źródła bogactwa wogóle, ale każe „badać naturę i przyczyny *bogactwa narodów*."

Wyrazy podkreślone to właśnie ów tak wiele mówiący tytuł jego dzieła. A nikt o niem przecie nie mówi „Badania" Smitha, ani też „Bogactwo" Smitha, ale „Bogactwo narodów" Smitha. Jednakże na ten ograniczający tu wyraz „narodów", zwykle mało się zwraca uwagi, a jeszcze go mniej rozumieją autorzy, jacy dzieło to już wyjaśniali lub niby poprawiali. Wciąż im się zdaje że Smith mówi o bogactwie wogóle, bez ograniczenia, tj. o takiem, jakie jest przedmiotem ekonomii politycznej. Użył wprawdzie wyrazu „narodów", ale to — w ich przekonaniu — miało tylko znaczyć polityczny podział na kraje, jak Austrya, Francya, Holandya itd.

Ale ci, którzy go tak chcą rozumieć, opierają się tylko na bardzo lichych pozorach dowodu, jakich im dostarcza tytuł części 3-ej „O niejednakowym wzroście zamożności u różnych narodów“. Ale już sam ten dodatek „narodów“, wyraźnie wskazuje że Smith nie miał tu na uwadze politycznego podziału ludzkości na narody w znaczeniu państwa.

Ale chociaż, jak to już wyżej zaznaczyłem, nie jest on ani dość jasnym, ani też zupełnie — co do pojęcia bogactwa — stanowczym, niemniej jednak to, co rozumie przez „bogactwo narodów“, jest napewno czemś z gruntu różnem od tego, co pospolicie uchodzi za bogactwo; a niemniej różnem też i od pojęcia, że bogactwem jest wszystko, co może wzbogacić jednostki, uważane niezależnie od innych jednostek. Słowem miał on na myśli ten rodzaj bogactwa, którego wytwarzanie pomnaża a zmniejszanie zmniejsza bogactwo ogólne, tj. społeczne albo raczej całej ludzkości. Czyli że ten dodatek „narodów“ wyraźnie mówi, że autorowi nie mogło tu iść o bogactwo w znaczeniu pospolitem lub osobistem, bo wyrażenie „narodów“ nie ma tu znaczenia większego politycznego podziału ludzkości ale tylko społeczeństw — tj. społecznych organizmów.

W części 4-ej „Bogactwa narodów“ znajdujemy ustęp, kóry dostarczył tytułu dla tej dziesięcioletniej pracy. Mówiąc tam o francuskich ekonomistach, a w szczególności o fizyokratach[1]) Smith zaznacza:

„Ta sekta zajmuje się w swych bardzo licznych „pracach nietylko tem, *co właściwie nazywamy ekono-*
„mią polityczną — czyli że zajmuje się nietylko naturą
„i przyczynami bogactwa narodów, ale także wszystkiem,
„co dotyczy cywilnego zarządu, a więc z małą zaledwie
„odmianą, uprawia doktryny Quesney'a.“

[1]) Sekta, której podstawą była nauka o naturalnym porządku. Nazwę tę nadał jej w r. 1768 Dupont de Nemours, jeden z najczynniejszych krzewicieli tych zasad.

A więc nie bogactwo w luźnem i pospolitem tego słowa znaczeniu, ale raczej tylko to, co stanowi bogactwo organizmów społecznych, czyli — jak on nazywa — bogactwo narodów jest właściwym przedmiotem nauki, zwanej ekonomią polityczną. A w przyznaniu tego faktu, należy też szukać przyczyny: dlaczego autor taki właśnie a nie inny wybrał dla swego dzieła tytuł „Bogactwo narodów". Myślał on, bezwątpienia, i o tem aby je nazwać ekonomią polityczną; ale czy z uwagi że to jeszcze dzieło niezupełne, czy też przez skromność zwykłą u ludzi wielkich, dość że wolał mniej pretensyonalny tytuł, który jednak również wyraża tę samą myśl: Badanie natury i przyczyn bogactwa narodów.

Często mu zarzucają że nie określa: co mianowicie rozumie przez bogactwo — ale to niezupełnie słuszne. Zaraz przecie w pierwszym rozdziale wstępu tak mówi:

„Dla każdego narodu, roczna jego praca, to źró-
„dło bezpośrednio go zaopatrujące we wszystko, co
„mu konieczne do zaspokojenia potrzeb i wygód życia.
„Są to zawsze owoce jego własnej pracy, albo też to,
„co wzamian za nie nabył od innych narodów."

Pod koniec zaś tego wstępu mówi, że „prawdziwe bogactwo — to owoce ziemi i pracy spoczeństwa." Niemniej jeszcze i w kilku innych miejscach wspomina o tem bogactwie społeczeństwa, albo raczej bogactwie narodów, czyli prawdziwem bogactwie, które stanowią owoce połączonej ziemi i pracy.

Własne Henryka George'a określenie bogactwa.

To co Smith rozumiał przez „*owoce ziemi i pracy*", nie znaczy owoce ziemi + owoce pracy, ale owoce obojga w połączeniu. Czyli innemi słowy — uwzględniwszy że praca, to czynny a ziemia bierny czynnik wszelkiej wytwórczości — jest to skutek pracy rozwiniętej wobec ziemi tak, aby zaspokoić ludzkie pragnienia.

Tymczasem Malthus — poparty w tem przez Culloch'a i wielu komentatorów Smitha — zarzuca mu że z tego określenia wynika, jakoby bogactwem były zarówno wszystkie nieużyteczne produkta ziemi, jako też i te, które człowiekowi służą do zaspokojenia jego potrzeb. W podobny też sposób krytykuje go i Macleod, autor zdolny, tłumaczący się jasno, a stąd jego „Elements of economics" z przyjemnością się czyta. Ten zaś mówi, że jeżeli przyjmiemy iż

„roczna wydajność ziemi i pracy — oddzielnie „albo w połączeniu — jest bogactwem, to za bogactwo „też musimy uznać zarówno bezużyteczny jak i naj- „użyteczniejszy produkt ziemi — i chwast i zboże. „Jeśli nurek wyłowi muszlę z perłą, to muszla będzie „równej z nią wartości, ponieważ tak samo jest „pro- „duktem ziemi i pracy" jak i perła. Niemniej jeżeli „górnik dobędzie z ziemi bryłę rudy złotej, to po od- „dzieleniu kruszcu, wartość odpadków i złota będzie „równą, bo i jedno i drugie jest produktem „ziemi i „pracy". I tak bez końca możnaby takie przykłady „wyliczać."

Gdyby się można z samym Smithem porozumieć, z pewnością dowiedzielibyśmy się wtedy, że za owoc pracy należy uważać tylko to, co ona miała wytworzyć, a nie to, co przypadkiem była zmuszoną wytworzyć. A jednak nieomal te wszystkie skargi oparte tylko na tak słabych zarzutach.

To co Smith rozumiał przez bogactwo narodów, w gruncie rzeczy jest to to samo, co już w „Postęp i nędza" użyłem jako nazwy w znaczeniu ekonomicznem. Znaczy to zatem, że *bogactwem są naturalne produkta, które zostały zdobyte, przeniesione, oddzielone lub połączone, albo też w jakiś inny sposób, skutkiem usiłowań człowieka, zostały zmienione tak, aby jego pragnienia mogły zaspokoić.*

Taką też jest myśl przewodnia pierwszej i najważniejszej części dzieła Smitha. Nigdy jej z uwagi nietracąc, zawsze on wytwarzanie wszelkiego bogactwa przypisuje pracy. A myśl tę nasunęła mu sama natura bogactwa; ale on, niezaznaczywszy w jakim stosunku stoi do innych — jeszcze niewypowiedzianych — myśli, wpadł w zamęt i zaliczył także do bogactwa osobiste przymioty i długi.

ROZDZIAŁ IV.

Fizyokraci.

Pierwsi, którym prawdziwa nauka ekonomii politycznej zawdzięcza swój rozwój; a co oni głosili.

Quesnay i jego zwolennicy. — Zdobyte przez nich wielkie prawdy i przyczyna zamętu, w który popadli. — Przeciwnicy użyli tego za broń, aby zdyskredytować cały ich system. — W gruncie rzeczy byli to zwolennicy wolnego handlu. — Już im w części oddano sprawiedliwość. — Odwołanie się do nich w dziele „Postęp i nędza". — Co Macleod mówi o ich nauce o naturalnym porządku. — Ich pogląd na bogactwo. — Ich powodzenie i upadek.

Pierwsi, którym w nowszych czasach nauka ekonomii politycznej zawdzięcza swój rozwój; albo raczej pierwsi, którym się dość szeroki udało pozyskać rozgłos, aby imiona swe i dzieła przekazać potomnym: — byli to francuscy filozofowie, o których Smith wspomina jako o sekcie, „która z małą zaledwie odmianą uprawia doktryny Quesney'a."

A ten Franciszek Quesnai (podług dzisiejszej pisowni Quesnay) — o którym Mc Culloch mówi że się wyróżniał zarówno bystrością i oryginalnością umysłu, jako też wielką prawością i skromnością charakteru — urodził się w Mercy, niedaleko Paryża, 4 czerwca 1694 r. a zatem na 28 lat przed Smithem. Początki były dlań trudne, bo od najmłodszych lat, zmuszony ręczną pracą na wsi zarabiać na utrzymanie, nie mógł nawet do

szkoły uczęszczać. Sam jednak — o własnych siłach tylko — nauczywszy się czytać, został pomocnikiem chirurga, a wkońcu na własną rękę rozpoczął praktykę w Mantes. Tam zaoszczędziwszy sobie trochę grosza, dał się poznać marszałkowi de Noailles, który wspomniał o nim królowej, a ta z kolei poleciła go królowi. Osiadłszy w Paryżu, kupił miejsce nadwornego lekarza, a król zrobił go swoim pierwszym lekarzem. Trzymając się zdala od intryg dworskich, szczery pozyskał szacunek Ludwika XV, z którym, jako pierwszy lekarz, często się musiał spotykać. Król nadał mu szlachectwo, wyznaczył mieszkanie w tym samym pałacu, i poufale nazywał go swym filozofem, a dzieła jego były drukowane w królewskiej oficynie.

I teraz, w wersalskim pałacu, nie przestał się ten „królewski myśliciel“ otaczać gronem ludzi wybitnych, z którymi łączył go cel wspólny — cel najwznioślejszy, jaki sobie kiedykolwiek ludzki umysł wytknął — czyli ni mniej ni więcej, tylko pozyskanie wolności i usunięcie nędzy ludzkiej, a to przez zastosowanie praw ludzkich do naturalnego porządku, jaki był celem Stwórcy.

Ci ludzie jasno zdawali sobie sprawę z tego, co się zbyt często traci z oczu wśród gmatwaniny wyższej cywilizacyi, a co przecie niemniej pewne i widoczne dla każdego, kto się zastanawia nad głównemi zasadami. Czyli że rozumieli oni dobrze iż jedno jedyne tylko istnieje źródło, z którego ludzie mogą czerpać środki dla zaspokojenia wszystkich swoich materyalnych potrzeb, tj. ziemia; i że jest tylko jeden jedyny sposób, który ją może uczynić wydajną, tj. praca. Zastosowaniu więc pracy do ziemi całe przypisywali bogactwo, stanowiące — a przynajmniej mogące stanowić — część bogactwa ogółu czyli bogactwa narodów.

Jest to główna zasada, — punkt wyjścia dla każdej prawdziwej ekonomii, i to także wtedy nawet, gdy cho-

dzi o pokolenie dzikich lub o jakąś odosobnioną jednostkę. Tak więc nietylko że odkryli zasadę główną, ale zasadę będącą osią prawdziwej ekonomii. A jest to mianowicie ta zasada, że kiedy przez łączenie pojedyńczych grup, wzrasta całe ciało społeczne, powiększają się również i zasoby środków zaspokojenia materyalnych potrzeb tegoż ciała; a to, co z nich — po zaspokojeniu tych potrzeb — zbywa, może być — stosownie do pierwotnego przeznaczenia — zużyte, ale tak, aby przez to nie pozbawiać żadnej jednostki tego, co do niej słusznie należy; czyli tak, aby przez krzywdę jednostek, nie ściągnąć ciężkiej klęski na państwo.

Te to zbywające zasoby, Quesnay wespół ze swymi zwolennikami nazwał *produit net*, tj. netto, nadwyżka, reszta. A widocznie dlatego tak to nazwali, ponieważ wydało im się czemś zbywającem, i po pokryciu wszelkich wydatków, czy po wynagrodzeniu użytej pracy, zostawało na ziemi. To zaś, co istotnie rozumieli przez „*produit net*“ — produkt netto, albo nadwyżka płodów — ściśle biorąc, jest tem, co nazywamy renta, ale nie w potocznem lecz w ekonomicznem znaczeniu tego wyrazu, tj. tak jak rozumiany od czasu Riccarda, który go wprowadził. Ale nadwyżka, zda się, byłaby tu odpowiedniejszą nazwą, ponieważ renta, jest to wyraz zbyt często w zwykłem znaczeniu używany, a stąd łatwo o nieporozumienie. Jan Stuart Mill wcale pewno nie myślał o fizyokratach, kiedy mówiąc o ekonomicznej rencie jako o „*niezasłużonem powiększeniu wartości ziemi*“ był już nieomal blizkim pojęcia, które im natchnęło tę nazwę „*produit net*“.

Niewątpliwie i Quesnay i jego współpracownicy, dobrze tu rozumieli nader doniosłe znaczenie tego „*produit net*“ albo „*niezapracowanego powiększenia*“ (unearned increment) a co wyraża ekonomiczna nazwa renta. Wyraźnię o tem świadczy zalecanę przez nich do stosowania w praktyce tz. *impôt unique*, czyli po-

jedyńczy albo jeden podatek (single tax). A pojmowali to zupełnie tak samo jak i dzisiejsi zwolennicy tej teoryi. Żądali więc zniesienia wszystkich podatków obciążających przemysł, handel i wogóle wszelką własność, radząc natomiast pokrywać publiczne wydatki jedynie ową ekonomiczną rentą, czyli nadwyżką produktów, albo (gdy chodzi o jednostki) *niezasłużonym przyrostem* wartości ziemi wszędzie tam, gdzie ona w lepszych warunkach aniżeli ziemia, z której wszystkim wolno użytkować.

A skoro tylko fizyokraci odkryli właściwe znaczenie i cel owej nadwyżki, czyli ekonomicznej renty, z tą chwilą rozwinął się już przed nimi prawdziwy system ekonomii politycznej — system harmonijnego porządku i dobroczynnego zamiaru (beneficent purpose). Zdobyli więc klucz do właściwej nauki ekonomii politycznej, która bez tego byłaby wprost niemożliwą. Ale obałamuceni przez fałszywe spostrzeżenia i ogólnie wówczas panujące pojęcia, przeoczyli fakt że owa tz. przez nich nadwyżka, czyli po naszemu ekonomiczna renta, może być (jako przyrost wartości — przyp. tł.) przyłączona do ziemi użytej na jakikolwiekbądź cel. Wówczas bowiem ogólnem było mniemanie, że tylko rolnictwo[1]) może dać posiadaczowi ziemi ową ekonomiczną rentę, czyli nadwyżkę po nad koszta produkcyi. W prawie natury szukając wyjaśnienia tego mniemanego faktu, zdało im się że spostrzegli uderzającą różnicę między rolnictwem, które wytwarza rzeczy, a mechaniką i handlem, które jedynie zmieniają rzeczy co do formy, miejsca lub właściciela. A różnica ta pochodzi stąd, że tylko rolnictwo oparte na rodzącym pierwiastku przyrody.

Mniemany ten fakt, i — jak im się zdawało — trafne jego wyjaśnienie, (polegające na szczególnem

[1]) Przed „Postęp i nędza", nikt temu nie przeczył.

użyciu w rolnictwie siły rozpładzania, właściwej wszelkim formom życia roślinnego i zwierzęcego) fizyokraci wyrazili już przez samo nazwanie rolnictwa jedynem twórczem zajęciem. Podług nich tedy wszelkie inne zawody, chociaż użyteczne, są jednak bezpłodne, jałowe tak dalece, że nawet żadnej nie dają nadwyżki ani „niezasłużonego przyrostu“; zwracają jedynie to, co biorą z ogólnych zasobów bogactwa, a to przez zmianę form, miejsca lub właściciela rzeczy już istniejących. Oto była ich wielka, fatalna omyłka, której potem nie bez skutku przeciw nim użyto, aby cały ich system obalić.

Francuscy zwolennicy jednego podatku.

A przecie nie był to jeszcze błąd fundamentalny, a przynajmniej wcale nie wpłynął na zmianę ich praktycznych projektów. Zwolennicy Quesnay'a dowodzili tylko, że rolnictwo — razem z rybołóstwem i górnictwem — to jedyne produkcyjne zajęcie; czyli innemi słowy, że tylko takie zastosowanie pracy zwiększa bogactwo, gdy tymczasem przemysł i handel, chociaż użyteczne, są jednak bezpłodne, bo jedynie zmieniają formy lub miejsce bogactwa, ale go nie powiększają. Nie doradzali jednak żadnych ograniczeń prawnych co do zawodów tak przez siebie napiętnowanych. Przeciwnie, stali oni na stanowisku tz. „angielskich wolnohandlowców“, którzy jednak, trzymając sie zasad Smitha, nigdy jeszcze nie byli na prawdę wolnohandlowcami w pełnem tego słowa znaczeniu. Doradzając zaś zastosowanie systemu pojedyńczego opodatkowania, wskazywali jednak tylko takie ku temu środki, któreby nigdy nie pozwoliły osięgnąć logicznych wyników zasady wolnego handlu, tj. wolności nietylko handlu, ale wszelkich innych form i sposobów produkcyi, i to przy zupełnej swobodzie użycia naturalnego pierwiastku, będącego jej podstawą.

Oni to postawili zasadę: „*Laissez faire, laissez aller*“. A ta ich dewiza ma jakoby pochodzić od okrzyku, który

w średniowiecznych turniejach był hasłem rozpoczęcia zapasów. W Anglii skrócono ją na „Laissez faire“ a nawet i całkiem przekręcono na „A fair field and no favor!“ (Równe pole, a żadnych względów).

Byli to niewątpliwie pierwsi i prawdziwi wyznawcy zasady wolnego handlu. Dlatego też poświęcając ich pamięci moją pracę pt. „System ochrony czy wolny handel“ (1885) powiedziałem:

„Posunąwszy badania dalej, aż po za granicę, do „której Smith i jego następcy dotarli, sądzę iż usuną„łem największe trudności dokuczliwej sprawy taryfy. „Ułatwiło to porozumienie; inaczej spór mógłby trwać „do nieskończoności.

„A skutkiem wniosków, do jakich nas te badania „doprowadziły, było przywrócenie zasadzie wolnego han„dlu, pierwotnego znaczenia — które w wykładzie an„gielskich ekonomistów zostało wypaczone — znaczenia, „jak je pojmowali twórcy dewizy „Laissez faire“. Sy„stem ich wprawdzie nie jest doskonałym, ale trzeba „im przyznać, że oni to postawili główną zasadę, którą „jednak późniejsi zwolennicy wolnego handlu pominęli.“

A ta wielka, choć jeszcze niejasno pojęta zasada, była dla nich tęczą wśród chmur. Ale nie dostrzegli że ten wspaniały łuk całkiem już znikł, a brak przenikliwości usiłowali zastąpić bałamutnemi nazwami. Czuli jednak że zawsze najlepiej w prawach przyrodzonych szukać punktu oparcia w razie, jeśli zawodzą próby uporządkowania świata, podjęte przez ludzkie prawodawstwo.

Z tem wszytkiem nic lepiej nie stwierdza ważności ich teoryi, jak właśnie ten ich zupełny upadek, będący tylko skutkiem samoobrony potężnych osobistych interesów, zagrożonych tu przez postęp prawdy. Wystarczyła więc jedna tylko omyłka w teoryi, aby już pod tym pozorem przeszkodzić wprowadzeniu w życie słusznej i użytecznej propozycyi.

Prawda ukryta po za tem ich twierdzeniem, (jakoby „rolnictwo było jedynem produktywnem zajęciem“) to nic innego, jak renta Riccardo'a, ale szerzej pojęta, lecz tylko odnośnie do rolnictwa. Tymczasem nie znam żadnego z angielskich ekonomistów, piszących o fizyokratach lub ich zasadach, któryby to rozumiał, a choćby tylko najsłabsze miał o tem pojęcie.

W „Postęp i nędza“ tak o nich piszę:

„Że „renta“ powinna być — zarówno w imię słu-
„ności jak i użyteczności — właściwym przedmiotem
„opodatkowania, to już z samego uznania teoryi o
„„rencie“ wynika. Uznają to chyba wszyscy ekono-
„miści, piszący się na prawo Riccardo'a. A że tych
„zasad (jednego podatku. Przyp. tł.) jeszcze, pomimo
„mych starań, w życie nie wprowadzono, pochodzi to,
„bezwątpienia, z obawy, aby nie wystawiać na niebez-
„pieczeństwo, nie zaczepiać potężnych interesów pry-
„watnego posiadania ziemi. Nie mniej też przeszka-
„dzają ich zastosowaniu w praktyce, panujące fałszywe
„teorye o zarobkach i przyczynie nędzy.

„Ale była też szkoła dowodząca, jakoby dochód
„z opodatkowania publicznej własności ziemi, winien
„być na publiczne potrzeby obracany. Francuscy eko-
„nomiści XVIII w. z Quesnay'em i Turgot'em na czele,
„zupełnie tego samego, co i ja, żądali, tj. zniesienia
„wszelkich podatków, z wyjątkiem tylko podatku od
„wartości ziemi. Ale ponieważ naukę Quesnay'a i jego
„szkoły, znam tylko z drugiej ręki, tj. przez angiel-
„skich pisarzy, nie mogę przeto orzec, o ile jego twier-
„dzenie (że „rolnictwo, to jedyne produktywne zajęcie“)
„jest w samem pojęciu mylnem, czy też błąd pochodzi
„jedynie z niewłaściwości nazwy. Z propozycyi jednak,
„które w końcu stawia, mogę tylko na pewno to wno-
„sić, że rozumiał on dobrze główną zasadę, tj. wzajemny
„stosunek ziemi i pracy (co później stracono z uwagi)
„oraz że dotarł do praktycznej, choć może błędnie wy-

„rażonej prawdy. Przyczyny, dla których „netto pro-
„dukt“ zostaje w ręku posiadacza ziemi, fizyokraci nie
„umieli jeszcze wyjaśnić lepiej, aniżeli np. wyjaśniano
„działanie pompy ssącej, przypuszczając że przyroda
„nie znosi próżni. Ale za to nie mniej ode mnie ro-
„zumieli korzyści, jakieby przemysł i handel odniósł
„z zupełnej wolności, gdyby opodatkowano „rentę“ wza-
„mian za wszelkie inne ciężary, które krępują i wypa-
„czają zastosowanie pracy.

„Niezmiernie żałować trzeba że rewolucya fran-
„cuska stłumiła te idee, i to właśnie w chwili, kiedy
„się coraz bardziej zaczynały upowszechniać wśród
„ludzi myślących, i kiedy już nawet wpływ na sfery
„prawodawcze wywierały.

„Nic zgoła jeszcze niewiedząc o Quesnay'u i jego
„nauce, przyszedłem do tych samych praktycznych
„wniosków; i oparłem je na podstawach, których nie
„może chyba kwestyonować uznana ekonomia polityczna.“

Z pośród wszystkich znanych mi angielskich pi-
sarzy, bodaj że najlepszą charakterystykę fizyokratów
daje Henryk Dunnig Macleod w dziele swem pt. „Ele-
ments of economics“ (1881). Zdaje się jednak nie
pojmować prawdy ukrytej na dnie błędu, który spra-
wił że wielkie ich zasługi poszły w zapomnienie.[1]
Jest to dla niego wprost niepojęte, że „ludzie tej miary
mogli twierdzić, jakoby praca robotników i handel nie
przysparzały bogactwa kraju.“ Nazywa to „jednem
z tych zboczeń ludzkiego rozumu, które mogą zadzi-
wiać, ale których nie można sobie wyjaśnić.“ A mimo
to wszystko, przyznaje im jednak zaszczyt że są zało-
życielami nauki ekonomii politycznej; przyznaje nawet,
że mimo błędów, „mają niezaprzeczony tytuł do nie-
wygasłej chwały w dziejach ludzkości“; a wkońcu daje

[1]) Tu autor obiecuje w następnem dziele dokładniej tę omyłkę rozebrać; śmierć jednakże nie pozwoliła mu tego dokonać. P. Tł.

własny szkic zasad, na których oparta ich nauka. Przytoczę z niego następujący wyjątek:

„Stwórca osadził człowieka na ziemi, widocznie „dlatego, aby się ród ludzki pomyślnie rozwijał. Jako „też są pewne fizyczne i moralne prawa, które bez- „warunkowo mają na celu zepewnienie nam bytu, roz- „woju, pomyślności i ciągłego doskonalenia się. A wza- „jemny stosunek tych praw tak ścisły, że jeśli w sku- „tek nieświadomości czy zaślepienia, źle pojmiemy jedno, „już tem samem i pozostałe będą źle zrozumiane. Na- „tura fizyczna, czyli materya, w znacznej mierze daje ludzkości to, co ciało daje duchowi. Stąd też konie- „czne ciągłe ścieranie się dobra i zła.

„Naturalna sprawiedliwość, to zgodność ludzkich „praw i czynów z naturalnym porządkiem. A już te „fizyczne i moralne prawa istniały, zanim się jeszcze „pojawiła jakakolwiek instytucya ludzka. Jeżeli zaś „stosowanie się do tych praw, w najwyższym stopniu „zapewnia ludziom powodzenie, to natomiast łamanie „ich ściąga na ludzkość wiele fizycznych klęsk.

„A skoro takie prawo przyrody istnieje, już tem „samem umysł nasz zdolny je pojąć, bo inaczej byłoby „bezużytecznem, więc Stwórca, postanawiając je, po- „pełniłby błąd. A ponieważ te prawa ustanowiła dla „nas Najwyższa Istota, zatem wszyscy ludzie i wszy- „stkie kraje, winny się niemi rządzić. Prawa te nie- „zmienne, niewzruszone, i możliwie najlepsze. Winny „zatem służyć za podstawę rzadu, jeśli ten ma być „doskonałym; nie mniej należy je przyjąć za podstawę „wszelkich praw ludzkich, których jedynem zadaniem „utrzymanie naturalnego porządku, widocznie najodpo- „wiedniejszego dla człowieka.

„A że zamiarem Stwórcy było zapewnienie czło- „wiekowi bytu, rozwoju, pomyślności i doskonalenia „się, dowodem tego to, że obdarzył go nietylko rozu- „mem ale i odpowiedniemi instynktami. Stąd dążność

„do pomyślności, towarzystwa i sprawiedliwości. Każdy „pojmuje przecie, że odosobnienie zgoła nieodpowiada „jego podwójnej naturze; bo zarówno fizyczne jak i „moralne potrzeby, zmuszają go do życia w pokoju, „miłości i zgodzie z równymi mu istotami.

„Pojmuje również że towarzysze, mając takież „same jak i on potrzeby, mają tem samem równe z nim „prawa, które obowiązany uszanować, aby mógł na- „wzajem wymagać uszanowania własnych praw.

„A te myśli — płód rozumu — uznanie potrzeby „pracy, potrzeby życia towarzyskiego i potrzeby spra- „wiedliwości, zrodziły trzy inne pojęcia: wolności, wła- „sności i władzy — trzy główne nazwy wszelkiego „społecznego porządku.

„A jakżeż człowiek mógłby zrozumieć potrzebę „pracy, i pójść za nieprzepartym głosem instynktu, za- „chowania bytu i zdobycia pomyślności, gdyby nie „zrozumiał, że narzędzia pracy — fizyczne i umysłowe „zdolności, któremi go natura obdarzyła — stanowią „wyłączną jego własność; i gdyby nie wiedział o tem „że jest panem i nieograniczonym właścicielem swej „osoby, bo skoro się urodził, już tem samem winien „pozostać wolnym.

„Ale idea wolności nie mogła się w jego umyśle „zrodzić bez idei własności; gdyż sama wolność tylko, „byłaby jedynie złudzeniem, czczem, bezprzedmiotowem „prawem. Pod wolnością, rozumieć trzeba, że wolno „jednostce pracą zdobywać przedmioty, potrzebne do „utrzymania, i że jej wolno rozporządzać niemi bez „żadnych zastrzeżeń, a nawet przekazywać rodzinie.

„Tak pojęta wolność, to własność, którą można „dwojako rozumieć — jako nieruchomą i ruchomą. Skoro „jednak dla podtrzymania, rozwoju i doskonalenia rodu „ludzkiego, okazała się konieczną uprawa ziemi, z tą „chwilą osobiste jej posiadanie stało się nieodzownem.

„Żaden bowiem inny system nie pozwala wyciągnąć „z niej tyle korzyści. A przytem uprawa zbiorowa „nastręcza różne niedogodności, zwłaszcza też trudności „podziału owoców pracy. Tymczasem przy podziale „samejże ziemi, prawa każdej jednostki są ściśle i ja„sno oznaczone. Dlatego to własność ziemska jest ko„nieczną, jako nieuniknione następstwo osobistej i ru„chomej własności. Każdy więc człowiek, zrządzeniem „Opatrzności, ma pewne prawa i obowiązki: prawo „używania ile tylko może, i obowiązek poszanowania „takichże praw każdego towarzysza. Ścisłe poszano„wanie i zabezpieczenie tych praw i obowiązków wza„jemnych, pozwala wytwarzać jaknajwięcej, a stąd „osiągnąć możliwie zupełne zaspokojenie fizycznych „potrzeb.

„Fizyokraci więc za podstawę praw człowieka „uznali wolność czyli własność, — wolność osobista, „wolność myśli, wolność zawierania umowy, czyli wol„ność handlu. Wedle nich, pogwałcenie tych praw, „jako przeciwne prawu Opatrzności, to przyczyna wszel„kiego złego. Quesnay — w dziele swem „Prawo natu„ralne“ — bada właśnie te naturalne prawa; a później „w innem — zatytułowanem „Ogólne zasady rządu rol„niczego państwa“ — podaje aż 30 maxym, czyli raczej „ogólnych fundamentalnych zasad. W 23ej oświadcza „że naród nie traci przez handel zewnętrzny. W 24ej „zaznacza fałsz twierdzenia o chwiejności handlu. Tylko „bowiem zgoła niczem nieograniczona, zupełna swoboda „współzawodnictwa (czyli tz. wolna konkurencya) czyni „zarówno wewnętrzny jako też i zewnętrzny handel „najpewniejszym, najprawdziwszym i najkorzystniejszym „dla narodu i dla państwa.

„Te trzy zasady Quesnay'a i jego zwolenników, „obaliły cały system ekonomii politycznej; a mimo pe„nych błędów i braków, mają oni niezaprzeczone prawo, „aby ich uważać, jako założycieli tej nauki.“

Wolność zaczyna świtać wśród ciemności despotyzmu.

Bogactwo zatem — mówi dalej — ale bogactwo w ekonomicznem znaczeniu, czyli społeczne albo raczej narodowe, — podług fizyokratów stanowią tylko rzeczy materyalne, wysiłkiem pracy z ziemi dobyte, a posiadające wartość w handlu, czyli wartość zamienną. Uważali to za różnicę zasadniczą w stosunku do wartości będącej w użyciu, czyli użytkowej a od tamtej niezależnej. Powtarzali też ciągle że człowiek nie może ani zniweczyć, ani też stworzyć materyi. Był to ich ulubiony frazes, że „Człowiek nie może stworzyć nic“ a „Z niczego rodzi się nic“. Ale stanowczo wyłączali tu samą ziemię i pracę samą, oraz wszelkie osobiste zdolności, a także siły i usługi bogactwa. O wiele też wyprzedzając pojęcia swej epoki co do znaczenia pieniędzy, jako środka zamiany, gotowiby żądać zniesienia wszelkich ograniczeń, nie wyłączając nawet i praw dotyczących lichwy.

Że ci ludzie wyrośli we Francyi, i że się to działo w samym pałacu despotycznego króla, i to właśnie wówczas, gdy się już spróchniały ród Bourbonów do upadku chylił — jest to jedno z owych dziwnych zjawisk, w jakie historya tak obfituje. A bodaj że to poraz pierwszy w dziejach zaświtał wśród ciemności despotyzmu, tak jasny promyk światła wolności.

Ale wprowadzenie w życie ich pomysłów było niepodobieństwem wobec ówczesnych warunków. Łudzili się jednak że dokażą tego, używając wpływu potęgi samegoż króla, będącego przecie potomkiem monarchy, który wyrzekł: „Państwo, to ja“. Liczyli że przy pomocy jednej potęgi, uda im się złamać potęgę innych osobistych interesów, i tym sposobem dadzą Francyi, a przez nią i całemu światu, dostatek i wolność.

Nadszedł wreszcie i dla nich dzień nadziei. Już zdawało się nawet, że zwycięstwo tej sprawy nieomal pewne. A było to w r. 1774, kiedy na 3 miesiące

przed śmiercią Quesnay'a, Turgot został ministrem skarbu Ludwika XVI. Nowy ten minister bez straty czasu zabiera się do reform, usuwając przedewszystkiem różne ograniczenia, tamujące rozwój francuskiego przemysłu. Ale ci reformatorzy stali na glinianych nogach. Jako też niebawem Turgot pada, a wprowadzone przez niego zmiany cofnięte.

A tymczasem też ukrywana nędza ludu, służąca jako przykład zupełnej sprzeczności z naturalnym porządkiem, doprowadziła wreszcie tłumy do wściekłości, i nastąpił wybuch wielkiej rewolucyi. Fizyokraci upadli; wielu z nich dało głowy pod gilotynę lub poszło do więzienia i na tułaczkę. Po wybrykach, nastąpił wreszcie zwrot w opini; ale wśród tych, którzy na nią największy wpływ wywierali, tj. wśród warstw posiadających, pamiętano fizyokratom jedynie ich nieszczęśliwe twierdzenie o rolnictwie, że jest jedynem produkcyjnem zajęciem.

Ale Francya ich kiedyś uczci, kładąc obok imion swych najzasłużeńszych synów i takie jak: Quesnay, Gournay, Turgot, Mirabeau, Condorcet, Dupont, i inni. Ale może z powodu że Francya, przynajmniej jak dotychczas, mniej niż inne narody odczuła na sobie wpływ nowej filozofii o naturalnym porządku — lepiej znanej pod nazwą pojedyńczego podatku — zdaje się że obecnie o fizyokratach nawet i w ich własnej ojczyźnie zapomniano.

ROZDZIAŁ V.

Adam Smith i fizyokraci.

Wzajemne ich stosunki.

Smith i Quesnay. — „Bogactwo narodów“ a zasady fizyokratyczne. — Pogląd Smitha na fizyokratów. — Jego błąd że nie docenił teoryi o pojedyńczym podatku. — Jego roztropność.

Między 1764—6 r., — czyli już po ustąpieniu z katedry moralnej filozofii na uniwersytecie glasgowskim — Adam Smith wyjeżdża do Paryża jako nauczyciel młodego księcia Buccleuch. Tam dopiero poznaje Quesnay'a i niektórych z jego otoczenia, „ludzi wielkiej nauki i talentu, którzy patrzeli na „królewskiego myśliciela“ z uwielbieniem niemniejszem, niż w starożytności filozofowie patrzeli na założyciela swej szkoły.“ Smith był częstym i pożądanym gościem w pałacu. Ale nie zajmowały ich żadne zabawy ani pokątne kabały jednego z najwspanialszych a zarazem najbardziej zepsutych dworów Europy. Uczeni nasi, o piętro wyżej, spokojnie sobie omawiali sprawy najwyższej wagi dla ludzkości.

Były to pamiętne w życiu Smith'a chwile, bo obfite mu dały żniwo umysłowe. Ten szkocki nauczyciel, wtedy jeszcze prawie nieznany, zaledwie może wśród nielicznego grona znajomych ceniony, musiał już chyba w owym czasie myśleć nad dziełem, które mu w 10 lat później taką miało zjednać sławę, że dłu-

żej już niż od wieku stoi on na czele ekonomistów, i to obok najwybitniejszych mężów swego pokolenia.

Wróciwszy do kraju, zaraz do roboty zasiada, korzystając z hojnego uposażenia, jakie mu opiekunowie księcia przyznali do czasu otrzymania korzystniejszego miejsca od rządu. Nawet i sam książę, po dojściu do pełnoletności, wcale się nie zdawał od tego uchylać. Owszem, zostawił mu wyznaczoną pensyę aż do śmierci, chociaż, skoro tylko wyszło „Bogactwo narodów“ zaraz lord North ofiarował autorowi miejsce komisarza celnego w Szkocyi. A premier uczynił to zapewne nie wskutek protekcyi księcia, ale poprostu w nagrodę za wskazówki, jakie w tem dziele znalazł co do nowych źródeł opodatkowania.

Wspaniały system francuskich ekonomistów nie mógł nie oddziałać na umysł człowieka tego co Smith pokroju. A że ten system wysoko cenił, dowodem własne jego słowa. W dziele swem „Bogactwo narodów“ mówi że „mimo wszelkich błędów, jest to system, który z pośród wszystkich dotychczas znanych w zakresie ekonomii, jest zapewne najbliższy prawdy“. — Miał też nawet zamiar — jak zapewnia jego przyjaciel i biograf, prof. Dugald Stewart — dzieło swe przypisać Quesnay'owi, ale ten umarł na dwa lata przed wydaniem tej wielkiej pracy.

Zarówno obrońcy jak i przeciwnicy Smitha, wiele upatrują podobieństwa między zapatrywaniami wyrażonemi w „Bogactwie narodów“ a poglądami fizyokratów. Nie brakło nawet posądzeń że się poprostu u nich zapożyczał. Że był on jednak aż nadto przygotowanym, aby módz dostatecznie przetrawić każdą myśl, jaka się do jego umysłu wcisnęła, żadnej przeto nie ma racyi, aby te poglądy uważać za cudze. A zresztą, bystrość obserwacyi i analizy, oraz siłę wyobraźni i głębokość nauki, widzimy także i w dawniejszych jego pracach, jak np. „Teorya uczuć moralnych“. Rozprawa

ta, napisana jeszcze przed porzuceniem profesury uniwersyteckiej, niewątpliwie spowodowała zaproszenie, aby towarzyszył młodemu księciu w podróży. Podobne też przymioty zalecają jego pracę „O formowaniu się języków“ i inne. Z „Teoryi uczuć moralnych“ widać że on już wówczas myślal o napisaniu jakiegoś dzieła w rodzaju „Bogactwo narodów“. Żadnego też nie ma powodu do przypuszczania że dzieło to byłoby z gruntu innem, gdyby się autor nie zapoznał z poglądami fizyokratów. Bo zresztą jest to błąd przypuszczać że autor już koniecznie musiał czerpać z pracy innego, skoro do tych samych co i tamten, dochodzi wniosków.

Śladem Quesnay'a.

Ja przecież nie znałem fizyokratów osobiście, a jednak wypowiedziałem zapatrywania, nawet bardziej zbliżone do poglądów Quesnay'a niż te, które wypowiedział Smith. A co do mnie, wprost wykluczone przypuszczenie, jakobym je od nich zapożyczył. Pamiętam jak dziś, było to u wzgórza panującego nad zatoką San Francisco. Zatrzymawszy tam konia, posłyszałem uwagę zwykłego robotnika, i ta mi, jak błyskawica piorunu, w jednej chwili rozjaśniła w głowie. Wtedy to odrazu zrozumiałem porządek naturalny. A przecież do owej chwili, jeszcze wcale nic nigdy o fizyokratach nie słyszałem, ani też zgoła nawet literki Smitha jeszcze wtedy nie czytałem.

Wkrótce potem, mając głowę pełną myśli o naturalnym porządku, wydałem małą książeczkę, p. t. „Nasza ziemia a nasza polityka.“ W rozprawie tej dowodziłem, że wszelkie podatki winny być oparte wyłącznie na wartości ziemi, i to bez uwzględnienia żadnych ulepszeń (melioracyi). Wkrótce potem spotyka mnie uczony adwokat A. B. Douthitt i mówi, że to co w mem dziełku doradzam, już przed 100 laty francuscy ekonomiści powiedzieli.

Od owej chwili wiele już rzeczy poszło w zapomnienie, ale ta rozmowa tak mi się w pamięć wryła, że zostanie tam chyba na zawsze. Bo skoro się ujrzy prawdę, której nikt z otoczenia nie widział, to zawsze przyjemnie się o takich dowiedzieć, którzy ją również spostrzegli. I nie przestaje to sprawiać przyjemności, chociażby ci ludzie żyli na długo przed naszem urodzeniem.

Takiej też przyjemności z uznania prawdy jeszcze niezawsze uznawanej, musiał doznać i Smith przez swój stosunek z fizyokratami. Bo chociaż się znacznie w poglądach różnili, dużo jednak było między nimi wspólnego. I on np. był także zwolennikiem wolnego handlu, choć może mniej niż oni logicznym i może nie szedł tak daleko. Jakiekolwiek zresztą mogły zachodzić różnice co do usposobienia i warunków, zawsze ich łączył wspólny cel: bo i Smith i fizyokraci podjęli walkę z trudnościami, ktore musiały im sie wydawać nie do pokonania.

Smith znał i wysoko cenił fizyokratów. Nie mogło to pozostać bez wpływu na jego umysł, a stąd musiało się też i w wyrażonych poglądach odbić. Ale obojętną to rzeczą, ile z tych jego poglądów obcego jest pochodzenia; albo też ile przyswoił sobie świadomie, a ile się tam bez jego woli zaplątało wskutek prostego tylko odbicia. Nam tu wystarcza że ekonomia polityczna, to niewątpliwie fizyokratyczny system naturalnego porządku.

Smith za bogactwo narodów uważał rzeczy materyalne, z ziemi pracą dobyte, a zaspokajające potrzeby i wygody ludzkiego życia. Tak samo i fizyokraci pojmowali bogactwo, nazywając je czasem także i ogólnym produktem ziemi i pracy.

Ale takie pojęcie bogactwa, jest również rdzeniem znaczenia tego wyrazu i w potocznej mowie. A kto

przeczyta jego „Uwagi o formacyi języków“ (po raz pierwszy w 1759 r. wydane razem z „Teoryą moralnych uczuć“) ten się przekona ze sposobu dochodzenia znaczenia wyrazów, że pierwotne i właściwe znaczenie wyrazu „bogactwo“, Smith rozumiał przez zaspokojenie potrzeb i wygód życia ludzkiego — przez oddziałanie pracy na ziemię.

Różnica zaś między Smithem a fizyokratami jest ta że:

Fizyokraci jasno postawili zasadę i przy tem uparcie stoją, że nic, co nie istnieje materyalnie, albo raczej, czego nie dobyto z ziemi, nie może być zaliczone do bogactwa społecznego. Smith natomiast, może przez nieuwagę, czasem wpada w sprzeczność, podciągając także osobiste przymioty i zobowiązania, pod znaczenie bogactwa. Pochodzi to zapewne stąd że ostrożniejszy, nie chciał od razu sięgać tak daleko jak tamci, chociaż i tak zadanie, jakie sobie wytknął, było dość trudnem. Postanowił bowiem wykazać złą politykę i niedorzeczność systemu merkantylnego czyli ochrony, nie mógł więc zapominać o spekulacyach, jakie się po za tem kryły. Ale zbijając ówczesne mniemania, jakoby bogactwo narodów stanowiły drogocenne kruszce, zaniedbał jednak wykazać, co jest a co nie jest częścią tego bogactwa. Na równi za to z fizyokratami potępił próby rządów co do ograniczenia swobody handlu; ale nie idąc dalej, zatrzymał się tam, gdzie oni już żądali uwolnienia wszelkiej produkcyi od podatków, i gdzie widocznie popadli już w błąd. Smith ani nie proponował systemu pojedyńczego podatku, ani też nie popełnił takiej jak oni omyłki, w rodzaju oświadczenia, że rolnictwo, to jedynie produkcyjne zajęcie. Że naturalny porządek istnieje, to widział; i że z tym porządkiem zgadzają się nasze wyobrażenia o sprawiedliwości, to także widział: ale tego już zdawał się nie spostrzegać, że to, co się przez ten porządek rozumie,

zapewnia też i zaspokojenie materyalnych potrzeb rozwijającego się społeczeństwa.

Fizyokraci wielką już dostrzegali prawdę, ale jeszcze niewyraźnie, jakby przez mgłę dopiero. A dla czegóż jej także i Smith sobie nie przyswoił, tego dziś niepodobna odgadnąć. Może powodem tego było tylko błędne jej określenie; a może też przypisać to należy jakiejś właściwości umysłu, że w pewnych razach zdaje się nie mieć dość siły pojmowania. Widział on że fizyokraci popełniają omyłkę, uważając przemysł i handel jako zajęcia bezpłodne; ale nie widział właściwej odpowiedzi na ich twierdzenie, odpowiedzi, któraby lepiej oświetliła prawdę tak źle przez nich zrozumianą. Odpowiedź, jaką im daje w „Bogactwo narodów“ nie mogła chyba nawet jego samego zupełnie zadowolić. Nie śmie tam nawet twierdzić, że zarówno praca rzemieślnika, fabrykanta lub kupca, jak i praca rolnika, wytwarza bogactwo. Zaznacza jedynie, że nie można ich pracy uważać za zupełnie bezpłodną; i że „w krajach bardziej handlowych i przemysłowych, (gdzie inne gałęzie równie rozwinięte) dochód z podatków zawsze i znacznie musi być większy, aniżeli w krajach pozbawionych handlu i przemysłu“; a to dlatego że „przemysł, zużywając znaczną ilość materyału surowego, daje mniej produktów przerobionych.

Widzimy zatem że i on sam uważał rolnictwo, co najmniej jako zajęcie najbardziej produktywne. Mówi o tem wprost na innem miejscu.

Ale jeden zwłaszcza ustęp tej odpowiedzi w najwyższym stopniu niewłaściwy, a usposobieniu autora zgoła nieodpowiadający. Nikt też pewno bardziej niż on sam, nie czuł całej fałszywości porównania filozofa, — głoszącego że ciało polityczne może się najlepiej rozwijać wtedy, gdy ma zapewnioną zupełną wolność i ścisły wymiar sprawiedliwości — z lekarzem, „któremu

się przywidziało, że zdrowie ludzkiego ciała można utrzymać jedynie przy ścisłej dyecie i ruchu.“

Jeżeli i taki Smith mógł podobne zrobić porównanie, i to dlatego tylko aby tem silniej zaznaczyć, że się różni w zdaniu z tak wysoko przez siebie cenionym Quesnay'em — to już chyba jedynie można przypisać jakiejś utajonej niepewności lub rozpaczy z powodu braku innych, lepszych argumentów.

Na krótko przed śmiercią, zniszczył on wszystkie swe papiery; w tem zaś, co po nim zostało, nie ma ani śladu, jakoby więcej niż zagadką były dlań usiłowania fizyokratów, aby wyjaśnić wielką ale źle przez nich zrozumianą prawdę. Zupełnie jasno pojmował że „owoce pracy, to naturalne za nią wynagrodzenie“, ale że przywłaszczenie ziemi pozbawiło robotnika tego, co mu się z natury rzeczy należy. Widocznie jednak nigdy się głębiej nie zastanawiał nad znaczeniem „renty“: widział tylko że „właściciele ziemscy, podobnież jak i wszyscy inni ludzie, lubią zbierać żniwo tam, gdzie nigdy nie sieli“. Zaledwie tylko z lekka potrąca o przedmiot tak wielkiego znaczenia, jak stosunek ludzi do zamieszkanej przez nich ziemi. I przechodzi nad tem w milczeniu, jak gdyby musiało już być teraz uznane za zgodne z naturalnym porządkiem to, że jednostki zagarnęły dla siebie ziemię, z natury swej przeznaczoną na mieszkanie i źródło wyżywienia dla wszystkich. A tak, bezwątpienia, musiało mu się w ówczesnych warunkach wydawać. Często też w „Bogactwo narodów“ tak nagle ucina, iż możnaby stąd wnosić że brakło mu odwagi do wypowiedzenia wszystkich swoich myśli, bo warstwy posiadające mogłyby się przez to ujrzeć zagrożonymi.

Gdyby nawet uznał system pojedyńczego opodatkowania za wynikający z naturalnego porządku, i jako naturalne źródło zaspokajania potrzeb cywilizowanych społeczeństw — to jeszcze sama roztropność pewnoby go powstrzymała od zapuszczania się w swych dowodze-

niach aż tak daleko. Ale mam tu na myśli nietylko ową roztropność, która zabezpiecza osobę, lecz także i roztropność filozofa pamiętającego o tem, że jeżeli będzie chciał zawiele, to może nic nie zdziałać dla prawdy i sprawiedliwości.

Warunki w jakich Smith pisał swe dzieło.

Na schyłku XVIII stulecia, kiedy się właśnie fizyokratom zdawało, że już są w przededniu wielkich swoich reform, Smith tymczasem pracuje nad swem „Bogactwem narodów". — Ale wówczas położenie we Francyi było całkiem różne niż w Szkocyi. Francya pomyślność swą opierała tylko na życzliwości króla, którego ród zamienił wielkich feudalnych panów na zwykłe swoje sługi i dworaków. A z drugiej znów strony, w imię przysłowia „Biedni chłopi — biedny kraj; biedny kraj — biedny król", usiłowano pobudzić tę największą w państwie potęgę, (tj. koronę) do dania opieki zdeptanym. I fizyokraci łudzili się nadzieją, że działając na umysł i sumienie młodego i ukochanego monarchy, tą drogą najprędzej zamierzony swój cel osiągną; tj. że zostaną wszystkim przyznane równe prawa człowieka. A mieli nawet i pewne widoki zyskania posłuchu w sprawie systemu pojedyńczego opodatkowania.

Ale inaczej było z drugiej strony kanału. Tam posiadacze ziemi, wpływem swym ogarnąwszy kościół i koronę, oraz chłopów i klany, byli wszechwładnymi panami. Bołoby więc poprostu głupstwem ze strony uczonego, gdyby się samotrzeć porywał na taką potęgę.

A że Smith — ten „człowiek w każdym calu" — posiadał oba rodzaje roztropności, dowodem tego to, iż udało mu się tyle zdziałać, bez obudzenia gniewu ze strony obrońców uprawnionego porządku rzeczy. Dobrze się wczytawszy w jego „Bogactwo narodów", każdy znajdzie tam pełno radykalnych myśli, — istny arsenał, z którego zawsze obrońcy wolności i sprawie-

dliwości, mogą jeszcze dość czerpać środków do walki. A jednak ten autor był profesorem, był nauczycielem księcia, zajmował dobrze płatne miejsce rządowe, a umarł jako lord rektor uniwersytetu w Glasgowie.

A więc ten szkot nie może chyba narzekać na brak powodzenia, gdy tymczasem francuzom nic się jakoś nie udawało. A co więcej, że to on właśnie, — a nie Quesnay — uważany dziś za „ojca ekonomii politycznej“. Przyznają mu ten zaszczyt nawet ci, którzy nie podzielają zasad głoszonych przez jego zwolenników. I tak np. James, profesor uniwersytetu pensylwańskiego, chociaż sam należy do „nowej szkoły“, a jednak pisze:

„Smith jest ostatnim wyrazem wszystkich teoryi mi-
„nionych wieków; od niego się też nauka przyszłości
„zaczyna. Już zgórą od lat stu dzieło jego w ręku
„publiczności, a jeszcze się nie pojawiła druga podobna
„książka, którąby mogła iść w porównanie co do ory-
„ginalności i doniosłości. Dalsze dzieje tej nauki, to
„tylko szereg usiłowań, aby pogłębić i rozszerzyć zało-
„żone przez niego podwaliny, a budowę podwyższyć
„i umocnić.“

Z tego też powodu i ja również uważam „Bogactwo narodów“ jako wielki wypadek w dziejach ekonomii politycznej.

ROZDZIAŁ VI.

Wpływ Smitha na ekonomię polityczną.

Skutki jego dzieła pt. „Bogactwo narodów“ i dalszy rozwój ekonomii politycznej.

Smith filozof przemawia do inteligencyi. — Krytykuje system ochronny, a mimo to cieszy się względami u wielkich właścicieli ziemskich. — Niezupełnie wolny od podejrzenia o radykalizm, ale mu to przebaczono z uwagi na fizyokratyczne pochodzenie tych poglądów. — Malthus i Riccardo usiłują przywrócić szacunek dla nauki. — Walka przeciwko prawom zbożowym. — Wpływy systemu ochronnego. — Zwycięstwo przechyla się na stronę wolnego handlu, co znacznie wsparło upadającą naukę. — Zaufanie scholastycznych jej obrońców. — Say wierzy w rozwój ekonomii politycznej pod opieką kollegiów. — Torens ma nadzieję — Innym krajom nie udało się pójść za przykładem Anglii. — Cairnes wątpi aby to mogło być przedmiotem scholastycznych studyów. — Bystrość jego poglądu stwierdza później upadek ekonomii Smith'a. — Prawdziwa przyczyna.

Smith nie był ani propagatorem ani politykiem, jak fizyokraci. Był to jedynie filozof, z początku przemawiający tylko do małej liczby przedstawicieli wyższych warstw, których uczucia i sympatye były po stronie istniejącego porządku rzeczy.

Zaledwie rozesłane zostały pierwsze egzemplarze autorskiej edycyi mego „Postęp i nędza“, już mnie szuka nieboszczyk generał Beale — bogaty wła-

ściciel Tejon Ranch, późniejszy poseł w Wiedniu — aby mi osobiście powiedzieć że z przyjemnością przeczytał to rozumne dziełko. Dodał jednak że ponieważ mówię tam z taką swobodą i filozoficzną otwartością, więc mogę być pewnym, iż głos ten nigdy nie znajdzie posłuchu tam, gdzie właśnie miał wpływ wywrzeć.

Tak samo też zapewne — tylko jeszcze w znacznie wyższym stopniu — wszyscy, którym zaraz z początku „Bogactwo narodów“ w rękę wpadło, unosili się nad wielkością tego dzieła, co tak bardzo zakres myśli rozszerza; ale chyba niewielu z nich bało się aby ono swym wpływem mogło podkopać osobiste interesa. A wpływ ten był tem mniej groźnym, że wtedy nie istniała jeszcze prasa popularna, a książki tego rodzaju, były przeznaczone tylko dla wyższych warstw. Izbę niższą, mającą przedstawiać interesa nieuprzywilejowanej ludności Wielkiej Brytanii, zapełniali ludzie z ramienia wielkich właścicieli. Angielskie więc możnowładztwo, stojące wtedy u steru rządu, było w gruncie rzeczy silniejsze aniżeli odnośne warstwy takiej np. Francyi pod rządami despotycznego króla. Dość powiedzieć że dopiero na krótko przed wydaniem „Bogactwa narodów“ ustało przysługujące szkockim panom prawo życia i śmierci, (tz. right of pit and gallows) i to zostało zniesione nie na zwykłej drodze prawodawczej ale sposobem skupu, dzięki jedynie temu, że tak wskazywał interes panującego domu. Nadto górnicy w kopalniach węgla i soli, byli jeszcze w gruncie rzeczy niewolnikami, ponieważ im formalnie odmawiano tz. prawa „*habeas corpus*.“

Ale Smith zręcznie umiał uniknąć podrażnienia tylu i tak sprzecznych interesów. Jego wystąpienie przeciw systemowi ochrony, znalazło u warstw wyższych raczej uznanie aniżeli niechęć. A był to objaw bardzo naturalny, gdyż wtedy coraz bardziej rosła tam pogarda i gniew przeciw kupcom, którzy z każdym

dniem dalej sięgali po przywileje służące tylko „*urodzonym panom ziemi*“. Stąd też musiał wtedy czytelnikom „Bogactwa narodów“ schlebiać sposób, w jaki się tam autor o kupcach odzywa. Opowiada np. „jak to lichego gatunku sztuczki, nawet podrzędnych agencików, podnosi się do znaczenia politycznych maxym, któremi się ma kierować tak wielkie państwo“. A dalej jeszcze porównywa z tem „dziwne ambicye królów i ministrów“, albo też nadmienia o „nadużyciach i niesprawiedliwości ludzkich przepisów“ i o tem, że „natura ludzkich spraw rzadko pozwala złe leczyć, a to skutkiem zuchwałej drapieżności i nizkiej zazdrości.“ Nie szczędzi też i takich dosadnych wyrażeń, jak „zachłanny duch kupiectwa, które ani stoi na czele ani też powinno ludzkości przodować“.

Wszystko to razem wzięte, musiało przychylnie dla autora usposobić koła, które podówczas umysłowo i politycznie rej w kraju wodziły. I pod tem wrażeniem przeszło niespostrzeżenie to, co na innem miejscu mówi o „wyższości urodzenia“. Nazywając to jedynie „dawną wyższością majątku“, porównywa tu różnicę między filozofem a stróżem, z różnicą wypadków, jakie się złożyły na to, że jeden z nich został filozofem a drugi tylko stróżem.

Ale po wybuchu rewolucyi francuskiej, zwrócono też większą uwagę i na radykalizm, zabarwiający „Bogactwo narodów“. W r. 1793, Dugald Stewart, na posiedzeniu królewskiego towarzystwa w Edinburgu, odczytał napisany przez siebie życiorys Smith'a; a już w przypisku do drugiego wydania z 1810, wyjaśniając dlaczego w pierwszem wydaniu daje znacznie ogólniejszy pogląd na „Bogactwo narodów“, tak dalej o tem mówi:

„Już sama w sobie zasada wolnego handlu była „dążnością rewolucyjną; a na domiar tego, zwolennicy „Smith'a, w zapędzie propagandy, zażądali rewizyi za-

„sad polityki rządu i niezgłębionej mądrości wieków „średnich.“

A jeszcze się wyraźniej zastrzega William Playfair, nakładca drugiego wydania „Bogactwa narodów“, które z jego przypisami wyszło w 1805. Uważając tedy za konieczne jakieś usprawiedliwienie sympatyi Smith'a dla fizyokratów, zapewnia, że jak wielu z ekonomistów, tak też i on nic zgoła nie wiedział o „tajemnicy tej sekty“, która „niby to ograniczała się tylko do praktyk naukowych, a pocichu tymczasem pracowała nad obaleniem tronów Europy“. Skoro jednak nic o tem nie wiedział nawet taki król pruski Fryderyk, to Smithowi można, jak sądzi Playfair, wybaczyć tę nieświadomość.

Jako też przebaczono mu, albo raczej zapomniano, bo w istocie zarzut radykalizmu tak mało zwrócił uwagi, że tylko szperając w zapylonych ówczesnych wydawnictwach, można się tam jakiegoś śladu doszukać. Ale natomiast ważniejsze to, że zeszedłszy na niższy poziom nauki ekonomii politycznej, znalazł mniej trudności niż fizyokraci; i że stąd jego dzieło takie wkońcu zapewniło uznanie dla nowej nauki, że jemu to raczej a nie fizyokratom dalszy jej rozwój przypisano, i temsamem on a nie oni, jako założyciel uchodzi.

Smith, po nim Malthus, a wreszcie Riccardo.

A jednak umierał ze skargą na ustach że zdziałał tak niewiele. Tymczasem w 8 lat od chwili, kiedy jego prochy złożono na cmentarzu Cannongate w Edinburgu, angielski duchowny Malthus występuje (1798) ze swą głośną teoryą o zaludnieniu. Pogląd jego odrazu, jak gdyby „od dawna odczuwana potrzeba“ zajął swe miejsce w systemie naszkicowanym przez Smith'a. A brak jasnego i stanowczego określenia znaczenia bogactwa, snadź nie stanowił zarzutu ze strony ciał uczonych, gdyż niebawem ten system zaczęto z urzędu wykładać w kolegiach i uniwersytetach.

Wkrótce po Malthusie zjawia się Riccardo, aby sprostować omyłki Smith'a co do natury i przyczyny „renty“, i aby postawić prawdziwe jej prawo.

A wychodzi tu z założenia, jakoby renta powiększała się w miarę o ile potrzeby wzrastającej ludności zmuszać będą do uprawy coraz dalszych nieużytków.

O sprawę wynagrodzenia za pracę, Smith tylko z lekka potrąca, jak gdyby z obawy zbyt krańcowych wyników, do jakichby tu wkońcu dojść musiał. Nagle bowiem zostawia na stronie swój prawdziwy pogląd że „owoc pracy stanowi naturalne jej wynagrodzenie“, a mówi tylko o tem, że majster ją ze swego kapitału wynagradza. Dalej wreszcie mówi że ludność szybciej rośnie w liczbę aniżeli środki wyżywienia; i wreszcie o pojęciu teoryi renty, będącej skutkiem coraz szerszej uprawy nieużytków, i łącznie z tem, co uważano za nadwyżkę, „prawo zmniejszania się wydajności w rolnictwie“ stało się treścią nauki.

A te nawzajem wzmacniające się ogniwa, wyciągnięte z „Bogactwa narodów“, uznano wkrótce jako system ekonomii politycznej, który zupełnie usunął wszelkie obawy, aby zgłębianie naturalnych praw produkcyi podziału bogactwa, mogło się stać kiedyś niebezpiecznem dla warstw posiadających. W ten sposób przecie ekonomię polityczną zamieniono na służkę, która miała nibyto naukowo dowieść, że tak rażące różnice co do warunków bytu ludzi, nie są wynikiem błędnych i niesprawiedliwych praw ludzkich, ale skutkiem niezmiennego prawa natury — wyrokiem wszechtwórczego i wszechżywiącego Ducha.

Jeżeli teraz coś zagrażało osobistym interesom, zaraz ta przekręcona ekonomia polityczna, razem z podobnie źle pojętą nauką chrześciańską, spieszyła aby uspokoić sumienie bogatych i niezadowolenie biednych. Ale ustępy, w których mowa o przyrodzonej równości ludzi, zostały w wykładzie opuszczone, jako „straszna

nauka“. Stąd też zwolennicy utrzymywali, że podobny wykład może nawet i niższe warstwy przekonać, iż takim właśnie być powinien „żądny monopolu duch kupców i fabrykantów“. Nie można też na to pozwolić, aby jakieś „nędzne sztuczki lada agencików“, podnoszono do znaczenia maxym kierujących nawą państwa.

A jak właściwa nauka Smith'a, tak też i ten oparty na niej system żadnego nie doznał oporu. Lecz nie obyłoby się może bez walki, gdyby osobiste interesa, którym zagrażał, były to istotnie rosnące klasy kupców i przemysłowców. Ale z drugiej strony, tak widoczne skierowanie ostrza właśnie przeciw kupcom i fabrykantom, zamaskowało monopol osobistego, na ziemi opartego interesu.

Tymczasem z chwilą zastosowania siły pary, — a więc zaraz po Smith'cie — społeczny rozwój cywilizowanego świata wogóle, a w szczególności też w Anglii, niezmiernie podniósł społeczne znaczenie klasy kupców i przemysłowców. Ale kiedy w 50 lat po śmierci Smith'a, systemu ochrony użyto za broń przeciw agitacyi za zniesieniem praw zbożowych, wtedy siła obrony nie polegała na przemyśle i handlu, ale na potędze osobistego interesu właścicieli ziemskich. Przeciwnie, właśnie kupcy i fabrykanci, przy poparciu warstw robotniczych, silnie agitowali za zniesieniem tych praw. Ale nierozpoczynano walki przed upewnieniem się, że ona poda w wątpliwość prawo, na mocy którego nieliczne tylko jednostki, zwane posiadaczami ziemskimi, twierdzą, że ziemia Wielkiej Brytanii jest ich własnością.

Z tego się okazuje, że nie kupcy ani przemysłowcy, właściwą są podporą systemu ochrony; i że handlowe interesa tylko chyba pod osłoną jakiegoś monopolu, mogłyby stąd dłużej zyski ciągnąć. Dowodem tego Stany Zjednoczone, gdzie właściciele kopalń węgla i minerałów, oraz właściciele tartaków i wielkich plan-

tacyi, stanowili podwalinę siły politycznej, która system ochrony rozszerzyła do nadzwyczajnych rozmiarów.

Co zaś do samej walki o prawa zbożowe Anglii, to ta zakończyła się zwycięstwem zasady wolnego handlu. Stąd w kołach scholastycznych ekonomistów Anglii i Ameryki, a niemniej i w całym świecie, wypadek ten znacznie ożywił nadzieje uczonych.

Teraz dopiero uznany system ekonomii politycznej, coraz bardziej rośnie w siły pod opieką ludzi zdolnych i wpływowych, którzy usiłowali pousuwać przeszkody i zakryć niedostatki. A jednym z najpopularniejszych był Jan Stuart Mill.

Nauka ekonomii politycznej w ręku scholastyków, około setnej rocznicy pierwszego wydania „Bogactwa narodów“, dosięgła szczytu swej powagi. A jednak brakowało tam jeszcze pewnego związku pojedyńczych części, jak w obrazie, który Nabuhodonozor we śnie ujrzał. Już coprawda niemało zgromadzono tam prawd, ale były one jeszcze powiązane fałszami, żadnej nie wytrzymującemi krytyki. Próby określenia znaczenia głównej nazwy „bogactwo“, i podrzędnej nazwy „kapitał“, jeszcze je bardziej uczyniły nieokreślonemi, aniżeli były za Smith'a. Nigdy też nawet nie próbowano razem zebrać to, co podawano jako prawa rozdziału bogactwa. Odrazuby się wtedy okazało, że brak między niemi związku.

Taka ekonomia polityczna nie miała wpływu na opinię ogółu; nawet ludzie przeciętnej inteligencyi, uważali ją tylko za scholastyczną naukę. Ale natomiast w kołach profesorskich, mówiono o niej z największem zaufaniem jako o nauce już ugruntowanej i prawdziwej, którą trzeba tylko dalej rozwinąć, aby ogólne zyskała uznanie. A z każdą chwilą rosła ta wiara w jej zapewnioną już przyszłość. Tak było mniej więcej aż do połowy XIX w. a nawet nieco dłużej.

Przełożona w Ameryce ekonomia polityczna Jean Babtiste Say'a zdobyła sobie znaczny poczet czytelników angielskich, i bardzo długo, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, była najpopularniejszą z dzieł ekonomicznych. W przedmowie do tego wydania,[1]) Say zaznacza pewne trudności, jakie ekonomia polityczna ma jeszcze do zwalczenia. Mówi przytem że „te poglądy podtrzymywane są w nauce nietylko przez próżność, ale także i w interesie własnym, który nakazuje podtrzymywać zgniły porządek rzeczy"; i że „są pisarze, którzy fabrykując artykuły gazeciarskie i broszurki, a nawet całe tomy, piszą o przedmiotach zgoła im obcych", a wkońcu narzeka na „publiczność, która jest tak dalece obojętną, że aby uniknąć kłopotu, nie bada, ale woli raczej na słowo wierzyć w to wszystko, co jej głoszą". —

A dalej jeszcze tak ciągnie:

„Wszystko jednak mówi, że ta piękna, a przede-
„wszystkiem pożyteczna nauka, coraz się szybciej roz-
„wija. Zrozumiano bowiem doniosłe jej znaczenie
„z chwilą, skoro się tylko okazało, że nie oparta na
„przypuszczeniach jedynie, ale na spostrzeżeniach i do-
„świadczeniu. Obecnie przeto jest wykładaną wszędzie,
„gdzie tylko kwitnie zamiłowanie wiedzy. Są już ka-
„tedry na uniwersytetach włoskich, hiszpańskich, szko-
„ckich, niemieckich i północnej Europy. Odtąd już
„przeto będą wykłady w korzystniejszych warunkach,
„regularnie i systematycznie prowadzone. Wprawdzie
„jeszcze uniwersytet oxfordski idzie sobie swoim sta-
„rym, utartym szlakiem, ale w Cambridge już od kilku
„lat istnieje katedra ekonomii politycznej. Również
„otwarto już kursa w Genewie i wielu innych miastach.
„W Barcelonie nawet sami kupcy zobowiązali się ko-
„szta utrzymania z własnej szkatuły pokrywać. Obecnie

[1]) Wydanie oryginalne ukazało się już w 1803 r., ale ta przedmowa nie mogła być napisaną wcześniej jak w 1814.

„już bywa też włączaną do programu nauk książętom „wykładanych; więc ich nauczyciele powinni się ru- „mienić, jeżeli im jeszcze obce zasady tej nauki. Ce- „sarz rosyjski też wyraził życzenie, aby jego bracia — „W. Książęta Mikołaj i Michał — słuchali wykładu „pod kierunkiem M. Storch'a. Nakoniec i rząd fran- „cuski, ulegając opinii, także już ustanowił pierwszą „katedrę ekonomii politycznej."

I długo jeszcze wielu autorów żywiło daleko sięgające nadzieje. A jeżeli któryś z nich był nawet zmuszonym przyznać, że się jakoś nie zjawia jeszcze owo od tak dawna wciąż zapowiadane porozumienie co do punktów spornych, to znów uroczyście zapewniał że to właśnie ma już niebawem nastąpić.

I tak np. pułkownik Torrens, w przedmowie do swej pracy „O wytwarzaniu bogactwa" (1825) mówi: „W umysłowym rozwoju, gdy chodzi o uprawę „jakiejkolwiek gałęzi wiedzy, zwykłe ścieranie się zdań „poprzedza jednomyślność poglądów. Co zaś do eko- „nomii politycznej, już właśnie mija czas niezgody, i „szybko się zbliża chwila jednomyślności w pojmowa- „niu jej podstawowych zasad. Może już za jakieś 20 „lat nie będzie ani śladu żadnej wątpliwości.

Wpływ wojny na system ochrony.

Wielka klęska w r. 1846 zadana systemowi ochrony, znacznie ożywiła nadzieje ekonomistów. Nie sprawdziły się jednak przepowiednie, że za przykładem Anglii, wszystkie inne państwa także niebawem zniosą u siebie cła ochronne. A przypuszczenia takie opierano na tem, że to częściowe zwycięstwo wolności, odniesione zostało wskutek postępu ekonomii politycznej. A tymczasem po wielkiej domowej wojnie Stanów Zjednoczonych, i po wojnie francusko-pruskiej, nastąpił zwrot na korzyść systemu ochrony. Nowy ten prąd ogarnął nieomal cały świat cywilizowany, z wyjątkiem chyba jednej tylko Anglii.

Kiedy się już mogło zdawać, że zwycięskie wystąpienie Smitha przeciw systemowi ochrony — przynajmniej w krajach z językiem angielskim — postawiło naukę ekonomii politycznej na silnych podstawach, skoro wszędzie ustanawiano jej katedry, a tu się tymczasem coraz bardziej zaczyna ujawniać zupełny rozstrój jej zasad.

W 1856, prof. J. E. Cairnes w Dublinie wygłosił szereg odczytów, które potem wyszły p. t. „Charakter i logiczna metoda ekonomii politycznej".

Jest tam również wzmianka o podanej już wyżej t. zw. nieszczęśliwej przepowiedni Torrens'a z 1821 r. Autor wspomina o tem dlatego jedynie aby właśnie zaznaczyć, że wciąż jeszcze zasadnicze kwestye są po dawnemu przedmiotem sporów nawet wśród zawodowych ekonomistów. A dalej zaś mówi:

„Spór dopiero się właśnie ma na dobre zacząć, „i to nietylko co do kwestyi drugorzędnego znaczenia, „albo też praktycznego w życiu zastosowania doktryn „naukowych. Takie spory zazwyczaj są tylko dowo- „dem właśnie żywotności nauki; są nawet koniecznym „warunkiem jej rozwoju. Ale tu będzie spór o funda- „mentalne zasady, stanowiące rdzeń rozumowań, — a „w chwili, kiedy pułkownik Torrens pisał swą przepo- „wiednię — uważane już niby za ustalone."

A dalej znów jest tam ustęp, wyrażający pogląd tak wybitnego profesora, i stąd warto go tu przytoczyć. Brzmi tak:

„Kiedy ekonomia polityczna nie zwracała uwagi „publicznej, wtedy każdy poważny ekonomista zawsze „się tylko powoływał na uznane w nauce pewniki. Skoro „jednak niezwykłe powodzenie zasady wolnego handlu, „praktycznie wykazało słuszność zasad, na których się „ekonomiści opierali, zaraz nastąpiła zmiana, zarówno „w sposobie dowodzenia, jako też i co do osób. Wielu

„teraz podawało się za ekonomistów, chociaż nigdy nie „zadawali sobie trudu, aby choć pierwsze zasady tej „nauki poznać, albo też brakło im do tego odpo- „wiednich zdolności. Byli nawet i zagorzalcy, któ- „rzy, chcąc szerszy zjednać sobie posłuch, zbyt czę- „sto schodzili z podstawy naukowej, aby się oprzeć na „faktach i wynikach wolnego handlu, osłony bardziej „naówczas popularnej. Robiło to takie wrażenie, jak „gdyby matematycy dla zachęty pozwolili nowym swym „adherentom zostawić na stronie metodę analizy, po- „przestając na formułkach z kalendarza. Suchy, ścisły „styl, jakim się odznaczali ekonomiści z początku „XIX stulecia, zmieniono odpowiednio do wymagań „słuchaczów. którym teraz już sami ekonomiści zaczy- „nają wykładać. Rozprawy o ekonomii politycznej, co- „raz bardziej opierano na statystyce, a wyniki odnosiły „się więcej do cyfr niż zasad. Reguły matematyczne „zastępują indukcyjną metodę rozumowania. Słowem, „prawdziwe badania naukowe były już prawie zanie- „dbane, i ekonomia polityczna zdawała się być w nie- „bezpieczeństwie, że dozna losu Atalanty."

I to, czego się Cairnes najbardziej obawiał, ziściło się co do joty. Spory, zamiast już umilknąć, dopiero się właśnie na dobre prawie zaczynają, i wcale się jakoś nie zanosi na porozumienie. Spory zamieniły się już w bezład, i to, co wówczas jeszcze uważał za naukę ekonomii politycznej, zostało zburzone, dzięki własnym jej profesorom.

Ale kiedy Cairnes rozumie prawdziwy prąd, to współcześni mu ekonomiści przeważnie tego nie pojmują. Widział też istotne wyniki studyów ekonomicznych, podejmowanych z celem zajęcia katedry lub pisania dzieł. Nie widział jednak prawdziwej przyczyny, dzięki której, znacznie prędzej i bardziej niż mógł przypuszczać, ziściła się ta jego pół żartem wypowiedziana przepowiednia.

A tymczasem prawdziwa przyczyna wciąż wzmagającego się zamętu w łonie scholastycznej ekonomii politycznej, tkwiła poprostu w zawodzie, jakiego t. z. nauka doznała, w usiłowaniach określenia znaczenia głównej nazwy. Statystyczne dane nic nam pomódz nie mogą w poszukiwaniach jakiejś rzeczy, dopóki nie wiemy co to jest za rzecz, którą chcemy znaleźć. Znów tedy mamy wieżę Babel. Ludzie, którzy próbują rozwinąć naukę o produkcyi i rozdziale bogactwa, a nie określili jeszcze co to jest owo bogactwo — ci ludzie, mówię, ani sami siebie nie rozumieją, ani też jeden drugiego nie rozumie wzajemnie.

ROZDZIAŁ VII.

Chybione próby rozstrzygnięcia sprawy bogactwa.

Opór przeciw scholastycznej ekonomii, przed ukazaniem się dzieła „Postęp i nędza".

Nielogiczny charakter „Bogactwa narodów". — Prawo przyrodzone. — Spence, Ogilvie, Chalmers, Wakefield, Spencer, Dove, Bisset. — Niewyraźne objawy uznania prawa przyrody. — System ochrony wszędzie (z wyjątkiem Anglii) podnieca do badań na polu ekonomii politycznej — Niemcy a Stany Zjednoczone. — Powstają szkoły. — Unie zawodowe

„Bogactwo narodów" zdobyło sobie nader szerokie uznanie, a to dzięki swym niezaprzeczonym zaletom, jako też roztropności samegoż autora, który umiał uniknąć gniewu ze strony właścicieli ziemskich. Tak samo postępowali scholastycy. Swobodnie więc mogli nauczać unikając zadraśnięcia któregokolwiek z potężnych interesów jednostek. Ale Smith wykręcał się sianem, i omijając drażliwości, zostawił główne zasady nieustalone. Wykazał za to jak dalece podział pracy zwiększa jej wydajność; ale już nieośmieliwszy się iść dalej, nadmienił tylko, że usunięcie ograniczeń pracy podniosłyby roczną produkcyę. Krótko mówiąc, wystąpił przeciw systemowi ochrony. Postawiło to na nogi ekonomię polityczną, gdyż nauczała o takim rodzaju wolnego handlu, który niebardzo się brzydził opodatkowaniem pracy i jej owoców, w celu podniesienia dochodów rządu.

Ale co to bogactwo, albo co znaczy jego podrzędna nazwa „kapitał“ — tego Smith w istocie nie powiedział. Nie wyjaśnił również, jaki ma w produkcyi udział czynnik ludzki a czynnik przyrody; ani też nie wyjaśnił przyczyny nędzy. Wogóle nie dał ekonomii politycznej żadnych pewników — słowem nic, coby ją mogło spajać i utrzymać w całości. Ale natomiast tak wielkim był jego geniusz i roztropność, a tak się przytem umiał przystosować do ówczesnych prądów opinii, że słuchano go tam, gdzie nawet śmielszym niż on, nie udawało się znaleźć posłuchu. Odtąd więc nauka ekonomii zaczyna się już rozwijać na podwalinach, które on założył.

Malthus, dając swe niby naukowe złudzenia, które tak odpowiadały pojęciom ogółu; a Riccardo, dając formę naukowemu wyjaśnieniu „renty“ — dali teorye niebawem przyjęte za pewniki, z których jeden okazał się fałszywym, a drugi, jeżeli nie z gruntu fałszywym, to przynajmniej jeszcze niedostatecznie udowodnionym. A wszystko inne, nie powiązane, luźno między tymi dwoma punktami pływało po tem morzu nauki.

A jednak było przekonanie, że ekonomia polityczna może i powinna istnieć. To zaś, co tymczasem za tę naukę podawano, tak się w sferach rządzących podobało, że zaczęła się mnożyć liczba katedr. Ale powierzano je ludziom, którzy nic więcej nie wykładali nad to tylko, co im samym niegdyś wykładano. A w dodatku były to wykłady pod naciskiem ze strony warstw wpływowych; warstw, które bez względu na ekonomię, tylko istniejący porządek rzeczy uznawają jako możliwie najlepszy, — a stąd zawsze gotowe przeszkadzać zmianom, które mogłyby wywołać niepożądane rozprawy nad tym przedmiotem. A ponieważ nieomal każdy taki profesor uważa jakby za swój obowiązek napisanie dzieła, choćby tylko broszurki, — a to dla usprawiedliwienia zajmowanego stanowiska —

stąd wiele poruszono drobnych kwestyi, starannie jednak wymijając zasadnicze, któreby się właśnie łatwo mogły stać przedmiotem ożywionych sporów. I niewątpliwie miałoby to miejsce, gdyby ktoś np. odmalował stan społeczeństwa, w którem masy żyją w nędzy a nieliczne tylko jednostki opływają w dostatki.

Wielka kwestya, poruszona w „Postęp i nędza".

Ekonomia polityczna, mając już profesorów i poczesne miejsce w rzędzie nauk, bardzo była na rękę posiadaczom ziemi. Stosowała bowiem nader wygodną dla nich doktrynę: „Pozostawić rzeczy samym sobie", nic zgoła niemówiąc jaki winien być porządek tych rzeczy. Clement C. Biddle (amerykański tłumacz Say'a) mówi, że to „liberalna doktryna, która handlowi i przemysłowi każdego kraju daje znaczenie i korzyści, oraz zupełną wolność, o ile ta nie zmniejsza bezpieczeństwa własności." A co tę własność stanowi, o to sporu nie było. Bo jakiż zresztą mógł być spór, jeżeli nie bada się głębiej, przyjmując już gotowe, zwyczajem uświęcone zapatrywania. Więc cóż to własność? A naturalnie że możność posiadania. Każdy wie o tem.

Ostatnie ślady niewoli w Anglii znikły, zanim się jeszcze w. XIX zaczął. Co zaś do kolonii, załatwiono tę sprawę na drodze wykupu, a w Stanach Zjednoczonych rozstrzygnął ją oręż.

Nigdy, przed ukazaniem się „Postęp i nędza" nie podawano w wątpliwość prawa posiadania w Anglii. Dopiero zwrócenie na to uwagi odkryło pewne dane, które pozwalają wnosić, że doktryny fizyokratów znalazłyby gościnne przyjęcie, gdyby je tam wtedy można było dać poznać.

I tak np. H. M. Hyndman wygrzebał w Brytańskiem muzeum rozprawkę, w 1775 r. przez Spence'a czytaną na posiedzeniu filozoficznego towarzystwa w Newcastle, (które zrobiło mu ten „honor" że go

wykreśliło za to). Autor mówi tam, że wszyscy ludzie „mają tak samo równy i niegorszy tytuł do własności ziemi, jak i do własności powietrza albo światła i ciepła słonecznego.“ A stąd wyprowadza wniosek, który możnaby nazwać zasadą jednego podatku. Mówi bowiem że z wartości ziemi należy pokrywać wszelkie wydatki publiczne, a wszystkie inne ciężary winny być zniesione. Tu z zapałem kreśli obraz szczęścia, jakiegoby ludzkość zażywała, gdyby ta prosta ale tak gruntowna zmiana, została wykonaną. Ale ta tak przeciwna życzeniom wszystkich rada, zupełnie poszła w zapomnienie, i z górą 100 lat przeleżała sobie gdzieś tam pod pyłem w kącie.

Podobnież D. C. Macdonald, zwolennik teoryi o jednym podatku, znalazł w 1889 inną książkę z datą 1772 r., a której autorem był William Ogilvie, profesor nauk humanitarnych w Aberdeen. Dzieło to nosi tytuł „O prawie własności ziemskiej, z uwzględnieniem praw przyrody; jego obecne znaczenie w Europie, i w jaki sposób mogłoby większe dać korzyści niższym warstwom ludności“. Chociaż autor nie powołuje się na żadne powagi (z wyjątkiem tylko jednego Mojżesza), zdaje się jednak że niezupełnie obce mu były zasady fizyokratów. Bez żadnych bowiem zastrzeżeń twierdzi, że „prawo do ziemi wynika już z samego faktu urodzenia, a więc je każdy obywatel posiada“. Stąd przeto zaleca zniesienie wszelkich podatków, radząc natomiast opodatkowanie tylko ziemi. Ale jakgdyby zwątpił o możliwości przeprowadzenia tak radykalnej zmiany, gotówby już poprzestać na półśrodkach takich np. jak dzierżawa, albo też wydzielanie pewnych cząstek tym, którzy się osiedlą itd. Ale zdaje się że nawet mimo to, żadnej nie miał nadziei powodzenia w ówczesnych warunkach, bo dając za wygraną, drukował pono niewielką ilość swego dziełka, i to jedynie celem rozdania pomiędzy przyjaciół.

Wśród uznawanych przez scholastyków pisarzy z pierwszych 30 lat XIX w., dwóch tylko zda się cokolwiek pojmować dostrzeżoną przez fizyokratów prawdę co do wzajemnego stosunku ziemi i pracy — ale ją w dziwny sposób poprzekręcali. I tak np. Dr. Chalmers, profesor teologii w Edinburgu, — a zarazem wielki zwolennik Mallhus'a — twierdzi że ostatecznie na to wychodzi iż właściciele ziemi wszelkie ponoszą ciężary włożone na pracę; oraz że tytuły należy utrzymać. Inne podatki bez wyjątku zniósłby, uważając za lepsze i prostsze, jeśli rząd cały swój dochód oprze na wartości ziemi, „unikając przez to nienawiści, jaką do niego budzi ściąganie podatków, osłabiające powagę i niebezpieczne dla porządku". Stanowczo też przeciwny rozdrabnianiu ziemi, był on za utrzymaniem prawa starszeństwa. Zabawny byłby to obraz arystokracyi, której młodsze gałązki miałyby prawo do urzędów z pensyą roczną najmniej 1000 f. s. (około 25000 fr.) Dodaje nadto, że „skoro wszelkie ciężary mają ponosić właściciele ziemi, słuszna więc aby i oni też mieli przewagę polityczną"; ponieważ „panowie ziemi są zarazem naturalnymi i właściwymi panami położenia". Chalmers był to sobie typ szkockiego księdza, ale który później przyłączyl się do partyi wolnego kościoła. Mimo jednak takiej powolności, nie udało mu się dla swej teoryi o pojedyńczem opodatkowaniu, znaleźć dość zwolenników wśród arystokracyi, która do ostatniego walczyła za prawa zbożowe. Chalmers, jako ekonomista, prawie całkiem poszedł w zapomnienie.

A tu znów drugi przykład niemniej dziwnie przekręconej teoryi o wzajemnym stosunku ziemi i pracy. W pierwszej ćwierci tego stulecia (XIX), a więc za czasów jeszcze, kiedy to w Stanach Zjednoczonych panował duch bardziej demokratyczny, i niezmierzone obszary ziemi darmo czekały na właściciela, przybywa tam Edward Gibbon Wakefield.

Zaraz na wstępie uderzyła go rażąca różnica między rozwijającem się dopiero społeczeństwem amerykańskiem i angielskiem. A patrząc na wszystko z punktu widzenia tych, którzy resztę ludzkości przywykli uważać jako stworzoną dla ich tylko wygody, osądził zaraz, że kraj wielkie ponosi straty w skutek braku rąk do pracy. Tu też podług niego należało szukać przyczyn braku towarzyskiej ogłady, przyjemności życia i delikatności tak zwykłej u arystokracyi angielskiej. Dlatego, wedle jego pojęcia, nie mógł dobrze wychowany anglik, przenieść się do kraju, gdzie musiałby sam sobie czyścić buty, i gdzie nie można liczyć, że się zawsze kogoś dostanie do najgrubszych posług.

Widział on to, co już i Smith zauważył, że taniość ziemi jest przyczyną braku robotnika. A żadnej niemając wątpliwości, że ziemia została stworzoną dla jej posiadaczy, i że robotnicy są na to tylko, aby dla wyższych warstw pracowali, radby nowe kraje urządzić na modłę angielską, tak pod względem społecznym i ekonomicznym jak i politycznym. Ale zadługo mu czekać aż to sama spekulacya zrobi; radby prędzej sprowadzić tę zmianę: aby właśnie było przeciwnie niż jest, tj. aby było trudno o pracę a rąk był dostatek i cena ich spadła. Rząd zatem nie ma rozdawać ziemi, ale ją po odpowiedniej cenie sprzedawać. W ten sposób robotnik będzie zmuszony pracować dla drugich, dopóki sobie nie zbierze sumy potrzebnej na zakupienie tego, co natura każdemu bez pieniędzy daje. Dochód ze sprzedaży osiągnięty, rząd winien przeznaczyć na koszta sprowadzenia odpowiednich emigrantów. W ten sposób na razie powstałyby tylko dwa rodzaje osiedleńców: tych, którzyby ziemię nabywali, i robotników, przez rząd ze „starego kraju“ sprowadzonych, aby tamtym nie brakło rąk do jej uprawy potrzebnych. Ziemia od razu zyskałaby na wartości, a cena pracy byłaby jeszcze dość wysoką, aby europejczyka zachęcić

do przyjazdu. Wtedy i ludzie z „lepszych warstw“ chętnieby tam wyjeżdżali z pieniędzmi, mając z góry zapewniony dostatek robotnika, którego brak właśnie czyni temu „gentlemanowi“ tak niemiłym pobyt w Stanach Zjednoczonych.

Był to plan bardzo ponętny dla bogatszych, wpływowych warstw w Anglii; zaraz więc przyjęty został przez nowe towarzystwo, zainteresowane w osiedleniu zachodniej Australii; a później przyjęły go także i inne kolonie australskie. Ale nawet i to doświadczenie żadnego nigdy nie miało wpływu na naukę ekonomii politycznej.

Spencer i Dove.

W r. 1850 ukazały się w Anglii dwa dzieła; ale żadne z nich nie było płodem natchnienia scholastyków; z obu natomiast czuć już zapowiedź blizkiego żądania takiej ekonomii, któraby bardziej uwzględniała interesa mas. A jedno z nich, „Social statistics“ wyszło z pod pióra Herberta Spencer'a, podówczas młodego jeszcze i nieznanego pisarza. Tam w rozdziale 9, zatytułowanym „Prawo do użytkowania z ziemi“, autor zaprzecza tego, co ekonomiści ze szkoły Smith'a przyjęli jako nieulegające zaprzeczeniu, — zaprzecza mianowicie, prawomocności posiadania ziemi. Nie zwróciło to na razie żadnej uwagi w Anglii, aż dopiero kiedy w 1876 ukazały się inne dzieła Spencer'a, wtedy nareszcie i o „Social statistics“ znalazła się wzmianka w „British Quarterly Review“.

1892 r. w „Kłopotach filozofa“ dałem wyczerpujący pogląd na to dzieło i na ostateczne odwołanie tego, co tam autor powiedział o własności ziemi.

Drugie z tych dzieł, wydane w Londynie bezimiennie, nosi tytuł „Teorya ludzkiego rozwoju, i prawdopodobieństwo zapanowania sprawiedliwości“.

To prawdopodobieństwo zapanowania sprawiedliwości na ziemi, czyli owo w piśmie św. zapowiedziane

Chrystusowe millenium, jest głównym motywem tej pracy. Chociaż autor wierzy w podanie o upadku człowieka, jest jednak i ewolucyonistą zarazem, gdyż wierzy także w naturalną konieczność postępu ludzkości przez rozwój wiedzy, czyli przez prawdziwą wiarę w naturalny porządek, i nauki potrzebne do zapanowania sprawiedliwości, z której ma wyniknąć panowanie miłości.

A jako pierwiastki tej prawdziwej wiary, uważa: Biblię;
właściwy pogląd na zjawiska materyalnej natury; i prawdziwą filozofię duchownego życia.

Trzy zaś rzeczy, które zestawia razem, jako przyczyny i skutki, a które obejmują warunki społeczne, są następujące:

Wiedza i wolność,
Przesąd i despotyzm,
Niewiara i anarchia.

Nakoniec stawia cztery twierdzenia, które najlepsze dają pojęcie o jego założeniu. A twierdzenia te są:

1) że na podstawie niezawodnego słowa boskiej zapowiedzi, oczekujemy przyjścia panowania sprawiedliwości na ziemi;

2) że panowanie sprawiedliwości każe się spodziewać, iż każdy człowiek na świecie będzie posiadał wszystkie swoje prawa;

3) że historya cywilizowanych społeczeństw uczy, iż rozwój ludzkości, z politycznego punktu widzenia, wynika z rozmaitości przywilejów co do równości praw; i

4) że człowiek może otrzymać przywilej tylko przez pozbawienie innego człowieka, albo też innych ludzi, części należnych im praw. Czyli że panowanie sprawiedliwości polegać będzie na obaleniu wszelkich przywilejów i przywróceniu wszelkich praw.

A te cztery twierdzenia rozdziela znów na 21 podrzędnych i 12 pobocznych, z których przynajmniej dwa tu warto przytoczyć:

.... „Wiedza z konieczności wywołuje zmiany, tak „jak i ciepło z konieczności też wywołuje zmiany. A „gdzie wiedza staje się coraz ściślejszą, coraz rozleglej- „szą i coraz więcej upowszechnianą, tam z konieczności „musi też w tym samym stosunku nastąpić zmiana „porządku społecznego i poprawa warunków życia czło- „wieka. Gdziekolwiek przeto postęp wiedzy wymaga „ustąpienia niesłusznych interesów warstw rządzących, „a te stanowczo odmawiają swego zezwolenia na po- „prawę warunków społecznych, tam może wiedza i roz- „sądek będą zniewolone siłą spór rozstrzygnąć. Jest to „bowiem wprost niemożliwe i od woli człowieka nie „zależy, aby wciąż tamować rozwój społeczny, gdy już „wiedza w masach znacznie się rozwinęła."

.... „Nabywanie, porządkowanie i upowszechnianie „wiedzy, będzie z konieczności zacierać błędy i prze- „sądy; a coraz lepsze położenie człowieka, stanie się „ostatecznie możliwie najlepszem. Tu naturalne pra- „wdopodobieństwo millenium, oparte na podziale nauk, „oraz na dotychczasowym i dalszym rozwoju ludzkości. „Ale nie łudzimy się bynajmniej, że każdy to zaraz „zrozumie, skąd takie połączenie wiedzy i sprawiedli- „wości, i jak ono ma ziemię odrodzić, dać jej ogólną, „przez Stwórcę obiecaną pomyślność, której prawdo- „podobieństwo wcale nie przekracza granic naszego „pojęcia."

Dzieło to bardzo przypomina „Social statistics" Spencer'a, zarówno co do motywów, jako też założenia i wniosków. Ale jest to widocznie podobieństwo przypadkowe tylko. Obaj autorzy zdają się mało znać ekonomistów. Spencer raz tylko powołuje się na Smith'a, Mill'a i Chalmers'a, a Dove zgoła nie wymienia żadnych powag późniejszych niż Mojżesz. Obaj

zato na tym samym gruncie szerokie zataczają koła myśli; obaj do tych samych dochodzą wyników; obaj bronią tej samej wielkiej doktryny o przyrodzonych prawach człowieka — doktryny będącej treścią Jeffersońskiej demokracyi i kamieniem probierczym prawdziwej reformy. Obaj także głoszą wyższość praw wyższych niż ludzkie ustawy; i obaj wreszcie wierzą w jakiś dalszy rozwój, który da człowiekowi lepsze, szlachetniejsze warunki bytu. Obaj nakoniec jasno i dobrze wyrażają główne zasady pojedyńczego opodatkowania — a obaj, naturalnie, stanowczo są za wolnym handlem. Spencer jednak szerzej omawia sprawę ziemi, więcej zadając sobie trudu, aby dowieść, że prywatna własność sprzeciwia się prawu moralnemu. Uważa przytem za słuszne i konieczne, aby renta szła na dochód publiczny; nie mówi tylko nic, w jakiby się sposób dało tę reformę przeprowadzić.

Dove natomiast obszerniej się rozwodzi nad niedorzecznością taryf, akcyzy i innych t. p. sposobów powiększania dochodu państwa, przez obłożenie podatkami owoców pracy; i wprost tylko rentę zaleca obrócić na pokrycie wydatków publicznych. Ale niepotargawszy jeszcze więzów nienaukowego przesądu, Dove jeszcze pod innym względem odwagą i energią przewyższa Spencer'a.

Spencer — po wykazaniu zupełnej nieważności wszelkich możliwych uroszczeń do prywatnego posiadania, — mówi że nie tak to łatwo ludzkości przyjdzie odzyskać swe prawa do ziemi. Gdyby tu było do czynienia z tymi tylko, którzy pierwsi przywłaszczyli sobie ziemię, w takim razie odebranie jej nie przedstawiałoby takich trudności. Ale na nieszczęście obecni właściciele, to przeważnie ludzie, którzy wprost lub pośrednio dali za swą ziemię, uczciwie zapracowane bogactwa, równoważące jej wartość.

W tem właśnie tkwi główna trudność, bo „sprawiedliwe ocenienie i wykupienie tych pretensyi, stanowi jedną z najbardziej zawikłanych kwestyi społecznych, jakie przyjdzie rozwiązać.“

Dove natomiast wcale nie chce ugiąć kolana przed Baalem, zgoła żadnych nie robi ustępstw. Również jednak, niewyjaśniwszy że właściciele ziemi, jako tacy, żadnych nie mają do niej praw, ani słówkiem nie uznaje ich pretensyi. Przeciwnie, mówi że niewola, to zrabowanie człowieka; a owe 20 milionów funtów sterlingów (około pół miliarda franków) przez rząd jako skup, wypłacone za niewolników plantatorom w Indyach Zachodnich, nazywa niesprawiedliwością i uciskiem ludności w Anglii, bo —

„Żaden człowiek — mówi — żadne na świecie to-„warzystwo, nigdy nie mogło mieć słusznego prawa „nakładania podatku na robotnika, w celu wykupu lu-„dzi z rąk tych, którzy im wolność zrabowali. A cho-„ciaż to fakt już dokonany, jednak wspominamy o nim, „bo może nie wiele lat upłynie, a może znów podo-„bny zajdzie wypadek. Ale gdy przyjdzie na stół „sprawa własności ziemi, mało kto chyba pomyśli o „wynagrodzeniu.“

Ale ani w Anglii ani też w Stanach Zjednoczonych, Dove żadnego nie obudził zainteresowania. Nigdy też o nim nie słyszałem, aż dopiero 1882 wpadł mi w rękę egzemplarz tej jego „Teoryi itd.“

W 1854 wydał znów — i to już pod własnem nazwiskiem — drugie dzieło, zatytułowane „Zasady nauki politycznej“. A we dwa lata potem jeszcze ukazało się inne pt. „Logika wiary Chrześciańskiej.“

Któż tedy był Gentlemanem?

Andrzej Bisset wydał najpierw 1859 dzieło pt. „Siła narodów“ a w 1877 wyszła jego „Historya walki o rząd parlamentarny w Anglii“. Są to dzieje bezustannych zamachów domu Plantagenetów, Tudorów i Stuartów

w celu ujarzmienia ludu angielskiego; a głównie zamachu Karola I i jego stracenia. W „Sile narodów“ zaś autor bardzo wymownie zwraca uwagę na fakt, że feudalne lenna były posiadane pod warunkiem albo opłacania renty, albo też pełnienia jakiejś służby państwowej. Owo zatem tak bardzo wychwalane zniesienie przez parlament resztek takich zabytków fedualizmu, drogą skupu, było dobrodziejstwem dla posiadaczy, gdyż podług obecnych cen, wystarczyłoby to na pokrycie wszystkich wydatków Anglii. Od owej też chwili zaczynają się długi państwa.

Dzieła te żadnego lub bardzo mały wywarły wpływ na ekonomię polityczną. A i w wielu innych też, od czasu do czasu, zwracano uwagę, że jednostki bez pracy używają życia, podczas gdy całe masy, głodem przymierając, muszą się na nie składać. Ale dla ekonomii politycznej tak drażliwe kwestye były jakoby „taboo“. Przynajmniej do r. 1880, bardzo ostrożnie je wymijała. Autorzy uznani, co najwyżej, i to nadzwyczaj oględnie, nadmieniali tylko, iż może w przyszłości, podniesiona bez pracy wartość ziemi, uznaną zostanie za własność publiczną. Że jednak właściciele gotowiby sprzedać ziemię, więc znaczenie tej obietnicy schodzi do zera. A mimo to już z tego powodu krzywo na Mill'a patrzano, jako na strasznego radykała.

Walka o prawa zbożowe w Anglii, wcale nie wpłynęła na rozwój protekcyjnej ekonomii politycznej. Sporo wprawdzie napisano dzieł i broszur w obronie systemu ochrony, ale te opierały się jedynie na ustalonych już pojęciach i zwykłych uprzedzeniach, a stąd też łatwo ich wpływ zwalczali zwolennicy zniesienia praw zbożowych. Ale w innych krajach było inaczej, bo też inne były tam warunki aniżeli te, w jakich nastąpiło tak ponętne zwycięstwo wolnego handlu w Anglii. Zastosowany u państw nieprzyjaznych, których dochody zasilał, system ochrony miał dla nich prakty-

czne znaczenie. Nie mogły go zatem wyrugować półśrodki angielskich przeciwników; a ów promyk nadziei — co im na chwilę zabłysnął z powodu układów Cobdena o traktat Anglii z Francyą — został zagaszony przez wybuch wojny francusko-pruskiej i upadek Napoleona III. Po wojnie, rozbudzone w Niemczech poczucie narodowe, i polityczne ich zjednoczenie, wywołało powstanie szkoły niemieckich ekonomistów, nauczającej ekonomii narodowej, która pod rozmaitemi nazwami — narodowej, romantycznej lub indukcyjnej, — broniła systemu ochrony.

Kiedy pod koniec wojny o niepodległość przyszło do układów pokojowych, delegaci Stanów Zjednoczonych mieli polecenie zawarować zupełną wolność wzajemnego handlu obu krajów; Anglia się jednak stanowczo temu oparła, ponieważ głos publiczny w owym czasie był tam za systemem ochrony.

Ale i w Stanach Zjednoczonych, pomimo zawarowanej wolności wewnętrznego handlu, obłożono cłem towary obce. A wynikło to z potrzeby niezależnego źródła dochodów, koniecznych na pokrycie wzrastających potrzeb. Powstała też silna partya protekcyonistów. A stany, w których się bardziej rozwinęła, z chwilą pojawienia się kwestyi niewoli, stanęły po stronie rządu, wobec grożącego oderwania się południa. I wtedy u ekonomii politycznej szukano usprawiedliwienia tego „interesu“. Znaleziono je też w wyciągu z niemieckich ekonomistów i w pismach C. Carey'a z Filadelfii. Teorya tego pisarza pod wielu względami znacznie się różniła od angielskiej filozofii, zwłaszcza co do argumentów popierających system ochrony. A ogniskiem i podporą tych ekonomistów amerykańskich, był uniwersytet pensylwański. Tam zasadom Jefferson'a przeciwstawiano zasady Hamiltona; w Anglii zaś tymczasem prace Carlyle'a i innych nowego pokroju autorów scholastycznych, wnosiły myśli niemieckie.

A w rzędzie szkół był tam pewien obóz, idący jeszcze dalej aniżeli przeciwnicy praw zbożowych. Rozłam ten wynikł ze sporu o wartość. Uznano bowiem niektóre rzeczy niemateryalne za bogactwo. Czyli że bogactwo, w zwykłem znaczeniu tej nazwy, miało być przedmiotem ekonomii politycznej, ale uważanej już tylko za naukę o wymianie. Dzięki jednak usiłowaniom Jevons'a, Macleod'a i innych, szkoła ta wciąż topniała, aż i nakoniec całkiem wsiąkła w historyczną, indukcyjną, socyalną i inne szkoły, czerpiące swe soki z teoryi głoszonych na kontynencie. Ale zamiast pracować dla uproszczenia ekonomii politycznej, zrobiono z niej natomiast jakąś tajemniczą naukę, w której zgoła nic nie było stałego, a jej profesorowie mogli dowodzić, co im się podobało.

W ciągu wieku wyrósł w Anglii jeszcze innego rodzaju system ochrony, czyli protekcyonizm, ale nietylko tam lecz wszędzie znalazł zwolenników. I tu wszystko zaliczano do bogactwa, nieuznając różnicy między ziemią a produktami pracy; główną zaś dążnością było polepszenie warunków pracy. Uważając zaś robotników jako odrębną klasę, chcieli przez połączenie ich sił (unie) i przy poparciu państwa, skrócić czas pracy dziennej; i wogóle na wszelki sposób służyć ich interesom, kosztem głównie pracodawców.

Uczony ale zbyt biurokratyczny i niejasny niemiecki umysł, ujął te zasady w formę systemu, będącego treścią dwutomowego dzieła Karola Marx'a, p. t. „Kapitał". Dzieło to w Anglii napisane (1867 r.) ale wydane w Niemczech, dopiero po śmierci autora (1887) przetłumaczono na język angielski.

Nieodróżniając produktów ziemi od produktów człowieka, Marx twierdzi że wartość jest dwojaka: użytkowa i zamienna. A kapitalista, najmujący ludzi aby mu surowy materyał przerobili na produkt, niby czarodziej, dostaje przez kupno i sprzedaż, większą wartość niż dał.

I na podstawie takiego to twierdzenia Marx'a (które zresztą trudno uważać za teoryę) oraz innych, były ogłaszane różne ale podobne plany polityczne, i to jakoby polityczne programy.

Socyalizm nie jest żadną nauką.

Dziś każdy ruch w tym rodzaju zaraz się osłania nazwą socyalizmu, która też wszystkie te plany obejmuje. Czasem też słyszymy o socyaliźmie naukowym, jak gdyby to jakąś naukę można już przez samo ogłoszenie lub rozporządzenie rządu, do życia powołać. Pomieszano tu pojęcie nauki z czemś czysto konwencyonalnem, czyli z góry umówionem, ułożonem — z polityką. Jest to zatem jakiś plan, program, twierdzenie, ale nigdy nauka.

Nauka przecie, jak to już pierwej wyjaśniłem, mówi o prawach naturalnych, o stosunkach, które istniały i zawsze istnieć muszą, a nie zajmuje się bynajmniej podobnymi wymysłami człowieka.

Socyalizm tymczasem wcale nie bierze w rachunek praw przyrodzonych, ani ich szuka, ani się ich rządom chce poddać. Jest to więc sztuczka, plan ułożony, jak każdy inny plan polityczny albo rządowy, podczas gdy ekonomia polityczna, to nauka wyjaśniająca pewne niewzruszone a ludzkiej natury dotyczące prawa.

Socyalizm żąda aby społeczeństwo samo (zbiorowo, tj. kolektywnie) albo też państwo wzięło pod swój zarząd wszystkie środki produkcyi, nie wyłączając ziemi, kapitału i samego człowieka. Chce zatem usunąć wszelką konkurencyę i podzielić ludzi tylko na dwie klasy: dyrektorów wypełniających rozkazy rządu, i robotników, którym wszystko rząd dostarczy razem z dyrektorami.

Jest to zatem plan, którego wykonanie cofnęłoby ludzkość do socyalizmu peruwiańskiego, ale bez wszelkiej podstawy religijnej. Nasz socyalizm jest w samej rzeczy bezwyznaniowym. Nie znam też żadnej innej

filozofii tak dalece pozbawionej zgoła jakiejkolwiek głównej, przewodniej myśli. Ludzkość — mówi — musi iść naprzód i świat podległym sobie uczynić. Ale nie wyjaśnia jakby ten cel można osiągnąć. Niebierze też za podstawę systemu opartego na prawach osobistych, któreby zakreślały granice wolności jednostki. A przecież dopóki jednostki pozbawione wszelkiej przewodniej zasady, dopóty też niemożliwe aby ją miało społeczeństwo, z takich złożone jednostek.

I jakżeż tu podobnej kombinacyi przyznać nazwę nauki? To płody niemieckiego ducha. Tresura czyni go jedynie zdolnym do badania szczegółów, niepowiązanych żadną ogólną zasadą. Trzeba je też zaliczyć na karb „nieszczęsnej łatwości bezmyślnego pisania“ i biurokratycznej organizacyi, która licznemi posadami wabi zwolenników.

A mimo to wszystko, mimo nawet ucisku rządu, socyalizm wielkie zrobił postępy w Niemczech, i coraz bardziej rozwija się w Anglii, dzięki tylko pomysłowi stowarzyszeń zawodowych (unii).

Takie to było położenie rzeczy w ósmym dziesiątku lat XIX w., kiedy w Anglii — i to od strony nowszej i wolniejszej Anglii — zadano fatalny cios nauce ekonomii politycznej, jedynej, jaka tam sobie rościła jeszcze prawo do tej nazwy.

ROZDZIAŁ VIII.

Upadek scholastycznej nauki ekonomii politycznej.

Wpływ dzieła „Postęp i nędza“ na ekonomię polityczną.

„Postęp i nędza“. — Profesorowie wolą raczej całkiem zaniechać „naukę“, niż porobić w niej gruntowne zmiany. — To powód upadku ekonomii politycznej. — Encyklopedya brytańska (Britanica). — „Szkoła austryacka“ zjawia się po „klasycznej“.

„Postęp i nędza“ — dzieło po raz pierwszy wydane w San Francisco 1879 r. a tłumaczone już na wszystkie główne języki, znalazło w Ameryce, w Anglii i innych krajach Europy, większe powodzenie, aniżeli którekolwiek z innych dotychczas wydanych dzieł ekonomicznych.[1])

Nikt mojego dowodzenia nie zbił, a myśl tam poruszona, wszędzie rzuciła swe nasienie, żniwo zaś z tego posiewu jest już tylko kwestyą czasu. A jednak, mimo takiego wyłomu w scholastycznej nauce ekonomii — jak to zresztą przewidziałem — profesorowie, pomijając moje poglądy, zaczęli wykładać jakąś nową i całkiem bezsensowną ekonomię.

Od czasu Smith'a, nikt ze scholastyków ani się kusił określić: co to jest bogactwo, lub: co stanowi własność. Żaden też nawet nie próbował razem po-

[1]) Opuszczam tu nieco zaobszernie skreśloną historyę powstania tego dzieła, bo to właściwie do rzeczy nie należy. Przyp. Tł.

wiązać i pogodzić ze sobą prawa produkcyi i jej rozdziału, chociaż scholastyczną ekonomię nazywano nauką. A tu na raz skądsiś, aż z okrainy cywilizowanego świata, zjawia się człowiek nowy, bez wykształcenia, albo raczej bez patentów szkolnych, i głosząc zmianę nauki, coraz to szerszy zyskuje posłuch. I wartoż było pracować, warto uniwersyteckie ławy przez lata wycierać, aby to wszystko poszło teraz w kąt, i to z powodu kogoś, kto zgoła na żaden uniwersytet nie chodził, a teraz mu się zachciewa profesorów pouczać i dowodzić im niezgodności tego, co oni jako zasady nauki wykładają. To nie do uwierzenia! Niektórzy z profesorów wystąpili z krytyką, i to przekręciwszy treść; większość jednak pogardliwem milczeniem zbyła dzieło rozchodzące się tysiącami. Ale było to tylko pozorne nieuznawanie tak jasno wyłożonej nauki; bo niczem niemogąc zbić jej argumentów, woleli milczeć, silnie oparci na swych urzędowych stanowiskach, które im zabezpieczał interes warstw panujących.

Znamienna zmiana w encyklopedyi.

Gdyby ci profesorowie otwarcie uznali potrzebę zmian zaleconych w „Postęp i nędza“, możeby wtedy coś z ich budowy zostało. Ale to przeciwne naturze ludzkiej. Nie chodziło tu przecie tylko o uznanie człowieka bez patentów, ale także o przyznanie wszystkim równych praw i przywilejów zajmowania się ekonomią. A tego właśnie dopuścić nie mogli, boby ich to postawiło w fałszywem położeniu. I nauka ich i oni sami także stanęliby wtedy w sprzeczności z pieniężnymi interesami, od których przecie zawisło usprawiedliwienie urządzeń dających im potęgę. Taka zmiana frontu, byłby to niesłychany w dziejach przewrot. Niczem zniesienie niewoli, w porównaniu ze zniesieniem prywatnej własności ziemi. Profesorowie zatem, upoważnieni przez szkoły i mając z tej strony poparcie, woleli raczej wyrównać ich różnice, chociaż przyszło im

całkiem pousuwać to, co dotychczas uważali za ważne. W ten sposób powstała jakaś gmatwanina. Zwykły śmiertelnik długo i głęboko musiał się zastanawiać, aby zrozumieć tę tajemniczą naukę — dzieło tylu uczonych profesorów całego świata.

Tak tedy przyszło zupełne bankructwo scholastycznej, z katedr głoszonej ekonomii politycznej. Odtąd nauka w szkołach wykładana, zaczyna się skłaniać do systemu ochronnego i niemców. Ale nikt nieupoważniony, nie jest temsamem kompetentnym do zabierania głosu; jedynie wielkim uczonym wolno swe zdanie wypowiadać.

Zmianę tę najpierw zaznaczono w 9 wydaniu encyklopedyi brytańskiej. Wyrzuciwszy z niej artykuł dawny, jako już nieodpowiedni, — bo nauka ekonomii znajduje się w stanie przejściowym, — zamieszczono tam natomiast przegląd pióra profesora J. H. Ingram. Praca ta zaraz też wyszła i oddzielnie, z przedmową E. J. James'a, profesora uniwersytetu pensylwańskiego, tej głównej podpory systemu ochrony w Ameryce.

Autor przyznaje że nie ma już dawnej ekonomii politycznej; a sięgnąwszy aż w odległe czasy, przebiega dalej trzy nowe okresy jej rozwoju i kończy na dzisiejszej, zwanej szkołą przyszłości albo historyczną.

Smitha stawia jako twórcę trzeciej nowoczesnej szkoły, z systemem naturalnej wolności. Wśród jego poprzedników stoją tam fizyokraci; a zasada pojedyńczego opodatkowania, uważana jako skutek ich twierdzenia: że tylko rolnictwo jest produktywnem a inne zajęcia bezpłodne. Już się z tem załatwił Smith i inni — teorya ta została obalona razem z zasadą, na której ją oparto. Co zaś do samego Smitha, autor oddaje wprawdzie należny mu szacunek ale z tem nadmienieniem że jego nauki, niewytrzymując już krytyki, musiały ustąpić miejsca głębszej wiedzy dzisiejszej historycznej szkoły. Dalej z uznaniem się też odzywa

o ekonomistach Francyi, Hiszpanii, Włoch, Niemiec i krajów północy.

Encyklopedye i słowniki później wydane, poszły za przykładem „Britannica“. Pierwszy Chambers, a po nim zaraz Johnson, wyrzuciwszy dawne artykuły, zamieścili inne, w stylu prof. Ingram'a. Podobnież i w słownikach zamieszczają jakieś niezrozumiałe nazwy, które wprowadzono teraz do ekonomii politycznej.

Tymczasem usunięto prof. William'a Ellis Thompson, Szkota, który na uniwersytecie pensylwańskim wykładał ekonomię polityczną; a jego miejsce zajął wzmiankowany już wyżej prof. E. J. James. I tamten wprawdzie jak tylko mógł naukowo usprawiedliwiał system ochronny, ale to już nie wystarczało. Teraz całego wpływu i wszystkich środków użyto, aby nauczać o protekcyi, lecz z angielska przykrojoną metodą historyczną i indukcyjną, ale pod nową choć rzadko wzmiankowaną nazwą. Nowa ta nauka nie mówi już o ekonomii politycznej, tylko o zasadach ekonomiki (economics). Dowodzi że nie ma niezmiennych praw naturalnych; i nie daje stanowczej odpowiedzi na to: czy wolny handel czy też system ochrony lepszy, albo czy trusty są dobre czy złe? Mówi że to zależy od czasu i miejsca, a chcąc dać wyjaśnienie, trzebaby historycznie zbadać wszystko, co o tem dotychczas napisano. A ponieważ takie badania muszą być zostawione profesorom i uczonym, więc też ci mogą objaśniać jak im się podoba; zwłaszcza że prawie wszędzie katedry oddano profesorom ekonomiki, więc nie potrzebują się troszczyć nawet o zachowanie choć pozoru niewygodnych im pewników i zasad. Ale zgadzało się to z widokami klas bogatych. Więc uniwersytet pensylwański — ulegający wpływom protekcyonistów, mających na celu tylko powiększenie dochodów państwowych — był pierwszym na tej drodze, ale zaraz i ogólnie naśladowanym.

O ile udało mi się poznać wydane ostatniemi czasy pisma powag profesorskich, nabrałem przekonania, że zmiana ta nastąpiła we wszystkich kolegiach Ameryki i Anglii. Możnaby dziś powiedzieć że nauka ekonomii politycznej, — ta, pod którą Smith podwaliny założył, i której w 1880 po uniwersytetach uczono — za szkołę klasyczną uznana, zupełnie już poniechaną została, jako przestarzała. Następczynię jej zazwyczaj zowią szkołą austryacką, chyba dlatego tylko, że z daleka wszystkie krowy mają długie rogi. Może tam i są jakie zasady, ale ja żadnych nie mogłem wykryć. A ciekawych zwykle się odsyła do niezrozumiałych prac prof. Alfreda Marshall z Cambridge („Principles of economics," 1891, tom I); do ciężkich prac prof. E. V. Bohm-Bawerk w Innsbruku, później w Wiedniu („Kapitał a procent" i „Pozytywna teorya kapitału"); albo do dzieła prof. Williama Smart'a z Glasgowa („Wstęp do teoryi o wartości") — i do mnóstwa dzieł często całkiem nieznanych autorów niemieckich.

Z obcego języka zapożyczono tytułu dla tej pseudo nauki, a niemniej i różne nazwy tam użyte, również są niemieckiego pochodzenia. A nie jest to bez celu. Takie bowiem utrudnienie zrozumienia nauki, bardzo właśnie na rękę potężnym przedstawicielom szczególnych interesów, a przeciwnie wcale im nie pożądany jasny i prosty wykład ekonomii politycznej. Stąd to całego używają wpływu i gotowi uczynić wszystko, aby tylko utrudnić młodzieży zrozumienie nauki, która w nich trwogę budzi. Dlatego to dzieła profesorów, — przepełnione zresztą wzajemnemi pochwałami — bardzo przypominają to, co Schoppenhauer o Heglu powiedział (Parerga i Paralipomena):

„Aby młodzieńca zupełnie ogłupić, dość mu ka-
„kazać pilnie czytać jego dzieła. Takie bowiem po-
„tworne nagromadzenie wyrazów, które albo sobie prze-
„czą albo się nawzajem wyłączają lub znoszą, musi

„wkońcu umysł znużyć i wyczerpać. Daremne te wy-
„siłki — aby ich znaczenie zrozumieć i wątek myśli
„w nich znaleźć — tak wkońcu mogą przytępić władze
„pojmowania, że ktoś gotów frazesy bez znaczenia brać
„za myśli.“

Oto do jakiego stanu upadku doprowadzono naukę ekonomii politycznej.

ROZDZIAŁ IX.

Bogactwo i wartość.

Dlaczego należy poznać naturę wartości pierwej niż naturę bogactwa.

Punkt wyjścia w badaniu bogactwa. — Korzyści badania z tego punktu.

Aby sobie dalszą drogę utorować, należy przedewszystkiem określić znaczenie wyrazu „bogactwo“ jako nazwy używanej w ekonomii.

Każde bogactwo ma wartość — to jedyne twierdzenie, na które się wszyscy ekonomiści godzą.

Ale czy wszystko, co posiada wartość, jest już przez to samo bogactwem, albo też: jakie formy wartości są a jakie nie są bogactwem — tu już bardzo zdania podzielone. Dobrze jednak poznawszy jak uznani autorzy określają nazwy „bogactwo“ albo „kapitał,“ musimy przyjść do przekonania, że te różnice pojęcia natury bogactwa, zdają się wypływać z różnicy pojęcia natury wartości.

A jednak sądzę że można ustalić znaczenie nazwy „bogactwo“ niezależnie od nazwy „wartość“. Zrobiłem to w „Postęp i nędza“. Ale tam określiłem znaczenie nazwy „bogactwo“, aby ustalić znaczenie nazwy „kapitał“ — ponieważ chodziło mi tylko o wykazanie: czy to z kapitału pokrywa się wynagrodzenie za pracę. Teraz jednak co innego, bo tu już nie idzie o jakieś specyalne zadanie, lecz ma to być wykład

całej nauki ekonomii politycznej, a stąd należy niezależnie mówić o naturze wartości. Sądzę nawet że łatwiej nam przyjdzie cel osiągnąć, wpierw zbadawszy naturę wartości, zanim nakoniec przystąpimy do zbadania natury bogactwa.

Ale umysłom, zamglonym przez niejasny wykład szkolny, może łatwiej przyjdzie poznać prawdę, skoro wykażę: na czem ten zamęt polega i skąd pochodzi.

Takie zbadanie natury bogactwa (przez zbadanie natury wartości) da nam i tę korzyść, że poznamy stąd i zamęt co do pojęcia wartości — pojęcia, które w umysłach słuchaczów scholastycznej ekonomii, pomieszało się z pojęciem bogactwa.

ROZDZIAŁ X.

Wartość użytkowa i wartość zamienna.

Podwójne znaczenie wartości. — Jak to ta różnica była pomijaną i jej ważność. — Dla czego ekonomiczną nazwę ograniczono tylko do jednego znaczenia.

Doniosłość nazwy „wartość". — Pierwotne znaczenie tego wyrazu. — Jego dwa znaczenia. — Nazwy dane im przez Smith'a. — Użyteczność i pragnienie — Co Mill mówi o Smith'cie. — Szkoła austryacka wcale nie uwzględnia tej różnicy. — Przyczyna tego zamętu. — Zdolność do użytku, nie jest użytecznością. — Smith rozróżnia. — Używanie jednego wyrazu w podwójnem znaczeniu, zdarzające się w potocznej mowie, nie może mieć miejsca w ekonomii politycznej. — Rzeczywista wartość.

Nazwa „wartość" niezmiernie ważna w Ekonomii politycznej. Jest ona tak dalece ważna, że aż niektórzy ekonomiści nazwali ekonomię nauką o wartościach. A jednak tu właśnie od razu spostrzegamy słabą jej stronę. Od czasu Smitha aż do dziś, tu zawsze był największy i wciąż rosnący zamęt, tu wrzały ustawiczne spory. Tem ostrożniej więc należy przystępować do badań, bo najmniejsze zboczenie, mogłoby na manowce sprowadzić.

Pierwotna nazwa „wartość" w najszerszem swem znaczeniu odpowiada pojęciu „oszacowania", „oceny".

Ale gdy jedne rzeczy szacujemy z uwagi na ich własne przymioty — tj., ze względu na użytek, jaki z nich

samych bezpośrednio mieć można — to inne znów szacujemy tylko przez wzgląd na te rzeczy, które za nie wzamian otrzymamy. Używając tu wyrazu „szacunek“, nie odróżniamy rodzaju lub przyczyny tego szacunku; żadnej też nie ma tego potrzeby gdy w potocznej mowie używamy wyrazu „wartość“. Jeżeli użyty niezależnie od innych, wtedy już jego znaczenie dostatecznie wyjaśnia sama natura i warunki rzeczy, do której się odnosi. Tak więc jeden wyraz „wartość“ ma w potocznej mowie dwa różne znaczenia. Jedno, kiedy chcemy wyrazić że coś jest dla człowieka użyteczne — mówiąc np. o wartości oceanu, o wartości kompasu dla żeglugi, o wartości stetoskopu przy rozpoznawaniu chorób, o wartości antyseptycznych środków przy operacyach; a drugie, kiedy mamy na myśli wartość umysłowych płodów, ich zalety, rodzaj ich użyteczności dla czytelnika lub publiczności — słowem kiedy np. mówimy o wartości książki.

Drugie znaczenie wyrazu „wartość“, chociaż pochodne ale zupełnie różne, i odnosi się do przedmiotów, które można wymieniać. Mówimy np. wartość złota jest większą niż żelaza; więcej warta książka w bogatej niż w zwykłej oprawie; wartość patentu itd.

Wyraz wartość używany w różnem znaczeniu.

Wyraz „wartość“ w znaczeniu użyteczności, (kiedy jakaś rzecz może wprost służyć na zaspokojenie potrzeb człowieka) Smith określił jako „wartość użytkową“.

Drugie znaczenie wyrazu „wartość“ Smith określił jako „wartość zamienną“. Odnosi się to do rzeczy, która także pośrednio — przez zamianę — może zaspokoić potrzeby człowieka.

Smith tak o tem mówi:

„Należy pamiętać że wyraz „wartość“ ma dwa „różne znaczenia. Czasem wyraża użyteczność jakiejś „rzeczy, a czasem znów możność kupna innej rzeczy,

„w zamian za posiadaną. W pierwszym razie może
być nazwana „wartością użytkową“ a w drugim „war-
„tością zamienną.“ Często rzeczy największej wartości
„użytkowej, małą lub zgoła żadnej nie mają „wartości
„zamiennej“; i odwrotnie, często przedmioty posiadające
„najwyższą „wartość zamienną“, małą lub zgoła żadnej
„nie mają „wartości użytkowej“. Cóż np. użyteczniejsze
„od wody, a przecież rzadko można coś innego za nią
„kupić, rzadko można coś w zamian otrzymać. I prze-
„ciwnie, brylant rzadko ma jakąś „wartość użytkową“
„a jednak często można zań bardzo wiele rzeczy w za-
„mian otrzymać“.

Te dwie przez Smitha przyjęte nazwy — jako najlepiej wyrażające dwa różne znaczenia wyrazu „wartość“, od razu się w ekonomii przyjęły i dotychczas ogólnie są używane.

Ale chociaż przyjęto obie te nazwy dwóch różnych pojęć, to jednak inaczej rzecz się ma z samą różnicą tych pojęć. Zaraz od samego początku, następcy i komentatorowie Smitha zaczęli w wątpliwość podawać słuszność takiego podziału. Twierdzono że nic, co nie żądane, nie może mieć „wartości zamiennej“; że już samo pożądanie czegoś każe przypuszczać pewnego rodzaju użyteczność rzeczy pożądanej; a stąd wszystko, co ma wartość zamienną, musi mieć także i wartość użytkową. Na tej podstawie zarzucono Smithowi, że popadł w zamęt, wprowadziwszy różnice moralnej natury do nauki, która nic o moralnych różnicach nie wie. A to zapatrywanie, o ile wiem, podzielają bez wyjątku wszyscy ekonomiści.[1])

[1]) Ponieważ w moich innych pracach, sam tak tego wyrazu używałem, przeto zwracam tu uwagę na tę zawartą w nich sprzeczność. Wyraz „użyteczność“, wyraża właściwie pojęcie, na którem polega nazwa „wartość użytkowa“. A wyraz „pragnienie“ jest czasem przez ekonomistów używany dla wyrażenia przeciwnego pojęcia, na którem znów polega nazwa „wartość zamienna“, wyrażająca

Jan Stuart Mill, — który mojem zdaniem, do czasu austryackiej czyli psychologicznej szkoły, był najwybitniejszym z przedstawicieli scholastycznej uznanej ekonomii, — mówiąc o wartości, zaczyna od zwrócenia uwagi na to, że „najmniejszy błąd tu popełniony, pociągnąłby za sobą podobne błędy co do wszystkich innych naszych wniosków; a najmniejszy brak jasności i ścisłości — w naszem rozumieniu wartości — wywołuje zamęt i niepewność we wszystkiem".

A dalej tak mówi:

„Musimy tu zacząć od ustalenia naszej frazeologii. „Adam Smith w często przytaczanym ustępie, dotknął „najsprzeczniejszego znaczenia wyrazu „wartość", który „już to wyraża użyteczność, już możność kupna innej „rzeczy w zamian za posiadaną — czyli raz „wartość „użytkową" a drugi raz „wartość zamienną". Ale — „jak to De Quincey zauważył — Adam Smith, chcąc

---

pragnienie czegoś, co jednak niekoniecznie zaspokaja potrzebę, tj. niezawsze jest użytecznem. Używanie tych nazw w takiem znaczeniu, zdaje się odpowiednie, i dlatego też używałem ich w „Kłopotach filozofa", gdzie mówię:

„Widzimy że przedmioty użyteczne lub pożądane są war-„tościowe lub bezwartościowe, a to stosownie do tego, czy je „trudno czy też łatwo dostać można."

Ale w rzeczywistości takie użycie nazwy nie jest odpowiedniem. Nie można użyć wyrazu „pożądanie" gdy chodzi o odróżnienie od wyrazu „użyteczność". Bo gdy „użyteczność" znaczy być użytecznym, to „pożądanie" właściwie nie znaczy być pożądanym. Jeżeli mówimy że jakaś rzecz jest pożądaną, to nie mamy tu na myśli, że ona może albo też nie może być pożądaną, ani też że ona jest lub nie jest pożądaną, tylko że powinna albo nie powinna być pożądaną. A więc pożądaną zamianą czyli handlem jest taka zamiana, która się okaże dobrą dla zamieniających; a niepożądaną zamianą będzie ta, która się okaże złą dla zamieniających. Mówimy też: pożądana książka, koń, napój, pokarm, lekarstwo, smak, zwyczaj, myśl, uczucie albo nagroda, — mając tu na uwadze pożytek lub szkodę jednostki albo też całej ludzkości. Ale tak samo też możemy mówić o pożądanem lub niepożądanem pragnieniu.

„wyjaśnić to podwójne znaczenie, nowy błąd popełnia. „Powiedział mianowicie, jakoby rzeczy mające naj- „wyższą wartość użytkową, często nie miały żadnej „wartości zamiennej. Jest to prawdą; ponieważ to, „co można mieć bez pracy lub bez poświęcenia, nie „ma ceny, bez względu jak dalece użyteczne lub po- „trzebne. Ale dalej dodaje, iż rzeczy mające najwyż- „szą wartość zamienną, np. brylant, często mogą mieć „małą albo żadnej nie mieć wartości użytkowej. Ale „to nie jest użyteczność w znaczeniu ekonomicznem „lecz w innem — jako przeciwstawienie znaczenia wy- „razu „przyjemność". Lecz ekonomia polityczna nie „ma nic wspólnego z porównawczem rozróżnianiem „oceny użyteczności przez filozofa lub moralistę. W eko- „nomii politycznej, użyteczność jakiejś rzeczy oznacza, „że ta rzecz może na pewien cel służyć, może pewne „życzenie zaspokoić. Brylanty w wysokim stopniu mają „tę własność, inaczej byłyby bez ceny. Wartość uży- „tkowa — a jak p. De Quincey nazywa, „teleologic" „wartość — jest to najdalsza granica wartości zamien- „nej. Zamienna wartość jakiejś rzeczy może być mniej- „szą niż użytkowa; lecz aby ją miała przewyższyć, to „już samo w sobie sprzeczne. Należy bowiem przy- „puścić że kto jakąś rzecz oddaje, ten sam już ozna- „czy jej wartość najwyżej, aby sobie wynagrodzić przy- „krość rozstania się z nią.

„Wyraz wartość, użyty sam, bez żadnego dodatku „(zamienna), zawsze w ekonomii politycznej oznacza „wartość zamienną".

Dziwne to ustalenie frazeologii. Zobaczmy jak ono istotnie wygląda. I tak: Smith twierdzi że przedmiot mający najwyższą wartość zamienną, jak np. brylant, może mieć małą albo nie mieć żadnej wartości użytkowej. Jest to błąd, ponieważ ekonomia polityczna nie ma nic wspólnego z moralną oceną użyteczności, a więc użyteczność jakiejś rzeczy (w ekonomicznem

znaczeniu) rozumieć należy że ta rzecz może zaspokoić jakieś pragnienie albo służyć na jakiś cel. — A własność tę brylanty w wysokim stopniu posiadają, bo inaczej nie miałyby żadnej wartości zamiennej (żadnej ceny). Wartość użytkowa jest to możliwie najdalsza granica wartości zamiennej. Wartość zamienna jakiejś rzeczy nigdy nie może przewyższać jej wartości użytkowej. Przypuszcza się że to mogłoby zawierać sprzeczność, jeżeliby ktoś oddał jakąś rzecz w zamian za więcej niż jej wartość użytkowa, (bo oddając, „sam oznaczy jej wartość najwyżej, aby sobie wynagrodzić przykrość rozstania się z nią").

Jest to zatem najzupełniejsze utożsamienie wartości zamiennej z użytkową. A cóż się tedy stanie z innem oświadczeniem Milla w tymże samym ustępie? Jeżeli Smith mylił się twierdząc że wartość zamienna jakiejś rzeczy może być wyższą niż jej wartość użytkowa — to jakżeż on sam może mówić że wartość zamienna jakiejś rzeczy może być mniejszą niż jej wartość użytkowa. Jeżeli obie wartości jednakie, a wartość użytkowa jest najdalszą granicą wartości zamiennej, czy nie jest też potrzebną i najbliższa granica? Jeżeli wartość zamienna brylantów znaczy jedynie to samo co wartość użytkowa, to dlaczegoż Mill uznaje różnicę co do znaczenia obu tych nazw? Dlaczego wreszcie mówi nam że wyraz wartość, użyty sam bez żadnego dodatku (zamienna), zawsze w ekonomii politycznej oznacza wartość zamienną? Dla czegóż tedy podtrzymuje tę różnicę, jeżeli w gruncie rzeczy żadnej różnicy nie ma?

Jedynie Mill'a tu przytaczam, dla wyjaśnienia; ale właściwie, to utożsamienie użyteczności z pożądaniem, nastąpiło zaraz po Smith'cie, i na długo przed Mill'em jeszcze, utrwaliło się w nauce ekonomii. Mill też, mówiąc o wartości, zaraz z góry uprzedza że: „Szczęściem, co do praw wartości, nie pozostaje już

nic do wyjaśnienia; teorya tu już wykończona, zupełna". Ale to utożsamienie użyteczności z pożądaniem, dało właśnie początek teoryi jakoby wartość wypływała z najwyższej użyteczności. Z angielskich ekonomistów pierwszy Jevons to wyjaśniał, i stanął wkońcu na stanowisku tak zwanej austryackiej czyli psychologicznej szkoły. A podług zasad tej szkoły, żadnej nie ma różnicy między wartością użytkową a zamienną. Wartość zależną jest od stopnia pożądania, a więc jej początek czysto duchowej natury, subiektywny. Podług tej teoryi, najwyższa wartość chleba zależy od tego, jak dalece jest pożądanym. A dalej, podług wartości chleba reguluje się wartość potrzebnych do jego zrobienia produktów, (tj. mąki, drożdży, opału itd.) oraz niezbędnych narzędzi (jak dzieża, piec itd.), a wreszcie wartość surowego materyału, wkońcu zaś i ziemi i pracy.

Ale jak to u Mill'a widzimy, źródłem tych wszystkich zamętów było nieoględne zastosowanie wyrazów nieodpowiednich. Dlatego też zaraz na wstępie ostrzegałem o potrzebie zachowania wielkiej co do tego ostrożności. A słuszności tej przestrogi, wymownym jest dowodem sam ten autor dzieła o logice. Z angielskich prac w tym zakresie, jest ono najstaranniej opracowane; a jednak autor popełnia bardzo gruby błąd — i to błąd odnoszący się właśnie do tego, co sam uważa za główną podstawę ekonomii politycznej. A błąd ten pochodzi z niezrozumienia różnicy znaczenia dwóch zwyczajnych wyrazów. Podrzędniejsi ekonomiści uznali pogląd Mill'a jako poprawkę orzeczenia Smith'a. Mill dowodzi że możność użycia, to to samo co użyteczność — ale tak nie jest. Lada wyrostek wie, że co innego możność użycia a sama użyteczność. Oto np. rozmowa w rodzaju tych, jakie niejeden zapamiętał z owego czasu, kiedy się to jeszcze do początkowej szkoły chodziło.

I. chłopiec. Na cóż ci ta krzywa szpilka?

II. chłopiec. Na co? Zaraz zobaczysz sam. Wbiję ją w ławkę. Dopieroż to będzie śmiechu, gdy kto na niej usiądzie i odskoczy, jakby na sprężynie.

Jest to bezwątpienia także w swoim rodzaju użytek; ale czy nawet chłopiec szkolny nazwałby taki użytek użytecznością?

Podobnież rzecz się ma i z wielu innemi rzeczami. Dość wspomnieć obrączki, jakie dzicy noszą w nosie, albo tatuowanie, gorsety, peruki z XVIII w., krenolinę, trzewiki powstrzymujące rozwój nogi u dziewczynki chińskiej — i mnóstwo innych rzeczy, które są wprawdzie używane, ale to jeszcze nie dowód ich użyteczności.

A tortury? Wszak i te mogły zaspokoić żądanie, a w swoim czaje miały wartość zamienną, i miałyby ją teraz, z uwagi na muzea. Nie widzę zatem powodu dlaczegoby wówczas albo dziś nie zaliczyć ich do bogactwa. A czy były użyteczne? Chyba nikt nie odpowie twierdząco, chociaż ich niegdyś używano.

Tu aż nadto widoczna różnica między pojęciem użyteczności a tem że coś może być użyte. Torturom wtedy jedynie możnaby przyznać użyteczność, gdyby się dowodnie okazało, że użyte np. do nawracania heretyków, zapewniły im zbawienie wieczne, a całej ludzkości pomyślność i szczęście na ziemi.

Dobrze się nad tem zastanowiwszy, przekonamy się, że użyteczność — którą Smith wyróżnił i nazwał wartością użytkową — wcale nie znaczy, że jakaś rzecz może służyć na jakiś użytek, ale że może zaspokoić naturalne, zwykłe, ogólne potrzeby ludzkie.

Smith tej różnicy nie stworzył, ale ją uznał w myśl fizyokratów. Nie wymyślili jej też filozofowie ani moraliści, ale ją sam zdrowy rozsądek wskazał; bo co innego rzeczy, których użycie przyczynia się do pomyślności i szczęścia, a co innego znów takie, które żadnego nie przynoszą pożytku, ale nawet szkodę i smutek.

Rzecz która może zaspokoić jakieś życzenia, choćby bezcelowe, występne lub okrutne, już temsamem posiada wartość zamienną. Ale to jeszcze nie wystarcza aby jej przyznać wartość użytkową. Do tego potrzeba czegoś więcej, potrzeba aby owa rzecz mogła zaspokoić już nie jakąś zachciankę niedorzeczną, ale żądania, które nazywamy koniecznemi, rzeczywistemi potrzebami wszystkich ludzi.

Niektóre rzeczy mogą mieć obie wartości; jako też istotnie znaczna większość posiadających wartość zamienną, posiada zarazem i użytkową. Ale to nie jest koniecznem; jedna od drugiej niezależna. Coś może mieć najwyższą wartość użytkową a bardzo małą albo zgoła żadnej wartości zamiennej. I odwrotnie, może mieć wysoką wartość zamienną a użytkową małą albo nawet żadnej. Powietrze n. p. ma najwyższą wartość użytkową, gdyż bez niego żyćby nie można; ale ta drogocenna jego własność nie daje mu żadnej wartości zamiennej. A z drugiej strony rzymskie Bambino albo trewirska sukienka, prawdopodobnie mogłyby być zamienione, gdyż od czasu do czasu bywają zamieniane podobnie czczone przedmioty; a tymczasem pierwszy jest to jakby dziecinna lalka z wosku, a druga to kawał starej materyi.

Dwa te rodzaje wartości — zamiennej i użytkowej — są tak zasadniczo różne jak ciężar i barwa, chociaż używa się czasem wyrażenia: lekki kolor albo ciężki kolor. Podobnież rzecz się ma i z wyrazem „wartość“ — często go w potocznej mowie używamy w jednem lub drugiem znaczeniu. Wartość użytkowa zależy od właściwości wewnętrznej, wrodzonej jakiemuś przedmiotowi, który tylko przez nią zdolny zaspokoić potrzeby człowieka. Bez tej właściwości, żadna rzecz nie może mieć wartości użytkowej; a gdy ją ma, wtedy już mniejsza o jej wartość zamienną. Wartość użytkowa zawsze pozostanie taką samą, bez względu na to,

czy ktoś wzamian gotówby dać wiele czy też zgoła nic. Z drugiej strony, wartość zamienna nie zależy od żadnej wewnętrznej, przyrodzonej właściwości jakiegoś przedmiotu.[1] Samo też życzenie ludzkie nie może być miarą użyteczności i zamienności. Zależy to od okoliczności, czy rzecz jakaś cenniejszą dla nas z powodu swej przyrodzonej właściwości, która ją czyni użyteczną, czy też z powodu jej przyrodzonej właściwości, dzięki której możemy wzamian otrzymać inne rzeczy.

Różnica między wartością użytkową a wartością zamienną.

Śmiały to żeglarz, który niedawno ocean przepłynął w łupinie mającej tylko 16 stóp długości. Przypuśćmy że jeden z naszych nowojorskich milionerów, jak gdyby jakiś sułtan z tysiąca i jednej nocy, odzywa się do niego: „Jeśli pan puścisz się w podróż wskazaną przezemnie, będziesz mógł wtedy na mój koszt wypełnić swą łódź czem tylko zechcesz, bez względu na cenę“. I coby też ów żeglarz zabrał? Na to się nie

[1]) Chociaż cała wartość zależy tu od uznania człowieka, to jednak w poszczególnych wypadkach, część jej bywa uważaną za przyrodzoną. wewnętrzną, pomimo że taka tu w rzeczywistości istnieć nie może. A dzieje się to mianowicie wówczas, gdy chcemy zaznaczyć różnicę między wartością zamienną rzeczy wyższej formy, a tą wartością zamienną, jakaby jeszcze pozostała po zmienieniu formy tej rzeczy na niższą, mniej cenną I tak np dzbanek srebrny, albo też srebrny pieniądz, po przekuciu na sztaby, straciłyby ze swej wartości zamiennej. Podobnież rura ołowiana lub kotwica żelazna, straciłyby na wartości, gdyby je przetopiono na metal. Zostałaby jednak zamienna wartość metalu, czyli że z pierwotnej wartości zostałaby tylko ta jej część, którą przywykliśmy uważać jako wartość przyrodzoną, wewnętrzną. Ale nie można zapominać że to jedynie względne znaczenie tej nazwy. W rzeczywistości bowiem wartość w znaczeniu ekonomicznem, czyli wartość zamienna — nigdy nie może być przyrodzoną, wewnętrzną. Nie zależy od żadnej własności samego przedmiotu, ale od uznania człowieka, stosownie do pracy i kłopotów, jakie on poniósł, zanim przyszedł do posiadania tego przedmiotu; albo też stosownie do sumy pracy i kłopotów, jakie poniósł aby przyjść w posiadanie innych rzeczy, danych w zamian za ów przedmiot.

da odpowiedzieć w jednem słowie, ponieważ to zupełnie zależy od tego, dokądby mu ów milioner płynąć kazał. Gdyby tylko na drugą stronę rzeki, wtedy żeglarz z pewnością żadnej niezwracając uwagi na użytkową wartość przedmiotów, starałby się wziąć jaknajwięcej takich, które względnie do swej objętości i wagi, mają najwyższą wartość zamienną — jak n. p. złoto, brylanty, banknoty. Aby zaś tego zabrać jaknajwięcej, zostawiłby wszystko, co tylko ma jedynie wartość użytkową, o ile tylko mógłby się bez tego obyć przez te parę godzin. Gotówby nawet zostawić i zapasowe wiosła, i kotwicę, i kompas, i wszelaką żywność. Ale inna byłaby sprawa, gdyby mu przyszło przez ocean płynąć. Wtedy miałby przedewszystkiem na uwadze rzeczy użyteczne, niezbędne do utrzymania życia i dla wygody oraz kierowania łodzią w czasie tych paru długich miesięcy samotnej, pełnej niebezpieczeństw podróży. Wtedy bowiem przedmioty mające wartość użytkową nabrałyby w jego oczach znaczenia, a przeciwnie, wcaleby nie dbał o przedmioty mające tylko wartość zamienną. Jeżeli zachował roztropność, niemniej jak i odwagę potrzebną do takiej podróży, to zapewne, miasto brylantów, złota i banknotów, wolałby wziąć więcej zapasu wody, sucharów i konserwów mięsnych.

Smith miał słuszność. Różnica między wartością użytkową a zamienną nader ważna; a tak widoczna, tak prawdziwa i konieczna, że i Jan Stuart Mill musiał ją w części uznać, chociaż jednocześnie odrzucił całkowicie. A niemniej i późniejsi ekonomiści zmuszeni ją uznać, o ile który zdołał wybrnąć z chaosu, wywołanego złem zrozumieniem wyrazów. Obie więc te nazwy — wartość użytkowa i wartość zamienna — muszą pozostać w ekonomii politycznej, i to pomimo wszelkich prób wymazania ich z takowej. Być może iż niedość szczęśliwie zostały wybrane, ale ponieważ

tak długo są w użyciu, więc już ich niełatwo zastąpić innemi. Już zatem nie pozostaje nic, tylko zrobić to, o czem Smith mógł zaledwie przypuszczać że się okaże potrzebnem, tj. wyjaśnić właściwe ich znaczenie. A ponieważ wziął je z potocznej mowy, przeto i teraz jeszcze mają tę wyższość w porównaniu z czysto ekonomicznemi nazwami, że dla każdego łatwe do zrozumienia.

Jak to już nadmieniłem, wyraz wartość w potocznej mowie oznacza i wartość użytkową i wartość zamienną.

A w któremkolwiek z tych dwóch znaczeń użyty, zawsze jest zrozumiałym, dzięki samej naturze w mowie będącego przedmiotu, albo też zestawieniu innych wyrazów. Tam zaś gdzie nie ma tej pomocy, zaraz rodzi się wątpliwość, nasuwająca pytanie: A jaką to wartość masz pan na myśli? użytkową czy zamienną?

Jeżeli więc powie ktoś „To pies wartościowy, bo dziecko z toni wyratował“ — od razu wiemy że chodzi tu o wartość użytkową. Ale gdyby powiedziano „To pies wartościowy, bo za jego brata zapłacono 100 dolarów“ wtedy byłaby mowa o wartości zamiennej. Nie wystarczyłoby natomiast samo powiedzenie „To pies wartościowy“. Trzebaby zaraz pytać „Dlaczego?“

Gdy przychodzi jedną nazwą oznaczać dwa różne a często wprost przeciwne pojęcia, to w ekonomii politycznej grozi stąd większe niebezpieczeństwo niż w potocznej mowie. Jeżeli przeto ów wyraz ma pozostać, jedno z jego znaczeń musi być pominięte. Dlatego to z dwóch znaczeń wyrazu „wartość“, pierwsze — t. j. wartość użytkowa — nie jest w ekonomii politycznej wymagane, albo raczej wymagane tylko obocznie; gdy tymczasem drugie — tj. wartość zamienna — jest wciąż potrzebne, ponieważ właśnie tą wartością ekonomia polityczna się zajmuje. A najlepiej używać jaknajmniej wyrazów, bo unika się przez to nieporozumień i zamętu. Dlatego należałoby może zaniechać

używania samego wyrazu „wartość“ w znaczeniu wartości użytkowej tam, gdzie z treści nie widać o jaką wartość chodzi. Niemniej wyrazu „wartość“ należy w ekonomii politycznej używać tylko w znaczeniu wartości zamiennej, jak to zrobił Smith a po nim inni. I ja też odtąd będę tu używał samego wyrazu wartość, jedynie w znaczeniu siły handlowej, czyli w znaczeniu wartości zamiennej.

ROZDZIAŁ XI.

Ekonomiczna czyli zamienna wartość.

Wartość zamienna, uważana jako wzajemny stosunek rzeczy; a przyczyną tego, dwuznaczność nazw.

Pojęcie wartości, jako wzajemne ustosunkowanie rzeczy. — W rzeczywistości jest to stosunek do zużytej siły. — Co o tem Smith sądził. — Przyczyny, które go skłoniły do przyjęcia nazwy „wartość zamienna". — Zamęt, w jaki popadł, i zamęt, w jaki popadli jego następcy.

Wiemy już, że wartość, jako nazwa ekonomiczna, znaczy to „wartość zamienna." Odtąd też jedynie w tem znaczeniu będę tego wyrazu bez dodatku używał.

Ale skąd pochodzi, i czem możnaby zmierzyć ową właściwość, która wartość czyni zamienną?

Tu ekonomia dzisiejsza mówi, że wartość — owa właściwość albo siła zamiany — jest to stosunek między każdą rzeczą posiadającą wartość zamienną a resztą takichże rzeczy. Nie może być zatem mowy o ogólnem podniesieniu lub upadku wartości; bo co jedna wartościowa rzecz może zyskać na sile zamiennej, to inna lub inne rzeczy wartościowe muszą stracić; i nawzajem, co jedna straci, to inna lub inne razem muszą zyskać. Czyli innemi słowy, że każda zmiana w stosunku wartości jednej rzeczy, jest zarazem odwrotną zmianą w stosunkach wartości innej lub innych rzeczy: bo cała suma tych stosunków nie może się ani

powiększyć ani zmniejszyć. Może wprawdzie nastąpić podniesienie albo też obniżenie wartości jednej lub więcej rzeczy, ale tylko w porównaniu z jedną lub więcej rzeczy, lecz nie może być jednocześnie podwyższenia albo obniżenia wartości wszystkich rzeczy. Wszystkie ceny np. mogą się podnieść albo spaść, ponieważ cena jest to ustosunkowanie zamienności między wszystkimi zamiennymi rzeczami a jedną, szczególniej zamienną rzeczą — pieniędzmi. Podniesienie więc albo obniżenie ceny — czyli większa albo też miejsza zamienność innych rzeczy wobec pieniędzy — pociąga za sobą odpowiednie obniżenie lub podniesienie zamienności pieniędzy wobec innych rzeczy. Ale podniesienie lub obniżenie ogólnej wartości, czyli sumy wszystkich wartości, jest to sprzeczność.

Taki pogląd ma za sobą pewne pozory prawdy. Ale dobrze się zastanowiwszy, zobaczymy, że wtedy wartość byłaby względną, zależną od wartości, i nie możnaby jej zmierzyć inaczej, tylko przez porównanie jednej wartości z drugą. Takie więc rozumowanie zgoła nie daje idei wartości punktu oparcia; zostawia ją bez związku, bez punktu wyjścia, więc też niemożliwa tu żadna określona idea stosunku.

Natężenie siły człowieka, to naturalna miara wszelkiej wartości.

Takie właściwości jak rozmiar, odległość, kierunek, barwa, pokrewieństwo itp. mogą być zrozumiałe jedynie w stosunku do pewnego stałego punktu wyjścia a nie w stosunku do wszystkich innych rzeczy, te same posiadających właściwości. I tak, rozmiar, odległość — zrozumiałe tylko w stosunku do jakiejś miary długości, jak np. ziarnko jęczmienia, stopa, metr, długość osi kuli ziemskiej; podobnież kierunek zrozumiały tylko w stosunku do kierunku promienia kuli ziemskiej — bo te promienie, wychodząc z jednego głównego punktu, mają wszelkie możliwe kierunki; barwa zrozumiała przez stosunek do

porządku, w jakim oko ludzkie odbiera pewne wrażenia; pokrewieństwo zrozumiałe tylko w stosunku do pierwszego stopnia związków krwi, tj. związku rodziców i dziecka i t. d.

A teraz zapytajmy: czy także i dla idei wartości jest jakiś stały punkt wyjścia, aby przez stosunek do niego mogła być zrozumianą?

Oczywiście że jest.

Idea wartości nie wypływa ze stosunku każdej wartościowej rzeczy do wszystkich innych wartościowych rzeczy; ale ze stosunku, w jakim każda rzecz wartościowa stoi do czegoś, co jest źródłem i naturalną miarą wszelkiej wartości. A takiem źródłem, taką naturalną miarą wszelkiej wartości, jest mianowicie natężenie siły człowieka, z nieodłącznemi od tego przykrościami i znużeniem.

Smith to widział, ale tracił z oczu — podobnie jak inne rzeczy widział jasno — lecz tylko przez chwilę jakgdyby zasłona się uniosła i raptem znów opadła. W „Bogactwie narodów“ mówi:

„Człowiek jest biedny lub bogaty, a to stosownie „do stopnia, w jakim może zaspokajać swe potrzeby „i wygody, oraz używać przyjemności życia. Ale „z chwilą podziału pracy, zaledwie w małej tylko „cząstce może to osiągnąć za pomocą swej własnej „pracy. Pozostałą zaś, a bezporównania większą część, „musi zaspokajać płodami pracy innych. A stosownie „do ilości tej obcej pracy, jaką może rozporządzać, jest „on biednym lub też bogatym. Kto posiadanej rzeczy „nie użył dla własnej wygody, ale ją zamierza wymie„nić na coś innego, dla tego wartość jej będzie równą „ilości pracy, która mu pozwoli to coś nabyć. Praca „zatem jest prawdziwą miarą zamiennej wartości wszel„kich wygód.“

„Trud i przykrości, jakie człowiek musiał znieść „zanim zdobył wszystko, są rzeczywistą ceną, albo ra-

„czej miarą, ile go to wszystko kosztuje. Prawdziwą „zaś miarą wartości wszystkiego, jeżeli chce się pozbyć „lub wymienić, także będzie trud i przykrości, których „sam przez to uniknie a na innych złoży. Co nabyte „za pieniądze lub wzamian za inne rzeczy, jest w isto- „cie nabyte za pracę. A pieniądze albo owe inne „rzeczy wzamian dane, oszczędziły nam tej pracy. „Zawierają bowiem wartość pewnej ilości pracy, którą „wymieniliśmy na przedmioty, przypuszczalnie posiada- „jące wartość równej ilości pracy. Praca tu zatem „pierwotnie była ceną, była pieniędzmi, które się za „wszystko płaciło. Pierwotnie więc wszystko bogactwo „świata, nie za złoto i nie za srebro, ale za pracę tylko „bywało nabywane. Stąd też wartość tego bogactwa „dla tych, którzy je posiadają a chcieliby na inne „produkta wymienić, jest zupełnie równa ilości pracy, „za jaką można je nabyć.“

„Bogactwo, jak p. Hobbes mówi, jest potęgą. Ale „kto nabywa, albo też drogą spadku wielki dostaje „majątek, ten przez to jeszcze niekoniecznie zdobywa „także potęgę czy to wojskową czy cywilną. Jego ma- „jątek bezwątpienia dostarczyłby mu środków do zdo- „bycia obu, ale samo posiadanie majątku żadnej mu „jeszcze nie zapewnia. Siła — jaką mu to posiadanie „zaraz i bezpośrednio daje — to tylko siła kupna; „a stąd pewień wpyw na całą pracę, czyli na wszy- „stkie jej płody, znajdujące się wtedy na targu. Jego „majątek większy lub mniejszy, stosownie do rozmia- „rów tej siły, albo do ilości pracy innych, albo (co na „jedno wychodzi) do ilości płodów ich pracy. War- „tość zamienna wszystkiego musi być zawsze zupełnie „równą rozmiarom tej jego siły, która mu zapewnia „możność posiadania tego.“

Jest to zupełnie jasne; trzeba tylko wziąć na uwagę znaczenie, jakie Smith nadaje wyrazom, których nieco zaswobodnie używa. Np. wyraz *praca*, używa

w znaczeniu natężenia siły człowieka, z nieodłącznemi od tego — trudem i przykrością. Przez cenę zaś rozumie koszt — ale koszt płacony trudem i przykrościami, jak to nawiasem wyjaśnia.[1]) Nakoniec bogactwo podług niego widocznie znaczy płody, czyli dotykalne skutki natężenia ludzkiej siły. Mówi że wartość jest równoważnikiem trudu i przykrości natężenia siły, i że miarą wartości jest suma trudu i przykrości, których ta wartość oszczędzi właścicielowi, pozwalając mu na zamianę, przez którą inni ten trud i przykrości na siebie wezmą.

A nieco dalej znów to powtarza:

„Równe ilości pracy, zawsze i wszędzie, rzec mo-„żna, mają równą dla robotnika wartość. W zwy-„kłym stanie jego zdrowia, sił i ducha, jako też przy „zwykłem uzdolnieniu i wprawie — zawsze on musi „wyrzec się jednakowej ilości swego wczasu, swej swo-„body i szczęśliwości. Zawsze też jednakową cenę „płaci, bez względu na ilość otrzymanych wzamian to-„warów. Czasem za tę cenę kupuje większą a czasem „znów mniejszą ich ilość, ale to nie z powodu zmiany „wartości pracy, lecz dlatego że zmienia się wartość „towarów. Zawsze i wszędzie bywa droższe to, co tru-„dniej dostać, lub co więcej pracy wymaga; a tanie to, „co przychodzi łatwo, lub z małym nakładem pracy. „Tylko zatem wartość pracy nigdy żadnym nie ulega „zmianom; praca więc tylko jest ostateczną i prawdziwą

[1]) „Cena“ jako nazwa w ekonomii użyta, przynajmniej pod pewnym względem nabrała znaczenia wartości pieniędzy; ale Smith nie uwzględnia tej różnicy. Wyrazu „cena“ używa czasem w znaczeniu „kosztu“ a czasem znów w znaczeniu „wartości“, albo wartości zamiennej, ale najczęściej zostawia to domyślności. A jeżeli mu koniecznie potrzeba zaznaczyć różnicę między tem, co my teraz wartością nazywamy, a tem, co teraz nazywamy ceną, wtedy zazwyczaj mówi „cena prawdziwa“ i „cena nominalna“. Cena prawdziwa znaczy tu wartość pracy, a cena nominalna wartość pieniężną.

„miarą, za pomocą której można zawsze i wszędzie, „przez porównanie, ocenić wartość wszelkich rzeczy. „To jest ich prawdziwa cena; pieniądze są tylko ich „nominalną ceną.... Pokazuje się przeto jasno, że „praca jest to jedynie powszechna, dokładna miara „wartości — słowem jedyna miara, za pomocą której „możemy zawsze i wszędzie przez porównanie ocenić „wartość różnych korzyści.“

Dlaczegóż więc Smith, chcąc wyrazić wartość w drugiem jej znaczeniu, nie użył nazwy takiej np. jak wartość trudów, wartość pracowa, albo wartość natężenia; ale zamiast tych wszystkich, wybrał nazwę „wartość zamienna“, która tylko do podrzędnego, dalszego znaczenia wprost się odnosi.

Powody, które go do tego skłoniły, tak wyjaśnia: „Chociaż praca prawdziwą miarą zamiennej war- „tości wszelkich rzeczy, nie jest to jednak ta, za po- „mocą której ich wartość zwyczajnie bywa ocenianą. „Niezawsze łatwo przychodzi oznaczyć stosunek dwóch „różnych ilości pracy. Często nie wystarcza do tego „sama różnica czasu, zużytego na wykonanie dwóch „innego rodzaju robót. Należy także uwzględnić ró- „żnicę poniesionych trudów i natężenia umysłu. Cza- „sem ktoś w godzinie zrobi więcej, niż inny we dwie, „jeśli się oszczędza. Albo też praca wykonana w go- „dzinę przez kogoś, kto się pierwej musiał dziesięć lat „uczyć, więcej warta niż praca zwykłego robotnika, wy- „konana w ciągu miesiąca. A niełatwo wynaleźć do- „kładną miarę do mierzenia nakładu trudów i zdolności. „Przy zamianie różnych płodów różnych rodzajów pracy, „zazwyczaj strony robią wzajemne ustępstwa; ale nie „z powodu dokładnego zmierzenia lecz na skutek targu, „do czego wystarcza miara na oko.“

„A przytem ludzie wciąż różne rzeczy zamieniając, „przyzwyczaili się oceniać je przez porównanie ich ko- „rzyści a nie przez porównanie z pracą, za którą się je

„nabywa. Więcej też ludzi lepiej rozumie znaczenie „jakichś szczególnych przymiotów rzeczy, niż ilość zu-„żytej pracy. Jedno jest jasne i uderzające w oczy, „drugie zaś jakieś oderwane pojęcie, które, chociażby „wyjaśnić, nigdy nie będzie tak wyraźnem i uderzającem."

Oto są dwie przyczyny, dla których Smith wybrał nazwę „wartość zamienna", chociaż dobrze pojmował że to istotnie znaczy „wartość natężenia", albo, jak sam nazywa, „wartość pracowa".

Pierwsza przyczyna — i to nader ważna — że z nazwą „wartość zamienna" już się oswojono, a stąd łatwiej zrozumieć różnicę między nazwą „wartość" (w ekonomicznem znaczeniu), a nazwą „wartość użytkowa".

Druga zaś sprawiła że ledwo ujrzał gwiazdy, zaraz mu je chmury zasłoniły, pogrążając umysł w zamęcie. Bo tą drugą przyczyną było to, że nie pomyślał o żadnym innym sposobie mierzenia trudów i przykrości, jakie za sobą pociąga natężenie siły; zna tylko jedną dla nich miarę, a mianowicie porównanie z długością użytego czasu. Sposób ten widział dobrze, ale może on służyć tylko do pomiarów ilości a nie jakości. Nie zwrócił uwagi na bijący w oczy fakt, że skoro miarą wartości są trudy i przykrości natężenia siły, to nawzajem wartość musi być prawdziwą miarą trudów i przykrości natężenia siły. Ale tu niemożliwe, bo nie istnieje żadna taka materyalna miara, jak np. drewniany metr, lub żelazne ciężarki. Jedyną możliwą tu miarą, jest tylko przetarg handlowy. A jednak Smith jakoby szukał czegoś w rodzaju drewnianego metra, aby można niezależnie od targu, zmierzyć trudy i przykrości natężenia siły. Ale te trudy i przykrości powstrzymują ludzi od natężenia siły. Są to jednak uczucia subiektywne, względne, od osoby zależne; więc nie może być mowy o stosowaniu do nich takiej miary. Stopień natężenia siły może być oceniony jedynie przez konkurencyę lub przetarg handlowy.

Tak więc jeden słuszny a drugi niesłuszny wzgląd spowodował Smitha do wyboru nazwy „wartość zamienna“, która miała wyrażać *wartość* w ekonomicznem znaczeniu tego wyrazu. Ale nie ma potrzeby chyba dodawać że zły zrobił wybór, zwłaszcza z uwagi na owe czasy i główny swój cel. Chciał on przez to wykazać niedorzeczność tego, co wtedy nazywano systemem merkantylnym, a co następnie ochronnym przezwano. Ale dwuznaczność nazwy „wartość zamienna“ sprawiła, że była tylko zawadą w ekonomii politycznej; i sam Smith nawet padł ofiarą własnego wyboru. A może właśnie ta dwuznaczność była tu przyczyną, że mimo istniejącego już w jego umyśle zamętu, umiał na chwilę jasno spojrzeć aby się niebawem znów pogrążyć w zamęcie. W przytoczonych bowiem ustępach dobrze on widzi różnice między pracą a wygodami, które bezwątpienia uważa za rzeczy wytworzone przez pracę; i zdaje się niemniej jasno rozumieć że bogactwo, to tylko płody pracy. Ale za to na innem miejscu nieraz wpada w zamęt, twierdząc np. że praca sama przez się jest korzyścią (commodity), albo zaliczając do artykułów bogactwa i osobiste przymioty, takie jak wiedza, biegłość, umiejętność itd. Tak samo też z wynagrodzeniem za pracę. Raz, widząc jasno prawdziwe jego źródło i naturę, mówi że „płody pracy stanowią naturalne wynagrodzenie czyli zapłatę za pracę“ — a niebawem znów twierdzi że zapłata pokrywa się z kapitału pracodawcy.

Ale Smitha nigdy nie zaczepiano o jego poglądy na naturę wartości; rozprawiać o tem zaczęto dopiero po jego śmierci. Jego następcy byli to przeważnie naśladowcy, kompilatorzy tylko. Oni to, nie patrząc dalej, przyjęli wprowadzoną przez niego nazwę „wartość zamienna“. A przyjęli ją nietylko dla tych samych względów, jakie on sam miał na uwadze — a więc nietylko dla oznaczenia gatunku — ale także dla oznaczenia natury tego gatunku. W ten sposób zostało

prawie zupełnie pominięte Smitha wyjaśnienie stosunku wartości do natężenia siły. Jego następcy nie usiłowali wyjaśnić natury wartości. Powstrzymywały ich od tego pewne niezrozumiałe fakta, takie jak ten np. że wiele rzeczy wartościowych nie pochodzi z pracy; oraz tak błędne pojęcia jak to, że praca sama przez się jest korzyścią (commodity). Ale najskuteczniej ich powstrzymywała niezawsze dość wyraźnie objawiona obawa, że następstwem takich zbyt głęboko sięgających badań, byłoby niebezpieczeństwo dla istniejącego porządku społecznego. Dlatego też gdy chodzi o podstawowe zasady wartości, żaden z tych ekonomistów, nie szukając wyjaśnienia dalej, poprzestaje na zamienności. A jakby się cały świat mędrców wysilił, tak straszne pisano księgi o naturze wartości zamiennej. Ale człowiek dobrze się nad niemi musi napocić, a wkońcu już zaczyna nieomal wątpić czy mu zdrowia stanie, aby się pokusić o zrozumienie tego. Są to bowiem jakieś ciężkie wypracowania, które zwiększają tylko zamęt — a to dla tej prostej przyczyny, że istota czyli fundament tego, co nazywamy wartością zamienną, wcale nie leży w zdolności do zamiany lecz w tem, z czego ta zdolność do zamiany wypływa — a więc w trudach i przykrościach towarzyszących natężeniu siły.

Spróbuję tego w następnym rozdziale dowieść, ponieważ najżywotniejsze i daleko sięgające ekonomiczne wnioski, zależą tu od ustalenia nazwy.

ROZDZIAŁ XII.

Wartość zamienna właściwie odnosi się do pracy.

Wartość wypływa z zamienności a nie zamienność z wartości.

Skąd się wzięło przypuszczenie że suma wartości nie może się powiększać ani zmniejszać. — Zasadnicza myśl proporcyi. — W ten sposób nie można się na wartość zapatrywać. — W zamęcie zdaje nam się że o niej myślimy. — Milczące przypuszczenie i wstręt do badania ustalonych pojęć. — Doświadczenie pokazuje że wartość odnosi się do pracy. — Stwierdzają to zwykłe zjawiska — Upowszechnione przypuszczenie okazuje się fałszem. — Różne znaczenie pracy. — Bierne i czynne natężenie sił. — Co twierdzą o wartości. — O pragnieniu, i jak je mierzyć. — Przypadkowy związek zachodzący między wartością a zamiennością — Doświadczenie wykazujące że wartość może być i tam, gdzie zamiana niemożliwa. — Odrzucona nazwa „wartość" jako wyraz natężenia siły.

Przypuszczają że ekonomiczna wartość jest nietylko tak zwaną wartością zamienną, ale samą zamiennością — czyli że jest rodzajem siły, która pozwala już posiadaną rzecz wartościową komuś oddać, i wzamian otrzymać od niego inną. Stąd to urosło przekonanie że ta zamienność wynika z wartości, i mieści się w kole, którego każda część musi odpowiadać wszystkim innym jego częściom. To właśnie nadaje pozory pewnika twierdzeniu: że powiększenie lub zmniejszenie jednych wartości, musi też w odwrotnym stosunku spo-

wodować równe powiększenie lub zmniejszenie innych wartości, i że temsamem niemożliwe powiększenie lub zmniejszenie wszystkich wartości razem. Gdyby wartość istotnie była w stosunku proporcyi, to samo przez się byłoby widocznem.

Ale czy wartość rzeczywiście stoi w stosunku proporcyi? Co tu jest zasadniczą ideą proporcyi? Czy nie jest to stosunek części do całości? Mówiąc np. $^1/_8$, mamy tu na myśli stosunek części — jednej z ośmiu równych części, na jakie podzielono całość, którą stanowi jednostka. Mówiąc 10%, mamy na myśli stosunek 10 części do 100 równych części, stanowiących całość. A zatem takie twierdzenia, jak np. $^1/_8 + ^1/_8 = ^1/_4$, albo $153 - 147 = 6$, albo $4:8 = 6:12$, albo $5\% + 4\% = 9\%$ — opierają się na stosunku w mowie będących proporcyi części do całości czyli do ich ogółu, który jest sumą wszystkich możliwych proporcyi. A że tu nie może nastąpić ani powiększenie ani też zmniejszenie w proporcyach, wynika to już z tego pewnika że całość równa sumie swych części.

Ale jeżeli wartość odpowiada proporcyi, to jakaż całość, którą każe przypuszczać? Jak tę całość wyrazimy? Jakiż rachunek pozwoli nam oznaczyć stosunki jej części, skoro są to niezliczone i wciąż się zmieniające przedmioty wartościowe. To to samo, jak gdyby ktoś chciał oznaczyć stosunek jednego włoska do ogólnej sumy włosów wszystkich głów całej ludzkości.

Wyznać więc trzeba że się niepodobna w ten sposób na wartość zapatrywać; ja też wcale tego nie próbuję. Ale inni się wysilają aby poprzeć upowszechnioną teoryę, że wartość nie jest w gruncie rzeczy niczem więcej jak zamiennością; lecz te ich z dużym nakładem pracy wciąż ponawiane próby, jeszcze tylko wyraźniej dowodzą zupełnej bezpodstawności tego twierdzenia. Jedną z ostatnich takich prób podjęła tz. szkoła austryacka albo psychologiczna, ogólnie uznana przez

uniwersytety i kolegia Stanów Zjednoczonych i Angli. Szkoła ta dowodzi że wartość wypływa z najwyższej użyteczności. Takie rozumowanie bardzo przypomina sztuczki indyjskiego kuglarza, który rzuca tylko kłębek nici. Kłębek lecąc w górę, pociąga za sobą najpierw grubszą nić, potem linkę a wkońcu drabinę, po której sam kuglarz pnie się tak wysoko że aż znika z oczu widzów, ale niebawem znów tą samą drogą powraca na ziemię.

Kto się rozpatrzy w dziełach uczniów tej szkoły, ten może mimo zamętu w ich rozumowaniu, znajdzie tam twierdzenie że: wartość — np. rudy żelaznej, albo nawet pokładów żelaza — zależy od tego ile konsumenci chcą płacić za wyroby tego metalu. A tę ochotę konsumenta czynią znów zależną od oceny użyteczności tych produktów. A więc jak kuglarze wbrew prawu ciężkości wykonywają sztuczki, tak i oni również depcą prawo, które jest tem wobec ekonomii politycznej, czem tamto wobec fizyki. Mam tu na myśli prawo, że ludzie usiłują zaspokajać swe potrzeby przy najmniejszem natężeniu siły. Prawo to więc jest źródłem ogólnie znanego zjawiska że nikt za nic nie płaci więcej niż musi.

Przypuszczenie że wartość wypływa z zamienności i może być zależną tylko od innych wartości, nawet samychże autorów niezadowala i pokoju im nie daje. Dowodem tego wysiłki związania wartości z użytecznością, a użyteczności z osobistą wolą i pojęciem człowieka. A chodzi im tylko o wynalezienie zasady, którąby podtrzymała ich ideę wartości. A pozory prawdopodobieństwa tej idei wynikają z zamętu, spowodowanego przez użycie jednego tylko wyrazu.

Ze wszystkich wyrazów języka angielskiego, wyraz „rzecz“ najszersze ma zastosowanie. Oznacza on zarówno przedmioty jak i myśli, fakta i pojęcia oderwane — słowem cały świat rzeczywisty i zazmysłowy —

ale o tem niezawsze pamiętamy. Często np. mówi się „wszystkie rzeczy“ (wszystko) chociaż mamy na myśli tylko rzeczy jednego gatunku.

Chcąc się przekonać o słuszności twierdzenia że wartość zależy od zamienności rzeczy wartościowych, wystarczy doświadczenie tylko z pewną liczbą rzeczy najbardziej znanych i częściej zamienianych. I tak, wziąwszy np. pieniądze, albo jeszcze lepiej, kawałek złota, powiedzmy sobie: „Oto jest złoto“. A dlaczegóż ma wartość? Ponieważ może być zamienione na zboże, wyroby żelazne, bawełniane i inne rzeczy wartościowe. Gdyby to złoto nie mogło być na te towary wymienione, nie miałoby wtedy wartości. A zatem miarą jego wartości jest tu wartość zboża, wyrobów żelaznych, bawełnianych i innych rzeczy wartościowych, za które może być wymienione. Jeżeli zaś stosunek zamienności uległ takiej zmianie, że za ten sam kawałek złota, można dostać więcej zboża, wyrobów żelaznych, bawełnianych i innych rzeczy wartościowych, to widocznie podniosła się wartość złota a spadła wartość tamtych rzeczy wartościowych. Ale gdy stosunek zamienności tak się zmieni, że za ten sam kawałek złota mniej tych rzeczy wartościowych dadzą, wtedy wartość złota się obniży a natomiast pójdzie w górę wartość zboża, wyrobów żelaznych, bawełnianych i innych rzeczy wartościowych.

A teraz odwróćmy ten przykład i zmieńmy punkt widzenia. Jeżeli w miejsce złota podstawimy zboże, wyroby żelazne, bawełniane i inne rzeczy wartościowe, a przeciwnie, złoto postawimy na miejscu tamtych — to ujrzymy wtedy że ich wartość zależy od stosunku ich zamienności, zupełnie tak samo jak w pierwszym przykładzie wartość złota od stosunku jego zamienności zależała. A stąd wniosek prosty że wartość byłaby wtedy zależną od zamienności, ale że tu też byłby tej zależności początek i koniec.

Błędne koło.

A zatem wartość — zależy od wartości, wypływa z wartości, i tylko wartością może być mierzona. To chyba zupełnie jasne. Przyjmuję też jako doktrynę, że nie może nastąpić ogólne podniesienie ani też obniżenie wartości, a to na zasadzie tego pewnika, że całość równa sumie swych części, a więc te części nigdy się nie mogą wszystkie jednocześnie ani podnieść ani obniżyć. Zaprowadzone użycie pieniędzy — ta najpospolitsza miara wartości — zapobiegnie rozumowaniu w błędnem kole.

Sądzę iż dobrze tu streściłem teoryę, która z wszelkiemi pozorami słuszności dowodzi: że wartość wypływa z zamienności. Ale nie twierdzę bynajmniej jakoby tam pracy wcale nie wzięto w rachunek. Owszem, jest nawet często jakby rozmyślnie wzmiankowana, a zawsze jako jedna z rzeczy wartościowych, i zaliczona też do rzeczy mających wartość, czyli zamiennych. Ale sądzę że zawsze jest tam główny nacisk położony na rzeczy będące płodem pracy, podczas kiedy na samą pracę nader mało się tam zwraca uwagi, traktując ją bardzo pobieżnie jako jedną z „innych wartościowych rzeczy“.

Chociaż badamy tylko względną wartość płodów pracy, gotówby może ktoś przypuścić, że skoro oznaczono (domyślną) w danej chwili ilość płodów pracy, to już temsamem nie może być wymiany rzeczy wartościowych (płodów pracy) między tymi, którzy je posiadają a tymi którzy ich nie posiadają. Tak może gotowi nawet sądzić i ci, którzy wartość pracy uznawają. Głośni ekonomiści nazwali ją „wartością pracy“, ale właściwie jest to wartość produktów pracy, wynagrodzonej, jak zwykle sądzą, z kapitału (z ilości oznaczonej). Ale ekonomiści ogólnie przeciwni ściślejszym badaniom natury bogactwa. A przed „Postęp i nędza“ nikt przeciw takiemu ograniczeniu nie protestował. Dzieło to miało sprostować upowszechnione mylne po-

glądy na naturę wartości ziemi. Ogólnie mniemano że wartość jej pochodzi z tego samego źródła, z którego pochodzi wartość zboża, wyrobów z żelaza, wyrobów bawełnianych i innych tym podobnych płodów pracy.

Zadnej nie ulega wątpliwości, że jak do kłótni, tak też i do zamiany, koniecznie potrzeba dwóch. Ale stąd jeszcze nie wynika, że jeżeli jeden z zamieniających posiada wartości, to zaraz i drudzy muszą je koniecznie posiadać. Przykład to wyjaśni.

Wyobraźmy sobie jakąś nieznaną jeszcze wyspę, której mieszkańcy żyją jakoby pierwsi rodzice w raju. Nie potrzebne im mieszkania ani ubranie, a pokarm znajdują gotowy na drzewach Siłę do pracy zapewne mają, tak jak ją podobno Adam i Ewa mieli, ale wolni od trudu i przykrości natężania jej, bo im to niepotrzebne i nieznane. W takich warunkach, oczywiście, nie byłoby tam żadnej wartości. Ale gdyby tam zawieziono rzeczy wartościowe, czy oneby musiały utracić swą wartość? Czy może tylko drogą dorowizny mogłyby przejść w posiadanie mieszkańców, skoro zamiana ich niemożliwa?

Przypuśćmy że zjawia się jakiś kupiec z towarami. Oczywiście żadna zamiana z wyspiarzami niemożliwa, z powodu że nie posiadają nic coby miało wartość, ani też nic im nie potrzeba. Ale przypuśćmy że świecidełka choć u kobiet rozbudzą żądzę posiadania. Wtedy wyspiarze, którzy dotychczas nigdy nie pracowali, zaczną natężać swe siły, znosząc na okręt świeżą wodę i różne naturalne płody, jakie ich ziemia wydaje. I oto, chociaż tam przed pojawieniem się kupca nic zgoła nie miało wartości, a jednak teraz ci sami wyspiarze wzamian za wartość, dali wartość. Bo dotychczas nieistniejąca tam wartość nagle się pojawiła, a to drogą przemiany ich pracy na bogactwo w formie usługi. A w ten sposób stało się to, co

wielu ekonomistów uważa za niemożliwe — a mianowicie, przysporzenie ogółu wartości. Choćby nawet po odjeździe kupca wyspiarze znów po dawnemu żyli, to jednak zostały w ich ręku rzeczy wartościowe. Z tego powodu tam, gdzie jeszcze żadnej wartości nie było, teraz ona jest i będzie aż do zniszczenia tych rzeczy. Z drugiej strony nie zmniejszyła się też wartość zapasów kupca; owszem wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ładunek który wywiózł, był większej wartości, aniżeli ten z którym przyjechał.

W taki to sposób przeważnie powstaje wartość rzeczy wartościowych. Ale nie myślę tu bynajmniej twierdzić jakoby pierwotnie tylko w ten sposób miała powstawać wartość; twierdzę jedynie że tak obecnie powstaje wartość przedmiotów stanowiących bogactwo. Nie chcę też za Smithem powtarzać, że „pierwotnie wszelkie bogactwo świata za pracę zostało nabyte;“ chcę tylko powiedzieć że obecnie za pracę się nabywa.

Nic nad to nie może być jaśniejsze. Nawet w najbogatszych krajach cywilizowanego świata, głównymi nabywcami większej części rzeczy wartościowych wcale nie są posiadacze innych jakichś rzeczy wartościowych, któreby mogli oddać wzamian. W każdem cywilizowanem społeczeństwie główną masę stanowi tz. klasa robocza, ludzie żyjący z dnia na dzień, którzy mało lub żadnych wartości nie posiadają. A jednak właśnie ci ludzie są nabywcami większej części artykułów wartościowych. I skądżeż się to bierze owa wartość, którą ci ludzie oddają wzamian za wartość już istniejącą w formie zmysłowej? Czyż nie odbywa się tu przemiana ich roboczej siły na wartość? Nie jest że to bezustanna przemiana potęgi pracy czyli surowej siły roboczej na tę, jaka już przez taką przemianę została przemienioną na wartość. Czyli mówiąc zwykłym językiem, oni tylko wymieniają swą pracę na rzeczy zaspokajające ich potrzeby.

A zatem większa część rzeczy wartościowych przechodzi w ręce tych, którzy nie mają nic do oddania wzamian, z wyjątkiem tylko swej pracy zdolnej wytwarzać wartości. A czyż się to zgadza z teoryą: że wartość zależy od zamienności rzeczy wartościowych i że nie może być ani powiększenia ani zmniejszenia ogółu wartości? Chyba to zupełnie obala tę teoryę. Musi przecie istnieć stałe powiększanie się wartości, aby wyrównać bezustanny ich ubytek. Nadzwyczajne też nagromadzenie wartości widzimy w krajach kwitnących. A przeciwnie, kiedy trudno znaleźć zajęcie i mnóstwo robotników wałęsa się bezczynnie, jest to ograniczeniem zakresu przemiany pracy na wartości, czyli widocznem zmniejszaniem się ich sumy, w porównaniu z dobremi czasami, kiedy miejsc aż nadto i z małym wyjątkiem wszyscy robotnicy zajęci, wciąż przez natężenie zamieniają swą siłę roboczą na wartości.

Prawdą jest że obecne teorye o wartości powstały stąd, iż ludzie inteligentni usiłowali naukę powiązać w jakąś całość. Ale tu pozory prawdy nadaje fałszywe traktowanie pracy jako „i inne rzeczy wartościowe“. Należy przecie mieć na uwadze, że tylko względną jest wartość takich rzeczy jak złoto, zboże, wyroby z żelaza, z bawełny — czyli rzeczy będących płodem pracy. Tymczasem przyzwyczailiśmy się fałszywie tę wartość rozumieć, fałszywie też rozumieć kupno i sprzedaż albo wymianę pracy.

Dokładne określenie wyrazu „praca“.

Mamy tu znów wymowny przykład, że nigdy nie można być zaostrożnym gdy chodzi o nazwy ekonomiczne. Przez wyraz *praca* rozumiemy czasem siłę roboczą — mówiąc np. o wysiłkach lub o zastosowaniu pracy, albo o pracy niedbałej lub zmarnowanej; a czasem też rozumiemy umiejętność pracowania — mówiąc np. o nudnej lub mozolnej pracy, albo też o skutkach

czyli płodach pracy. Czasem też mamy na myśli skutki pracowania; co najczęściej albo raczej zawsze ma miejsce, kiedy mówimy o kupnie, sprzedaży albo zamianie pracy — bo tu w gruncie rzeczy artykułem kupionym, sprzedanym albo zamienionym bywają skutki pracy, tj. bogactwo albo usługi. A czasem znów mówiąc o pracy, mamy na myśli jej wykonawcę albo też osoby mające siłę i chęć do pracy.

Oczywiście że w pierwszem znaczeniu tego wyrazu — tj. w znaczeniu siły lub zdolności — praca nie jest rzeczą zamienną i do żadnego rodzaju wartości zaliczoną być nie może. Jest to właściwość czysto osobista, wewnętrzna, i zarówno jak wzrok, słuch, albo odwaga czy wiedza, nie może być z duszy dobyta i komuś innemu oddana. Ale jak można korzystać z cudzej wiedzy lub odwagi, z cudzego słuchu i wzroku, tak samo też można korzystać z cudzej zdolności do pracy, a to w postaci jej płodów czy usług, biorąc je jako swoje. Samej jednakże zdolności do pracy nikt nie może mi oddać ani ja też od nikogo nie mogę jej dostać. Tylko skutki nakładu pracy można innym oddawać, ale sama jej siła jest nieprzekazywalną a więc i niezamienną.

Koniecznie tedy trzeba mieć na uwadze rozmaitość znaczenia wyrazu *praca*, jeśli chcemy dociec czy w niej tkwi przyczyna wartości. Ponieważ praca niekiedy ma wartość zamienną, więc tem bardziej trzeba pamiętać o różnem znaczeniu tej nazwy; gdyż inaczej łatwoby można ją zaliczyć do rzędu przedmiotów zamiennych, takich jak złoto, zboże, wyroby z żelaza, bawełniane albo „inne płody pracy“.

Nazywając pracę rzeczą wartościową, musimy tu wyłączyć pracę w znaczeniu roboczej siły albo zdolności do pracy pojętą. Wtedy dopiero usunie się zamęt; inaczej szukanie prawdziwej natury tz. wartości zamiennej, zawsze będzie tylko bezowocnem kręceniem

się wkółko, przelewaniem z próżnego w puste. Siła robocza bezwartościowa; dopiero się tam wartość pojawia, gdzie ta siła robocza działając, przyjmuje postać widoczną — wartość przeto zależy od działania tej siły.

Ale czy to ujemny czy dodatni stosunek wartości do działania siły roboczej?

Przy wymianie złota na srebro, obie strony dają i otrzymują coś namacalnego — jedna pozbywa się złota a dostaje srebro, druga zaś pozbywa się srebra a dostaje złoto. Ale gdyby tu szło o wymianę złota na działanie roboczej siły czyli trudy, to czyż wtedy jeden pozbyłby się złota a otrzymał trudy, drugi zaś pozbył się trudów a otrzymał złoto? Bezwarunkowo — nie. Nikt przecie nie chce trudów; przeciwnie, wszyscy radziby się ich pozbyć. Nie chodzi tu o działanie w dodatniem znaczeniu, będące przedmiotem zamiany, ale o działanie w ujemnem (negatywnem) znaczeniu; a zatem nie o działanie siły roboczej, jakie się daje lub narzuca innym, ale o działanie, jakiego się uniknęło i oszczędziło sobie. Czyli — mówiąc językiem algebry — chodzi tu o stosunek jakości wartości nie do plus ale do minus działania siły roboczej. Słowem, wartość jest równoznacznikiem oszczędzonego działania tej siły, czyli oszczędzonych sobie trudów. Inaczej mówiąc, wartość jakiejkolwiek rzeczy równa sumie trudów i przykrości, których sobie oszczędzi i uniknie posiadacz — przez to że ją posiada; czyli że ją może — jak mówi Smith — innym narzucić drogą zamiany. A zatem nie zamienność jest źródłem wartości, ale przeciwnie, wartość jest źródłem zamienności. Skoro bowiem tylko przez działanie siły roboczej mogą być zaspokajane pragnienia człowieka, to cokolwiek uwalnia go tu od przykrości i trudów tego działania, staje się zamiennem.

Powtórzmy to w innej formie.

Otóż obecnie nauka twierdzi że skoro rzecz staje się zamienną, wtedy nabiera wartości. Ja zaś dowodzę że wprost przeciwnie — dopiero wtedy staje się zamienną, kiedy nabrała wartości.

A powiedziałem że wartość zależy od ilości pracy. Trzeba to wyjaśnić. Nieraz przecie wykonanie jakiejś rzeczy kosztowało wiele trudu i przykości, a wartość jej mała lub żadna; i odwrotnie — czasem może nic nie kosztować, a wartość będzie znaczna. Ale bo też o wartości stanowią tu nie te przykrości i trudy, jakie kosztowało wykonanie, ale te, które teraz inni wzamian za tę rzecz dać gotowi wprost lub pośrednio. Czy brylant kosztował wiele lat przykrości i trudów, czy też dość było schylić się tylko po niego, wcale to nie wpływa tu na wartość. Zależy ona wyłącznie od sumy trudów i przykrości, jakie chcący go posiadać muszą wzamian dla właściciela ponieść; albo też — co na jedno wychodzi — które mu pozwolą zaspokoić odpowiednią sumę potrzeb, gdyż za rzeczy wzamian otrzymane, inni poniosą za niego trudy i przykrości.

Żadnej nie ma wartości to, co można mieć bez wszelkiego trudu i przykrości natężenia siły. Również i to bez wartości, co niezdolne w człowieku rozbudzić tak silnej żądzy posiadania, aby go skłonić do trudów i przykrości natężenia siły. Ale cokolwiek ma wartość, ma ją tylko wtedy, tylko tam i tylko w takich rozmiarach, w jakich, kiedy i gdzie samo posiadanie zadowoli pragnienia właściciela, jedynie dzięki zamianie bez działania jego siły roboczej.

Innemi słowy — wartość jakiejś rzeczy jest to suma pracy, zaoszczędzonej właścicielowi w skutek posiadania tej rzeczy.

Najnowsza szkoła pseudo ekonomistów daremnie próbuje wymierzyć samo pragnienie, będące bodźcem dla natężenia siły roboczej. Pomiar tu niemożliwy,

gdyż pragnienie jest to tylko właściwość albo raczej objaw woli, objaw naszego ja, które, jako z natury swej osobiste (subiektywne), w żaden sposób nie może być zmierzone, dopóki się w działaniu nie objawi na zewnątrz. Pragnienie jeszcze nie objawione, nie jest to nawet żadna ściśle oznaczona właściwość, ale raczej przypomina promień soczewkowej latarki, który oświetlając jeden przedmiot, jednocześnie inne pogrąża w cieniu. Podobnież gdy już zaspokojone grubsze potrzeby, pojawiają się inne pragnienia, lecz ustępują w cień gdy znów na tamte promień padnie. Tyle też tylko da się o tem powiedzieć że pragnienia występują podług pewnej skali i w pewnym porządku.

Ale pragnienia podniecają do czynu, a tz. energia czyli siła, podnieca do ruchu. Skoro więc nie można zmierzyć samego pragnienia — tak samo jak nie można zmierzyć samej siły — możemy je zmierzyć tak, jak się mierzy energię albo siłę, tj., miarą przezwyciężonego oporu. Opór przeciw ruchowi — to bezruch (martwota, inercya); opór zaś przeciw zaspokojeniu pragnień — to trud i przykrości natężenia siły roboczej. I to jest wyrazem i miarą wartości.

Powtórzmy to jeszcze raz. Każdy radby zaspokoić swe materyalne potrzeby. Ale na to jest tylko jeden sposób: natężenie siły roboczej — a tego właśnie zawszeby ludzie radzi uniknąć. Cokolwiek zatem może — bez natężenia owej siły — pragnienie to zaspokoić, jest pożądane. A jest pożądane nie dlatego że samo może być użyte, ale dlatego że pozwala inne pragnienia zaspokoić, i staje się zamiennem o ile prócz właściciela, jest ktoś drugi do zamiany niezbędny. Wartość i zamienność, przynajmniej w zwykłych warunkach, tak z sobą złączone, że pozornie stanowią jedno — ale w porządku przyczynowym, wartość na pierwszem stoi miejscu. A więc to nieprawda, czego od czasu Smitha ekonomiści nauczają: jakoby rzecz dlatego miała war-

tość, ponieważ jest zamienną. Wprost przeciwnie: dlatego jest zamienną, ponieważ ma wartość. A zamiana jest to w rzeczywistości nic więcej, jak tylko wzajemne przekazanie wartości.

Mały przykład najlepiej to wyjaśni: że tz. wartość zamienna, nietylko od zamienności nie zależy, ale nawet może istnieć wtedy, kiedy zamienność niemożliwa. Robinson Crusoe nie mógł na swej wyspie robić żadnej zamiany, ponieważ był tylko sam. Jedynie też nadzieja że kiedyś przecie odzyska wolność, skłoniła go do podjęcia trudów wydobycia na ląd szczątków bogactwa okrętu. A chociażby ta nadzieja osłabła, jeszczeby wartość ocalonych przedmiotów nie zupełnie zależała tylko od ich użyteczności, i nie straciłby jeszcze poczucia znaczenia wartości zamiennej. Gdyby już nawet całkiem nadzieja dlań znikła, to i wtedy jeszcze coś — w gruncie bardzo podobne do wartości zamiennej — skłoniłoby go do zachowania choć części ocalonych rzeczy. A z kilku równie dlań użytecznych, wybrałby tę, której zastąpienie wymagałoby największego wysiłku. Chcąc, np. zastąpić mąkę, trzebaby siać, zbierać i mleć zboże; na południu zatem mąka byłaby dlań cenniejszą niż równa ilość bananów, które tam łatwo zastąpić, bo potrzeba je tylko zerwać i przynieść; zato na północy, takie ocenienie względnej wartości, byłoby zapewne wprost przeciwne.

Widząc że zatrzymanie lub zdobycie tych rzeczy wymaga trudu, przyszedłby stąd do wniosku, że wartość ich nie zależy od ich użyteczności, i różni się od niej co do wysokości, zależnej od wysokości natężenia siły roboczej, niezbędnej do utrzymania tego, czego posiadanie pozwoli mu uniknąć trudu przy zaspokojeniu jego potrzeb, albo inaczej, mówiąc ściśle, tego, co je zastąpi.

Tu leży jądro wartości ekonomicznej czyli zamiennej.

Zróbmy teraz ogólny przegląd tego, co się o tem powiedziało.

Wartość zamienna — tj. wartość w ekonomicznem znaczeniu — równa sumie zaoszczędzonego natężenia siły roboczej. Wartość — to właściwość posiadania, które uwalnia posiadającego od natężenia siły dla zaspokojenia pragień, a to przez zniewolenie do tego innych. Wartość rzeczy jest najwyższą sumą natężenia cudzej siły roboczej, natężenia dostarczonego w zamian za tę rzecz. Ale ponieważ ludzie zawszeby radzi jaknajmniej wytężać swą siłę roboczą dla zaspokojenia pragnień, więc jest to najniższa suma za jąką możnaby podobną rzecz z innego źródła dostać.

Chociaż wartość jest zawsze tą samą właściwością (uwalniającą od natężenia siły dla zaspokojenia pragnień), to jednak z różnych wypływa źródeł. A źródła te możnaby podzielić na dwa główne rodzaje: Wartość wypływa albo z trudów i przykrości, jakie za sobą pociąga producya; albo też ze zobowiązania, jakie inni biorą na siebie co do poniesienia wszystkich trudów i przykrości.

ROZDZIAŁ XIII.

Wykładnik wartości.

Co to jest wartość, i jej związki.

Co to jest wartość. — Przekonanie się o istotnej wartości. — Wartość odnosi się tylko do ludzkich pragnień. — Jest to zapatrywanie szkoły austryackiej. — Miara wartości musi być przedmiotową. — Jak koszt wytwarzania służy tu za miarę. — Pragnienie rzeczy podobnych. — Zastosowanie tej zasady. — Taż zasada odnośnie do wartości ziemi.

Wartość w ekonomicznem znaczeniu, czyli wartość zamienna, jak widzieliśmy, jest to szacunek zamienny. Jest to właściwość posiadania, uwalniająca posiadającego od natężenia siły niezbędnej do zaspokajania pragnień, gdyż w zamian inni go w tem zastąpią. Zawsze i wszędzie wartość rzeczy odpowiada najwyższej sumie natężenia, jaką każdy da wzamian. Ale że ludzie zawsze radziby zaspokajać swe pragnienia kosztem jaknajmniejszego natężenia siły roboczej — stąd najniższa suma, za jaką te rzecz można skądinąd otrzymać. Ale z tego jeszcze nie wynika, że co wzamian dadzą, to już stanowi wartość. W razach nadzwyczajnych, w razie wpływu osobistych względów, warunki zamiany bywają bardzo różne. Ale my tu przyjmujemy w rachunek przeciętne usposobienie; miarą zaś jego będzie to, czy w zamianie dadzą za jakąś rzecz więcej czy też mniej niż jej wartość.

Ale mówiąc że w wyjątkowych zamianach, wartość prawdziwa często się znacznie różni od przypuszczalnej, to pod nazwą „prawdziwa“ albo „rzeczywista“ rozumiemy tu coś bardziej określonego niż wartość w zwykłem, powszechnie przyjętem rozumieniu; gdyż jak wiemy ono, w naszych czasach ciągłej ulega zmianie. Cóż tedy istotnie rozumiemy przez prawdziwą wartość, i jak tego można dowieść? Spróbujmy to wykazać przez przekonanie się czy jakąś rzecz zamieniono niżej czy powyżej wartości. A dlatego to mówi się że jakąś rzecz zamieniono niżej wartości, ponieważ ktoś inny dałby za nią więcej. Albo mówimy że jakąś rzecz zamieniono powyżej wartości, ponieważ ktoś inny byłby za nią dał mniej.

To co się uważa za granicę rzeczywistej wartości, rzeczywistego równoważnika, to jest targowe rozumienie wartości. Ale targ tu pojęty w starem znaczeniu placu, gdzie się zgromadzają wszyscy chcący coś zamienić, i gdzie pod wpływem konkurencyi, przetarg stanowi o cenach. A jeżeli się chcemy przekonać jaka rzeczywista wartość danej rzeczy, wystarczy oddać ją pod młotek, lub też w inny sposób poddać działaniu konkurencyi.

A więc słusznie mówię że zawsze i wszędzie wartość rzeczy równa największej sumie natężenia, jakąby ktoś wzamian gotów ofiarować; albo inaczej, że równa najmniejszej sumie natężenia, za jakąby się posiadacz chciał jej pozbyć.

Wartość zatem — jest to wyrażenie, które użyte w właściwem ekonomicznem znaczeniu wartości zamiennej, dotyczy tylko pragnień człowieka, a wprost nie ma nic wspólnego z żadną wewnętrzną właściwością rzeczy materyalnych. Zasadniczy jej pierwiastek jest przedmiotowym, osobistym (subiektywnym) a nie podmiotowym (obiektywnym), czyli że tkwi nie w naturze materyalnych rzeczy, ale w umyśle, w woli ludzkiej. Nie może

tu być materyalnej próby wartości. Czy i o ile rzecz wartościowa, tego niepodobna ocenić ani z jej wielkości i kształtu, ani z koloru lub smaku, ani też z żadnych innych cech materyalnych, chyba że stąd można coś wnosić o zapatrywaniu innych. Przypuszczalny lub wyrażony równoważnik albo punkt zrównania wartości rzeczy jest tam, gdzie z jednej strony pragnienie otrzymania tak u drugiego przeciwważa pragnienie zatrzymania, że rzecz sama może, przy obustronnem zadowoleniu, przejść z posiadania jednego w posiadanie drugiego człowieka.

Ten fakt że pojęcie wartości wypływa z uczucia i że niezależne od świata zewnętrznego, leży na dnie tej dziwnej plątaniny, która ostatniemi laty pod nazwą szkoły austryackiej zawładnęła wykładem prawie na wszystkich uniwersytetach i kollegiach, gdzie tylko język angielski panuje.

Coś jednak mówiło że tam tkwi jakiś fałsz przyjęty za prawdę. Podług bowiem tej uznanej teoryi, wartość nie zależy od własności rzeczy ale od tego, jak człowiek względem nich usposobiony. Próbowano też rozklasyfikować i wymierzyć wartość podług tego, co jest i zawsze będzie subiektywnem, gdyż należy do osobistego ja.

A cały błąd stąd, że się fałszywie do tego zabrano. Co bowiem z natury swej podmiotowe (subiektywne), to niepochwytne, nie daje się wyrazić. Cudzego uczucia, dopóki się nie objawi w działaniu, przedmiotowo (obiektywnie) ani ocenić ani zmierzyć niepodobna. Zaledwie można ocenić siłę własnego pragnienia, ale także niemożna przed działaniem dać innym dokładnego o niej pojęcia.

Wartość, naturalnie, bierze początek w uczuciu pragnienia. Jedynie więc możnaby ją chyba zmierzyć w sposób, jak ktoś na pogrzebie zmierzył swój smutek. „Panowie — zwraca się do obecnych — ja moje współ-

czucie dla wdowy oceniam na 5 dolarów, a wasze jak wysoko szacujecie?“ (Miało to znaczyć: ile dacie składki). Nic o wartości nie da się wnosić z tego, o ile rzecz pożądana; trzeba wiedzieć ile ktoś chce za nią dać. Nie samo więc pragnienie tu stanowi ale to, co dawniejsi ekonomiści nazywali rzeczywistem zapotrzebowaniem, tj. pragnienie posiadania łącznie z możnością i chęcią dania czegoś wzamian.

A więc niema innej miary wartości, jak tylko współzawodnictwo (konkurencya) czyli przetarg. Niechże o tem pamiętają mili reformatorzy, którym tak łatwo przychodzi doradzać usunięcie wolnej konkurencyi.

O propozycyi usunięcia wolnej konkurencyi.

O wartości jakiejś rzeczy nie stanowi suma pracy użytej na jej wytworzenie; ale suma pracy, jaką za nią wzamian ofiarują. Mówi się jednak że wartość pewnych rzeczy zależy od kosztu produkcyi. Ale nie chodzi tu o to ile dawniej produkcya takiej samej rzeczy kosztowała, lecz o to, jakiegoby teraz nakładu pracy potrzeba na wykonanie podobnej rzeczy.

Pragnienie posiadania jest podnietą do znoszenia trudów i przykrości natężenia siły roboczej. Ale z wyjątkiem nader rzadkich wypadków, zazwyczaj chodzi nie o posiadanie tej samej lecz tylko podobnej rzeczy. Jeżeli np. pragniemy zboża, to nie idzie tu o jakieś szczególne zboże, ale tylko o zboże wogóle, lub wreszcie o pewien gatunek tylko. Podobnież pragnienie ubrania, noży, szklanek itd. nader rzadko dotyczy jakichś szczególnych rzeczy, a najczęściej tylko podobnych. A pamiętajmy że zawsze i wszędzie wartość rzeczy równa najwyższej sumie pracy, jaką ktoś za nią wzamian ofiaruje. A ponieważ ludzie zawsze dążą do zaspokojenia swych pragnień przy jaknajmniejszem natężeniu, więc też ta najwyższa suma pracy, jaką ktoś wzamian ofiaruje za rzecz podobną, zawsze będzie najniższą sumą, za jaką tego rodzaju rzecz można skądkolwiek otrzymać.

Tak więc punkt zrównania między pragnieniem a zaspokojeniem, albo — jak się zwykło mówić — między zapotrzebowaniem a dostarczeniem, będzie tam gdzie rzeczy podobne mogą być wykonane nie podług dawnego ale podług obecnego kosztu ich produkcyi.

Jeżeli ten koszt będzie większy niż dawniej, temsamem będzie też większą i wartość rzeczy już istniejących czyli dawniej wykonanych; a przeciwnie, cokolwiek dąży do obniżenia tego kosztu, temsamem dąży i do obniżenia wartości rzeczy już istniejących.

Ale chodzi też czasem nie o rzecz podobną lecz o tę samą. Tak np. Walter Scott porwał puhar Jerzego IV, bo nie szło mu o podobny ale o ten, z którego król istotnie pijał. Tak samo jeżeli ktoś albo jakaś rodzina, upodoba sobie krzesło, stół czy książkę — dlatego że była to niegdyś własność osoby ukochanej — wtedy ich ocena odpowiada wartości użytkowej, nie wpływając na ekonomiczną czyli zamienną wartość, ponieważ byłoby posiadaczom przykro oddać wzamian za wartość zamienną. Ale gdy więcej osób żywi to samo pragnienie, wtedy już wartość zamienna nie zależy od kosztu produkcyi podobnej rzeczy. Zwłaszcza jeżeli chodzi o jakieś oryginalne dzieło zmarłego artysty, lub też o ważny unikat bibliograficzny, (których żadną miarą nawet przy największym nakładzie pracy, nie można rozmnożyć), wtedy wartości nie ogranicza koszt produkcyi, i może ona wzróść bardzo wysoko, w miarę jak zamiłowanie lub próżność podniesie pragnienie jej posiadania.

Chociaż wypadki, jakie tu dla wyjaśnienia zasady przytoczyłem, wciąż zwracają uwagę, i żadna teorya wartości nie może ich pomijać, to jednak w praktyce są dość rzadkie i bez znaczenia. Ale natomiast sama zasada nader ważna i ma coraz szersze zastosowanie, a to w miarę wzrostu cywilizacyi. Zasada od której zależy wartość obrazu Rafaela lub Rubensa, odnosi się

również i do wartości ziemi. Ziemia, bez kosztu produkcyi, była już bez nas, będzie i po nas. Nie jest to bowiem owoc pracy ludzkiej ale dzieło Stwórcy.

A nawet i teraz jeszcze jej tyle, że nie staje ni sił ni zdolności aby ją zupełnie zużytkować. Ziemia jako taka, czyli ziemia w ogóle — żywioł niezbędny do życia ludzkiego i produkcyi — nie więcej warta niż powietrze jako powietrze. Ale jest też i niezwyczajna ziemia, która ze względu na swój rodzaj lub położenie, może mieć inną wartość, a to na takiej zasadzie, na jakiej ma ją szczególny puhar lub jakiś szczególny obraz czy rzeźba. Wartość tu nie ma granic, ponieważ jej nie ogranicza możność wyprodukowania takich samych rzeczy; w podobnych razach wartość zależy jedynie od stopnia żądzy posiadania.

Takie przypisywanie wartości ziemi niezwyczajnej, czyli w dogodnych warunkach położonej — to niejedyny najbardziej uderzający rys rozwoju nowoczesnej cywilizacyi, ale jej skutek. Zupełnie to zgodne z naturalnym porządkiem, i stanowczo dowodzi że jego celem jest równość ludzi. Gdyby słusznie prawa pozostawiły rzeczy naturalnemu rozwojowi, wtedy pragnienie użytkowania z danego kawałka ziemi, nigdy nie mogłoby się stać równie silnem pragnieniem użytkowania z ziemi wogóle; ani też nigdy nie mogłoby się stać tak silnem, aby to miało aż spowodować zniżenie wynagrodzenia pracy przez zmuszenie aby robotnicy za użytkowanie ziemi, oddawali część swych naturalnych i słusznych zarobków. Ale gdzie prawa lub społeczne warunki dopuszczają monopol ziemi, tamując nadto możność usunięcia go, — tam pragnienie użytkowania z ziemi niezwyczajnej, może się opierać na pragnieniu użytkowania z ziemi wogóle, czyli ziemi jako żywiołu. Napięcie zaś tego pragnienia można jedynie zmierzyć chęcią poniesienia trudów i przykrości dla jego zaspokojenia. A ta chęć może się aż tak dalece rozwinąć

że będzie nawet równą sile pragnienia samego życia — bo ziemia to nieodzowna jego potrzeba, a „wszystko co człowiek posiada, gotów oddać za swe życie.“

Ale zawsze wartość ziemi zależy od sumy natężenia siły roboczej tych, coby ją radzi oddać wzamian tym, którzy mogą zabronić albo też pozwolić użytkować z ziemi. Leży to już w naturze takiego zobowiązania, że chodzi tam raczej o jednostronne zaofiarowanie usług a nie o ich wymianę.

ROZDZIAŁ XIV.

Dwa źródła wartości.

Wartość wypływająca z produkcyi, oraz wartość wynikająca ze zobowiązania.

Wartość nie powoduje wzrostu bogactwa. — Wartość ze zobowiązania. — Wartość z ujarzmienia. — Ekonomiczne określenie bogactwa niemożliwe bez uwzględnienia tej różnicy wartości. — Omyłka Smitha i jego wyniki. — Konieczność rozróżnienia. — Wartość wynikająca z produkcyi i wartość wynikająca ze zobowiązania. — A każda z nich zasadniczo oddziaływa na natężenie siły roboczej. — Zobowiązania dłużne. — Inne zobowiązania. — Wartość ziemi najważniejsza ze wszystkich rodzajów wartości ze zobowiązania. — Własność ziemi równoznaczna z własnością ludzi. — Zwykłe rozumienie wartości zamiennej. — Istotny jej stosunek do natężenia siły roboczej — Ostateczna zamienność odnosi się do pracy. — Smith miał słuszność. — Światło rzucone przez tę teoryę wartości.

Przychodzimy tu do nader ważnego punktu. A przedewszystkiem zwracam uwagę, że w zamęcie pomieszano nazwy „wartość“ i „bogactwo“.

Nieomal wszyscy pierwszorzędni ekonomiści przyjmują, że jedynem źródłem wartości jest siła pracy przez natężenie na bogactwo zamieniona. A jednak to, co się już powiedziało, wystarcza aby wykazać fałsz tego twierdzenia.

Nie to natężenie, które dawniej uważano za koszt jakiejś rzeczy, stanowi o jej wartości, ale to, od którego jej posiadanie uwolni w przyszłości. Wartość może być wytworzona także przez samo zobowiązanie się do dostarczenia natężenia w przyszłości, albo też przez takie utrudnienie zaspokojenia pragnień, że aż większego natężenia będzie potrzeba do dopięcia tego celu. W tenże sam sposób wartość może się podnieść, a niekiedy znów może powstać, i to bez wytworzenia prawdziwego bogactwa, a czasem nawet z jego uszczerbkiem.

Oto przykład. Umawiam się z kimś o zamianę, ale jedynie tamta strona umowę zaraz wykonała, ja zaś daję tylko zobowiązanie że ją dopiero później wykonam. A zatem rzeczy już mające wartość, mogę otrzymać wzamian za zobowiązanie dostarczenia pracy albo jej płodów w pewnym oznaczonym lub nieoznaczonym czasie. Ale mogą też i obie strony dać wzamian tylko podobne zobowiązania. A takie zobowiązania często odrazu nabierają wartości; można za nie wzamian dostać pracę lub jej płody. Może i rząd albo towarzystwo wypuścić tego rodzaju obligacye, które także mogą odrazu mieć wartość opartą na zaufaniu, tak samo jak i tam gdzie chodzi tylko o jednostki.

Ale mimo wytwarzania się wartości, w żadnym z tych wypadków bogactwo się nie pomnaża. Wartość powstaje tu ze zobowiązania i wyłącznie tylko na nadziejach oparta. Niemniej jednak jest to wartość, jako ilość zamienna, za którą posiadacz może otrzymać inne rzeczy wartościowe.

Weźmy teraz przykład. Przypuśćmy że odkrywcy jakiejś nieznanej jeszcze ziemi, zmuszali krajowców do pracy, miasto zachęcać ich do niej przez rozbudzanie w nich nowych pragnień. Wkońcu uwieźli z sobą wszystko, cokolwiek można w innych częściach świata zamienić na natężenie siły. Uwieźli zatem nietylko

drogie kamienie i kruszce, ale nawet i samychże krajowców. Ci bowiem mogą znaczną przedstawiać wartość tam, gdzie prawo dopuszcza sprzedaż ludzi.

Ekonomia osobista, która się zajmuje tylko stosunkami osób do osób, nie uwzględnia różnicy między tymi dwoma rodzajami wartości. Czy ktoś rozporządza natężeniem siły innych dlatego że powiększył zapasy ogółu, czy też poprostu dlatego że mocniejszy więc może od nich tego natężenia wymagać, — to już i dla niego i dla nich rzecz obojętna. W każdym wypadku on bierze a oni dają.

Tymczasem zgoła inaczej w ekonomii politycznej. Tam wartość pierwszego rodzaju — wartość stanowiąca dodatek do publicznych zasobów — zwiększa bogactwo społeczeństwa, i to jest właśnie bogactwem w znaczeniu ekonomii politycznej. Natomiast drugi rodzaj wartości — wartość dotycząca tylko siły jednostki, mogącej wymagać natężenia od innych — niczego do zasobów publicznych nie dodaje, ani też zgoła bogactwa (w znaczeniu ekonomii politycznej) nie stanowi — powoduje tylko inny rozdział tego, co już w tych zapasach było.

Dwa te całkiem różne rodzaje wartości zostały w ekonomii politycznej razem pomieszane i jedną nazwą objęte. Smith zrazu wyróżnił tylko wartość zwiększającą bogactwo; ale później, z pozorem niedbalstwem przyjął jako wartości i to, co pomnaża bogactwo osobiste, ale nic zgoła nie dodaje do bogactwa publicznego. Łączy się tu zatem z ogólnem mniemaniem, jakoby bogactwo publiczne było sumą bogactwa osób; a stąd wszystko, co ma wartość dla jednostki, już temsamem zalicza się do bogactwa w znaczeniu ekonomii politycznej. Takie pojęcie odpowiadało usposobieniu warstw bogatych, które dawały moralne poparcie wszystkiemu, co utrwalało ich wyższość. I tak było zawsze, bo z tem się każde pokolenie ekonomistów liczy.

Ale niepodobna obu wartości uznawać za jedno, a zarazem dać określenie bogactwa. Tu więc ekonomia polityczna zawsze była zawieszoną w powietrzu. Nie mogła przecie być ekonomią polityczną, bez określenia bogactwa — a takie znów określenie wprost niemożliwe przed uznaniem różnicy dwóch rodzai wartości.

Z początku można było tych trudności uniknąć, nadając obu rodzajom wartości oddzielne nazwy. Ale wyraz wartość już od tak dawna służy dla obu, że teraz już nie pozostaje nic innego, jak tylko zaznaczyć różnicę. To konieczne. Co do mnie, mogę jedynie przyjąć nie jeden ale dwa rodzaje wartości.

Należy też wyraźnie zaznaczyć: w jaki sposób wartość powstaje. I tak — 1⁰) wartość wypływa z natężenia pracy w ten sposób że oszczędza w przyszłości natężenia dla zaspokojenia pragnień, i 2⁰) wartość wypływa z nabycia siły pozwalającej rozporządzać natężeniem siły innych; czyli inaczej — z takiego utrudnienia zaspokojenia pragnień, że aż większe natężenie potrzebne do produkcyi dla tego samego zaspokojenia pragnień.

Wartość w pierwszym razie może być nazwana wartością z produkcyi, a w drugim wartością ze zobowiązania.

W ekonomii politycznej wartość jedynie w znaczeniu zamiennej może być rozumianą, bo tak sie to już utarło. Przypomina to wodę, która przy ujściu rzeki jednaka, ale z różnych jej dopływów pochodzi. Tak samo też trzeba odróżnić wartość z produkcyi i wartość ze zobowiązania. A już samo uznanie tej różnicy początku wartości, wielceby się przyczyniło do wydobycia ekonomii politycznej z zamętu, w jaki ją w ostatnim wieku wepchnięto.

Ale rozróżniając wartość, należy pamiętać iż zasadniczą jej cechą jest to, że zawsze odpowiada sumie natężenia siły potrzebnej do zaspokojenia pragnień. Sło-

wem wartość rzeczy jest równą sumie trudów i przykrości, jakich uniknie jej posiadacz, albo jakie wzamian inni zechcą ponieść. Nie są to jednak trudy i przykrości, jakie nabywca zgodzi się ponieść sam, ale te, któremi może dowolnie rozporządzać, czyli że może innych zniewolić aby je za niego ponieśli. A nie idzie tu o rodzaj wartości; bo czy ona pochodzi z produkcyi czy ze zobowiązania, to zupełnie wszystko jedno, skoro się tylko można przez zamianę uwolnić od trudów i przykrości, jakie za zobą zaspokajanie pragnień pociąga.

Dług a niewola.

Dług jest niewolą nietylko w przenośni. Ściśle biorąc, i dług pociąga za sobą — choć może w mniejszym stopniu, ale w gruncie takie samo jednostronne tylko zobowiązanie dostarczenia natężenia siły, jakie i niewolnikowi daje wartość zamienną. Takie zobowiązanie, to typowa cecha każdego długu.

A są różne rodzaje długów. Gdy długu nie można dowieść, wtedy jest tylko rzeczą sumienia. Dług także zwie się honorowym, jeżeli oparty jedynie na moralnem, przez prawo nieuznawanem zobowiązaniu. Dług nadto może być piśmiennie zeznany albo przez świadków stwierdzony; może być zabezpieczony przez poręczenie, zastaw lub przekaz. Ale wszystkie te odmiany mogą mieć znaczenie tylko co do pewności długu; główna ich zasada zawsze ta sama: zobowiązanie.

Nazwa „wartość ze zobowiązania“ sama rzuca się w oczy, ponieważ dotyczy niezliczonej masy wartości w posiadaniu osób prywatnych, banków, towarzystw akcyjnych itd. Są to tak zwane obligacye, listy zastawne i tp. papiery. Oprócz tego jest jeszcze wiele innych zobowiązań także mających mieć wartość. Wszelkiego rodzaju długi i pretensye, choćby nawet przez prawo nieuznawane; oraz wszelkie przywileje, nadania, patenty itd., o ile wogóle mają jakąś wartość, to pochodzi ona tylko ze zobowiązania. Wartość niewolnika (tam

gdzie niewola istnieje) także wynika z narzuconego mu zobowiązania pracy dla pana. Stąd wartość wszystkich niewolników w Stanach Zjednoczonych, ocenianą była okrągło na 3 miliardy dolarów (około 15 miliardów franków). Tak samo ze zobowiązania wynika wartość kupnych posad i tłustych synekur, jak się to jeszcze po części legalnie dzieje w Anglii, a jest, niestety, na porządku dziennym w Stanach Zjednoczonych, tylko że nie legalnie ale podstępnie, jak w Chinach, gdzie od wieków praktykowane.

Często można w gazetach angielskich spotkać ogłoszenie że jest na zbycie prawo przedstawiania do godności kościelnych. Jeszcze przed kilku laty podobnie tam ogłaszano, gdy kto chciał sprzedać stopień w wojsku lub marynarce. Są to zabytki już dawno minionej przeszłości. A wartość ich najwyraźniej wynika ze zobowiązania. Taką też tylko wartość mają teraźniejsze cła ochronne, przywileje, patenty itd. Tylko forma tu nowsza, ale rzecz w gruncie ta sama.

Wielcy przedstawiciele ziemscy mieli przywilej trzymania targu, hodowania gołębi, dziedziczenia po swym dzierżawcy (w pewnych razach), przywilej mlewa, spławu drzewa, bicia monety itd. I tu również wartość najwyraźniej wypływa ze zobowiązania.

Z czasem pojawia się już zwyczajne prawo upoważniające do ściągania opłat za używanie ziemi. Jest to dowodem że wartość tego prawa — nazwanego prawem prywatnej własności ziemskiej — w gruncie rzeczy wynika również tylko ze zobowiązania.

Tak więc dodaje się wartości rzeczom już istniejącym, albo też przypisuje się wartość rzeczom jeszcze nieistniejącym, często opartym jedynie na słowie, na świstku papieru, na rozporządzeniu rządu lub na wyroku sądowym, albo wreszcie na jakimś zakorzenionym obyczaju tylko. A sposoby, jakiemi się to odbywa, są całkiem różne co do pochodzenia i charakteru, niż

przy powstawaniu wartości przez zastosowanie pracy do wytwarzania bogactwa albo usług. Dla łatwiejszego przeto rozróżnienia obu tych rodzai, należy ich nazwę rodzielić. Pierwszy rodzaj możnaby nazwać „wartością ze zobowiązania," gdyż wyraz „zobowiązanie" najlepiej odpowiada utartemu już pojęciu, i najlepiej też określa pierwiastek nadający wartość a jednak całkiem od produkcyi odrębny. Zasadniczym, typowym tu rysem jest zobowiązanie, z którego ta wartość wynika.

A zatem prosta obietnica albo też banknot czy pensya dożywotnia lub jakiś inny akt zobowiązania, polisa ubezpieczenia itd. są to rzeczy często posiadające wartość, opartą na wyrażonem w nich zobowiązaniu, że posiadacz lub jego zastępca otrzyma natężenie siły roboczej, bezwzrotnie.

Wartość także może być niekiedy powiększoną nawet przez zniszczenie rzeczy wartościowych. I tak np. Holenderskie Wschodnio Indyjskie Towarzystwo poleciło zniszczyć wielką ilość korzeni, aby ich wartość podnieść w Europie. Cła ochronne również podnoszą wartość rzeczy. Niemniej wskutek zmów robotniczych (strejków) podnosi się wartość rzeczy, np. węgla, jak to niedawno miało miejsce w Anglii, Australii i Ameryce. Podobnież i nieurodzaj podnosi wartość zboża; a wojna utrudniająca dowóz, podnosi wartość bawełny w Anglii.

Wszystkie takie dodatkowe wartości również wypływają ze zobowiązania; a do pomnożenia zapasów publicznych przyczyniają się niewięcej, jak np. wynik gry w karty — gdy Jan wygra od Piotra albo Piotr od Jana.

A najważniejsze, nieprzysparzające bogactwa dodatkowe wartości, dotyczą ziemi, i w miarę rozwoju cywilizacyi, coraz szerszych sięgają granic. Obecnie już stąd zaczyna wyrastać kwestya bodaj większego znaczenia, aniżeli była dawniej kwestya niewoli. A to

jej znaczenie w Anglii, w Stanach Zjednoczonych lub w jakimś innym, wysoko cywilizowanym kraju, jest już tem większe, że sprzedażna wartość ziemi obejmuje zarazem i sprzedażną wartość wszelkich ulepszeń, a nawet osobistej własności — słowem wszelką „wartość z produkcyi.“ A te ulepszenia wciąż powiększają „wartość ze zobowiązania“, która jednak nie stanowi bogactwa w znaczeniu ekonomicznem; a nawet z moralnego punktu widzenia, o ile dotyczy osób, nie może być za własność uznana. W imię też słuszności nie może należeć do osoby lub osób, ale tylko do ogółu. A mimo to ziemia pospolicie uchodzi za najwyższą, typową formę bogactwa, lecz w oczach ekonomisty wcale bogactwem nie jest.

I tu leży przyczyna że ani Smith, ani jego następcy nie określili jasno prawdziwego charakteru i podwójnej natury wartości. Uznać to bowiem znaczyłoby tyle, co uznać twierdzenie fizyokratów: że ziemia nie jest bogactwem w znaczeniu ekonomicznem. A takie uznanie prowadziłoby do przewrotu, wprawdzie zbawiennego ale w większych rozmiarach aniżeli był którykolwiek z dotychczasowych przewrotów społecznych.

A jednak twierdzenie fizyokratów zupełnie jasne.

Wróciwszy tu na chwilę do przykładu niedawno przytoczonego, przypuśćmy że owi odkrywcy nieznanej ziemi, odrazu tam zrobili to, czego amerykańscy misyonarze zwolna dokonali na wyspach Hawajskich tj. zrobili się panami ziemi. Mogąc bowiem swe przywłaszczone prawa poprzeć siłą, zabronili wyspiarzom, bez swego zezwolenia rwać owocu i czerpać ze źródeł. Stąd ta sama — dawniej bezwartościowa ziemia — odrazu nabrała wartości, ponieważ wyspiarze, niemogąc dać nic innego, byli zmuszeni za przywilej dalszego życia ofiarować swą pracę albo jej płody.

Wykażę tu kilku słowy, że zazwyczaj uchodzi za wartość zamienną ten zwykły objaw, właściwy rzeczom nabytym wzamian za uwolnienie od trudów i przykrości, jakich wymaga zaspokajanie pragnień.

Utarte to mniemanie że „wartość rzeczy stanowi to, co można wzamian dostać.“ Ale tak sądzą jedynie ludzie, którzy sobie nigdy ekonomią polityczną głowy nie zawracali. Niema też podług nich żadnej wartości rzecz, za którą nikt nic nie da; a przeciwnie, wszystko ma wartość, co można wymienić za coś innego.

A jednak nie każdą rzecz wartościową można wymienić na inną wartościową. Trudnoby np. dostać dom wartujący milion dolarów, za odpowiednią ilość sera. Ale jest jedna rzecz, na którą wszystkie inne rzeczy wartościowe mogą być zamienione. Chciałbym tu jednak pominąć tę sprawę, ponieważ zazwyczaj, mówiąc o pieniądzach, które nam służą do zamiany wszelkich wartości, mamy na uwadze pracę — i to bez względu na różnice znaczenia tego wyrazu. Ale dobrze tu w istotę sprawy wniknąwszy, przekonamy się że ostatecznie wszystko, co tylko ma wartość, musi być tem samem zamienne, podatne do wymiany na pracę — i to właśnie jest cechą wartości. Są jednak rzeczy wartościowe, które trudno a nawet wcale nie dają się na pracę wymieniać. Do takich np. zaliczyć można teleskop równikowy, albo parowóz, parowiec, oblig lub czek na bardzo wysoką sumę opiewający. Ale wartość każdej z tych rzeczy wypływa z pewnika, że mogą być zamienione na inne rzeczy, które znów w dalszym ciągu mogą być wymienione na natężenie siły.

Pieniądz tylko tam ma wartość gdzie jest zamienny.

Pieniądz — to pośrednik w zamianie; a siłę obiegu daje mu to, że najłatwiej go wymieniać na natężenie; w miarę zaś jak traci tę swoją właściwość, traci też i wartość. Tak się np. stało z wartością pieniędzy

konfederacyi Stanów Południowych. Wartość się kończy z utratą siły rozporządzania natężeniem, która zawsze jest miarą tamtej.

Tu się znów okazuje że Smith miał słuszność co do natury wartości, chociaż ta myśl przelotnie tylko błysnęła w jego umyśle. Wartość w ekonomicznem znaczeniu, to nietylko stosunek zamienności rzeczy wartościowych, który się nie może ani powiększyć ani też zmniejszyć — chyba w niektórych tylko wypadkach, gdy zachodzi stosunek rzeczy wyjątkowych. Wartość stoi raczej w stosunku do ludzkiego natężenia, czyli nieodłącznych od niego trudów i przykrości, i zależy od tego, czy rzecz z mniejszą czy większą trudnością przychodzi. To ma wysoką wartość, co trudno dostać; a to ma małą wartość, co łatwo dostać; żadnej zaś zgoła nie ma wartości to, co można mieć bez natężenia; nie ma jej również i rzecz, dla której niktby go nie chciał ponieść. Taniość, czyli nizka wartość, jest skutkiem obfitości; a drożyzna, czyli wysoka wartość, jest skutkiem rzadkości. A więc może nastąpić ogólne powiększenie lub zmniejszenie wartości, stosownie do tego, czy ogólna obfitość czy też ogólny brak czegoś.

Przyjęcie tej tak prostej teoryi wartości, pozwoli nam pójść dalej, i łatwo już przyjdzie załatwić się jeszcze z wielu punktami, pomijanemi przez ekonomistów, których bałamuciły, i do dziś jeszcze są dla ich uczniów zawadą tak dalece, że już się stąd nawet wyrodziła watpliwość: czy jest wogóle możliwą prawdziwa nauka ekonomii politycznej.

Wszystkie zjawiska wartości i zamiany wyjaśniają to zasadnicze prawo, wedle którego ludzie dążą do zaspokojenia swych pragnień przy jaknajmniejszem natężeniu siły.

Cokolwiek naturalnym czy sztucznym sposobem utrudnia zaspokojenie pragnień ostatniego odbiorcy tj.

konsumenta, zmuszając go do większego natężenia czyli poniesienia więcej trudów i przykrości — to zawsze podnosi wartość rzeczy; a przeciwnie, cokolwiek zmniejsza potrzebne natężenie, czyli zmniejsza trudy i przykrości — to już temsamem obniża wartość. A zatem — wojny, cła, morscy piraci, brak publicznego bezpieczeństwa, przywileje, podatki i wszelkiego rodzaju ograniczenia, utrudniając zaspokojenie pragnień pewnych rzeczy, podnoszą ich wartość; a przeciwnie — odkrycia, wynalazki, ulepszenia, zmniejszając natężenie potrzebne do zaspokojenia pragnień pewnych rzeczy, zmniejszają też i ich wartość.

Tu tkwi jądro pytania, które dotychczas bałamuciło i wciąż jeszcze wiele umysłów bałamuci. Mam tu na uwadze zagadnienie: czy leży w interesie publicznym sztuczne podniesienie wartości? Możnaby jeszcze o tem rozprawiać, gdyby wartość była tylko prostym stosunkiem do zamienności rzeczy zamiennych; ale ponieważ zależy od stosunku do trudów i przykrości, jakie konsument musi ponieść jeżeli chce swe pragnienia zaspokoić — więc tu już wszelki spór ustaje. Rzadkość może być względnie korzystną, ale tylko dla jednostek; a obfitość zawsze jest korzystną dla ogółu.

ROZDZIAŁ XV.

Znaczenie bogactwa w ekonomii politycznej.

Stanowi je tam wartość z produkcyi.

Bogactwo podług określenia w dziele „Postęp i i nędza“. — Ekonomia scholastyczna. — Przeciwna metoda. — Jednaki wynik. — Dla czegoby chciano wszelkiego rodzaju wartości uznać za bogactwo. — Znaczenie w przenośni — Znaczenie bogactwa w przenośni. — Istotne znaczenie. — Użyte dla wyrażenia zamienności. — Podobny użytek z pieniędzy. — Zwykłe rdzenne znaczenie jest właściwem. — Jego zastosowanie w osobistej i politycznej ekonomii. — Co rozumiemy przez powiększenie bogactwa. — Bogactwo i praca. — Natura i człowiek jako ich czynniki. — Skutkiem jest bogactwo. — O Adamie Śmith'cie. — Niebezpieczeństwo użycia znaczenia w ekonomii politycznej, właściwego tylko w ekonomii osobistej. — Przykład pieniędzy. — Prawdziwe i względne bogactwo. — Wartość z produkcyi i wartość ze zobowiązania. — W języku angielskim brak wyrazu na przedmiot bogactwa. — Dogodności. — Towary.

Teraz już możemy ustalić znaczenie bogactwa jako nazwy ekonomicznej. W „Postęp i nędza“ — gdzie mi szło głównie o określenie znaczenia wyrazu „kapitał“ — określiłem też znaczenie wyrazu „bogactwo“ wprost jako „naturalne produkty ale tak otrzymane, sprowadzone, połączone i przerobione przez ludzką pracę, aby mogły zaspokoić ludzkie pragnienia“. Zdaje mi się że i fizyokraci tą samą drogą przyszli do podobnych

wniosków. Ale scholastycy — zamiast je sami odszukać lub z mojej skorzystać uwagi — trzymali się drogi Smitha, który ostatecznie nie powiedział: co to jest bogactwo. Wciąż zatem rozprawiając tylko o wartości, pogubiwszy się wśród tak rozlicznych jej znaczeń, zeszli wkońcu na manowce. W ten sposób nietylko że niezdołali określić prawdziwego znaczenia bogactwa, ale nadto wkońcu już groził stąd upadek samej nauce ekonomii politycznej.

Tak to z górą po 100 latach rozwoju, naukę ekonomii politycznej wkońcu pogrążono w zamęt — i to jedynie wskutek braku określenia znaczenia tak ważnej nazwy. A w rzeczywistości ten zamęt jest tam nawet większy niż w potocznej mowie, choć tu przecież niepotrzebna zbyt wielka ścisłość wyrażenia. A jest to aż nadto widoczne że ów zamęt wynikający z braku określenia bogactwa, należy znów przypisać zamętowi co do znaczenia nazwy *wartość*. Po Smith'cie, scholastycy nietylko pomieszali z sobą dwa całkiem odrębne rodzaje wartości — wartość użytkową i wartość zamienną — ale nadto zdaje się jakby chcieli ukryć niezmiernie ważną różnicę pochodzenia dwóch tych całkiem odrębnych rodzai wartości zamiennej: jeden rodzaj wypływa z pracy, a drugi z tego, co nazwałem zobowiązaniem — zobowiązaniem często wymuszonem siłą, czyli prawem mocniejszego, bez moralnej podstawy do żądania pracy innych.

Takim jest dzisiejszy stan prawowiernej ekonomii politycznej. Nietylko że nie zdołała określić głównej nazwy „bogactwo", ale nadto tak znaczenie innych nazw poplątała, że ją to w jeszcze większych ciemnościach pogrąża.

Tembardziej przeto uważam za konieczne obszerniej tu znaczenie nazwy „wartość" omówić. A ponieważ dzisiejsza ekonomia polityczna mówi że wszystko, co ma wartość, jest bogactwem, dlatego przyjąwszy tu

metodę wprost przeciwną użytej w „Postęp i nędza“, zacznę tu od wartości a nie od bogactwa.

Otóż badając jak Smith to rozumiał, spostrzegłem że wartość zamienna rozpada się na dwa całkiem różne rodzaje — wartość z produkcyi, i wartość ze zobowiązania wynikającą. Z tych jeden rodzaj wartości jest a drugi nie jest bogactwem.

A wartość z produkcyi — tj. ta, która jedynie może tworzyć bogactwo zwiększające bogactwo ogółu — zależy od udziału pracy w jego produkcyi. Bogactwo przeto w ekonomii politycznej *składa się z naturalnych produktów, tak przy zastosowaniu pracy ludzkiej dobytych i na odpowiednie miejsce przeniesionych, tak z sobą połączonych i przerobionych, aby najlepiej mogły ludzkie pragnienia zaspokoić.*

Z drugiej strony, wartość ze zobowiązania, pomimo najważniejszego pierwiastku wartości, nie przysparza jednak bogactwa ogólnego, ani też wogóle żadnego nie produkuje. Nie ma ona nic wspólnego z wytwarzaniem; dotyczy tylko rozdziału już istniejącego bogactwa, a stąd zda mi się właściwą dla niej ta nazwa.

Tak więc idąc tu drogą wprost przeciwną niż w „Postęp i nędza“, doszliśmy jednak do tych samych wyników, tj. że bogactwo w ekonomicznem znaczeniu, to *naturalne produkty tak przy zastosowaniu pracy ludzkiej dobyte i na odpowiednie miejsce przeniesione, tak z sobą połączone i przerobione, aby najlepiej mogły ludzkie pragnienia zaspokoić.*

Takie przedmioty zawsze są bogactwem, zawsze też mają wartość. Z chwilą zaś utracenia wartości, przestają też zarazem być bogactwem.

A zatem, jak mówię, trzymając się wprost przeciwnej metody, do jednakich doszliśmy wyników. Ale ma ona tę wyższość, że nieobca scholastykom, więc trudniejby im przyszło zdobyte na tej drodze prawdy pomijać. A nadto, idąc w kierunku odwrotnym, nie-

jedno jeszcze odkryłem, co posłuży mi do uzupełnienia nauki ekonomii politycznej, jeżeli nie teraz to w przyszłości.

Przedewszystkiem tedy zwracam uwagę na to, co się tu już powiedziało. Nie spodziewam się wprawdzie aby moje słowa niepoparte mogły za sobą pociągnąć jakieś nadzwyczajne zmiany w ogólnym ustroju, ale nie przestanę zwalczać wykazanej tu już dążności ekonomii politycznej.

A że — tak w zmysłowym jak i zasmysłowym świecie — nic się nie dzieje bez przyczyny, więc też ma swą przyczynę i to, że ekonomiści usiłują pod nazwę „bogactwo“ podciągnąć wszystko, cokolwiek posiada wartość. A te ich usiłowania, w gruncie rzeczy wynikają z chęci dogodzenia tym, którzy stanowczy wywierają wpływ na instytucye wychowawcze i na opinię publiczną. Słowem chodzi tu o dogodzenie klasie bogaczów, która zawsze i wszędzie musi być tam, gdzie tylko nierówny rozdział bogactwa. A tej klasie bardo na tem zależy aby prawu własności dać taką podstawę moralną, jaką ma naturalne prawo własności; a już co najmniej aby pomijać wszystko, cokolwiek mogłoby dać poznać, że takie uznanie ludzkiego prawa byłoby zdeptaniem naturalnego i moralnego prawa.

Stąd za czasu niewoli nie brakło jej obrońców. Wielu zaś — unikając gniewu potężnych panów — dowodziło: że własność wynikająca z kupna niewolnika, oparta na tej samej podstawie jak i własność muła lub bawełny. Z chwilą jednak zniesienia niewoli, nikt już tego nie twierdził. Podobnież i dzisiejsza ekonomia, jeżeli nie występuje wprost z obroną niewoli przemysłowej, to przynajmniej unikając zadraśnięcia klasy bogaczów, wymijająco traktuje naturę bogactwa i wartości. Stąd twierdzenie: że wszystko, co ma wartość, już przez to samo jest bogactwem. Tak więc ekonomiści i siebie samych i swych uczniów zosta-

wiają we mgle zamętu co do natury rzeczy, których prawa mają badać i głosić.

Ale kto szczerze zapragnie poznać naukę ekonomii politycznej, ten już dziś znajdzie tam jasne i ścisłe określenie natury bogactwa.

Bogactwo w przenośni.

Użycie wyrazów w przenośnem znaczeniu bardziej język wzbogaca niż przyswojenie mu nowych; czyni go giętkim i pięknym. Jakże rozmaitego znaczenia w potocznej mowie nabierają takie wyrazy jak światło i ciemność, pogoda i deszcz, jeść i pić. Mówimy np. światło nadziei, światło bije od tronu, w świetle wypadków; albo niejasne zamiary, grosz ciemnego pochodzenia, zaciemniony umysł; albo słońce miłości, twarz pogodna, pod gradem kul, deszcz orderów, gromy nieszczęść, burza oklasków; albo rdza źre żelazo, połykać wyrazy, miecz krwią napojony, kochanek pije spojrzenia i słowa ukochanej itd.

Niemniej i wyraz „bogactwo“ rozliczne w potocznej mowie przybiera znaczenia przenośne. Mówi się np. o bogactwie myśli, poezyi, wyobraźni, wiedzy, wiadomości, wyrażenia; o bogactwie środków, jakimi rozporządza generał, dyplomata, wynalazca; o bogactwie upierzenia ptaków; o bogactwie włosów itp. Ale jak żadnej nie ma obawy aby takie przenośnie w potocznej mowie sprawiły jakieś zamieszanie pojęć co do znaczenia głównych wyrazów, z których wyrosły; tak również i tego wyrazu użycie nie sprawia trudności. Wiadomo bowiem że oznacza tylko obfitość. Dlatego też mówi się tak samo i o t. z. naturalnem bogactwie, jak np. o bogatych pokładach, o bogatej lub biednej ziemi, o bogatym lub biednym kraju, o bogatych lasach, kopalniach, wodach, lub o bogactwie piękności widoków, barw itd. Ale gdy ten wyraz ma coś więcej niż obfitość znaczyć, wtedy już się odnosi do naturalnych korzyści, czyli użyteczności tj. wartości uży-

tkowej — a to już w zasadzie nie ma nic z bogactwem wspólnego. Z głównem, rdzennem znaczeniem wyrazu „bogactwo“, ściśle się wiąże idea produkcyi. Cokolwiek zaś bytu swego nie zawdzięcza człowiekowi — a zatem wszystko co było tu przed nim i będzie po nim — nie może być bogactwem w zasadniczem znaczeniu tego wyrazu. Nie jest również bogactwem i to, co tkwi w samymże człowieku, jako jego ja, chociaż i tu w przenośni można wyrazić obfitość lub użyteczność.

Wyraz „bogactwo“ jeszcze częściej używany w znaczeniu potęgi zamienności, tj. możności rozporządzania natężeniem. O ile zaś dotyczy własności jednostki — niewyłączając jej całej siły kupna — wtedy zazwyczaj jest równoznacznikiem wartości zamiennej. Ale takie użycie istotnie jest tylko zastępczem (reprezentacyjnem) podobnie jak użycie wyrazu pieniądz. Mówimy np. że ktoś ma tyle a tyle pieniędzy, albo tyle a tyle dolarów — ale to jeszcze nie znaczy że on ma tyle prawdziwych pieniędzy. Rozumiemy tylko, że ma to, za coby wzamian mógł otrzymać taką sumę pieniędzy. Takie zastępcze używanie ogólnej nazwy *pieniądz*. albo też poszczególnych jego nazw (jak dolar, frank itd.) wcale nam w codziennem życiu nie przeszkadza rozumieć istotnego znaczenia tego wyrazu. Zapytajmy co to pieniądz, a nikt nie powie że to owce i okręty, ziemia i domy, chociaż często o tych posiadłościach zwykł mówić jakby o pieniądzach.

Tak to wyraz „bogactwo“ wygląda w powszechnem zastosowaniu. Wiele rzeczy nazywamy bogactwem, a tymczasem, wedle istotnego znaczenia tego wyrazu, wcale bogactwem nie są.

Weźmy średnio wykształconego człowieka, ale z umysłem jeszcze niezamąconym wykładami t. z. ekonomii politycznej. Zapytany: co rozumie przez bogactwo? — odpowie po swojemu. Będzie to plątanina;

ale po odrzuceniu z niej różnych przenośni i zastępczych zwrotów, tyle jednak z tego zostanie treści, że zrozumiemy: iż za bogactwo uważa naturalne produkty, ale tak przez zastosowanie pracy zmienione co do miejsca, formy i połączenia, aby je przygotować, a raczej lepiej przygotować do zaspokojenia ludzkich pragnień.

Takie to jest naturalne, prawdziwe znaczenie bogactwa — znaczenie, które nazwałem wartością z produkcyi. I tylko w takiem rozumieniu można tę nazwę brać w ekonomii politycznej, będącej przecie ekonomią społeczeństw czyli narodów. W ekonomii osobistej, o którą w życiu codziennem zazwyczaj chodzi, wyraz „bogactwo“ przeważnie odnosi się do wszystkiego, co ma wartość zamienną; ale gdy go używamy jako nazwy w ekonomi politycznej, musi być ściśle stosowany. W życiu potocznem wiele rzeczy jednostki, mających wartość zamienną, uchodzi za bogactwo, chociaż do ogólnego bogactwa włączyć ich nie można. A dlatego uchodzą za bogactwo, ponieważ ich posiadanie daje osobom i grupom moc osiągnięcia bogactwa; ale same przez się bogactwem nie są, zwłaszcza że ani ich wzrost ani uszczuplenie, wcale nie zmienia sumy ogólnego bogactwa. Do takich zaliczyć należy obligi, hipoteki, promessy, banknoty i inne umowy przekazujące bogactwo. Do takich również należą i przywileje; takimi też byli i niewolnicy, których wartość polegała jedynie na sile, pozwalającej jednym grabić zarobki drugich. Takiemi wreszcie są korzyści, jakie sama daje ziemia, oraz inne, także naturalne korzyści, których wartość wynika z legalnego przyznania pewnym tylko osobom prawa wyłącznej używalności. Takie prawo upoważnia obdarowanego do żądania części wyprodukowanego stąd bogactwa.

Wzrost wartości obligów, hipotek, weksli albo banknotów, nie przysparza bogactwa społeczeństwu —

jeżeli do niego należą zarówno ci, co zobowiązali się płacić, jak i ci, co mają brać. Tak samo powiększenie wartości przywilejów nie może przysporzyć bogactwa społeczeństwu — jeżeli do niego należą zarówno uprzywilejowani, którzy ciągną stąd zysk, jak i nieuprzywilejowani, którzy płacą. Ujarzmienie części ludności także nie mogłoby powiększyć bogactwa ogólnego — gdyż większąby tu była strata słabszych niż zysk silniejszych. Również i podniesienie wartości ziemi nie zwiększa ogólnego bogactwa — bo o ile właściciele ziemscy zyskają wskutek wyższych cen, o tyle znów stracą przez to dzierżawcy, a względnie konsumenci, którzy ostatecznie tę nadwyżkę muszą zapłacić. Jedno pociągnięcie pióra wystarcza aby zniweczyć całą tę wartość, której nie odróżnia się od bogactwa — i która nietylko w pospolitem rozumieniu, nietylko w potocznej mowie, ale nawet w prawodawstwie za bogactwo uchodzi. Rząd może postanowić umorzenie długów, może znieść lub odebrać przywileje, niewolników może wyzwolić, a ziemię znów oddać w posiadanie całego ogółu, przez co by się ani na jotę nieuszczupliło zbiorowe bogactwo — bo co jedni tracą, to drudzy zyskują. Z pewnością ani się uszczupliło, ani się powiększyło przez to, że Elżbieta Tudor obdarowała swych ulubieńców przywilejami, albo że Borys Godunow zamienił chłopów na własność prywatną.

Wszystko co należy do bogactwa, ma wartość; wszystko też z utratą wartości, przestaje być bogactwem. Ale natomiast niewszystkie rzeczy wartościowe są bogactwem, jak o tem błędnie naucza dzisiejsza ekonomia.[1]) Bogactwem są tylko takie rzeczy, których produkcya zwiększa a zniszczenie zmniejsza zbiorowe

[1]) Patrz w 3 wydaniu 1888 r. podręcznik pt. „Ekonomia polityczna“ przez F. A. Walker'a. Autor mówi: Bogactwo obejmuje wszystkie rzeczy wartościowe i nic więcej.

bogactwo. Jeżeli zatem poznamy te rzeczy i ich naturę, wtedy już i bogactwo nietrudno będzie określić.

Jeżeli się np. mówi że pod panowaniem Wiktoryi bogactwo Anglii wzrosło, albo że Kalifornia jest teraz bogatszą niż za rządów meksykańskich, to przecież wcale nie znaczy że tam ziemi przybyło albo że teraz rodzajniejsza — boć ani się rozszerzyła ani też zmieniła. Nie znaczy to również powiększenia ludności; bo gdyby o to szło, mówiłoby się wprost o powiększeniu ludności a nie o wzroście bogactwa. Nie można też przez to rozumieć że długi mieszkańców wzrosły. Mówiąc zatem że się bogactwo powiększyło, rozumiemy przez to pomnożenie rzeczy mających wartość z produkcyi; rozumiemy zatem że przybyło budynków, bydła, narzędzi, maszyn, mineralnych i rolniczych produktów, towarów fabrycznych, okrętów, wagonów, mebli itp. Otóż pomnożenie takich rzeczy jest pomnożeniem bogactwa, a zmniejszenie ich liczby, zmniejszeniem bogactwa. Im więcej przeto społeczeństwo takich rzeczy posiada, tem bogatsze. Ogólną zaś cechą tych rzeczy jest to, że powstały z produktów naturalnych — produktów, które przy pomocy ludzkiej pracy zostały tak przerobione, aby mogły zaspokoić ludzkie pragnienia.

A więc tedy bogactwo — w znaczeniu nazwy użytej w ekonomii politycznej — składa się *z naturalnych produktów, tak przy zastosowaniu pracy ludzkiej dobytych i na odpowiednie miejsce przeniesionych, tak z sobą połączonych i przerobionych, aby jak najlepiej mogły ludzkie pragnienia zaspokoić.*

Czyli innemi słowy, jest to zastosowanie pracy do materyi w ten sposób, aby zgromadzić zapas siły pracy gotowej do zaspokojenia ludzkich pragnień. Nic natomiast nie jest bogactwem co tylko sama natura człowiekowi dostarcza bez udziału jego pracy. Również i wydatek pracy nie może go powiększyć bez namacalnego jej produktu, w którymby przechowała się zdolność za-

spokajania ludzkich pragnień, podobnie jak w węglu przechowuje się siła ciepła słonecznego. Tak samo też ani sam człowiek ani żadna z jego sił, tj. zdolności i talentów; nie mniej żadne jego zobowiązanie co do oddania pracy albo też przejścia jej produktów z rąk do rąk — zgoła nie może stanowić ani nawet cząstki bogactwa. Natura i człowiek — albo raczej, mówiąc językiem ekonomii, ziemia i praca — to dwa niezbędne czynniki, bez których żadne bogactwo nie może być wytworzone. Jest ono przeto wynikiem ich wspólnego działania.

Smith nie dał dostatecznego określenia bogactwa, bo szło mu przedewszystkiem o wykazanie, że ono nie polega wyłącznie na pieniądzach ani szlachetnych kruszcach. Mimochodem wprawdzie dotyka niekiedy i natury bogactwa, ale tu właśnie popada w zamęt. Z tego jednakże, co o tem tu i owdzie w swem „Bogactwie narodów“ powiedział, można już wnosić że i podług niego także bogactwo stanowią płody pracy, które w sobie zachowały pochodzącą z niej zdolność zaspokajania ludzkich pragnień.

W życiu codziennem — zgoła niepytając o pochodzenie wartości rzeczy, i bez względu na rodzaj tych rzeczy — zwykle podciągamy je w czambuł pod jedną nazwę „bogactwo“. A czy ktoś pieniądze prawdziwe czy tylko ich wartość w przedmiotach posiada, najczęściej bez uwzględniania tej różnicy mówi się tylko o sumie tych wartości, jakoby o istotnych pieniądzach. Ale darmoby się kusić o wykorzenienie używania wyrazów w przenośni. A zresztą niewielka stąd szkoda, byle to tylko nie dotyczyło ekonomii politycznej. Jak to już bowiem na wstępie zaznaczyłem, jest to nauka, którą się wszyscy najżywiej interesują. Każdy w społeczeństwie żyjący człowiek ma jakąś swoją ekonomię, chociaż często nic o jej nazwie nie wie. Ale z drugiej strony ze wszystkich nauk, ta właśnie najmniej lu-

dziom znana. Stąd też tem niebezpieczniejsze zbyt luźne stosowanie wyrazu „bogactwo“. Co bowiem w mowie potocznej uchodzi, to w ekonomii politycznej wielką może wyrządzić szkodę.

Oto przykład. Zwyczaj oznaczania własności pieniędzmi, może nie jest sam przez się szkodliwym, o tyle przynajmniej, o ile chodzi o sprawy osobiste. Bo jeżeli się mówi że ten a ten zarabia, dostaje czy też posiada tyle a tyle pieniędzy, toć każdy to dobrze rozumie że nie idzie tu o prawdziwe pieniądze ale tylko o ich wartość. A jednak taki właśnie sposób mówienia, wcisnąwszy się i do ekonomii politycznej, niezmiernie poparł t. z. przez Smitha, merkantylny jej system, czyli to, co dziś nazywamy systemem ochronnym. W krajach z cywilizacyą europejską, system ten przez długie wieki olbrzymi wywierał wpływ na kształt rządów, a i dziś jeszcze na nie wpływa, choć to już z górą 100 lat minęło od ukazania się „Bogactwa narodów.“ Zarówno więc z tego względu jak i dla uniknięcia szkód z przyczyny błędnych pojęć ekonomicznych, (które właśnie wyrosły ze zwyczaju używania wyrazu „pieniądze“, i tam gdzie chodzi nie o nie same ale tylko o oznaczenie ich wartości) — byłby tu pożądany jakiś wyraz nowy, któryby w potocznej mowie zaznaczał tę różnicę między pieniędzmi a ich wartością w przedmiotach.

Różnica między bogactwem a jego wartością.

Jeszcze bardziej w potocznej mowie pożądane uwydatnienie różnicy między bogactwem a jego wartością. Bo o ile brak tu jasno określonego znaczenia nie przynosi szkody w zakresie spraw osobistych, o tyle znów w ekonomii politycznej wyraz „bogactwo“ grozi większym zamętem.

A scholastycy bardzo czuli na zamęt — jaki wywołało w ekonomii politycznej uważanie pieniędzy i ich wartości za jedno — starali się wszelkiemi siłami za-

pobiedz niebezpieczeństwu, jakie groziło w skutek zapożyczenia tej nazwy z mowy potocznej. Co zaś do ekonomicznej nazwy „bogactwo“, to już najpierwsze uniwersytety i kolegia dopuściły używania jej w sposób dozwolony tylko w mowie potocznej, gdy każdy wie co chce przez jakąś przenośnię wyrazić.

A ponieważ zapożyczając takich przenośni, wciąż się w ekonomii politycznej używa nazwy „bogactwo“ w znaczeniu jego wartości, więc byłoby pożądanem aby dla odróżnienia dodawać „bogactwo prawdziwe“ i „bogactwo względne“. Pod określeniem „prawdziwe“ należałoby rozumieć płody pracy, a „względne“ oznaczałoby to, co chociaż samo przez się nie jest bogactwem, ale jako mające wartość, może być na bogactwo zamienione. Ale nieżądając zawiele, przyjdzie chyba poprzestać na zaznaczeniu tylko, że są dwa rodzaje wartości — jedna, która przysparza bogactwa, tj. wartość z produkcyi, i druga, która go nie przysparza, tj. wartość ze zobowiązania.

W społeczeństwach cywilizowanych sumę bogactwa stanowią najrozmaitsze rzeczy, zdolne zaspokajać ludzkie pragnienia. Ale w ekonomii politycznej brak jeszcze nazwy na taki przedmiot bogactwa. Możnaby chyba użyć nazwy „towary“, ale ta by się niezawsze dała zastosować, np. do kolei, do mostów, budynków itp. Są też rzeczy zwykle za bogactwo uważane, ale to dlatego tylko, ponieważ mają wartość zamienną, właściwie jednak bogactwa nie stanowią. Do takich zaliczyć można grunta, obligi, hipoteki, przywileje itd.

Wyraz „dobra“ znów, czasem ma zbyt obszerne znaczenie, bo mówiąc o ogóle dóbr ziemskich, rozumiemy przez to i duchowe dobra; a czasem zbyt szczupłe, gdyż odnosi się tylko do dóbr, czyli wsi. Użyty zaś w liczbie pojedyńczej „dobro“, oznacza raczej własność bezcielesną. Jeżeli więc chodzi o pojedyńczy przedmiot, to już lepiej używać własnej jego

nazwy, stosownie do tego czy to stół, czy pióro, czy coś innego. W razie zaś potrzeby ogólnej nazwy, można ją zastąpić określeniem, mówiąc: przedmiot (lub przedmioty) bogactwa. Zawszeć to lepsze aniżeli tworzenie nowych lub naginanie starych wyrażeń, z czego często powstają dziwolągi, zwiększające tylko zamęt — a stąd jeszcze trudniej zrozumieć o co chodzi, jak tego dowodem np. dzieło prof. Marshall — (Patrz ustęp na str. 107 i 108).

ROZDZIAŁ XVI.

Pochodzenie bogactwa.

Jak powstaje i czem ono właściwie jest.

Powód tego badania. — Bogactwo wynika z natężenia sił pod naciskiem pragnień; ale nie zawsze natężenie wytwarza bogactwo. — Proste przykłady działania, i działania wytwarzającego bogactwo. — Przykład z koniem. — Podział wysiłków ku zwiększeniu bogactwa. — Bogactwo, w istocie swej, jest to zasób usług, które można przekazywać. — O przekazywaniu usług. — Działanie rozumu nie tak pewne i szybkie jak działanie instynktu. — Bogactwo, to usługa oddziaływająca na materyę. — Musi być przedmiotowe i mieć formy namacalne.

Bogactwo — to przecie główny czynnik ekonomii politycznej; trzeba je więc przedewszystkiem dokładnie poznać, abyśmy już potem żadnej nie mieli wątpliwości co do jego natury. Należy zatem jeszcze dokładniej wyjaśnić jak ono powstaje, i czem jest w istocie.

Bogactwo — to owoc wytężenia ludzkiej siły. A że nie z każdego wytężenia powstaje, przyczyną tego nietylko złe skierowanie tych usiłowań, ale także i to, że wytwarzanie bogactwa nie jest ich wyłącznym celem.

Zawsze do czynu pobudzają jakieś pragnienia, jedynie w celu ich zaspokojenia. Ale różne są sposoby tego zaspokajania pragnień. Czasem bywa natychmia-

stowe i osiągnięte wprost, a czasem znów pośrednio tylko i nie zaraz.

Przypuśćmy że zachciało mi się jeść. Zrywam tedy nieco owocu i zaspokajam głód, a u źródła gaszę pragnienie. W obu razach i czyn i zaspokojenie odnoszą się do jednej i tej samej osoby, a następują po sobie natychmiast i bezpośrednio.

Jeżeli jednak chodzi o pragnienie innej osoby, którą trzeba wyręczyć — gdyż ani owocu zerwać ani wody zaczerpnąć nie może sama — to w tym razie jedna osoba oddaje bezpośredni skutek swego działania w formie usługi, a druga tę usługę przyjmuje.[1]) I tu związek przyczynowy między czynem i zaspokojeniem pragnienia, jest bezpośredni i natychmiastowy — związek między dwoma niezależnymi od siebie jednostkami.

Są to dwa typowe przykłady sposobów, jakimi przeważnie zaspokajamy nasze pragnienia. Tak też prawie zawsze i zwierzęta zaspokajają swe potrzeby.

Z wyjątkiem może zwierząt gromadzących sobie zapasy żywności, i z wyjątkiem jakichś oderwanych wypadków — gdy np. drapieżca nie wstanie odrazu pożreć swej ofiary — to wogóle zwierzęta zaraz i wprost zaspokajają swe potrzeby. Ani krowa skubiąca trawę, ani też ptak dla młodych znoszący robaczki, nic zgoła nie czynią tu z celem zaspokojenia swych jutrzejszych potrzeb.

Takie też odręczne zaspokajanie potrzeb, żadnej nie posiada cechy bogactwa. Tam więc gdzieby wszystkie ludzkie pragnienia tylko w taki sposób natychmiast i bezpośrednio były zaspokajane, nie mogłoby być żadnego bogactwa, choćby człowiek nawet naj-

[1]) I w tym wypadku także jest po stronie dającego i pragnienie i zaspokojenie, ale drugorzędne. Pragnie bowiem aby cudze pragnienie zostało zaspokojone, a zaspokajając je, zaspokaja temsamem i własne. Głównym tu jednak celem działania jest zaspokojenie cudzego pragnienia.

większą czynność rozwinął, i choćby mu dzika natura wszystkiego obficie dostarczała.

Ale człowiek — to istota rozumna, więc nie poprzestając na zaspokojeniu tylko potrzeb dzisiejszych, ogląda się także na jutro, i odpowiednio swe środki przystosowywa. Wie przecież że się jeszcze nieraz pragnienia objawią, zachowuje więc cząstkę, aby sobie zabezpieczyć ich zaspokojenie na jutro albo nawet i na całe lata. Może więc powiększy źródło, może zbuduje naczynie aby niem wody nanosić, a może nawet i kanał przekopie albo rurę założy. W tych wypadkach byłaby to czynność dla zaspokojenia pragnień, ale zaspokojenia nie zaraz i nie wprost, lecz pośrednio i dopiero kiedyś w przyszłości.

Nic podobnego nie ma w życiu zwierząt (z wyjątkiem zwierząt gromadzących zapasy). A to coś na potem zachowane jest właśnie bogactwem. Obejmuje ono płody naturalne, ale co do swej formy, składu i miejsca, (dzięki ludzkiej pracy), tak zmienione, aby mogło lepiej zaspokoić ludzkie pragnienia.

Charakterystyczna to cecha bogactwa, że skutek działania — podjętego w celu zaspokojenia pragnień — ujęty w stałe, namacalne formy, może być przechowany i dopiero później dobyty czy to w celu użycia czy też ulepszenia, jeżeli zaspokojenie pragnień wymaga większego nakładu pracy.

Przypuśćmy że dwaj towarzysze jadą na jednym koniu, ale na zmianę. Skoro Jan ujedzie kawałek, konia uwiąże i dalej pędzi pieszo. Tymczasem Kuba już konia dopadł, odwiązuje go i wymija znów Jana, aby tak samo konia dla niego zostawić nieopodal. I tak dalej na przemian jadą sobie aż do końca.

Otóż to zostawianie konia dla użytku drugich, bardzo przypomina sposób, w jaki zdolność zaspokajania pragnień jest przywiązaną do bogactwa, z którego ją każdy brać może w miarę potrzeby.

Weźmy np. chleb. Tu najpierw potrzebny wysiłek dla uprawy, zebrania i zmelenia zboża, a potem dopiero upieczenia chleba. A każda z tych głównych czynności powiększa bogactwo, gdyż po użyciu części na zaspokojenie głodu, reszta została (jak ów przywiązany koń) w zapasie na później.

Zboże więc jest przedmiotem bogactwa, ponieważ wyraża wysiłek pracy zużytej na zasiew i zbiór, a wkońcu na doprowadzenie go do formy, w jakiej już może zaspokoić pragnienia — czy to przez spasienie inwentarzem, przerobienie na mączkę lub spirytus, czy przez wypiek chleba.

Mąka również jest przedmiotem bogactwa, bo wyraża wysiłek pracy zużytej nietylko na zasiew i zbiór, ale i na zmelenie jeszcze. Co zaś do chleba, to ten wyraża nadto i dodatkowy jeszcze wysiłek pracy na upieczenie, czyli przygotowanie go już w formie odpowiedniej na zaspokojenie pragnień.

Ale pojęcia bogactwa niepodobna ograniczyć tylko do zadowolenia pragnień, chociażby nawet do tego się odnosił i zamiar i skutek. Konieczny tu jeszcze stopień pośredni, na którymby dalsze usiłowania można powstrzymać, zachowując je w zapasie gotowe do późniejszego użytku nietylko tych, którzy wysiłek pracy ponieśli, ale i innych. Jeżeli np. dziś zerwę owoc aby dopiero jutro zaspokoić pragnienie, wtedy nie będzie to już bezpośredni skutek usiłowań, ale tylko skutek usługi; usługi, którą co prawda sam sobie wyświadczam, niemniej jednak będzie to usługa, jak gdyby tu o kogoś innego chodziło.

Jeżeli więc chcemy pojęcie bogactwa rozszerzyć, to należy wybrać nazwę wyrażającą zasadę usługi bez ograniczenia jej rodzaju. Istotnie bowiem usługa jest podstawą pojęcia bogactwa — ale usługa ujęta w formę. Czy to używamy bogactwa, czy je wymieniamy, dajemy lub bierzemy — zawsze tam na spodzie tkwi usługa.

A wyraz ten każe przypuszczać istnienie przynajmniej dwóch osób — jednej, która ponosi nakład wysiłków, i drugiej, której pragnienia zostaną przez to zaspokojone — co właśnie jest ostatecznym celem.

Na usługach życie nasze się opiera. A doraźne, bezpośrednie zaspokojenie jakiegoś pragnienia — to pierwsza i najprostsza ich forma. Ale wtedy bardzo ograniczony zakres oddawania, przyjmowania lub wymiany usług — bo te od razu cały nakład pracy wyczerpują. Przeciwnie zato działalność przysparzająca bogactwa nie od razu się zużywa, lecz w zapasie przechowana, utajona w przejściowej namacalnej formie, czeka aż w potrzebie posłuży na zaspokojenie czyichś pragnień.

W pierwszym więc razie siła ludzkiego działania — to jakby błyskawica; w drugim zaś — podobna do akkumulatora przechowującego nagromadzoną w nim siłę elektryczności dla późniejszego użytku.

I wobec naszej wysokiej cywilizacyi zdarza się, co prawda, wymiana doraźnych bezpośrednich usług, ale granice jej tak szczupłe, że gdyby to był jedyny sposób zaspokajania potrzeb cudzych, to cywilizacya byłaby wtedy niemożliwą, a nawet wprost człowiek nie mógłby istnieć na żadnym szczeblu rozwoju.

Mogę komuś oczyścić buty, przypuszczając że za to zostanę ogolony; albo też mogę mu opowiedzieć jakąś historyę w nadziei, że za to usłyszę śpiew. A możliwość takiej wymiany jeszcze się nieco zwiększa przez to, że choć już oczyściłem buty i opowiedziałem historyę, tamten jednak dopiero kiedyś mi zaśpiewa lub ogoli mnie za to, albo też ogoli nie mnię lecz tego, komu odstąpię to moje prawo do obiecanej mi usługi. Ale oczywiście, wymiana usług w ten sposób możliwa dopiero wtedy, gdy one ucieleśnione zostały w namacalnych formach, i — już jako bogactwo — mogą przechodzić z rąk do rąk, zawsze gotowe zaspokajać pragnienia.

A więc takie przeobrażanie pracy w bogactwo, wielce nam ułatwia nawet zamianę takich usług, które nie mogą być w bogactwo przeobrażone, ponieważ je się bezpośrednio oddaje drugiej osobie. Potrzebuję np. aby mi odniesiono rzeczy albo list, ale nie mogę się zato niczem wywzajemnić, gdyż posłaniec żadnej odemnie usługi na razie nie potrzebuje, ani też ja sam zresztą niemiałbym na to czasu. Ale dzięki bogactwu, i tu wymiana przy jego pośrednictwie możliwa. Za usługę bowiem daję jakiś przedmiot bogactwa, albo też coś (pieniądz), co je zastępuje, i co każdy znów może u innych wymienić na bogactwo albo też na bezpośrednie usługi. W taki to, i tylko w taki sposób, staje się w świecie cywilizowanym możliwą wymiana licznych bezpośrednich usług. Bez bogactwa przeto nawet wyobrazić sobie trudno, jakby to ludzie mogli sobie nawzajem pomagać więcej aniżeli to czynią zwierzęta, jak np. małpy, które się wzajemnie z much oganiają.

Jak najpierw muszą być pszczoły zanim może być miód, tak również musiał się najpierw pojawić na świecie człowiek zanim było jakiekolwiek bogactwo — ponieważ tylko on je wytwarza. A chociaż człowiek nieobdarzony instynktem robienia bogactwa — tak jak np. pszczoły mają instynkt robienia miodu — to jednak dzięki swemu rozumowi, wytwarza je z niemniejszą pewnością i tak naturalnie, że w zwykłych warunkach życia, nie ma chyba człowieka zupełnie bogactw pozbawionego.

Podstawą tedy pojęcia bogactwa jest działanie pracy na materyę, czyli zdolność świadczenia usług, zdolność ujęta w namacalnej formie. Niektórzy wprawdzie dzisiejsi ekonomiści mówią o niematerialnem bogactwie, ale to jest tak już samo w sobie sprzeczne, jak gdyby ktoś dowodził że koło jest kwadratowe a kwadrat trójkątny. W rzeczywistości bowiem nic niemoże być przedmiotem bogactwa, co nieposiadając form

cielesnych, temsamem pod nasze zmysły niepodpada. W ścisłem też znaczeniu tej nazwy, niemożna również do bogactwa zaliczać zgoła żadnych ciał naturalnych, żadnych form ani sił, niezmienionych przez pracę ludzką. Również do bogactwa nie należą ani żadne siły człowieka ani nawet jego zdolność do pracy. Mówić przeto o naturalnem bogactwie, albo uważać za bogactwo przymioty człowieka, jego wiedzę lub energię — to sprzeczność zasadnicza.

ROZDZIAŁ XVII.

Bogactwo zwane kapitałem.

Co to właściwie za bogactwo, zwane kapitałem.

Kapitał jest częścią bogactwa, pośrednio użytego na zaspokojenie pragnień. — Prosty przykład z owocem. — Bogactwo pozwala zachować pracę w zapasie. — Wół i człowiek. — Natężenie i jego wyższe siły. — Osobistych przymiotów nie można uważać za bogactwo, a względnie i za kapitał. — „Taboo“ i jego nowoczesne formy. — Pospolite pojęcia bogactwa i kapitału.

Jak widzieliśmy, nie całe bogactwo zużywa się na zaspokojenie pragnień; znaczną jego część obracamy na wytwarzanie znów innych form bogactwa — i ta to właśnie część zowie się kapitałem.

Kapitał więc różni się od bogactwa jedynie tylko sposobem zużycia. Kiedy bowiem bogactwo zaspokaja pragnienia wprost, to kapitał zaspokaja je tylko pośrednio, przez przyczynianie się do wytwarzania innych bogactw.

Mówiłem już o bogactwie, jako o namacalnym skutku, o zmysłowem ucieleśnieniu pracy zużytej w celu zaspokojenia pragnień — ale zaspokojenia, które jeszcze nie nastąpiło. Dodajmy jeszcze, że jeżeli ten namacalny skutek pracy czyli bogactwo, będzie zużyte nie wprost dla zaspokojenia pragnień, czyli na konsumpcyę, ale w celu wytworzenia innego bogactwa, to wtedy stanie się tem, co nazywamy kapitałem.

Kapitał więc — to bogactwo przeznaczone nie na ostateczne użycie czyli zaspokojenie pragnień, ale na wytworzenie nowego bogactwa, aby niem te pragnienia w większej mierze zaspokoić.

Kto zerwie i zaraz też zjada owoc, ten zużywa swą pracę aby wprost i w najprostszej formie zaspokoić swe pragnienia. Zostały też zaspokojone; ale praca, jaką przytem wytężył, zużyta cała od razu; nic z niej nie pozostało na zaspokojenie pragnień w przyszłości. Gdyby jednak, niepoprzestając na zaspokojeniu pragnień chwili, zachował też nieco owocu i na później, to miałby on w tej zachowanej cząstce namacalny skutek pracy w zapasie, tak jak np. zachowuje się energia przez naciągnięcie cięciwy aby strzałę dopiero później wypuścić, albo przez podniesienie kamienia, aby go dopiero później rzucić. A ten zapas pracy — czyli ten zachowany owoc — to bogactwo, i jako takie zostanie aż do chwili użycia na zaspokojenie potrzeb, albo dopóki nie ulegnie zepsuciu.

Ale człowiek, posiadając bogactwo w formie zachowanego owocu, może jego potęgę zużyć w inny sposób. Przypuśćmy że je podzielił na 3 części, i że z tych jedną tylko przeznacza na zjedzenie, drugą zaś wymienia na inny przedmiot bogactwa, a trzecią obraca na nasienie, aby w przyszłości mógł łatwiej i obficiej zaspokajać swe pragnienia takiego owocu.

Niby wszystkie trzy części są porówno bogactwem, a jednak tylko pierwsza z nich jest właściwem bogactwem, gdyż jej użycie odpowiada ostatecznemu celowi wszelakiego bogactwa — celowi zaspokojenia pragnień. Natomiast dwie pozostałe części — to już nie zwyczajne bogactwo, to już kapitał; ponieważ użyte zostały w celu wytworzenia więcej albo otrzymania innego bogactwa, które z kolei posłuży na zaspokojenie pragnień.

Wszelki kapitał jest bogactwem, ale nie każde bogactwo jest kapitałem.

Kapitał — to bogactwo użyte do wytworzenia albo więcej albo też innego bogactwa. Jest to w zapasie zachowana praca jeszcze niezużyta na zaspokojenie pragnień, ale przeznaczona do wytworzenia więcej bogactwa dla przechowania go jako zapasu pracy.

A taki zaspas pracy umożliwi znów dalsze wytwarzanie bogactwa. Człowiek przez to staje się niezależnym od czasu; może bowiem niekoniecznie zaraz ale dopiero później, w miarę pragnień, zużyć swą pracę na ich zaspokojenie. Używając bogactwa jako kapitału, powołuje się do działania dawniejsze natężenie pracy, jako pomoc obecnym. W ten sposób człowiek może ją skupiać na danem miejscu i w danej chwili, używając niekiedy i sił natury, które o wiele przewyższają jego własne siły.

Oto np. byk przez naturę obdarzony twardą czaszką i ostremi rogami, może całą swą siłę skierować na jeden punkt. W ten sposób wywiera jej maksimum przeciw minimum oporu. Tymczasem upośledzony człowiek może mu, co najwyżej, przeciwstawić swój kułak, który jest niczem w porównaniu z rogami byka. Ale przez przemianę pracy na kapitał — czy to w postaci dzidy, czy łuku, czy wreszcie i broni palnej — człowiek może w potrzebie nieomal całą siłę swego ciała, nawet i na mniejszym punkcie w jednej chwili skupić, może nawet użyć sił większych niż jego własne, a to dzięki mechanice i chemii.

Słowem — bogactwo to praca podniesiona do drugiej potęgi, a to przez ujęcie jej w formy namacalne i zachowanie w zapasie, co ją pozwala użyć na zaspokojenie pragnień i w innym czasie i w innem miejscu. Kapitał zaś — to ta sama w zapasie zachowana praca, ale podniesiona jeszcze wyżej, bo aż do trzeciej potęgi, ponieważ pomaga do wytworzenia nowego bogactwa.

Kapitał jest tylko odmianą bogactwa, a nic oprócz bogactwa nie może być kapitałem. I do kapitału więc także odnoszą się wszystkie zastrzeżenia i ograniczenia, zazwyczaj stosowane do nazwy „bogactwo". Również przeto osobistych przymiotów — takich jak wiedza, zdolność lub umiejętność — nigdy nie można uważać za kapitał. W mowie potocznej, co prawda, często się nazywa kapitałem coś, co ma właścicielowi przynieść krzyści podobne do tych, jakie daje kapitał; ale w ekonomii politycznej używanie takich przenośni nie uchodzi, gdyż mogłoby się stać powodem poważnych nieporozumień, jak o tem świadczą liczne tego przykłady w dziełach.

Mówiąc o nieprawdziwem bogactwie, nadmieniłem już że posiadanie przywilejów, niewolników, papierów publicznych, promessów, hipotek itp. może wprawdzie dla jednostki znaczyć tyle co posiadanie kapitału, w rzeczywistości jednak nie może to istotnego kapitału stanowić. Wszystkie publiczne długi całego świata nic zgoła nie mogą się przyczynić do powiększenia kapitału, i ani na jotę niezdolne pomódz do wytworzenia bogactwa. Większa też część tego, co w sprawozdaniach rządowych uchodzi za kapitał w nakładzie dróg żelaznych itp. jest tylko poprostu przechwałką. Kapitał w znaczeniu ekonomii, to namacalna, materyalna rzecz — czyli materya odpowiednio zmieniona co do miejsca, formy i warunków, i zastosowana do pomocy w pracy około wytwarzania bogactwa czy też usług bezpośrednich.

Weźmy tu przykład z życia wyspiarzy hawajskich. Przypuśćmy że za czasu pogaństwa, najwyższy ich wódz, narwawszy sobie owocu, mógł się najeść do syta, a potem, nic nie schowawszy na później, ogłosić drzewo jako „taboo" (święte, nietykalne. P. tł). Ale może mu to na jedno wyszło, bo w skutek tego zakazu, pewno się zaraz zgłosili ochotnicy, gotowi na-

czelnikowi dostarczyć jakąś część zbioru, wzamian za przywilej rwania owocu z tego drzewa. Ale gdyby nawet i wódz na tem dobrze wyszedł, to jednak nie był to skutek jednaki dla społeczeństwa jako całości. Wódz bowiem otrzymał wprawdzie owoce pracy, ale tylko przez zagrabienie ich drugim.

A natura siły pogańskiego „taboo“ jest podobną do natury chrześciańskiego prawa własności ziemi. Syn hawajskiego misyonarza, legalnie zająwszy grunta w posiadanie, może tak samo jak ów wódz, wymagać części bogactwa czyli kapitału za przywilej pracowania na jego ziemi. Dla niego więc posiadanie tej możności wymagania, tyle znaczy co bogactwo albo kapitał, ale dla społeczeństwa jest niczem. Nie zwiększa bowiem ani sumy produkcyi ani też siły wytwórczej w przyszłości; może mieć jedynie wpływ na rozdział tego, co, dzięki innym czynnikom, zostanie wytworzone.

Część istotnego bogactwa stanowi kapitał, a co nie jest bogactwem, nie może też być i kapitałem. To jasne, i łatwo znajduje potwierdzenie w potocznej mowie; trzeba tylko wziąć na uwagę zasadnicze, pierwotne znaczenie wyrazów. Oto co w „Postęp i nędza“ mówię:

„Gdyby 12 inteligentnych osób, które nigdy eko-
„nomii politycznej nie czytały, zapytano: które z istnie-
„jących przedmiotów prawdziwego bogactwa (w danym
„czasie i w danem społeczeństwie) uważają za kapitał,
„to zapewne nie różniłyby się w zdaniu. Pieniądze np.
„przeznaczone na interes lub spekulacyę, uznanoby
„jako kapitał; ale natomiast nie uznanoby za kapitał
„pieniędzy przeznaczonych na utrzymanie domu. Część
„zbiorów rolnika, przeznaczoną na sprzedaż, odsiew
„i ordynaryę, uznanoby za kapitał; ale nie uznanoby
„za kapitał części przeznaczonej na wyżywienie wła-
„snej rodziny. Konie i powozy dorożkarza uznanoby
„za kapitał; ale nie uznanoby za kapitał koni i powozu

„trzymanego dla własnej wygody. Niktby też za ka-
„pitał nie uznał ani fałszywych włosów na głowie ko-
„biety, ani cygara w ustach palacza, ani zabawki już
„w ręku dziecka będącej; ale zapas włosów u skła-
„dnika, cygaro w składzie cygar a zabawkę w składzie
„zabawek — bez namysłu uznanoby za kapitał. Ubra-
„nie zrobione na sprzedaż uznanoby za kapitał; ale
„nie uznanoby za kapitał ubrania zrobionego na wła-
„sny użytek. Zapas żywności w ręku restauratora,
„uznanoby za kapitał; ale niktby nie uważał za kapi-
„tał zapasów w śpiżarni domowej itd. Przykłady te
„już chyba wystarczą na potwierdzenie zdania Smitha:
„że „tę część zasobów człowieka, która ma mu przy-
„nieść dochód, należy uważać za jego kapitał". Pomi-
„nąwszy omyłkę, którą popełnił, zaliczając osobiste przy-
„mioty do bogactwa; pominąwszy również błędne za-
„liczenie do niego i pieniędzy — trzeba przyznać że
„trudnoby lepiej niż Smith, wymienić przedmioty sta-
„nowiące kapitał."

Oddzieliwszy bogactwo będące kapitałem od bogactwa, które nim nie jest, przekonamy się, że ta różnica nie zależy ani od charakteru bogactwa lub jego zdolności, ani też od przeznaczenia — ale poprostu od tego: czy jest czy nie jest w posiadaniu konsumenta.[1]) Takie więc przedmioty bogactwa, które — albo same albo ich użytki czy też ich produkty — czekają jeszcze na wymianę, są kapitałem, a znajdujące się już w ręku konsumenta, nie są kapitałem. Jeżeli zatem określimy

[1]) Pieniądze należy uważać za będące już w ręku konsumenta, jeżeli przeznaczone na to aby posłużyły do ułatwienia zaspokojenia pragnień. Same wprawdzie nie mogą pójść na konsumpcyę, ale będzie skonsumowanem bogactwo, które zastępują.

Mówiąc tu o pieniądzach, mam, rzecz prosta, na uwadze monetę; bo chociaż pieniądze papierowe mogą ją w każdym wypadku zastąpić, nie stanowią jednak bogactwa, a temsamem nie mogą być też i kapitałem.

kapitał jako *bogactwo w trakcie wymiany*,[1]) to już łatwo nam wtedy przyjdzie odróżnić przedmioty stanowiące kapitał od tych, które go nie stanowią. Pod to określenie zaliczyć też wypadnie wszelkie narzędzia, będące kapitałem. Narzędzie bowiem także może być przedmiotem kapitału albo przedmiotem bogactwa — stosownie do tego, czy jego usługi tj. użytki mają czy nie mają być wymienione. A więc toczydło fabrykanta użyte do wyrobu rzeczy, które mają być zamienione, jest kapitałem, ale nie jest nim toczydło służące tylko do użytku domowego.

Za kapitał trzeba uważać bogactwo użyte na budowę dróg żelaznych, telegrafu, teatru, hotelu itd. bo można powiedzieć że jest w stanie wymiany, która wprawdzie nie nastąpiła i odrazu nie nastąpi, ale będzie się odbywać wciąż po trochu i z nieoznaczoną liczbą ludzi. Wprawdzie i konsumenci nie są właścicielami kolei, telegrafu itd. ale z nich tylko od czasu do czasu użytkują, niemniej jednak jest to wymiana.

Określenie to nie przeczy pojęciu, że kapitał jest częścią bogactwa przeznaczoną na dalszą produkcyę. Byłoby to zaiste zbyt ciasne zrozumienie produkcyi, gdybyśmy ją ograniczali jedynie do wyrobu rzeczy; gdyż za produkcyę uważać też należy i dostarczenie tych rzeczy konsumentowi. Kupiec i składnik — to tak samo producenci jak fabrykant albo rolnik; a ich kapitał również poświęcony produkcyi.

Ale niewarto się tu rozwodzić nad funkcyami kapitału; później je łatwiej przyjdzie określić. Nie jest też zbyt wielkiej wagi proponowane określenie kapitału. Nie piszę tu zresztą podręcznika; próbuję tylko odkryć prawa rządzące wielkiem społecznem zagadnieniem.

[1]) Nietylko w znaczeniu przejścia z rąk do rąk, ale także i w znaczeniu przeobrażeń, jakie mogą nastąpić przy zastosowaniu sił natury do powiększenia bogactwa.

A cel mój uważać będę jako osiągnięty, jeżeli zdołałem ułatwić czytelnikowi wyrobienie jasnego poglądu na znaczenie rzeczy dotyczących kapitału.

Nakoniec zaznaczyć należy to, o czem się zbyt często zapomina: że co się odnosi do oderwanych, w ekonomii politycznej używanych nazw — takich jak bogactwo, kapitał, wynagrodzenie itp. — odnosi się także do całej klasy rzeczy, których dotyczą. Nic przeto co do nich nie można ani przyznać ani zaprzeczyć ogólnie, czegoby nie można przyznać ani zaprzeczyć całemu rodzajowi rzeczy przez nie objętych. Pomijanie tego było właśnie powodem niemałego zamieszania pojęć, i pozwala uchodzić za oczywistą prawdę fałszom, któreby inaczej łatwo można dostrzedz. Pamiętajmy więc że bogactwo — to nazwa oderwana; i że pojęcie bogactwa zawiera też w sobie pojęcie zamienności.

ROZDZIAŁ XVIII.

Dlaczego ekonomia polityczna zajmuje się tylko bogactwem.

Ekonomia polityczna dotyczy wszelkich stosunków jednostki ze społeczeństwem.

Ekonomia polityczna niektóre usługi pomija. — Wskutek wartości odbywa się zamiana usług na usługi. — Ich zakres i zadanie.

Ekonomia polityczna — to „nauka zajmująca się naturą bogactwa, oraz prawami rządzącemi jego produkcyą i podziałem.“ A więc głównym jej przedmiotem — bogactwo. Ale ono właściwie nie jest ani wyłącznym skutkiem lub ostateczną przyczyną, ani też granicą lub jedynym celem ludzkiej pracy. Celu jej nie można uważać za osiągnięty, dopóki bogactwo nie zostało zużyte na zaspokojenie pragnień. Bogactwo bowiem samo przez się jest tylko jakby stanem przejściowym, czemś pośredniem, rodzajem śpichrza z zapasami na drodze między podnieceniem pragnienia a jego ostatecznem zaspokojeniem. Bogactwo — to niby jakiś przystanek na drodze do zaspokojenia pragnień, gdzie się praca w tej formie zatrzymuje i gdzie czeka aż do chwili jej zapotrzebowania na ostateczne zużycie. Ale bywają też wysiłki z tym samym celem podejmowane, a jednak całkiem omijają przejściową formę bogactwa.

Dlaczegóż zatem ekonomia polityczna zajmuje się tylko produkcyą i podziałem bogactwa? Przecież produkcya i rozdział zaspokajania ludzkich pragnień, to także przedmiot godny nauki. Jeżeli więc określenie ekonomii odnosi się do bogactwa w rozumieniu materyalnego zaspokajania potrzeb przez materyalne usługi, to dlaczegóż pomija usługi, które nie przybierają form namacalnych?

Ale nie jest tu mem zadaniem tworzenie nowej nauki; pragnę tylko wyjaśnić i sprostować to, nad czem już sobie niejeden głowy nałamał. Chcę zatem, o ile można, używać tu nazw już utartych, a wtedy jedynie zboczę ze starych dróg, gdy to będzie zbyt widocznem że prowadzą do błędu, jak tego już dość mamy przykładów.

A zresztą może się jeszcze przekonamy, że produkcya i rozdział bogactwa dotyczy także produkcyi i rozdziału zaspokajania pragnień.

Nie wszystkie wysiłki podjęte dla zaspokajania pragnień zaliczają się do bogactwa; ale zalicza się to, co w wysoko cywilizowanych społeczeństwach większą ich część stanowi, i jest jakby miejscem zamiany, gdzie się oddaje usługi poświęcone nie produkcyi bogactwa, ale zapewnieniu sobie zaspokajania pragnień.

I tak — golibroda, śpiewak, lekarz, aktor, nie wytwarzają bogactwa ale świadczą tylko bezpośrednie usługi. A ich usiłowania skierowane głównie do tego, aby sobie wzamian zapewnić bogactwo. I między nimi samymi każda wymiana też odbywa się za pośrednictwem bogactwa. Czyli że aktor nie płaci swemu balwierzowi biletami do teatru, a lekarz nie jest zniewolony słuchać pieśni wzamian za swe wizyty u śpiewaka — i na odwrót, ani balwierz strzyżeniem i goleniem, ani też lekarz receptami, nie płacą za teatr czy koncert. Zwykle każdy z nich oddaje swe usługi wzamian za bogactwo albo za to, co je zastępuje i co znów może

sobie każdy wymienić na potrzebne mu usługi. W cywilizowanem społeczeństwie tylko wyjątkowo i nader rzadko się zdarza bezpośrednia wymiana usługi na usługę. A możemy dodać że prawa rządzące produkcyą i podziałem usług, zasadniczo są takie same, jakie rządzą produkcyą i podziałem bogactwa. A zatem pokazuje się że w ekonomii politycznej wszystko da się wyjaśnić, jeżeli tylko podstawą badań będzie natura bogactwa i praw rządzących jego produkcyą i rozdziałem.

Ekonomia polityczna ma swe zadanie i swój własny zakres; a nie jest i nie może być nauką ogólną. Już dawno te czasy minęły, kiedy można było całą wiedzę ludzką ogarnąć; coraz się bardziej rozpada na pojedyńcze gałęzie. Nawet i teraźniejsza nauka polityczna (The science of politics) chociaż niby to blizko pokrewna, a jednak już się bardzo wyróżnia od ekonomii politycznej. Ale pominiemy tu już wiele innych jej odłamów, traktujących o stosunku człowieka do reszty osobników jego rodu i o stosunkach w których żyje.

ROZDZIAŁ XIX.

Bogactwo ze stanowiska moralności.

Wzajemny stosunek bogatych i biednych; i dlaczego Chrystus stanął po stronie biednych.

Bogactwo samo przez się nie jest tak złem, za jakie je niektórzy chcą uważać. — Kto prawdziwie bogaty, a kto prawdziwie biedny? — Wzajemna ich zależność. — Właściwe znaczenie nauki Chrystusa.

Jak to już powiedziałem, żądza bogactwa (w znaczeniu ekonomicznem) nie jest naganną. Owszem, przeciwnie, jest ono zupełnie właściwie przedmiotem pragnień i usiłowań ludzkich. Bo aby je zdobyć, trzeba się starać opanować naturę. Już więc sam cel tak szlachetny podnieca do tego, aby się wszelkiemi siłami starać o powiększenie naszych sił czyli naszej wiedzy. Tym tylko sposobem wzniesiemy się po nad poziom życia zwierzęcego; nikt bowiem nie może powiększyć swego bogactwa (w znaczeniu pospolitem) przez powiększenie wartości z produkcyi, o ile zarazem nie uczyni czegoś dla innych.

Skądżeż więc to pochodzi, że bogactwo zwykle dziś ze stanowiska moralności uważa się nieomal za coś zdrożnego? Głoszono już że nie należy go pożądać, że prawie nie należy go dotykać. Już nawet i ze szczytów wiedzy przemawiano o niem pogardliwie, jeżeli nie wprost z odrazą. I na czemż to wkońcu opiera się zdanie, że ekonomia polityczna — będąca nauką o naturze produkcyi i wymianie bogactw — po-

winna być ogólnie uważaną za wstrętną naukę samolubstwa?

Zaczepiwszy o tę sprawę, musimy w nią wniknąć głębiej aniżeli to dotychczas czyniono.

Gdzie granica między bogatym a biednym?

Za bogatego uchodzi ten, kto posiada wiele rzeczy wartościowych, albo raczej wiele bogactwa; czyli ten kto wiele ma władzy rozporządzania cudzem bogactwem. Biednym zaś nazywamy tego, kto mało albo wcale nie posiada takich wartości. Ale gdzie granica między jednym a drugim? Żadnej nie ma wyraźnie zakreślonej; i człowiek zwykle za bogatego lub biednego uważany stosownie do stopnia wygód i przyjemności życia, jakich zażywa jego towarzyskie koło. U chłopów właścicielka trzech krów, to bogaczka; a wśród eskimosów już kilka wędek jest skarbem. I w New Yorku niebrak takich, którzy mając na nocleg i śniadanie, w oczach swych towarzyszów uchodzą za magnatów. Ale z drugiej strony taki np. Vanderbilt mówi, że człowiek mający tylko milion, zaledwie z kredką w ręku może sobie żyć tak wygodnie, jak gdyby istotnie był bogatym.

A więc możnaby wnosić że żadnej nie ma granicy, którąby nam z pewną ścisłością naukową pozwalała mówić że ten bogaty a ten znów biedny. A chodzi tylko o granicę, którąby nam wszędzie i we wszelkich warunkach życia pozwalała rozróżniać bogatego od biedaka; czyli że chodzi o jakąś granicę naturalnego posiadania. Poniżej takiej granicy byłyby już różne stopnie nędzy, a powyżej znów różne stopnie bogactwa. Sądzę że musi być taka granica.

Ekonomia ściśle rozróżnia usługi bezpośrednie od pośrednich w formie bogactwa; ale my tu zapomnijmy na chwilię o tej różnicy, i tak jak się ułamki sprowadza do wspólnego mianownika, nazwijmy je w czambuł usługą tylko. Szukajmy teraz czy nie ma tam owej

naturalnej, normalnej granicy posiadania albo korzystania z tych usług? Oczywiście że jest. Jest to mianowicie linia przeciągnięta między tem, co się daje a tem co się otrzymuje wzamian — czyli równowaga, którą Konfucyusz określił jednem złotem słowem „Wzajemność“. Usługi bowiem, do których członek społeczeństwa może rościć sobie prawo, muszą być tylko równoważnikiem tych usług, które sam wzamian odda innym członkom. Tu zatem biegnie owa normalna granica między t. z. zamożnością a nędzą. Ten kto może rozporządzać większą ilością obcych usług od tej, jaką sam wzamian oddać zmuszony, jest bogatym. Biednym natomiast jest ten, kto rozporządza mniejszą ilością usług aniżeli sam oddaje albo pragnie oddać.[1]) Jeden tedy ma więcej a drugi mniej niż mu się należy. Bogaci i biedni idą zawsze obok siebie. Istnienie warstwy bogaczów pociąga za sobą istnienie nędzarzy — i odwrotnie. Zbytek z jednej a niedostatek z drugiej strony — są to nieuniknione następstwa, wzajemnie jedno z drugiego wynikające. Oceniając ten stosunek ze stanowiska moralności, przyszłoby bogaczów nazwać rabusiami, gdyż conajmniej korzystają z rabunku.

Oto zapewne przyczyna, dlaczego Chrystus zawsze stawał po stronie biednych, okazując niechęć ku bogatym. A nie był on przecie tak w słowach nieoględnym, jak to niektórzy chrześcijanie sądzą. Jednakże podług Jego filozofii, jest nawet lepiej samemu być obrabowanym niż rabować. W królestwie sprawiedliwości, o którem nauczał, nie ma być ani bogatych ani biednych. Byłoby to zresztą niemożliwe, gdyż bogactwo i nędza, to wynik tylko opacznego układu rzeczy. Powiedział zresztą że: łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne aniżeli bogaczowi dostać się do królestwa

[1]) Człowiek nieraz chce pracować, a nie ma pola do pracy.

niebieskiego. Jest to prawda obyczajem wschodnim obrazowo wyrażona, niemniej tak oczywista jak to, że równoległe nigdy się z sobą spotkać nie mogą. Nie ma przecie, nie może być miejsca dla niesprawiedliwości tam gdzie tylko sprawiedliwość panuje. Gdyby się więc nawet i udało człowiekowi jakoś tam wcisnąć, to już chyba samemu tylko, gdyż nie mógłby ze sobą zabrać swego bogactwa — tej mocy rozporządzania usługami drugich, bez oddawania im usług nawzajem. Jeżeli bowiem w królestwie niebieskiem nie może być biednych, nie może też być i bogatych.

Jest to więc zgoła niemożliwe, tak na tym jak i na każdym innym świecie, usunąć niesprawiedliwość nędzy bez jednoczesnego usunięcia niesprawiedliwego posiadania. Słowo to niewątpliwie trudno przyjdzie przełknąć czułym dobrodziejom, którzy, mówiąc w przenośni, radziby zasiąść po prawicy u Boga, nierozgniewawszy też i dyabła. — Ale niemniej jest to prawdą.

ROZDZIAŁ XX.

O trwałości bogactwa.

Bodaj że wartości ze zobowiązania trwają dłużej aniżeli wartości z produkcyi.

Wartość z produkcyi i wartość ze zobowiązania. — Pierwsza materyalna a druga wymarzona. — Druga trwalsza. — Przechwałka Shakespeare'a. — Budynki Mecenasa i ody Horacyusza. — Dwie obecnie istniejące wartości. — Wartość przywilejów i ziemi trwalsza niż złoto i drogie kamienie. — Rozwój społeczny przyczyną zniszczenia. — Ostateczne wyniki.

Jedynie wartość z produkcyi stanowi bogactwo w znaczeniu ekonomii politycznej, podczas gdy wartość ze zobowiązania nie jest zgoła żadnem; i w najlepszym razie może chyba uchodzić tylko za bogactwo względne, w przeciwstawieniu do prawdziwego. Ale prócz tego zachodzi między temi wartościami jeszcze i inna, także ważna różnica, a mianowicie co do ich trwałości i wpływu, jaki na nie wywiera rozwój społeczny.

Jak woda dąży do oceanu z którego wyszła, tak też i rzeczy posiadające wartość z produkcyi, jako materyalne, dążą tam, skąd wyszły, tj. że tak powiem, do rezerwoaru natury. Znaczna część bogactwa wytwarza się z celem konsumpcyi, powodującej bezzwłoczne zniszczenie. A chociaż innego rodzaju konsumpcya książki lub obrazu — bo tu chodzi tylko o czytanie lub oglądanie — jednak i książka i obraz także,

pod wpływem działania żywiołów, ulegają mechanicznemu i chemicznemu rozkładowi, aż wkońcu całkiem znikają, ¦i to mimo bezustannej pracy i starań aby je podtrzymać.

Zato przedmioty mające wartość niewypływającą z pracy lecz tylko nadaną im przez ludzkie prawa, umowę albo zwyczaj, istnieją dłużej tam, skąd wyszły, tj. w umyśle, woli — w dziedzinie ducha ludzkiego. Papier użyty dla ich przekazywania, ogłaszania lub ujawniania, sam przez się rzeczy tu nie stanowi, jest tylko pomocniczym środkiem dla pamięci. Nie jest też istotą długu sam oblig lub promessa, ale moralne zobowiązanie. Również istotą przywileju nie sam pisany dokument ani akt ciała prawodawczego, lecz wola monarchy, teoretycznie wyrażająca niby wolę ogółu. Tak samo i własność ziemi nie polega na zapisie hipotecznym ale także na woli panującego albo przypuszczalnej powszechnej zgodzie.

A większa trwałość tych rzeczy pochodzi stąd, że duchowa część człowieka — umysł, wola, pamięć — żyje, podczas gdy ciało, będące materyą, ginie. Stąd też kiedy i dzieła rąk ludzkich jako fizyczne, giną; natomiast trwa piętno umysłowe, podtrzymywane przez tradycyę, wierzenia lub zwyczaj. — Prawdopodobnie najstarszy taki ślad istnienia człowieka odnaleźć można nieraz w żywych jeszcze słowach, w zwrotkach jakiejś kołysanki albo zabawach dziecinnych, które starożytnością pochodzenia nawet i najsilniejsze pomniki przechodzą. Nie była to więc próżna jakaś przechwałka Shakespeare'a, gdy prorokował że jego dzieła przetrwają marmury i spiże. Wszak pyszne gmachy Romy, wzniesione przez potężnego ministra Augusta, nie uwieczniły jego pamięci, ale zato cały świat zna jeszcze imię Mecenasa, dzięki tylko odom Horacyusza.

Podobnie się dzieje i z wartością ze zobowiązania. Chociaż nie jest bogactwem, a mimo to trwalsza od

tej, która prawdziwe bogactwo stanowi. Prawo teraz ogranicza czas ważności zobowiązań dłużnych, są jednak wybiegi pozwalające obejść to prawo. A zresztą nie brak też wartości podobnej natury, prawnie uważanych jako wieczyste, jak np. niektóre długi publiczne, przywileje lub nadania ziemi. Te mogą zachować swą wartość, i to bez żadnego uszczuplenia, podczas gdy wciąż się zmniejsza lub znika wartość całej masy przedmiotów bogactwa.

Wartość własności ziemi.

Jakże już mało bogactwa Anglii z przed 200 lat! A i ta nieskończenie drobna tylko cząstka, jaka się jeszcze dochowała, zawdzięcza to jedynie troskliwej opiece i bezustannej pracy około utrzymania tych zabytków. Ale natomiast wtedy zaciągnięte długi publiczne Anglii, jeszcze i teraz mają wartość. Również moc swą zachowały pensye wieczyste ulubieńcom nadane przez królów, którzy już od wieków w proch się rozsypali. Tak samo też i przywilej przedstawiania do godności kościelnych, albo prawa rybołówstwa i targu oraz inne specyalne przywileje. Taki nawet przywilej żeglugi na rzece New River, a w wielu miejscowościach przywilej wyłącznego użytkowania z ziemi, ogromnie zyskały na wartości, chociaż utrzymanie tych rzeczy żadnych nie wymagało zachodów; owszem, przeciwnie, właściciele wciąż ciągnęli z nich zyski kosztem innych mieszkańców Anglii, którzy przez pokolenia muszą stąd ponosić trudy i przykrości. A te przywileje nietylko nic na swej wartości nie straciły, ale przeciwnie, w wielu wypadkach znacznie zyskały.

Tymczasem ze wszystkich przedmiotów wartościowych, jedne chyba tylko drogie kruszce i kamienie najdłużej swą wartość zachowują. Bezwątpienia nie jeden z klejnotów lub ozdób starych jeszcze do dziś choć część swej dawnej wartości zachował; ale są to rzadkie i niezbyt ważne wyjątki. Dłużej natomiast i stalej

trwa wartość przywiązana do własności ziemskiej, chociaż ta nie jest zgoła żadnym przedmiotem bogactwa. Kawałek ziemi w górach Sabińskich, który Mecenas podarował Horacyuszowi, bezwątpienia już i przedtem był od wieków sprzedawany i kupowany, a i do dziś jeszcze zachował swą wartość. Podobnież i z placami Rzymu. Niektóre z nich — przetrwawszy różne koleje losów miasta — do dziś jeszcze zachowały swą wartość — czasem może niższą, niekiedy znów wyższą, ale zawsze ją mają.

Z powodu też tej trwałości wartości, prawnicy odróżnili własność ziemską, nadając jej miano „prawdziwej“ (real estate) chociaż zgoła żadnem bogactwem nie jest. Jej wartość trwa tylko tak długo, dopóki jest ludność w tej okolicy; i dopóki zwyczaj czy też prawo zapewnia specyalny przywilej używalności.

A między przedmiotami bogactwa i przywilejami zachodzi jeszcze jedna ważna różnica. Oto wartość pierwszych zmniejsza się a nawet i znika w miarę rozwoju społecznego, a natomiast wzrasta wartość drugich.

Rozwój społeczny bowiem — to wzrost ludności, powiększenie rozmiarów wymiany, udoskonalenie sposobów pracy, a stąd stała dążność do zmniejszenia kosztów produkcyi, więc do ciągłego obniżania wartości wielkiej masy już istniejących przedmiotów bogactwa a mających wartość z produkcyi. A co więcej że niekiedy nawet całkowicie i nagle te wartości znikają pod wpływem rozwoju społecznego. Tak ostatniemi laty była wciąż, i to znacznie obniżana w ten sposób wartość prawie wszystkich płodów pracy; nowe zaś odkrycia, wynalazki i ulepszenia, bardzo niekiedy obniżają wartość kosztownych maszyn. A z drugiej znów strony — w skutek wzrostu ludności i powiększenia wytwórczej siły pracy — niezmiernie się też podniosła wartość przywilejów i własności ziemskiej, przy głównych traktach i w środowiskach życia położonej.

Stąd też ogólna suma bogactwa, jakie kiedykolwiek istniało, jest znacznie mniejszą aniżeli się to zwykle przypuszcza. Ogromna większość ludzi żyje nie z zapasu bogactwa ale z codziennych wysiłków. Ogromna też większość ludzi nawet i w najbogatszych cywilizowanych krajach rodzi się i umiera w biedzie.

Tylko ciągły nakład pracy dostarcza bogactwa. Gdyby praca ustała, zarazby też i bogactwo znikło.

A fakt że wartość ze zobowiązania bez porównania trwalsza niż wartość z produkcyi, niemały wywiera wpływ. Ale przedmiot to zbyt obszerny, aby tu można szerzej o nim mówić. Stwierdza poniekąd przypuszczenia tych, którzy głoszą że świat zmysłowy jest tylko odbiciem świata duchowego; i że się właśnie może okazać: iż to, co nazywamy życiem, jest tylko złudzeniem, a przeciwnie — śmierć rzeczywistością. Wyjaśniałoby to zapowiedziane zmartwychpowstanie, które dla wielu jest zagadką tyle sprawiającą kłopotu.

ROZDZIAŁ XXI.

Stosunek pieniędzy do bogactwa.

Jedne są bogactwem, inne zaś nie.

Kiedy będzie o tem mowa. — Jeszcze niepodobna stanowczo odpowiedzieć. — Jedne są a inne znów nie.

Właściwie, to i ten przedmiot powinien być w tej księdze omówiony. Ale w tej chwili właśnie toczy się tu namiętna walka w sprawie pieniędzy.[1] Rzecz się przez to wikła, i zupełne jej wyjaśnienie może zbyt wiele zajęłoby tu miejsca. A co ważniejsza że te rozprawy oparto na zasadach, które nie byłyby właściwe tam, gdzie mowa o naturze bogactwa; ale znajdą miejsce w następnych księgach, poświęconych produkcyi i jej rozdziałowi. Tu zaś z jednem tylko pytaniem należy się załatwić, a mianowicie: Czy pieniądze są bogactwem?

Na to nie można stanowczej dać odpowiedzi dlatego, że to, co właściwie nazywamy pieniędzmi, jest nie-

---

[1]) Mowa tu o kampanii wyborczej, której osią było starcie teoryi mono i bimetalizmu. Za pierwszą walczyli republikanie ze swym kandydatem na prezydenta Mc Kinley'em na czele, a z drugiej przeważnie demokraci (i część republikanów) pod wodzą Bryan'a. Druga partya żądała przymusowego oznaczenia wartości srebra w stosunku 1 do 16. — Na ogół biorąc Bryan zyskał większą ilość głosów, ale dzięki geografii wyborczej, zwyciężyli go zwolennicy waluty złotej. P. Tłum.

omal w każdym kraju różne. Niektóre z pieniędzy będących obecnie w kursie są bogactwem a inne znów nie. Złota moneta np. Stanów Zjednoczonych i Anglii jest bogactwem, i to aż do stopnia jej obiegowej wartości. Moneta zaś srebrna, miedziana, niklowa, równie jest tam bogactwem ale już nie w pełnych rozmiarach jej obiegowej wartości. Co zaś do pieniędzy papierowych — tak teraz upowszechnionych w świecie cywilizowanym — to te zgoła żadnem nie są bogactwem. Nic bowiem nie może być bogactwem, co nie ma wartości z produkcyi. A wartość ze zobowiązania wcale nie stanowi bogactwa narodów.

Koniec Księgi II.

KSIĘGA III.

Produkcya.

ROZDZIAŁ I.

Znaczenie produkcyi.

Znaczenie i właściwe użycie produkcyi.

Produkcya z tego, co już istniało. — Co innego produkcya a co innego tworzenie. — Inna produkcya niż produkcya bogactwa. — Przez produkcyę rozumie się wszystkie stany jej trwania. — Omyłki co do tego.

Wyraz *produkcya*, pochodzi od łacińskiego *pro*— przed, i *ducere* — ciągnąć; a więc razem dosłownie byłoby *wyciąganie*.

Produkcya, jako nazwa w ekonomii politycznej, znaczy wyciąganie przez człowieka; tj. że on o własnych siłach powołuje coś do życia, daje byt. Ale nie znaczy to wcale że coś stwarza. Stworzyć może tylko siła wyższa niż jego; ta mianowicie, którą nasz rozum zmuszony uznać jako ostateczną przyczynę bytu wszystkich rzeczy.

System słoneczny, świat z całą swoją materyą i zawartemi w niej siłami, ziemia, woda, powietrze, chemiczne powinowactwa, życiowe siły, prawa natury, rośliny i zwierzęta, a wreszcie sam człowiek ze swemi naturalnemi siłami, potrzebami i popędami — wszystko to uważamy jako stworzone. A wszystko takie dokładne — ale jak i stąd się wzięło, tego nie wiemy i nigdy się o tem na pewno nie dowiemy tu na ziemi. To tylko można powiedzieć że nic z tych rzeczy bytu swego nie zawdzięcza człowiekowi; że to wszystko już

istniało zanim on sam się pojawił; że wreszcie są to materyały i siły, od których jego byt zależy, bo z nich wszelka jego produkcya pochodzi. A ponieważ nie mogło to wyniknąć z samej materyi ani z samej energii ani też z żadnego połączenia obu tych pierwiastków — musi zatem pochodzić z czynnika początkującego, który różni się i od materyi i od energii — jako duch.

Niczego zatem, co zostało stworzone, nie można — w znaczeniu ekonomicznem — uważać za produkcyę. Człowiek, to nie stwórca; nie wstanie dać początku, zrobić coś z niczego. Jest on tylko producentem — czyli że jedynie zmienia to, co już istniało. Cała jego robota, to tylko wytwarzanie — zmiana co do formy, miejsca lub stosunków, zgodnie z prawami przyrody, których ani zapoczątkował ani też nie zmienił, i które już na świecie zastał. Cała jego produkcya oparta na tem, co już znalazł, i co niezależnie od niego istnieje. A ta podstawa, ten naturalny, czyli bierny czynnik — którym i na którym on działa jako czynny czynnik produkcyi — w nauce ekonomii politycznej zowie się ziemią.

Wyraz *produkcya*, w znaczeniu ekonomicznem użyty, miewa niekiedy szersze a czasem znów ciaśniejsze znaczenie aniżeli w potocznej mowie. Ponieważ produkcya, — którą ekonomia polityczna głównie się zajmuje — jest to produkcya bogactwa, więc takie też ma znaczenie ekonomiczna nazwa *produkcya*. Ale są także i inne rodzaje produkcyi, jak o tem już w poprzedniej księdze nadmieniłem.

Czyszczę sobie buty; golę się; gram albo też uczę się grać; piszę poemat albo śledzę obyczaje pszczół; wreszcie czytam choremu. Zaspokajam tedy pragnienia, rozbudzam swoje siły lub też wzbogacam wiedzę, bądź swoją, bądź cudzą — ale to nie jest produkcya bogactwa. I ci więc, którzy się takim zajęciom poświęcają, ściśle biorąc, nie produkują bogactwa. Ale to jeszcze

nie znaczy że nic nie produkują. Byłoby błędem tak twierdzić. Nie produkują wprawdzie bogactwa, są jednak producentami — i to czasem nawet producentami najwyższego rodzaju. Produkują oni pożytki i zadowolenie; a jako tacy, nietylko że są producentami tego, ku czemu bogactwo jest jedynie środkiem — ale nawet pośrednio mogą się przyczynić do powiększenia takowego.

Ale jest jeszcze i coś innego, na co tu wypada zwrócić uwagę.

Przewóz i wymiana to także produkcya.

Wyraz *produkcya*, często w potocznej mowie oznacza tylko pierwsze okresy procesu produkcyi, bez uwzględnienia dalszych. Często bowiem producentami nazywamy tylko pracujących przy wydobywaniu materyału lub nadawaniu mu kształtów, pomijając zajmujących się przewozem lub wymianą.

Takie zastosowanie nazwy *produkcya* może być odpowiedniem tylko tam, gdzie chodzi o rozdzielenie czynności. Ale w takiem znaczeniu nie można tej nazwy wprowadzać do ekonomii politycznej. Bo w ekonomicznem znaczeniu nazwy *produkcya* — i przewożący i wymieniający są producentami na równi z wydobywającym i kształtującym, jak wogóle każdy, który się tu czemkolwiek przyczynia. Roznoszący lub sprzedający gazety, w zwykłem rozumieniu niby tylko rozdziela bogactwo, a tymczasem w ekonomii politycznej, uchodzi za produkującego bogactwo. Chociaż jego udział ostatni w produkcyi gazety od początku aż do jej wręczenia odbiorcy, to jednak mimo to, jest takim samym jej producentem, jak fabrykant papieru, jak fabrykant czcionek, redaktor, zecer lub maszynista.

Bo przecież celem produkcyi jest zaspokojenie ludzkich pragnień czyli konsumpcya. Produkcya więc nie jest zupełną, dopóki bogactwo nie zostanie przeniesione na miejsce, gdzie ma być zużyte; gdzie zatem

winno być oddane do rozporządzenia tego, czyje pragnienia ma zaspokoić.

Stąd w ekonomii politycznej przewóz i wymiana uważane za produkcyę. Rozdział bogactwa nie ma w ekonomii politycznej związku z przewozem i wymianą, lecz się zalicza do skutków produkcyi.

Ale najczęściej zapominają o tem zawodowi ekonomiści i uważają wymianę jako rozdział bogactwa a nie jako produkcyę.

ROZDZIAŁ II.

Trzy rodzaje produkcyi.

Cechy zwykłe ale różne rodzaje produkcyi.

Zmiana dokonana wskutek woli świadomej. — Trzy rodzaje produkcyi: zastosowanie, rozmnażanie i wymiana. — To ich naturalny porządek.

Wszelka produkcya, to skutek działania człowieka na zewnętrzną naturę; a zasadza się na zmianie miejsca, kształtów i warunków przy kombinowaniu materyałów tak, aby jaknajlepiej zaspokoić ludzkie pragnienia. A w każdej produkcyi znajdują zastosowanie siły natury — chociaż pierwszą gra tu rolę energia człowieka, kierowana świadomą jego wolą.

Trzy są rodzaje produkcyi. Pierwszy, kiedy człowiek przemienia naturalne substancye przy zastosowaniu sił natury, tkwiących w świecie martwym, już pozbawionym pierwiastku rodzącego; albo też gdy ten pierwiastek jeszcze jest, ale w takich warunkach, że człowiek skorzystać z niego nie może. Świat ten dostarcza mu siły ciężkości, siły ciepła, światła, elektryczności, chemicznego przyciągania i odpychania — słowem wszelkich sił przyrody, mających zastosowanie w produkcyi bogactwa — z wyjątkiem siły rodzącej.

Łatwiej tu przyjdzie pojąć tę różnicę sił, jeżeli przypomnimy sobie Robinsona Crusoe na zupełnie odludnej wyspie, mającego jednak pochodzące z okrętu

zapasy narzędzi i żywności, ale tak już zepsutej i przyrządzonej, że nieprzydatna już do rozmnażania. Przypuśćmy także iż znalazł tam np. psa, kozę lub inne zwierzęta, ale pojedyńczo. Nie podobna wreszcie aby na wyspie żadnego nie było śladu życia — choćby tylko owadów i roślin albo niższych gatunków ryb i ptaków — ale Robinson może nie umiał lub też nie chciał ich rozpładzać. Mógł on jednakże i bez pierwiastku rodzącego produkować bogactwa już przez samą tylko zmianę miejsca i kształtów lub przez różne kombinacye tego, co już było na okręcie i na wyspie. Mógł bowiem wszystko to w ten sposób przygotować, aby lepiej jego potrzebom odpowiadało. Jako też powynosił on z okrętu potrzebne mu rzeczy, a przez zmianę ich miejsca i kształtów zbudował sobie chatę i czółno, zrobił żagle, sieci, ubranie itd. Mógł już zatem łowić ryby, mógł polować na zwierzynę i ptactwo, albo mógł je łapać w sidła; mógł już nawet z surowych materyałów przyrządzać sobie lepsze potrawy. Czyli że i bez rozmnażania roślin i zwierząt, był już w stanie żyć.

Taki rodzaj produkcyi — z natury swej mechaniczny a oparty na zmianie miejsca, kształtów i warunków tego co już istnieje — możnaby nazwać *zastosowaniem.*

Tak produkuje rybak, myśliwy, górnik, mechanik, szmelcarz, tragarz, a także rzeźnik lub ujeżdżacz koni — ale nie hodowca. Tak samo też produkujemy, dobywając węgiel, a przez dalszą zmianę jego miejsca, powiększamy bogactwo, przenosząc je tam, gdzie już bywa zużyte dla zaspokojenia ludzkich potrzeb. Również tak samo produkujemy, przerabiając drzewo na budulec i deski, zboże na mąkę a buraki na cukier; albo też kiedy z rudy dobywamy metale i łączymy je, aby otrzymać mosiądz, bronz itp.; lub wreszcie kiedy włókna przerabiamy na tkaniny, a te znów na ubranie,

worki, żagle itd.; albo nakoniec, kiedy z różnych materyałów, nadając im odpowiednie kształty, budujemy maszyny, narzędzia, okręty, domy. Słowem, wszystko to, co w ściślejszem znaczeniu, pospolicie zowie się wyrobem albo (gdy na większą skalę) fabrykacyą, jest wykonane przez zastosowanie pracy — i to jest ów pierwszy rodzaj produkcyi *zastosowanie*.

Życiowa siła natury wytwarza bogactwo dla człowieka.

W północno-zachodnich stanach, mówią często „fabrykować zboże“, a w zachodnich „robić wieprza“, w południowych zaś „robić bawełnę“, lub „robić tabakę“, zamiast plantować. Ale zawsze takie miejscowe wyrażenia mają oznaczać produkcyę. Ścisłe jednak ich znaczenie różne aniżeli np. właściwa fabrykacya mąki, kiełbas, cygar lub bawełny (nici). Człowiek wprawdzie buduje zdumiewające maszyny, ale jego siła stosowania ograniczona. Niezdolny już ani zbudować takiej maszyny, któraby mogła sama budować znów podobne maszyny, ani też nie może zrobić bodajby najmniejszego ziarnka zboża, któreby się tak jak naturalne rozmnażało. „Zrobienie“ czy „zfabrykowanie“ najmniejszej z takich rzeczy, równie dlań niepodobne, jak „zrobienie“ świata lub „zfabrykowanie“ systemu słonecznego.

Drugi sposób produkcyi polega na zużytkowaniu życiowej czyli rozpłodowej siły natury — siły, która człowiekowi pomaga przy wytwarzaniu bogactwa. Sadząc i siejąc rośliny a hodując zwierzęta, możemy je nietylko rozmnażać ale często i uszlachetniać. Ten drugi sposób produkcyi najwłaściwiej nazwać *rozmnażaniem*.

Tak produkuje rolnik, hodowca, ogrodnik, a także — przynajmniej do pewnego stopnia — piwowar i gorzelnik.

Trzeci rodzaj produkcyi, właściwy ludziom cywilizowanym.

Pierwszy polega na wyzyskaniu sił i własności wszelkich rzeczy materyalnych; drugi na zużyciu sił i własności istot żyjących — roślin i zwierząt; a ten trzeci polega na użyciu siły, albo pierwiastku czy skłonności człowieka rozumem obdarzonego — skłonności do *wymiany* czyli *handlu*.

Ta to właśnie wyróżniająca go od zwierząt skłonność, jest źródłem ludzkiego rozwoju. A przez to nietylko że — dzięki wymianie — staje się możliwem zużytkowanie najpotężniejszych sił ludzkiego i naturalnego czynnika, ale zdaje mi się że nawet już sama przez się wymiana powoduje zwiększenie bogactwa. Gdyby nawet pominąć sposób w jaki ona wpływa na zwiększenie sił tamtych sposobów produkcyi, to już niezależnie od tego, sama stanowi trzeci rodzaj produkcyi.

Każdy przecie z zamieniających pragnie dostać — i w zasadzie dostaje — więcej niż dał. Czyli że dostaje coś, co dlań większą przedstawia wartość, czyli większą siłę pracy zużytej dla zaspokojenia pragnień. Przez zamianę więc następuje istotne powiększenie sumy bogactwa, czyli istotnej jego produkcyi.

Przypuśćmy np. że kupiec dotarł ze swym okrętem do jakichś wyspiarzy podbiegunowych, i swe wędki, harpuny, noże, proch, broń, różne świecidełka wymienia z nimi na skóry. Każda ze stron dostaje tu wzamian przedmioty kosztujące stosunkowo bardzo mało pracy, a które jednak kosztowałyby znacznie więcej, gdyby je przyszło innym sposobem produkcyi zdobywać. Tu obie więc strony zyskują. Pomijając zatem przewóz (należący do pierwszego rodzaju produkcyi) zwiększyło się przez wymianę bogactwo obu stron i ogólna suma bogactwa świata.

Nazwijmy ten trzeci rodzaj produkcyi — *wymianą*.

A tak produkuje kupiec hurtowy i detaliczny oraz jego pomocnicy; tak również produkuje przewożący towary i jego pomocnicy.

Są tedy 3 rodzaje produkcyi: 1.) *Zastosowanie*, 2.) *Rozmnażanie* i 3.) *Wymiana*.

Trzy te sposoby występują w porządku tu wskazanym — i to w miarę rozwoju społecznego, w miarę wzrostu potrzeb i środków ich zaspokajania — a zawsze pod wpływem ekonomicznego prawa: że ludzie dążą do zaspokajania swych potrzeb kosztem jaknajmniejszego wysiłku. W pierwotnym stanie życia najprostszym sposobem zaspokajania potrzeb, jest zastosowanie tego, co już istnieje. Na wyższym zaś stopniu cywilizacyi, gdy człowiek już wiedzie życie osiadłe, przez rozmnażanie lepiej i łatwiej może pewne swe potrzeby zaspokajać. A w okresie trzecim, w świecie już cywilizowanym, ludzie niewątpliwie mogą pewne swe potrzeby i lepiej i łatwiej zaspokajać przez wymianę, która się nie da w takiej mierze osiągnąć gdy jednostki ekonomicznie jeszcze niepowiązane.

ROZDZIAŁ III.

Ludność a środki wyżywienia.

Ludność ma się niby rozmnażać prędzej niż środki wyżywienia.

Teorya Malthusa.

Nie zawadzi tu przedewszystkiem rozważyć: czy istnieje jakie prawo natury ograniczające produkcyę. W imię teoryi Malthusa, scholastycy twierdzili jakoby istniało prawo natury powodujące szybszy wzrost ludności aniżeli środków wyżywienia. Ta nader dla bogatych wygodna teorya długo była podstawą uznanej ekonomii politycznej; pozwalała bowiem składać na to całą odpowiedzialność za wszelkie zło, za przestępstwa i wszelkie cierpienia wynikające z niesprawiedliwości, będącej plamą cywilizacyi naszych czasów. Dowodzono jakoby wynagrodzenie pracy zależało od jej stosunku do kapitału. Upowszechnione to mniemanie opierano na zasadzie renty; a mianowicie na tem, że po za pewną granicą, ziemia — przy zastosowaniu kapitału i pracy — daje coraz mniejsze zyski. Teorya ta — w zestawieniu z teoryą o uszlachetnianiu gatunków drogą doboru — najwyższej nabrała wagi i długo uchodziła za kardynalną zasadę. Nawet umysły jasne ulegały jej wpływowi.

W „Postęp i nędza“ aż 4 rozdziały poświęciłem tej teoryi, i tam też odsyłam tych, którzyby chcieli bliżej poznać jej naturę i bezpodstawność. Tu zaś wyjaśnię tylko to, czego tam jeszcze dostatecznie nie wyjaśniłem odnośnie do teoryi prawa zmniejszania się zysku z rolnictwa.

ROZDZIAŁ IV.

Mniemane prawo zmniejszania się dochodów.

Czem właściwie jest owo prawo.

J. S. Mill o jego ważności. — Stosunki i natura tego prawa. — Reductio ad absurdum służy tu za dowód. — Spór czy to fałszywe pojęcie ogólnego prawa natury co do przestrzeni.

Zobaczmy przedewszystkiem: co od czasu Smith'a wybitniejsi ekonomiści uważają za najważniejsze prawo produkcyi a zatem i całej ekonomii.

Jest to t. z. „prawo zmniejszania się produkcyi", albo raczej, ściśle mówiąc, „prawo zmniejszania się dochodów z rolnictwa".

O tem J. S. Mill mówi:

„Ogólne to prawo dotyczące rolnictwa jest naj-
„ważniejszą zasadą ekonomii politycznej. Gdyby to
„prawo było inne, inną by też była i produkcya oraz
„rozdział bogactwa aniżeli obecnie."

Taki to pogląd widzimy u najwybitniejszych ekonomistów; podzielają go także późniejsi scholastycy, jak prof. Walker i prof. Marshall, oraz Mill i jego poprzednicy. Wynika to ze stosunku, w jakim owo mniemane prawo stoi do obecnych pojęć o prawie renty; a zwłaszcza z poparcia, jakie ono zdaje się dawać teoryi Malthusa.

Stąd też, jako nieuniknione następstwo prawa zmniejszania się dochodu z rolnictwa, Mill mówi:

„Wszędzie, gdzie tylko produkcya rolna wyszła „już z pierwotnych granic, tam zwiększenie zapotrze- „bowania żywności, będące skutkiem wzrostu zaludnie- „nia, (a o ile nieulepszono sposobów produkcyi) zawsze „przy równym rozdziale, zpowoduje zmniejszenie udziału „jednostki.

... „Stąd ważny wniosek: że potrzeba liczebnego „ograniczenia ludności nie wynika, jak to wielu mnie- „ma, z wielkiej nierówności podziału własności. Na „żadnym też stopniu cywilizacyi większa ludność nie „może być zbiorowo tak dobrze wyżywioną jak mniej- „sza. A więc skąpstwo przyrody a nie jakaś niespra- „wiedliwość społeczna jest tu źródłem nędzy, nieod- „łącznej od przeludnienia.

„Niesprawiedliwy rozdział bogactwa nawet nie po- „garsza złego; co najwyżej jest przyczyną tego, że się „zło nieco wcześniej odczuwa. A darmoby tu mówić „że przy wzroście ludności, każdy nowy żołądek przy- „sparza też i rąk. Nowe żołądki przecie wymagają „tyleż pożywienia co i dawniejsze, a nowe ręce nie „produkują jednakowo.“

Oto jak straszne stąd wnioski — wnioski, które zaiste mogą doprowadzić do zwątpienia o sprawiedliwości Stwórcy. Upoważniają nawet do przypuszczenia że to jakiś bardzo nieroztropny stwórca, boć nawet żaden człowiek nie spraszałby liczniejszych gości aniżeli może nakarmić.

O samem zaś prawie Mill dalej tak mówi:

„W pewnym, ale jeszcze dość wczesnym okresie „rozwoju rolnictwa — wtedy mianowicie, kiedy już czło- „wiek zaczął uprawiać ziemię przy pomocy jakich ta- „kich narzędzi — daje się spostrzegać prawo dotyczące „produkcyi rolnej: że — bez względu na umiejętność

„uprawy — zwiększony nakład pracy nie zwiększa od-
„powiednio jej owoców. W dwójnasób np. zwiększona
„praca nie daje drugie tyle produkcyi. Czyli innemi
„słowy: że zwiększenie produkcyi osiąga się przez
„większy niż stosunkowy nakład pracy."

Znaczenie i natura przestrzeni i czasu.

„To prawo zmniejszania się dochodów z rolnictwa — dalej wyjaśnia — do-
„tyczy także i górnictwa, oraz wogóle
„wszelkiej produkcyi materyałów surowych, tj. pro-
„dukcyi dającej charakter bogactwa temu, co jeszcze
„niem nie było; nie dotyczy jednak dalszego przemysłu,
„który tylko zwiększa bogactwo tego, co już poprze-
„dnio bogactwem było. Skoro zaś to prawo nie do-
„tyczy wyższego stopnia produkcyi, stąd wniosek że
„zwiększenie pracy (i kapitału) w fabryce np. daje
„odpowiednio zwiększone a nawet i większe dochody.
„Aby zaś wykazać niezbity, zasadniczy dowód
„istnienia tego prawa zmniejszania się dochodów z rol-
„nictwa, mówią że gdyby nie ono — tj. gdyby właśnie
„zwiększenie nakładu pracy zwiększało też stosunkowo
„i wydajność tego samego obszaru ziemi — to w takim
„razie możnaby na jednej farmie tyle wyprodukować,
„że wystarczyłoby tego na wyżywienie całej ludności
„Anglii lub Ameryki, a choćby nawet i całego świata —
„a to jedynie przez większy nakład pracy."

Twierdzenie to, zda się, ogólnie było przyjęte przez zawodowych ekonomistów, jako silne *reductio ad absurdum* i powszechnie je uznano za równej doniosłości jak i twierdzenie Malthusa: że gdyby wzrost zaludnienia nie napotykał także zwiększonych przeszkód w zdobywaniu środków wyżywienia, to świat by się niebawem tak przepełnił, że chybaby człowiek na człowieku stać musiał.

Uważniej się tu zastanowiwszy, musimy przyjść do przekonania: że cała ta logika, którą uważano za

tak niewzruszoną, i na której te dowodzenia oparto, polega jedynie na najbłędniejszem pojęciu. Nie istnieje bowiem żadne podobne prawo w szczególności dotyczące zmniejszania się produkcyi rolnictwa lub górnictwa, czy też z wyzyskania czynników naturalnych pochodzącej. To zaś, co mylnie za takie prawo poczytano, jest w rzeczywistości tylko ogólnem prawem, odnoszącem się zarówno do rolnictwa jak przemysłu i handlu. A jest ono niemniej ogólne jak i prawo dotyczące wszelkiego materyalnego bytu i ruchu w świecie organicznym i nieorganicznym.

Wykaże się to jasno gdy wieźmiemy na uwagę stosunek przestrzeni do produkcyi. Aby jednak dokładnie zbadać ten stosunek — co zresztą przyda się na później — spróbuję tu najpierw określić znaczenie natury przestrzeni i czasu.

ROZDZIAŁ V.

O przestrzeni i czasie.

Rozum człowieka zawsze jednaki i, w granicach dla niego dostępnych, można na nim polegać.

Moje zadanie. — O metafizyce. — Niebezpiecznie brać nazwy za rzeczy. — Przestrzeń i czas, to nie rzeczy ale ich stosunki. — Nie mogą mieć przeto niezależnego początku ani końca — Poeci, kaznodzieje i filozofowie. — Kant. — Schoppenhauer. — Tajemnice i sprzeczności, wynikające tylko z zamieszania pojęć co do znaczenia słów. — Rozum ludzki i rozum odwieczny. — Filozofowie będący tylko sztukmistrzami słowa.

Wziąłem sobie za zadanie wyjaśnić naukę ekonomii politycznej tak, aby ją nawet każdy przeciętny ale uważny czytelnik mógł zrozumieć. Dlatego to, o ile możności, unikałem wszystkiego, cokolwiek trąci metafizyką.

Jest to wprawdzie nauka o stosunkach uznanych przez rozum, stała się jednak równoznacznikiem tego, co nie może być zrozumiane. Stąd się też urobiło mgliste wyobrażenie o jakimś świecie leżącym po za granicami zwykłego rozumu i rozsądku.

Dotarłszy jednak do jądra zamieszania pojęć w współczesnej nauce ekonomii politycznej, i chcąc je uporządkować, wypada nam koniecznie określić tu istotne znaczenie dwóch pojęć należących do metafizyki — pojęcia przestrzeni i czasu. Brak bowiem jasnego tu

określenia, utrudnia już nietylko wykład samej nauki ekonomii politycznej ale nawet i wyższej filozofii.

Wszelka materya może bytować tylko w przestrzeni i czasie.

Stąd to istnieje też w przestrzeni i czasie produkcya bogactwa, zawsze polegająca na przemianie rzeczy materyalnych co do ich miejsca i stosunków tak, aby lepiej zaspokajały ludzkie pragnienia.

Może się to komuś wyda prawdą zbyt oklepaną, faktem tak ogólnie znanym że zbyteczna tu już o nim mówić. A jednak wiele się o tem narozprawiano, niemało też było zamętu stąd że ekonomiści to pomijali. Dlatego więc — chcąc zacząć budowę od położenia silnych podwalin — trzeba się przedewszystkiem jasno na tym punkcie porozumieć.

Stoimy tedy u samego jądra metafizyki, tam gdzie wykład tego, co uchodzi za najwyższą filozofię, jest właśnie najbardziej zawiłym i bałamucącym.

Należy zatem wszelką zachować tu ostrożność. Używając bowiem słów za środek wyrażania myśli, bardzo łatwo przytem pobłądzić co do ich właściwego przedmiotu, biorąc za rzeczy to, co ma tylko ich własności i stosunki wyrażać.

Wprawdzie i wyraz jest niby rzeczą, gdyż mając językową formę, może być już sam przez się także przedmiotem myśli, nie stanowi jednak samej rzeczy, którą ma tylko wyrażać, i która, po za jego formą, ma być jedynie właściwym przedmiotem myśli.

Dzięki tylko formie wyrazów, możemy je okiem i uchem odróżniać; ale one niezależnie od swej formy, nie mogą być same przez się przedmiotem myśli. Wyrazy też często sprzeczne mają znaczenie; dawać zaś nazwę tylko ich formie, znaczyłoby to dawać nazwę temu, o czem możnaby jedynie przy pomocy słów myślić, a to już byłoby zaprzeczeniem (negacyą) czyli żadną rzeczą, tj. po prostu niczem.

Jest to tylko sztuczka często dziś uchodząca za najwyższą filozofię; sztuczka, którą się spotyka i u Platona, w tem zwłaszcza, co kładzie w usta Sokratesowi.

Zachodzi też i połączenie wyrazów oznaczających sprzeczne pojęcia, np. „nizko wysoki“, „naokoło kwadrat“ albo też określenia bezmyślne jak „czwarty wymiar przestrzeni.“

Dlatego też najrozumniej posiłkować się tu wyrazami obcymi językowi ojczystemu, lepiej jednak odpowiadającymi nauce. Długo też używano łaciny i greckiego, a w teozofii dobrze celowi odpowiedział sanskryt.

Przestrzeń i czas nie mają bytu materyalnego.

Przestrzeń i czas — to pojęcia nie rzeczy istniejących ale tylko stosunków między jedną a drugą rzeczą istniejącą. Przestrzeń jest stosunkiem odległości czyli miejsca między rzeczami, o czem można mówić: blizko, daleko, stąd, tam; a czas znów jest stosunkiem następstwa jednej rzeczy po drugiej, o czem można mówić: przedtem, potem, teraz, wtedy.

Myśląc o przestrzeni, trzeba zarazem pomyśleć i o dwóch punktach miejsca. Aby zaś módz sobie wytworzyć pojęcie o stosunku rozciągłości czyli odległości między niemi, koniecznie potrzebny jeszcze i trzeci punkt, któryby tu służył za miarę tego stosunku.

Myśląc zaś o czasie, musimy zarazem pomyśleć i o dwóch punktach — pojawiania się i znikania. A chcąc sobie jasne wytworzyć pojęcie o tym stosunku następstwa jednej rzeczy po drugiej, konieczny jeszcze i trzeci punkt, któryby tu służył za miarę tego stosunku.

A ponieważ przestrzeń i czas, to nie rzeczy istniejące lecz tylko wyrazy stosunku rzeczy uważanych za takie, nie możemy przeto mieć pojęcia o ich początku i końcu, bez samych rzeczy.

Przestrzeń tedy jest stosunkiem rzeczy co do miejsca, a czas znów co do następstwa ich pojawiania się i znikania, czyli ich trwania. Dwa te wyrazy właściwie oznaczają te stosunki tak, jak np. stosunki form i liczb w matematyce, które wyrażają istotny stosunek rzeczy tam, gdziekolwiek te istnieją; albo też domniemany stosunek rzeczy tam, gdziekolwiek ich istnienie tylko domniemane.

Jak niepodobna sobie wyobrazić kwadratu o nierównych bokach; albo żeby całość mogła się nie równać sumie swych części: tak samo też zgoła niepodobna sobie wyobrazić początku i końca przestrzeni i czasu, bez wyobrażenia sobie początku i końca rzeczy, których stosunki wyrażają. Kusić się o to, byłoby to to samo, co chcieć wyobrazić sobie cień bez przedmiotu. Byłoby to, słowem, chcieć wyobrazić sobie nic — czyli byłoby to wprost zaprzeczenie myśli.

Jeżeli się mówi *jakaś* przestrzeń, albo *ta* przestrzeń, czy też *pewien* czas, albo *ten* czas — każdy rozumie o co tu chodzi, bo stosunek rzeczy wyrażony przez *skąd*, *dokąd*, *przedtem*, *potem*, *kiedy*. Ale jeżeli powiemy tylko *przestrzeń*, *czas*, wtedy już te słowa będą wyrażać pojęcie przestrzeni i czasu wogóle.

Zwyczaj brania wyrazów za znaczenie rzeczy istniejących same w sobie, prowadzi tu do zapomnienia że przestrzeń i czas, to tylko nazwy pewnych stosunków rzeczy i łatwo je można było wziąć za same rzeczy tak, że tylko nazwy (a nie rzeczy) będą przedmiotem myśli.

Tak więc przyjmuje się tu w duchu same wyrazy za coś materyalnie istniejącego, coś, co ma oznaczać przestrzeń — coś niepochwytnego, w rodzaju powietrza czy eteru, w którym się wszystko nurza; a czas znów za coś, co jakby strumień, bezustanku płynie i wszystko z sobą unosi.

Z takiego sposobu wyobrażania sobie przestrzeni i czasu możnaby wnosić że musiały mieć początek — czyli że dawniej wcale ich nie było; a temsamem, że muszą istnieć jakieś granice, poza któremi już nie ma ani przestrzeni ani czasu. Skoro się jednak o tem pomyśli zaraz też na myśl przychodzi jakaś pierwsza, jeszcze dawniej już istniejąca rzecz. I bez względu jak daleko sięgają nasze przypuszczenia, przekonywamy się że je można jeszcze dalej posunąć. Czyli że zawsze myśl o czemś pierwszem, pozwala myśleć jeszcze o czemś dalszem tak, że to, co wydawało się pierwszem, jest już drugiem. Myśl o najdalszej gwieździe, nie wyklucza jeszcze możliwości myślenia o innej, dalszej.

Tak więc usiłowanie wyrobienia sobie materyalnego pojęcia o przestrzeni i czasie, musi pozostać bez skutku. Myśląc o nazwach stosunku rzeczy, jak gdyby o samych rzeczach, nietylko że wywołujemy zamieszanie ale wprost przeczymy samym sobie. A takie starcie dwóch zupełnie przeciwnych idei przypomina pytanie roztargnionego nauczyciela: coby nastąpiło w razie zetknięcia się jakiejś nieodpornej siły z nieruchomem ciałem?

Takie używanie nazw *przestrzeń* i *czas* bez żadnego określenia, jak gdyby oznaczały rzeczy istniejące same w sobie, bardzo się podoba poecie, bo ten zwykle używa przenośni i wyrażeń niedość ścisłych. Niemniej lubi to kaznodzieja, bo mu idzie o ucieleśnianie słów; więc niewchodząc tu w różnice, zawsze gotów sile wyższej przypisać wszystko, cokolwiek przechodzi naszą wiedzę i niezgodne z rozumem. Przypuszczając więc że ten rozum odrzuciłby takie sprzeczności, zowią je tajemnicami — co już samo jest dowodem jak kruchą tu podstawa.

Stąd pojęcie przestrzeni i czasu — jako rzeczy samych w sobie a nie ich stosunków — wcisnęło się do literatury teologicznej; i dziś słyszymy o jakichś

istotach nieznających ani przestrzeni ani czasu. I dziecko, mając o rzeczach niemożebnych, darmo się wysila aby oznaczyć kiedy i gdzie, w jakiem miejscu i czasie coś nie było lub nie będzie; zamilknie jednak, gdy mu się powie że to grzech chcieć słabym rozumem dociec niezgłębionej myśli Boga.

Ale teologowie upatrują tylko nierozwiązalną zagadkę w sprzecznościach, będących jedynie wynikiem fałszywego pojęcia przestrzeni i czasu — w czem ich filozofowie naśladowali a nawet uprzedzili. I ci, biorąc stosunek rzeczy za same rzeczy, pochodzące stąd nieuniknione zamieszanie pojęć nazywali boską tajemnicą. A uważano to nie za skutek poplątania wyrazów, lecz za skutek słabości ludzkiego rozumu. Ale z tym samym tylko ludzkim rozumem, niby dalej sięgając, chcieli o tem nauczać.

Najlepszym tu dowodem sam ciężki i niejasny Kant. Ten, z niemiecką łatwością nowe tworząc wyrazy — wygodne zresztą do filozoficznej gimnastyki — nazywa to „sprzecznością praw“ (antynomia). A nazwa ta ma niby określać sprzeczność samą w sobie, czyli wzajemne zwalczanie się nieuniknionych wniosków — słowem to, o czem mamy myśleć, a o czem jednak myśleć nie można.

W scholastycznej na Kancie opartej filozofii, nazwa ta zastępuje używany w teologii wyraz „tajemnica“ i wyraża niezgodność ludzkiego rozumu.

Podług Kanta, przestrzeń i czas, to tylko formy ludzkiej świadomości. O ile rozumiem, ma to znaczyć że nasza duchowa natura zmusza do patrzenia przez jakieś ciemne okulary, aby się nam zawsze i wszystko wydawało w przestrzeni i czasie; ale że to tylko złudzenie, bo na prawdę żadne zgoła rzeczy istniejące same w sobie, nie istnieją w przestrzeni i czasie — albo raczej nie tak, jak rzeczywiście istnieją po za naszemi zmysłami; czyli że istnieje samo tylko ich pojęcie ale

przez czysty rozum (tj. jakiś rozum, będący po za ludzkim rozumem).

Schoppenhauer mówi że pilne zgłębianie walki o słowa nawzajem sobie przeczące, prowadzi do zaniku zdolności myślenia; ale sam właśnie, mimo całej potęgi umysłu, jest tego przykładem. Widocznie mozolne studya nad Kantem sprowadziły go na ten poziom, gdzie już „puste wyrazy uchodzą za myśli.“

Uważa on Kanta „Krytykę czystego rozumu“ za dzieło najważniejsze ze wszystkich, jakie się od 2000 lat w dziedzinie filozofii pojawiły. Całą też swoją filozofię na niem oparł; a stąd ciągle przypomina, że niezrozumiawszy najpierw „Krytyki czystego rozumu,“ nie możnaby także i jego samego zrozumieć. Porównywając wreszcie wpływ Kanta na umysł do zdjęcia bielma z oczu, mówi:

„Cel mej własnej pracy możnaby określić w ten „sposób: że usiłuję tych, co już przewidzieli, uzbroić „w odpowiednie okulary, które jednak same, bez od„zyskania wzroku, na nicby im się nie przydały.“

Schoppenhauer, zdaje się, posiada rzadki dar jasnego wypowiadania swych myśli zawsze, kiedy mówi o rzeczach dla rozumu dostępnych; jego zaś dzieła pełne bystrych spostrzeżeń i uwag. A o ile go mogę zrozumieć, to ów świat, który się nam ukazuje, i w którym widzę samego siebie — świat na zewnątrz tak niezmierny, tak zdumiewający i urozmaicony — wewnątrz jest to tylko moje własne „ja“ — ja sam, moja myśl, moja wola; a przestrzeń i czas — to jedynie pozory (appearances) narzucone mi przez formy mojej świadomości.

Widzę np. kotka, który niebawem wyrasta na kota, i z kolei znów ma swoje własne kocięta; a jednocześnie (albo też w różnych czasach i miejscach) widzę (albo tylko przypominam sobie że widziałem) mnóstwo kotów różnego wieku i maści. Ale w gruncie rzeczy,

zawsze to tylko jeden kot, bez względu na czas i przestrzeń. A ten wiecznie istniejący kot, jest to pojęcie kota — kocia idea, która się we wszystkich swych odmianach, wciąż jak w kalejdoskopie przewija w mym umyśle.

Podobnież i wszelkie inne rzeczy, w których dostrzegam ów świat — i planety i słońca, rośliny i drzewa, zwierzęta i ludzie, materya i siły, zjawiska i prawa. — Wszystko to widzę albo słyszę, wszystkiego dotykam lub czuję smak i woń, czy też inaczej sobie wyobrażam — a jednak wszystko ma być jedynie złudzeniem. Słowem wszystko to tylko mara, jakieś widmo — sen, w którym się same narzucają obrazy, sprawiające więcej bólu raczej niż przyjemności — a z tego się właśnie składa to, co nazywamy życiem. Nikt zaś nie może się tu wyzwolić przez samobójstwo, bo ono przenosi swą ofiarę tylko w nowe formy i nowe warunki bytu. Człowiek prawdziwie mądry musi tu szukać ulgi w zagłodzeniu się, ale bez chęci umierania; czyli innemi słowy, ma zwalczać pragnienie życia. Jest to jakoby jedyna droga prowadząca do ostatecznego kresu — do zniweczenia czyli nirwany — kresu, do którego, koniec końców, wszelkie życie dąży.

Cała ta filozofia przeczenia (negacyi) — ten budaizm XIX w., i to budaizm bez łagodzących rysów azyatyckiego pierwowzoru — robi z nas istnych szczurów w wiecznej zamkniętych pułapce; i na miejsce Boga, stawia nam jakiegoś nieczułego demona.

Taki to skutek wpływu, któremu uległ umysł potężny lecz chory — wpływu mozolnego zgłębiania sporu o wyrazy nawzajem sobie przeczące i nawzajem się wyłączające: sporu, który poprostu usiłuje wypaczyć ludzki rozum.

Ale faktem jest że ta pozornie niszcząca walka myślowa — którą teologowie zowią tajemnicą a filozofia mieni sprzecznością praw (antynomią) — nie jest

skutkiem słabości rozumu ale zamieszania pojęć co do znaczenia wyrazów. I dziecko podobnież suszy sobie głowę aby rozwiązać zagadkę: co się znajduje po za granicami przestrzeni i czasu? lub: coby się stało gdyby czas i przestrzeń istnieć przestały? albo: co było zanim był Bóg? Skoro jednak przypominimy sobie że przestrzeń i czas, to nie rzeczy istniejące, ale tylko pewne ich stosunki — zagadka wtedy już rozwiązana: bo znika owa „sprzeczność praw“ (antynomia) albo raczej zamieszanie pojęć co do znaczenia wyrazów — zamętu, jaki np. powstaje wtedy, gdy ktoś chce jednocześnie myśleć o nieodpornej sile i nieruchomem ciele, chociaż to pojęcia sprzeczne, nawzajem się wyłączają i w połączeniu istnieć nie mogą.

Kłamstwa dzieci.

Gdy dzieci bawią się w zagadki, a chodzi im o nieznaną jeszcze, to można być nieomal pewnym, że po daniu najrozmaitszych, zwykle najniemożliwszych odpowiedzi, skończą na oświadczeniu: E, to kłamstwo.

Jest to prawdziwe i jedynie możliwe rozwiązanie a tak jasne, że nawet zbyteczna tu myśleć.

Nie można zanadto polegać na rozumowaniu ani też ufać wiedzy, dopóki się o czemś nie upewnimy.

Gdy chodzi nawet o lunatyzm lub szał, albo o inne tym podobne zboczenia umysłu, jak np. o utratę rozumu, po bliższem zbadaniu okazuje się że to nie sam rozum stracony, ale że tylko jego władze pojmowania i pamięci osłabły, albo też nastąpił całkowity ich zanik; a przynajmniej że zostały zwichnięte tak, iż to, czem się rozum zajmuje przedstawia mu się niewłaściwie, na fałszywem miejscu lub w fałszywych stosunkach.

Optyk, dobierając okulary, zakłada nam różne szkła, przez które widzimy przedmioty albo podwójnie albo zawysoko albo zanisko, a czasem znów zanadto na prawo lub na lewo. Ta sama historya i z choro-

bami umysłu. Ograniczone jego siły podlegają zboczeniom i bankructwu. On sam mówi nam co nas otacza, skoro się wokół rozejrzymy i zapytamy naszej świadomości. Ale rozum ludzki — to jedyny, jaki człowiek może posiadać. Przypuszczać więc że wszystko, co on — w granicach dla siebie dostępnych — pojmuje, jest tylko złudzeniem, to znaczy zaprzeczać wartości wszelkiej myśli i pogrążać świat duchowy w chaosie; a zarazem ten, co tak przypuszcza, pozwala się już przez to samo domyślać, jakoby on tylko jeden wyjątkowo posiadał jakiś inny, wyższy rozum.

Oczywiście że w porównaniu z rozumem odwiecznym (objawiającym się w stosunkach zwanych prawami natury), nasz ludzki rozum nader płytki i ciasny; ale już samo przyznanie istnienia jakiegoś odwiecznego rozumu jest tu najlepszym dowodem naszej pewności, (że to, co nasz rozum zdolny pojmować, nie jest złudzeniem. Dodatek tłum.)

Długo ani nawet przypuszczano ruchu ziemi, która się tak mocno osadzoną wydaje. Ludzie nie dostrzegli tego, co nam dziś sam rozum mówi: że ona się obraca około słońca, a nie przeciwnie — i dlatego to, mówiąc o wschodzie i zachodzie słońca, brali te wyrażenia w dosłownem ich znaczeniu. Nie mylili się jednak co do zjawiska dnia i nocy, biorąc za najbliższą jego przyczynę wzajemny stosunek ziemi do słońca.

Co zaś do filozofów, uważających przestrzeń i czas jedynie za warunki ludzkiej władzy pojmowania, to tylko mistrze gimnastyki słów, którzy temu, o czem nawet myśleć nie można, ponadawali nazwy „absolut“, „bezwarunkowy“, niemogący być poznanym“ — i biorąc je już za same rzeczy, rozprawiają o nich lub z ich powodu.

ROZDZIAŁ VI.

Szczególne prawo w sprzeczności z rolnictwem.

Źródło tej sprzeczności.

Co to jest przestrzeń. — Ograniczenie człowieka co do miejsca. — Rozciągłość jest częścią pojęcia „ziemia". — Pojęcie wynika z porównania. — „Zastosowanie" to najpierwszy sposób użycia ziemi. — „Rozmnażanie" to drugi, a przez długi czas, najważniejszy sposób jej użycia. — Teraz zaczyna się trzeci sposób — „wymiana". — Ekonomia polityczna zaczyna się w drugim okresie, i „rozmnażanie" najbardziej jeszcze zwraca uwagę. — Prawda i błąd fizyokratów. — Następcy Smith'a, unikając błędu fizyokratów, przeoczyli też i prawdę. — Przyjąwszy teoryę Malthus'a, oraz Riccardo'a teoryę renty, popełnili błąd. — Przeszkody jakie w Stanach Zjednoczonych napotyka idea pojedyńczego podatku.

Jak to już w księdze I nadmieniłem, jesteśmy tu w bardzo ciasnych granicach zamknięci, zmuszeni żyć tylko na tej cząstce kuli ziemskiej, gdzie otaczająca ją warstwa powietrza styka się już z twardą jej skorupą. Udaje się nam wprawdzie niekiedy zapuszczać w głąb i wznosić po nad powierzchnię — ale jedynie na chwilę. W zwykłych zaś warunkach jesteśmy wiecznie przykuci do swej właściwej tylko siedziby, tej twardej powierzchni skorupy, gdzie nas zmuszają przebywać warunki naszego bytu i materyalnej produkcyi.

Człowiek — to zwierzę ziemne; bez powietrza i światła wprost żyćby nie mógł. Zarówno też dla sa-

mego siebie jak i ze względu na swą produkcyę, koniecznie potrzebuje miejsca — i to na suchej powierzchni kuli ziemskiej.

A sam rozum wskazuje że powietrze, to ciało ważkie. Ale chociaż każdą cząsteczką naszego organizmu odczuwamy ten ciężar, wiele jednak przeminęło pokoleń zanim to nareszcie zauważono. A ciężar powietrza rozpoznajemy dopiero przez kontrast przy zestawieniu z brakiem wagi.

Na okręcie tak się wkońcu można przyzwyczaić do drżenia spowodowanego ruchem maszyny, że dopiero wtedy to zauważymy gdy ta stanie. Zwiedzający zaś fabrykę gwoździ nic nie jest w stanie wśród hałasu słyszeć, gdy tymczasem otrzaskani z tem robotnicy swobodnie z sobą rozmawiają.

Zdarzało mi się jadać z pewnym Lukullusem a zgoła nawet nie zauważyłem czem mnie częstowano. Ale gdy natomiast byłem zmuszony na pewnym statku poprzestawać na prostych potrawach, zaraz mi na myśl przychodziły domowe przysmaki.

Zasadnicze pojęcie ziemi, oparte na rozciągłości, niezawsze bywa głównem. Nie pierwsza też rzuca się w oczy podstawowa jej właściwość, która nam przecież dostarcza miejsca niezbędnego do stania, poruszania się i składania rzeczy.

W okolicach lesistych, osadnik najpierw każdą piędź ziemi musi wykrudować zanim ją może uprawić. Wtedy drzewo jest dlań po prostu zawadą — drzewo dopiero z rozwojem cywilizacyi nabiera wartości.

Taki osadnik bardzo tu przypomina warunki życia pierwotnego człowieka. Wtedy to jeszcze produkcya była *stosowaniem* a ziemia się uważała za bogatą lub biedną, stosownie do jej zdolności nagradzania pracy zużytej na zdobycie plonu polowania.

Drugi zaś sposób produkcyi zwanej *rozmnażaniem*, dopiero w dalszym, wyższym okresie społecznego

rozwoju coraz większego nabiera znaczenia. Chodzi tu już o te właściwości ziemi, które tak ogólną zwracają na nią uwagę i tak użyteczną czynią w rolnictwie. Tu już uważa się za bogatą lub biedną, stosownie do zdolności nagradzania pracy zużytej na wyhodowanie inwentarza i uprawę zbóż.

Ale w jeszcze wyższym okresie rozwoju społecznego — w jaki właśnie teraz świat cywilizowany wkracza — występuje trzeci sposób produkcyi, zwany *wymianą*. Tu znów ziemię uważa się za bogatą lub biedną, a to w miarę jej zdolności nagradzania pracy w handlu. W wielkich miastach ziemia wysokiej nabiera wartości — nie dlatego jednak że w dzikiego obfituje zwierza, lub że bogate wydaje rolnikowi plony: ale jedynie z powodu swego położenia w centrach handlu.

Niezapracowany przyrost bogactwa ziemi.

Rozwój nowoczesnej ekonomii politycznej zaczął się już w drugim okresie rozwoju społecznego. Tem się też poniekąd tłumaczy dziwne pojęcie o ziemi. Z rolniczego punktu widzenia zwykle się ją uważa tylko za miejsce, będące podstawą uprawy roślin i hodowli inwentarza. Pojęcie to już się od czasu fizyokratów tuła w literaturze ekonomicznej. Jeszcze zwolennicy Quesnay'a zauważyli że się w cywilizowanym świecie nagromadza produkcya bogactwa — a tego niepodobna przypisać pracy ani kapitałowi. Takie zaś niezapracowane powiększenie bogactwa — niezapracowane o ile się to odnosi do osób — nazwano czystym albo netto produktem, czyli nadproduktem. A słusznie przypisano go ziemi, widząc że jest to dochód jej właściciela, dochód, który mu zostaje po opłaceniu pracy. Tu jednak popełnili też i błąd, przypuściwszy że ówczesna produkcya rolna, na jaką patrzeli, to produkcya jedyna.

Rolnictwo — to drugi sposób produkcyi, *rozmnażanie*. A sposób to zasadzający się na zużytko-

waniu siły natury — pierwiastku rodzajnego, tak zasadniczo się różniącego od sił użytych w pierwszym sposobie. Ale oni już nie zgłębiając dalej, przyjęli że ów niezapracowany przyrost bogactwa — czyli ów nadprodukt — powstaje z użycia tylko pierwiastku rodnego. I stąd się to wzięło niedorzeczne twierdzenie: że jedynie rolnictwo jest zajęciem produkcyjnem, a fabrykanci i kupcy nie dodają do ogólnej sumy bogactwa nic ponad to, co biorą z rolnictwa.

Ostatecznie zdyskredytowało to także i wartościowe ich teorye, niewygodne warstwie wpływowej, korzystającej właśnie z niesprawiedliwości społecznych. Dopiero z ukazaniem się „Postęp i nędza“ znów powstają nowi fizyokraci, czyli nowocześni zwolennicy teoryi pojedyńczego opodatkowania, jak ich nazwano i jak sami siebie nazywają.

Następcy Smitha, unikając błędu fizyokratów, nie dostrzegli tkwiącej w nim wielkiej prawdy. Skwapliwie zaś przyjęli wymówkę, jaką im nastręczyła teorya Malthusa, składająca na prawa boskie odpowiedzialność za całą nędzę i wszelkie z niej wynikające zło. A po dawnemu się przytem zapatrując na ziemię jedynie z rolniczego punktu widzenia, to, co w rzeczywistości jest prawem wszelkiej produkcyi, poczytali za jakieś prawo zmniejszania się tylko produkcyi rolnej. Nawet i sam Ricardo — który zresztą prawdziwie choć niedość wyczerpująco wyjaśnił prawo renty — nie zdołał się w żadnym ze swych dowodów i przykładów uwolnić od uważania ziemi w zastosowaniu tylko do rolnictwa a renty jedynie jako rolniczej renty. I w Anglii — chociaż się tam coraz bardziej obniża względna ważność rolnictwa — jeszcze się jednak uważa ziemię za miejsce, za warsztat jedynie do rolniczej pracy. A nietylko że najpoważniejsi profesorowie nauczają tam o jakiemś prawie zmniejszania się produkcyi w rolnictwie, jako o prawie natury — ale nadto wogóle ekono-

miści angielscy, mówiąc o ziemi i rencie, uwzględniają tylko rolniczą ziemię i rolniczą rentę.

A tak samo i w Stanach Zjednoczonych, o ile tam jeszcze wpływ teoryi o pojedyńczym podatku nie zmienił tych poglądów. A największą właśnie przeszkodą w rozpowszechnianiu tam tej teoryi, jest zakorzenione mniemanie — gorliwie zresztą podtrzymywane przez tych, którzyby lepiej powinni to znać aniżeli robotnicy wprost nieinteresowani w sprawach dotyczących rolnictwa — że skupienie podatków na wartości ziemskiej bardziejby obciążyło rolników. Wszystkie tam środki naukowe skierowano do podtrzymywania tego fałszu.

ROZDZIAŁ VII.

Przestrzeń w stosunku do produkcyi.

Przestrzeń konieczna do każdego sposobu produkcyi.

Wszelka produkcya wymaga przestrzeni. — Dowodem tego rolnictwo. — Skupienie pracy w rolnictwie tylko do pewnej granicy zwiększa a potem już zmniejsza produkcyę. — Ale tego prawie nie można odnosić wyłącznie do rolnictwa, ani też jedynie do rozmnażania, lecz zarówno do wszystkich sposobów w produkcyi — Przykłady. — Produkcya cegły — Chodzi głównie o miejsce na skład — Człowiek sam dla siebie potrzebuje miejsca. — Przy podziale pracy mniej potrzeba miejsca. — Intensywne i ekstensywne użycie ziemi.

Produkcya w ekonomii politycznej — to produkcya bogactwa. A bogactwo — jakeśmy to już widzieli — polega na takiej przemianie rzeczy (przy zastosowaniu pracy) aby jak najlepiej zaspokajały pragnienia człowieka. A że przestrzeń nieodłączona od materyi, temsamem też przywiązana i do wszelkiej produkcyi.

Wyraźnie ten stosunek uwidocznia się w rolnictwie. Tu skupianie pracy zwiększa jej produkcyjność — ale tylko do pewnej granicy; dalsze zaś pociąga już zmniejszanie.

Gdyby więc np. Robinson, mający do rozporządzenia całą wyspę, zasadził kartofle o 100 metrów krzak od krzaka, wieleby przez to zmarnował pracy

już na samo sadzenie, na okopywanie, a wreszcie na ich wybieranie — produkcya byłaby tu bardo małą w porównaniu do całego nakładu pracy. Zebrałby natomiast plon tem większy, im bardziejby swą pracę skupił. A ten plon mógłby zwiększać w miarę skupiania pracy co do miejsca, aż dopókiby nakoniec kierzki nie były już zablizko siebie, coby ich wzrost tamowało. Gdyby wreszcie wszystkie na jednym punkcie zgromadził, pewnoby nawet żadnego z nich nie zebrał plonu.

A to szczególne prawo produkcyi dotyczy zarówno pracy jednostki jak i zbiorowej. Praca na danej przestrzeni do rozmnażania zastosowana, (czy to przez uprawę roślin, czy też hodowlę inwentarza) może niekiedy większe dawać rezultaty. Bo dwaj robotnicy zdolni zrobić stosunkowo więcej niż dwa razy tyle co jeden, a czterej znów więcej niż dwa razy tyle co dwaj itd.

Ale taki stosunkowo większy wzrost produkcyi aniżeli pomnażanie sił roboczych na danej przestrzeni zastosowanych, możliwy jedynie do pewnego tylko punktu; wprawdzie i po za tą granicą możliwa jeszcze produkcya w większych rozmiarach, ale wtedy już rezultaty coraz mniejsze w stosunku do nakładu pracy; a wkońcu nawet (po za pewnym punktem), zgoła już niepodobna pracy zbiorowej w szerszych rozmiarach stosować.

Błędne więc tylko zrozumienie tego prawa, wyłącznie rolnictwu przypisanego, zrodziło i podtrzymuje w ekonomii politycznej to, co nazwano prawem zmniejszania się produkcyi rolnej.

Ale to prawo nie jest wyłącznie cechą rolnictwa ani też „rozmnażania się“ wogóle. Drugi ten sposób produkcyi polega na połączeniu pracy z siłą rodzajną, i na tem: że wszelkie rzeczy żyjące wymagają więcej miejsca aniżeli martwe.

Rośliny zapuszczając korzenie i roztaczając swe gałęzie, zajmują miejsce pod i nad powierzchnią ziemi; a zwierzęta potrzebują go jeszcze więcej z powodu swych ruchów. A ta potrzeba rzeczy żyjących, nietylko że może być względnie większą niż martwych, lecz nadto w obu razach jest nieodzowną. Bo czy to chodzi o zwierzęta czy też o buraki lub cegłę — nigdy przecież dwa ciała nie mogą istnieć w jednej i tej samej przestrzeni.

Przy każdym więc sposobie użycia pracy do produkcyi bogactwa, bezwarunkowo potrzebne miejsce. Człowiek przecie musi stać i wypoczywać, musi mieć swobodę ruchów całego ciała i jego pojedyńczych organów. Niemniej też konieczne miejsce na zapasy i dla przenoszenia materyałów, narzędzi lub produktów. A nikt nie stanowi tu wyjątku — ani krawiec ani cieśla czy maszynista, kupiec, rolnik, hodowca, rybak albo górnik.

Może niektóre z tych zajęć mniej a inne znów więcej wymagają miejsca — ze względu na potrzebną swobodę ruchów rąk, albo też z uwagi na skład narzędzi lub materyałów — ale żadne nie może się bez niego obyć. I stąd to dla każdego istnieje granica, po za którą już ustaje wszelki zysk ze skupienia pracy co do miejsca; a dalsze skupianie powoduje stosunkowe zmniejszanie się produkcyi, wkońcu zaś nawet i zupełny jej upadek.

A to samo prawo dotyczy zarówno powiększania się jak i zmniejszania owoców pracy w miarę jej skupienia na danem miejscu.

Tymczasem pierwsi apostołowie doktryny o zmniejszaniu się dochodu głoszą że ono dotyczy tylko rolnictwa, a późniejsi już twierdzą jedynie że tylko wypływa z niego jak również i z dobywania węgla itp.

Widzimy je natomiast we wszystkich rodzajach produkcyi; a nawet musiałoby istnieć i wtedy, gdy-

byśmy wynaleźli jakiś sposób produkowania bogactwa tylko ze zgęszczonego powietrza.

Mniemane więc to prawo zmniejszania się produkcyi rolnej, jest po prostu tylko prawem materyalnego bytu — prawem, któremu ani zaprzeczyć niepodobna ani go też przekręcić zgoła nie można.

Dla przekonania się o tem, weźmy np. jakąś gałąź produkcyi różną od rolnictwa — dajmy na to wyrób cegły.

Otóż cegła się zazwyczaj wyrabia z gliny albo też z jakichś innych nieorganicznych materyi, zgoła jednak niezawierających czynnika rodnego.

A wyrób cegły jest właśnie jedną z tych form produkcyi, którą ci, co podtrzymują doktrynę o zmniejszaniu się dochodu z rolnictwa lub z użycia ograniczonych naturalnych pierwiastków, uważaliby za taką formę, jaką bez zmniejszania dochodu można do nieskończoności rozszerzać a to przez coraz szersze tylko stosowanie pracy.

Prawo zmniejszania się wydajności, w zastosowaniu do wyrobu cegły.

Kto się tylko lepiej zastanowi, ten musi wkońcu przyjść do przekonania, że t. z. prawo zmniejszania się produkcyi rolnej zarówno dotyczy plantacyi buraków jak i wyrobu cegły.

Robotnik mający w pojedynkę zrobić 1000 cegieł, dużoby zmarnował pracy, gdyby mu przyszło tylko po trochu kopać glinę w różnych miejscach na przestrzeni mili □ albo morgi rozrzuconych, a potem znów tak samo tylko częściowo cegłę wypalać musiał. Gdyby natomiast pracę swą skupił, plon jej wtedy znacznieby się powiększył. Ale powiększałby się tylko do pewnej granicy, po za którą już dalsze skupianie pracy zaczyna coraz stosunkowo mniejsze wydawać owoce. Bo na tejże samej podstawie, jakiej wymaga zrobienie jednej cegły, można też bez straty zrobić i dwie; niepodobnaby jednak w ten sam sposób bez końca pracy

skupiać, gdyż wywołałoby to zmniejszenie się a ostatecznie nawet i zupełne zatamowanie dalszej produkcyi. Dobywanie gliny potrzebnej na 1000 cegieł, i to w obrębie wystarczającym tylko do wydobycia jej na jedną cegłę, pociągnęłoby za sobą — jeżeli wogóle możliwe — znaczną stratę pracy. Postawiwszy zaś aż 1000 robotników tam, gdzie tylko dwóch może się z korzyścią wyrobem cegły zajmować, nietylko że nie osiągnęłoby się przez to 500 razy większego plonu, ale nawet po prostu żadnego: albowiem natłoczeni robotnicy przeszkadzaliby sobie nawzajem.

Skład stosunkowo najmniej zabiera miejsca. Wprawdzie dwie cegły zajmują dwa razy większą przestrzeń aniżeli jedna, ale skoro się je położy jedną na drugą, wtedy już obie zajmą tylko tyle powierzchni, ile i jedna. A że przytem przeciętny robotnik z równą łatwością dźwignie tak samo dwie jak i jedną, więc takie układanie cegły o wiele korzystniejsze niż układanie ich jedna obok drugiej.

Ale tego rodzaju oszczędność możliwa tylko do pewnej granicy. Inaczej bowiem rzecz się przedstawia gdy chodzi tu o jakąś małą ilość cegły, a inaczej znów gdy idzie o 1000 lub choćby o 100. Boć gdybyśmy na powierzchni, jaką zajmuje tylko jedna cegła, chcieli ułożyć bodajby nawet i mniej niż 100, kładąc wciąż jedną na drugą, to i wtedy jeszcze lada wietrzyk obaliłby taką piramidę. Już się przy dziesiątej okazuje, że dalsze układanie wymaga też i stosownego rozszerzenia podstawy. A nawet i wtedy jeszcze tylko do pewnej granicy możnaby cegłę w ten sposób układać; gdyż wkońcu wierzchnie warstwy ciężarem swym zgniotłyby spodnie.

Widzimy zatem że z cegłą tak samo jak i z burakami, których także nie można bez końca na danej powierzchni ziemi rozmnażać.

A co do cegły, to jeszcze w dodatku układanie do wysokości człowieka, mniej wymaga pracy — czyli że jest w tym wypadku produktywniejszem. Przy dalszem zaś stosowanu tej pracy, już się tu jej wydajność zaczyna zmniejszać a wkońcu i całkiem ustaje. Można wprawdzie tę chwilę opóźnić przez użycie maszyn, ale jej niepodobna całkiem uniknąć. Zastosowanie pracy na danej przestrzeni — bez względu czy to będzie stopa czy też mila □ — zawsze po za pewną granicą da stosunkowo mniejsze rezultaty, a wkońcu nawet żadnych.

Widzimy zatem że prawo zmniejszania się produkcyi, uważane za jakąś wyłączną właściwość rolnictwa, odnosi się zarówno do produkcyi cegły jak i do uprawy roślin lub hodowli bydła.

Jak niepodobna wszystkiej z całego kraju wziętej cegły ułożyć na przestrzeni jednego metra □, tak też nie można rozmnożyć na jednym morgu tyle, aby starczyło na wyżywienie całej ludności. A bez wyjątku dla wszystkich form i sposobów produkcyi istnieje taka granica wydajności pracy. Wypływa to z ogólnego prawa: że wszelkie ciało — a zatem i wszelka produkcya bogactwa — wymaga przestrzeni.

A dotyczy to nietylko jej materyalnego przedmiotu, lecz także samego producenta i jego pracy. Boć i sam człowiek przecie, jako istota materyalna, także potrzebuje miejsca — i to nawet wtedy gdy zupełnie bezczynny, a tembardziej też w czasie poruszeń ciała, nieuniknionych przy wytwarzaniu bogactwa. Ludzie mogą wprawdzie żyć i w zbitej masie, ale przez krótką tylko chwilę, jak w teatrze lub na koncercie. W takiej ciasnocie zaledwieby dobę wytrzymać mogli, a o produkowaniu już ani mowy nie ma.

Podział pracy pozwala do pewnego stopnia bardziej skupić robotników — bo ich udział w produkcyi wymaga stosunkowo niewiele miejsca. Niemniej też,

oszczędzając powierzchni przez budowę wyższych domów, zyskujemy na miejscu w podobny sposób jak przez układanie cegły jedna na drugiej. Ale chociaż w ten sposób da się poniekąd zastąpić obszar powierzchni przez przestrzeń sześcienną, należy to jednak do wyjątków. Takie zresztą wyzyskanie powierzchni ziemi przez budowę 20 piętrowych domów, możliwe tylko przy szerszem jej użyciu na ulepszenia komunikacyi; bo każdy z tych olbrzymów zmniejsza odpowiednio wartość przyległych a na podobne cele użytych gruntów.

ROZDZIAŁ VIII.

Czas w stosunku do produkcyi.

Każdy rodzaj produkcyi zależy od stosunku do czasu.

Różnica pojęcia przestrzeni a czasu. — Jedno podmiotowe. drugie zaś przedmiotowe. — Każda produkcya wymaga czasu. — Skupienie pracy co do czasu.

Jak przestrzeń jest wyrazem stosunku rzeczy co do rozciągłości, tak znów czas jest stosunkiem rzeczy co do ich następstwa.

Ale czas — ten stosunek następstwa — wydaje się, że tak powiem, szerszym aniżeli stosunek przestrzeni.

Przestrzeń, to właściwość tego, co nazywamy materyą.

Możemy pojąć rzeczy niemateryalne, niemające wymiarów, a więc niemające też i stosunków co do przestrzeni: ale zgoła nie możemy sobie tych rzeczy wyobrazić bez ich stosunku co do następstwa.

Pojęcie przestrzeni zawdzięczamy naszym zmysłom. Ale ich bezpośrednie wrażenia niedość pewne; z nawyknienia też sprawdzamy je i poprawiamy, porównywając z innemi znów wrażeniami.

Najprostszy pomiar przestrzeni polega na wrażeniu oka lub też na odczuciu wysiłku, jakiegoby wymagało przebycie odległości między danymi punktami albo też

przeniesienie jakiegoś przedmiotu. Ale tak względny pomiar musi ustąpić pierwszeństwa ściślejszym, dokonanym za pomocą metra, mili, średnicy kuli ziemskiej itp.

Wprost niepodobna pojąć jak możnaby bez zmysłów wyobrazić sobie myśl o przestrzeni; gdy tymczasem wrażenie czasu nie im głównie zawdzięczamy. Możemy je wprawdzie za ich pomocą sprawdzać i poprawiać, większą nadając mu ścisłość, ale pojęcie czasu jest całkiem subiektywnem.

Myśli nasze nie przychodzą razem lecz kolejno, jedna po drugiej. I właśnie temu to następstwu wrażeń zawdzięczamy pierwsze, bezpośrednie pojęcie czasu. Ale te pojęcia, jako zależne od szybkości i natężenia myśli, bywają też bardziej rozmaite aniżeli świadomość przestrzeni. Może się nam zdawać np. jakobyśmy lata przeżyli w przeciągu krótkiej chwili. A jeżeli nasze pojęcie czasu tak względne, to żółwiowi się może dzień wydaje równie długim jak słoniowi cały wiek.

Ale dzięki rozumowi, ściślejszą tu mamy miarę następstwa, opartą na regularności zjawisk przyrody — jak dnie albo lata, zmiany księżyca lub pory roku — oraz na regularności ruchów mechanicznych klepsydry czy zegara.

Czas zda się poniekąd niezbędnym do pojęcia przestrzeni, ale przestrzeń zbyteczna do pojęcia czasu.

Są to jedynie pomiary względne. A stosunek następstwa czyli czas, bardziej się odnosi do naszej niemateryalnej, duchowej strony, niż stosunek przestrzeni do naszego ciała.

Wszelkie spekulacye filozoficzne i teorye odnośnie do początku wszechrzeczy, przedstawiają pojawianie się zjawisk materyalnych jako porządek czyli następstwo co do czasu. Rachunek czasu u starożytnych hebrajczyków sięgał aż początku świata; a dla nowszych uczonych nawet i podział na tysiące lat jeszcze nie wystarcza.

Już sama myśl wymaga czasu i podlega następstwu; a dłuższy tu wysiłek sprowadza znużenie. Jeżeli zaś przyjmiemy na uwagę nietylko formę ale istotne znaczenie słów starego testamentu, to w twierdzeniu że Bóg w 6 dniach świat stworzył a 7 odpoczął, znajdziemy głęboką prawdę — że umysłowy i cielesny wysiłek zawsze wymaga odpoczynku.

Każda produkcya wymaga czasu i pracy.

Ale pominąwszy takie dowodzenia, zawsze jeszcze zostanie pewnik że wszelka produkcya bogactwa wymaga miejsca i czasu.

Najpierw przecie trzeba drzewo ściąć, zanim się je na deski porżnie. Rudę musimy też najpierw z ziemi dobyć, a dopiero potem można z niej żelazo wytopić i następnie je na inne rzeczy przerobić. Ziarno musi być przedewszytkiem zasiane zanim może powschodzić i zanim owo źdźiebełko ponad ziemię wystrzeli a wkońcu i owoce wyda. Zboże trzeba z pola zebrać a potem dopiero można zemleć, i mąkę, przez dalszą pracę, na inne zamienić formy, które już mają zaspokoić potrzeby człowieka — a to wszystko wymaga czasu.

Czas potrzebny nawet i na samo przyzwolenie, na wyrażenie ludzkiej woli, poprzedzające takie przemiany. A jeszcze więcej czasu wymaga sama przemiana lub wymiana rzeczy.

Zarówno też czas jak i przestrzeń, to niezbędne czynniki albo raczej warunki wszelkiej produkcyi — odpowiednie więc i do siebie podobne wynikają z nich następstwa.

Czyli że istnieje prawo rządzące i ograniczające skupienie pracy co do czasu, tak samo jak prawo rządzące i ograniczające skupienie pracy co do przestrzeni.

A więc dla wszystkich form produkcyi istnieje granica, po za którą już dalsze skupianie pracy co do czasu zaczyna stosunkowo mniejsze wydawać owoce a wkońcu żadnych już nie wydaje.

Ktoś zatem, przy pewnym stopniu skupienia pracy co do czasu (intensywność jej napięcia), może na każdem polu osiągnąć najwyższy rezultat. Jeżeli jednak pracuje gorliwiej po nad tę granicę — czyli jeżeli usiłuje skupić więcej pracy w krótszym czasie — to zrazu mniej a wkońcu wcale nie będzie produkować. Na tej prawdzie właśnie osnuta znana bajka o żółwiu i zającu.

Budowniczy zapytany: kiedy i za ile może wystawić taki a taki dom, oznaczy mi czas i cenę, z uwzględnieniem już takiego skupienia pracy co do czasu, aby osiągnąć jaknajdodatniejszy wynik — tj. aby koszt był możliwie najniższy. Ale ja żądam prędszego wykończenia robót. Gdyby mi tylko o czas chodziło, bez względu na koszta, kazałbym dzień i noc pracować. W ten sposób dałoby się nieco przyspieszyć budowę, ale przy znacznem podniesieniu kosztu. Lecz i wtedy jeszcze przyspieszenie możliwe tylko do pewnej granicy. Po za nią już nikt i za żadną cenę nie mógłby się podjąć wykończenia domu prędzej. Bo chociażby nawet i cegła już była gotowa i drzewo obrobione a drzwi i okna tylko wstawić — to jeszcze i wtedy nie możnaby już bardziej czasu skrócić, bez względu na ilość robotników i koszta. Trzeba przecież wykopać piwnice, założyć fundamenta, wyprowadzić ściany, pokryć dachem, wytynkować, pomalować, wykleić — a to wszystko nie da się zrobić razem, ale trzeba robić kolejno jedno po drugiem — każda zaś z tych robót wymaga czasu i pracy. Przyspieszenie więc niemożliwe.

Podobnież i z rolnictwem. Chociaż i tu można przez skupienie pracy przyspieszyć produkcyę, to jednak również tylko do pewnej granicy, po za którą już zaczyna się zmniejszać a wkońcu i całkiem ustaje. Bez względu też na ilość i sposób zastosowania pracy, w żadnym razie niepodobna ani w przeciągu tygodnia np. wyprodukować zboża ani też wyhodować kury.

Czas więc, to niezbędny czynnik (albo raczej warunek) wszelkiej produkcyi bogactwa — bo ta wymaga czasu i pracy. O tem należy pamiętać. A później zobaczymy jak wielkie ma w ekonomii politycznej znaczenie ta zasada.

ROZDZIAŁ IX.

Kooperacya.

Dwa jej rodzaje.

Kooperacya, to zespolenie sił jednostek. — Jej sposoby i podobieństwa ich celów. — Połączenie i rozdział usiłowań. — Przykłady. — Budowa okrętów. — Kanał Erie. — Wypiek chleba. — Rozdział zespoleniem. — Rozmiary zespolenia i specyalizowania pracy wobec dzisiejszej cywilizacyi. — Maszyny. — Podział pracy. — Smith wylicza trzy korzyści. — Więcej korzyści.

Kooperacya, to połączenie działania, połączenie usiłowań w wspólnym celu.

Wyraz ten w nowszych dziełach ekonomicznych używany w ściślejszem znaczeniu. Stąd podług słownika ekonomicznego ma oznaczać „zjednoczenie robotników albo też drobnych kapitalistów, a to w celu korzystniejszej fabrykacyi, kupna lub sprzedaży towarów dla podziału zysków lub też wzajemnego popierania się w inny sposób.

Takie pojęcie tego wyrazu, to obniżenie wcale niepożądane, tak ze względu na język jak i na samą naukę ekonomii politycznej. Chociaż więc niektórzy przywykli go brać w znaczeniu tylko jakiegoś planu, obliczonego na podział zysków lub pogodzenie kapitału z pracą — ja, mimo to, używać go tu będę jako nazwy ekonomicznej, w znaczeniu zespolenia sił jednostek we wspólnym celu.

A jak o tem przekonywa dzisiejsza cywilizacya, niezmiernie się przez to potęgują siły człowieka. Każde powiększenie produktywnych jego sił zawdzięczamy takiemu właśnie zespoleniu jednostek.

Ale dwa są sposoby tego zespalania się: przez łączenie i przez rozdział usiłowań.

W pierwszym razie mogą jednostki wspólnie osiągnąć to, czegoby żadna z nich pojedyńczo nie mogła zdziałać; a w drugim znów może jednostka zdziałać więcej.

Pierwszy sposób możnaby uważać za połączenie pracy — choć byłaby tu zapewne właściwszą nazwa „rozmnożenie“, a to w przeciwstawieniu do „podziału pracy“, nazwy przez Smitha użytej dla oznaczenia drugiego sposobu.

Połączenie pracy pozwala nam poruszać większe ciężary. Tu pojedyńcze osobniki, złączywszy się razem, tworzą niejako jednego olbrzyma. Za przykład też może tu służyć towarzystwo udziałowe. Przez połączenie bowiem drobnych kapitałów zdolne podejmować zadania wymagające środków większych aniżeli jednostka posiada; może np. budować koleje, okręty i tp.

A gdy czasem tak wielkie wynikają korzyści z połączenia, to niekiedy znów bywa przeciwnie — że właśnie jednostka dokonałaby więcej, gdyby się mogła na kilku mniejszych ludzi podzielić.

Przy obsłudze łodzi np. czasem wprawdzie może jeden silny zrobić za dwóch; ale są tam również i takie zajęcia, że właśnie dwóch słabych może zrobić więcej niż jeden, choćby najsilniejszy. Bo nieraz przecie jeden siłacz musiałby chyba porzucić zaczętą robotę aby załatwić się z drugą; gdy tymczasem dwaj słabsi łatwo mogą wykonać obie jednocześnie. Kiedy znów siłacz, chcąc wypocząć, byłby zniewolonym zarzucić kotwicę, to dwaj słabsi tymczasem, pracując na zmianę, mogą sobie płynąć bez przerwy.

Alfons król Kastylii zwykł mawiać, że radby z każdych 9 ludzi zrobić jednego olbrzyma. Ale taka przemiana właśnie spowodowałaby znaczny ubytek sił ludzkości. Bo ileż to razy człowiek chciałby się bodaj rozerwać, gdy go na wszystkie strony liczne wołają obowiązki, wymagające raczej czasu tylko a nie siły. Stąd właśnie podział pracy, jakgdyby dzieląc samychże ludzi, niezmiernie jej wydajność podnosi.

Przypuśćmy np. że 5 wieśniaków potrzebuje coś kupić w mieście. Ale gdyby wszyscy poszli, każdyby cały dzień stracił. Idzie więc tylko jeden aby kupić dla wszystkich, za co znów wzamian pozostali kolejno zastępują go w domu. Tym sposobem oszczędzili sobie i dużo czasu i daremnego trudu.

Podział pracy albo samą pracę zmniejsza albo też większe daje owoce. Ale prócz tego wynikają stąd jeszcze inne korzyści.

Budowa okrętów dowodnie stwierdza potęgę ludzkiego umysłu. W każdym z nich — od prostej łodzi aż do pancernika — tę samą zawsze widzimy zasadę, mianowicie że długość większa niż szerokość. A dlaczego? Dlatego aby łatwiej mógł pokonać dwa punkta oporu. Nietylko bowiem musi piersiami pruć wodę, ale nadto bieg jego tamuje za nim wracająca na swe miejsce woda, którą wyparł. A w dodatku musi i tarcie przezwyciężyć.

Na kanale Erie, z powodu śluz, można tylko krótkie statki spławiać. Dla oszczędności jednak holuje się po dwa razem zczepione jeden za drugim. Pozwala to używać tylko trzech koni, zamiast po parze do każdego. Opór bowiem znacznie zmniejszony, bo już tylko pierwszy statek pruje wodę a powrotna fala zbiera się tylko za drugim. Gdyby więc statki można jeszcze ściślej z sobą łączyć, dałoby się wtedy jeszcze więcej siły zaoszczędzić.

Tak samo jeżeli mamy za ścianę przedostać dwa przedmioty, to przebija się dla obu tylko jeden a nie dla każdego osobny otwór.

Korzystniej też 10000 ton władować na jeden okręt niż na 10 po 1000, bo oszczędza się na sile albo też zyskuje na szybkości.

Podobnie i z produkcyą. Wyrabiając razem rzeczy jednego gatunku, mniej wtedy zużywa się siły, albo też więcej wyrabia.

Weźmy np. wypiek chleba. Dla upieczenia jednego bochenka tak samo trzeba piec rozgrzać, przyczem więcej stosunkowo wychodzi węgla i więcej się traci ciepła niż przy pieczeniu pełnego pieca. A tem więcej się węgla zaoszczędza im piec większy i im prędzej się będzie na nowo rozpalać, nieczekając aż całkiem ostygnie. W ten sposób znaczna będzie oszczędność nietylko na samym węglu ale także pod innymi względami.

A ta oszczędność wynika nietylko z praw fizycznych lecz także i z praw umysłowych.

Wszystkie nasze czynności — z wyjątkiem instynktowych — wymagają przedewszystkiem świadomej przewodniej myśli. Najwyraźniej się to okazuje gdy dziecko zaczyna chodzić, mówić, czytać, pisać; albo gdy dorośli zaczynają robić coś nowego, np. pisać stenografią lub na maszynie, albo też jeździć na kole. W miarę ćwiczeń umysł tu coraz mniej pracuje a wkońcu robimy to nieomal całkiem bezwiednie, wcale się nawet nienamyślając jak wykonać.

Przy podziale pracy, jednostka robi wprawdzie mniej rzeczy co do jakości ale za to częściej. Połączenie pracy powoduje też odpowiednie skupienie pod względem czasu i miejsca. Zaoszczędzanie pracy wynika z wykonania czegoś bez przerwy i w szerszych rozmiarach.

Jeżeli zamiast aby każda jednostka robiła wszystko jedynie dla siebie, jedna będzie tylko polować a druga tylko łowić ryby itd. dla wszystkich — byłoby to rozdziałem czynności z punktu widzenia ogółu tj. przemysłowej całości; ale skupieniem pracy z punktu widzenia jednostki. Niezmiernie to przyspiesza rozwój pojedyńczych zawodów. W miarę więc jak organizm społeczny rośnie w liczbę albo rozszerza zakres wymiany (lub jedno i drugie) coraz też silniej się objawia dążność do dalszego podziału pracy; podziału, który tak dalece podnosi produkcyjne siły człowieka, że nawet już niepodobna oznaczyć tu kresu.

Jest to właśnie znamienną cechą naszej cywilizacyi. W społeczeństwie dzisiejszem podział pracy takich już dochodzi rozmiarów, że już prawie niepodobna obliczyć ileśmy jemu winni i jak dalece byłoby dziś trudnem życie bez niego. Ale gdy sobie o tem pomyślimy, wtedy dopiero nabiera się pojęcia, jak wielkie ma on znaczenie w produkcyi bogactwa — tak wielkie, że już człowiek bez tego, zda się, nie mógłby po prostu istnieć.

Weźmy tu np. zaopatrywanie się w odzież. Gdyby każdemu z osobna przyszło ją samemu sobie robić, miałby może listek figowy, a w najlepszym razie odziewałby się skórami. Niech się więc lepiej nikt do szycia nie bierze, choćby nawet gotowe miał igły, nici, guziki itd., bo przekonałby się na sobie, jak to trudno pierwszą uszyć szatę, a o ile łatwiej idzie z drugą, trzecią i t. d.

Kiedy zaś przez podział pracy tak dalece wyrób ubrania zostanie skupiony, że już kilkunastu (wyłącznie temu tylko oddanych robotników) pracować będzie wspólnie, znaczna się wtedy okaże stąd oszczędność. A jeżeli tu jeszcze bardziej pracę skupimy — i nie już kilkanaście ale tysiące rąk się zajmie — to tembardziej się ten przemysł wydoskonali a tem samem

i większa będzie oszczędność. Ale jednostki wtedy robić będą albo tylko jakieś specyalne ubrania albo też pojedyńcze tylko ich części, lub nawet jedynie udział wezmą w przygotowaniu takowych. Krawiec już nie będzie sam sobie krajać — zajmą się tem specyalni, do tego wyłącznie przeznaczeni przykrawacze; inni zaś zfastrzygują, inni znów uszyją, inni też dziurki obrzucą i t. d.

Tylko takie skupienie i wyspecyalizowanie przez podział pracy, umożliwia szersze zastosowanie wszelkiego rodzaju — ale tylko wyłącznie do jednej roboty przeznaczonych maszyn.

Człowiek, to najlepsza maszyna, bo zdolny różne roboty wykonać. Gdy jednak chodzi o wyrób tylko jednego rodzaju rzeczy, to maszyna przez niego samego zbudowana lepiej wtedy celowi odpowiada. A dotyczy to nietylko siły jego własnych muszkułów ale także zastosowania siły wiatru, wody, pary, elektryczności itd., bo i ta również od skupienia pracy zależy.

A podział pracy — powodujący i poprzedzający skupienie usiłowań zaspokojenia pragnień — zaczyna się już z chwilą, skoro tylko choć dwie jednostki pracę swą w tym celu połączą. Podział ten zwiększa się i przyczynia do coraz większej i oszczędniejszej produkcyi w miarę rozwoju kooperacyi.

Smith zaraz na wstępie swego dzieła „Bogactwo narodów“, rozbiera: jak dalece kooperacya podnosi produkcyjność sił ludzkości; a nazywając to podziałem pracy, widzi tu aż trzy przyczyny oszczędności: większą biegłość robotnika, zysk na czasie i użycie maszyn.

Ale przy szerszych rozmiarach kooperacya więcej daje korzyści.

A. Połączenie pozwala jednostkom — przez bezpośrednie zespolenie ich sił — wykonać to, co dla żadnej pojedyńczo nie byłoby możliwem.

B. Podział pracy — wraz ze spowodowaną przez się kooperacyą — pozwala wielu zrobić to, co może też i jednostka wykonać, ale przy większym nakładzie pracy.

1. Przez zaoszczędzenie czasu i pracy — jak to widzieliśmy na przykładzie 5 wieśniaków, z których tylko jeden idzie do miasta.
2. Przez zużycie nierównych sił jednostek. Tu bowiem silniejszy podejmuje cięższe a słabszy lżejsze roboty. A nie cierpi na tem ogólna produkcya, ponieważ ich siły zupełnie do danej im roboty wystarczają — produkcya więc zgoła nie byłaby większą, gdyby wszyscy równie byli silni. Nie cierpi też równie, jeżeli zdolniejsi użyci do odpowiednich robót.
3. Przez nabranie większej biegłości skutkiem ciągłego wykonywania jednej i tej samej pracy.
4. Przez wzbogacenie wiedzy. Ta sama skłonność która powoduje rozszerzenie wiedzy niemogącej być przekazywaną tj. umiejętności, powoduje także rozwój wiedzy mogącej być przekazywaną a polegającej na znajomości stosunków rzeczy — tj. tej, którą posiada ciało ekonomiczne, czyli ów społeczny „Lewiatan“.
5. Przez zużytkowanie korzyści wynikających z wyrobu rzeczy w szerszych rozmiarach i bez przerwy, razem a nie oddzielnie.
6. Przez użycie sił przyrodzonych i wynalazki maszyn, oraz przez wydoskonalenie sposobów, które przy szerszem zastosowaniu większe dają korzyści.

ROZDZIAŁ X.

Kooperacya. Dwa jej rodzaje.

Jeden znacznie przewyższa drugi.

Pierwszy możnaby nazwać celową a drugi bezwiedną kooperacyą. — Ich charakter i podobieństwa. — Okręt a ptak. — Dziki a okręt. — Bezwiedna kooperacya przy budowie okrętów. — Słaba strona socyalizmu. — Przyczyna tego. — Fizyczna i umysłowa siła człowieka. — Socyalizm niemożliwy. — Społeczeństwo to „lewiatan“, ale większy, niż go Hobbes określił.

Jak widzieliśmy, kooperacya może się rozwijać w dwojaki sposób; stąd też dwa zasadniczo różne jej rodzaje.

Pierwszy rodzaj możnaby nazwać zależną lub celową, gdyż zależy od kierującej, celu świadomej woli.

Drugi zaś rodzaj należałoby może nazwać przypadkową albo bezwiedną. Tu bowiem wypływa sama przez się i polega na zespoleniu czynności wynikających z woli niezależnych od siebie osobników, z których każdy ma tylko swój własny cel na uwadze i wcale się nie troszczy o wynik ogólny, a może nawet i nic zgoła o nim nie wie.

Pierwszy rodzaj da się porównać z wielką armią, bo i tu również działanie wielu osobników zależy od woli świadomie niem kierującej jednostki.

Drugi zaś rodzaj przypomina zaopatrywanie wielkiego miasta w artykuły codziennej potrzeby. Tu już

rozmiary kooperacyi bez porównania szersze a mechanizm jej silniejszy i subtelniejszy, z wielu od siebie niezależnych części złożony a przez nikogo niekierowany. Tu każdy dostawca działa na własną rękę, mając przed sobą jedynie swój jakiś drobny cel osobisty, a zgoła go nie obchodzi co drudzy robią, lub jaki będzie ogólny wynik ich działania.

Jeżeli kooperacyę porównamy z naszem własnem ciałem, to pierwszy jej rodzaj przypomni nam jego poruszenia, któremi dowolnie kierujemy sami; drugi zaś te najrozmaitsze odruchy, zupełnie się z pod naszej kontroli wymykające a tak między sobą zgodne i do całości przystosowane — to także kooperacya czynności i cząstek ciało nasze składających i przy życiu je utrzymujących.

Pierwszy rodzaj można też porównać z żaglowcem. Płynie prosto i równo — a w tem komenda — i na raz reje zaczynają się miotać, żagle obwisły, ale niebawem znów się z przeciwnej strony wydymają, jakby się nagle wiatr odwrócił — i statek zmienia kierunek.

A tak tu wszystko zgodne że zda się jakby żywe. Dziki mógłby taki okręt wziąć za jakąś mewę, w dowolnym kierunku na swych skrzydłach płynącą.

A w samej rzeczy zachodzi tu pewne podobieństwo: bo i mewa i okręt tak zbudowane, że wszystkie ich części nawzajem ze sobą powiązane tworzą całość, a stąd i ruchy ich od siebie zależne, również wspólnie składają się na jedno ogólne działanie. Tylko że co do ptaka, to ruchy jego pojedyńczych części zależą od nieświadomie kierującego niemi instynktu; podczas gdy ruchy składowych części okrętu spowodowała świadoma wola załogi, kierowanej przez kapitana, który wskazuje co, kiedy i kto ma zrobić. On tylko wiedząc jaki w danej chwili ruch potrzebny, wydaje odpowiednie rozkazy, a posłuszni im majtkowie świadomie je spełniają; a te częściowe, przez nich spowodowane ruchy,

składają się na zgodną całość — to zaś bez kierownika byłoby wprost niemożliwem. Gdyby każdy majtek robił tylko podług własnej woli, wcale się nieoglądając na innych, w takim razie powtórzyłaby się historya o skutku zwady kapitana z pomocnikiem. Kapitan, zniecierpliwiony uwagami, mówi: Kieruj pan tylko na przodzie, ja już dam sobie radę na tyle. Po chwili słychać chrzęst spuszczanej kotwicy i głos pomocnika: Ja już przód zatrzymałem, a teraz pan płyń ze swym tyłem gdzie chcesz.

Skutki zespolenia usiłowań wielu jednostek.

Pod względem budowy ptak, to maszyna, podobnie jak i okręt. A tą maszyną kieruje świadoma wola ptaka. Stąd może się dowolnie poruszać, może się wznosić i opadać, może w różne strony zawracać. Ale ta jego świadomość — ów kapitan, który tym okrętem powietrznym kieruje — to już coś więcej niż maszyna. Bo ptak, to nie pierwszy lepszy jakiś przez człowieka zbudowany mechanizm. Nie zrobiła go ręka ludzka ale wyrósł sam: ledwo że skorupę jajka przebił i na świat z niej wyjrzał, już to wątłe „coś“, ten nowy „kapitan“ wie jak swych żagli i wioseł, swego rudla i lin zażywać — a skoro się nieco odżywił, już próbuje lotu, zaczyna własnem życiem żyć.

I pewno się niejeden dziki często zastanawia nad tą niedocieczoną dla niego tajemnicą jajka; tak jak i my się nie nad jedną zwykłą rzeczą zastanawiamy. Ale bodaj że nie ptak lecz właśnie okręt go bardziej zdumiewa i podziw w nim wzbudza. Zaraz przecie poznaje że to nie wyrosło samo jak ptak, ale podobnie jak jego własne dłubane czółno, jest także dziełem ludzkiego rozumu. Uderza go tylko niezmierna różnica, równie jak pokojowego malarza, gdy własną bazgraninę porówna z płótnem jakiegoś mistrza.

Ale gdyby ów dziki rozumiał kooperacyę potrzebną do kierowania takim okrętem, zrozumiałby także

że i do jego zbudowania była też niezbędną. Wiedząc jednak że człowiek może większą łódź tylko przy pomocy innych zbudować, wnosi stąd pewno że i taki okręt również musi być dziełem większej liczby jednostek. I w przypuszczeniu że to właśnie ci sami kierujący nim marynarze są — a przynajmniej mogą być — jego twórcami, ich rozum tu podziwia i niemal za bogów uważa.

Myli się jednak. Wyższość okrętu nad czółnem wcale nie jest skutkiem wyższości jednostek. Gdyby np. ci sami jego twórcy znaleźli się przypadkiem na jakiemś pustkowiu, możeby nawet byli jeszcze bardziej bezradni aniżeli wielu innych; możeby i najprostszego czółenka zrobić nie umieli. Choćby im nawet nie zbywało na potrzebnych do tego narzędziach, to i wtedy jeszcze dopiero może po wielu próbach zbudowaliby zaledwie jakąś łódź, któraby jednak żadną miarą nie mogła iść w porównanie z okrętem.

Bo nowoczesny taki statek jakby sam z siebie wyrasta. A między potrzebną do tego kooperacyą i tą, jaka potrzebna do zbudowania łodzi, zachodzi różnica przypominająca poniekąd różnicę między pracą natury a pracą człowieka.

Kooperacya potrzebna do kierowania okrętem albo też do budowy łodzi, jest zupełnie prostą w porównaniu z tą, jakiej wymaga zbudowanie i odpowiednie zaopatrzenie żaglowca.

Gdy materyał zgromadzony, do złożenia pojedyńczych części konieczna jeszcze kooperacya przez kogoś kierowana. Ale chociaż taka kooperacya wystarcza do ich złożenia, to nie wystarcza do ich przygotowania z materyału surowego ani też do jego sprowadzenia na miejsce.

Bo weźmy tylko na uwagę: ile to potrzeba budulcu, desek, łat, żelaztwa i stali różnego rodzaju, miedzi, mosiądzu, śrub, gwoździ, łańcuchów, lin stalo-

wych i konopnych, najrozmaitszych tkanin, pomp, łodzi i przeróżnych narzędzi — sextansów, chronometrów, lunet, barometrów, rakiet, barwnych szkieł, map, ksiąg, lekarstw, zapasów żywności, sprzętów i innych t. p. najrozmaitszych rzeczy których ani nawet i wyliczyć tu niepodobna, a które przecież niezbędne do budowy i zaopatrzenia nowoczesnego żaglowca, że już nie wspomnę tu o parowym olbrzymie.

A nigdy się chyba nie zgromadziło tylu rzeczy sposobem kooperacyi przez kogoś kierowanej. Nie przypuszczam nawet aby wogóle było to możliwe do uskutecznienia na tej drodze; gdyż sprowadzenie i wyrób niektórych z tych rzeczy wymaga kosztownych maszyn i biegłych pracowników, pomocniczych wyrobów itd.

Kiedy przedsiębiorca budowy okrętów jakieś zamówienie otrzyma, nie posyła przecie dopiero wtedy swych ludzi do lasu po różnego rodzaju potrzebne drzewo ani też nie każe dopiero wtedy wydobywać rudy potrzebnych metali albo kopać węgla dla ich wytopienia; nie będzie też uprawiać konopi lub bawełny ani hodować jedwabników lub robić sobie szkła; nikomu, nakoniec, nie poleci chowu i zabijania zwierząt aby mieć skóry i łój; nie zajmie się wyrobem smoły i żywicy, oleju, farb, papieru, rtęci itd. Wcale nawet nie próbuje kierować tylu różnorodnemi czynnościami, bo na to by już nie wystarczyła głowa żadnego Salomona. Korzysta on tu jedynie ze środków, jakich mu dostarcza cywilizacya; bez tej pomocy byłby całkiem bezsilnym. Dzięki tylko bezwiednej — ani przez niego ani też zgoła przez nikogo niekierowanej kooperacyi, może on mieć wszystko już gotowe, na miejsce dostarczone. A składa się na to wiele pojedyńczych usiłowań mnóstwa jednostek, pracujących w różnych miejscach i nieomal we wszystkich gałęziach przemysłu, z których każda wyłącznie tylko coś wytwarza, co stąd najłatwiej robotnikom przychodzi wykonywać.

Taki więc przedsiębiorca kupuje tedy od różnych dostawców oddzielnie różne, do budowy okrętu potrzebne mu rzeczy — jak liny, żagle, flagi, pompy, itd.— a potem wszystko to razem w jedną całość składa. Czasem też nawet i wykonanie pewnych, przy składaniu kadłuba potrzebnych robót, powierza osobnym przedsiębiorcom.

A każda z tych tak licznych gałęzi produkcyi, rozpada się jeszcze na mnóstwo małych gałązek, powiązanych przytem z innemi. I rokuby nie starczyło na zbadanie a nawet i na wyliczenie samych tylko nazw tych rodzajów pracy, jaka się tu składa na wykonanie wszystkiego, co potrzeba do zbudowania takiego żaglowca.

Dzisiejszy okręt lub kolej, to tylko produkt t. z. cywilizacyi albo raczej bezwiednej, przez nikogo niekierowanej kooperacyi, będącej połączeniem wielu osobistych usiłowań jednostek, z których każda szuka tylko zaspokojenia własnych potrzeb.

Nawet jakiś potężny, milionom rozkazujący władzca, nie mógłby zbudować okrętu, gdyby mu tego cywilizacya nie ułatwiła. Ani żaden Faraon, twórca piramid, ani Dżengiz-chan, który przecie góry z ludzkich głów wznosił, ani Aleksander W., Cezar lub Henryk VIII — zgoła nikt nie byłby wstanie tego dokazać.

Kooperacya potrzebna do prowadzenia okrętu, to rzecz bardzo prosta i dla każdego zrozumiała; ale kooperacya konieczna do zbudowania tego samego okrętu, nader złożona i zawiła. Tu już niepodobna ani nią kierować ani też jej urządzić lub rozwinąć; tak samo jak niepodobna powiększyć własnych swych rozmiarów. Najlepiej też zostawić ją własnemu jej rozpędowi, niech sobie rośnie sama, a ludzie również niech mają swobodę szukania zaspokojenia swych pragnień. Chcieć tu kierować (jak w pierwszym rodzaju kooperacyi), to

to samo, co od cieśli umiejącego wystawić kurnik, zażądać aby także i same kury porobił.

Tu właśnie słaba strona socyalizmu — socyalizmu wszelkich odcieni; tu też leży przyczyna, dlaczego każde usiłowanie regulowania życia społecznego po nad potrzebę, zawsze ujemne sprowadza skutki.

A pochodzi to — przynajmniej w pewnej mierze — stąd, że źródłem wszelkiej produkcyi jest myśl czyli rozum, duch a nie materya. Tego zaś duchowego pierwiastku, tej potęgi myśli ludzkiej, nie podobna mieszać i łączyć tak, jak się łączy siły materyalne.

Dwóch może dźwignąć dwa razy więcej aniżeli jeden człowiek, a fizyczna, odpowiednio zastosowana siła 100 ludzi, 100 razy przewyższy siłę jednostki. Ale sił rozumu nie da się tak łączyć. Dwóch nie widzi dwa razy dalej niż jeden. Mówi się wprawdzie że „co dziesięć głów, to nie jedna," ale to tylko w tem znaczeniu, iż przez porównanie różnych zdań, można wybrać najodpowiedniejsze. Gdy jednak potrzeba działać szybko, taki sposób traci na wartości. Nikt przecie nie powie że stu wodzów łatwiej zwycięży. Owszem, przeciwnie, jeden lichy lepszy niż dwóch dobrych.

Pod adresem socyalizmu.

Kiedy np. dziesięciu ludzi ciągnie linę podług rozkazów jednego, jest tu zużytkowana fizyczna siła dziesięciu, kierowana siłą rozumu jednostki; ale niezużyta przytem siła rozumu dziesięciu, stracona. Gdyby to były istoty bezmyślne, jakieś automaty, skutek również byłby taki sam.

Natomiast przy drugim rodzaju kooperacyi, każda jednostka przyjmująca udział w produkcyi pracuje nietylko rękoma ale i głową. Oznaczywszy więc fizyczną siłę człowieka przez *c*, a siłę jego rozumu przez *ć*, to możliwa produkcya 100 000 ludzi, byłaby: w pierwszym razie 100 000 fizycznej siły × 1 siłę rozumu = 100 000 *cć*, a w drugim razie 100 000 × 100 000 = 10 000 000 000 *cć*.

Widzimy stąd jak wielka zachodzi różnica między jednym a drugim rodzajem kooperacyi. A jak sądzę, wynika to — przynajmniej w części — stąd, że kiedy w pierwszym bardzo tylko mała cząstka ogólnej sumy rozumu zużyta, to w drugim zużyty rozum każdej, do kooperacyi należącej jednostki.

Czyli że tylko przy samodzielnej pracy człowiek wszystkie swe siły zużytkowywa. Gdy zaś dla zapewnienia jednolitości działania, jeden spełnia tylko wolę drugiego — wtedy zawsze tam, gdzie rozum potrzebny, traci się pewną część produkcyjnej siły.

Dowodem tego niewola. Widzimy to również wszędzie, gdzie rząd — a wszystkie rządy do tego dążą — ogranicza swobodę osobistą. Ale gdzie ta swoboda zapewniona, gdzie nie tamuje się zaspokajania usiłowań jednostek, tam też jedynie może być w całości zużyta ich siła produktywna.

Muskuły z latami tężeją; a stąd delikatny mechanizm, który niegdyś z taką dokładnością poruszał soczewki moich oczu, dziś już nie działa prawidłowo. Jeszcze wprawdzie mogę czytać, patrząc jednem okiem przez maleńką dziureczkę w kartonie, ale tracę przy tem wiele światła. Przy pomocy zaś okularów korzystam ze wszystkich jego promieni i widzę dobrze.

Otóż podobnie się rzecz ma i ze sprawą społeczną. Chcieć tu osiągnąć przez kooperacyę pierwszego rodzaju to, co z prawa natury należy do drugiego, to to samo, co chcieć patrzeć przez taką dziurkę, gdy przez okulary można lepiej widzieć. A tak właśnie czyni socyalizm.

Socyalizm chciałby ująć w swe ręce i podług własnej modły urządzić podział pracy. Tymczasem podział pracy wyrasta sam przez się — jeśli tylko zostawiono ludziom swobodę. A zresztą, do pokierowania tak złożonym aparatem potrzebaby chyba aniołów, a co najmniej jakichś nadzwyczajnych ludzi.

Wiemy zaś jak trudny wybór, gdy się ma komuś powierzyć władzę. Człowiek przecie już z natury swej skłonny do tyranii i ucisku. A zresztą i najmędrsi jeszcze temu nie podołali; bo podział pracy w społeczeństwie cywilizowanem pociąga za sobą bezustanną zmianę stosunków i urządzeń. Jakżeż tu kierować, jak kontrolę utrzymać nad takim prawie nieskończenie złożonym aparatem; jak tu rozporządzić: co, kiedy, gdzie, i kto ma wykonać? Takie zadanie przechodzi siły ludzkie. Człowiek zarówno niezdolny taką kooperacyą kierować, tak jak i nie w stanie rządzić czynnościami własnego organizmu. Wszak Arystoteles, Cesar, Shakespeare, Newton, to przecie potęgi umysłowe, a któryż z nich mógł choć na chwilę jeszcze zatrzymać ulatujące zeń życie?

Umysł nasz — ten świadomy duch, który pojmuje, porównywa, sądzi, chce — to niby oko, które może widzieć odległe słońca, ale niezdolne własnego mechanizmu dojrzeć. A ciało nasze — w którem mieszka — utrzymuje się tylko dzięki jakiejś nieświadomej władzy, która bez ustanku pracuje i czuwa wtedy, gdy on, duch świadomy, odpoczywa lub zasypia; i która chce bez żadnych z jego strony wskazówek, a którą on ani kieruje ani nawet nic o niej bezpośrednio nie wie.

W podobny też sposób i dowolna, bezwiedna kooperacya działa w przemysłowym organizmie, tym „lewiatanie“ ale większym niż go Hobbes określił. Jednoczy bowiem usiłowania jednostek w celu produkcyi bogactwa, niezmiernie zwiększając przez to produkcyjne siły, i rozdzielając produkt między jednostki należące do tegoż związku.

A właśnie zbadanie natury i praw rządzących taką kooperacyą — to jedno z najgłówniejszych zadań ekonomii politycznej.

ROZDZIAŁ XI.

Działanie wymiany w produkcyi.

Brak instynktu u człowieka; posiada natomiast władzę umysłu — rozum, który prowadzi do wymiany.

Kooperacya u mrówek i pszczół jest tylko instynktową. — Człowiek bardzo słaby ma instynkt; ma zato rozum. — Rozum ujawnia się w wymianie. — To wystarcza do bezwiednej kooperacyi, ekonomicznego organizmu czyli większego lewiatana. — Z trzech sposobów produkcyi, wymiana jest najwyższym. — Błąd ekonomistów. — Zasada wymiany.

Owady najmniej budową a najbardziej sposobem życia zbliżone do człowieka. Mrówki i pszczoły sposobem kooperacyi budują sobie mieszkania, gromadzą zapasy żywności, a w razie niebezpieczeństwa, razem do obrony stają.

Zdawałoby się że jest to kooperacya celowa. Pszczoły bowiem mają swą królowę, swych trutniów i swoje robotnice; mrówki gromadą wędrują, gromadą ruszają do bitwy lub pracy.

Ale są to tylko pozory. Takie bowiem zespolenie usiłowań jednostek płynie z samej natury tych owadów, jako skutek popędu zwanego instynktem. Ten instynkt, działając wprost na osobniki, każdemu wskazuje właściwe miejsce i właściwą czynność, stojącą w związku z całością. W podobny sposób siła życiowa tj. rodna, działa w skorupie jajka, układając

tam oddzielne komórki w taki sposób, że z tego wyrasta potem żywy ptak.

Ale u człowieka ta siła, ten popęd zwany instynktem, bardzo się słabo objawia. Może on rządzi i podtrzymuje niezależne od woli czynności naszego organizmu; może przez to daje jakiś podkład władzom ducha — ale gdy się tak wyraźnie objawia na niższych szczeblach życia, u człowieka ustępuje on wyższej sile rozumu, który sobie kontrolę przywłaszcza. Sam instynkt już nie wystarczyłby człowiekowi — nie wystarczyłby mu nawet do takiego uspołecznienia życia, jakie np. widzimy u pszczół i mrówek lub bobrów. Ale za to rozum daje mu inną, potężną, prawie bezgraniczną siłę zespalania usiłowań jednostek, czyniąc go zdolnym i skłonnym do wymiany z towarzyszami.

A wymiana — to rozmyślne oddanie czegoś, w celu otrzymania za to innej rzeczy. Do wymiany więc potrzebna już przezorność, rachuba, sąd — a te zdolności właśnie stanowią różnicę między rozumem a instynktem.

Wymiana jako potężny czynnik kooperacyi.

Żadna istota nie może żyć sama w sobie tylko i wyłącznie dla siebie samej. U wszystkich więc — w mniejszym czy większym stopniu — spotykamy pewnego rodzaju kooperacyę; ale tylko wśród ludzi jest ona skutkiem wymiany. To właśnie wyróżnia człowieka z całego świata zwierzęcego. Tylko on jeden oddaje coś wzamian za inną rzecz. Pies woli zapewne kość niż jakąś kostkę; ale ani pies ani też żadne inne zwierzę, nic nigdy dobrowolnie i z rozmysłem nie da za coś innego. Gdy mu wypadnie z dwóch pożądanych rzeczy wybrać jedną, wtedy zawsze jak dziecko, radby zatrzymać obie, dopóki się go nie zmusi do poprzestania na jednej z nich. Żadne też zwierzę nie sadzi jadalnych ziarn dla zebrania z nich plonu, ani używa przynęty dla zwabienia zdobyczy; tak samo nie odda jednej rzeczy za drugą, choćby go ta druga bar-

dziej nęciła. U człowieka zaś wynika to już z samej jego natury i zasadniczo go też wyróżnia.

Wymiana — to potężny czynnik. Za jej to sprawą wyrasta kooperacya bezwiednie, a stąd ekonomiczne jednostki tworzą społeczny organizm — większego lewiatana. A w stosunku do tego organizmu jest ona tem, czem nerwy dla ciała ludzkiego.

Z trzech sposobów produkcyi, wymiana jest tym, który tamte — przez wyższe zastosowanie — czyni korzystniejszymi. Gdyby nie ona, nie mogłaby się kooperacya jednostek rozwinąć szerzej aniżeli zdolne to czynić naturalne popędy, tworzące rodzinę; a co najwyżej, możliwym byłby tylko ten rodzaj kooperacyi, w której wola jednych podporządkowana woli drugich — a to i na najniższym stopniu cywilizacyi nie wystarcza. Już sama nawet niewola sprowadza pewnego rodzaju wymianę; a przytem praca niewolników musi być przez nią uzupełniona, jeżeli właściciel ma zaspokoić swe wyższe potrzeby. Tylko bowiem przez wymianę może on za owoce ich pracy dostać więcej aniżeli są w stanie na jego ziemi wyprodukować. Stąd też społeczeństwa na niewoli oparte, pozbawione lepszych narzędzi, zdolne zaledwie lepianki budować. Mówiąc o piramidach i kanałach Egiptu, zapominamy że te dzieła przymusowej pracy znaczną przedstawiają sumę wymiany.

Wielu ekonomistów uważało wymianę za część podziału produkcyi, kiedy ona właściwie należy do samej produkcyi. Człowiek tylko wymianie winien zdolność zużytkowania siły kooperacyi, tak bardzo z postępem cywilizacyi podnoszącej jego produktywność.

Człowiek zawsze usiłuje zaspokajać swe potrzeby jak najmniejszym kosztem. Ta podstawa wymiany jest najgłówniejszą zasadą ekonomii politycznej. Człowiek idąc za tym wrodzonym mu popędem, szuka zaspokojenia swych potrzeb tam, gdzie może to znaleźć z mniej-

szym wysiłkiem. A mocą praw naturalnych — fizycznych i duchowych — dzieje się tak już od początku ludzkiej społeczności; i w miarę jej rozwoju, chodzi o coraz łatwiejsze sposoby zaspokajania pragnień.

Oprócz praw już wyjaśnionych, jest jeszcze inne prawo albo raczej warunek naturalny, odnoszący się do człowieka, korzystającego ze wzrostu produkcyjnej siły, jaką mu daje wymiana.

ROZDZIAŁ XII.

Znaczenie współzawodnictwa (konkurencyi) w produkcyi.

Współzawodnictwo ożywia handel i podnosi go do właściwego poziomu.

> Stare przysłowie prawdę mówi, że współzawodnictwo jest duszą handlu; ale dziś upowszechniło się mniemanie że współzawodnictwo szkodliwe. — Warto więc zbadać jego przyczyny i znaczenie w produkcyi bogactwa.

Urobiło się mniemanie że współzawodnictwo szkodliwe, i że należy je ograniczać a nawet usunąć.

Mniemanie to wyrosło z pożądania nieprawych zysków, dla których się nawet przekręca naturalne prawa rządzące podziałem. Dotyczy to rodzaju socyalizmu z czasu Smith'a, a zwanego wtedy systemem merkantylnym, który i dziś jeszcze, prawie w dawnej swej sile istnieje pod ogólną nazwą systemu ochronnego.

W części jednak mniemanie to pochodzi też z czystszego źródła, mianowicie ze słusznych narzekań na zbyt rażąco nierówny podział bogactw w całym świecie cywilizowanym praktykowany a błędnie współzawodnictwu przypisywany.

Nie będę się tu jednak rozwodził ani o systemie ochronnym ani też o socyalizmie właściwym, gdyż celem moim nie spory ale tylko zbadanie i wyjaśnienie praw naturalnych a do dziedziny nauki ekonomii

politycznej należących. A prawo, na którem współzawodnictwo polega, jest właśnie jednem z takich; więc bez jego zrozumienia nie możnaby też zrozumieć i ekonomii, tj. systemu, w którym Ten, co dał początek i byt światu, wskazał też ludzkości że ostatecznym celem postępu cywilizacyi jest powszechne używanie bezgranicznych bogactw.

Wzajemne współzawodnictwo ludzi w ich produkcyi wzięło początek z popędu zaspokajania pragnień przy jak najmniejszym nakładzie pracy.

A współzawodnictwo jest bezwątpienia duszą handlu, tj. wymiany — i to więcej niż tylko w znaczeniu ułatwiania.

ROZDZIAŁ XIII.

Zapotrzebowanie i podaż w produkcyi.

(Autor dał tylko tytuł tego rozdziału.)

ROZDZIAŁ XIV.

Porządek trzech czynników produkcyi.

Wszyscy ekonomiści godzą się na ich nazwy i porządek.

Ziemia i praca. — Kapitał — to czynnik złożony. — Dlaczego przyjmują ten porządek.

Ziemię, pracę i kapitał — wszyscy ekonomiści uznają za trzy czynniki produkcyi i w takim je też porządku zestawiają. A niewątpliwie jest to porządek naturalny, gdyż w takiej kolei jeden po drugim występuje.

Sam rozum mówi że ziemia — ze wszystkiemi jej siłami, niewyłączając życiowej siły roślin i zwierząt — istniała przed pojawieniem się człowieka. Ale dopóki był tylko ten jeden czynnik ekonomiczny, nie mogło być jeszcze produkcyi w znaczeniu ekonomicznem — a więc nie było też i bogactwa. Z chwilą dopiero pojawienia się człowieka — kiedy już nastąpiło połączenie obu ekonomicznych czynników, tj. ziemi z pracą — wtedy się zaczyna produkcya i pojawiają się jej owoce: bogactwo. A znów bogactwo, użyte jako pomoc pracy, stanowi już większą potęgę i występuje jako trzeci czynnik produkcyi — kapitał.

Z połączenia ziemi i pracy powstaje kapitał.

Ale ten trzeci czynnik różni się od dwóch poprzednich.

Ziemia i praca — to pierwotne, i przy każdym rodzaju produkcyi niezbę-

dne czynniki. Kapitał natomiast powstaje dopiero z połączenia tamtych; a może występować pod postacią pracy i niezawsze konieczny — tylko do niektórych rodzai produkcyi potrzebny. Ale jego udział w niej tak odrębny i takie wyświadcza usługi — że słusznie go wszyscy ekonomiści za oddzielny uznali czynnik.

A więc ziemia, praca i kapitał — to trzy czynniki, które w stanie cywilizacyi, razem wzięte, produkują bogactwo.

Może się komuś wyda zbytecznem tyle o tem mówić — boć samo z siebie wynika że pierwej musiała być ziemia niż praca, a praca znów pierwej niż kapitał; to przecież równie oczywiste jak to, że matka musi być pierwej niż jej dziecię. A jednak nie pomijam tego, ponieważ to drogowskaz wśród zamętu, jaki na tym punkcie spowodował sposób wykładu nauki ekonomii politycznej.

Bo chociaż ekonomiści uznali taki porządek tych trzech naturalnych czynników produkcyi, są jednak i tacy, którzy biorąc ostatni za pierwszy, twierdzą że właśnie kapitał jest głównym. To skutek płynących ze scholastycznej ekonomii niedorzeczności socyalizmu, zbyt dalekich od prawdziwej natury i działania kapitału.

Ale następstwa takiego zamieszania pojęć co do natury i porządku tych czynników produkcyi, szerzej omówię dopiero w księdze rozdziałowi bogactw poświęconej; tu zaś wypada mi tylko zaznaczyć porządek czynników produkcyi i wyjaśnić czem one właściwie są.

Rozbierzmy je po kolei.

ROZDZIAŁ XV.

Pierwszy czynnik produkcyi — ziemia.

Ziemia — naturalny albo bierny czynnik wszelkiej produkcyi.

Nazwa „ziemia". — Właściciele ziemscy. — Tylko praca jest czynnikiem czynnym.

Człowiek produkuje, biorąc z natury. A ziemia — to w ekonomii politycznej nazwa tego, z czego on bierze — nazwa tego, co już musiało istnieć, zanim on sam mógł istnieć.

Innemi słowy, nazwa *ziemia* oznacza w ekonomii politycznej naturalny albo bierny czynnik produkcyi. A pod tą nazwą rozumie się cały zewnętrzny, dla człowieka dostępny świat — razem ze wszystkimi jego siłami, jego właściwościami i produktami; wyjąwszy chyba tylko tych części, które czasowo wchodzą w skład samego człowieka i jego produktów, ale które z czasem do natury wracają i znów do ziemi należą.

Pierwotne, zwykłe znaczenie wyrazu *ziemia*, odnosi się tylko do suchej powierzchni, dla odróżnienia od powietrza i wody. Z punktu zaś prawa, oznacza już nietylko samą powierzchnię ale także wszystko to, co po nad nią i co może być pod nią — od zenitu aż do nadiru. A gdy chodzi o ekonomię polityczną, obejmuje znów wszystko, co posiada formy cielesne, i co człowiek otrzymał lub co może otrzymać od natury albo raczej od Boga. Tu więc pod nazwą ziemia,

rozumie się naturalny bierny czynnik, za pomocą którego praca — i jedynie praca tylko produkuje.

A należy to sobie dobrze zapamiętać: że ziemia jest tylko biernym czynnikiem.

Ziemia — to rzecz, nie osoba. Jedynie w poezyi i w mowie potocznej uosabia się ją, przypisując jej uczucia lub działania. Więc mówi się tam o szczodrości i skąpstwie ziemi, o ziemi obdarzającej lub wydzierającej, nagradzającej lub odmawiającej; o naturze kuszącej lub wzbraniającej, pomagającej lub przeszkadzającej; o krajobrazie wesołym, ponurym lub groźnym — ale są to tylko frazesy, przenośnie używane dla silniejszego lub piękniejszego wyrażenia naszych własnych uczuć. W produkcyi zaś bogactwa, ziemia sama przez się nie może działać — można tylko na niej działać. Tu jedynie człowiek działa.

Przestroga dla ekonomistów używających przenośni.

Ta zasada nie da się ani zmienić ani pominąć, gdy używamy wyrazu *ziemia*, mówiąc o jej właścicielach. Ci bowiem, jako tacy, są również jak i sama ziemia, zupełnie bierni w produkcyi.

Artur Young w przenośni jedynie mówił o „własności, jako o sztuce magicznej, przemieniającej piasek w złoto.“ Ma to właściwie znaczyć że celem przez własność zabezpieczonego używania owoców pracy na ziemi, jest pobudzenie ludzi do tem silniejszego i umiejętniejszego rozwinięcia tejże pracy, dla zwiększenia przez to produkcyi. Ziemia przecież nie wie czy ją człowiek uważa za własność, — własność więc żadnego nie może mieć wpływu na jej siły. Piasek zawsze tylko piaskiem a złoto złotem; deszcz pada, słońce świeci niezależnie od moralnych względów człowieka, jak treść depeszy zgoła żadnego nie ma wpływu na drut telegraficzny, po którym biegnie.

Wspominam o tem, bo chociaż ekonomiści także uważają ziemię za czynnik produkcyi, często jednak

gotowi przypuszczać: jakoby właściciele ziemscy — już przez samo posiadanie — przyczyniali się do produkcyi.

Mogą się wprawdzie i oni do niej przyczyniać swą pracą i kapitałem, ale nigdy przez samo posiadanie. Takie przypuszczenie równie śmieszne jak to, że lunatyk przez swe mniemane posiadanie księżyca, może już sprawić aby ten jaśniej świecił.

Niepodobna zupełnie uniknąć przenośni; ale w ekonomii politycznej trzeba być bardzo co do tego ostrożnym.

ROZDZIAŁ XVI.

Drugi czynnik produkcyi — praca.

Praca — to ludzki, czynny czynnik produkcyi.

Nazwa „praca". — Jest to jedyny czynny czynnik produkcyi bogactwa, a z natury swej duchowy.

Wszystkie — a przynajmniej wszystkie świadome czynności ludzkie są następstwem pragnienia; a cel ich — zaspokojenie tegoż. Czynność cel ten spełniająca, jest natężeniem, w ekonomii politycznej zwanem *pracą*.

Praca, to czynny — a ze stanowiska człowieka — główny, początkujący czynnik wszelkiej produkcyi. Czynnik ten, zastosowany do ziemi, sprawia wszystkie możliwe zmiany materyi, jakich wymaga zaspokojenie pragnień.

Ekonomia polityczna nie ma tu innej nazwy oprócz *praca*. Nazwa ta więc obejmuje wszelkie ludzkie natężenia w każdego rodzaju produkcyi bogactwa.

Potocznie często się mówi o pracy mózgu lub rąk, jak gdyby tu wyłącznie chodziło tylko o natężenie mózgu lub muskułów. W rzeczywistości jednak, każda praca w produkcyi bogactwa (oprócz tej, którą można zastąpić siłą zwierzęcą) wymaga tak samo natężenia mózgu jak i rąk, i bez użycia sił duchowych byłaby niemożliwą.

Praca w rzeczywistości jest fizyczną tylko co do jej zewnętrznych form — ale źródło jej umysłowe albo

raczej duchowe. Przez pracę dopiero duchowy pierwiastek człowieka, jego istota, jego *ja* panuje nad materyą i ruchem, dowolnie zmieniając świat cielesny.

Jak ziemia jest naturalnym, biernym czynnikiem wszelkiej produkcyi, tak praca znów ludzkim albo czynnym, początkującym. Wszelka produkcya wynika z działania pracy na ziemi; a stąd też słusznie powiedziano że tylko praca wytwarza wszelkie bogactwo.

ROZDZIAŁ XVII.

Trzeci czynnik produkcyi — kapitał.

Kapitał pochodzi z ziemi i pracy, i jest formą użycia bogactwa.

Kapitał jest pracą, podniesioną do wyższej potęgi. — Kiedy może a kiedy musi pomagać pracy. — Sam przez się bezsilny.

Ziemia i praca — to główne czynniki, z których połączenia dopiero wynika wszelka produkcya. Więc ich wynikiem jest bogactwo, będące ziemią tak za pomocą pracy przemienioną, aby tem lepiej można ludzkie pragnienia zaspokajać. Trzeci zaś czynnik produkcyi, *kapitał* — jak widzieliśmy — to tylko forma użycia bogactwa.

Praca, początkujący czynnik produkcyi.

Kapitał sam przez się nie jest pierwiastkiem, któryby można jako taki wyróżnić; nie jest też głównym czynnikiem produkcyi: ale — zawsze należy o tem pamiętać — składa się z bogactwa pomagającego pracy do wyprodukowania więcej bogactwa. Produkować można i bez niego; a nawet musiano produkować bez niego wtedy, zanim się jeszcze mógł pojawić.

Jest to podrzędny, złożony czynnik; występuje dopiero z czasem, a powstaje z połączenia pracy i ziemi w produkcyi bogactwa. W istocie więc jest to praca, przez powtórne połączenie z ziemią, wyniesiona do trzeciej — wyższej potęgi. Ale dla życia cywili-

zowanego tak potrzebny, że słusznie go uznano za trzeci czynnik produkcyi. Człowiek wprawdzie mógł się i bez niego podnieść, ale nie o wiele wyżej nad poziom zwierzęcia.

Jak w 2 rozdziale tej księgi wykazałem, są trzy rodzaje produkcyi: zastosowanie, rozmnażanie i wymiana. Otóż przy wyższych formach zastosowania, praca nie może się obyć bez pomocy kapitału; przy niższych zaś, kapitał może jej pomagać, ale ta jego pomoc nie jest koniecznie potrzebną. Można bowiem i bez niego łowić mniejsze, słabsze zwierzęta; można zbierać naturalne owoce i jarzyny, mieć jakieś nędzne schronisko i odzież, a nawet i gromadzić bogactwo choć w jakichś bardzo surowych formach.

Ale za to przy rozmnażaniu i wymianie, kapitał jest niezbędnym. Nie podobna przecie ani uprawiać roślin ani też hodować zwierząt, zanim się jeszcze tych roślin i zwierząt nie ma jako bogactwa, przeznaczonego nie na zaspokojenie potrzeb wprost ale na dalszą produkcyę bogactwa. Niemożliwa również i wymiana, dopóki bogactwa nie ma na wymianę za inne bogactwo lub usługi.

Zwracam też uwagę że kapitał sam przez się nic zdziałać nie może. Zawsze to tylko pomocniczy, nigdy zaś początkujący czynnik. Początkującym czynnikiem zawsze jest praca.

Czyli że w produkcyi bogactwa zwykle tylko praca posiłkuje się kapitałem a nigdy kapitał pracą. Jest to prawdą nietylko w dosłownem znaczeniu — nietylko wtedy gdy kapitał pojęty jako rzecz: ale także i wtedy gdy pod tą nazwą rozumiemy posiadacza. Właściwy kapitalista może tylko pomagać pracy do produkcyi, ale sam bez niej nie zdolny tej swojej siły zużytkować — bo jedynie przez pracę może być zastosowaną. Kapitalista więc — jeżeli nie chce sam żadnej pracy podjąć dla zużytkowania swej siły —

musi wtedy kapitał innym pod pewnymi warunkami powierzyć — a ci inni dopiero zużyją go przez pracę.

Wspominam o tem, ponieważ wielu ekonomistów uważa kapitał za początkujący czynnik produkcyi i przypuszcza że on właśnie posiłkuje się pracą. Tymczasem w rzeczywistości — i to bez względu na formę, w jakiej kapitał użyty — zawsze praca daje początek produkcyi a kapitał tylko jej pomaga; nigdy zaś kapitał nie daje początku produkcyi ani też nigdy praca mu nie pomaga.

Zawsze należy mieć na uwadze: że tylko praca produkuje bogactwo czy kapitał; kapitał zaś sam przez się nie może nic produkować. Ma on jedynie moc wywierania wpływu na rozdział bogactwa — a to za pomocą groźby przeszkadzania produkcyi. W ten sposób kapitalista, ze szkodą innych może w swem ręku gromadzić bogactwo czy kapitał — ale go nigdy nie może sam wytworzyć.

Koniec Księgi III.

KSIĘGA IV.

Rozdział produkcyi

ROZDZIAŁ I.

Znaczenie rozdziału produkcyi.

Znaczenie i zastosowanie wyrazu rozdział. — Miejsce i znaczenie nazwy ekonomicznej.

Pochodzenie i zastosowanie tego wyrazu. — Niewłaściwie się dzieli ekonomię polityczną na naukę o wymianie, spożyciu (konsumcyi) i opodatkowaniu. — Rozdział jest przedłużeniem a zarazem i końcem tego, co się od produkcyi zaczyna. — Podział jako nazwa ekonomiczna i prawdziwe jej znaczenie. —

Podział pracy, podział obowiązków albo czynności między robotników jakiejś oddzielnej grupy, ma połączonemi siłami osiągnąć jakiś wspólny cel. Rozdział zaś jałmużny, ofiar, każe przypuszczać wydzielenie z całości jakiejś cząstki każdemu z obdarowanych. Rozdział gazu, wody, ciepła, elektryczności — to rozprowadzenie ich w odpowiedniej ilości po budynku lub mieście do każdego zakątka. Rozdział w logice, jest to takie zastosowanie nazwy do wszystkich oddzielnych części klasy, że w razie uznania lub zaprzeczenia całości, nietylko temsamem uznaje się lub przeczy wszystkim razem wziętym, ale także i każdej z osobna. W naukach rozdział przedmiotów na działy, gatunki, rodzaje — to zestawienie ich podług podobieństwa lub różnicy co do form, pochodzenia lub własności. Rozdział poczty, to ułożenie paczek i listów, stosownie do ich miejsca przeznaczenia, albo rozsegre-

gowanie nadesłanych dla doręczenia podług adresu. To co nazywamy rozdziałem czcionek (przy ich rozbieraniu) jest przeciwstaniem ich składania. Przy ustawianiu drukarz łączy pojedyńcze litery, z których powstają wyrazy, a z wyrazów cała forma. Po odbiciu z tej formy żądanej ilości egzemplarzy druku, znów ją się rozbiera, kładąc każdą literę do właściwej przegródki.

Teraz już coraz częściej taką pracę zastępuje maszyna. Zecer tylko naciska odpowiednie klawisze, a żądane litery odlewają się same, tworząc wyrazy a z wyrazów wiersze. Ale po zrobionym z nich użytku, już się takich wierszy nie rozbiera lecz przetapia na metal. W tym więc wypadku nie ma już żadnego rozdziału.

Jak to już nadmieniłem, w ekonomii politycznej rozdział — wbrew twierdzeniu wielu wybitnych uczonych — nie odnosi się do przewozu i wymiany. Żadnej też nie ma słusznej racyi aby wymianę uważać za oddzielną gałąź ekonomii politycznej. Za taką jenak bywa uważaną przez tych, którzy ekonomię polityczną określają jako naukę o prawach rządzących produkcyą, rozdziałem i wymianą bogactw. Przewóz i wymiana słusznie włączone do produkcyi, ponieważ stanowią część procesu, którego naturalnym celem, jaknajlepsze zaspokojenie potrzeb człowieka przez wytężenie ludzkiej pracy.

Nowej daty podrzędniejsi ekonomiści włączają do nauki ekonomii politycznej także rozdział bogactw, ich spożycie (konsumcyę) i podatki. Nie ma tu logicznej racyi. Zadanie bowiem właściwej nauki ekonomii politycznej kończy się z chwilą osiągnięcia celu, w jakim produkcyę podjęto — a więc kończy się tam, gdzie się już zaczyna rozdział — spożycie nic jej nie obchodzi.

Nauka ekonomii politycznej zajmuje się rozdziałem bogactw, o ile tego wymaga kooperacyjny charakter

dzisiejszej ich produkcyi w świecie cywilizowanym. W pierwotnym stanie ludzkości, gdy produkowały rozproszone jednostki oddzielnie, produkt każdej z nich zostawał w posiadaniu producenta; wtedy też nie było i rozdziału bogactwa, a tem samem nie było i potrzeby zajmowania się nim. Na wyższym stopniu cywilizacyi, gdy się już oddzielne jednostki łączą dla produkowania bogactw, w celu zaspokojenia osobistych pragnień, wtedy już z natury rzeczy wynika potrzeba rozdziału owoców wspólnej produkcyi.

Rozdział bogactw jest dalszym ciągiem ich produkcyi.

Rozdział bogactw jest w gruncie rzeczy tylko dalszym ciągiem ich produkcyi, drugą częścią tego samego procesu, którego część pierwszą stanowi produkcya. Pragnienie bowiem, które nas skłania do wysiłków jakich ona wymaga, jest to to samo pragnienie zaspokojenia; a podział bogactw, to właśnie proces, przez który owoce produkcyi doprowadzone do punktu, gdzie już mają zaspokoić pragnienia — punktu, będącego ostatecznym celem produkcyi.

Logicznie biorąc, rozdział bogactw, to ostatnia granica ekonomii politycznej. Tu bowiem kończy się wszelkie działanie, ustaje wszelki ruch. Rozdział bogactw tkwi już w samem pragnieniu ludzkiem, którego zaspokojenie, to cel ostateczny; z jego osiągnięciem kończy się rola ekonomii politycznej. A cel osiągnięty z chwilą rozdziału bogactw. Co się potem z niemi stanie, ekonomia polityczna już się o to nie troszczy. Tylko w takim razie jeszcze się tem zajmuje, jeżeli znów te bogactwa występują na pole ekonomii politycznej w postaci kapitału. Inaczej po rozdziale mogą tylko obchodzić jednostki albo nawet i całe społeczeństwa, ale ta sprawa już nie należy do zakresu ekonomii politycznej. Gałęzie wiedzy zajmujące się ostatecznem zużyciem bogactw, mogą być same przez się bardzo nawet interesujące i pożyteczne, ale to już nie jest

właściwa ekonomia polityczna, która przecież nie obejmuje całej wiedzy, lecz jako oddzielna nauka, ma swoje własne, jasno i ściśle wytknięte pole działania.

Jeżeli zapragnę ziemniaków, to mogę ich sobie nakopać, wyrwać lub uzbierać sam. Ale jako członek wielkiego zespolenia podobnych jednostek — czyli ciała ekonomicznego, będącego podwaliną cywilizacyi — mogę je także otrzymać wzamian za inną pracę. Mogę np. piłować albo rąbać drzewo, mogę łowić ryby, polować, grać albo też prawić kazanie — słowem mogę w jakikolwiek sposób zaspokoić pragnienia innych, którzy mi za to dostarczą ziemniaków, albo też środków otrzymania takowych.

Cała ta czynność wypływająca z chęci posiadania ziemniaków, kończy się z chwilą gdy je dostanę; albo raczej z chwilą, kiedy je mam już do swego rozporządzenia na miejscu żądanem. A czy ja te ziemniaki usmażę, czy je ugotuję, upiekę albo świńmi spasę, czy wreszcie zgnić pozwolę, daruję, sprzedam lub też za coś innego wzamian oddam — to już nie wchodzi w rachunek, bo ten został zamknięty z chwilą ich otrzymania.

Zazwyczaj się mówi że rozdział, jako nazwa ekonomiczna, to podział owoców produkcyi między te jednostki, które się do niej przyczyniły. Ale jak zobaczymy, jest to błąd. Właściwie bowiem chodzi tu o podział na klasy (kategorye), stosownie do czynników produkcyi.

Nie od rzeczy tu będzie przypomnieć że właściwym cel ekonomii politycznej, to badanie praw przyrodzonych a nie ludzkich. Stąd też pochodzi, że badając prawa rządzące rozdziałem bogactwa, wcale się nie zajmujemy prawami państwowemi — nic nas tu nie obchodzą żadne ludzkie przepisy określające w jaki sposób bogactwo winno być między ludzi rozdzielane. Zgoła to nas nie obchodzi — chyba tylko dla illustra-

cyi możemy o ten przedmiot potrącić. My mamy szukać jedynie tych praw rządzących rozdziałem bogactwa, które należą do naturalnego porządku, i które są częścią tego systemu, czyli urządzenia stanowiącego organizm społeczny tj. ciało ekonomiczne (a nie polityczne, krajowe) — owego większego lewiatana, który się jednocześnie z cywilizacyą pojawia i razem z nią rozwija. A te przyrodzone prawa, zawsze i wszędzie jednakie. Chociaż im często ludzkie postanowienia przeciwne, to jednak nigdy ich na tej drodze nie można zniweczyć ani usunąć.

A tembardziej należy o tem pamiętać, ponieważ w t. z. systematycznych wykładach ekonomii politycznej, gdy mowa o rozdziale bogactw, zawyczaj milczeniem się pomija, albo nawet wprost temu przeczy że ta nauka nie zajmuje się ludzkiemi lecz tylko przyrodzonemi prawami. A taki właśnie wypadek zachodzi nawet i co do najlepszego, najsystematyczniej opracowanego wykładu.

ROZDZIAŁ II.

Natura rozdziału produkcyi.

Fałszywe twierdzenie że rozdział zależy od praw ludzkich; — że przyrodzone jego prawa nie okazują się na bogactwie już wyprodukowanem, ale tylko na produkcyi, jaka dopiero ma nastąpić; — oraz że są to prawa moralnej natury.

Twierdzenie Mill'a że rozdział zależny od praw ludzkich. — Dowód nienaukowego charakteru ekonomii scholastycznej. — Fałsz w tem zawarty i wynikające stąd zamieszanie. — Beduin a świat cywilizowany. — Naturalne prawa rozdziału nie mają wpływu na bogactwo już wyprodukowane, ale tylko na produkcyę przyszłości. — Przyczyna tego. — Porównanie z krwią.

„Zasady ekonomii politycznej“ Mill'a, to dzieło, które nawet dziś jeszcze może uchodzić za najlepszy, najsystematyczniej opracowany wykład przez scholastyków uznanej ekonomii politycznej. A jednak muszę odmówić słuszności poglądom tego autora. Dowodzi bowiem że prawa rządzące rozdziałem produkcyi, to prawa ludzkie. Mill wypowiada to zaraz na wstępie księgi II^{ej}, zatytułowanej „Rozdział“, tuż po 13^{tu} rozdziałach, poświęconych produkcyi. Jest to twierdzenie zasadnicze; usiłuje na niem oprzeć całe swe dowodzenie: że rozdział bogactwa zależy jedynie od ludzkich ustaw.

Zasady wyłożone w pierwszej części tego dzieła, silnie się pod pewnymi względami wyróżniają od tych,

o których właśnie mamy tu mówić. Prawa i warunki produkcyi bogactwa, niemniej stałe niż prawdy fizyczne. Nie ma tam nic dowolnego. Cokolwiek ludzkość produkuje, musi produkować tylko w sposób i na warunkach narzuconych jej przez stosunki rzeczy zewnętrznych i przez wrodzone im właściwości tak cielesnej jak i duchowej ich budowy.

Rozdział bogactw zależy od ustaw społecznych.

Wyjątek stanowi rozdział bogactw: ten wyłącznie od ludzkich ustaw zależy. Skoro zaś raz zostało wyprodukowane, człowiek — pojedyńczo lub zbiorowo — może już z tem robić, co mu się podoba. Może dać komu zechce i na jakich zechce warunkach. A co więcej, człowiek — o ile się nie znajduje na jakiejś zupełnie bezludnej pustyni — może tylko tak zużywać owoce swej produkcyi, jak mu zezwoli społeczeństwo, albo raczej ci, co przedstawiają jego siłę czynną. Nawet i tego, co sobie ktoś sam wyprodukował, nie może dla siebie zatrzymać bez zezwolenia społeczeństwa. Nietylko społeczeństwo ale nawet pojedyńcze jednostki mogą mu to odebrać; i niewątpliwieby odebrały, gdyby posiadanie nie było mu zapewnione przez społeczeństwo.

Tak więc rozdział bogactw zależy od praw i zwyczajów danego społeczeństwa. Ustawy regulujące posiadanie, odpowiadają poglądom i uczuciom tej części społeczeństwa, która je stanowi; stąd też bardzo bywają różne w różnych czasach i różnych krajach — a ta różnica może być jeszcze większą, jeśli się tak ludziom spodoba.

Bezwątpienia, że uczucia i zapatrywania ludzkie nie są przypadkowemi, lecz wynikają z praw ludzkiej natury, stosownie do rozwoju wiedzy i moralnego poziomu oraz wpływu istniejących stosunków społecznych. Ale nie zajmujemy się w tej chwili badaniem pochodzenia ludzkich zapatrywań — wkroczylibyśmy w granice historyi cywilizacyi, a to bezporównania szersze

i trudniejsze do zbadania pole, aniżeli ekonomia polityczna. Tu zaś mamy tylko rozważyć nie przyczyny lecz skutki przepisów regulujących rozdział bogactwa. A te przepisy nie są zupełnie dowolne, lecz z charakteru swego podobne do praw fizycznych rządzących produkcyą. Człowiek może wprawdzie kierować swymi czynami, ale ich następstwa już nie zależą od jego woli. Społeczeństwo też może kierować rozdziałem bogactw wedle zasad za najlepsze uznanych; ale jakie stąd w praktyce wynikną skutki, to dopiero przez obserwacyę i drogą rozumowania trzeba wykryć, tak jak się wykrywa wszelkie inne czy to fizyczne czy duchowe prawdy.

Przystępujemy tedy do rozpoznania różnych sposobów rozdziału produktów ziemi i pracy — sposobów już przyjętych w praktyce i zalecanych w teoryi.[1]

Obok wszystkich nader jałowych dzieł ekonomicznych, jakie przewertowałem, to jedno, pochodzące z pod pióra człowieka wielce szanowanego, zdradza najlepsze chęci wyjaśnienia: co istotnie w ekonomii politycznej rozumiemy przez prawo rozdziału bogactwa. Jest to dowodem wyższości Mill'a nad jego poprzednikami i naśladowcami, chociaż ich dzieła uchodzą za autorytety w szkołach i kollegiach. Tembardziej więc poczuwał się do obowiązku dania wyjaśnienia, ale te próby pozbawione charakteru naukowego. Dowiadujemy się tam np. że prawa, których badaniem zajmuje się ekonomia polityczna, najpierw są przyrodzonemi a później stają się już prawami ludzkiemi. Tego rodzaju ekonomia zarówno niedorzeczna jak ów obraz, który tyle kłopotu sprawił Nabuchodonozorowi, ponieważ głowa była szczerozłota a kadłub z żelaza i gliny. Tu również w pierwszej części podstawą jest prawo naturalne, w dalszej zaś — i to w praktyce ważniejszej — prawo ludzkie.

[1]) „Zasady ekonomii politycznej“ Część I, księga II rozdz. I.

Zobaczmy jaka też wartość tego twierdzenia. Mill przecie od najmłodszych lat przywykł do logicznego myślenia; napisał nawet dzieło o logice — dzieło uznane, na które się często powołują profesorowie ekonomii politycznej.

Głębiej jednak w rzecz wniknąwszy, przekonamy się, że słuszność tego twierdzenia jest tylko pozorną. Mill wychodzi tu z założenia że *„gdy raz coś wypro-„dukowane, wtedy już człowiek — pojedyńczo lub zbio-„rowo — może z tem robić, co mu się podoba.“* Stąd to widocznie samemu Mill'owi, jak również profesorom i studentom — którzy już poznali jego *„Zasady ekonomii politycznej“* — wydało się już bezwzględnie udowodnionem, że *chociaż prawa rządzące produkcyą mogą być przyrodzonemi, to jednak rozdziałem bogactw rządzą prawa ludzkie.* Jest to przecie bijąca w oczy prawda. Jest to przecie jasne jak na dłoni, że skoro coś zostało wyprodukowane, wtedy już człowiek — pojedyńczo lub zbiorowo — może z tem robić co mu się podoba. Czyli innemi słowy znaczy to, że prawo ludzkie może dowolnie regulować rozdział bogactwa już wyprodukowanego.

Skoro to twierdzenie już samo w sobie tak niezaprzeczalne, jest ono zarazem wybornym przykładem fałszu, znanego w logice pod nazwą *petitio principii.* Chodzi tu o to: czy to, co się w ekonomii politycznej zowie rozdziałem bogactwa, podlega prawom naturalnym czy ludzkim. Mill tu powołuje się na fakt, że wobec praw ludzkich, można dowolnie regulować rozdział bogactw; a stąd już wysnuwa wniosek, że i w ekonomicznem znaczeniu tej nazwy, rozdział bogactw wyłącznie zależy od praw ludzkich.

Taki fałsz nie mógłby wyjść z pod pióra autora „Logiki“, aniby go nie powtarzało tylu innych logików, gdyby nie to, że w scholastycznej ekonomii politycznej, zawikłaną została sprawa natury rozdziału bo-

gactw, i zupełnie pominięto pytanie: od jakich praw zależy — czy przyrodzonych czy ludzkich. Spróbujmy porozumieć się co do tego.

Zupełnie to jasne że rozdział bogactwa już wyprodukowanego zależy od ludzkiej woli i siły jej wykonania. Natura tu nic nie ma do czynienia i żadnego też nie bierze w tem udziału. Bogactwo już wyprodukowane, tylko w wyjątkowych razach od niej zależy. Ludzkość może je oddać komu jej się podoba i na dowolnych warunkach.

A więc rozdział w tem znaczeniu — rozdział rzeczy już istniejących — wyłącznie zależy od ludzkiej woli i siły. Gdzie stosunki jeszcze nieustalone lub gdzie zostały zakłócone, tam rozstrzyga wola najsilniejszego. Ale gdzież to w cywilizowanem społeczeństwie ludzkie prawo kieruje podziałem bogactw? Zdarza się to wprawdzie, lecz tylko w razach wyjątkowych, np. w razie zawieszenia wypłat, w razie choroby właściciela lub sporu o własność. Wtedy dopiero władza wkracza i zarządza rozdział, stosownie do prawa pisanego czy tylko zwyczajowego. Prawo tu konieczne. Sąd wydaje wyrok, a wykonywa go działający w imieniu państwa urzędnik z władzą aresztowania własności lub samego właściciela.

„Stare lecz najlepsze prawo, najprostszy to sposób
Że tylko ten może coś mieć, kto pięść ma dość mocną,
Aby innym coś zagrabić a sobie nie dać wziąć.“

W społeczeństwach posiadających wielce złożony aparat dla stanowienia i wykonywania praw, i prawa dotyczące rozdziału bogactwa muszą się zasadzać na ludzkiej woli i sile.

Wobec tego czyż można jeszcze mówić o jakichś naturalnych prawach rozdziału bogactwa. Wszak niema ich ani spisanych ani drukowanych, wykutych w kamieniu lub rzeźbionych na słupach z bronzu. Żadne

też nie istnieją parlamenty, sejmy ani kongresy, któreby je stanowiły.

Cóż tedy istotnie rozumiemy pod tą nazwą: przyrodzone prawa rozdziału bogactwa; i jak mogłyby one działać wbrew woli ludzkiej?

W tem właśnie cała leży trudność. A że dzieła ekonomiczne milczą o tej sprawie, stąd scholastycy wysnuli pozornie słuszny wniosek, że tylko prawa ludzkie (a nie przyrodzone) rządzą rozdziałem bogactw, i że zatem tylko z temi prawami nauka ekonomii politycznej ma do czynienia. Takie przypuszczenie ograniczałoby jej zakres tylko do samej produkcyi.

Zjawiska zewnętrznego świata — o czem była mowa w pierwszej części tego dzieła — nazywamy prawami natury; ponieważ rozum nasz widzi w nich dowód wszechpoczątkującej woli, woli wyższej i pierwej niż nasza istniejącej. Jedyne to prawa, jakiemi się zajmuje czysta nauka ekonomii politycznej.

Zobaczmy czy nie ma dowodów na to, że te prawa rządzą także i rozdziałem bogactw.

Często wiatr dobywa z łona piasków pustyni przedmioty dawno zamarłej cywilizacyi. Są to przedmioty od dawna już wyprodukowane, a znalazcy mogą z nimi robić co im się podoba — mogą je darować, mogą tylko dać na pewnych warunkach. Przyroda wcale ich tu nie krępuje. Nie przeszkodzi im ani piasek i niebo pustyni ani też wiatry, które po niej harcują; również słońce, księżyc i gwiazdy obojętnie będą na to patrzeć. Słowem nic im nie stanie na zawadzie; mogą ze swem bogactwem uczynić co tylko zechcą.

A wszakżeż przedmioty teraz wyprodukowane, są tak samo już gotowe; dlaczegóżby zatem ludzie — pojedyńczo lub zbiorowo — nie mogli z niemi również wedle swej woli postępować? A zapewne że mogą, i to bez żadnego oporu ze strony samychże przedmiotów, bez żadnych przeszkód zewnętrznej natury. Jeżeli be-

duini rabują groby egipskie, dlaczegóżby tylko ludzie cywilizowani nie mogli zagrabiać sobie produktów rolnych, kopalnych lub fabrycznych. Wszak prawo ludzkie może i takie zbiorowe działanie uznać, boć jest również wyrazem zbiorowej ludzkiej woli, więc zależy od zmian tej woli.

Prawa przyrody — o ile chodzi o prawa fizyczne, nie stoją tu na przeszkodzie: prawa energii lub materyi, nic zgoła nie mają wspólnego z własnością ludzką.

A jednak nie potrzeba na to być ekonomistą aby zrozumieć, że gdyby w jakimś kraju tak się zachowywano wobec produktów dzisiejszej cywilizacyi, jak beduini postępują z okazami produkcyi minionych wieków — musiałoby to fatalne mieć następstwa: przyszłaby bieda, głód, śmierć — i to niezależnie od praw ludzkich. Czy rozdział bogactw nastąpiłby wbrew czy za ich zgodą, skutki tu w obu razach byłyby jednakie. Bo skoroby tylko wytwórcy spostrzegli, że owoce ich pracy mogą im być wbrew ich woli odebrane, zarazby wszelka ustała produkcya i zaczął by się głód. Jasne zatem że to nieuniknione następstwo byłoby spowodowanem nie przez ludzkie ale przez przyrodzone prawo, tylko że nie z rodzaju praw dotyczących materyi lub ruchu, niemniej jednak stałe. Oprócz bowiem t. z. praw fizycznych odnoszących się do materyi i energii, są też przecie i prawa przyrody, dotyczące ducha — myśli i woli.

Gdybyśmy tedy wbrew takiemu moralnemu prawu natury chcieli produkta dzisiejsze traktować jak starożytności, zarazby się pojawiły ujemne skutki. Nie znaczy to jednak aby owo prawo miało oddziaływać wprost na rozdział bogactw już istniejących. Zależy on wyłącznie od woli ludzkiej. Ze strony moralnego prawa natury żadna tu na razie nie zachodzi przeszkoda; ale wpływ jego sam przez się okaże się później, przez zatamowanie produkcyi. Bo chociaż rozdział bogactwa

już istniejącego, zależy od woli ludzkiej, to jednak produkcya zależną jest od prawa natury rządzącego rozdziałem.

Innemi słowy, niemożna w ekonomii politycznej uważać produkcyi za coś chwilowego tylko, za coś, co się kończy z chwilą wytworzenia bogactwa. Zarówno produkcya jak i rozdział wytwarzanego przez nią bogactwa mają ciągłość działania; i nie są to wcale dwie różne rzeczy, ale tylko dwie różne części jednej i tej samej rzeczy: wysiłku ludzkiej pracy, podejmowanego celem zaspokojenia ludzkich pragnień. Ale obie te części, chociaż od siebie różne, są jednak w ścisłym ze sobą związku. A rozdział bogactw jest przyczyną ich produkcyi, nie zaś produkcya przyczyną rozdziału. W zwykłych warunkach nie dlatego następuje rozdział bogactwa że ono zostało wyprodukowane, ale przeciwnie, dlatego właśnie zostało wyprodukowane, aby mogło być rozdzielone. Utrudnienie więc rozdziału bogactwa, jest zarazem i utrudnieniem jego produkcyi, co się też zaraz wyraźnie okazuje przez jej zmniejszenie się.

Własny nasz organizm nastręcza tu najlepsze porównanie. Stosunek bowiem krwi do naszego ciała, przypomina stosunek bogactwa do ciała społecznego. Jak krew obiega całe ciało człowieka, tak też i bogactwo obiega całe ciało społeczne. A chociaż organa krew rozprowadzające, różne od tych, które ją produkują — to jednak między obu tymi rodzajami tak ścisły zachodzi związek, że każda przeszkoda tamująca krążenie krwi, musi też koniecznie oddziałać i na jej produkcyę. Gdybyśmy sobie powiedzieli o krwi w sercu zgromadzonej, że *skoro już wyprodukowana, to możemy z nią zrobić co nam się podoba;* i gdybyśmy, stosownie do tych słów, spowodowali jakąś zmianę w jej krążeniu — zarazby serce bić przestało, a jednocześnie i produkujące ją organa utraciłyby swą siłę, i zaczął by się rozkład.

A jak zmiana w obiegu krwi powoduje śmierć fizycznego organizmu, tak też i przeszkoda wobec naturalnego prawa rządzącego rozdziałem bogactwa, spowodowałaby śmierć organizmu społecznego. Tu też należy szukać przyczyny upadku miast i zaniku dawnych cywilizacyi.

ROZDZIAŁ III.

Pospolite pojęcie naturalnego prawa rozdziału.

Mill uznaje rozdział bogactwa za zależny od prawa ludzkiego. — Następstwo i wynik. — Wola ludzka a wola objawiająca się w przyrodzie. — Stałość przyrodzonych praw rozdziału. — Ludzka wola zbyt słaba aby mogła wpływ wywierać na rozdział bogactwa. — Dowodzą tego próby oddziałania na rozdział bogactwa przez produkcyę. — Konfuzya Mill'a i jego charakter.

Zdawałoby się niepodobieństwem aby człowiek tej co Mill miary, mógł stanowczo wyrażać pogląd, oparty na tak namacalnym fałszu jak to, że w ekonomii politycznej prawa rządzące produkcyą są naturalnemi a rządzące rozdziałem bogactwa, ludzkiemi. A taki, jakby mimochodem rzucony pogląd wypowiada w przytoczonym tu już ustępie. Przypomnę to jeszcze dla wyjaśnienia sprawy, podkreślając przy tem wyrazy o które mi chodzi.

„Mamy tu zbadać (w ekonomii politycznej) nie przyczyny ale *wyniki* praw (ludzkich), podług których bogactwo może być rozdzielane. A te (wyniki) przynajmniej tak stałe (as little arbitrary) i tak podobne do praw fizycznych, jak te, które rządzą produkcyą. Człowiek może kierować swymi czynami, ale ich *wyniki* już nie od niego zależą. Społeczeństwo może takie do rozdziału bogactwa zastosować prawa, jakie uzna za najlepsze; ale *praktyczne wyniki* tego trzeba dopiero zbadać drogą obserwacyi i rozumowania, tak jak się bada wszelkie inne, fizyczne lub duchowe prawdy."

Oto mamy coś, czegoby się trudno po Millu spodziewać. Jest to przykład niewłaściwego użycia wyrazu *wynik* (consequence) w znaczeniu następstwa (sequence).

Jak już o tem wspomniałem (ks. I r. VII) następstwo jest wtedy, kiedy jedna rzecz następuje po drugiej, ale nie znaczy to jeszcze że stoją do siebie w stosunku przyczynowym; przeciwnie zaś następstwo w znaczeniu wyniku, jest wtedy, kiedy zachodzi stosunek przyczynowy, bo nie tylko że jedna rzecz nastąpiła po drugiej ale i wynikła z niej jak skutek z przyczyny.

Tymczasem często w mowie potocznej używa się wyrazu *następstwo* (consequence) w znaczeniu *następstwa* (sequence); albo się też mówi o wyniku jako o następstwie tego, co mogło być tylko jedną z przyczyn. Jeżeli np. chłopiec rzucając w kota wybił szybę, albo ktoś poszedł się kąpać a utonął, jużeśmy gotowi powiedzieć że jedno jest wynikiem drugiego; chociaż wiadomo że koty często bywają celem pocisków, a nie zawsze przecie kamień w okno trafia, jak również ludzie często się kąpią, a nie zawsze się topią. Składają się na to rozmaite inne przyczyny, takie jak siła i kierunek wiatru, przypływ morza, siła przyciągania i t. p. A to tak luźne w mowie potocznej stosowanie wyrazu *następstwo* (consequence), małe tam lub nawet zgoła żadnego nie ma znaczenia, bo zawsze każdy się domyśli, co właściwie ma wyrażać. Ale natomiast gdy chodzi o filozofię, która już wymaga ścisłości, wtedy już taka dowolność bywa nieraz źródłem fatalnego zamieszania. Nie wystarcza że czytelnik zrozumie autora, powinien jeszcze i autor zrozumieć samego siebie.

Następstwo ludzkiego działania, czyli „Praktyczne wyniki."

Cóż to Mill ma na myśli, mówiąc o wynikach ludzkich praw, podług których bogactwo może być rozdzielane? Mówi że nie przyczyny ludzkich praw, ale coś innego ma być przedmiotem ekonomii politycznej; coś tak podobnego do praw fizy-

cznych jak prawa rządzące produkcyą, a czego jednak trzeba dopiero szukać na drodze obserwacyi i rozumowania tak, jak się szuka każdej innej fizycznej lub duchowej prawdy.

Mają to być następstwa ludzkiej działalności, czyli — jak je Mill później nazywa — praktyczne wyniki, występujące jako stałe objawy — rzeczywisty wynik dążności do uregulowania rozdziału bogactwa.

Ale jest to tylko oczywiście następstwo a nie wynik ludzkiej działalności. Mówić zaś że człowiek może wprawdzie kierować swymi czynami, ale nie ich skutkami, to znaczy przeczyć prawu przyczyny i skutku. A ponieważ tej stałości „praktycznych wyników“ czyli następstw (sequences) ludzkiego działania, nie można przyjąć za jego skutek, właściwie przeto nie jest wynikiem tej działalności ale czegoś od niej niezależnego.

Prawda, którą Mill niewyraźnie dostrzega i tak bezwiednie w tych zdaniach wyraża, wprost przeczy jego twierdzeniu, że rozdział bogactwa wyłącznie od ludzkich praw zależy. Nie zależy on ani od samych ludzkich praw ani od zwyczajów społeczeństwa jedynie. Człowiek, co prawda, może dowolnie kierować swymi czynami — a stąd klasa rządząca może wedle swej woli stanowić prawa regulujące rozdział bogactwa — ale praktyczne wyniki wyłącznie od tego nie zależą, wchodzi tu w grę jakiś bardziej stały i potężniejszy, a od tej działalności ludzkiej niezależny czynnik. Zmienia on te praktyczne jej wyniki tak jak np. siła przyciągania pływa na zmianę kierunku działowej kuli.

Nie można tu zresztą działalności ludzkiej uważać za przyczynę tych praktycznych następstw. Musimy je więc przypisać jakiejś dalszej przyczynie — prawom natury. Owe zatem przez Mill'a przyznane stałe objawy, wpływające na zmianę skutków ludzkiej działalności, ściśle biorąc, są wyrazem woli wyższej niż ludzka, czyli są prawem natury.

Mill sam (w „System of Logic“) mówi że prawo natury jest to jakiś stały, dostatecznie stwierdzony objaw w naturalnym porządku rzeczy.

A zatem, jeżeli się okazuje że praktyczne wyniki działalności ludzkiej, regulującej rozdział bogactwa, zależą od wpływu jakichś stałych a sprzecznych objawów, które je zmieniają lub nawet i całkiem niweczą, to te objawy, oczywiście, muszą to być właśnie prawa natury rządzące rozdziałem bogactwa. Jest to niemniej wyraźne jak to że istnieją podobne a już drogą obserwacyi i rozumowania stwierdzone objawy, będące prawami natury, które rządzą produkcyą. To więc co się Mill'owi na myśl nasuwa, a o czem tak niewyraźnie mówi, są to właśnie te same, rozdziałem bogactwa rządzące prawa natury, których istnienia zaprzecza.

Rozdział bogactwa nie bardziej niż jego produkcya zależy od praw ludzkich. W obu razach człowiek może tak samo i w tych samych granicach kierować swemi czynami. Posiadamy wprawdzie wolną wolę, ale gdy chodzi o świat zewnętrzny, to ona może nań wpływ swój wywierać o tyle tylko, o ile na to pozwalają prawa przyrodzone — a pod tą nazwą rozumiemy jakąś wyższą, bardziej stanowczą wolę. Można kamieniem rzucić, można strzelić do księżyca. Gdyby tu skutek zależał tylko od ludzkiego działania, wtedy i kula i kamień dosięgłyby zamierzonego celu. Ale rządzą tu prawa przyrodzone, bez których zezwolenia nawet takie czynności niemożliwe: kamień i kula znów padną na ziemię — kamień przeleci zaledwie parę set a kula tylko kilka tysięcy stóp.

Prawa ludzkie zmienne a przyrodzone stałe.

Czy chodzi o produkcyę czy o rozdział bogactwa, prawa przyrody zawsze jednakie, stałe. Kiedy prawa ludzkie ulegają zmianom, tymczasem przyrodzone do końca świata pozostaną takimi, jakimi były wczoraj i przed laty.

Gdyby zatem dało się wykazać równą stałość wpływów, jakim ulega działalność człowieka przy rozdziale bogactwa, byłby to już dostateczny dowód że rządzą nim nie ludzkie lecz przyrodzone prawa. A wystarczy tu przypomnieć powszechnie znane fakta.

Wszyscy ekonomiści uznają trzy wielkie prawa rządzące rozdziałem bogactwa: prawo wynagrodzenia za pracę, prowo zysku od kapitału i prawo renty.

Cały tedy plon produkcyi dzieli się na podstawie praw przyrodzonych między te trzy czynniki. Ale nie znaczy to że prawo ludzkie nie może odebrać jednemu z nich części tego, co mu z podziału wedle praw naturalnych przypadło, i oddać drugiemu. Przecież wszelkie już wytworzone bogactwo, zależy zupełnie od woli człowieka; ludzie mogą z niem robić co im się podoba. Ale prawa ludzkie zupełnie bezsilne, nie mogą oddziaływać wprost na rozdział bogactw. Nie mogą np. zmusić aby robotnik — jako robotnik — dostawał większe wynagrodzenie za swą pracę, kapitalista — jako kapitalista — większy zysk z kapitału, a właściciel ziemski — jako właściciel ziemski — większą lub mniejszą miał rentę z ziemi.

Żadną miarą nie może zmienić ustalonych przez naturalne prawo i do przemysłu przystosowanych warunków rozdziału bogactwa. Rządy już nieraz się o to kusiły a zawsze próba chybiała celu.

I w Anglii i w innych krajach próbowano już prawnie oznaczać wysokość wynagrodzenia za pracę, czasem obniżając, czasem znów podwyższając cenę ustaloną pod wpływem praw naturalnych. W niektórych wypadkach udało się wprawdzie zapobiedz aby robotnik nie wymagał a pracobiorca nie płacił więcej po nad oznaczoną stopę, chociaż w miarę podaży i popytu — tego prawa naturalnego zwykle cenę regulującego — stopa ta była w danej chwili wyższą; za to żadne prawo nie mogło tej stopy podwyższyć, nawet

przy pomocy przywilejów, jak się to okazało w Anglii na początku tego wieku (XIX).

To samo i co do %. Już po niezliczone razy próbowano stopę obniżyć; po dziś dzień jeszcze w stanie New York istnieje prawo ograniczające procent do 6 od sta. Ale nigdy i nigdzie jeszcze nie zdołano na drodze prawodawczej obniżyć stopy poniżej jej naturalnej granicy. Interesowani zawsze umieją ominąć takie prawo. Pomimo zakazów, tak samo dający pożyczkę dostaje, a biorący ją płaci wyższy procent, tylko że pod inną nazwą, już to jako premium lub disconto, już w formie pozornej sprzedaży i t. p.

Nie inaczej i co do renty rolnej. Niedawno parlament angielski usiłował obniżyć ją w Irlandyi. Specyalni urzędnicy mieli oznaczać ile dzierżawca ma płacić właścicielowi. Zmniejszyło to wprawdzie dochody niektórych właścicieli, ale renty przez to jeszcze nie obniżono; pozostała ta sama, tylko się inaczej rozdzieliła. To co stracił właściciel, wpłynęło do kieszeni dzierżawcy, a subdzierżawca tyleż co dawniej płacił, częścią jako rentę a częcią tytułem prawa dzierżawy, razem tyle, ileby mu przyszło płacić, gdyby wcale nie próbowano renty obniżyć.

Nie lepszy też skutek zdołano osiągnąć usiłując na drodze prawa regulować ceny, również zależne od tych samych praw rządzących rozdziałem bogactwa. Gdy ono już wytworzone, ludzie mogą z niem robić co chcą; ale chociaż ich prawo dość silne, to jednak tu już władza jego ustaje. Może wprawdzie i na rozdział bogactwa wpływ wywierać, ale tylko pośrednio przez oddziaływanie na produkcyę.

Tymczasem wśród scholastycznych ekonomistów urobiło się przekonanie że rozdział bogactwa mniej podlega prawom natury aniżeli produkcya. Ogół jednakże zdaje się przeciwnie to pojmować. Bo jeżeli kiedy prawodawca chciał zmienić rozdział bogactwa,

to prawie zawsze tylko pośrednio, przez oddziałanie na produkcyę. Np. Elżbieta lub Jakób chcą to uczynić na korzyść Essex'a czy Villers'a, i dlatego nakładają ciężary tylko na produkcyę złotych galonów i kart do gry. Albo dzisiejszy Carnegie lub Wharton, chcąc na swą korzyść zmienić rozdział bogactwa, aby się potem bawić w zakładanie bibliotek i szkół dla wykładów ekonomii politycznej (?), stara się u kongresu o ograniczenie produkcyi żelaza, stali, niklu, przez nałożenie ceł wwozowych.

A Mill nietylko w przytoczonym tu ustępie jest tak niepewny. Nie cofa on wprawdzie swego twierdzenia że „rozdział pogactwa zależy od praw i zwyczajów społeczeństwa“ ale dalej znów wspomina o jakichś prawach, mocą których rozdział ten dokonywa się sam przez się, jedynie wskutek dobrowolnego działania interesowanych, którym o własny zysk chodzi. A skoro istnieją takie prawa, z pewnością nie mogą to być prawa ludzkie. Podobno raz król Kanut chciał przez wydanie edyktu zmienić przypływ i odpływ morza; ale czyż mógł ktoś marzyć aby produkcya domów, metali, zboża, siana a nawet świń i baranów, mogła się sama przez się dokonywać z mocy jedynie ukazu, irade, aktu parlamentu lub uchwały kongresu!

Jak widzimy, Mill nie trzyma się tego, co raz wypowiedział (że rozdział bogactwa zależy wyłącznie od ludzkiego postanowienia — od praw i zwyczajów społeczeństwa) ani też nie wyjaśnia tego, o czem półsłówkami napomknął: że chodzi tu o prawa natury. Szeroko się za to rozwodzi o źródłach prywatnej własności w świetle praw ludzkich. Zaczyna tam od komunizmu, socyalizmu, od braci czeskich, od zwolenników Rapp'a, Blanc'a, Cabet'a; omawia St. Simonizm i Fourierizm; skacze po najrozmaitszych przedmiotach, mieszając w czambuł kwestye należące do dziedziny nauki ekonomii politycznej z takiemi jak konkurencya,

cła, niewola, własność chłopska, czynsze i sposoby ich zniesienia, podaje nawet środki obniżenia wynagrodzenia za pracę. Nie dał natomiast jasnego określenia praw rządzących rozdziałem bogactwa. Czytelnik któryby chciał dociec, jak się też na to zapatruje ten bądź co bądź najzdolniejszy, najsystematyczniejszy ze scholastycznych ekonomistów, musiałby przewertować masę na 600 stronach zgromadzonego materyału, a jeśliby z tego coś wyłowił, to tylko dlatego aby wkońcu stwierdzić, że się jedno z drugiem nie wiąże.

Jak już nadmieniłem, dlatego tylko o Mill'u mówię, że daje on najlepszy obrazek tego, co uchodziło za naukowy wykład ekonomii politycznej. Ale taki sam brak istotnie naukowej metody, taki sam brak ładu i ścisłości w traktowaniu kwestyi rozdziału bogactwa, widzimy również i w dziełach ekonomistów szkoły zwanej teraz klasyczną — a Mill może być poczytany za najbardziej typowego jej przedstawiciela. W jeszcze wyższym stopniu odznacza się tem historyczna i austryacka. Szkoły te dopiero w ostatnich latach się pojawiły i, wziąwszy spadek po szkole Mill'a, zapanowały we wszystkich naszych wielkich uniwersytetach. Ale one bez wątpienia tak dalece pozostały wtyle poza swemi poprzedniczkami, że zgoła się nawet nie troszczą o ład i ścisłość. Ktoby chciał zobaczyć ekonomiczną sprzeczność, przypominającą kontrast między Hyperianem i Satyrem w „Hamlecie“, ten niech tylko porówna „Zasady ekonomii politycznej“ Mill'a i „Zasady ekonomiki“, to najbardziej pretensyonalne z nowszych dzieł.

ROZDZIAŁ IV.

Rzeczywista różnica między prawami produkcyi a prawami rozdziału bogactwa.

Rozdział stoi w związku z moralnością a produkcya nie.

> Prawa produkcyi — to prawa fizyczne, podczas gdy prawa rozdziału — to prawa moralne, i odnoszą się tylko do strony duchowej. — Dlatego niezmienny charakter praw rządzących rozdziałem bogactwa prędzej i wyraźniej dostrzegamy. —

Mill się oczywiście myli upatrując różnicę co do charakteru praw rządzących produkcyą a rządzących rozdziałem bogactwa.

A jednak bardzo ważna między niemi zachodzi różnica, tylko że tę on pominął.

Różnica ta tkwi niewątpliwie na dnie pojęcia rodzaju prawa produkcyi a rozdziału.

Powinowactwo między ekonomią polityczną a etyką, widoczniejsze i ściślejsze w tej części nauki, która traktuje o rozdziale bogactwa, aniżeli w części traktującej o produkcyi.

Czyli że, krótko mówiąc, różnica tu nie polega na tem (jak błędnie scholastycy nauczają) że prawa produkcyi są przyrodzonemi a prawa rozdziału bogactwa ludzkiemi, gdyż i jedne i drugie są przyrodzonemi. Tylko że przyrodzone prawa produkcyi są natury fizycznej, a przyrodzone prawa rządzące rozdziałem bogactwa, są natury moralnej. I tu właśnie leży

przyczyna, dlaczego w ekonomii politycznej tak wyraźnie się okazuje, że światem rządzą prawa moralne, na sprawiedliwości oparte. Czyli innemi słowy, mówiąc tak, aby każdy zrozumiał — nasz Bóg jest Bogiem sprawiedliwym.

Produkcya bogactwa a prawo czyli sprawiedliwość.

Gdy chodzi o produkcyę, mamy do czynienia z prawami natury, co do których można tylko pytać: jakiemi są — nieośmielając się przepisywać, jakiemi być powinny.

Gdybyśmy nawet wyobrazili sobie jakiś świat, którego podobni do nas mieszkańcy, umieliby swe potrzeby zaspokajać w inny sposób niż przez stosowanie pracy i ziemi, to przy podobnych zjawiskach fizycznych — materyi, energii — trudnoby to przypisać jakiejś idei poczucia obowiązku.

A choćby te zjawiska znacznie się tam różniły, czy to wskutek — dajmy na to — zmiany odległości ziemi od słońca, zmiany w nachyleniu się jej osi ku drodze słonecznej (eklyptyce), albo też zmiany co do gęstości otaczającej ją atmosfery; lub wreszcie skutkiem uogólnienia tak wyjątkowych zjawisk, jak to, że zwiększa się (a nie zmniejsza) objętość marznącej wody — nie może to mieć nic wspólnego z prawem lub sprawiedliwością, i nie budzi w nas żadnego poczucia powinności lub obowiązku.

Świat — taki jak się nam przedstawia dzięki naszej świadomości — rozkłada się na trzy czynniki, trzy składniki: materya, energia i duch. A ani pojęcia prawa albo sprawiedliwości, ani uznanie powinności czy obowiązku, nie ma i nie może mieć nic wspólnego z dwoma pierwszymi — odnosi się tylko do ducha.

Tak więc ze względu na swą naturę, bogactwo czy też jego produkcya, tylko pośredni ma związek z etyką — z pojęciem prawa czyli sprawiedliwości. A ma to miejsce wtedy jedynie, kiedy myślą sięgamy

po za zjawiska materyi i ruchu, zwane prawami natury — zjawiska przyjmowane za widoczne objawy początkującego, twórczego ducha — Boga. Tylko w taki pośredni sposób pojęcie prawa czyli sprawiedliwości dotyka też i praw produkcyi. Za to w prawach rządzących jej rozdziałem, pojęcie to na pierwszy plan występuje. Tam zawsze podstawą zasada etyczna, poczucie obowiązku, w którem tkwi pojęcie prawa czyli sprawiedliwości. A jest ono równie stałe jak pojęcie koła lub kwadratu, które zawsze i wszędzie, bez względu na czas i oddalenie, musi pozostać niezmiennem.

Montesquieu mówi: Sprawiedliwość — to stosunek słuszności zachodzący między dwoma rzeczami. A zawsze on pozostaje ten sam — czy chodzi o Boga, anioła lub człowieka.

Stąd też — jak o tem już w ks. II. wspomniałem — prędzej i wyraźniej dostrzegamy ten niezmienny charakter praw rządzących rozdziałem, niż równie niezmienny charakter praw produkcyi; dlatego to panujący, mężowie stanu i ciała prawodawcze, chcąc wpłynąć na rozdział, zawsze tylko czynią to pośrednio, przez wywieranie wpływu na produkcyę.

ROZDZIAŁ V.

O własności.

Własność zależy od prawa naturalnego.

Prawo rozdziału bogactwa rozstrzyga o posiadaniu. — Mill to uznaje; ale dalej swój błąd posuwając, uważa własność wyłącznie za sprawę ludzkich urządzeń. — Krytyka jego twierdzenia. — Jego utylitaryzm. — Dalsze sprzeczności.

Ponieważ z rozdziału bogactwa powstaje własność, to temsamem prawa nim rządzace muszą zarazem też wskazywać do kogo przedmioty wyprodukowane należą. I odwrotnie: zasada przyznania własności musi być także podstawą rozdziału bogactwa. Z uwagi więc na źródło i zasadę własności, znów się nasuwa pytanie: czy to ludzkie czy też przyrodzone prawa, któremi się ma zajmować ekonomia polityczna?

Przyznać, że rozdział bogactwa wyłącznie od praw ludzkich zależy, znaczyłobyto że i własność od nich zależy. A przyznać że podstawą własności są prawa przyrodzone, znaczyłoby to że one też rządzą i rozdziałem bogactwa.

Z pośród uznanych ekonomistów, bodaj że tylko jeden Mill uznał ten konieczny związek zasady własności i zasady rozdziału. Jest to jeden więcej dowód jego wyższości co do bystrości i logicznego pojmowania. Ale trwa on w błędzie, uważając rozdział bogactwa jako wyłącznie zależny od praw ludzkich, a stąd

i własność także uważa za zależną od praw ludzkich. Powinno mu to wykazać niedorzeczność twierdzenia: że produkcyą rządzą prawa przyrodzone a rozdziałem bogactwa rządzą prawa ludzkie. Ale on temu błędowi takie nadaje pozory prawdy, że łatwo może być powodem dalszych. Więc jak w dowodzeniach o rozdziale bogactwa, tak też i w zapatrywaniach jego na własność, zachodzą sprzeczności i zamieszanie.

Skutek pierwszego zajęcia w posiadanie.

Mill na wstępie rozdziałów poświęconych własności mówi:

Prywatna własność nie wyrodziła się dla żadnej z tych korzyści, jakim się jej trwałość przypisuje. To co nam historya mówi o czasach barbarzyństwa, i co dziś widzimy u społeczeństw nieokrzesanych, jasno dowodzi że pierwotnie sądy — zawsze poprzedzające prawa — nie dla ich rozstrzygania ustanawiano, lecz aby ukracać wybryki i godzić zwaśnionych. Głównie też z tych względów uznały one pierwsze zajęcie w posiadanie za prawne już przez to samo, że ten, któryby kogoś chciał tego posiadania pozbawić, uważany był za napastnika. Zapewniało to utrzymanie spokoju, co było pierwotnem zadaniem władzy. A przez przyznanie posiadania nawet i tego, co nie było owocem pracy osobistej, temsamem też i zabezpieczano to posiadanie.

Wszystkim tym twierdzeniom zaprzeczam. Jest to przecie wyraźna sprzeczność. Raz słyszymy tam, że prywatna własność nie powstała dla korzyści, to znów że pierwotnie sądy — zawsze poprzedzające prawa — nie dla ich rozstrzygania ustanawiano, lecz aby ukracać wybryki i godzić zwaśnionych. A dalej że z tego powodu uważano za napastnika tego, który pierwszy kłótnię wszczynał. Nakoniec że pierwotnem zadaniem sądu było utrzymanie spokoju, przyczem przyznawano posiadanie bez względu po czyjej stronie słuszność.

A zatem Mill w pierwszem zdaniu utrzymuje że nie dla korzyści (utility) pierwotnie powstała własność prywatna, a w następnych trzech sam temu zaprzecza. Bo jeżeli odrzucimy tu wszystko mające korzyść na względzie, cóż za powód zostanie karania napastników aby spokój utrzymać? Podług Mill'a, to pierwotne społeczeństwa trzymałyby się taktyki nauczyciela, który, w razie bijatyki uczniów, nie pyta kto winien, ale karze tego, który pierwszy uderzył — bo trzeba przecie utrzymać porządek w szkole. Jeżeli to, co tu występuje zamiast zasady słuszności, nie jest to zasada korzyści, to czemżeż jest? A do tej sprzeczności Mill dodaje drugą, twierdząc jakoby społeczeństwo, uznając nieprzysługujące (wrongful) posiadanie, temsamem zabezpieczało jego słuszność. Jest to równie możliwe jak wymijanie się dwóch pociągów na jednej parze szyn.

Mill bezwątpienia tak się na własność zapatruje pod wpływem filozofii utylitarnej, która zasadą użyteczności chce zastąpić zasadę sprawiedliwości. Jest to dla ludzi zarówno niemożliwe jak życie bez powietrza. Ale Mill usiłując oprzeć własność na prawie ludzkiem, już temsamem wbrew swej woli uznaje prawo moralne, — mówi o dobrem i złem, o tem co należy a czego nie należy czynić, co słuszne a co niesłuszne. A nazwy te przecie są wyrazem naturalnego prawa moralności. Niemogłyby zaś mieć tego znaczenia gdyby własność opierała się na zasadzie użyteczności a prawo ludzkie ją ubezpieczało.

Mill, mówiąc o własności, co chwila staje w sprzeczności. Chce ją np. koniecznie zrobić czemś wyłącznie od praw ludzkich zależnem, a wciąż schodząc z tego stanowiska, odwołuje się do czegoś wyższego — do słuszności, do sprawiedliwości. Przeczy też własnemu twierdzeniu jakoby własność wypływała z użyteczności i wedle ludzkich ustaw. A powiedziawszy że nie zasada sprawiedliwości lecz zasada użyteczności i potrzeba

utrzymania spokoju dała początek własności, tak mówi dalej:

„Społeczne urządzenia nowoczesnej Europy zaczęły się od rozdziału własności, powstałej nie wskutek sprawiedliwego podziału lub nabytku drogą przemysłu, ale ze zdobyczy i gwałtów. A chociaż w ciągu wieków przemysł znacznie osłabił wpływ przemocy, to jednak w systemie widzimy jeszcze wiele i wyraźnych śladów przeszłości. Nigdy tam jeszcze praw własności nie przystosowano do zasad, na których polega *usprawiedliwienie*.[1]) Przyznały własność takich rzeczy, które *nie powinny* do nikogo należeć; albo też przyznały nieograniczoną własność tam, gdzie mogła być tylko warunkowo dopuszczoną.“

Tuśmy się znów dowiedzieli stanowczo, że ludzkich praw własności nie zapoczątkował wzgląd na użyteczność zapobieżenia gwałtom, ale że one z samychże gwałtów powstały; i nadto że nigdy ich nie przystosowano do tego, co nazywamy przyrodzonem prawem własności, ale że nawet pogwałcono to prawo, uznając za własność i takie rzeczy, które w jego obliczu nie są własnością. Mówić że prawa ludzkie powinny być inne aniżeli je prawodawca ustanawia, to znaczy mówić że istnieją prawa przyrodzone, które winny być dla tamtych miarodajnemi.

A Mill zdaje się wie co to jest owo przyrodzone prawo własności, bo dalej mówi:

„W jakikolwiek sposób broniąc prywatnej własności, zawsze trzeba przypuścić, że jest to zapewnienie jednostkom posiadania owoców ich własnej pracy i oszczędności.“

A dalej jeszcze wyraźniej i bardziej stanowczo mówi o tej podstawie przyrodzonego prawa własności —

[1]) Wyrazy podkreślone, moje.

prawa niezależącego od żadnych ludzkich ustaw, które też wpływu nań wywierać nie mogą.

„Własność polega w zasadzie na przyznaniu każdej jednostce wyłącznego *prawa* rozporządzania owocami własnej pracy, albo też, czy to w darze czy przez umowę, bez podstępu i gwałtu otrzymanemi od tych, którzy je wytworzyli. Podstawą wszystkiego jest tu prawo przysługujące wytwórcom — prawo posiadania tego, co sami wytworzyli.

„Przez prawo własności więc rozumie się także i możność nabywania z mocy umowy. Prawo posiadania tego, co ktoś sam sobie wytworzył, jest zarazem prawem posiadania tego, co inni wytworzyli, ale co z mocy dobrowolnej umowy do jego rąk przeszło.“

Po takiem przypisaniu wszystkiego prawu przyrodzonemu, Mill znów zawraca do praw ludzkich, i powołując się na Kanta, że w pewnych razach moralne prawo nakazuje uznać prawa ludzkie, oświadcza że:

„Posiadanie niezaprzeczone w przeciągu pewnej liczby lat, winno być za prawne uznane, jak się to u wszystkich narodów praktykuje.“

Tu Mill uznając za niewłaściwość takie uprawnienie posiadania — posiadania z mocy praw ludzkich — ciągnie dalej:

„Zbyteczna chyba mówić że ta niesprawiedliwość jest zabytkiem starej daty, i nie można jej brać na karb niesprawiedliwości urządzenia własności. Złe prawo albo zły zwyczaj, nie jest to jakiś czyn pojedyńczy, ale jego wpływ trwa tak długo, dopóki samo prawo lub zwyczaj istnieje.“

Mill zawsze uważał własność za jakiś system albo urządzenie — i słusznie. A właśnie cotylko wyznał że obecny system własności wziął początek z gwałtów i przemocy — i jako taki niewątpliwie w jego własnych oczach wydaje się złym i niesprawiedliwym.

Stąd to, co o tem mówi, znaczy poprostu, że samo przyznanie przedawnienia nie może dawać tytułu własności, zależnej wyłącznie od przyrodzonego albo moralnego prawa. Jest to niewzruszona prawda, ale wyraźnie przeczy pojęciu: że własność zależy od praw ludzkich.

ROZDZIAŁ VI.

Przyczyny zamieszania pojęć własności.

Dlaczego i jakim sposobem ekonomiści wpadli w takie zamieszanie pojęć własności.

Mill omamiony przypuszczeniem że ziemia jest własnością. — Później wprawdzie daje on prawdziwą zasadę własności, ale ekonomiczną nazwę „ziemia“ zastępuje wyrazem używanym w mowie potocznej. — Różnica znaczenia dwóch wyrazów, illustrowana z brzegu nowoyorskiej przystani — Mill usiłuje uzasadnić własność ziemską, ale uzasadnia tylko własność bogactwa.

Dlaczego to Mill w takim kłopocie, tak się gmatwa i tak sam sobie przeczy, gdy mu przychodzi postawić zasadę własności? Zapewne z tych samych przyczyn, które sprawiły że żaden ze scholastycznych ekonomistów, ani przed nim ani po nim, nie powiedział jeszcze stanowczo i jasno: jakie to prawa rządzą rozdziałem bogactwa i skąd się wzięła własność. A nie mogli tego powiedzieć dlatego że nie pozbyli się przywidzenia, jakoby i ziemię też należało zaliczyć do własności aby można i dochody jej właścicieli podciągnąć pod prawa rządzące bogactwem. A ponieważ prawa przyrodzone nic nie wiedzą o własności ziemi, więc dla usprawiedliwienia swej teoryi, trzeba uznać rozdział bogactwa, za wyłącznie zależny od ustaw ludzkich.

Co do Mill'a, to ten, chociaż obałamucony swą utylitarną filozofią, jednak pod wielu względami stoi

wyżej — ale i on, gdy chodzi o rozdział bogactwa i własność, stoi na tem samem stanowisku. Jak inni — poczynając od wielkiego Adama Smith'a aż do najnowszych kolporterów ekonomicznych bredni w angloniemieckim żargonie — tak też i on przywykł własność ziemską uważać za własność najpewniejszą, najtrwalszą, najbardziej ze wszystkich namacalną. I u niego więc siła logiki okazała się zamałą aby go zniewolić do targnięcia się na to, co dla Anglika jego sfery w owej dobie było taką świętością, jak arka przymierza dla pobożnego żyda. Z ukosa tylko spoglądając ku prawdzie, półsłówkami jednak napomknął tyle że to aż nadto już wystarczało aby przerazić współczesnych; a chociaż zawsze się cofnął i myśli swych nigdy nie wypowiedział wyraźnie, uznano go jednak za najradykalniejszego z radykałów.

Istota własności i zasadnicze prawo rozdziału bogactwa tak widoczne, że każdy człowiek myślący musi je dostrzedz. Jest to prawo przyrodzone zapewniające mu owoc jego pracy. Ale że nie można go nagiąć tak, aby się na tej podstawie dało usprawiedliwić także i własność ziemi, stąd to takie usiłowania aby wykazać że własność zależy od ustaw ludzkich i że jej podstawą zasada użyteczności. Widoczne to nawet wtedy, gdy Mill mówi tylko o własności wogóle; a jak tu już wyjaśniłem, źródłem jego sprzeczności i zamieszania pojęć jest to, że wciąż ma na uwadze własność ziemską. Ale chybiły celu próby podciągnięcia i tego rodzaju własności pod prawo do owoców własnej pracy. A byłoby to jedyne jej usprawiedliwienie. Mill szerzej o tem mówi w r. 2 cz. 3.

Ale stawia tam twierdzenie wcale nielicujące z tem, jakoby użyteczność była źródłem własności.

Pojęcie własności — mówi — każe przypuszczać tylko służące każdemu prawo korzystania z własnych przywilejów (faculties).

I znów, dłużej się zatrzymawszy nad sprawą spadków i zapisów, (którą tu pominę, aby nie odrywać uwagi czytelnika od głównego przedmiotu), tak dalej ciągnie:

Główną zasadą własności jest zapewnienie wszystkim posiadania owoców ich własnej pracy, i tego, co sobie przez oszczędność zachowają. Zasada ta nie może się odnosić do surowych materyałów, niebędących owocem pracy.

Istotna zasada własności.

Oszczędność, to nie czynność, to raczej bezczynność — powstrzymanie się do spożycia. A istotną zasadą własności jest zapewnienie wszystkim posiadania owoców ich własnej pracy, niewyłączając i tego, co sobie przez oszczędność zachowali. Ten ostatni zwrot zbyteczny i bez znaczenia. Ale już sama wzmianka o tem zdradza chęć przypuszczenia że kapitał a nie praca jest czynnym elementem produkcyi. Wyznanie to szczere i jasne. Wśród walki, jaka wre w umyśle Mill'a, zdaje się przeważać pojęcie że podstawą własności jest prawo naturalne, bo przypuszcza już że zasady własności nie można do ziemi stosować. Ale trwa to zaledwie krótką tylko chwilę. Zaraz w tym samym już nieomal wierszu zaczyna znów dowodzić przeciwnie: że zasada własności odnosi się i do ziemi. Są to tylko koziołki stylistyczne. Ale ponieważ argument ten wzięty z arsenału scholastycznej ekonomiki, przytoczę tu cały odnośny ustęp, podkreślając tylko zdania już cytowane.

„Główną zasadą własności jest zapewnienie wszystkim posiadania owoców ich własnej pracy, i tego, co sobie przez oszczędność zachowają. Zasada ta nie może się odnosić do surowych materyałów, niebędących owocem pracy.

Gdyby ziemia wszystkie swe siły wytwórcze zawdzięczała wyłącznie tylko przyrodzie a zgoła nic prze-

mysłowi; albo gdyby można rozpoznać ile ich z każdego z tych źródeł czerpie — wtedy zwiększanie naturalnych jej zdolności byłoby nietylko zbytecznem ale wprost niesprawiedliwem. Koniecznością jest czasowe zajęcie ziemi w celach rolniczych: kto ją bowiem zaorał i zasiał, temu też musi być wolno i plon zebrać. Ale mogłaby być zajmowaną tylko przez jedno lato, jak się to dawniej działo u starożytnych Germanów; możnaby też co pewien czas robić nowy jej podział, stosownie do przyrostu ludności; mogłoby ją wreszcie państwo zająć, i jako jedyny właściciel, oddawać działki pod uprawę, czy to za czynsz dzierżawny czy inaczej.

Ale chociaż sama ziemia nie jest produktem przemysłu, to jednak przeważnie są nim jej cenne własności. Prawie tyleż pracy potrzeba na ich wytworzenie jak i wyzyskanie. Znacznego nakładu pracy wymaga przygotowanie ziemi pod uprawę. A w wielu razach nawet pomimo oczyszczenia, jeszcze jej wydajność zależy tylko od pracy i sprawności. Dopóki Belford Level (nazwa farmy) nie wydrenowano, urodzaj był mały lub żaden. Bagna Irlandyi przed wydrenowaniem, dawały tylko opał. We Flandryi ziemia z natury nader jałowa, ale dzięki przemysłowi, do takiej ją doprowadzono kultury, że jest to dziś jedna z najurodzajniejszych okolic Europy. Uprawa także wymaga budynków i płotów, a te są już wyłącznie produktem pracy. Takie nakłady nie wydają owocu zaraz, od ręki; trzeba na nie lata czekać, za to nieraz całe życie plon się z nich potem zbiera. Rolnik więc byłby pokrzywdzonym, gdyby inny z jego pracy korzystał. Jeżeli przedsiębierze takie ulepszenia, to też musi być pewnym że przez odpowiedni czas będzie z nich sam żniwo zbierać, a tej pewności mieć nie może, dopóki ziemia nie będzie w wieczystem jego posiadaniu.

To są racye z ekonomicznego punktu widzenia usprawiedliwiające własność ziemską.

Dowodzenie więc zaczyna się tu od twierdzenia że zasada własności nie może się odnosić do ziemi, a kończy twierdzeniem że się i do niej odnosi. Mill pozwala sobie na niebezpieczne próby, korzystając z giętkości języka. Tam gdzie ścisłość wyrażenia tak ważna, on ucieka się do omawiań nazw ekonomicznych. Zamiast *ziemia*, mówi *surowe materyały ziemi* albo *naturalne zdolności; przemysł* zamiast *praca*; a *cenne*[1]) *własności* zamiast *użyteczne własności*, albo *siły wytwórcze*. Ale ściśle rozważywszy owe powody usprawiedliwiające, widzimy że są to tylko pozory, takie złudzenie jak to, kiedy kuglarz, korzystając z roztargnienia widzów, zręcznie podsunąwszy jedną rzecz na miejsce drugiej, w ten sposób niby przemienia zegarek w rzepę. W tym wypadku również podstawione zostało jedno znaczenie wyrazu w miejsce innego znaczenia tego samego wyrazu.

Wyraz ziemia ma dwa różne znaczenia.

Wyraz *ziemia*, jak to już wyjaśniłem, ma dwa znaczenia.

Pod jednym z nich rozumiemy suchą, twardą część powierzchni kuli ziemskiej, różną od wody i powietrza, albo ziemię zdatną pod uprawę, różną od skał i piasków, lodowców i błót. W tem znaczeniu często mówimy „ziemia uprawna“.

Drugie znacznie jest ekonomiczne, i określa naturalny czyli bierny czynnik produkcyi. Tu się rozumie i cały świat zewnętrzny, ze wszystkimi jego siłami, własnościami i produktami, w przeciwstawieniu do ludzkiego tj. czynnego elementu produkcyi czyli pracy, i pomocniczego elementu czyli kapitału. Tu już nie może być mowy o „ulepszonej“ lub „uprawnej ziemi“, bo byłaby to sprzeczność w samem założeniu.

[1]) (Valuable — wartościowe, cenne). W ekonomii politycznej przez nazwę *wartość* należy rozumieć tylko wartość zamienną. Ziemia zaś i inne przedmioty naturalne, mogą mieć jedynie wartość użytkową.

Tymczasem Mill, może bezwiednie ale co chwila miesza oba te pojęcia, biorąc jedno za drugie.

Gdyby ziemia — mówi — wszystkie swe siły wytwórcze zawdzięczała wyłącznie tylko przyrodzie a zgoła nic przemysłowi; albo gdyby można rozpoznać ile ich z każdego z tych źródeł czerpie — wtedy zwiększanie naturalnych jej zdolności, byłoby nietylko zbytecznem ale wprost niesprawiedliwem.

Dlaczego te gdyby? Mill tu przemawia jako ekonomista dla wyświetlenia: czy można z ekonomicznego punktu widzenia usprawiedliwić własność ziemską. Ziemia (jako nazwa ekonomiczna) to element wytwórczych sił natury a nie pracy. Takie tylko ma i takie tylko a nie inne może mieć znaczenie. Główną zasadą ekonomii politycznej jest różnica między siłą wytwórczą wyłącznie naturalną, którą nazywamy *ziemia*, a siłą wytwórczą ludzką, którą nazywamy *praca*. Gdzie rozum "nie może pojąć jakie własności ziemia zawdzięcza naturze a jakie pracy ludzkiej," tam już ustaje ekonomia polityczna i trzeba dać jej pokój.

Mill też istotnie schodzi ze stanowiska ekonomisty, gdy mówi że „chociaż sama ziemia nie jest produktem przemysłu, to jednak przeważnie są nim jej cenne własności." Schodzi tu z niego zapożyczając z języka potoczonego giętkiej nazwy ziemia. Dopóki mówi że ziemia nie jest produktem przemysłu, używa tej nazwy w ekonomicznem jej znaczeniu; ale skoro zaczyna mówić że własności ziemi są produktem pracy ludzkiej, wtedy już używa tej nazwy w luźnem, pospolitem jej znaczeniu, jak zwykło się mówić o ulepszonej, uprawionej ziemi.

A jakaż to własność ziemi — w ekonomicznem znaczeniu tego wyrazu — jest produktem pracy ludzkiej? Czy może siła przyciągania albo rozszerzania czy łączenia? a może chemicznego powinowactwa lub odpychania? Może własności, jakie widzimy przy roz-

mnażaniu się i wzroście? Przecież Mill sam — w swem dziele „Zasady ekonomii politycznej“ — mówi że główna siła pracy, przez którą jedynie człowiek może oddziaływać na otaczający go świat zewnętrzny, zależy od siły jego muskułów — siły, która mu w pewnej ograniczonej mierze pozwala wywoływać lub też powstrzymywać ruch materyi.

W świecie fizycznym więc — dodaje — praca zawsze tylko nadaje ruch przedmiotom, a resztę już robią same własności materyi, prawa natury.

A te własności materyi, te prawa natury, które robią resztę, — podczas gdy praca zmienia tylko rzeczy co do miejsca — są to własności ziemi w ekonomicznem znaczeniu tej nazwy. Mill też nigdy ich nie uważa za produkt przemysłu — nie mógłby ich za taki uważać. A jednak, pominąwszy ekonomiczne znaczenie wyrazu *ziemia*, mówi o niej w luźnem, pospolitem znaczeniu, tak jak się w potocznej mowie wspomina o ziemi ulepszonej, uprawnej. Daje nawet przykłady takiej ziemi ulepszonej, ziemi uprawnej, aby wykazać że jej własności są produktem pracy ludzkiej.

Ponieważ takiemi sprzecznościami tysiące profesorów ekonomii politycznej napycha dziś umysły młodzieży, dam tu małą illustracyę.

Piszę te wyrazy na wybrzeżu Long Island[1]) w miejscu gdzie zatoka nowoyorska, zwężając się, tworzy przesmyk zwany Narrows, prawie tuż naprzeciwko stacyi celnej, gdzie się dokonywa rewizya zawijających do portu statków. Z okna mego roztacza się wspaniały widok. A gdyby mi go przyszło opisać zwykłym, potocznym językiem, powiedziałbym że widzę tam ziemię, wodę i niebo, widzę okręty i domy a nad nimi obłoki i słońce już zapadające poza wzgórza Staten Island.

[1]) „Długa wyspa“ wprost N. Yorku, na której zbudowany Brooklyn. Przyp. tłum.

Ale gdyby chodziło o ekonomię polityczną, musiałbym powiedzieć że widzę ziemię i bogactwo: ziemię — ten naturalny czynnik produkcyi, i bogactwo — naturalny czynnik — ale przez pracę, (ten ludzki czynnik), tak przemienione, aby mogło zaspokoić potrzeby człowieka. Zarówno bowiem woda i obłoki, niebo i słońce, jako i gwiazdy, które się po jego zachodzie ukazują, są w znaczeniu ekonomicznem tak samo ziemią, jak i ta sucha powierzchnia kuli ziemskiej — powierzchnia, którą w mowie potocznej, wyłącznie nazywamy ziemią. A to okno, przez które wyglądam; te kwiaty i drzewa w ogrodzie; droga nadbrzeżna; statki nieopodal stojące na kotwicy lub przesuwające się spacerowe parowce i holowniki; fort i zabudowania na przeciwnym brzegu, oraz latarnia morska na Sandy Hook i wielki drewniany słoń w Coney Island, albo wspaniały most brookliński — wszystko to zarówno trzeba podciągnąć pod ekonomiczną nazwę *bogactwa*, czyli ziemi tak przez pracę przeistoczonej, aby mogła zaspokoić ludzkie pragnienia. Cały ten krajobraz, jaki był przed pojawieniem się człowieka, i jaki będzie po jego odejściu, należy w znaczeniu ekonomicznem do kategoryi ziemi; podczas gdy znów wszystko, co tylko zostało wytworzone przez pracę, należy w ekonomicznem znaczeniu do kategoryi bogactwa, tak długo, dopóki ono służy do zaspokajania ludzkich pragnień.

Ale oto tuż na wybrzeżu widzę mały, z wody wystający kawałek suchej powierzchni, widocznie wytworzony przez zasypanie kamieniami i ziemią. Cóż to jest? W języku potocznym jest to ziemia w przeciwstawieniu do wody, a łatwoby mi przyszło wykazać jej początek, nazywając ziemią uprawną (zrobioną — made land). Ponieważ nazwa *ziemia* odnosi się tylko i wyłącznie do sił wytwórczych, jakich jedynie natura a nie przemysł dostarcza; a cokolwiek powstało z ziemi przez zastosowanie pracy, jest bogactwem — więc i ten

kawałek suchej powierzchni, w znaczeniu ekonomicznem, trzeba uważać nie za ziemię lecz za bogactwo. Jest on wprawdzie ziemią otoczony, a materyał, z którego powstał, z ziemi wzięty; ale sam przez się, w właściwym języku ekonomii politycznej, jest bogactwem; zupełnie tak samo jak okręty, które też widzę, nie są ziemią lecz bogactwem, chociaż także ziemią otoczone, i zbudowane z materyałów z niej pochodzących.

A tymczasem u Mill'a widoczne co do tego zamieszanie, wynikające z użycia języka potocznego zamiast ekonomicznego. Wydrenowana farma Bedford Level; tak samo osuszone i warstwą ziemi nawiezione irlandzkie błota; oraz inne podobnież ulepszone farmy, o jakich wspomina — wszystko to zarówno jak ów wzmiankowany kawałek „zrobionej ziemi", ekonomia polityczna zalicza do jednej kategoryi. Ze względu na ich własności, o jakich mówi, wszystkie, w znaczeniu ekonomicznem, są bogactwem a nie ziemią, produktem pracy a nie darem natury. O tyle też — ale tylko o tyle o ile są bogactwem a nie ziemią — są też i własnością; nie dlatego jednak aby ludzki czynnik (praca) mógł coś dodać do naturalnego czynnika, tj. ziemi: ale dlatego tylko że przyrodzone prawo własności, oddaje w posiadanie wytwórcy to, co on przez swą pracę wytworzył.

A Mill'owi się zdaje że już usprawiedliwił własność ziemską, gdy tymczasem usprawiedliwił tylko własność owoców pracy. Dodał jeszcze jeden wymowny przykład stwierdzający (przez niego samego wypowiedzianą prawdę) że własność zdaje się znaczy zapewnienie jednostkom posiadania owoców ich własnej pracy.

Koniec Księgi IV.

KSIĘGA V.

Pieniądz i kredyt.

ROZDZIAŁ I.

Zamieszanie pojęć co do pieniędzy.

Inaczej je rozumie ogół, inaczej ekonomiści.

Obecne zamieszanie pojęć. — Przyczyna. — Jak to rozwikłać. —

Pieniądz, to chyba dla nikogo nieobce pojęcie. Każdy z nas, od dzieciństwa aż do późnej starości, bezustannie ma z nim do czynienia, i w codziennem życiu zawsze niby z wszelką łatwością rozróżni to, co jest pieniądzem, od tego, co nim nie jest. A jednak zarówno w zapatrywaniach ogółu jak i zawodowych ekonomistów, bardzo jeszcze znaczne zachodzą różnice co do pojmowania istoty i działania pieniędzy. W chwili gdy to piszę, różnice te szczególniej jaskrawo się zaznaczają w Stanach Zjednoczonych. Sprawa to już od 20 lat szeroko omawiana; mówiono o niej i dawniej, od samego założenia pierwszych osad w Ameryce. W Europie również jest przedmiotem rozpraw. A mimo to, stanowisko, jakie tu zajęła prasa, kongres, ciała prawodawcze wszystkich krajów i polityczne partye, dowodzi że główne zasady jeszcze nieustalone. A co do obszernej literatury tego przedmiotu, to pewien inteligentny jegomość, który chciał z niej poznać funkcye i prawa pieniędzy, mówi, że im więcej się ktoś wczytuje, tem bardziej czuje że nie można się tam dowiedzieć nic pewnego.

Co znaczy pieniądz.

W encyklopedyi Johnson'a z 1896 r. znajdujemy takie określenie: Pieniądz jest to takiego rodzaju pieniądz (currency), który sam przez się posiada istotną wartość, i chociaż niepuszczony w obieg, nie przestaje być bogactwem.

A więc są tacy, którzy utrzymują że wartość pieniędzy zależy od wartości kruszcu, z jakiego wybite, i czy mają obieg miejscowy, czasowy lub częściowy, zawsze tylko jako metal cenione. Podług nich też wartość pieniędzy papierowych polega tylko na przyrzeczeniu (wyrażonem czy domniemanem) że będą wykupione złotem lub srebrem: dlatego to rządy i banki przechowują w swych skarbcach tak wielkie ilości tych kruszców.

Ale z tych, którzy się tak zapatrują, jedni są zdania że tylko złoty pieniądz jest naturalnym i prawdziwym, inni znów dowodzą że więcej przemawia za srebrem, i że jego wycofanie z obiegu, wielkie pociąga za sobą straty.

Są jednak i tacy, którzy sądzą że tu tylko edykt lub stempel rządu stanowi wszystko, i dlatego papier uważany za pieniądz.

Inni znów na to odpowiadają, że cokolwiek może przy wymianie zastąpić monetę brzęcącą — niewyłączając tu banknotów, czeków, weksli itd., wystawionych przez osoby prywatne — to także równie dobry pieniądz jak rządowy lub bankowy.

Co do zapatrywań ogółu, wiele z tych sprzeczności i zamieszania trzeba wziąć na karb wpływu prywatnych interesów, jakie tu wchodzą w grę z racyi stosunku wierzyciela do dłużnika; ale u zawodowych ekonomistów głębiej leżą powody tego zamieszania pojęć. Pochodzi ono widocznie z zamieszania w dziełach ekonomicznych co do natury bogactwa i przyczyn wartości. Pieniądz jest poprostu miarą wartości, za-

stępcą i wymiennikiem bogactwa. Dopóki więc nie ma się jasnego pojęcia o znaczeniu wartości i o naturze bogactwa, nie można temsamem zrozumieć natury i działania pieniędzy.

A ponieważ wyjaśniłem już znaczenie nazw wartość i bogactwo, możemy teraz przystąpić do zbadania natury, działania i praw pieniędzy. Ale szkodaby czasu na rozplątywanie tej gmatwaniny sprzecznych zapatrywań, jakiej pełno w literaturze tego przedmiotu. Dla wszelkich badań ekonomiczych wystarcza obserwowanie i śledzenie zjawisk społecznych na jakie patrzymy, bo prawa ekonomiczne równie stałe jak fizyczne. Chemik lub astronom może tylko z tego co widzi, wnosić o tem, co było lub będzie — tak samo rzecz się ma i z ekonomistą.

Różnica zdań głównie dotyczy pytania: co za pieniądz należy uważać, a nie czem on rzeczywiście jest. Ci co go najsprzeczniej określają, godzą się jednak na to, co przez pieniądze rozumiemy w codziennym ich obrocie. A ponieważ nie ma zgody wśród ekonomistów, zobaczmy więc co o tem sądzą ludzie zwyczajni. Aby się zaś przekonać jak oni pieniądz rozumieją, dość poznać zasadniczy charakter tego, co wszyscy w życiu praktycznem za pieniądz uważamy. A poznawszy co to jest pieniądz i jakie on spełnia funkcye, będziemy już wtedy mogli powiedzieć jakie jego formy najlepsze.

ROZDZIAŁ II.

Pieniądz w zwykłem rozumieniu.

Ogólne mniemanie że pieniądze służą do kupowania i sprzedaży towarów, i że ich charakter nie jest materyalnym ale zależy od użycia.

Użycie pieniędzy przy wymianie. — Kupno i sprzedaż. — Podróżni jako przykład. — Pieniądze nie mają większej wartości niż inne rzeczy, ale mogą być łatwiej wymieniane. — Wymiana bez pieniędzy. — Czeki itp. to nie pieniądze. — Rozmaite rodzaje pieniędzy w różnych krajach. — Niekoniecznie muszą być ze złota lub srebra. — Ani też nie potrzebują same przez się przedstawiać wartości. — Ich znaczenie i czem właściwie są. —

Jeżeli się komuś zobowiążę wypłacić należność pieniędzmi a ofiaruję mu drzewo, cegłę lub też złoto czy srebro w sztabach, to ten ktoś, znając znaczenie pieniędzy, nie zgodzi się na to, choćby nawet ofiarowane mu przedmioty czy usługi, równą przedstawiały wartość. Mógłby je wprawdzie przyjąć, ale prawdopodobnie odmówi, a tę swoją odmowę tak uzasadni: „Umówiliśmy się przecie że wypłacisz mi pieniędzmi. Za pieniądze mógłbym sobie nabyć wszystko, cokolwiek jest do nabycia. A tymczasem dajesz mi inne przedmioty, niebędące pieniędzmi. Przyjąłbym i to, gdybym potrzebował, ale obecnie całkiem mi zbyteczne. Musiałbym chyba z kimś pohandlować; ale wyszukanie takiego, któryby właśnie takich rzeczy potrzebował,

sprawiłoby mi kłopot — twoja więc propozycya jest dla mnie niewygodną, przedstawia pewne ryzyko i może nawet na straty narazić — a o tem przecie nic nie powiedziano w naszej umowie.“ I każdy prawy człowiek uznałby za słuszne takie powody odmowy.

Wewnętrzna wartość pieniędzy jest rzeczą obojętną.

Łatwość, z jaką pieniądze mogą przechodzić z ręki do ręki, to właśnie szczególna ich cecha, wyróżniająca je od innych rzeczy. Nawet dzieciom to nieobce. Pokażmy im cukierek, kapelusz, buty, rękawiczki lub zabawkę, a powiedzą że przedmioty te służą do jedzenia, noszenia lub zabawy; ale gdy im pokażemy pieniądz, choćby grosz tylko, zaraz nawet i najmniejsze powie, że służy on do kupowania.

A takie zapatrywanie dziecka, wszyscy w życiu codziennem podzielamy, bez względu na nasze monetarne teorye.

Pieniądze tedy są na to, aby za nie inne rzeczy nabywać. Ale to, co z uwagi na takie przeznaczenie, poczytujemy za pieniądz, może być ale niekoniecznie musi być przydatnem i na inny użytek. To obojętne; bo dopóki coś ma służyć tylko do nabywania czegoś innego, dotąd nie chodzi tu o żaden inny a związku z tem niemający użytek.

Możnaby np. tak samo na ten cel przeznaczyć również i cukierki.[1] A dopóki moglibyśmy za nie wszystko nabywać, byłyby pieniędzmi. Ale ta ich rola skończyłaby się z chwilą gdy miałyby do jedzenia służyć. Tak samo jeżeli z banknota zrobimy fidybus, albo gdy złoty pieniądz zostanie przerobiony na pierścionek — przestają być pieniędzmi. Nawet pieniążki do ozdoby użyte, tracą na ten czas swój charakter.

---

[1]) Pierwsi osadnicy w Ameryce, zamiast pieniędzy używali tabaki. U niektórych barbarzyńców, zadanie to spełniają muszle albo kamyki. Przyp. tłum.

Słowem pieniądze — bez względu z czego zrobione — nie na to aby wprost zaspokajały nasze pragnienia, ale mają je tylko zaspokajać pośrednio, za pomocą wymiany na inne przedmioty. Nikt ich przecie ani je ani pije ani się w nie też nie ubiera. Jeżeli cenione i pożądane, to nie ze względu na własną, wewnętrzną wartość, ale ze względu na wartość tego, co za nie możemy otrzymać, gdy się ich pozbędziemy — i pożądamy ich właśnie dlatego aby się pozbyć. Nie przestaje to być prawdą nawet i wtedy, gdy je skąpiec zgromadza, bo sprawia mu rozkosz już samo przeświadczenie że może mieć za nie wszystko gdy zechce.

Dziecko zapewne nie rozumie znaczenia nazwy *zamiana*, ale zna ono samą rzecz, gdyż się na małą skalę i wśród dzieci praktykuje. Dają sobie np. kamyki za bąka, cukierki za inną jakąś zabawkę, albo też mówią: „Ja ci zrobię to, a ty mi za to zrób znów to.“ Ale taka zamiana uchodzi pewno w oczach dziecka, za jakąś facyendę tylko, za obietnicę, podczas gdy nazwy *kupno* i *sprzedaż* odnoszą się do wymiany, przy której pieniądz użyty.

Zwykle i oględniejsi pisarze tak to pojmują. Ale w szerszem znaczeniu, nazwy *kupno* i *sprzedaż* służą tylko przy wymianie do odróżnienia biorącego i dającego. Tak je też i Smith rozumie. A zarówno w zwykłym języku jak i w ekonomii politycznej, ogólnie się je teraz stosuje tam, gdzie przy wymianie i pieniądze w grę wchodzą; wymiana zaś bez nich dokonana zowie się tylko facyendą, albo wprost zamianą. Wymiana, przy której za pieniądze otrzymuje się jakąś inną rzecz, to kupno i sprzedaż: a dający pieniądze za rzecz, zowie się kupującym, dający zaś rzecz za pieniądze, zowie się sprzedającym. Zwykle w takich razach pieniądze uchodzą za coś niby wyższego, ważniejszego. Pochodzi to może stąd że propozycya tu zależy od tego, kto je daje. Zdaje się to potwier-

dzać zwyczaj — zapewne wszędzie istniejący — że ten kto sprzedaje — o ile dobrze wychowany — mówi „Dziękuję“ jak gdyby mu wyświadczono jaką przysługę czy łaskę.

A przyczyny tego, jak sądzę, należy szukać w tem, że te pieniądze obejmują już i zysk, jaki się zwykle dolicza; a przy tem jest to rzecz, którą z wszelką łatwością można wymienić na każdą inną. Tę wyższość wymiany towaru na pieniądze tem bardziej się odczuwa, im większe spotyka się trudności przy zamianie towaru na towar lub usługi na usługę. Po uskutecznieniu wymiany na pieniądze, łatwo już przychodzi znów je wymienić na przedmioty będące ostatecznym celem. Stąd ludziom powierzchownie tylko sądzącym, wydaje się że w wymianie głównym celem są pieniądze, i że ten, który je otrzymuje za inne rzeczy, jest w lepszem położeniu aniżeli ten, który otrzymuje inną rzecz za pieniądze.

Przykład najlepiej uwydatni różnicę zachodzącą między pieniędzmi a rzeczami posiadającemi wartość zamienną. Dajmy na to że kilku przyjaciół robi dalszą wycieczkę w nieznane im okolice. Przypuśćmy dalej, że na opędzenie wydatków podróży, jeden z nich bierze z sobą konia, drugi zabiera jakieś towary, np. tabakę i herbatę, trzeci złoto i srebro w sztabach, czwarty książeczkę czekową lub weksle, a piąty wreszcie pieniądze. Ale chociaż to przedmioty równej wartości, zaraz jednak na pierwszym już popasie wielka okazuje się różnica przy ich wymianie.

Właściciel konia, niechcąc się pozbyć wierzchowca ani za pieniądze ani wzamian za jakieś towary, któreby mu ciężarem były w dalszej podróży, musi go wymienić na innego mniejszej wartości, aby było czem popas opłacić. Rzecz jasna że w ten sposób niedalekoby zajechał, bo musiałby chyba co chwila konia mijać na coraz gorszego, aż wkońcu zostałoby mu jakieś

nędzne szkapsko, któreby zaledwie siebie mogło udźwignąć.

Co do drugiego, to gdyby mu się nie udało zaraz od ręki towaru pozbyć za co zato, byłby może zmuszony włóczyć się z nim jak wędrowny kramarz. A choćby nawet uniknął kary grożącej za prowadzenie handlu bez pozwolenia, to jeszcze naraziłoby go to na zwłokę, na straty i trudności wyszukania takich, którzyby mogli i chcieli dać mu to, czego potrzebował, wzamian za to, co miał.

Zdawałoby się chyba że przynajmniej ze złotem i srebrem pójdzie łatwiej, bo wartość tych kruszców najbardziej stała i dość przecie znana; a jednak poza miastem mało kto pewno chciałby je przyjąć wzamian za towary lub usługi. Aby zbyć za jaką taką cenę, przyszłoby szukać złotnika, któryby mógł ocenić, ale który może sam nie zechciałby nabyć, albo też w najlepszym razie ofiarowałby wzamian jakiś zegar czy cacko. Podróżny więc musiałby chyba zrobić cały szereg różnych wymian, zanimby nareszcie dostał to, czego mu potrzeba.

Posiadacz książeczki czekowej byłby w najgorszem położeniu, bo dopókiby ktoś nie poświadczył jego odpowiedzialności lub nie zechciał ponieść wydatku na telegraficzne zapytanie, jego czeki niewięcej byłyby warte wśród obcych niż kawałek czystego papieru. A powtarzałoby się to samo na każdym popasie; aż wkońcu, uprzykrzywszy sobie takie trudności, zaniechałby pewno dalszej podróży.

Za to ostatni nie miałby żadnych kłopotów; wszyscyby mu chętnie towar za pieniądze oddawali, i nierazby jeszcze pewno usłyszał „Dziękuję.“ On jeden tylko mógłby podróżować bez straty czasu i bez trudności.

Ale stąd jeszcze wcale nie wynika, aby pieniądze miały mieć największą wartość. Wielu wprawdzie tak

sądzi, lecz jest to błąd taki sam, jakby ktoś twierdził że funt ołowiu cięższy niż funt pierza. Z przytoczonego tu przykładu, ten tylko można wysnuć wniosek, że z pośród wszystkich rzeczy, pieniądze najłatwiej zamienne, i że ta łatwość właśnie stanowi główną ich cechę.

Ale rozszerzmy przykład. Niech tylko nasi podróżni przekroczą granicę, a zaraz się przekonają że te same pieniądze, za które u siebie wszystko mogli nabyć, gdzieindziej tracą tę własność, bo istota (substance) ich nie zawsze i nie wszędzie jednaka.

Pieniądze Stanów Zjed. przestają być niemi w Anglii; a znów angielskie nie są pieniędzmi w innym jakimś kraju itd. Tylko w miejscowościach bardziej przez cudzoziemców zwiedzanych, bywają też czasem w obiegu pieniądze różnych państw. Na wyspach Bermudzkich widzimy amerykańskie obok angielskich, a w Niagara Falls [1] przyjmowane są i kanadyjskie na równi z miejscowemi. W Port Said tak dobre egipskie jak indyjskie, angielskie lub francuskie. Ale to wyjątki. Wogóle zaś podróżni muszą się zaopatrywać w pieniądze tego kraju, w którego granice wstępują. Z chwilą bowiem jej przekroczenia, pieniądze które im do tej pory służyły, stają się od razu zwykłym już tylko towarem, który trzeba dopiero wymieniać na pieniądze u specyalnego handlarza.

Czy zatem pieniądze wyłącznie zależą tylko od rządów? Czy rządy mogą przez prawo lub nakazy, obieg ich regulować, czy mogą przepisywać: jakich pieniędzy wolno używać i po jakim kursie? Jest to dziś jeszcze przedmiotem sporu.

Ale kto mieszkał w Kaliforni między 1862 a 1879 r., ten mógł się tam naocznie przekonać o bez-

[1] Tak samo w poblizkiem Buffalo, N. Y., lub w Detroit, Mich. Przyp. tłum.

silności rządów w takich sprawach. Wówczas bowiem, kiedy pieniądze papierowe Unii spadały, w Kalifornii — i wogóle na całym zachodzie — jedynie złoto i srebro było w obiegu. Papier służył tylko do kupowania znaczków pocztowych i na opłatę podatków; wypłacano nim także pretensye przyznane przez sądy związkowe (i to tylko wtedy, jeżeli w umowie nie był zastrzeżony rodzaj pieniędzy); a nakoniec używany był jedynie w stosunkach handlowych ze wschodem — ale na miejscu uchodził tylko za towar.

Może ktoś powie że rząd nie wywierał dość silnego nacisku, a nawet i sam upośledzał swe papiery, przyjmując cło tylko w złocie; i że wskutek miejscowego prawa (co do zawierania umów), sądy krajowe[1] uznawały tylko złoto i srebro — ale są inne przykłady. Dość przypomnieć pieniądze konfederacyi albo też kolonialne przed wojną o niepodległość; a dalej, francuskie asygnaty lub wreszcie zabawną przygodę rządu angielskiego, który bezskutecznie próbował zaprowadzić w Irlandyi miedziane pieniądze; a chociaż były nawet lepsze niż stare, wszelkie jednak usiłowania jeden Swift udaremnił swem złośliwem piórem.

Rządy mogą wprawdzie znaczny wywierać wpływ na pieniądze, ale nie większy jak np. na język. Jak od nich zależy język używany w urzędach, sądownictwie i szkole, tak samo też mogą tym urzędom nakazać przyjmowanie tylko takich a nie innych pieniędzy. Ale tu już granica — dalej ich moc nie sięga. Jak nie mogą zmusić żadnej matki aby takim a nie innym językiem przemawiała do swego dziecięcia, tak też nie mogą narzucać sposobu, w jaki ma jeden z drugim załatwiać wymianę, bo to wyłącznie i tylko od wzajemnego przyzwolenia interesowanych stron zależy. Dla-

[1]) Są tam sądy krajowe czyli pojedyńczego stanu, sądy związkowe czyli całego państwa Stan. Zjed. — Przyp. tłum.

tego też wszelkie usiłowania tak konstytucyjnych jak i samowładnych rządów, nigdy na tem polu nie miały powodzenia.

Ale czy dlatego mamy już za wielu innymi powiedzieć, że koniec końcem, zamienna wartość pieniędzy zależy od wewnętrznej ich wartości; i że temsamem rzeczywistymi, jedynie prawdziwymi pieniędzmi są tylko złote i srebrne, razem lub oddzielnie — bo i zwolennicy tej teoryi dzielą się jeszcze na dwa przeciwne obozy: bimetalistów i monometalistów.

Kiedy złoto i srebro służy jako pieniądze.

Takie twierdzenie jakoby tylko złote i srebrne pieniądze były jedynie prawdziwemi, jest nawet jeszcze mniej słusznem aniżeli to, że pieniądze zależą od rozporządzeń rządowych.

Od dawna pieniądze są ze złota i srebra bite, a czasami i surowy kruszec służył — jeszcze nawet teraz gdzieniegdzie służy — za pieniądze. Był czas że w kopalniach Kaliforni, każdy kupiec, każdy hotelista, szynkarz albo gracz miał przy sobie flaszeczkę z kwasem i ważki, bo im za wszystko płacono złotym piaskiem albo bryłkami rodzimego złota. Dawniej w Europie nawet pieniądze brano na wagę. Ale żaden z tych kruszców nie jest to pieniądz powszechny. Ktoby chciał tylko sztabami płacić, wszędzie napotykałby trudności. Aleby ich także nie uniknął zabierając w podróż pieniądze złote czy srebrne. Z chwilą przekroczenia granicy, wszędzie — z wyjątkiem chyba niektórych tylko miejscowości — stałyby się tak samo towarem niełatwo zamiennym.

Pieniędzy powszechnych nigdy nie było i nie ma, tak jak nie istniał i nie istnieje żaden język powszechny.

Nasz papierowy pieniądz nie ma żadnej wewnętrznej (intrinsic) wartości, a jednak tak samo odpowiada celowi, jak i mające ją złote pieniądze; a nawet przeważnie obiegowa wartość naszych złotych pieniędzy

niebardziej zależy od ich wartości wewnętrznej, niż zależy obiegowa wartość naszych papierów od ich wartości wewnętrznej. Tak samo się też ta sprawa przedstawia w całym cywilizowanym świecie.

Nie wątpliwie ani żadne rozporządzenie rządowe, ani żadne usiłowania jednostek, ani wreszcie rodzaj lub wewnętrzna wartość użytego za materyał kruszcu, ani zgoła nic nie może zmienić obiegowej wartości pieniędzy — chyba że osłabi lub rozbudzi chęć przyjmowania ich jako pośrednika przy wymianie.

W różnych miejscowościach, różnemi czasy służyły najrozmaitsze rzeczy jako pieniądze. W N. Yorku np., kiedy z początkiem wojny domowej, dał się czuć brak pieniędzy w skutek wycofania z obiegu złota i srebra, szły z rąk do rąk znaczki pocztowe, kartki omnibusowe, kwity na chleb, a nawet i fałszywe banknoty ogólnie były przyjmowane, chociaż wiedziano że fałszywe.[1])

Czyż wobec tego można przyznać słuszność tym, którzy przeczą jakoby mogło za pieniądze uchodzić wszystko, cokolwiek da się użyć przy wymianie? Przyznać im tu słuszność, znaczyłoby zapoznawać istotną i bardzo ważną różnicę, jaka zachodzi między pieniędzmi a kredytem.

Dziś w świecie handlowym czeki, weksle, przekazy i tp. pozwalają uskuteczniać wymianę bez pomocy pieniędzy. Ale zdolne je w tem zastąpić tylko wtedy, jeżeli im towarzyszy coś więcej, coś, czego pieniądze nie potrzebują. A to coś, to zaufanie czyli kredyt. Ten kredyt, to podstawa wszelkich obrotów; on to przy wymianie pozwala obywać się bez pośrednictwa pieniędzy. Od tego zależy ich zdolność zastępowania pie-

[1]) W. r. 1863 w Królestwie nawet kramarze po małych miasteczkach własne wypuszczali kwitki, które nie tylko na miejscu wszyscy przyjmowali, ale nawet i po dalszych wsiach były w obiegu. Przyp. tłum.

niędzy. Czekiem ani wekslem się nie wypłaca, tylko się wypłatę zapewnia.

Jeżeli daję pieniądze za to, co kupiłem, spłacam mój dług i wszystko się kończy, cała sprawa ostatecznie załatwiona. Ale gdy za kupiony towar daję tylko czek, to jeszcze długu mego przez to nie spłaciłem — dałem dopiero zlecenie na kogoś drugiego, i ten ma mnie w wypłacie zastąpić. Jeżeli zaś ten ktoś nie spełni tego, w takim razie ja tu jeszcze odpowiadam i moralnie i prawnie. Nikt też czeku z moim podpisem nie przyjmie, jeżeli mnie nie zna lub nie ufa, tj. jeżeli nie mam u niego kredytu. Czasem wprawdzie może się zdarzyć że w nagłej potrzebie nawet ktoś obcy, z uwagi tylko na mój przyzwoity wygląd, da mi jakąś drobną kwotę; ale taki, u którego posiadam kredyt, dałby mi bez namysłu więcej.

A więc w zwyczajnem pojęciu, pieniądz posiada własność, która go stanowczo odróżnia od wszelkiego rodzaju kredytu. Wypłata pieniędzmi kończy wszystko; a tymczasem kto daje czek lub weksel, ten musi za wypłatę ręczyć, i w razie uchybienia, odpowiada za nią; a z drugiej strony, dopóki wypłata nie nastąpi, wystawca wekslu może ją w każdej chwili wstrzymać jeszcze. Gdzie zaś kładą się na stół pieniądze, tam rachunek od ręki zamknięty.

Wszelkie czeki, weksle, przekazy itp. tylko z mocy kredytu mogą zastępować pieniądze. Kredyt dawniej znany a dziś może ważniejszy od nich; i tak jak złoto, może być na pieniądze przemieniony — ale sam przez się jeszcze niemi nie jest, tak jak nie jest niemi i złoto (kruszec). Uznanie go za pieniądze byłoby zapoznaniem ich natury i funkcyi.

Więc czemżeż jest pieniądz?

Bezwątpienia zasadnicza jego cecha zależy nie od formy lub materyału, lecz od sposobu użycia.

Pieniądz nie jest przeznaczonym na spożycie, ale ma wciąż obiegać, i jako pośrednik, biorąc udział w wymianie, ma ją ułatwiać. Zadanie jego takie samo — tylko w szerszem pojęciu — jak liczmanów przy grze[1]).

A taki ich użytek zależy od niemego przyzwolenia ogółu — od tego: czy i o ile ten ogół chce je przyjmować w wymianie, ale nie w charakterze tylko zastępców pieniędzy, i nie jako ich obietnicę tylko, lecz jako same pieniądze, zdolne od razu kończyć wszelkie rachunki wymiany.

Rozstrzyga tu jedno tylko pytanie: czy otrzymane pieniądze możnaby dalej w ten sam sposób wymieniać. A jeżeli tylko co do tego żadna nie zachodzi wątpliwość, to każdy je przyjmie, bo odpowiadają celowi — gdyż takie tylko ich przeznaczenie, aby służyły jedynie do wymiany. W razie zaś jakichkolwiek co do tego wątpliwości, albo wcale nie są przyjmowane, albo też ze stratą, odpowiednią do rozmiarów tych wątpliwości.

Właściwie zatem tylko wyłącznie usposobienie ogółu, owo nieme jego przyzwolenie, stwarza pieniądz, będący środkiem wymiany. Cokolwiek tedy w danem miejscu i czasie posiada zaufanie ogółu — ten nieodzowny warunek — wszystko to pieniądze w owym czasie i miejscu, bez względu na brak innych przymiotów. I odwrotnie — cokolwiek w danem miejscu i czasie nie ma zaufania u ogółu, tego nieodzownego warunku, to

---

[1]) Ten czysto zastępczy (representative) charakter pieniędzy dobrze należy zrozumieć i nie tracić z uwagi, bo niemałe już szkody wyrządziło poczytywanie pieniędzy i bogactwa za jedno i to samo. Na tem się też właśnie opierał system merkantylny, który tak drogo cywilizacya europejska opłaciła — strumieniami krwi i ogromem zmarnowanej pracy. Resztki tej antyspołecznej teoryi widzimy jeszcze w dzisiejszym systemie protekcyjnym; tkwią także na dnie teoryi panujących obecnie w Stanach Zjednoczonych, a które obiecują pomnożyć bogactwo przez pomnożenie pieniędzy.

nie pieniądze, choćby posiadało wszelkie inne przymioty.

A zatem — określenie pieniędzy:

Wszystko to, cokolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek służy za środek do wymiany, jest pieniędzmi w danym czasie i miejscu.

Nie ma pieniędzy powszechnych. Pieniądze prawie tak ogólnie są w użyciu, jak języki; tak samo też ogólnym podlegają prawom i nie mniej różne w różnych czasach i krajach. Pieniądze w samej rzeczy są pod jednym względem, niejako językiem — językiem wartości.

ROZDZIAŁ III.

Środki wymiany i miara wartości.

Ogólnie przyjęty środek wymiany, staje się temsamem zwykłą miarą wartości. — Dlaczego praca nie może być tą miarą.

Pieniądze nigdy się nie zamieniają. — Dlaczegóżby nie mierzyć wartości pracą. — Smith daje niezadowalającą odpowiedź. — Właściwa odpowiedź. — Praca nie może służyć za miarę; pieniądz lepiej odpowiada celowi. — Różnica ogólnie używanych miar nie przeszkadza wymianie. —

Jak powiedziałem, pieniędzmi jest wszystko, cokolwiek w danym czasie i miejscu służy za środek do wymiany. Jest to istotnie główna ich cecha. Ale prócz tego jeszcze mają też inną — w ścisłym z tem będącą związku — właściwość: służą także za miarę wartości.

Wypływa to stąd, że pieniądze ocenia się jako środek do wymiany a nie jako coś przeznaczone na spożycie. Dlatego też z pośród wszystkich rzeczy zamiennych, one jedne najwięcej w świecie cywilizowanym wymieniane. Drzewo np. albo węgiel, może nie być wcale wymieniony lecz przez samego producenta zużyty; a choćby nawet i dziesięć razy z rąk do rąk przechodził, to wkońcu jednak zostanie przez kogoś zużyty. Ta sama historya z kartoflami, żytem lub pszenicą. Konie najwyżej kilka razy właścicieli zmieniają. Bawełna, wełna, konopie, jedwab — może ze

sześć rąk przejdą i tyleż znów po swem przerobieniu, ale ostatecznie dostają się spożywcy. To samo z budulcem, żelazem, mięsem lub skórą. A nietylko że ostatecznym kresem takich rzeczy jest ich spożycie, lecz nadto przeważnie z takiego rodzaju materyałów zrobione, że jeśli w porę nie zostaną spożyte, to same przez się ulegną zepsuciu.

Pieniądze użyte tylko do wymiany.

Pieniądze przeciwnie, wcale nie są na spożycie ale dla wymiany. Stąd zawsze wybiera się na nie materyał najtrwalszy, bo pieniądz, będąc wyrazem wartości, może w jednym dniu przez więcej rąk się przewinie, aniżeli inny jakiś przedmiot bogactwa podczas całego istnienia swego. A jeszcze on częściej w myśli i na języku niż w ręku. Stąd wartość pieniędzy każdemu lepiej znana, i dlatego to zawsze wszyscy gotowi, przez porównanie z nią, mierzyć wartość innych rzeczy.

Ale tu się nasuwa pytanie, na które chciałbym wyczerpującą dać odpowiedź. Jeżeli wartość stoi w stosunku do pracy, to dlaczegóżby praca nie mogła być jej miarą.

Pytanie to bruździ w wielu teoryach monetarnych, a i Smith je podnosi ale nie daje zadowalającej odpowiedzi. Mówi on że „chociaż prawdziwą miarą zamiennej wartości wszelkich rzeczy jest praca, nie jest to jednak ta miara, którą się zwykle tę ich wartość mierzy“. A dalej usiłując wyjaśnić przyczynę tego, traci z oczu właściwą przyczynę, a to wskutek pomieszania nazw. Twierdzi np. jakoby czas trwania pracy nie dawał jeszcze miary jej jakości, a prawie jednocześnie używa czasu za miarę pracy. Mówi bowiem że „każdy towar, będąc częściej wymienianym, bywa temsamem częściej porównywanym z innymi towarami aniżeli z pracą, a stąd nic dziwnego że ich wartość zamienną mierzy się przez takie porównywanie a nie

pracą, jakąby można zań nabyć; i że wreszcie więcej ludzi zna się na przymiotach jakiejś rzeczy, niewielu zaś umie ocenić ile pracy zużyto na jej wykonanie.

Przeczy więc temu co przed chwilą mówił: że tylko praca (natężenie) stanowi o wartości wszelkich towarów. Chcąc zaś wykazać że prawdziwą miarą wartości nie jest ta, którą się zwykle stosuje, dowiódł tylko że wartość częściej bywa mierzoną przez porównanie towarów niż pracą. Ale to nie jest żadne wyjaśnienie — to tylko stwierdzenie istnienia faktu. Aby wyjaśnić jakiś zwyczaj czy obyczaj, nie wystarcza przecie powiedzieć że istnieje, że jest naturalnym czy pospolitym.

W świetle jednak naszych poprzednich badań zupełnie to jasne: dlaczego nie można wartości mierzyć prawdziwą jej miarą. Przyczyna tu leży w ludzkiej naturze. Wszak rozmiary natężenia poznajemy tylko przez towarzyszące mu przykrości, trud, znużenie wreszcie. Uczucia zaś są czysto osobistej natury, jest to nasze ja, które się tylko w działaniu może na zewnątrz objawiać. Nawet i matka nie jest wstanie poznać, co czuje dziecko, dopóki ono tego czynem nie zaznaczy. Wtedy dopiero zdolna ocenić: czy ono głodne, czy śpiące, czy je co boli.

A jak widzieliśmy, prawdziwą, ostateczną i powszechną miarą wartości jest praca (natężenie). Cokolwiek można za pracę otrzymać, zawsze to będzie miarą natężenia, jakiego się oszczędzi przez posiadanie tej rzeczy.

Ale że miara tu polega na uczuciach, więc każdy może tylko swój własny a nie cudzy wysiłek ocenić. Uczucia bowiem — przynajmniej w zwykłych warunkach — mogą być tylko drogą zmysłów do wiadomości drugich podawane.

Doświadczenie pozwala nam porównywać natężenie potrzebne do zrobienia lub otrzymania jednej rze-

czy, z natężeniem potrzebnem do wykonania lub otrzymania innej. I tak też wciąż przez porównania wszystko w myśli oceniamy. Aby to jednak wyrazić, musimy mieć jakąś każdemu znaną miarę oporu natężenia, tj. miarę znoju i trudu, jaki ono przedstawia.

Natężenie, to istotna miara wartości.

Każda miara wartości odnosi się do natężenia. Lecz aby mieć jakąś ogólną miarę, któraby nam pozwalała określić ilość i jakość, tj. czas trwania i napięcie natężenia, musimy brać na uwagę jego wyniki, tak jak np. przy mierzeniu światła, ciepła lub siły przyciągania. A ponieważ towary są namacalnym wynikiem natężenia, dlatego też zazwyczaj służą za miarę wartości.

Nawet i tam, gdzie chodzi tylko o czas trwania natężenia, zawsze też przyjmujemy na uwagę i wyniki. Chociaż robotnik wynajęty dziennie lub tygodniowo, niemniej jednak mamy na względzie i to, ile ma zrobić. Jeżeli zrobi mniej niż powinien, uważamy się za uwolnionych od obowiązku zapłaty. Marynarz np. podejmuje się roboty u rolnika za dziennem wynagrodzeniem, ale okazuje się że nawet kosy trzymać nie potrafi. Nie rości też pretensyi do zapłaty; czuje bowiem że choć umówił się na dniówkę, to jednak w gruncie rzeczy chodzi tu o pewną ilość kośby.

Przyjmując czas za podstawę miary natężenia, zawsze nam chodzi o wyniki. Tak bywa nawet i wtedy, gdy te wyniki mniej namacalne. Każę się np. zawieźć do pewnego miejsca. Odległość znana, mamy więc pojęcie o potrzebnem tu natężeniu. T. z. kurs, jest dla obu stron najlepszą umową, jasno bowiem określa wzajemny stosunek. Ale gdybym wynajął dorożkarza na godziny, nie mówiąc mu gdzie chcę jechać, rozumiałaby się przez to również i pewna ilość natężenia. Skoroby się przeto wlókł jak ze smołą, czułby i on że nie wypełnia ściśle umowy.

Taka jest skłonność do miary natężenia podług jego wyników, że nawet i tam, gdzie ważniejsza jakość aniżeli ilość natężenia, także ilość przyjmujemy za zasadę miary. Nawet pracę literacką mierzy się zazwyczaj na wiersze; przyczem różnica co do jakości — rzeczywista lub mniemana tylko — wyraża się częścią przez ochotę, z jaką przyjmują, a częścią znów przez cenę wiersza.

W każdym razie natężenie jest rzeczywistą i ostateczną miarą wartości. Ale tylko dzięki jego wynikom można mieć jakąś ogólniejszą jej miarę. Towary więc, jako namacalny wyraz natężenia, są tem samem najwygodniejszą taką miarą, to też od najdawniejszych czasów zawsze ich za miarę używano.

W społeczeństwach bardziej już cywilizowanych, taką miarą jest pieniądz. Zawsze i wszędzie spełnia on też zwykle rolę pośrednika w wymianie.

Należy jednak pamiętać że głównem jego zadaniem jest to pośrednictwo. Używanie go w tym charakterze, już samo przez się jest miarą wartości. Ale zawsze odpowiadają sobie oba te zastosowania.

W N. Yorku i okolicy słyszy się jeszcze o szylingach (York-shilling = $12^1/_2$ c.), chociaż taki pieniądz dziś już nie istnieje — jest to zabytek z czasów kolonialnych. Na zachodzie zaś tuła się jeszcze nazwa „skins“ (skóry). Pochodzi to również z owej epoki, kiedy to kompania Hudsońskiej zatoki (Hudson Bay Co.) prowadziła Handel zamienny z Indyanami na futra. Podczas i zaraz po wojnie domowej, były w Stanach Zjednoczonych używane jednocześnie dwie różne miary wartości — pieniądze papierowe i złoto. A chociaż dziś w świecie cywilizowanym — złoto, srebro i papiery powszechnie obok siebie są używane, to jednak wielki zachodzi rozdział między krajami używającymi złota za miarę wartości, a temi, które używają srebra.

Ale jeszcze i dziś widzimy to, co Smith powiedział, że „w gruncie rzeczy tylko praca (w znaczeniu natężenia) jest miarą wartości zamiennej wszelkich towarów...“ „jedynie ogólną i jedynie ścisłą (accurate) miarą wartości, czyli jedyną stopą, za pomocą której możemy wszędzie i zawsze porównywać wartość wszelkich towarów“. Jeszcze bowiem i dziś jest prawdą to, co powiedział że „rzeczywistą ceną wszystkiego — tj. co rzeczywiście trzeba za coś zapłacić aby posiadać — jest trud i kłopot, jaki trzeba ponieść chcąc coś posiąść. A rzeczywista wartość dla tego, kto to coś już ma a chce się pozbyć lub wymienić na coś innego, odpowiada trudom i kłopotom, jakich może sobie oszczędzić a jakie inni poniosą“.

A ponieważ praca jest rzeczywistą i powszechną miarą wartości, więc każda zwykle w jakimś kraju używana miara, może nastręczać pewne trudności przy wymianie z drugim krajem, używającym innej miary. Ale w wewnętrznych stosunkach zmiana miary przychodziłaby łatwo, gdyby nie wzgląd na kredyt i zobowiązania. W tem tkwi główny powód zamieszania pojęć w t. z. kwestyi monetarnej.

Zanim przeto postąpimy dalej, trzeba najpierw poznać stosunek kredytu do wymiany, o tyle przynajmniej, o ile to dotyczy pojęcia pieniędzy.

ROZDZIAŁ IV.

Znaczenie kredytu w wymianie.[1]

Na przykładzie podróżnych chciałem tu wyjaśnić pojęcie pieniędzy w zwykłem rozumieniu, i udział, jaki one biorą w wymianie. Przytoczyłem ten przykład, ponieważ przy tak małych i odręcznych wymianach, jakie podróżni muszą robić wśród obcych, najwyraźniej się okazuje wielka użyteczność pieniędzy. Ale nie myślałem przez to twierdzić, że trudności wynikające z braku pieniędzy, bywają zawsze i wszędzie tak wielkie.

Przeciwnie, nawet dziś jeszcze są takie zakątki świata, gdzie niektóre towary możnaby wymieniać łatwiej i korzystniej niż pieniądze. Niedogodności takiego handlu zamiennego wzrosły nie tylko z upowszechnieniem się użycia pieniędzy, ale także przez zaprowadzenie nowoczesnych urządzeń — takich jak poczty, koleje, telegrafy, telefony — oraz przez większe skupienie ludności a stąd i większy rozwój wymiany. Nawet wśród naszej cywilizacyi, w czasach poprzedzających wielki rozwój przemysłowy XIX w., facyendy musiały być skuteczniejszym środkiem wymiany aniżeli dziś, ponieważ wtedy ludność była do tego przyzwyczajoną. Ówczesny kupiec wędrowny lub obcy handlarze rozsyłający swe okręty po całym świecie, przeważnie prowadzili handel zamienny; a jar-

[1]) Nagłówek niekompletny.

marki — po których dziś już tylko tradycya została, tak ważne w przemysłowem życiu naszych przodków, dawały sposobność do wymiany towarów na towary lub usług na usługi.

Zawsze dawne, proste sposoby, ustępując nowym, lepszym, idą w zapomnienie. Takeśmy już przywykli do telegrafów, że poprostu trudno pojąć jak nasi ojcowie mogli się bez nich obywać. Zapałki do tego stopnia się upowszechniły, że niejeden z nas jużby sobie nie umiał bez nich poradzić. Gdyby teraz myśliwemu zabrakło prochu, nie byłby zdolnym żadnej zwierzyny upolować. A przecież do niedawna jeszcze ludzie i bez zapałek ogień rozpalali, i niemniej polowano, zanim broń palna wynalezioną została.

To samo i z pieniędzmi. Użycie ich tak dziś upowszechnione, a znaczenie ich tak wielkie, żeśmy już nieomal gotowi tę ważność przeceniać, zapominając że i dawniej przecież ludzie żyli i rozwijali się, zanim pieniądze tak udoskonalono; gotowiśmy nawet lekceważyć sposoby i rozmiary dawnej wymiany bez ich pomocy. A przecież wymiana towarów na towary, jest najprostszą jej formą; a z rozwojem cywilizacyi coraz silniej występuje dążność do zastąpienia pieniędzy innymi środkami, a przynajmniej ograniczenia ich użycia. Wymiana międzynarodowa, a poniekąd już i miejscowa, odbywa się bez takiego pośrednictwa. O pieniądzach wprawdzie mówi się i myśli, ale w rzeczywistości wymiana uskutecznia się bez nich, i to już nie tylko na małą skalę i nie tylko po wsiach, ale nawet w wielkich miastach i na szerokie rozmiary. Ludzie bogatsi, nawet w wydatkach osobistych, bardzo mało już używają pieniędzy. Przypuszczam że ktoś znany a mający conto w banku, mógłby lata całe — i to w wielkiem mieście, a cóż dopiero w małem miasteczku — żyć bez grosza gotówki w kieszeni. Dochody odbierałby czekami lub przez inne jakieś trans-

akcye, i nawzajem sam również mógłby za wszystko płacić czekami, na upartego za takie nawet rzeczy jak gazety, bilety do teatru i tp.

Kredyt jako środek wymiany.

Dopiero dzięki cywilizacyi, zaczęto przy wymianie używać tego, co przywykliśmy uważać za pieniądz, i co w niektórych swych formach jest nim w samej rzeczy. Obecnie znów, z rozwojem cywilizacyi, coraz silniej występuje skłonność do obywania się bez pośrednictwa pieniędzy; w istocie więc zawracamy do tego, co dawniej służyło jako ułatwienie wymiany, zanim jeszcze pieniądz został zastosowany. A to coś, jest to kredyt czyli zaufanie. Kredyt — ten tak dziś ważny czynnik wymiany — niewątpliwie musiał też być równie ważnym zaraz od pierwszej chwili po pojawieniu się człowieka na tej ziemi. Każdy to spostrzeże, skoro tylko odrzuci błędne mniemanie jakoby rozwój cywilizacyi zależał od zmian samegoż człowieka, a uzna że człowiek zawsze posiada tę samą zdolność ruzumowania.

Gdyby się rozbitki znaleźli na odludnej wyspie, jakaż byłaby tam ich najpierwsza wymiana? Czyż nie opieraliby jej na różnych formach tej propozycyi: *Ja zrobię (lub dam) ci to, jeżeli ty mi zrobisz (lub dasz) to a to.* Takie też i wśród pierwszych mieszkańców ziemi musiały być stosunki. Można również wnosić że byli to ludzie tacy sami jak my.

A choćby nawet była jakaś różnica, zawsze kredyt z porządku rzeczy musiał wyprzedzić handel zamienny, a przynajmniej na początku musiał go ułatwiać. Bo cóż naturalniejszego nad to, że gdy ktoś zabił wołu albo też nałowił dużo ryb, mając zawiele dla siebie, gotów był podzielić się z towarzyszami, wzamian za obietnicę — wyrażoną lub domniemaną — że innym razem i oni się z nim podzielą swą zdobyczą. Organizacya kredytu dosięgała coraz wyższych

form, w miarę postępów cywilizacyi; ale już w samem zaraniu ludzkości musiał on pomagać przy wymianie. Teraz już chyba tylko gdzieś w zapadłych lasach możnaby jeszcze spotkać najprostsze formy kredytu, odgrywającego względnie najważniejszą rolę przy wymianie.

Smith, wyjaśniając początek i zastosowanie pieniędzy, przecenia trudności handlu zamiennego (barter), a za nim czynią to samo wszyscy jego następcy. O stosunkach panujących przed pojawieniem się pieniędzy metalowych, tak mówi:

„Ktoś, przypuśćmy, ma zawiele a drugi zamało czegoś. Pierwszy więc radby się tej nadwyżki pozbyć, a tamten znów gotów ją nabyć. Lecz jeżeli drugi nie posiada nic takiego, coby pierwszy potrzebował, *zamiana wtedy niemożliwa.* Rzeźnik np. ma więcej mięsa niż sam może zużyć, a piwowar i piekarz chcieliby część mięsa nabyć, ale nie mają nic prócz piwa i pieczywa, a rzeźnik właśnie już w piwo i pieczywo dostatecznie zaopatrzony — w tym więc wypadku *zamiana między nimi niemożliwa.* Rzeźnik nie może im sprzedać, oni nie mogą nabyć — są zatem mniej dla siebie wzajemnie użytecznymi.

„Ktoś znów potrzebuje soli a ma tylko wołu do oddania wzamian — musiałby chyba od razu wziąć tyleż soli. Rzadko udałoby mu się kupić mniej, bo to, co ma do oddania wzamian, nie zawsze dałoby się podzielić bez straty. A gdyby znów potrzebował większej ilości soli, musiałby jej dla tych samych przyczyn kupić za 2 lub 3 woły czy barany. Gdyby natomiast miał do oddania wzamian za sól, nie woły lecz jakiś kruszec, łatwo mógłby z niego oddzielić część odpowiadającą wartości potrzebnego mu towaru.“

Chociaż wielu pisarzy powtarza to samo, jednak takie wyjaśnienie jest nieomal śmieszną przesadą. Precież

piekarz, rzeźnik, piwowar, jako zawodowcy, już z natury rzeczy muszą wytwarzać więcej aniżeli sami dla siebie potrzebują; takie więc zestawienie ich, już samo w sobie zawiera podział pracy, który nie byłby zgoła możliwym, gdyby nie była zarazem możliwą i wymiana wśród okoliczności, jakie Smith przypuszcza. Widoczna też że te okoliczności nie nastręczałyby tak nieprzezwyciężonych trudności przy wymianie, nawet i wtedy, zanim jeszcze pieniądze weszły w użycie. Rzeźnik przecie, mając mięso na zbyciu, nie odprawiłby z niczem piekarza i piwowara dlatego jedynie że na razie zaopatrzony w pieczywo i piwo; aleby im powiedział: „Chwilowo wprawdzie nie potrzebuję waszych towarów, jednakże mięso dam, jeśli się zobowiążecie dać mi za nie później odpowiednią ilość pieczywa i piwa, gdy tego zażądam.“ Nie byłby nawet zmuszonym czekać aż się jego własny zapas pieczywa i piwa wyczerpie; bo jeśli potrzeba mu ubrania, to może krawcowi odstąpić część otrzymanego zobowiązania na dostarczenie pieczywa i piwa.

Zaufanie czyli kredyt ułatwia wymianę.

Do wymiany nie potrzeba aby obie strony zaraz dały sobie towar za towar, ani też niekoniecznie muszą to wypełnić te same osoby. Jedna może umowę wykonać zaraz, a druga może się tylko zobowiązać że ją wykona później, albo też może wykonanie jej przekazać komuś trzeciemu — a to za pomocą kredytu czyli zaufania. W tak to prosty sposób, bez pieniędzy, sól może być wymienioną za część wołu lub barana, żadnej ze stron nienarażając na straty. A więc prawdą jest że trudności, podług Smitha, nie do pokonania, łatwo dadzą się usunąć przy pomocy kredytu tam, gdzie on możliwy. Za niepokonalne uważać by je można chyba tylko wtedy, gdyby już żadnych nie było widoków na dalsze zamiany, lub gdyby odnośne strony nic nigdy już nie miały mieć z sobą do czynienia ani

wprost ani pośrednio, jak np. w razie przypadkowego spotkania na pustyni lub na morzu.[1])

Tak się właśnie dzieje gdy przy zamianie pieniądze pośredniczą między ludźmi, którzy się nie znają i nie spodziewają się znów ze sobą spotkać. Pieniądze bardzo ułatwiły podróże, bo można przy sobie mieć środki zaspokajania swych potrzeb; ale już tak często posługując się zastępującemi pieniądz wekslami, przekazami, kuponami Cook'a lub książeczką czekową, zawracamy znów do kredytu.

Zaufanie, kredyt, to niewątpliwie najpierwotniejszy sposób ułatwiania wymiany; a nie tylko że wyprzedził pojawienie się prawdziwych pieniędzy, ale musi być równie dawny jak i sam człowiek.

Prawda, miłość, współczucie — to cechy ludzkiej natury. Bez nich człowiek nietylko że nigdyby się nie zdołał wydobyć ze stanu dzikości, ale nawet i w nimby się nie mógł ostać. Gdyby bez nich na świat przyszedł, musiałby uledz wobec swych sąsiadów zwierząt, albo by też sam przez się zmarniał. Ludzi więc nie potrzeba uczyć wzajemnej ufności — z wyjątkiem chyba gdy ich wyzyskano, co się zresztą dość często dziś zdarza przy tak jednostronnej cywilizacyi, gdy prawa, biorąc w obronę dłużnika, osłabiają głos opini, która staje po stronie uczciwości. Stąd też wśród ludzi cywilizowanych najczęściej wymagane poręczenie dotrzymania słowa. Ale wzajemne zaufanie tak dalece wrodzone człowiekowi, że nawet i najmniej dowierzający, wciąż zmuszony polegać na zaufaniu innych.

[1]) I w zwykłych warunkach może się zdarzyć coś w rodzaju takiej zamiany. Będąc jeszcze chłopcem, idę ulicą i widzę że jakiś jegomość chroni się do sieni przed deszczem, więc ofiarowałem mu miejsce pod swym parasolem. Przy rozstaniu mój towarzysz rzecze: „Jestem nietutejszy, więc może się już nigdy nie spotkamy. A że wyświadczona mi przysługa powinna być oddaną, postaram się przeto oddać ją komukolwiek innemu."

Kredyt był nie tylko pierwszym ale był i jest też najważniejszym środkiem wymiany w pierwotnem znaczeniu. Pomimo tak szerokiego dziś zastosowania pieniędzy, wymiana przeważnie uskutecznia się przy pomocy kredytu. W stosunkach międzynarodowych, pieniądz wcale nie ma zastosowania; a w każdym cywilizowanym kraju wymiana miejscowa także po największej części uskutecznia się przy pomocy kredytu.

Pierwotnie pieniądz miał służyć za środek wymiany, ale dziś w rzeczywistości nie jest to już najważniejsze jego zastosowanie — służy on głównie za miarę wartości.

Z rozwojem cywilizacyi coraz silniej zaznacza się dążność zamienienia kredytu na pieniądze, tj. wybicia z niego monety i zastosowania jej w charakterze środka wymiany, środka często lepiej temu celowi odpowiadającego, ponieważ łatwiejszy do przenoszenia aniżeli pieniądze z kruszcu. Pieniądze papierowe tak bardzo już w krajach cywilizowanych upowszechnione jako zwykły środek wymiany, w gruncie rzeczy są to pieniądze kredytowe czyli zaufania.

ROZDZIAŁ V.

Pochodzenie pieniędzy.[1]

Pieniędzy nikt nie wynalazł, ale raczej z rozwojem cywilizacyi, jakby same przez się z potrzeby wyrosły. To samo zasadnicze prawo ludzkiej natury, które prze do wymiany — prawo nakazujące dążyć do zaspokajania potrzeb przy jak najmniejszym wysiłku — zniewala nas także i do stosowania środków ułatwiających wymianę w miarę jej rozszerzania się.

Wymieniać można towary i usługi. W gruncie rzeczy i towary są to także usługi, ale konkretne, namacalne, a stąd podatniejsze do wymiany, służą zarazem za miarę wartości nie tylko innych towarów ale także i usług bezpośrednich.

Pod mianem towarów rozumiemy wszelki produkt pracy, który jako taki, posiada wartość dotąd tylko, dopóki nie utraci zdolności zaspokajania naszych pragnień. Nie wszystkie więc towary z równą korzyścią mogą służyć za pośrednika wymiany. Najpodatniejszym na ten cel jest taki, który oprócz trwałości i stałości, ma również i tę zaletę, że łatwo go można z ręki do ręki podawać i z miejsca na miejsce przenosić, a przytem w składzie swym jednolity — słowem taki, jaki najściślej da się ocenić i z najmniejszą stratą dzielić, a którego wartość jest z powodu powszechnego użycia

[1]) Nagłówek niezupełny.

najlepiej znana i może być na pierwszy rzut oka rozpoznaną.

O ile jakiś towar lepiej tym wymaganiom odpowiada, o tyle, naturalnie, zaraz objawia się gotowość użycia go za pośrednika przy wymianie innych rzeczy, a takie znów zastosowanie powoduje dążność do szerszego poznania jego wartości.

W społeczeństwach pierwotnych, w braku lepszej miary wartości i lepszych środków wymiany, używane były jako pieniądze — skóry, muszle, sól, paciorki, tabaka, herbata i wiele innych, do przenoszenia dogodniejszych a zepsuciu mniej ulegających, przedmiotów.[1])

Ale kruszce — zwłaszcza kruszce szlachetne — tak odpowiadają wszelkim warunkom wymaganym od pośrednika wymiany, że gdziekolwiek je poznano, zawsze były tam na ten użytek obracane. Zrazu zapewne przyjmowano je tylko na wagę; ale jak piekarz — dla uproszczenia sobie pracy i oszczędzenia zachodu — wypieka chleb już w bochenkach i bułkach, a kupiec zawija w paczki tabakę lub herbatę, tak też i co do

[1]) Smith, a za nim i wielu innych, wlicza tu również i bydło. Smith mówi: „Podobno w wiekach barbarzyństwa, bydło służyło za pośrednika w handlu. Chociaż musiało to być niedogodnem, jednak są ślady że wartość rzeczy oznaczano liczbą bydła, które dawano wzamian. Homer wspomina że „zbroja Dyomedesa kosztowała tylko 9 wołów, a Glaucusa 100".

Przyjąłem wprawdzie to twierdzenie, lepiej się jednak zastanowiwszy, muszę zaznaczyć, że niedogodności zbyt wielkie aby mogli używać bydła w charakterze pieniędzy. Co do świadectwa Homera, można przypuszczać że chodzi o nazwę pieniędzy z kruszcu. Markiz Gainier dowodzi że je nazywano wołami. Ale to tylko domysł, któryby nie wystarczał. Wszelako w nienaukowym języku — a szczególniej też w poezyi, która się bynajmniej ścisłością wyrażenia nie odznacza — gdy chodzi o pieniądze, to takich nazw jak bydło, ziemia, niewolnicy, zawsze używano w przenośniach. I tak też trzeba rozumieć słowa starożytnych pisarzy, nieprzyjmując ich za dowód że towar tak niedogodny do podziału, przechowania i przekazywania, mógł kiedykolwiek służyć jako środek wymiany i miara wartości.

kruszców, gdy się ich zastosowanie do wymiany więcej upowszechniło, również zaczęto je dzielić na kawałki oznaczonej wagi i czystości, a stąd już bez ważenia i próbowania mogły przechodzić z ręki do ręki. Później jeszcze dla udogodnienia i aby zapobiedz wycieraniu, nadano im kształt kółek, a tam, gdzie już sztuki wyżej stały, zaczęto wybijać i stempel, na dowód ich pierwotnej wartości.

Tak to z biegiem czasu, ze zwykłego towaru staje się towarem, który już przez długie wieki służy cywilizowanym ludom za pośrednika przy wymianie i za miarę wartości wszystkich innych towarów i usług — i do dziś jeszcze służy, chociaż nie wyłącznie.

Ale kiedy pieniądz ma w pierwszym rzędzie oszczędzić zachodu z ważeniem i próbowaniem towaru, który stał się pośrednikiem w wymianie, upowszechnienie monety ze stemplem poświadczającym jej wagę i próbę, musiało z czasem spowodować ten skutek, że przymiot łatwej zamienności przeszedł z towaru na pieniądz. Zwyczaj ważenia i próbowania poszedł już w zapomnienie; większość nie uważa już nawet na zawartość kruszcu, a w obiegu znaczy tylko kształt, wielkość, kolor i napis. Dziesięciodolarówka zawiera tyle a tyle gramów złota danej próby i w wymianie uchodzi za wartość kruszcu. Ale mało kto wie ile tych gramów waży, chociaż zna jego wartość w stosunku do innych rzeczy. Za pieniądz złoty wszystkiego można dostać; ale gdy się go przerobi na bryłkę, niemała wtedy będzie trudność z wymianą — trzeba się udać do mennicy lub złotnika.

Że tu raczej stempel a nie materyał ma znaczenie, dowodem tego amerykański „trade dollar.“ Wywożone do Chin dolary meksykańskie od dawna tam kursowały. Rząd Stanów Zjed. chcąc i swój pieniądz wprowadzić, kazał bić na ten cel t. zw. „trade dollar“. Był to pieniądz i lepiej i piękniej wykonany a więcej

zawierał srebra, jednakże spekulacya chybiła. Chińczycy bowiem tak już przywykli że woleli dolary meksykańskie, pomimo ich niższej wartości.

Bicie pieniędzy z szlachetnych kruszców.

Zdawałoby się że zastosowanie towarów do wymiany przez bicie pieniędzy z szlachetnych kruszców, dosięgło już szczytu doskonałości. Ale jest coś, co posiada te same zalety w jeszcze wyższym stopniu; coś, co niemając kształtów dotykalnych, może jednak z rąk do rąk przechodzić, jak również może być z miejsca na miejsce przenoszone bez tych niedogodności, jakich zwykle przyczynia rozmiar i ciężar, a przytem nie przedstawia niebezpieczeństwa straty wskutek wytarcia lub wypadkowego uszkodzenia. Jest to kredyt czyli zobowiązanie.

Cywilizacya wciąż się rozwija. Na pewnym stopniu tego rozwoju, dążność do zaspokajania potrzeb przy jaknajmniejszym wysiłku, spowodowała zastosowanie pieniędzy towarowych. Ta sama dążność w dalszym rozwoju prowadzi do zastosowania kredytu jako pieniędzy.

A ruch w tym kierunku odbywa się po trzech liniach: 1. gdy przy biciu pieniędzy łączy się wartość ze zobowiązania z wartością z produkcyi; 2. gdy zastosowano zobowiązanie czyli kredyt w zastępstwie pieniędzy towarowych i 3. gdy wyłącznie tylko kredyt użyty.

Mamy tu na uwadze jedynie pieniądze. Kredyt nietylko już wówczas ułatwiał wymianę zanim je udoskonalono, ale tak samo rozszerza się z rozwojem społecznym. Jeżeli kredyt bywa czasem trudnym i niedogodnym, zato przez ułatwianie wymiany na większych przestrzeniach, zwiększa wzajemną znajomość i poczucie potrzeby tej wymiany, koniecznej znów do jego rozszerzania. Pierwotnie pieniądz miał służyć za pośrednika tylko w miejscowej wymianie, ale jako miara war-

tości, szybko wielkiego nabrał znaczenia; wobec jednak dzisiejszej cywilizacyi, rozszerzanie się kredytu jest ważniejszem i bardziej uderzającem zjawiskiem, niż rozszerzenie użycia pieniędzy, jako pośrednika w wymianie. Kiedy ich użycie w takim charakterze, jeszcze i dziś jest miejscowem jedynie — bo za granicą kraju bardzo mało kursują — natomiast kredyt już tak rozwinięty, że nawet najbardziej oddalone kraje mogą, przy jego pomocy, prowadzić z sobą wymianę, choćby nawet różnych używały pieniędzy.

Ale nie chodzi mi teraz o rozwój kredytu handlowego; chcę tylko wykazać w jaki sposób pieniądze kredytowe zastępują użycie pieniędzy towarowych; czyli w jaki sposób pieniądz powstały z produkcyi, zamienia się na pieniądz z wartości ze zobowiązania.

Jak każdy towar, tak też i kruszce najpierw żądane były tylko dla spożycia. A wartość ich czyli cena zależy od kosztu produkcyi. Chociaż jakiś kruszec zaczyna być używany za środek przy wymianie, jeszcze nie ustaje zapotrzebowanie go na spożycie, a zmiana co do formy — aby lepiej odpowiadał nowemu przeznaczeniu — wcale lub tylko nieznacznie cenę podnosi. Zrazu więc wartość kruszcu użytego w charakterze pieniędzy, pozostaje równą wartości tego samego kruszcu przeznaczonego na spożycie. Gdy jednak już na dobre zacznie się z niego pieniądze wybijać, wtedy już wpływa to i na cenę, gdyż ostemplowanie wymaga nieco więcej pracy aniżeli wykonanie sztab.

Stąd to są lub mogą być dwa pierwiastki w zamianie wartości pieniędzy metalowych: 1. wartość wewnętrzna, czyli wartość samego kruszcu, zależna od kosztu jego produkcyi aż do przygotowania go w sztabach, i 2. koszt zmiany formy tj. koszt wybicia stempla. A ten drugi pierwiastek, tj. koszt bicia, zowie się „seigneuriage“, stąd że zawsze ono było przywilejem panującego (seigneurie — władza pana feudalnego, państwo).

Dwa są rodzaje opłaty za przerobienie kruszcu na pieniądz. Zanim wprowadzenie maszyn wywołało przewrot w przemyśle, był zwyczaj, że chcąc sobie sprawić ubranie, kupowało się sukno a krawcowi płaciło tylko za robotę, w przypuszczeniu że ani kawałka nie zatrzymał dla siebie. Młynarz natomiast brał miarki zboża za zmelenie. Dzisiejszy zaś fabrykant, sam kupuje materyał i sprzedaje gotowy już wyrób.

Co do bicia monety, to zdaje się zawsze pobierano za nie opłatę w taki sposób, jak młynarz za mlewo. A to myto czyli „seigneuriage“ może mniej lub więcej przewyższać rzeczywisty koszt wybicia. Zależy to od woli rządu czy monarchy.

Gdyby bicie pozostawiono prywatnym przedsiębiorstwom, natenczas, wskutek wolnej konkurencyi, koszt ten spadłby do możliwego minimum — ale to nigdy miejsca nie miało. Stempel najwyższej władzy, oczywiście, najlepszą daje rękojmię wagi i próby kruszcu — a o to właśnie przedewszystkiem chodzi. Gdzie bicie monety w ręku panującego, tam „seigneuriage“ — ten drugi pierwiastek wartości pieniędzy — może być zupełnie usunięty przez umowę lub praktykę; a panujący oddaje wtedy pieniądze pełnej wartości kruszcu dostarczonego mennicy — jak to już obecnie ma miejsce w niektórych krajach co do pewnych kruszców. Jeżeli jednak panujący nie zgodzi się na bicie pieniędzy pod innymi warunkami, może „seigneurage“ tak podnieść, że ono stanie się ważniejszym pierwiastkiem wartości pieniędzy. A naturalnie że przez użycie bardzo taniego materyału, „seigneurage“ może się stać nawet jedynym pierwiastkiem wartości. Ricardo wykazał że cała zamienna wartość pieniędzy papierowych, równa się tylko cenie ich wykonania (seigneurage).

Przy monopolu, wartość wewnętrzna tj. pierwszy pierwiastek, może spaść nawet do zera, a mimo to pieniądze mogą zachować swą zdolność obiegu. Kiedy

inne towary użyteczne dopiero przez ich spożycie, użyteczność pieniędzy polega tylko na wymianie. Stąd wewnętrzny ich charakter obojętny dla tego, kto je przyjmuje, jeżeli je może znów w obieg puścić dalej. Jedynie więc obchodzi go tylko to, czy inni je przyjmą, gdy i on je z kolei zechce wydać.

Niektóre towary już w opakowaniu idą teraz w handel. Publiczność wie ile i w jakim gatunku towaru zawiera takie eleganckie pudełeczko — a rękojmią co do tego, firma fabrykanta, który też ciągnie stąd niemały zysk, podobny do „seigneurage“. A wyzyskując zaufanie mógłby on te zyski na krótki czas znacznie podnieść, dając gorszy towar. Z początku nieświadomi tego kupcy po dawnemuby nabywali dla dalszej sprzedaży. Ale skoro spożywcy spostrzegą różnicę, zaraz też i kupcy przestaną robić zakupy, bo ustanie popyt.

Przypuśćmy teraz że jakiś fabrykant puszcza takie paczki w obieg w charakterze pośredników wymiany. Gdyby właściciel ochronnego znaczka — widząc że popyt w skutek nowego zastosowania wzrósł — zechciał wyzyskać swe prawo wyłączności i ograniczył dostawę, wtedy podniosłaby się wartość tego artykułu tak dalece, że zaprzestanoby go kupować na spożycie.

Ale dopókiby nie ustał popyt na ten towar jako na pośrednika wymiany, dotąd byłby on używany jako taki; a właściciel znaczka ochronnego, nietylko mógłby utrzymać cenę, ale nawet mógłby bezkarnie zmniejszyć zawartość pudełeczek choćby do zera. Całe bowiem zapotrzebowanie byłoby wtedy oparte jedynie na widokach dalszej wymiany. Nabywcy zgoła już nie obchodziłaby zawartość tego, co kupuje aby sprzedać znów dalej; szłoby mu tylko o to, czy będzie mógł sprzedać.

A ta możliwość zmniejszenia ilości lub obniżenia jakości zawartości paczek, bez jednoczesnego zmniejszenia ich wartości jako pośrednika wymiany, zależy

przedewszystkiem od tego, czy zaprzestano już nabywać w celu spożycia. Bo gdyby jeszcze choć małe było zapotrzebowanie na spożycie, natenczas zmniejszenie towarowej wartości, osłabiając cały popyt, zarazby obniżyło wartość nietylko części przeznaczonej na spożycie, ale także i części użytej za pośrednika wymiany.

Z początku, kiedy bite pieniądze były jeszcze towarem tylko, zapewne długo ich zapotrzebowanie — przynajmniej w części — było dla spożycia. Z rozwojem sztuk, pieniądz często przerabiano na ozdoby. A co może nawet ważniejsza, uchodził jeszcze za towar w wymianie międzynarodowej. Zapewne też pieniądze większych książąt rozchodziły się szerzej wówczas, gdy hadel międzynarodowy był bez porównania mniejszy niż obecnie. Granice ich wprawdzie były szczuplejsze, ale zato było jeszcze stosunkowo więcej krajów, niemających własnej monety; kredyt zaś jeszcze się tak w stosunkach międzynarodowych nie rozwinął, więc też i większem musiało być użycie pieniędzy, jako towaru wygodniejszego do przenoszenia.

Czy pieniądze używane na ozdoby, czy też poszukiwane zagranicą — jak np. w Anglii złoto amerykańskie — zawsze to popyt na spożycie. Gdyby zaś przy podwójnym popycie bito pieniądze podlejsze niż napis opiewa, zarazby się ten popyt zmiejszył a więc i wartośćby się obniżyła. Byłby to skutek nieunikniony, choćby nawet robotnicy menniczni dochowali zaprzysiężonej tajemnicy.

Ale mimo obniżenia wewnętrznej wartości pieniędzy, można ich kurs podtrzymać jeszcze przez ograniczenie ilości. Zwykle jednak panujący czy republiki, biją pieniądze gorsze dlatego, aby ich z tej samej ilości kruszcu wybić więcej niż było poprzednio, bo nie mogą się oprzeć pokusie.

Że obiegowa wartość pieniędzy niekoniecznie musi zależeć od ich wewnętrznej wartości, zaraz to spostrzegły umysły jaśniejsze, skoro tylko stempel uznano za wyraz wartości, i pieniądz zaczął przechodzić z ręki do ręki, już bez ważenia go i próby. Pieniądz, choćby nawet wskutek wytarcia stracił na swej wewnętrznej wartości, przez to jednak nie traci jeszcze swej zdolności obiegowej — chyba że umowy handlowe lub postanowienia prawne wzbronią przyjmowania. Już to samo dowodzi że w rzeczywistości obiegowa wartość pieniędzy nie zależy od wartości materyału, z jakiego je zrobiono.

Stąd to domieszka tańszych kruszców, wydaje się ministrom i doradzcom, najprostszą i bezpieczną ekonomią. Temu też przypisać należy tak częste obniżanie wartości pieniędzy. Jest to znamienny rys całej ich historyi. Tak w Anglii spodlono funt szterling, pozostawiając mu zaledwie cząstkę pierwotnej wartości; tak również i w innych krajach spowodowano jeszcze większe różnice.

Takie zachcianki niekiedy sprowadzały klęski, a ostatecznie kończyło się zrównaniem wartości obiegowej z towarową — czy to przez wycofanie i przerobienie spodlonych pieniędzy, czy też — co najczęściej bywa — przez zniżenie ich obiegowej wartości do poziomu wartości towarowej.

Ale mylnie wielu przypuszcza że jest to nieunikniony wynik spodlenia pieniędzy. Można użyć gorszego kruszcu, a nie obniżyć przez to wartości obiegowej; ale pod warunkiem że ten kruszec będzie równie do zdobycia trudny jak i inne — czyli że będzie przedstawiał taką samą sumę natężenia.

W gruncie rzeczy bowiem wszelka wymiana jest tylko wymianą pracy; więc stopa, podług której gotowiśmy coś oddać za inne rzeczy, zawsze zależy od trudności ich otrzymania. Że za 10 funtowy oblig

angielskiego banku, niemający rzeczywistej wewnętrznej wartości, można dostać 10 funtów pieniędzmi, mającymi już odpowiednią wewnętrzną wartość złota; że chociaż wewnętrzna wartość 5 dolarów w złocie równa 5 dolarom, w srebrze zaś tylko coś 2 i pół dolara, a jednak w kraju można jedne na drugie wymienić lub nabyć za nie jednakową ilość towarów czy usług: to pochodzi stąd że w obu razach trudność ich zdobycia — czyli potrzebna do tego ilość i jakość natężenia — widocznie jest taką samą. Gdyby z większą trudnością przychodziło nabyć jedno niż drugie, zarazby uległa zmianie stopa, podług której się je wymienia. W takim razie mówimy że jedna strona daje premium a druga dyskonto.

Zrównanie wartości pieniędzy.

Nie zawsze bywa jednaka ta trudność otrzymania — trudność, która tak wyrównywa wartość złotych, srebrnych i papierowych pieniędzy, że można je wymieniać jedne na drugie lub na równą ilość towaru. Co do pieniędzy złotych, trudność ta wynika tylko stąd, że kruszec trzeba dobywać, czyścić i przewozić, bo po za tem ani w Anglii ani w Stanach Zjed. rząd nic nie potrąca ani też nic nie rachuje za wybijanie złotej monety. Co do pieniędzy srebrnych, to w praktyce wynika jeszcze prócz tego i trudność z powodu narzucania przez rządy warunków, pod jakimi godzą się na bicie takich pieniędzy, tj. wymaganego „seigneurage“. Co zaś do obligów, to tu już wyłączną trudność stanowią narzucane przez rządy warunki, czyli samo tylko „seigneurage‘. Słowem to, co papierom i monecie o małej wewnętrznej wartości, nadaje wartość obiegową, jaką ma pieniądz złoty, to zależy od rządu mającego monopol wypuszczania pieniędzy w swoim kraju; bo rząd taki nie wypuści ich na mniej dla siebie dogodnych warunkach aniżeli inne rządy — i stąd to dla jednostki wszystkie pieniądze równie do zdobycia trudne.

Zmniejszenie wewnętrznej wartości głównych i najważniejszych pieniędzy, bez obniżenia przez to ich wartości obiegowej, nie jest zadaniem niemożliwem. Jeżeli zaś próby chybiały, to zawsze przyczyną niepowodzenia było to, że panujący nie spełniali — a może też i nie mogli spełnić — nieodzownego warunku tj. ścisłego ograniczenia ilości. Czy to republiki czy książęta, zawsze bili z tej samej ilości kruszcu, większą ilość pieniędzy. Zamiast więc ograniczyć tu ilość o tyle, aby bez względu na zmniejszenie wewnętrznej wartości, utrzymać ich wartość zamienną, oni, widząc mniejszy popyt, zaraz jeszcze zwiększali ilość, co musiało spowodować dalsze obniżenie wartości obiegowej — i to już bez względu na to, o ile wartość wewnętrzną zmniejszono.

(Z tej przyczyny spadł kurs francuskich asygnat, kontynentalnych pieniędzy itd.) [1]

To również spowodowało i spadek funtów szterlingów, a w innych krajach spowodowało jeszcze większe różnice.

---

[1]) Brak tej noty w oryginale.

ROZDZIAŁ VI.

Dwa rodzaje pieniędzy.[1]

Kiedy wartość zawsze jest tą samą siłą, od której zależy wymiana pracy, są jeszcze dwa inne rodzaje wartości — jedna z produkcyi, druga ze zobowiązania. Pieniądz jest reprezentantem wartości i zwykłą jej miarą — pośrednikiem, dzięki któremu wszystko może być zamieniane podług swej wartości. A stosownie do tych dwóch rodzai wartości, są też i dwa rodzaje pieniędzy, używanych obecnie w społeczeństwach bardziej cywilizowanych: pieniądze towarowe, oparte na wartości z produkcyi, i drugie, które możnaby nazwać pieniędzmi kredytowemi, ponieważ oparte na wartości ze zobowiązania.

Ale ta różnica nie ma, naturalnie, żadnego związku z różnicą, jaka np. zachodzi między funtem a frankiem lub dolarem, bo tu różnica tylko co do nazwy. Wcale też nie zależy od różnicy między pieniędzmi papierowemi a bitemi z kruszcu; bo chociaż pierwsze kredytowe, zato drugie niezawsze są towarowemi. A to, co tu rozumiemy przez tę nazwę „pieniądze towarowe“, są to pieniądze, które się wymienia podług ich wartości jako towar, czyli takie, których zdolność obiegu zależy od wewnętrznej wartości materyału, z którego zrobione. Pieniądze zaś kredytowe są te, które w wymianie wię-

[1]) Nagłówek nieuzupełniony.

kszą mają wartość, niż wartość materyału, z którego zrobione. W pierwszym razie cała ich wartość w wymianie, jest taką samą, jakąby miały idąc za towar; a w drugim razie mają wartość wyższą niż ich wartość towarowa, czyli że przynajmniej jakaś część ich zamiennej wartości wypływa z kredytu, zaufania.

Jeżeli ktoś np. daje zboże wartości 10 dolarów za pieniądz zawierający za 10 dolarów złota, to w gruncie rzeczy robi tylko facyendę, bo dając towar za towar równej wartości, nie kredytuje tu nic i nikomu. Ale gdyby przyjął 10 dolarowy banknot, wtedy za swe zboże otrzymałby coś, co jako towar, ma tylko wartość kawałka papieru, czyli prawie żadną. Jeżeli zaś przyjął go w równej wartości, to sprawiła to jedynie wiara — czyli kredyt, zaufanie — że i on zkolei może go także wymienić jako pieniądz tej samej wartości. Gdyby pieniądz (towarowy) wrzucił do morza, straciłby wartość 10 dolarów, i o tyleż zmniejszyłaby się suma bogactwa ogólnego. Gdyby zaś spalił banknot, także coprawda straciłby 10 dolarów, ale tylko on sam, suma zaś bogactwa ogólnego zmniejszyłaby się tylko o nieskończenie małą cząsteczkę (jaką przedstawia wartość materyału). W gruncie rzeczy pieniądz papierowy jest tem samem, co czek albo weksel prywatnej jednostki czy korporacyi, z tą tylko różnicą że ma szerszy i łatwiejszy kredyt — i to też tylko daje mu charakter pieniężny. Wartość monety o pełnej wewnętrznej wartości, na równi z wartością zboża, wypływa z produkcyi. Ale wartość pieniędzy papierowych, tak jak i wartość czeków lub weksli, jest wartością ze zobowiązania.

Pieniądze pierwotne niewątpliwie były towarowemi. I teraz jeszcze w niektórych krajach są to główne, a miejscami nawet jedyne pieniądze. Ale już w krajach cywilizowanych zastąpił je w znacznej mierze pieniądz kredytowy. W Stanach Zjed. np. już tylko

moneta złota jest pieniędzmi towarowymi. Dolar srebrny ma wewnętrznej czyli towarowej wartości zaledwie jakieś 50 c., a jeszcze niższa wewnętrzna wartość monety zdawkowej. Że zaś w obiegu ma wartość równą złotu, to tylko dowodzi że wartość zamienna nie zależy od wartości wewnętrznej. W gruncie rzeczy jest to tak samo pieniądz kredytowy jak i „greenback“ [1] albo papier państwowy. Różnicę tu stanowi jedynie to, że stempel wyciśnięty na metalu a nie na papierze. A ten to stempel właśnie, budząc zaufanie, zapewnia i obieg. Gdyby nawet za materyał użyto najtańszego z kruszców, albo nawet i całkiem obniżono wartość wewnętrzną, to jeszcze i wtedy obiegowa ich wartość ani na jotę by się przez to nie obniżyła. A co jest prawdą dla Stanów Zjed. jest nią także i względem Anglii, Francyi, Niemiec, i wogóle narodów, które przyjęły złoto za miarę wartości. Jedyny ich pieniądz towarowy, to moneta złota; inne zaś, to tylko znaki, czyli pieniądze kredytowe. W krajach zaś, które zatrzymały srebro jako zwykłą miarę wartości, taką jednostką porównawczą (standard) w ogóle jest pieniądz towarowy, ale pieniądze posiłkowe (subsidiary) mające mniejszą wartość wewnętrzną, w rzeczywistości są tylko pieniędzmi kredytowemi.

---

[1]) Popularna nazwa banknotów, a to z przyczyny zielonego ich koloru. P. tł.

KONIEC.

Ważniejsze omyłki w druku.

Str.	Wiersz.					
23	14	od	dołu,	zamiast	zaspakajania	— zaspokajania
34	13	„	„	„	„	— „
37	16	„	„	„	„	— „
43	14	„	„	„	cząsteczka	— cząsteczką
„	16	„	„	„	cząskę	— cząstkę
49	14	„	„	„	domyśnem	— domyślnem
52	15	„	„	„	przeciwnie	— natomiast
58	3	„	góry,	„	zaspakajania	— zaspokajania
71	8	„	dołu	„	ladunkiem	— ładunkiem
125	13	„	góry	„	pojącia	— pojęcia
134	4	„	„	„	pole	— warunki
135	5	„	dołu	„	propozycyi	— twierdzeń
144	6	„	góry	„	myślal	— myślał
„	16	„	dołu	„	chwiłi	— chwili
167	7	„	góry	„	Mallhus'a	— Malthus'a
170	12	„	„	„	duchownego	— duchowego
174	7	„	„	„	fedualizmu	— feudalizmu
192	3	„	dołu	„	Miłł	— Mill
194	15	„	góry	„	czaje	— czasie
201	10	„	„	„	miejsza	— mniejsza
203	11	„	dołu	„	pewień wpyw	— pewien wpływ
205	8	„	góry	„	korzyści	— towarów
„	15	„	dołu	„	innego	— tego samego
207	16	„	„	„	korzyścią	— towarem
„	21	„	„	„	wygodami	— towarami
208	6	„	góry	„	korzyścią	— towarem
222	3	„	dołu	„	producya	— produkcya
223	8	„	„	„	te	— tę
224	6	„	góry	„	ono,	— ,ono
236	4	„	„	„	rodzielić	— rozdzielić
244	10	„	„	„	zasmysłowym	— zazmysłowym
278	17	„	dołu	„	rybołówstwa	— rybołowstwa
311	7	„	góry	„	cieżar	— ciężar
368	8	„	„	„	żależny	— zależny
397	1	„	dołu	„	po wyrazie ziemską, *brak*	“
399	12	„	„	„	potoczonego	— potocznego.

(Serya 1.)

Spis przedpłacicieli.

Altenberg H., Lwów (**10** egz.)

Bartecki Mec., N. Tomyśl.
Biederman M., Poznań.
Br. J., (księg. J. Leitgeber).
Bajon C., Gostyń.
Baranowski A., Poznań.
Bank Związku Spół. Zar., Poznań.

Chłapowski Al., Bonikowo (**2** egz.)
Chłapowski H., Czerw. Wieś.
Chłapowski A., Poznań.
Celichowski Z. Dr., Kórnik.
Cegielski Stefan, Poznań.
Chmielewski K., Poznań.
Cichowicz L. Mec., Poznań.
Czypicki C. Mec., Koźmin.

Dębicki, Orliniec.
Dąbrowski, Ameryka.

Filipowicz T., Poznań.
Fiedler A., Poznań.

Granatkiewicz Dr., Gostyń.
Grabowski K., Zbietka (A. Cybulski).
Grudziński Hr., Brodowo (Księgarnia Polska).

Hemmerling W. Ks., Góraj.
Hącia K. Dr., Poznań.
Hakanowicz W., Szczecin.

Ignatowicz K., Poznań.
Izba Handlowa w Krakowie (G. Gebethner i Sp.)

Jordan Dr. Prof., Kraków.

Kościelska M., Miłosław (**3** egz.)
Kościelski Józef, Miłosław (**3** egz.)
Krz. Ks., Kamieniec (**2** egz.)
Kędzierski C., Poznań.
Kasprowicz B., Gniezno.
Krzysztoporski, Dobczyn.
Kulerski W., Grudziądz.
Krysiewicz St., Poznań.
Karłowski, Poznań (Księg. Pol.)
Kollat H., Poznań.
Kobylański Z., Ameryka.
Karczewski, Granowo (księgarn. J. Leitgeber).
Konikiewicz F., Poznań.
Kostrzewski W., Poznań.
Krzyszkiewicz P., Poznań.
Kusztelan C., Poznań.
Kużaj K., Poznań.
Koźlicki S., Poznań.

Kowalczyk T., Katowice (F. Sikorski)
Kusztelan Dr., Poznań.

Litwiński E., Poznań.
Lubiński L., Poznań.

Marweg A., Poznań.
Malinowski M., Poznań.
Mniszewski A., Mieścisko.
Muzeum Nar. im. Dr. H Kałusowskiego w Chicago (A. Cybulski).
Mańkowski ks., Łasin.

Niemojewski W., Śliwniki.
Niesiołowski K. Ks., Pleszew.

Otmianowski T., Poznań.

Poprawski, Poznań
Pawlicki C., Krotoszyn.
Piekucki S., Obrowo
Pankowski P., Łabiszyn.
Pernaczyński Dr., Poznań.
Paczkowski Jan, Poznań.
Pudlewicz B., Sieniawa (A. Cybulski).
Pluciński, Swadzim (Księg. Pol.)
Pietruszka R., Huta Laury (F. Sikorski).

Rutkowski I. Dr., Jaguszewice.
Raczyński S, Stajkowo.
Rychlewski J. Ks., Żnin.
Rydlewski C. Dr., Poznań.
Raczkowski F. Poznań.
Radziszewski S. Mec., Ostrzeszów.

Śniegocki B., Poznań (2 egz.)
Stefański J., Poznań.
Szuman Jan, Poznań.
Sobecki J., Poznań.
Stychel Fel., Poznań.
Skrzydlewski F., Rzegotki.
Świtała I., Poznań.
Samborski, Kraków (G. Gebethner i Sp.)
Szułdrzyński, Lubasz (Księgarnia Polska).
Siuchniński A. Poznań.
Szpetkowski B., Poznań.
Swinarski Wł., Poznań.
Święcicki Heliodor Dr., Poznań.
Śmiłowski P., Siemianowice.
Samarzewski W., Król. Huta.
Sokolnicki M., Tarnowo.
Święcicki S., Poznań.
Sikorski F., Katowice.

Taczanowski Wł., Choryń.
Tow. Przemysłowe, Poznań.
Th. (księg. J. Leitgeber).
Trąmpczyński W. Mec., Poznań
T. Mł. Przemysłowców, Poznań.

Ubrich B. Ameryka

Wicherkiewicz Boh. Dr. Poznań.
W. z W. (księg. J. Leitgeber).
Wlazłowski Dr., Międzychód.
Wiertelorz, Zabrze (F. Sikorski).

Zielewski Mec., Jarocin.
Ziółkowski F. J., Pleszew.
Ziętek W., Poznań.
Ziętkiewicz B., Poznań.
Ziętkiewicz St., Poznań.
Żółtowski Stan. Dr., Wargowo.

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
C 47586

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
93551
1